

ŚWIETNY THRILLER O TAJEMNICZYM ŚWIECIE ILUZJI...

CAROL O'CONNELL



TRZY KUBKI

Oliver Tree przez lata starał się odgadnąć, na czym polega sekret Zapomnianej Iluzji. W końcu miał wystąpić, stawiając wyzwanie śmierci, podczas festiwalu sztuki magicznej na Manhattanie.

Na oczach publiczności i w obecności kamer telewizyjnych w kierunku Olivera pomknęły strzały z czterech kusz. Okrzyki bólu były prawdziwe, podobnie jak krew.

Instykt mówił sierżant Kathy Mallory, że ma do czynienia z morderstwem. Co ciekawsze, zabójstwo to można było powiązać ze śmiercią pewnej kobiety pół wieku wcześniej...

(ur. 1947) – amerykańska malarzka i autorka powieści kryminalnych. Zadebiutowała w 1994 r. książką „Wyrocznia”, pierwszą z serii, w której główną bohaterką jest nowojorska policjantka Kathleen Mallory. Książki O’Connell tłumaczone były na wiele języków europejskich, m.in. holenderski, francuski, niemiecki, norweski i szwedzki. Mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

Cena 37 zł

ISBN 978-83-7648-511-9



9 788376 485119

 www.proszynski.pl

Patronat medialny



CAROL O'CONNELL

TRZY KUBKI

Przełożyła
Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału Shell Game
Copyright © 1999 by Carol O'Connell
All rights reserved
Projekt okładki
Sylvia Tymkiewicz
Zdjęcie na okładce © Matej Kmet'
Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka
Redakcja
Wiesława Karaczewska
Korekta
Katarzyna Szajowska
Łamanie
Ewa Wójcik
ISBN 978-83-7648-511-9
Warszawa 2010
Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa,
ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl
Druk i oprawa
ABEDIKS.A.
61-311 Poznań,
ul. Ługańska 1

*Dedykuję tę książkę pokoleniu miłośników jazzu
i zadymionych piwnic jazzowych, prostych chłopaków
z Nebraski w Paryżu, kobiet w mundurach i kobiet w sukniach
wyszywanych cekinami, czasom, kiedy bomby rozrywały się
w powietrzu, rozbrzmiewała muzyka Gershwina
i śpiew Billie Holiday, na całej ziemi wyrastały
szeregi nagrobków, a miasta rozsypywały się w gruzy,
oraz tym, którzy przeżyli.*

PROLOG

Starzec dotrzymywał mu kroku, a potem wysforował się do przodu w nagłym przyptywie energii i strachu - jakby bardziej kochał Louise. Mężczyzna i chłopak biegli w kierunku, skąd rozlegał się krzyk, przeciągły, piskliwy, bez przerw na oddech, nieludzki w swej uporczywości.

Malakhai obudził się, gwałtownie wymachując rękami i wierzgając nogami, w jednej chwili wrócił do realnego i niezmiennego świata swego łóżka i skotłowanej wilgotnej pościeli. Szybko wstał i w panujących ciemnościach wpadł na mały stolik; strącił na podłogę zegar, szklana tarcza roztrzaskała się, dzwonek umilkł.

Poczuł na gołych stopach podmuch zimnego powietrza, który otworzył drzwi. Z korytarza wpadło światło kinkietu, na podłodze sypialni pojawił się cień jego postaci. Mężczyzna obrócił się wolno, nie rozpoznając żadnych sprzętów. Na oparciu krzesła leżał długi czarny szlafrok. Dygocząc z zimna, wziął okrycie i zarzucił je sobie na ramiona niczym pelerynę.

Okno było lekko uchylone. Białe firanki powiewały jak zjawą, krople kapiące z rynny rozpryskiwały się, tworząc na parapecie małe kałuże. Zadarł głowę do góry. Czarna mucha krążyła wokół zgaszonych elektrycznych świec żyrandola.

Malakhai wypadł na korytarz i biegnąc, mijał drzwi do pokoiów, długi szlafrok płynął za nim w powietrzu. Wąski hol prowadził do obszernego i jasnego pomieszczenia. Występowało tu nadmierne bogactwo najróżniejszych faktur i kolorów. Odbierał je jak szkiełka mozaiki: blaszany sufit, zielone ściany lasu, grzbiety książek, żyłki marmuru, rzeźbiony, powyginany mahoń i kupony brokatu.

Dostrzegł lekkie poruszenie głowy w lustrze nad kominkiem. Wolno unióś prawą rękę, by osłonić oczy przed nieznośnym widokiem. Gapił się na pomarszczoną skórę uniesionej dłoni, nabrzmiałe żyły i brązowe, starcze plamy.

Owinął się ściślej szlafrokiem, jakby cienki jedwab mógł stanowić ochronę przed kolejnymi przykrymi odkryciami. Budzenie się ze snu zawsze było nieprzyjemne.

Ile życia z niego uleciało, ile komórek w jego mózgu umarło? W jakim stopniu niepamięć była tylko przemijającym następstwem ostatniego udaru? Malakhai odsunął aksamitną kotarę, by wyrzeć przez okno. Nie wiedział jeszcze, jaki to dzień ani nawet rok, ustalił jedynie, że jest noc u schyłku jego długiego życia.

Miał chyba jakiś powód, że nastawił budzik przy łóżku. Sam musi sobie przypomnieć, co go do tego skłoniło. Zwrócenie się do kogoś o pomoc uznałby za coś w rodzaju publicznej defekacji.

Z trudem wracał z przeszłości, z czasów, kiedy był dziewiętnastoletnim młodzieńcem, do teraźniejszości, do mężczyzny w dobrze zaawansowanym wieku. Przysunął się do lustra, by móc lepiej ocenić zmiany, jakie zaszły. Gęsta grzywa włosów posiwiiała. Zachował sprężystość ruchów, ale twarz miał poznaczoną zmarszczkami świadczącymi o długim i ciekawym życiu. Tylko oczy, o dziwo, pozostały takie same jak kiedyś, wciąż były stalowoniebieskie.

Czuł pod gołymi stopami miękki dywan. Tkanina zachowała żywe kolory, chociaż frędzle zdradzały sędziwy wiek kobierca.

Przypomniawszy sobie, że kupił go w sklepie z antykami. Serwantka z drewna różanego pochodziła z tego samego źródła. Znajdowała się na niej srebrna taca i kilka kryształowych karafek. Oswoiwszy się ze swoim obecnym wyglądem, Malakhai wziął jedną z nich i nalał sobie do kieliszka hiszpańskiego sherry.

Przed telewizorem stały dwa fotele. No tak, jeden dla żywych, jeden dla umarłych. Cóż, nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo od śmierci żony upłynął ponad rok.

Pokaźnych rozmiarów ekran telewizyjny stanowił najlepszą wskazówkę, które mamy teraz dziesięciolecie. Pamięć i choroba płały mu figle, rozpoczął swój bieg przez amfiladę pokoi w latach czterdziestych, by teraz rozsiąść się w miękkim fotelu pod koniec dwudziestego wieku, zadyszany podróżnik w czasie, szukający punktów orientacyjnych. Już był nie we Francji, lecz w zachodnim skrzydle prywatnej kliniki w północnym zakątku stanu Nowy Jork. Wkrótce sobie przypomni, dlaczego nastawił budzik.

Na oparciu fotela leżał pilot, czerwony punkcik jarzył się pod ciemnym szklanym ekranem. Naciśnięcie guzika i telewizor nagle ożył kalejdoskopem migających obrazów i przenikliwym, skrzekliwym głosem. Malakhai wyłączył dźwięk.

Miało się wydarzyć coś ważnego, ale co? Bezradnie zacisnął dłoń, z kieliszka wylało się kilka kropel sherry.

Była teraz obok niego, zawładnęła jego myślami, zalewała mu umysł ciepłą falą, świetnie go rozumiejąc. Drugi kieliszek stał na małym stolczku przed jej fotelem, kieliszek sherry dla Louisy - nadal spragnionej po tych wszystkich latach spoczywania w zimnej ziemi.

Na wielkim ekranie grupa starszych panów w smokingach zdejmowała cylindry przed kamerą. Za nimi majaczyła stara muszla koncertowa w Central Parku. Jej wysoki kamienny łuk ozdabiała

eleganckie gzymsy, a podtrzymywały kolumny z początków wieku. Sześciokątny wzór na wklęsłej ścianie stanowił odbicie rysunku, jaki tworzyły kamienne płyty na placu, gdzie stali widzowie, odgradzeni aksamitnymi sznurami. Nad głowami starych iluzjonistów powiewał transparent rozpięty w górnej części muszli, jaskrawoczerwone litery głosiły zbliżanie się Święta Iluzji na Manhattanie.

Pokaz przedpremierowy - ależ naturalnie.

A więc był listopad, a w przyszłym tygodniu, po Święcie Dziękczynienia, odbędzie się festiwal iluzji, w którym wystąpią emerytowani wykonawcy z dawnych lat obok przedstawicielei obecnego pokolenia, oślepiający publiczność światłami laserów. Poniżej postaci dziennikarza z mikrofonem przez całą szerokość ekranu biegł ruchomy napis informujący, że jest to relacja na żywo, bez żadnych trików fotograficznych. Kamery wszystko wiernie przekażą.

Malakhai się uśmiechnął. Telewizja obiecywała, że nie oszuka widzów, chociaż odwracanie uwagi leżało u podstaw sztuki iluzji.

Plac musiał być rzęsiście oświetlony, bo scena jest jasna jak w dzień. Na podwyższonej kamiennej posadzce muszli koncertowej dominowała wielka skrzynia z ciemnego drewna, sześcian o bokach długości trzech metrów. \ Malakhai dokładnie znał jego wymiary; wiele lat temu pomagał przy budowie oryginalnej konstrukcji, a to była wierna kopia. Trzynaście małych schodków prowadziło na podium. Po bokach szerokiego pierwszego stopnia umocowane były dwa postumenty, na których spoczywały kusze skierowane w górę, w stronę tarczy z białymi i czerwonymi koncentrycznymi elipsami. Kamera nie pokazywała kołeczków, na których tarcza była przymocowana do wysokich słupów, więc wyglądała, jakby unosiła się nad małym drewnianym podestem.

Pamięć wróciła mu niemal całkowicie. Oliver Tree miał dokonać triumfalnego powrotu na scenę, na której nigdy nie błyszczał. Malakhai nachylił się do pustego fotela Louisy.

- Czy poznajesz naszego Olivera pośród tych starszych panów?

Wskazał najmniejszą postać w szeregu, staruszka o rozradowanej twarzy chłopca, któremu pozwolono zostać do późna w noc z dorosłymi. Oliver miał tak krótko ostrzyżone włosy i brodę, że wyglądał, jakby porastało go białe futerko; przypominał sfatygowanego pluszowego misia.

- Gdzież on się podziewał przez te wszystkie lata? - Jeszcze mówiąc te słowa, Malakhai przypomniał sobie, że Oliver po przejściu na emeryturę poświęcił się próbie zgłębienia tajemnicy Zapomnianej Iluzji.

Podpórki dla kusz stanowiły ogromne, precyzyjne przekładnie, trzy zazębiające się mosiężne koła. Wkrótce z broni zostaną wystrzelone pociski w określonej kolejności, niczym bomby o opóźnionym zapłonem, uruchamiane przez mechanizm zegarowy. Spojrzenia wszystkich widzów były utkwione w owalnej tarczy. Kamera telewizyjna pokazała w zbliżeniu magazynek. Ten długi, wąski drewniany pojemnik miał pomieścić trzy strzały.

Na ekranie ukazali się dwaj umundurowani policjanci. Stali na podium, jeden przytrzymał w pionowej pozycji płócienny manekin, podczas gdy drugi przykuwał wypchane trocinami ręce do żelaznych obręczy. Potem obaj przyklęknęli na deskach, by przymocować żelazne kajdany do szeroko rozstawionych nóg. Teraz manekin był rozpięty na tarczy. Niżej, na estradzie muszli koncertowej, stał dziennikarz i mówił coś do mikrofonu, prawdopodobnie przedstawiał dzieje Zapomnianej Iluzji i jej dawno zmarłego twórcy, wielkiego Maksa Candle'a.

Malakhai nachylił głowę do fotela Louisy.

- Nigdy nie myślałem, że to właśnie Oliver rozpracuje tę zagadkę.

Rzeczywiście. Emerytowany terminator sztuki iluzji był kiedyś najzwyczajszym członkiem trupy, chłopcem przybyłym z samego serca Ameryki. Pozostawiony sam sobie w środku szalejącej w Europie wojny, po jej zakończeniu nie bardzo chciał jechać do domu, a więc dotarł tylko do Nowego Jorku. Może Paryż za bardzo go zepsuł, by pragnął wrócić na perie Środkowego Zachodu, gdzie przyszedł na świat.

Teraz Malakhai przypomniał sobie jeszcze coś. Dotknął oparcia fotela zmarłej kobiety i powiedział:

- Oliver kazał mi obiecać, że ci to pokażę. Chciał, żebyś go zobaczyła w godzinie jego największej chwały.

Kamera ukazała plac.

- W tym parku zgromadziły się tysiące ludzi. Kolejne miliony oglądają to w telewizji. Nikt z naszej paczki nie miał nigdy tak licznej widowni.

Oliver Tree przyćmił ich wszystkich.

Malakhai przypomniał sobie więcej, kiedy sięgnął po leżące na stoliku oficjalne zaproszenie na pokaz iluzji w Central Parku. Przeczytał tekst drukowany elegancką czcionką, a potem zwrócił się do nieobecnej kobiety:

- Dedykuje ten występ tobie, Louise

Reszta tekstu była nieco tajemnicza. Czyżby stanowiła zapowiedź przyszłych zdarzeń?

Malakhai spojrzął na ekran, akurat kiedy dwaj policjanci skończyli napinać cięciwy w kuszach. Przekładnie wprowadzono w ruch, mosiężne koła zębate zaczęły się wolno obracać. Sworzeń mechanizmu zegarowego podniósł się do najwyższego położenia i dotknął spustu kuszy. Pierwsza strzała pomknęła, leciała zbyt szybko, by ludzkie oko mogło śledzić jej tor. W następnej sekundzie z wypchanego

manekina zaczęły się sypać trociny, w miejscu gdzie metalowy grot rozdarł szyję. Wystrzeliła kolejna kusza i jeszcze jedna. Po wypuszczeniu wszystkich strzał szmaciany manekin był przygwożdżony do tarczy grotami, które przebiły mu szyję, obie nogi i klatkę piersiową w miejscu, gdzie człowiek ma serce.

Umundurowani policjanci wspięli się na szczyt platformy, rozkuli kajdany i manekin osunął się na deski. Wzięli go i trzymając między sobą, znieśli na dół. Trociny wysypywały się na schodki. Po raz drugi obeszli postumenty i napięli cięciwy, by kolejne strzały mogły opuścić magazynki.

Oliver Tree stał u podnóża schodów i wręczał cylinder drugiemu iluzjoniście. Następnie przywdział szkarłatną pelerynę i nasunął mni-si kaptur na siwe włosy. Wolno wspinał się po stopniach w kierunku tarczy, ciągnąc za sobą długi tren z szaty.

Kiedy starszy pan znalazł się na szczycie schodów, stanął plecami do tłumu i uniośł ręce. Peleryna zasłoniła całą owalną tarczę z wyjątkiem górnego fragmentu. Szkarłatny jedwab mienił się i błyszczał w świetle reflektorów. Po chwili peleryna opadła na drewnianą podłogę. W tym samym momencie ukazał się Oliver, jakby się nagle zmateralizował, znajdował się twarzą do widzów, rozpięty na tarczy, przykuty łańcuchami za rękę i nogę, sam stanowiąc cel dla czterech kusz. Zębatki wszystkich postumentów wprowadzono w ruch. Wkrótce poszybują strzały.

Malakhai klasnęła w dłonie. Do tej pory wszystko szło jak w zegarku. Gdyby był włączony dźwięk, usłyszałyby pierwszy okrzyk aplauzu publiczności zgromadzonej na placu. Oliver Tree zestarzał się, czekając na tę chwilę. Iluzjonista gwałtownie przekręcił głowę na bok - w złą stronę - kiedy zębatki pierwszego postumentu zatrzymały się i kusza wypuściła strzałę. Twarz Olivera wykrzywiła się z bólu. Na białej muszce i kołnierzyku pojawiła się krew. Usta

poruszały się gorączkowo, niewątpliwie błagając oprawców, by powstrzymali resztę kusz przed wypuszczeniem strzał, które go zabiją. Wołanie Olivera o pomoc zostało zignorowane przez policjantów i dziennikarza. Najwidoczniej poinformowano ich, że wielki Max Candle wypowiadał te same słowa podczas każdego swojego występu - tuż przed śmiercią w kolejnych spektaklach.

Pomknęła kolejna strzała, i jeszcze jedna. Kiedy Oliver krzychał z bólu, młody dziennikarz uśmiechał się szeroko do kamery, być może nie rozumiejąc, że starszy pan, znajdujący się wysoko nad nim na podium, jest śmiertelnie ranny. Przypuszczalnie to uśmiechnięte dziecko ery telewizji nie zdawało sobie sprawy z tego, że krew nie zawsze jest sztuczna, że strzały, które trafiły w nogi starca, są jak najbardziej prawdziwe.

Tłum gapił się oniemiały. Chociaż widzowie nie znali się na sztuce iluzji, potrafili rozpoznać śmierć, kiedy ją ujrzeli, gdy nadeszła wraz z ostatnią strzałą, przebijającą serce Olivera. Starszy pan przestał krzyczeć. Zwisł bezwładnie, już nie walczył. Oczy miał nieruchome, szeroko otwarte, przepełnione grozą.

Malakhai wiele razy zetknął się ze śmiercią. Wiedział, że nigdy nie przychodzi w jednej chwili. Może przez moment Oliver widział, jak kilka osób w tłumie kieruje się w stronę podium, by pośpieszyć na ratunek, jakby mogli jakoś pomóc.

Dziennikarz śmiał się i odpędzał idących z odsieczą, krzychał i gestykulował, niewątpliwie zapewniając ich, że śmierć stanowi nieodłączny element pokazu, jest efektem specjalnym, wymyślonym właśnie dla dostarczenia im dawki emocji. Potem spojrział w górę na skute łańcuchami zwłoki i profesjonalny uśmiech zniknął z jego twarzy. Może uświadomił sobie, że w tym wypadku nie chodzi o trik filmowy.

Tak wyglądała prawdziwa śmierć.

Policjanci, bardziej z nią oswojeni, już dotarli na szczyt schodów. Uwolnili Olivera z łańcuchów i ostrożnie ułożyli go na deskach podwyższenia. Kobiety zasłaniały oczy dzieciom. Kamerzysta zignorował reportera, gorączkowo wymachującego rękami, dającego mu znaki, by przestał filmować. Obiektywy były tak rozkochane w swoim bohaterze, że robiły kolejne zbliżenia, pokazywały przerażoną twarz martwego iluzjonisty i jego prawdziwą krew.

Kieliszek Louisy spadł na podłogę, ciemnoczerwony płyn rozlał się na wzorzystym dywanie.

Dłonie Malakhaia uniosły się bezwiednie. Wymagało sporego wysiłku woli, by nie dopuścić do ich zetknięcia, by odgłos braw nie spłoszył Louisy. Jego usta rozchyliły się szeroko w bezgłośnym okrzyku, jakby parodiował Olivera, któremu odebrał głos, zanim jeszcze jego życie dobiegło kresu. Po chwili dłonie Malakhaia zdoczyły się, mężczyzna klaskał głośno, raz za razem, jak oszalały, a łzy toczyły mu się po policzkach i docierały do rozchylonych ust ciepłymi słonymi strużkami.

Cóż za niezwykły wyczyn - zamordować człowieka na oczach milionów widzów.

ROZDZIAŁ 1

Czasem się zastanawiał, dlaczego maluchy nie płaczą na widok tych potworów - olbrzymiego niebieskiego jeża, ogromnego tłustego robala, kota wielkości budynku. Były tu też dziwaczniejsze stworzenia, których sierżant Riker nawet nie potrafił zidentyfikować.

Rano panowało przejmujące zimno. Wszystkie dzieci były opatulone w wełniane szaliki i puchowe palta. Wydawały ciche okrzyki „och” i „ach”, kiedy z bocznej ulicy wyłonił się kot w pięciometrowej muszce. W jego wysokim cylindrze zmieściłaby się winiarnia. Uśmiechnięty balon wypełniony helem połączono z ziemią długimi linami, trzymanymi przez maszerujące ludziki. Wiał silny wiatr, wielki, majaczący w górze kot ciągnął za sobą tych, którzy ściskali w dłoniach liny, i właściwie nie wiadomo było, kto kim kieruje.

Balon znalazł się w korowodzie między dwiema naziemnymi atrakcjami - wozem osadników, zaprzężonym w czwórkę najprawdziwszych koni, i ciągniętą przez samochód platformą, na której umieszczono największego na świecie dwunożnego fistaszka. Inne szalenie wymyślne platformy stały na 85 Ulicy. Czekały na znak, by ruszyć na zmianę z wypełnionymi helem olbrzymami, obciążonymi workami z piaskiem i ukrytymi w bocznych ulicach po obu stronach Muzeum Przyrody.

Pomalowane na niebiesko drewniane kozły odgradzały tłumy widzów zgromadzonych wzdłuż Central Park West. W połowie trasy pochodu można było zliczyć do pięćdziesięciu rzędów widzów, a jeszcze większy ścisk panował na Herald Square, gdzie artyści z Broadwayu stepowali z zapalem, by nie zmarznąć na kość. Ale tutaj, w rejonie , Upper West Side, gdzie to wszystko miało swój początek, widzowie tworzyli tylko szeroką wstęgę wzdłuż bulwaru po tej stronie, gdzie ciągnął się park.

Policjant przycupnął na brzegu platformy iluzjonistów, dyndał nogami, siedząc na szerokim rondzie cylindra, w sam raz nadającego się dla King Konga. Owinął się szczelniej płaszczem przed silnym wiatrem. Riker miał najlepszy widok w całym mieście na paradę z okazji Święta Dziękczynienia, organizowaną przez dom handlowy Macy, a zawdzięczał to swojej koleżance z pracy. Odwrócił się do młodej blondynki w okularach przeciwsłonecznych.

- Mallory, powiedz mi jeszcze raz, co ja właściwie tutaj robię?

- Zarabiasz na świąteczny obiad u Charlesa. - Sierżant Mallory zsunęła ciemne okulary z nosa, by zmierzyć go wzrokiem, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że dziś rano nie dopuszcza myśli o żadnym buncie. Umowa rzecz święta.

W jej dużych skośnych, błyszczących w słońcu oczach paliły się przewrotne, zimne, zielone ogniki. Riker stwierdził, że ta wyróżniająca ją cecha jest u dorosłej kobiety trochę mniej deprymująca. Jako mała dziewczynka Mallory wywoływała u ludzi lęk.

Ale przecież nadal budzi w ludziach lęk, czyż nie?

No cóż, prawdę mówiąc, Kathy Mallory była teraz wyższa, mierzyła metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, i nosiła broń. Piętnaście lat temu to dziecko ulicy udało się domyć już po jednej kąpieli, mlecznobiała cera ostro kontrastowała z odętymi czerwonymi usteczkami.

Ale i wtedy delikatne rysy dziecięcej buzi były wprost stworzone dla pełnych dramatyizmu światłocieni.

Dziś rano miała na sobie długi trenecz z czarnej skóry. Był zbyt cienki, by stanowić wystarczającą osłonę przed zimnem, ale kobieta wyglądała, jakby nie czuła przejmującego chłodu. A to dobrze pasowało do teorii Rikera, że pochodziła z jakiejś innej planety, mrocznej i zimnej, najbardziej oddalonej od słońca.

- Mallory, tracimy tylko czas. Nawet Charles uważa, że to był wypadek. Spytaj go. Ja to zrobiłem. - Wiedział, że Kathy nigdy nie zapyta. Mallory nie lubiła, kiedy ktoś kwestionował jej zdanie. Jednak pozostałe osiem milionów nowojorczyków uwierzyło, że Oliver Tree zginął, ponieważ nie udało się sztuczka magiczna.

Odwrócił się, by spojrzeć na ogromną talię kart do gry, zatkniętą za olbrzymią metalową wstążkę przy kapeluszu. Między asem a dwójką była karta przedstawiająca wielkiego, zmarłego przed trzydziestu laty Maksa Candle'a. Trzy metry nad rondem cylindra stał młodszy kuzyn nieżyjącego iluzjonisty razem z dwójką mężczyzn w pelerynach z czerwonego ałtasu i czarnych smokingach. Charles Butler, mierzący metr dziewięćdziesiąt trzy bez butów i nakrycia głowy, też był swego rodzaju wielkoludem na wysokim, okrągłym podium.

Wprawdzie Charles nie był prawdziwym iluzjonistą, ale wszyscy wiedzieli, dlaczego go zaproszono do udziału w paradzie. Zawdzięczał to uderzającemu podobieństwu do swego sławnego kuzyna. Czterdziestoletni Charles był prawie w wieku mężczyzny przedstawionego na zdjęciu. Jego oczy miały ten sam odcień błękitu, jego włosy były również jasnobrązowe, tej samej długości, nawet kręciły się poniżej linii kołnierzyka w identyczny sposób. Obaj mężczyźni mieli też identyczne zmysłowe usta. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Zmarły Max Candle był przystojnym mężczyzną. Twarz

Charlesa bardziej przypominała karykaturę, długi, haczykowany nos przywodził na myśl ptasi dziób. Miał oczy wyłupiaste jak u żaby i ciężkie powieki, małe tęczówki ginęły w morzu białek. Max Candle wyróżniał się olśniewającym uśmiechem. Jego młodszy kuzyn uśmiechał się jak półgłówek, ale tak czarujący półgłówek, że ludzie nie mogli się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć na jego widok.

Charles Butler był Maksem Candle'em w krzywym zwierciadle.

Teraz Riker dostrzegł własne odbicie w szerokiej metalowej wstążce przy kapeluszu. Gapił się na swoją nieogoloną twarz i przekrwione oczy. Siwe kosmyki włosów wysunęły mu się spod runda starego filcowego kapelusza. Miał na sobie prezent urodzinowy od Mallory, najelegantszy płaszcz tweedowy, jaki kiedykolwiek posiadał, szyty na miarę przez krawca ubierającego milionerów - co tłumaczyło, dlaczego on sam wyglądał jak bezdomny włóczęga w skradzionym ubraniu.

Odwrócił się do swej koleżanki, zamierzając ponownie podziękować jej za ten cudowny przydziewek, powiedzieć coś sentymentalnego i głupiego.

Tylko nie to.

- Tym razem, mała, naprawdę nie trafiłaś. - Gdyby sobie pozwolił na sentymenty, straciłby zbyt wiele punktów.

- Nie wiesz, czy nie było to morderstwo - powiedziała Mallory.

Owszem, wiedział.

- Wierzę w raport policjanta z West Side. Stoi w nim czarno na białym, że zawiódł mechanizm. Kusze wystrzeliły, tak jak miały wystrzelić. Staruszek zwyczajnie sfuszerował robotę.

Odwróciła się od niego, bo to były herezje i nie zamierzała dłużej ich słuchać.

Riker wyciągnął szyję, by spojrzeć na okrągłe podium. Charles Butler żonglował pięcioma czerwonymi piłeczkami. Pozostali iluzjoniści wyczarowywali ptaki i bukiety kwiatów, które pojawiały się i znikwały ku uciesze widzów zgromadzonych na chodnikach. Charles najwyraźniej świetnie się bawił, amator wśród najszlachetniejszych iluzjonistów w dziejach, chociaż należeli do innej epoki, bo jego towarzysze zaliczali się do pokolenia wojennego.

Riker znów odwrócił się do Mallory. Utkwiła wzrok w tłumie, wypatrując pierwszej osoby, która dopuści się jakiegoś przestępstwa.

- Cóż, mała, może Oliver Tree pragnął śmierci.

- Nie wiadomo - powiedziała Mallory. - Ale większość samobójców przedkłada bezbolesną śmierć nad cztery ostre groty strzał.

Członkowie szkolnej orkiestry przygotowywali na chodniku swoje instrumenty. Puzonista niemal pozbawił głowy pewnego pieszego, kiedy odwrócił się gwałtownie, zapominając o ludzkiej ciźbie napierającej na niego. Waltornie i tuba prowadziły wojnę z klarnetem, a dobosz pogrążył się w swoim własnym świecie, znudzony i zdecydowany wyprowadzać z równowagi każdego, kto się znajdzie na tyle blisko, by słyszeć jego bęben.

Przeklęte dzieciaki.

Grupa dziewcząt w wyszywanych cekinami strojach przeszła obok platformy iluzjonistów, wymachując batutami. Dwie ślicznotki pomachały Rikerowi, sprawiając, że zmienił wcześniejszą opinię o nastolatkach. Za nimi inny olbrzym dołączył do korowodu. Riker uśmiechnął się na widok puciołowatego strażaka. Pamiętał ten balon z czasów, kiedy jako pięcioletni brzdąc oglądał paradę, siedząc na barana na ojcowskich ramionach. Pół wieku później dużo nowych postaci wyparło jego ulubieńców, zmuszając ich do przejścia na

emeryturę. Ale teraz kolejny stary znajomy stał w kolejce w bocznej uliczce.

Przez pajęczynę nagich gałęzi drzew ujrzał olbrzymi balon, wyobrażający Leśnego Dziecioła, unoszący się tuż nad chodnikiem. Balon rozpostarł wielkie ręce i nogi, jedną dłonią w białej rękawiczce zasłaniał samochód. Wszyscy, którzy nieśli figurę, byli przebrani za dziecioły, ale przypominali krzątające się niebieskie mrówki z rudymi włosami, w żółtych butach, kiedy ściągali siatki i usuwali worki z piaskiem, krępujące ramiona i nogi ptaka.

- Ej, Mallory, to Dziecioł, twój ulubieniec. Pamiętasz go?

Teraz miała znudzoną minę, ale kiedy była dzieckiem, właśnie ten balon sprawił, że z zachwyty oczy omal jej nie wyszły z orbit.

- Nigdy mi się nie podobał - zaprzeczyła.

- Kłamczucha. - Riker miał dowód, wyraźne wspomnienia identycznej parady sprzed piętnastu lat, kiedy wolno mu jeszcze było zwracać się do niej „Kathy”. Dziesięcioletnia dziewczynka stała obok niego w zimny listopadowy dzień. Przypominała jasnowłosego żółwia na dwóch nogach, bo Helen Markowitz okutała swoją przybraną córkę w swetry, wełniane szaliki i gruby puchowy płaszcz.

Właśnie tamtego dnia musieli na siłę odwrócić uwagę małej Kathy Mallory od olbrzymiego dziecioła, olśniewającego swymi rudymi, gumowymi włosami i wspaniałym żółtym dziobem.

Riker uniósł wzrok, by popatrzeć, jak ludzie puszczają liny i balon unosi się w powietrze. W końcu potężny ptak długości dwudziestu metrów zawisł nad tłumem, przesłaniając sobą spory fragment błękitnego nieba. Gdyby zechciał, mógłby zajrzeć przez okna do sal na najwyższych piętrach muzeum, a nawet obejrzeć dach budynku.

- Ubóstwiałaś ten balon - nie poddawał się Riker.

Mallory udała, że nie słyszy.

Spojrzał na swoje zdarte buty i opuścił rondo kapelusza, by osłonić się przed ostrym porannym słońcem. Czuł, jak z wolna ogarnia go melancholia. Wspomnienia zawsze przynosiły ze sobą świeżą falę bólu. Brakowało mu dawnych przyjaciół. Kochana Helena zmarła zbyt wcześnie, zbyt młodo. A niebawem obok żony pochowano inspektora Louisa Markowitza.

Osobiście Riker nie wierzył, że Lou Markowitz udał się na wieczny spoczynek, prawdopodobnie wciąż znajduje się w stanie największego napięcia. Czasem niemal czuł ducha staruszka, krążącego w pobliżu Mallory, drżącego z obawy, że jego przybrana córka znów stanie się dzikuską biegającą bez nadzoru ulicami miasta.

Właściwie niewiele się zmieniła.

Leśny Dzięcioł majestatycznie żeglował wzdłuż Central Park West, przy nim każde drzewo i wieżowiec na bulwarze wydawały się niepozorne, a Riker wspominał pierwszy pochód, który oglądała Kathy Mallory. Dzielnie zgłosił się wtedy na ochotnika do pilnowania brzdąca - jak w policyjnym żargonie nazywali dziewczynkę - żeby Helen i Lou mogli przywitać się ze starymi znajomymi spotkanymi w tłumie. Podczas pierwszego roku pobytu w rodzinie zastępczej Kathy nie można było przedstawiać Bogu ducha winnym ludziom, bo jeszcze straciliby rękę, głaszcząc ją po główce. Dobrze się złożyło, że Helen tak opatuliła dziecko, gdyż to ograniczyło Kathy swobodę ruchów i spętało jej małe rączki. Tamtego dnia Riker bez trudu przyłapał ją, jak wyciągała portmonetkę z torebki jakiejś kobiety. Zapominając, z kim ma do czynienia, pochylił się, by upomnieć Kathy tonem zarezerwowanym dla małych dzieci - prawdziwych dzieci.

- Kathy, wiesz, że tak nie wolno. Dlaczego to zrobiłaś?

Dziewczynka spojrzała na niego z niedowierzaniem, w jej szeroko otwartych oczach można było wyraźnie wyczytać: „Ponieważ kradzież to moje zwykłe zajęcie, ty kretynie”. To wydarzenie nadało ton ich stosunkom na długie lata.

Wolno potrząsnął głową. Lou Markowitz musiał doznać szoku, kiedy jego przybrana córka rzuciła studia w Barnard College, by wstąpić do policji. Teraz Riker patrzył na wspaniałą płaszcz, podarowany przez nią, który miał zastąpić stary wytarty łach, bardziej odpowiadający jego zarobkom - i jej.

Odwrócił się do Mallory, by ją jeszcze pogiębić.

- W gazetach piszą, że staruszek nie był nawet prawdziwym iluzjonistą. Był nikim, stolarzem z Brooklynu. Może Oliver Tree nie wiedział, jak...

- Charles mówi, że staruszek występował z Maksem Candle'em. Więc przypuszczam, że wiedział, co robi. - Odwróciła się tyłem do niego, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że już podjęła decyzję; dalsza rozmowa mijała się z celem.

Więc, naturalnie, Riker ciągnął wątek:

- Facet był po siedemdziesiątce. Nie pomyślałaś, że mógł źle wyliczyć czas?

- Nie. - Wyraźnie się zaperzyła. Dobrze.

- Znasz się na sztuczkach magicznych?

- To jedno wielkie oszukaństwo - oznajmiła. - Ich pokazywanie nie wiąże się z najmniejszym ryzykiem. Oliver nie miał prawa zgiąć.

Czy odęła usta? Tak. Coraz lepiej.

- Żadnego ryzyka, tak? Nigdy? Na pewno nie powiedział ci tego Charles. - Młodszy kuzyn Maksa Candle'a znał masę trików iluzjonistycznych. - Nigdy go nawet nie zapytałaś, prawda, Mallory?

Ależ naturalnie, że go nie spytałaś. Pochylił się niżej, by przedstawić kolejny argument:

- Wzięłaś pod uwagę podeszły wiek? Przypuśćmy, że staruszek...

- Brak najmniejszej wzmianki, by cierpiał na jakieś starcze dolegliwości. - Odwróciła się do niego plecami, jakby w ten sposób chciała go pozbawić ostatniego słowa w dyskusji.

Nie uda jej się to.

Riker gotów był się założyć o swoją emeryturę, że nigdy nie widziała karty z historią chorób staruszka. Wiedział, że nawet nie przeczytała raportu z opisem wypadku. Mallory lubiła kierować się instynktem i całkowicie na nim polegała.

Teraz zrozumiał, jaką rolę miał odegrać w planach Kathy. Potrzebny był jej dzisiaj jedynie, by mogła dać popis siły. Zamierzała uczynić ze świątecznego przyjęcia u Charlesa przesłuchanie starszych iluzjonistów - świadków przekłętego wypadku.

- Nadal twierdzą, że to nie w porządku, mała. Nie możesz angażować ludzi w tę sprawę. Nie kiedy policja nowojorska ma tyle innych trupów na głowie.

Mallory go nie słyszała, tak jak nie słyszała fałszującej orkiestry, która grała głośno, ale nierówno. Wpatrywała się w twarze gapiów.

Riker podniósł ręce.

- Dobra, załóżmy, że to zabójstwo. Jak zamierzasz odszukać mordercę podczas parady? - To było niemożliwe i wiedział o tym. Improwizowała w trakcie przedstawiania mu całej historii.

- Mój sprawca lubuje się w spektaklach. - Mallory odwróciła się przodem do niego, nagle wyraźnie ożywiona. - Zabił człowieka podczas występu relacjonowanego przez lokalną telewizję. Ta parada jest transmitowana na cały kraj. Jeśli zamierza znów zabić, zrobi to dzisiaj.

Jej sprawca? Wybiegła już naprzód, do chwili kiedy zgromadzi dowody.

- Mallory, zanim założymy, że jakieś zabójstwa są dokonywane według określonego schematu, większość z nas czeka, póki nie będzie miała w zanadru przynajmniej dwóch podobnych.

- Przypuśćmy, że kolejną ofiarą ma być Charles.

Dobry punkt wyjścia, chociaż wszystko trochę zanadto naciągane. Była na tyle cwana, by nakłonić go do podjęcia się roli anioła stróża po godzinach pracy. Porucznik Coffey nigdy nie kupiłby tej bajeczki ani nie dałby Mallory złamanego centa z funduszu specjalnego. A ona nigdy nie wybaczyłaby porucznikowi, że ją wyśmiał. Mallory nie znosiła drwin w żadnej formie.

Przecież to zupełnie zwariowany pomysł. A jak na wytrawnego kłamcę dość kiepski. Ale doszedł do wniosku, że tylko wzięła sobie wolny dzień.

Jednak zazwyczaj instynkt nie mylił Mallory. Może nie chodzi o całkowicie niedorzeczny pomysł. Musiał się zastanowić, dlaczego Oliver Tree aż tak zaryzykował. Śmiałe popisy kaskaderskie to zajęcie raczej dla młodych. Może Mallory ma rację. Ktoś majstrował przy skomplikowanej aparaturze iluzjonistycznej. Chociaż sztuczka była bardzo stara, tylko jeden od dawna nieżyjący iluzjonista wiedział, na czym ona polega. Według Charlesa Butlera, dlatego nazywano ją Zapomnianą Iluzją Maksa Candle'a.

Balon w kształcie olbrzymiego lodu w waflu wpadł na ostrą gałąź drzewa i uleciał z niego gaz, czemu wtórowały okrzyki zblazowanych nowojorskich dzieci.

Teraz Riker zrozumiał, dlaczego Mallory nie poprosiła o akta dotyczące nieszczęśliwego wypadku. Nie chciała podważać wyników pracy innego policjanta, póki nie miała czegoś konkretnego. A więc w końcu nauczyła się lojalnie postępować wobec kolegów. Cóż, to

pewien postęp, przełom, i zasłużyła na pochwałę. Obiecał sobie, że nie będzie jej więcej gnębił.

- Nadal twierdzę, że to był wypadek - powiedział, tylko trochę ją denerwując.

O cholera.

Mallory wypatrzyła kogoś w tłumie. Wodziła za nim oczami jak kot, który od wielu dni nie dostał nic do jedzenia.

Ale dlaczego?

Ten chłystek na chodniku był ubrany identycznie jak mężczyźni na podium w kształcie cylindra. Samotny iluzjonista nie wydawał się w tych okolicznościach zupełnie nie na miejscu, nie był nawet w połowie tak podejrzany jak chodzący na szczudłach i spacerowicze przebrani za banany.

Mallory przygwoździła swego podejrzanego wzrokiem. Czy z tej odległości chłopak widział, że miała napięte wszystkie mięśnie, jak-by szykowała się do skoku? Młody iluzjonista wmieszał się w tłum przechodniów; Riker odetchnął z ulgą. Mallory wstała, by móc lepiej śledzić swoją myszkę.

Funkcjonariusze i funkcjonariuszki policji konnej dołączyli do pochodu. Dosiadali siódemki jadących truchtem koni. Policjanci prezentowali się okazale w hełmach, czarnych skórzanych kurtkach i butach z cholewami. Trzymali drzewce z rozwiniętymi sztandarami przedstawiającymi policyjne emblematy. Kiedy ściągali cugle wierzchowcom kroczącym równym szeregiem w poprzek bulwaru, flagi łopotały i powiewały na wietrze, a z końskich nozdrzy unosiły się białe obłoczki pary.

Jakiś kierowca kamikaze ruszył wózkiem golfowym w sam środek tego zwarteo szeregu, może przekonany, że konie rozstąpią się przed nim. Nie zrobiły tego. Kierowca nacisnął na hamulec pół metra

przed nogami ogiera. Riker się skrzywił, kiedy zarozumiały głupiec za kierownicą podniósł się. Wypinając pierś, w kurtce, jakie nosiła obsługa parady, dał znak ręką, polecając jeźdźcom, by zeszli mu z drogi.

Policjanci na koniach, w ciemnych okularach na nosach, zwrócili głowy mniej więcej w kierunku cywila i jego wózka golfowego. Nie spoglądali prosto na niego i sprawiali wrażenie tylko lekko zainteresowanych. Wszyscy siedzieli nieruchomo w siodłach. Potężne drewniane pałki zwisały im u boków, a groźniejsza broń spoczywała w kaburach. Następnie kawalerzyści zwrócili twarze w kierunku nieba. Gliniarze słuchają rozkazów wyłącznie gliniarzy. Ich niewypowiedziane przesłanie było oczywiste: jeśli cię zauważymy, będziemy musieli cię zabić, jasne?

Wózek golfowy najechał na krawężnik, kiedy mężczyzna pośpiesznie próbował ich ominąć.

Malutkie elfy Świętego Mikołaja, ze spiczastymi uszami i w długich czerwonych czapczkach, zebrały się wokół policji konnej, dzieci wyciągały rączki, by poklepać wierzchowce. W pobliżu kamerzyści przygotowywali się do pokazania platformy w kształcie cylindra, konkurując z kamerami wideo w rękach zgromadzonej publiczności. Kamera dziennika telewizyjnego była wycelowana w narożnik muzeum, gdzie wiatr porwał kolejny balon, ciągnąc za nim tych, którzy próbowali go utrzymać.

W budynku mieszkalnym przy 81 Ulicy dzieci wychylały się z okien, piszcząc i machając do olbrzymiego pieska, rozpoznawszy bohatera swej ulubionej kreskówki. Nawet elfy przestały poklepywać konie i zaczęły podskakiwać, wskazywać rączkami, krzyczeć i machać do balonu, płynącego nad nimi i rzucającego cień wielki jak namiot cyrkowy. Piesek był wspaniały, w porównaniu z nim wszystkie żywe istoty na ziemi przestawały się liczyć. Riker przypuszczał, że obroża psa musiała mieć z dziesięć metrów szerokości. Ogon był

długości trzech limuzyn, merdał na wietrze i dotykał okna na dziesiątym piętrze.

Pobliska grupka dwunożnych zabawek na choinkę to też musiały być poprzebierane dzieci, bo spłoszyły konie, kręcąc się jak oszalałe i podskakując z przejęcia. Piski dzieciaków mieszały się z kocią muzyką dwóch orkiestr, Mallory jednak ani na moment nie spuszczała wzroku ze swojego podejrzanego w stroju iluzjonisty. Chłopak wycofał się za niebieską barierkę na chodniku i stanął obok znajomej postaci mniej więcej w wieku Rikera.

Riker pomachał lekarzowi sądowemu, stojącemu z żoną i córką. Mężczyzna też mu pomachał i zostawiwszy rodzinę, przeszedł pod barierką.

- Dzień dobry, Riker. - Doktor Slope, idąc w kierunku platformy, zachowywał się jak generał o kamiennej twarzy. - Kathy! - zawołał, ryzykując kulkę za zwrócenie się do niej po imieniu w obecności innych gliniarzy. - Jutro wieczorem organizujemy partyjkę pokera u rabina Kaplana. Możesz przyjść?

Mallory odwróciła twarz od swego podejrzanego, by spojrzeć na lekarza sądowego.

- Czy nadal gracie o głupie grosiki?

Doktor Slope nigdy nie przepuścił okazji.

- A ty wciąż chowasz karty?

- Nigdy tego nie robiłam - oświadczyła Mallory.

- Nigdy cię na tym nie przyłapaliśmy - poprawił ją doktor Slope. Odwrócił się z wesołą miną do Rikera. - Miała trzynaście lat, kiedy ostatni raz z nami grała.

Riker się uśmiechnął.

- Słyszałem o małym czerwonym wozie, który kupił jej Markowitz, żeby miała jak zabierać do domu wszystkie wygrane.

Doktor Slope udał, że nagle ogłuchł, i znów zwrócił się do Mallory:

- Rabinowi Kaplanowi bardzo zależy na twojej obecności. Zaczynamy punktualnie o ósmej. Czy mogę mu powiedzieć, że przyjdiesz?

- Nie gram w żadne gry o idiotycznych nazwach czy z dzikimi kartami - przypomniała mu Mallory. - Uznaję tylko pokera.

- Dobra - powiedział doktor Slope.

Wiatr porwał nadmuchanego psa i oddział trzymających go pobiegł za nim, malutkie ludziki wielkości mrówek ścisnęły smycze, próbując powstrzymać wielkie swawolne zwierzę i nakłonić je do posłuszeństwa. Wiatr szarpał psem, sprawiając, że przypominał prawdziwego szczeniaka. Wielkie łapy sterczały mu na zewnątrz niczym podczas zwariowanego galopu. Jaskrawoczerwony język zwisał nisko, oczy były wybałuszone, a wielka mordą wykrzywiona w radosnym uśmiechu.

Na podium na platformie w kształcie cylindra jeden ze starszych iluzjonistów przyklęknął i wyciągnął dłoń do dziecka, rzucając żółtą piłeczkę, która niespodziewanie pojawiła się w jego rękach.

Riker i kamerzyści akurat obserwowali nadmuchiwanego psa, kiedy strzała trafiła w olbrzymi cylinder i aż zadrżała, z taką siłą wbiła się w cel. Metalowy grot przyszpilił starszego mężczyznę za poję smokinga.

Kusza zniknęła pod czerwoną peleryną samotnego iluzjonisty w tłumie. A więc chłopak podkraść się bliżej, gdy byli zajęci rozmową z doktorem Slope'em.

W następnej sekundzie Mallory zsunęła się na ziemię i ruszyła za nim w pogoń.

Riker zeskoczył z platformy, aż mu zatrzeszczały kości przy odbiciu od twardego bruku. Zaczął biec, nie mając nadziei, że dogoni młodszą koleżankę. Śledził Mallory i uciekającego przed nią chłystka, obserwując jednocześnie szarpnięcia lin balonów trzymanyh przez ludzi, roztrącanych jak kręgle.

Rozległ się huk strzału z broni palnej.

Co, u diabła?

Żołądek podszedł mu do gardła. Poczł przyptłw adrenaliny i przyśpieszył. Co Mallory sobie myśli? Przecież wie, że nie wolno używać broni w tłumie. Nawet kula wystrzelona w górę może zabić kogoś Bogu ducha winnego, spadając na ziemię z wystarczającą szybkością, by przebić ludzką czaszkę.

Jezu, tyle tu małych dzieci.

Serce waliło Rikerowi w piersiach jak młot, płuca go paliły. Zwolnił, by złapać nieco tchu, i zobaczył w tłumie kilku przyjezdnych, matki trochę mocniej ścisnęły dzieci za ręce. Prawdziwi nowojorczyacy nawet nie mrugnęli powieką na odgłos wystrzału. Już o nim zapomnieli, wyparła go hałaśliwa muzyka kolejnej szkolnej orkiestry dętej. Malutcy, piszczący wielbiciele monstrualnego psa skandowali: „Goldy, Goldy, Goldy”.

Kiedy dogonił swoją koleżankę, siedziała okrakiem na iluzjonistycznym kuszniku, zakuwając mu wykręcone ręce w kajdanki. Kusza leżała na chodniku, niegroźna bez strzały. Poły rozpiętego płaszcza policjantki powiewały na wietrze, Riker zobaczył, że zdążyła już schować rewolwer do kabury. A więc przecucie jej nie myliło. Ale drogo zapłaci za użycie broni. Jeszcze jedno nie dawało mu spokoju.

Coś nie pasuje do tego obrazka, ale co?

Policyjny pościg stanowił dodatkowe urozmaicenie głównej imprezy. Każdy gliniarz na ulicy miał zapewnioną wierną widownię. Więc Rikerowi wydało się dziwne, że tłumy gapiły się w górę, a nie w dół.

- Spójrzcie na pieska! - krzyknął pięcioletni chłopczyk, stojący na chodniku, i Riker posłusznie odszukał wzrokiem złoty balon na niebie. Z ogona potwora ulatywało powietrze, zwiślał smętnie i bezwładnie między tylnymi łapami. Potężne cielsko przechyliło się na jedną stronę, opierając się o granitową ścianę budynku mieszkalnego.

Malutkie ludziki uciekały z balkonów do środka, jakby w obawie przed atakiem, i Riker pomyślał, że właśnie tak to wygląda. Ten żywy obraz miał wszelkie cechy sceny z dobrego filmu grozy.

W ostatnim akcie jedna poharatana gumowa łąpa wyciągnęła się w stronę balkonu, a potem bezwładnie opadła na górne gałęzie drzewa. Wielki łeb psiaka dotknął kamiennej fasady na wysokości dwunastego piętra, po czym zaczął się zsuwać w dół. Nadmuchiwane zwierzę konało.

Pięciolatek wskazał palcem na Mallory.

- To ona zrobiła. Ta pani z dużym rewolwerem. Zastrzeliła Goldy'ego. Zabiła go!

Mallory gniewnie spojrzała na chłopczyka i Riker miał okazję przez mgnienie oka znów ujrzeć przed sobą dziesięcioletnią Kathy, jaką niegdyś znał. Z jej twarzy można było wyczytać gorące zaprzeczenie: „To nie ja!”. Chłopczyk na chodniku roztropnie zrezygnował z dalszej dyskusji i schował się za matkę.

Policjant na koniu przygalo pował do Mallory i zatrzymanego przez nią wyrostka. Gliniarz się uśmiechał, ściągając wierzchowcowi cugle. Wskazał zniszczony balon.

- Dobra robota, koleżanko.

Ludzie przestali trzymać liny, tylko rzucili się do ucieczki, by znaleźć się jak najdalej od wielkiego psiaka tracącego hel i wysokość.

- Cóż, Mallory - powiedział gliniarz na koniu - nigdy nie udało mi się zabić czegoś tak dużego.

Riker podszedł do policjanta i wykorzystał fakt, że jest starszy stopniem.

- Zamknij się, Henderson. To rozkaz. Zmykaj stąd, zanim zastrzeli twój przeklęty konia.

- Nie zrobiłam tego - powiedziała Mallory do odwróconego tyłem Rikera.

Można było przewidzieć, że będzie próbowała kłamać, by w ten sposób uniknąć konsekwencji służbowych. Użycie broni w tłumie stanowiło poważne naruszenie regulaminu, ale strzelanie do balonu będzie ją kosztowało znacznie więcej. Stanie się obiektem kpin całej nowojorskiej policji i Rikerowi już zrobiło się jej żal.

Na scenie pojawili się pozostali policjanci na koniach, na bruku słychać było stukot końskich kopyt. Dwaj funkcjonariusze zsiadli i zabrali zatrzymanego kusznika do aresztu. Ominęła ich gratka, jaką było upokorzenie Mallory, ale pojawili się w samą porę, by być świadkami poniżenia Hendersona. Jego koń potrafił stawić czoło wystrzałom, lecz widok wielkiego psa spadającego z nieba to było coś ponad siły zwierzęcia. Przerażony ogier stanął dęba i zrzucił jeźdźca na ziemię.

Dwójka małych dzieci na chodniku przyczepiła się do Mallory. Wskazywały ją rączkami w rękawiczkach i powtarzały w kółko „Zabiłaś Goldy'ego, zabiłaś Goldy'ego, zabiłaś...”.

Mallory wyjęła rewolwer Smith and Wesson kaliber .357.

Dzieciaki umilkły.

Wyciągnęła rękę, na której spoczywała broń.

- Dotknij lufy, Riker. Metal jest zimny. To nie ja strzelałam. Nawet nie wyjęłam broni z kabury. W tłumie ukrywa się snajper.

Dotknął rewolweru. Metal rzeczywiście nie był rozgrzany. Ale wiał zimny wiatr i temperatura powietrza spadła poniżej zera. Ile czasu minęło? Jak długo broń może utrzymać ciepło?

Spojrzał na gęstą ludzką cizbę za drewnianymi kozłami.

Tyle dzieci.

Przypuśćmy, że Mallory nie kłamie.

Wolno skierował wzrok na tysiące okien wychodzących na trasę parady. Snajper w tłumie - ale gdzie? I w kogo teraz wycelował swoją broń?

ROZDZIAŁ 2

Górna część ściany była przeszklona, mieścił się za nią Wydział Kryminalny. Pomieszczenie wyglądało ponuro. Wzdłuż jednej brudnobiałej ściany stały szare szafki na dokumenty, rząd brudnych okien wychodził na ulicę SoHo. W pokoju jednak panowała podejrzanie radosna atmosfera. Nie widać było ani jednego pracownika cywilnego - między metalowymi biurkami, na których stały monitory komputerowe i piętrzyły się stosy dokumentów dotyczących świeżych zabójstw, kręcili się wyłącznie mężczyźni z bronią.

Jack Coffey, głęboko przekonany, że jego ludzie pracują lepiej, kiedy nie czują na sobie wzroku przełożonego, zazwyczaj urzędował przy opuszczonych żaluzjach. Ale nie dzisiaj. Porucznik obserwował dziesięciu rozbawionych policjantów zgromadzonych wokół wazy z ponczem stojącej na środkowym biurku. Tylko pięciu z nich pełniło służbę w ten świąteczny dzień. Przez grubą szybę nie słychać było, co mówią, ale przenikało przez nią napięcie. Było niemal namacalne.

Co jej zrobią?

Porucznik Coffey był mężczyzną średniego wzrostu i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nawet włosy i oczy miał w najpospolitszym odcieniu brązu. Jednak w wieku trzydziestu sześciu lat był

niezwykle młody jak na stanowisko kierownicze, tak przynajmniej uważała wyższa kadra oficerska przy Police Plaza 1. W ciągu ostatniego roku stres odcisnął na nim swój ślad, powiększając łysinę z tyłu głowy; przybyło mu głębokich zmarszczek, a jego spojrzenie stało się pełne niepokoju; postarzał się i bardziej pasował do piastowanego urzędu.

Drugi mężczyzna, stojący w głębi gabinetu, potarł zapałkę i w powietrzu rozszedł się zapach siarki, a po chwili uniosła się smuga szarego dymu.

Miło by było, gdyby sierżant Riker raz - chociaż raz - poprosił o pozwolenie, nim zapali papierosa. Porucznik Coffey powstrzymał się od zwrócenia mu uwagi, wpatrując się w odbicie policjanta w szybie. Riker stał na baczność, wyraźnie zmęczony wydarzeniami poranka, i czekał, kiedy się zacznie przedstawienie.

W pomieszczeniu za szklaną ścianą mężczyźni bez marynarek, z pistoletami na wierzchu, nalewali sobie likier jajeczny do papierowych kubków i otwierali pojemniki z chińskimi daniami na wynos. W głębi pokoju stało dwóch policjantów w mundurach, wyraźnie trzymając się na dystans od oficerów śledczych.

Wyczuwało się jeszcze coś niezwykłego.

Dwaj mężczyźni w mundurach spojrzeli na siebie wyraźnie spezeni. Może też się zastanawiali, co tutaj właściwie robią. Gliniarze z patroli nigdy nie świętowali wspólnie z oficerami śledczymi; nawet nie chodzili do tych samych barów.

Zaproszono ich jako świadków? Tak, to by pasowało, bo teraz jeden z detektywów zaczął odpakowywać wypchaną pluszową zabawkę. Była to dokładna kopia nadmuchiwanego szczeniaka, którego sierżant Mallory niedawno wysłała do psiego raju.

Porucznik Coffey spojrzął przez ramię. Sierżant Riker opierał się o ścianę, jakby nagle ogarnęło go zmęczenie. Rondo kapelusza osłaniało mu oczy przed górnym światłem. Riker musi się dokąść

wybierać na świąteczny obiad. Zerkał ukradkiem na swój tani zegarek i jeszcze nie zdjął nowego płaszcza, bynajmniej nie taniego.

- Ładny materiał - zauważył Coffey, który swój płaszcz kupił w sklepie z artykułami przecenionymi w New Jersey. - Bardzo drogi. Ludzie powiedzą, że bierzesz łapówki.

Riker się uśmiechnął, strzepując papierosowy popiół z tweedowej kłapy.

- Dostałem go od Mallory.

- Nie mów o tym nikomu. - Już i tak dosyć plotek krążyło o jego jedynej kobiecie detektywie. Coffey odwrócił się tyłem do pokoju wydziału, w którym pracownicy przysiedli na skraju biurek, chytrze się do siebie uśmiechając i zerkając na drzwi. Dwaj policjanci wymienili spojrzenia pełne głębokiego zażenowania. Coffey wiedział, że woleliby być na dole ze swoimi kolegami w mundurach.

Mógł się z grubsza domyślać, co się wydarzy. Nie odrywając wzroku od szyby, odezwał się do stojącego za nim mężczyzny:

- Wiesz, że tym razem nie ujdzie jej to na sucho.

- Mallory twierdzi, że to nie ona.

- Spodziewałem się tego. Ale co się z tobą dzieje, Riker? Przecież dobrze wiesz, że kłamie.

- Lufa była zimna.

- Bo był zimny dzień. - Coffey odwrócił się przodem do sierżanta. - Nawet jeśli badania broni wypadną negatywnie, Mallory zostanie podejrzana, przynajmniej w moich oczach. Nie sprawdźcieś, czy nie miała innej broni, prawda?

Uśmiech Rikera mówił: „Cóż za głupie pytanie!”.

W pokoju po drugiej stronie szyby jeden z mężczyzn odebrał telefon, słuchał przez chwilę, a potem uniósł rękę, dając znak pozostałym obecnym. Wszyscy skupili się obok drzwi prowadzących na klatkę schodową.

Zasadzka.

Oficer dyżurny musiał ich uprzedzić, że Mallory idzie na górę.

Za chwilę rozpocznie się przedstawienie.

Dziś świat przestanie się kręcić wokół córki Markowitza. Przekroczyła granicę i nawet świętej pamięci staruszek nie będzie w stanie jej pomóc.

Sierżant Riker podszedł do szyby i patrzył, stojąc bez ruchu. Nie zrobi niczego, żeby ostrzec koleżankę. Rzeczywiście, inspektor Markowitz chyba też nie próbowałby temu przeszkodzić. To mogła być ostatnia okazja dla Mallory, by zyskać akceptację kolegów. Wszystko zależało od jej reakcji.

Nie miała przyjaciół wśród mężczyzn czekających pod drzwiami. Traktowali ją jak outsidera, który nigdy nie pije i nie jada w towarzystwie innych gliniarzy. Może najbardziej dotknięci czuli się tym, że nie wyjawia im swoich zamiarów; jej milczenie podsycalo ich manię prześladowczą. W hermetycznym środowisku policjantów każdy samotnik był podejrzany.

Dwaj mundurowi trzymali się z tyłu, nie mając ochoty brać w tym wszystkim udziału.

Dlaczego?

Drzwi na klatkę schodową się otworzyły. Między stłoczonymi mężczyznami mignęły kręcone jasne włosy. Uzbrojeni mężczyźni się rozstąpili, tworząc szpaler, a jednocześnie dali Coffeyowi okazję obejrzenia pieska zabawki, idealnej kopii balonu wyobrażającego Goldy'ego. Leżał na podłodze, brocząc keczupem ze śmiertelnej rany. Wokół pluszowej maskotki wymalowano białą kredą kontury - wszystko upozorowano tak, jakby popełniono tu zbrodnię.

Mallory patrzyła na wypchanego zwierzaka, kiedy mężczyźni wykrzyknęli chórem: „To nie ja!”.

Słowa Mallory.

Stała z pochyloną głową, oczy utkwiała w zabawce. Lekko napięła mięśnie, kiedy ktoś przyczepił jej do ramienia ogromną papierową gwiazdę. Wypisano na niej grubym flamastrem drukowanymi literami słowa: „Dobry szczeniak to martwy szczeniak”.

W każdej chwili mogła wybuchnąć - albo uda się jej jakoś wyjść z tego obronną ręką. Mężczyźni stanęli na palcach, rozkoszując się panującym napięciem, darem niebios dla wszystkich oficerów śledczych Wydziału Kryminalnego. Prawdziwe Święto Dziękczynienia.

Och, Mallory, nie.

Patrzyła teraz na nich, na jej twarzy malował się szeroki, promienny uśmiech - była niezwykle podobna do Markowitza, zupełnie jakby mieli przed sobą ducha staruszka. Nie można było mówić o jakimkolwiek podobieństwie fizycznym między ojcem a przybraną córką - skądże znowu. A jednak widzieli przed sobą inspektora, jakby powstał z grobu, by oczarować wszystkich obecnych w pokoju.

Jezu, to powinno być karalne.

Mallory nawet naśladowała jego ruchy, skubała prawe ucho, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego, czyniąc każdego z nich po kolei środkiem wszechświata i kimś wyjątkowym w swych oczach - w oczach Markowitza. Ile godzin ćwiczyła przed lustrem, by nabrać wprawy w naśladowaniu staruszka - i dlaczego to robiła?

Coffey gapił się na swoich podwładnych, wszystkich oprócz Rikera, który odwrócił się od szyby, mając dosyć tego przedstawienia. Swoim tanim chwytem podbiła wszystkich. Na twarzach mężczyzn malował się zachwyt, ich uśmiechy mówiły: „Witaj znów wśród nas, stary druhu”.

To było wstrząsające ujrzenie w Mallory żywego Markowitza - i odrażające. Podstępne i szalone.

I jakie sprytne.

Może życie dawało jej twardą szkołę, ale była wyjątkowo pojętną uczennicą i niezwykle szybko przyswajała sobie wiedzę.

Mężczyźni się śmiali, wszyscy bez wyjątku, poklepywali się po plecach, lekko, żartobliwie ją poszturchiwali. Samotniczka Mallory podbiła ich charyzmą skradzioną zmarłemu. Jedyna kobieta w wydziale stała się w końcu jedną z nich - o czym marzył Coffey. Nie mógł wyjść z podziwu, widząc, w jakim stylu to osiągnęła.

Otworzył drzwi i wrzasnął:

- Mallory! Natychmiast do mnie!

Nastrój w pokoju uległ gwałtownej zmianie, wszyscy gliniarze, nie wyłączając dwójki mundurowych, obrzucili go ponurymi spojrzzeniami.

Pięknie. Po prostu pięknie. Miał teraz ich wszystkich i Mallory przeciwko sobie. Ale okazja do rewanzu, do odegrania się na niej była tak blisko jak jutrzejszy biuletyn dla prasy. Nie mógł się już doczekać, kiedy powie Mallory o kuszniku.

Ruszyła w stronę drzwi, nie śpiesząc się, żeby nikt przypadkiem nie pomyślał, że wykonuje polecenie zwierzchnika. Uśmiech zniknął jej z twarzy, gdy tylko przekroczyła próg jego gabinetu. Przedstawienie się skończyło.

Zatrzasnął drzwi i usiadł za biurkiem.

- Mallory, na jakiś czas weźmiesz urlop.

Odczepiła z ramienia papierową gwiazdę.

- Wykorzystałam już cały.

- Wiem. - Zaczął przekładać papiery na biurku, nie chcąc spojrzeć jej w twarz, póki nie minie mu gniew. - Możesz to nazwać drobnym prezentem od komisarza Beale'a. - Obserwował znad biurka, jak nogi w dżinsach od znanego projektanta zginają się, gdy Mallory usiadła na krześle obok Rikera. Miała na sobie nowiutkie buty sportowe, znał tę markę - dwieście dolarów za parę. Długi skórzany

płaszcz rozchylił się, kiedy skrzyżowała nogi. A ile kosztowało to okrycie szyte na miarę?

- Nie mogę sobie pozwolić na urlop. - Mallory zgmiotła papierową gwiazdę i wrzuciła ją do kosza stojącego obok biurka. - Prowadzę dochodzenie.

Powiedziała to zbyt pewnym tonem, ale zaraz straci rezon.

- Już nie.

Całą uwagę skupił na papierosie, którego palił Riker. Wydawało się, że popiół w każdej chwili może spaść na podłogę. Przez trzy miesiące starał się o nowy dywan. Chmura dymu unosiła się nad jego biurkiem. Ciekaw był, czy Riker specjalnie chce go wyprowadzić z równowagi. Coffey odwrócił się do Mallory. Z jej twarzy zniknęła udawana serdeczność Markowitza.

Gdyby roboty miały oczy...

- Nie pracujesz, póki ta sprawa nie przycichnie, a to może trochę potrwać. - Wziął kartkę z komentarzami prasowymi z parady i wręczył jej. - Najślawniejszy bohater komiksów w Ameryce zastrzelony na ulicy przez gliniarza. Rodzice będą tobą straszili dzieci, żeby były grzeczne.

- Tak - odezwał się Riker, jakby się obudził z letargu. - Już słyszę, jak mamusie mówią: „Sprzątnij swój pokój, bo inaczej sierżant Mallory zastrzeli twojego pieska”.

Zadzwoił telefon, Coffey szybko podniósł słuchawkę. Czekał na ten telefon. Słuchał przez chwilę, a potem powiedział: „Daj mi go”. Teraz pracownik laboratorium recytował suche wyniki badań przeprowadzonych w rekordowym czasie. Zazwyczaj Wydział Kryminalny mógł liczyć na taką obsługę jedynie wtedy, kiedy gliniarz zastrzelił jakiegoś obywatela.

Mallory czytała wypowiedzi dziennikarzy radiowych. Czy ścisnął jej się żołądek? Coffey miał nadzieję, że tak.

- To nieprawda - powiedziała. - Nie strzeliłam ze swojej broni do...

- Czyżby? - Coffey zasłonił mikrofon ręką. - W magazynku brakuje jednego naboju. - Odwrócił się do jej kolegi i rzucił sierżantowi na kolana plik zszytych kartek, pokrytych niestarannym pismem maszynowym. - Riker, zapomniałeś wspomnieć o tym drobnym szczególe w swoim raporcie. Uzupełnij to. - Zwrócił się do swojego rozmówcy telefonicznego: - Co jeszcze?... Chwileczkę. - Znow zasłonił słuchawkę. - Technik mówi, że ostatnio strzelano z broni.

Riker uniósł wzrok znad papierów.

- Założę się, że nie potrafią tego określić z dokładnością do jednego dnia.

Coffey udał, że tego nie słyszy, bo była to prawda. Dziękując technikowi za pracę po godzinach w świąteczny dzień, zapisał sobie w myślach, ile Mallory kosztuje Wydział Kryminalny.

- Strzelałam ze swojej broni wczoraj - powiedziała. - Nie dziś rano.

- Do czego...

- Panie poruczniku? - Riker wolno pokręcił głową. - Lepiej, żeby pan nie wiedział.

- Nieprawda. - Szczerze mówiąc, wolał nie wiedzieć. Można było dużo mówić na temat umiejętności wypierania się policji w żywe oczy. Coffey znow skupił uwagę na Mallory. - Na rany Chrystusa, na paradzie było tyle balonów, dlaczego musiałaś strzelić akurat do psa, do szczeniaka?

- Tak, Mallory. - Riker siedział z pochyloną głową nad papierami trzymanymi w dłoni. - To było głupie. Dlaczego nie zastrzeliłaś tego irytującego dziecięcia, którego nigdy nie lubiałaś?

- Nie strze...

- Dobra. - Skoro nowojorskiej policji nie udało jej się tego udowodnić, to znaczy, że tego nie zrobiła: Coffey znał tę starą śpiewkę.

Ale tym razem miał świadków. - Dysponuję zeznaniami osób, które widziały, jak strzelałaś ze swojej broni.

- Cholerni cywile. - Ołówek Rikera przesuwiał się nad linijkami tekstu. - Usłyszą, jak coś strzeli w gaźniku, a potem widzą broń, której wcale nie było. - Spojrzał na Coffeya. - A kto powiedział, że balon został zestrzelony? Inny na przykład spadł na ziemię, bo rozewała go gałąź drzewa.

Porucznik otworzył środkową szufladę biurka i wyciągnął z niej kasetę wideo. Podniósł ją do góry.

- Jeden z dziennikarzy żartem poprosił doktora Slope'a, by zbadał zestrzelony balon. Był ze swoją córką, prawda? Przypuszczam, że uznał, iż może to być świetna zabawa dla Faye. Więc, żeby zacytować słowa naszego lekarza sądowego: „Tak, to rana postrzałowa”. - Coffey wrzucił taśmę do szuflady i zasunął ją z trzaskiem. - Sfilmowali doktora Slope'a, jak pochyła się nad zniszczonym balonem, tłumacząc, że krawędzie rozdarcia świadczą, iż uszkodzenie spowodowała kula, a nie gałęzie drzewa.

- Dobra - powiedziała Mallory. - To dowód, który potwierdza moją teorię. Chłopak z kuszą nie był jedynym, który strzelał w tłumie.

Coffey czekał na tę chwilę. Pochylił się w jej stronę, nawet nie próbując ukryć zadowolenia.

- Kusznika wynajęli iluzjoniści występujący na platformie. Wyrostek odegrał swoją rolę, Mallory, to był chwyt reklamowy. Starsi panowie zapłacili mu za to.

Łatwo było czytać z jej twarzy. Przypominała mu dzieci na filmach z parady - oczy zwrócone w kierunku nieba, śledzące wielkiego psiaka, z którego uchodzi powietrze, przerażone spojrzenie szeroko otwartych oczu i mina mówiąca: „O, jejku”.

Dwie wpadki jednego dnia.

Pokręciła głową.

- Nie. Gdyby to było zaplanowane, Charles Butler by...

- Charles o niczym nie wiedział - przerwał jej Coffey. - Osobiście z nim rozmawiałem. Starsi panowie nie powiedzieli mu, co się wydarzy. Oświadczyli, że nie wierzyli, iż potrafiłby dobrze odegrać zaskoczenie. Chcieli przedstawić autentyczny towar dla osiągnięcia jak najlepszego efektu.

- To by się zgadzało - przyznał mu rację Riker, kiwając głową. - Charles nie potrafi niczego ukryć, z jego twarzy można czytać jak z książki. Dlatego tak przegrywa w pokera. Za plecami doktor Slope nazywa go „kasjerem”.

- Chciałabym się zobaczyć z tym kusznikiem - oświadczyła Mallory.

- Za późno. - Coffey spowaźniał. - Gliniarze z West Side wypuścili go dwadzieścia minut temu. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie pozwie władz miasta do sądu. Więc nawet się nie zbliżysz do tego wyrostka. - Postukał palcami w blat biurka, żeby nadać większą wagę swoim słowom. - To rozkaz, Mallory. Nawet nie myśl o tym, żeby mi się sprzeciwić. Nie możesz sobie pozwolić na jeszcze jedno naruszenie regulaminu.

Przemówiła jak automat, jednakowo akcentując każde słowo:

- W tłumie był jeszcze jeden snajper.

- Nawet jeśli tak, to co z tego? - Coffey wzruszył ramionami. - Parada się skończyła. Kto by się tym teraz przejmował?

Ona się przejmowała. Było to oczywiste. Mallory darła kartkę z tekstami reporterów na malutkie kawałki. Ani jeden nie spadł z jej kolan na podłogę. Była niezwykle schludna.

- Musi być jakiś świadek, który widział, że nie wyciągnęłam broni. - Mallory wstała i wrzuciła konfetti do kosza na śmieci, przy okazji zerkając na blat biurka.

Pogrzebał w papierzyskach i wyłowił zeznanie złożone przez jakiegoś praworządnego obywatela.

- To mój ulubieniec. - W swoim raporcie Riker opisał świadka jako punka, który nosi za dużo kolczyków i jest niechętnie nastawiony do gliniarzy. - Ten facet przysiągł, że widział, jak celowałaś z broni do balonu. A potem słyszał, jak powiedziałaś: „A masz, ty bestio z piekła rodem”.

Coffey uśmiechał się, w pełni usatysfakcjonowany. Nie miała nic na swoją obronę.

Nie spodziewał się zdradzieckiego strzału ze strony jej kolegi.

- Miała słuszny powód, by pobiec za tym wyrostkiem z kuszą. To nie była zabawka - powiedział Riker. - Posiadanie kuszy jest niedozwolone...

- Miał zezwolenie na występ z nią, podpisane przez samego burmistrza. - Coffey machnął faksem otrzymanym z komisariatu w West Side.

- I powinna się tego domyślić, kiedy przed nią uciekał? A co z tym staruszkiem, który zginął w zeszłym tygodniu na pokazie iluzjonistów w Central Parku? Zginął od kuszy, a dokładnie mówiąc, od czterech kusz.

- Dobra - zgodził się Coffey. - Miała prawo go aresztować. Ale nie mów mi, że szukacie jakiegoś związku między tym wydarzeniem a wypadkiem w parku.

Mallory usiadła i rozparła się na krześle, nagle wyraźnie poprawił jej się humor - to zawsze zły znak.

- A jeśli to nie był wypadek? Przypuśćmy, że mogę udowodnić, iż Oliver Tree został zamordowany.

Dla Coffeya oznaczało to problemy. Mallory za bardzo zależało na tym, by się oczyścić z zarzutu strzelania do nadmuchanego psa. Mogła coś wymyślić, by odwrócić uwagę wszystkich.

- Wykluczone. Sprawa jest zamknięta. To był nieszczęśliwy wypadek i koniec.

- Czy kiedykolwiek ktoś zginął, wykonując marną sztuczkę magiczną?

To był mocny argument, ale nigdy tego nie przyzna - nie przed nią.

- Nie ma powodu, żeby kwestionować raport innego oficera dochodzeniowego, chyba że lubisz sobie robić wrogów. Więc zapomnij o tym. Pozostał nam jeszcze jeden drobiazg: brakująca kula w magazynku.

- Mallory strzelała z broni wczoraj - informował Riker z wyraźnym ociąganiem. - Mam czterech świadków, samych policjantów.

Coffey wykonał zachęcający gest ręką.

- Mów dalej słucham.

- Zabiła Oskara. Ukatrupiła go, jak siedział na automacie do sprzedaży słodyczy w pokoju śniadaniowym. - Riker wyprostował jeden palec, jakby to była lufa pistoletu, i pociągnął kciukiem za wyimaginowany spust. - Położyła go jednym strzałem.

Nie, nie, nie!

Przez chwilę Coffey wpatrywał się w sufit, na zewnątrz spokojny, ale w środku wrzeszczał na Mallory. Czyś ty zwariowała? Kompletnie ci odbiło?

- Dobra, Riker. Nie wspominaj w swoim raporcie o brakującej kuli. Nie chcę, żeby dziennikarze się dowiedzieli, że Mallory zastrzeliła szczura.

Nie mógł się powstrzymać, by nie pomyśleć o tych czterech policjantach w mundurach, którzy widzieli, jak Mallory wyciąga broń na terenie komisariatu. Co im przemknęło przez myśl, kiedy usłyszeli huk wystrzału w jedynym miejscu, gdzie powinni się czuć bezpiecznie? Większość gliniarzy służyła dwadzieścia lat w policji, ani razu nie wyciągając broni z kabury.

Czy mundurowi z dołu już ją uznali za osobę niezrównoważoną? Czy owładnięci manią, charakterystyczną wyłącznie dla gliniarzy,

przyglądają się jej uważniej? I ile czasu upłynie, zanim historia ze szczurem dotrze od mundurowych do oficerów śledczych?

Teraz zrozumiał, dlaczego tych dwóch w mundurach nie uczestniczyło w przedstawieniu mającym na celu upokorzenie Mallory. Gliniarza, księgowego czy listonosza obowiązują takie same zasady: lepiej nie drażnić niebezpiecznego współpracownika.

Mundurowi znajdą inny sposób, by ją załatwić.

Mallory wygrzebała jakieś dokumenty z przepastnej kieszeni swego płaszcza. Rozprostowała kartkę papieru i położyła ją na biurku. Zobaczył papier firmowy biura podatkowego; sądząc z daty, informacja pochodziła sprzed tygodnia.

- Oliver Tree pozostawił majątek wart miliony - powiedziała Mallory. - I to uwzględniając tylko dobra trwałe. Na razie nie sprawdziłam jeszcze zasobów gotówki.

W ustach Mallory oznaczało to, że dysponuje wyciągami bankowymi, ale nie spodobałyby mu się metody, jakimi je zdobyła, podobnie jak bank nie doceniłby jej biegłości w obsłudze komputera i znajomości sposobów łamania zabezpieczeń.

Riker nachylił się, by rzucić okiem na spis nieruchomości, wyraźnie zaskoczony tą informacją. Więc Mallory przez tydzień nie zdążyła się podzielić tą wiadomością ze swoim partnerem. Cóż, to dla niej typowe.

Postukała w kartkę czerwonym paznokciem.

- Czterdzieści lat temu staruszek kupił szereg budynków przeznaczonych do rozbiórki. Nabył je za bezcen i sam wyremontował. W chwili śmierci pozostawał właścicielem trzech z nich. Miał też mały teatr w pierwszorzędnej okolicy. - Na dokumencie położyła własny raport dotyczący strzelaniny podczas parady. - Kuznik był spokrewniony z Oliverem Tree. Nie wiem, co staruszek mu zapisał w testamencie, na razie.

Sądząc po minie Rikera, o tym również usłyszał po raz pierwszy.

Coffey przebiegł wzrokiem linijki podkreślone na czerwono. Kuznik nazywał się Richard Tree i był bratanek iluzjonisty, który zginął tydzień temu od strzał z czterech kusz.

Na wierzchu położyła raport sprzed trzech lat z aresztowania młodocianego przestępcy.

- Bratanek Olivera był notowany za narkomanię. Może jego występ podczas parady został wyreżyserowany. Ale narkoman jest zdolny do zabicia własnej matki dla pieniędzy, a ten wyrostek był w parku w dniu, w którym zginął jego stryj. Mamy więc motyw i okazję. - Po chwili, jakby czytała w myślach Coffeya, dodała: - Nie wykradłam akt narkomana. Rozmawiałam z gliniarzem, który go przytknął.

Naturalnie znalazła nazwisko tego funkcjonariusza, włamawszy się do tajnych plików, dotyczących nieletnich, ale Coffey pominął sprawę milczeniem.

- Mnie też się podoba motyw zabójstwa dla pieniędzy. - Riker znów spojrzał na zegarek, a potem wstał i zapiał płaszcz. Odwrócił twarz, ukrywając przed partnerką złość, którą do niej czuł. Mallory będzie musiała się jeszcze dużo nauczyć, ale najwyraźniej tę sprawę Riker zamierzał załatwić z nią w cztery oczy. Trzymając rękę na kłamce, obejrzał się na Coffeya. - Jestem pewien, że burmistrzowi zależy na tym, by śmierć w parku uznano za nieszczęśliwy wypadek. Wysoki wskaźnik przestępczości źle wpływa na turystykę. Ale sam widzisz, że warto się temu bliżej przyjrzeć.

Coffey wciąż siedział w swoim fotelu. Wcale się nie zdziwił, że Riker popiera koleżankę, nawet jeśli uważał, że to, co zdobyła, jest guzik warte, a tak prawdopodobnie sądził.

- Mallory, spóźnimy się - naglił Riker.

Spojrzała na swój zegarek z dewizką, nie ufając jego czasomierzowi.

- Potrzebny mi raport West Side, dotyczący Olivera Tree. Wszystko, co ustalił śledczy zajmujący się tą sprawą. Chcę mieć zeznania świadków, dowody...

- Nie tak szybko. - Coffey znów podsunął jej dokumenty. - Najpierw sprawdźcie te tropy, ale dyskretnie. Wszystkie rozmowy przeprowadzi Riker. Oficjalnie jesteś na urlopie. Zrozumiałaś, Mallory? Nikogo nie będziesz przesłuchiwała. Jeśli znajdziesz coś konkretnego, wtedy pomyślimy o wkroczeniu na paluszkach na teren działania innego komisariatu. Aha, i na jakiś czas zatrzymam twoją broń.

Mallory się to nie spodobało, ale najwyraźniej zamierzała się z tym pogodzić. Zresztą czemu nie? Miała w domu inne rewolwery. Był pewien, że tylko dlatego nosiła prywatną broń, iż policyjna trzydziestka ósemka nie robiła wystarczająco dużych dziur. Wstała i ściągnęła pasek płaszcz. Wołała nie ryzykować, zostając dłużej.

- Proszę usiąść, pani sierżant - zatrzymał ją Coffey. - Jeszcze nie skończyłem.

Między zabiciem szczura a przedziurawieniem balonu Mallory popełniła jeszcze sporo błędów, chociaż nawet o tym nie wiedziała. Trzymała się za daleko od hermetycznego środowiska gliniarzy.

Zaczekał, aż Mallory znów usiądzie na krześle, a potem walnął ręką w biurko wystarczająco mocno, by ołówki i pióra spadły na podłogę.

- Nie waż się nigdy więcej użyć broni na posterunku! Nawet jeśli nie wystrzelisz ani jednej kuli, a tylko wyciągniesz broń z kabury, wyrzucę cię na zбитy pysk!

Riker, stojący za jej plecami, z poważną miną skinął głową, przyznając rację Coffeyowi, co nie zdarzało się często. Mallory nie

mogła sobie pozwolić na to, żeby uczyć się wszystkiego na własnych błędach. W ten sposób dług nie pożyje.

Coffey odczekał, aż jego słowa do niej dotrą, i dopiero po chwili ciągnął:

- Ten numer ze szczurem jeszcze się na tobie zemści. Chyba nie chcesz zyskać opinii osoby nie zrównoważonej, przy łada okazji chwytającej za broń? Gliniarze zrobią się nerwowi. Ci mundurowi, którzy widzieli, jak zastrzeliłaś szczura, będą cię teraz mieli na oku, Mallory, czekając na dalsze dowody, że jesteś niebezpieczną wariatką. A pewnego dnia znajdziesz się w tarapatkach. Będziesz potrzebowała wsparcia ze strony mundurowych, ale się go nie doczekasz.

Koledzy policjanci w kilkunastu radiowozach mogą słyszeć jej prośby o pomoc, ale będą głusi jak pień i pozwolą jej umrzeć samotnie w oczekiwaniu na ich przybycie.

- Żaden gliniarz oczywiście nie wyceluje w ciebie broni - powiedział Coffey. - Będą stali z boku i pozwolą się wyręczyć jakiemuś zbirowi. Ale i tak nie wyjdiesz z tego cało.

Poznaj ciemniejsze strony służby nowojorskiej policji.

Mallory się rozgniewała, odebrawszy to jako groźbę. I miała rację. Coffey odwrócił się do swego starszego pracownika, spodziewając się poparcia.

Riker podszedł do Mallory od tyłu, kiedy wstawała. Położył jej dłonie na ramionach i delikatnie zmusił do tego, by ponownie usiadła.

- Zrozumiesz to, mała, ponieważ sama jesteś taką fanatyczką ładu. - Pochylił nisko głowę, mówił cicho, niemal szeptem. - Kiedy jeszcze nosiłem mundur i jakiś gliniarz ginął w ten sposób, nazywaliśmy to „zaprowadzaniem porządków w domu”.

ROZDZIAŁ 3

Charles Butler rozpiął kołnierzyk koszuli i białą muszkę. Rękawy podwinął do łokci, stukał nogą w takt koncertu na mandolinę Vivaldiego.

Kuchnia była jego ulubionym pomieszczeniem, a dziś oddziaływała na wszystkie jego zmysły. Światło słoneczne rozjaśniało żółte ściany, w jego blasku połyskiwały miedziane rondle, a chromowane garnki i pojemniki na przyprawy rzucały lśniące refleksy. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego chleba, grubo posmarowanego masłem czosnkowym, z piecyka zaś wydobywała się woń indyka. Kiedy Charles sięgnął po kuchenny pędzelek i pochylił się, uświadomił sobie, że jego gość trzyma pusty kieliszek.

- Przepraszam, Nick. - Zaczął po omacku przesuwać ręką po blacie szafki, chcąc natrafić wśród słoików i talerzy na niedawno odkorkowane wino, ale butelka zniknęła. Może ktoś ją zabrał do pokoju. Sięgnął po drugą do skrzynki stojącej na stole.

- Nie trzeba, Charles. - Starszy pan strzepnął dużą serwetkę, położył ją na desce do krojenia, a kiedy delikatnie unióś materiał dwoma palcami, otwarta butelka czerwonego wina pojawiła się na środku drewnianej deseczki.

Zupełnie jak za dawnych czasów. Charles był małym chłopcem, kiedy Nick Prado gościł u nich ostatni raz na obiedzie. Trzydzieści

lat temu mężczyzna miał czarne i połyskujące włosy. Teraz zmieniły kolor na stalowoszary i wyraźnie ich ubyło. A ciemne oczy zblakły i nabrały pospolitej brązowej barwy.

- Kiedy przyjdzie Malakhai? - Hiszpański akcent Nicka zniknął bez śladu i był to jeszcze jeden przykry efekt upływu czasu. Stracił wszystkie cechy, które go kiedyś wyróżniały.

- Malakhai zadzwonił, że się spóźni. - Charles napełnił winem dwa kieliszki. Chociaż był wyższy od większości ludzi, dziwnie się czuł, patrząc z góry na Nicka; zamienili się teraz rolami ze starszym panem, który kiedyś pochylał głowę, by porozmawiać z małym Charlesem.

Nick odwrócił się do ściennego wieszaka z kuchennymi utensyliami i z przyjemnością przyglądał się swemu odbiciu w chromowanej pokrywce patelni. Chociaż było go stać na protezę, zachował własne zęby, zażółcone od nikotyny, bo był nałogowym palaczem. Sądząc po uśmiechu, w którym wyszczerzył je do pokrywki patelni, musiał uważać zniszczone szkliwo za oznakę nieprzemijającej męskości, gdyż mimo wyblakłych oczu, posiwiałych włosów i pożółkłych zębów był to wciąż prawdziwy Nick Prado, bez żadnych sztucznych dodatków. Wydatny brzuszek najwyraźniej nie wpływał negatywnie na pochlebną opinię Nicka o sobie, mężczyzna poklepał się teraz po nim z zadowoleniem.

Kolejny gość pojawił się w kuchni. Najpierw wsunął głowę i wyciągnął szyję przez uchylone drzwi, by sprawdzić, czy nikt go nie uprzedził, a dopiero potem otworzył je szerzej. Kiedy Franny Futura się uśmiechnął, jego oczy przemieniły się w szare szparki, ginące między fałdami skóry nad powiekami i workami poniżej. Wszedł do pomieszczenia i zaczął lekko stepować na podłodze wyłożonej kafelkami, jakby parzyła go w podeszwy. Wciągając powietrze zadarłym nosem, zbliżył się do piekarnika.

- Och, Charles, pachnie cudownie. - A potem dodał smutniejszym tonem: - Znów skończyły się przystawki.

Francuz świetnie mówił po angielsku. I był tak czysty, jakby jakaś gospodyni, mająca bzika na punkcie higieny, dopadła go z arsenałem płynów i proszków, wyszorowała mu skórę, aż ta przybrała różowy kolor, a sztuczną szczękę tak wypolerowała, że zęby stały się zbyt białe, by wziąć je za prawdziwe.

Charles poznał go zaledwie tydzień temu, ale przypuszczał, że Franny Futura nigdy nie miał podbródka, a teraz skóra twarzy zwisała mu luźnymi fałdami. Zaczesane gładko do tyłu włosy były białe, ale gęste brwi przyczernił henną.

Franny stał przy kuchennym blacie i napełniał swój kieliszek, ostrożnie przechylając butelkę, by nie uronić ani jednej kropli.

- Ta cudowna dziewczyna gdzieś zniknęła.

- Mallory? - Charles zanurzył kuchenny pędzelek w rondelku z rozpuszczonym masłem. - Prawdopodobnie poszła do swojego gabinetu po drugiej stronie korytarza. Na pewno wróci.

- Do gabinetu po drugiej stronie korytarza? - Nick Prado niechętnie oderwał wzrok od swojego odbicia. - Powiedziałeś, że jest policjantką. Co robi...

- Jest cichą wspólniczką w mojej firmie konsultingowej. - Naturalnie, słowo „cicha” oznaczało w tym wypadku „nieoficjalna”. Nowojorska policja się krzywiła, kiedy jej ludzie dorabiali sobie na boku, i stanowczo zabraniała swoim pracownikom zatrudniać się na stanowiskach, które wymagały umiejętności śledczych.

- A więc, Charles, jak ci idzie? - spytał Nick. - Jak się kręci ten twój interes?

- No cóż, instytuty i uniwersytety przysyłają mi ludzi o niezwykłych uzdolnieniach. Oceniam ich, a Mallory obsługuje komputer i

bada ich przeszłość. Bierze surowe dane, po czym...

- Fascynujące - przerwał mu Nick.

Ale Charles widział, że nie interesuje to żadnego z mężczyzn. Zanudzał swoich gości.

- Normalna praca Mallory jest znacznie ciekawsza. Zajmuje się...

- Śliczna dziewczyna, ma fantastyczne oczy - powiedział Nick. - A te włosy... Zawsze miałem słabość do blondynek. Jest mężatką?

- Daj spokój, ty stary głupcze. - Franny Futura się roześmiał. - Mówisz, jakbyś mógł u niej na coś liczyć.

Charles miał nadzieję, że nie złączą roztrząsać, jakie on ma szanse u Mallory. Wyobrażał sobie, jak smutno kiwają głowami, oceniając, że znaczne rozmiary jego nosa pozostają w odwrotnej proporcji do nad wyraz marnych widoków na to, że dziewczyna coś do niego poczuje. Nie żeby był przewrażliwiony na punkcie potężnego nocha stanowiącego wątpliwą ozdobę jego twarzy, ale ani na chwilę o nim nie zapominał. Gdziekolwiek by spojrzeł, wszędzie go widział.

Nick Prado odkorkowywał kolejną butelkę.

- Dlaczego jej nie przedstawiłeś w zeszłym tygodniu? Na pogrzebie Olivera?

- Co? - Charles skończył smarować mięso masłem. - Nie widziałem jej. - A ponieważ nie znała Olivera Tree, zaintrygowało go, dlaczego przysła. - Jesteś pewien, że to była Mallory?

- O, tak. Ja też ją widziałem. - Franny otworzył drzwi. - Stała z tyłu i robiła zdjęcia.

Nick wziął butelkę wina i wychodząc z kuchni za przyjacielem, powiedział:

- Ciekaw jestem, czy pstryknęła mi jakąś dobrą fotkę.

Kiedy Charles skończył smarować indyka masłem i zamknął piecyk, zerknął przez otwarte drzwi do jadalni. Mallory wróciła. Obchodziła długi stół. Przyglądał się, jak z największą precyzją poprawia talerze i sztucce. Wiedział, że gdyby wziął linijkę i zmierzył odległości między nakryciami, byłyby identyczne z dokładnością do ułamka milimetra. A wszystkie noże, widelce i łyżki tworzyłyby kąć prosty z krawędzią stołu, przykrytego koronkowym obrusem.

Nick Prado zbliżył się do Mallory, trzymając w każdej ręce pełny kieliszek wina. Wciągnął brzuch i czarował ją uśmiechem, ukazując wszystkie szpary między zębami żółtymi od tytoniu, niewątpliwie przekonany, że Mallory uzna, że są nieodparcie urocze, bo to przecież jego własne zęby, nieprawdaż?

Mallory wzięła kieliszek wina, a potem wróciła do poprawiania sztucców.

- Mogę mówić do pani Kathy? - spytał Nick.

- Nikt nie mówi do mnie Kathy. - Skończywszy ze sztuccami, odwróciła się do niego tyłem i wyszła, prawdopodobnie by wyrównać obrazy wiszące w sąsiednim pokoju.

Uśmiech zniknął z twarzy Nicka. Mężczyzna musiał uznać zachowanie Mallory za niezrozumiały przykład złego wychowania. Kiedy pozna ją lepiej, może doceni fakt, że wypowiedziała sześć słów, nie ograniczając się do lakonicznego „nie”. Najwyraźniej z okazji święta starała się zachowywać najlepiej, jak umiała.

Charles taktownie odczekał minutę, żeby starszy pan ochłonął, racjonalnie wytłumaczył sobie jej postępowanie i może zrozumiał, że kobieta posiadająca trzy spluwy jest najzwyczajniej w świecie nieśmiała. Kiedy Nick wyszedł, by dołączyć do reszty towarzystwa, Charles przeszedł przez jadalnię z kolejnym półmiskiem przystawek i zaniósł je do salonu. Przez cztery duże okna wpadało popołudniowe światło, ożywiając kolorowe abażury Tiffany'ego i wschodnie wzory

na dywanie. Na wszystkich ścianach wisały wielkie płótna malarzy abstrakcyjnych, doskonale harmonizujące z antycznymi meblami.

Sierżant Riker, rozsiadłszy się na jednym końcu kanapy, pił piwo i palił papierosa. Wyraźnie czuł się znacznie swobodniej, odkąd rozluźnił krawat, a jego garnitur stał się jeszcze bardziej zmięty. Pół godziny temu, gdy Charles witał go w drzwiach, policjant we wspinałym nowym płaszczu sprawiał nieodparte wrażenie, że jest bogaczem, którego kapelusz i buty padły ofiarą jakiegoś strasznego kataklizmu.

Wyraźnie ignorując Rikera, Mallory usiadła na fotelu stojącym naprzeciwko kanapy. Charles zastanawiał się, czy nie wyciąga zbyt daleko idących wniosków z zachowania dwójki policjantów. Przyszli razem, ale jakby osobno - byli skrępowani niczym nieznajomi, którzy po raz pierwszy ujrzeni się w przedpokoju.

Mallory rozmawiała z Frannym Futurą. Już go nauczyła, by zwracał się do niej po nazwisku, nie poprzedzając go zwyczajowymi „panno” czy „pani”.

- To pan podczas parady wystąpił w numerze z kuszą. - Nie powiedziała tego tonem, jakim zagaja się niezobowiązującą pogawędkę.

- Owszem, brałem w nim udział. - Głowa Franny'ego zachwiała się lekko, jakby nagle stracił pewność, czy jest mocno osadzona na szyi. Nie mógł wiedzieć, że Mallory jest kobietą o demokratycznych przekonaniach, a więc wszystkich traktuje równie podejrzliwie.

- Dlaczego akurat kusza?

- Uważa pani, że to było nie na miejscu? - Franny wcisnął się głębiej w poduchy fotela. - Mam na myśli... podobieństwo do śmierci Olivera.

- Przecież właśnie o to chodziło, czyż nie?

Franny się wzdrygnął, jakby go oskarżyła o coś znacznie gorszego. Charles stał w pogotowiu nad fotelem mężczyzny, zastanawiając się, czy powinien się wtrącić. Mallory miała trudności z porzuceniem tonu oficera dochodzeniowego podczas towarzyskich spotkań, więc nigdy nawet nie próbowała tego zrobić.

- Ale ten numer to nie był mój pomysł - wyjaśnił Franny. - To Nick wynajął chłopaka. Miał wycelować z kuszy, kiedy platforma będzie przejeżdżała obok pierwszej kamery telewizyjnej. Ale kamerzyści ustawili się akurat tuż-tuż... - Urwał, kiedy odwróciła wzrok, wyraźnie straciwszy zainteresowanie.

Jej następną ofiarą został Nick Prado. Akurat sadowił się w fotelu stojącym obok, kiedy zwróciła się do niego:

- Dlaczego zaangażował pan tego kusznika?

- Biorąc pod uwagę to, jak zginął Oliver, rzecz wydawała się w złym guście, prawda? - Uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Sprzedawałem swoje talenty jako spec od reklamy.

- Rzeczywiście, Nick sam wykreował się na dziennikarską hienę i był właścicielem największej firmy zajmującej się public relations w swoim rodzinnym Chicago.

- Wiedział pan, że chłopak jest bratankiem Olivera Tree - powiedziała Mallory, jakby już przyłapała go na kłamstwie.

- Naturalnie że tak - przyznał Nick. - Chłopak potrzebował pieniędzy. A dzięki temu numerowi jego stryj zyskał kilka dodatkowych minut sławy w wieczornych wiadomościach. - Nachylił się do Mallory z szerokim teatralnym uśmiechem.

Dla Charlesa była to trudna chwila. Nick zbyt przybliżył twarz do Mallory. Gospodarz z ulgą opuścił pokój, słysząc dzwonek u drzwi. Kiedy wrócił do salonu z kolejnym gościem, jeszcze jednym Francuzem, Nick Prado nadal żył, a Mallory znów skupiła swoją uwagę na Frannym.

- To pana ugodziła strzała. - Było to stwierdzenie faktu, ale wypowiedziała je takim tonem, że zabrzmiało jak oskarżenie.

- Czyżby? - Spóźniony gość, Emile St John, dołączył do kręgu rozmawiających, górując nad wszystkimi z wyjątkiem Charlesa. Był najstarszym z iluzjonistów, zbliżał się do osiemdziesiątki, ale wyglądał na młodszego od dwójki przyjaciół. Ciemna opalenizna i jaśniejsza skóra tam, gdzie zasłaniały ją gogle, nadawały mu czerstwy wygląd.

Podczas parady nie było czasu na oficjalne prezentacje i teraz, kiedy Emile wymieniał uścisk dłoni z Rikerem, Mallory z nieukrywanym podziwem spoglądała na srebrne włosy mężczyzny, ufryzowane przez mistrza grzebienia. St John nie miał na sobie swojego scenicznego kostiumu, tylko szary garnitur, szyty przez jeszcze jednego mistrza.

Emile usiadł na taborecie z czasów Jerzego III, stając się buforem między Mallory a przesłuchiwanym przez nią iluzjonistą. Jego spokojne niebieskie oczy spoczęły na Frannym, a ciepły uśmiech sprawił, że młodszy mężczyzna momentalnie się odprężył.

- Myślałem, że to do Nicka miano strzelać dziś rano.

- Cóż, nie chciał wejść na platformę - poskarżył się Franny żałosnym tonem. - Więc ja musiałem go zastąpić. - Uśmiechnął się słabo do Mallory, jakby chciał ją uspokoić. - Numer z kuszą niczym nie groził. Naprawdę. Nie narażamy ludzi na niebezpieczeństwo. - Uniósł dłoń do ust.

- Och, przepraszam, - Najwyraźniej właśnie sobie przypomniał, że młodą policjantkę oskarżono o wyjątkową lekkomyślność.

Nick Prado przysunął swój fotel bliżej do Mallory.

- Tym swoim pościgiem odwróciła pani od nas uwagę. Ale to wspinała reklama dla festiwalu iluzji.

- O, tak. - Franny się rozpromienił. - A kiedy strzeliła pani do nadmuchanego pieska...

- Nie strzelałam do nadmuchanego pieska - sprostowała Mallory.
- Ależ naturalnie że nie. - Franny przysunął się odrobinę do Rikera. - Przykro mi, że poruszyłem ten temat.

Mallory zwróciła się do Nicka:

- Nie było pana na platformie, kiedy oddano strzał. Co Franny miał na myśli, mówiąc, że nie chciał pan...

- Czy jestem podejrzany? - Nick zdawał się zachwycony taką perspektywą. - Dobra, to ja strzeliłem do wielkiego psiaka. Oddaję się w pani ręce. - Wyciągnął obie dłonie, jakby czekał, żeby go zakuła w kajdanki. - Proszę mnie zabrać. Nie? - Chwycił ją za dłoń z zamiarem ucałowania jej, ale Mallory była szybsza i cofnęła rękę.

Przez chwilę Charles się bał, że Mallory wytrze dłoń w serwetkę. Odniosł wrażenie, jakby Nick napawał ją obrzydzeniem.

Uśmiechnięty i odprężony Emile St John uniósł wzrok, kiedy Charles podsunął mu półmisek z przekąskami.

- Malakhai jeszcze nie przyszedł?

- Pojawi się dopiero późnym wieczorem. - Charles usiadł obok Nicka Prado i zaczął się mocować z korkiem od kolejnej butelki wina.

Franny Futura przechylił głowę na bok jak ptak.

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

- Malakhai został zaproszony na festiwal. - Nick sięgnął nad kolanami Mallory po półmisek z przystawkami, co naturalnie było tylko pretekstem. Otarł rękę o jej uda. Ściągnęła groźnie brwi, ale się nie poruszyła.

- No cóż, zawsze jest zapraszany - zauważył Franny. - Ale nigdy się nie pojawia.

- Malakhai? - Riker otrząsnął się ze swojego wygodnego letargu i włączył się do rozmowy. - To nazwisko jest mi znane. Chodzi o przyjaciela Charlesa? Przebywa w domu wariatów, prawda?

- Proszę tak nie mówić. - Charles wyciągnął korek i nalał wina Emile'owi St Johnowi.

- Przepraszam, w szpitalu psychiatrycznym. - Riker uśmiechnął się do Mallory. - A myślałaś, że brak mi dobrych manier.

Musiała jeszcze dać poznać - spojrzeniem albo gestem - że zdaje sobie sprawę z obecności Rikera w tym samym pokoju.

- Malakhai jest właścicielem całego budynku - wyjaśnił Nick. - To stary gmach, który robi spore wrażenie. A on wynajmuje pomieszczenia prywatnej klinice, dla siebie natomiast zatrzymał kilku-pokojowy apartament. Mieszka tam ze swoją zmarłą żoną.

Riker pociągnął łyk piwa.

- Czyli nadal jest stuknięty.

- Nie! - zaprzeczył Charles.

- O tak. - Nick się roześmiał. - Jest stuknięty, ale przejawia się to w bardzo oryginalny sposób. Występował razem ze swoją zmarłą żoną.

- Zgrabna sztuczka - powiedział Riker. - Ale absolutnie niezgodna z prawem.

- Na estradzie nie było zwłok. - Emile St John odstawił kieliszek na stolik. - Widzowie nie mogli zobaczyć Louisy.

- Niewidzialna kobieta. - Riker dopił swoje piwo. - Coraz bardziej zwariowane. - Wyszedł do kuchni w poszukiwaniu piwa, które przyniósł ze sobą.

Franny zawołał za Rikerem:

- Wie, że Louisa nie żyje. To tylko gra.

- Czyżby? - rzucił Nick. - Nie widziałaś Malakhaia od czasów wojny, prawda? Mieszka z tą zmarłą kobietą. I z nią śpi. - Nachylił głowę do Mallory i uśmiechnął się szeroko. - Nawet się z nią kocha. Jest młodsza od pani, a on jest dobrze po siedemdziesiątce. Dzięki temu człowiek może nie tracić nadziei.

Riker wrócił z pełną puszką piwa i usiadł na kanapie obok Fanny'ego.

- Od jak dawna wykonuje ten numer?

- O ile sobie przypominam - rzekł Emile St John - uwzględnił Louise w programie swoich występów zaraz po wojnie koreańskiej.

Mallory nieznacznie odsunęła fotel od Nicka w stronę Emile'a.

- Charles powiedział, że żona Malakhaia zginęła podczas drugiej wojny światowej.

- Zgadza się - potwierdził Emile. - Ale kilka lat później Malakhai odnalazł ją w obozie jenieckim w Korei.

- Korea. To była wojna mojego taty - powiedział Riker.

Mallory wpatrywała się w Emile'a, nadal zachowując się tak, jakby Rikera nie było w pokoju.

- Jak to „odnalazł ją”?

- Tortury - oświadczył Riker, zdecydowany udowodnić Mallory, że jednak istnieje. - Mojemu tacie po pobycie w jednym z tych obozów zostało kilka dziwactw. Malakhaiowi też pomieszało się w głowie. Biedaczysko.

- Być może. - Emile sprawiał wrażenie, jakby się nad tym zastanawiał. - Ale upierałbym się, że jest teraz zupełnie zdrowy na umyśle. A przynajmniej znacznie spokojniejszy. Między tamtymi dwiema wojnami Malakhai był najsmutniejszym człowiekiem pod słońcem. - Zwrócił się do Mallory: - Trudno Amerykance w pani wieku wyobrazić sobie następstwa wojny totalnej, podczas której miasta przemieniają się w leje po bombach, znikają drogi i charakterystyczne budynki.

Emile urwał, by napić się wina, reszta towarzystwa czekała. Nawet Mallory potrafiła się podporządkować urodzonemu gawędziarzowi. Tacy zawsze i wszędzie cieszyli się autorytetem.

- W powojennej Europie było wielu zaginionych: jedni trafili do obozów dla przesiedleńców, inni zmarli, jeszcze inni rozpiezchli się po świecie. Uciekinierzy całymi latami byli w drodze, szukając swoich najbliższych. Człowiek mógł iść ruchliwą ulicą Londynu czy Rzymu i nagle natykał się na człowieka zaglądnącego w twarz każdemu przechodniowi, szukającego kogoś zaginionego podczas wojny. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych Malakhai tak się właśnie zachowywał. Przykro było oglądać jego występy. Czasem tylko gapił się na widzów. O wszystkim zapominał, nie miał pojęcia, gdzie jest. Wtedy wiedziałem, że dostrzegł w mroku jakąś rudowłosą kobietę. Louisa już dawno odeszła, od lat nie żyła, i dobrze o tym wiedział. Ale nadal szukał jej w tłumie. Podczas kolejnej wojny znalazł ją w obozie jenieckim w Korei Północnej. Cella miała pół na pół metra kwadratowego. Nie było w niej miejsca, nawet żeby stanąć prosto. Trzymali go w tej klatce przez rok. Kiedy do niej wszedł, był sam, ale opuścił ją ze swoją ukochaną Louisą. To dopiero wielka sztuka.

Franny pokiwał głową.

- Louisa odznaczała się wyjątkową urodą, prawda? - zwrócił się do Rikera. - A oprócz tego była cudownym dzieckiem. Dzięki Bogu, że jej koncert nie zaginął podczas wojny. - Uniósł swój kieliszek. - Proponuję toast za Louise i jej muzykę.

- I za rosnącą sprzedaż płyt - dodał Nick. - Niechaj *Koncert Louisy* zawsze przynosi tantiemy.

Mallory wypijała toast tym samym winem, które podał jej Nick. Nigdy nie piła więcej niż kieliszek alkoholu podczas całego przyjęcia. Charles podejrzewał, że bała się upić, by nie stracić kontroli nad sytuacją.

- Oliver również kochał Louise. Uwielbiał ją. - Emile znów uniósł kieliszek. - Za nieodwzajemnioną miłość.

Charles wyciągnął rękę z kieliszkiem w kierunku Mallory, mając nadzieję, że nie zauważy tego gestu, bo zdarzyło jej się dwa czy trzy razy roześmiać. Chociaż nigdy nie śmiała się głośno, na całe gardło. Podejrzewał, że to też wynikało z chęci zachowania kontroli nad wszystkim.

Riker wzniosł piwo w toaście i puszka na chwilę zawisła w powietrzu. Nagle sobie przypomniał, by zadać odwieczne pytanie policjanta.

- Jak umarła Louisa?

- Tego nie wie nikt - powiedział Nick. - Mogła zostać zastrzelona za szpiegostwo albo potrącona przez autobus.

Rikerowi trudno było w to uwierzyć.

- Nigdy nie zapytaliście?

Mallory straciła zainteresowanie rozmową. Już usłyszała to, co chciała usłyszeć. Charles powiedział jej o tym dawno temu, a teraz powtórzył to samo Rikerowi.

- Nie ma sensu pytać. Malakhai nie może nikomu ujawnić okoliczności śmierci żony. Taki warunek zawiera kontrakt z firmą płytową. Uznali, że mgiełka tajemnicy przyczyni się do wzrostu sprzedaży *Koncertu Louisy*.

Kiedy przeszli do jadalni, Charles usiadł w jednym końcu stołu, czuwając nad obiegami salatek, półmisków i butelek z winem. Emile St John zajął miejsce naprzeciwko niego i natychmiast ten koniec stał się szczytem stołu. Mężczyzna cieszył się szacunkiem, który nie pasował do fachu iluzjonisty.

Na chwilę porzucając tę obserwację, Mallory spojrzała przez stół na Rikera. Tylko dłużył widelcem w talerzu i wiercił się na krześle z żalną miną.

Bardzo dobrze.

Chociaż Mallory nigdy się nie skarżyła, że została zdradzona,

prowadziła swój prywatny rejestr. Ukarła go za to, że stanął po stronie Coffeya w sprawie zabitego szczura, i nie wybaczy mu szybko. Kiedy podał jej półmisek z ciemnym mięsem, po raz pierwszy tego popołudnia spojrzała Rikerowi w oczy.

- To naprawdę bardzo pomysłowe: włożyć na obiad już poplamiony krawat.

- Owszem. - Policjant pochylił głowę i z dumą spojrzął na czerwoną plamę, pamiątkę po innym obiedzie. - Bycie niechlujem wymaga sporo wysiłku. - Odprężył się, potraktował jej sarkastyczną uwagę jako zawieszenie broni. Zwrócił się do Emile'a St Johna, siedzącego między Frannym Futurą a Nickiem Prado: - A więc wypuszczaj Malakhaia z domu wariatów. Czy pojawi się razem ze swoją żoną?

- Nigdzie się bez niej nie rusza. - Emile podał Mallory miskę z sałatą. - Była utalentowaną kompozytorką, cudownym dzieckiem. Jestem pewien, że Charles wspomniał już wcześniej o *Koncertie Louisy*.

Skinęła głową. Charles nie tylko o nim wspomniał. Zachwycał się nim, rozwodził się nad nim, przekonany, że Mallory słucha go z uwagą. Uznawał wyłącznie utwory klasyczne. Ona kochała wszelkie pozostałe. Dzięki swemu niezwykle muzykalnemu przybranemu ojcu Mallory potrafiła wymienić nazwiska wszystkich kierowników orkiestr ery swinga, każdego muzyka jazzowego godnego zapamiętania, wszystkich artystów bluesowych i gwiazd rock'n'rolla, ale nie odróżniała koncertu od sonaty. Jeśli przy jakiejś muzyce nie dało się tańczyć, Mallory jej nie uznawała.

- Znałem Louise podczas wojny - powiedział Nick Prado. - Druga wojna światowa to były czasy. Och, spodoba ci się to, Emile. Malakhai zaprezentuje w Carnegie Hall swój dawny numer. Orkiestra symfoniczna wykona koncert.

- We wcześniejszych zapowiedziach ani słowem nie wspomniano o Malakhaui - zauważył St John.

- Zastępstwo w ostatniej chwili. - Charles podniósł się od stołu. - Jakaś diwa się przeziębila i odwołała występ. Zaraz wracam. Tylko zmienię płytę.

Mallory obserwowała Rikera. Domyślała się, co się dzieje za tymi przekrwionymi oczami. Prawdopodobnie przetrwał wydarzenia dnia. Czy już wszystko dopasował do siebie, sprzeczność motywu i sposobu działania? Motyw zabójstwa dla pieniędzy, którego dopuścił się bratanek Olivera Tree, uzależniony od narkotyków, nie pasował do jej wcześniejszej teorii mordercy lubującego się w teatralnych efektach i żadnego szerokiej widowni. Jej kolega musi się zastanawiać, czy wymyśliła tę historyjkę na poczekaniu dziś rano podczas parady, czy zrobiła to po południu na użytek porucznika Coffeya. A może obie wersje to bajeczki?

Pogubiłeś się, Riker?

Muzyka grała cicho, stanowiąc tło dla rozmowy przy obiedzie. Z piwnicy przyniesiono stary gramofon, żeby Charles mógł puszczać na życzenie płyty z kolekcji dawnych albumów Maksa Candle'a. Poprzednia płyta, nagranie Artiego Shawa, pochodziła z 1943 roku. Teraz Mallory słuchała Lady Sings the Blues, odruchowo przypisując słowa pieśniarce, Billie Holiday, a muzykę Herbiemu Nicholsovi.

- Dla Malakhaia - powiedział Charles, wracając do stołu. - To jedna z jego ulubionych melodii.

Widocznie nieobecny Malakhai miał słabość do zmarłych kobiet, ale przynajmniej zapuścił się w lata pięćdziesiąte. Mallory datowała to nagranie na końcowe lata krótkiego życia artystki.

Branny Futura opróżnił dwa kieliszki wina i przesłała mu wcześniejsza nerwowość. Teraz, kiedy od Mallory dzielił go stół, mężczyzna przestał ją tak drażnić. Na znak pokoju wręczyła mu salaterkę z sosem żurawinowym.

- Proszę mi powiedzieć, jak długo znał pan Olivera Tree - odezwała się łagodniejszym tonem, żeby nie zabrzmiało to jak rozkaz.

- Poznaliśmy się w Europie, kiedy obaj byliśmy nastolatkami.

- W Europie? - Riker odwrócił się do mężczyzny siedzącego obok niego. - Myślałem, że był stolarzem z Brooklynu.

- Owszem, po powrocie z Paryża - powiedział Futura.

- Chociaż właściwie Oliver pochodził z Nebraski. Po śmierci rodziców wysłano go do Francji, do babki Faustine. Wszyscy zaczęliśmy w Teatrze Iluzji Faustine. Max Candle i Malakhai też.

- A więc Oliver Tree miał spore doświadczenie, jeśli chodzi o sztuki iluzjonistyczne. - Mallory rzuciła Rikerowi protekcyjnalny uśmiech. To podważało jego teorię śmierci w wyniku nieudolności. - Był dobrym iluzjonistą.

- O nie, wprost przeciwnie - zaprzeczył Nick Prado.

- Oliver był świetnym stolarzem. Robił piękne rekwizyty. Ale był beznadziejnym sztukmistrzem.

Teraz Riker się uśmiechał, a Mallory spoważniała.

- Masz rację - powiedział Futura. - Oliver nigdy nie miał wyczuć czasu, kiedy występował na estradzie. Brakowało mu też sprawności manualnej.

- Kusza, ta użyta podczas parady - odezwała się Mallory - czy nie był to rekwizyt z jego numeru?

Futura sprawiał wrażenie zbitego z tropu tym określeniem.

- Numeru Olivera? Ach, ma pani na myśli Zapomnianą Iluzję Maksa Candle'a? Skądże znowu. Podczas tej sztuczki wykorzystuje się broń powtarzalną. Ale jestem pewien, że kusza jednostrzałowa należała do Olivera. Naturalnie jego zbiór nie mógł się równać z kolekcją Maksa Candle'a.

Kilka lat temu chciałem kupić parę rekwizytów, pamiętek

z dawnych czasów. Ale wdowa po Maksie niczego nie sprzedawała.

- Kochana stara Edith. - Nick Prado powiedział to kwaśnym tonem, który mógł oznaczać wszystko, tylko nie sympatię. - Czy ta kobieta jeszcze żyje? - Zrobił skruszoną minę. - Przepraszam, Charles. Jestem pewien, że łączyły was bliskie stosunki.

- Nic nie szkodzi. - Charles nie wyglądał na specjalnie dotkniętego. Najwidoczniej wiedział, że żona jego kuzyna nie miała wielbicieli wśród obecnych przy stole. - Nie, nie żyje. Atak serca. Stało się to miesiąc temu.

Starsi panowie wyraźnie się ucieszyli na tę wiadomość, z trudem powstrzymali się od uśmiechów. Najbardziej uradował się Prado.

- Charles, mam nadzieję, że odziedzyczyłeś wszystko, co trzymał w piwnicy. Masz podium Maksa, prawda?

- Tak, ale od trzydziestu lat nie wyciągano go ze skrzyni. - Charles zwrócił się do Mallory. - Podium Olivera było bardzo podobne do oryginału. Max całkowicie je zmechanizował, by wyeliminować udział asystentów i błąd człowieka.

Riker uniósł wzrok znad talerza.

- Więc gliniarze nie występowali w oryginalnym numerze?

- Występowali - powiedział Prado. - Ale byli tylko statystami. Obecność policji sprawia, iż widzowie wierzą, że broń i kajdanki są prawdziwe. Charles miał na myśli to, że Max zrezygnował z Edith. Ona była jego asystentką, kiedy uległ wypadkowi w Los Angeles. Pamiętasz to, Emile? Przeleżał cały rok. To wtedy zbudował podium.

Mallory wyprostowała się na krześle.

- Myśli pan, że żona Maksa próbowała go zabić?

Prado sprawiał wrażenie, jakby się nad tym zastanawiał.

- To by wiele wyjaśniało.

Nóż i widelec Charlesa z brzękiem upadły na talerz.

- Mallory, wystarczy. Najpierw Oliver, teraz Max. Czasem naprawdę ludzie ulegają wypadkom.

Mallory nie słuchała Rikera. Zawsze starała się na podstawie ubioru oceniać swoich podejrzanych. Nickowi Prado niewątpliwie dobrze się powodziło, podobnie jak Emile'owi St Johnowi. Ale smocking Franny'ego Futury nie leżał dobrze. Może był wypożyczony. Może Franny cierpi na brak gotówki. Najbardziej lubiła zabójstwa popełniane dla pieniędzy.

- A więc żaden z panów nie lubił Edith Candle - podsumował Riker.

- Nie. - Prado napił się wina. - I wcale nie jestem pewien, czy Max za nią przepadał. Wybacz, Charles. - Uniósł wyżej kieliszek. - To tylko takie gadanie przy winie.

- Jednak Max jej nie zostawił - zauważył Futura. - Był niezłomny, jeśli chodzi o dotrzymywanie obietnic, danego słowa. Porzucenie żony nie było w jego stylu.

- Ale miał romans z żoną innego - zauważył Prado. - Nie był taki święty.

Charles znów upuścił widelec. To było dla niego coś nowego.

St John odsunął krzesło od stołu. Wyjął z kieszeni na piersi platynowe pudełko na cygara i taktownie zmienił temat.

- Mallory, rozumiem, że nie uważa pani śmierci Olivera za nieszczęśliwy wypadek. Może to pani udowodnić?

- Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, na czym polega ta iluzja z kuszami.

- Ale tego nikt nie wie - powiedział Futura. - Tę sztukę wykonano tylko raz. - Wyjął tanią zapalniczkę, by służyć ogniem przyjacielowi. - Kiedy to było, Emile? Czterdzieści lat temu?

St John skinął głową, wydmuchując niebieski dym.

- Wielu iluzjonistów chciało podejrzeć ten numer, ale Max był bardzo ostrożny, jeśli chodzi o próby przed występami. Idealne miejsce stanowiło miasteczko leżące gdzieś na uboczu i zbyt małe, by wydawać własną gazetę. To rozsądne zabezpieczenie: nie ukazywały się wścibskie notatki, kiedy dopracowywał nowy numer.

Dym unosił się w popołudniowym słońcu. Mallory sączyła wino i obserwowała siwowłosych mężczyzn. Byli najedzeni i opici winem, zadowoleni i senni - stanowili łatwy łup.

- Czy nie uważają panowie, że treść zaproszenia Olivera była dosyć osobliwa? - Mallory skupiła na sobie ich uwagę, kiedy przez moment udawała, że ma słabą pamięć. Wyjęła z kieszeni bluzy zaproszenie wysłane Charlesowi i na głos odczytała tekst, chociaż mogła go wygłosić z pamięci. - „Zapraszam na rozwiązanie sekretu Zapomnianej Iluzji Maksa Candle'a. Ujawniona zostanie więcej niż jedna mroczna tajemnica”. Osobliwy dobór słów, czyż nie?

I złowieszczy?

Najwyraźniej Riker tak uważał. Gapił się na nią, niezadowolony, jego spojrzenie mówiło: „Znów coś przede mną ukryłaś”.

Mallory zbyła to bezgłośnie: „Tak, i co z tego?”.

Pokręcił głową, by dać jej do zrozumienia, że nie zasłużył sobie na takie traktowanie. Współpracowali ze sobą.

Ale gdzie był jej partner, kiedy dziś zwijała się i pociła jak mysz w pokoju Wydziału Kryminalnego? Stał z Jackiem Coffeyem za szklaną ścianą, oglądając przedstawienie.

- Co kryje treść tego zaproszenia? - zwróciła się do starszych panów. - O jakie jeszcze tajemnice chodzi?

- Nie widzę nic osobliwego, jeśli chodzi o dobór słów - powiedział Emile St John, którego nic nie było w stanie wyprowadzić

z równowagi. - Oliver rozszyfrował sekrety kilku dawnych iluzji Maksa, wszystkie były tajemnicze. Rozdawał instrukcje wykonania trików starym przyjaciółom w prezencie. Dostałem opis iluzji z wisielcem i replikę starej szubienicy Maksa.

- Ja też dostałem instrukcję sztuki magicznej i skrzynię rekwizytów - dodał Nick Prado.

Franny Futura skinął głową.

- A ja iluzję Maksa z wahadłem. Zaprezentuję ją w teatrzyku Olivera.

Uśmiech kolegi Mallory mówił: „Oto twoja nowa teoria - koniec gry”. Jeszcze nie, Riker.

- Ale te sztuczki Oliver zapisał panom w testamencie. - Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie. - Żaden z was nie wiedział, co znaczą słowa zaproszenia, stało się to jasne dopiero po jego śmierci. - Mallory spojrzała na Rikera, wydzierając mu z powrotem decydujący punkt w grze.

- Wiedziałem, co znaczą - powiedział Nick Prado. - To zaproszenie ma kilka miesięcy. Opis iluzji przeznaczonej dla mnie przyszedł na długo przed moim wyjazdem z Chicago.

Pozostali kiwali głowami. A więc oni też otrzymali listy z wyjaśnieniami i opisy sztuczek przed śmiercią Olivera. Cóż, może jeden z nich kłamie - albo wszyscy.

- Naturalnie nie mogę wykonać iluzji z wahadłem według opisu Olivera - powiedział Futura. - Obawiam się, że coś sknocił, podobnie jak w wypadku sztuczki, podczas której stracił życie.

Nie musiała patrzeć na Rikera, i tak wiedziała, że się uśmiecha, a był to wstęp do głośnego rechotu. Musi mu sprawiać ogromną przyjemność obserwowanie, jak Mallory wszystko robi źle. Ale znajdował się w niekorzystnej sytuacji: nie wiedział, że dziś rano podczas

parady w tłumie był snajper. Gdyby w to uwierzył, nie skonfiskowałby jej ulubionego rewolweru.

A Riker zastanawiał się, dlaczego nie lubiła się dzielić tym, co wiedziała.

Spojrzała na niego zaskoczona, że partner się nie uśmiecha, gasząc papierosa.

- Nie można zawsze wygrywać, mała.

Mallory skinęła głową. Racja. Czy naprawdę sądził, że strzeliła do balonu, narażając się na nieprzyjemności i oskarżenie o lekkomyślne użycie broni? Diabelnie się mylisz, Riker.

Zaczęła rozmyślać o kolejnym kandydacie na swojego snajpera, nieobecnym mężczyźnie, tym, który mieszkał ze zmarłą kobietą. Chociaż wariaci rzadko trafiali na jej ostateczną listę podejrzanych, już starała się obarczyć winą Malakhaia. Jak umarła pańska żona, staruszku? I gdzie pan był, kiedy dziś rano oddano strzał z broni palnej?

ROZDZIAŁ 4

Tego ranka Charles Butler zrezygnował z tradycyjnego mundurka członka Harvard Club, co mu się rzadko zdarzało, i nie włożył trzyczęściowego garnituru i krawata. Ze względów praktycznych zdecydował się na niebieskie dżinsy i płócienną koszulę; przedzierając się przez trzydziestoletnią warstwę kurzu, można się nieźle pobrudzić.

Mallory podciągnęła rękawy bluzy. Ponieważ broń wywołuje nerwowość u zwykłych obywateli, a nie miała blezera, pod którym mogłaby ukryć kaburę, zostawiła służbowy pistolet kaliber trzydziści osiem w swoim pokoju na piętrze. Stanowiło to poważne sprzeniewierzenie się zasadzie, której hołdowała, ponieważ nie czuła się kompletnie ubrana, nie mając przy sobie broni.

Na podłodze piwnicy rysował się wyraźnie czworokąt ostrego światła, wpadającego z klatki schodowej, dalej panowały nieprzeniknione ciemności.

- Dlaczego sama nie naprawiłam kontaktu? - spytała Mallory, nawiązując do dyskusji, którą prowadzili od roku.

- Tyle zachodu? Po co? - Sięgnął do skrzynki z bezpiecznikami i wziął leżącą na niej latarkę. - Uważam, że tak jest bardziej nastrojowo.

O tak!

Charles, rozmiłowany w starociach, uważał, że każdy wiekowy grat wprowadza wyjątkowy nastrój, nawet zepsuta instalacja elektryczna. Mallory postanowiła powstrzymać się od dalszych komentarzy. Lepiej zwyczajnie poczekać, aż Charles się przewróci i skręci sobie kark w tych ciemnościach. Potrafiła się zdobyć na aż taki stoicyzm w relacjach z przyjaciółmi.

Prowadzeni przez światło latarki szli krętym przejściem, utworzonym przez skrzynie i kufry. Żółty snop przesunął się po połamanym fotelu bujanym. Może to on stanowił źródło zapachu zbutwiałego drewna, który unosił się w powietrzu. Wszystko przesiąknięte było kurzem, a teraz wyczuła jeszcze woń pleśni. Wszędzie piętrzyły się stosy okrągłych pojemników i kartonowych pudeł. Okrążając manekin krawiecki bez głowy, wciąż jeszcze myślała o instalacji elektrycznej.

Pierwotnie w tej suterenie o powierzchni hotelowej sali balowej mieścił się jakiś warsztat. Ale Charles, wyrośnięty hobbit, tęsknił za czymś przytulniejszym, bardziej na ludzką miarę. Może wołał posługiwać się latarką, ponieważ nie ujawniała prawdziwych rozmiarów piwnicy.

- Wczoraj wieczorem odszukałem skrzynie - powiedział. - Zawierają wszystkie główne elementy. Nie udało mi się odnaleźć okuć nóżek, ale jestem pewien, że się znajdują. Trzeba będzie zmontować podium. To trochę potrwa.

- Mam czas. Jack Coffey wysłał mnie na bezterminowy urlop. - Nie wspomniała, że porucznik odebrał jej również ulubioną broń. Nadal czuła się tym upokorzona.

- Rozumiem, że nie chodzi o urlop wypoczynkowy.

- Nie, ale tak to nazywamy. - Podeszła za nim do przepierzenia z wysokich drewnianych płyt połączonych zawiasami. Przedzielało całą piwnicę, odgradzając część, gdzie przechowywano rekwizyty Maksa Candle'a i gdzie wciąż działało oświetlenie.

Charles stanął przed dwiema środkowymi płytami pełniącymi rolę drzwi. Były zamknięte na łańcuch i kłódkę.

- Podium nie było rozpakowywane od śmierci Maksa, czyli od trzydziestu lat. Mechanizm może być w nie najlepszym stanie.

Mallory z pogardą gapiła się na kłódkę, starą i wielką jak budzik.

- Chcę się tylko przekonać, na czym polega ta iluzja.

- W tym ci nie mogę pomóc. - Charles przekręcił klucz i łańcuch przesunął się w otworach w płycie. - Nikt nie wie, na czym polega jej sekret. Właśnie dlatego nazwano ją Zapomnianą Iluzją.

Posłużył się obydwoma rękami, by rozsunąć harmonijkowe drzwi. Płyty skrzypiały, przesuając się na metalowych prowadnicach niczym akordeon, za nimi ukazało się przepastne pomieszczenie. Szare, rozproszone światło poranka wpadało przez okno umieszczone wysoko w ścianie, na jednym poziomie z dnem szybu wentylacyjnego. Za brudną szybą i żelaznymi kratami stały pojemniki na śmieci, należące do sąsiedniego budynku; wysypywały się z nich odpadki, tworząc raj dla gryzoni. Jedno zwierzątko o ciemnym futerku przywarło do okienka, tak że można mu się było lepiej przyjrzeć. Stworzenie zachowywało się zbyt bezczelnie, by dalej żyć, i Mallory postanowiła wrócić do innej dyskusji z Charlesem, dotyczącej pułapek, które rozprawiłyby się z tym szcurem, a także innymi.

- Odbyło się tylko jedno przedstawienie, w którym wykorzystano wszystkie cztery kusze - powiedział Charles. - Iluzję wykonano podczas próby gdzieś na prowincji.

Odwróciła się od ciemnego stworzonka za oknem.

- A więc była to niedobra iluzja?

- Niebezpieczna. - Pochylił się i dotknął kuli. Ożyła i zaczęła emanować delikatnym żółtym światłem. Prąd zmienny sprawiał, że

rozbłyskiwała i przygasała w rytm oddechów człowieka. Nad kulą płynął smok, wymalowany na trójdzielnym parawanie z papieru ryżowego. Pulsujące światło wywoływało złudzenie, że z paszczy smoka wydobywają się płomienie.

Pięć metrów dalej, w wąskim przejściu, utworzonym przez półki i kartony, migotał pionowy rząd malutkich gwiazdek, tworząc jasną smugę na tle głębokiej czerni. Podczas gdy Charles obchodził parawan ze smokiem, Mallory zbliżyła się do skierek. Zatrzymała się obok lampy stojącej z abażurem wykończonym frędzlami i pociągnęła za sznureczek, by oświetlić stary kufer stojący na uboczu. Był otwarty, błyszczące cekiny, widoczne w wąskiej szczelinie, przyciągały wzrok. Popękane skórzane boki kufra oklejono spłowiałymi różnokolorowymi zagranicznymi nalepkami.

Na otwartym wieku kufra leżała okładka starego albumu płytowego. Sądząc po grubej warstwie kurzu na zbutwiałym kartonie i na powierzchni kufra, od dziesięcioleci niczego tu nie ruszano. U swych stóp Mallory zobaczyła zarysy wielkich kwadratów o ostro odcinających się krawędziach. Ciągnęły się aż do parawanu, gdzie Charles włączał kolejne lampy. To znaczy, że wąską szczelinę zasłaniały skrzynie przesunięte wczoraj wieczorem. To tłumaczyło, dlaczego cekiny wciąż błyszczały, a nie zmatowiały pod warstwą kurzu.

Mallory wsunęła ręce w szparę w kufrze i otworzyła go, do czego - jak się okazało - była potrzebna siła, ponieważ zawiasy przeżarła rdza. W lewej części kufra znajdowało się coś w rodzaju wąskiej komody, a w prawej - drążek ze ściśle upchniętymi ubraniami na wieszakach. Jej wzrok przesunął się po świecidełkach i tkaninach o krzykliwych barwach, by spocząć na najzwyczajszym materiale. Ściągnęła ubranie z ramiączka i przysunęła do światła lampy stojącej. Biały atłas nie zżółkł, upływ czasu sprawił, że wydawał się

jeszcze bardziej mięsisty. Marynarka i spodnie były zaprojektowane dla mężczyzny, ale przerobione i dopasowane dla szczupłej osoby o smukłej kibicij. Spojrzała na szwy. To była robota bardzo dobrego krawca. Ten garnitur przewyższał jakościowo wszystko, co miała w swojej szafie.

Charles akurat szedł w jej stronę, kiedy przyłożyła garnitur do siebie.

- Śliczne - powiedział. - Skąd to wzięłaś?

Wskazała głową kufer.

- Wiem, że nie należało do żony twojego kuzyna. Edith była ni-ska.

Przesunął ręką po jednej z kolorowych nalepek.

- Teatr Iluzji Faustine. Pamiętam. To część dużej przesyłki ze zlikwidowanego teatru w Paryżu. Po wojnie Max kupił wszystko, co po nim pozostało. Kostiumy musiały należeć do jednego z artystów. Kiedy byłem małym chłopcem, ten kufer był zawsze zamknięty.

Mallory zaczęła grzebać w górnej szufladzie z bielizną. Jej dłoń trafiła na coś płaskiego. Kiedy to wyciągnęła, okazało się, że trzyma w rękę paszport. Nazwisko na wewnętrznej stronie było wyraźne, ale zdjęcie zniszczone, twarz wydrapana jakimś ostrym przedmiotem. Zajęła się drugą połową kufra, gdzie wisiały ubrania na drążku, i przeszukała wszystkie kieszenie, aż znalazła kartkę z francuskim tekstem, opatrzoną tym samym nazwiskiem.

- Kufer należał do Louisy Malakhai. Ciekawa jestem, co Edith myślała, wiedząc, że jej mąż przechowuje ubrania innej kobiety?

- Jeśli myślisz, że mogła być zazdrosna, to jesteś w błędzie - powiedział Charles. - Louisa zmarła wiele lat wcześniej, nim Max poznał Edith.

- Jeszcze jeden tragiczny wypadek? - Mallory spojrzała na za-mek. Sforsowano go siłą, ale już dawno temu. Rdza pokryła ślady

powstałe od narzędzia, którym wyłamano metalowy mechanizm. Charles powiedział, że kiedy był dzieckiem, widział kufer zawsze zamknięty, ale może Max Candle jeszcze żył, gdy jego żona dostała się do środka, posłużwszy się łomem.

Mallory od niechcienia wręczyła mu otwarty paszport Louisy Malakhai. Rzuciwszy okiem na wewnętrzną stronę, zrobił posepną minę. Może wysnuł własne wnioski na temat tego, kto zniszczył fotografię i dlaczego. A teraz patrzył na niewątpliwe ślady włamania do kufra. Jego niezwykły umysł potrafił szybciej kojarzyć fakty niż umysł Mallory.

- Wypadki się zdarzają - powiedział i odłożył paszport na kufer, ignorując dowód zazdrości żony Maksa: zdjęcie innej kobiety z wydrapaną twarzą. - Prawdę mówiąc, to dlatego Max po jednym występie zrezygnował z wykonywania numeru z kuszą. Ktoś zginął podczas próby jego zaprezentowania.

- Przecież to wszystko szalbierstwo - oświadczyła Mallory. - Trzeba specjalnego zachodu, by zginąć podczas wykonywania sztuczki magicznej.

- W większości wypadków miałabyś rację - zgodził się Charles. - Ale Max należał do wyjątkowych iluzjonistów.

Przeszła za nim za parawan ze smokiem, gdzie więcej kulistych abażurów i najrozmaitszych starych lamp stojących oświetlało płachty plastiku chroniące zawartość metalowych stelaży na ubrania. Zza warstwy celofanu tysiące strasów kłuły oczy swym blaskiem. Jedwabie i ałasy mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Za drążkami były rzędy metalowych półek, obitych mocnym materiałem. Nie interesowała jej jednak ich zawartość ani stosy zakurzonych skórzanych pudeł na kapelusze i olbrzymie karty do gry, ozdobnie pomalowane pojemniki i małe kufeczki. Było tu tyle kartonów i przedmiotów

luzem, poroziąganych na podłodze, że inwentaryzacja tego, co odziedziczył Charles, potrwa całe lata.

Lampa stojąca najdalej od parawanu ze smokiem oświetlała gilotynę. Wysoko w powietrzu, między smukłymi drewnianymi słupami, wisiało groźne metalowe ostrze. Wskazała na nie.

- Wiem, że to oszustwo.

- Max skonstruował tę gilotynę jeszcze w czasach, kiedy występowała Edith. Co wieczór traciła na niej głowę. Nie lubiła ryzyka.

Charles spojrzął ponad wielkimi drewnianymi skrzyniami, stojącymi obok siebie na podłodze. O półki wzdłuż jednej ściany oparto wysokie, grube, drewniane płyty.

- O ile sobie przypominam, elementy podium połączone są kołkami, które należy wsunąć w odpowiednie otwory.

Dwie godziny później poszczególne ścianki utworzyły sześcian o boku trzech metrów, ze schodkami w przedniej części. Trzy pozostałe boki były obłożone płytami z ciemnego palisandru. Na podium prowadziło trzynaście stopni, na nim wznosiły się dwa słupy z jasnego klonu. Mallory spojrzała na owalną tarczę umieszczoną między nimi. Kołki po bokach tarczy pomalowano na czarno, dlatego miało się wrażenie, że unosi się ona w powietrzu.

- Wygląda zupełnie jak ta, której użył Oliver Tree.

- I nic w tym dziwnego. - Charles stał z boku podium. - Większość prac przy niej wykonał Oliver. Był wspaniałym stolarzem. Jest jedna różnica, jeśli chodzi o tarczę, a konkretnie o kołki wchodzące w otwory w słupach. U Maksa są drewniane. U Olivera - stalowe.

Spojrziała na kwadratowe metalowe zagłębienia w pierwszym stopniu, po dwa z każdej strony. Wsuwano w nie mosiężne słupki, na których spoczywały cztery postumenty.

- To też się różni. Na migawce filmowej z występu Olivera wyglądało, jakby postumenty były zamocowane od dołu.

- Zawsze wszystko ulepszał. Prawdopodobnie myślał, że tak będzie bezpieczniej. Z tego, co widziałem, cała reszta nie różniła się od pierwowzoru. Ale nie oglądałem wewnętrznego pomieszczenia. - Jedną ręką przesunął po środkowej płycie bocznej ścianki na prawo od schodków. - Tutaj powinien być przycisk.

Nacisnął drewnianą listewkę. Płyta się przesunęła i mogli teraz zajrzeć do pustego wnętrza w podwyższeniu. Przez otwartą klapę na górze wpadało trochę światła. Charles wszedł i pociągnął za sznureczek wiszącej lampy. Okrągły metalowy abażur rzucał jasny krąg światła na podłogę, ale strop pozostał pograżony w mroku.

- Zdumiewające - powiedział. - Ta żarówka ma przynajmniej trzydzieści lat.

Mallory, schyliwszy się, weszła do ciasnego pomieszczenia i przyjrzała się rowkom, żłobkom i kołkom czekającym na pasujące do nich elementy.

- Nigdy nie widziałem, jak Max montował mechanizm.

- Charles stał w przejściu, patrząc na stopy nieodpieczętowanych skrzyń. - Będzie to trochę przypominało dopasowywanie części skomplikowanej układanki. - Podeszedł do najbliższej skrzyni i przeczytał napis na nalepce.

- Mechanizm równoległowodowy. Wiem, gdzie to powinno być: pod zapadnię. Nigdzie indziej się nie zmieści.

Mallory podeszła do schodków, kiedy Charles razem z pudłem zniknął we wnętrzu podium.

- Jeśli kiedyś znajdziesz się tu sama, pamiętaj, że od środka nie ma klamki - zawołał. - Kiedy byłem małym chłopcem, zatrzasnąłem się tu.

- A kłapa w suficie?

- Nie można jej otworzyć od środka. Opuszcza się ją za pomocą pedałów znajdujących się na estradzie.

- To raczej nierozsądne.

- Jeśli istnieje inny sposób, by ją otworzyć, Max nigdy mi go nie zdradził. Nie chciał, żebym się tu bawił sam. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne.

Święta racja.

Mallory była w połowie schodków na podwyższenie, kiedy usłyszała głos Rikera.

- Ej, gdzie jesteście?

Z tej wysokości widziała, co się znajduje za parawanem ze smokiem. Jej partner stał po drugiej stronie, sprawiał żałosne wrażenie, odziany w nowe i stare ubrania. Mallory postanowiła wykraść mu kapelusz, żeby go wyczyścić i odświeżyć. Większy kłopot przy realizacji jej zamiaru doprowadzenia garderoby Rikera do porządku będzie ze zdartymi butami.

Obszedł parawan i stanął przed podium, wskazując w stronę ciemnego przejścia w przepierzeniu.

- O mało nie skręciłem tam karku.

- Spóźniłeś się. - Spojrzała na papierową torbę, którą trzymał w prawym ręku. Była wystarczająco duża, by pomieścić jej rewolwer kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem.

- Zatrzymałem się, żeby kupić gazetę. - Riker podniósł płachtę papieru i pokazał duży nagłówek na pierwszej stronie. - Moje gratulacje. To najdłuższy tytuł, jaki kiedykolwiek umieścił ten szmatławiec. „Policjantka na oczach tysięcy dzieci strzeliła do pieska”.

Teraz, kiedy osiągnął zamierzony cel - była wściekła - złożył gazetę i schował ją do kieszeni płaszcza.

- Na szczęście zamieścili tylko zdjęcie balonu. Dzieciaki nie rozpoznają cię na ulicy i nie obrzucają puskami po piwie. - Riker się uśmiechał.

Mallory była poważna.

- A więc co powiedział Coffey? Czy nadal uważa mnie za niebezpieczną wariatkę? - Czy ty też tak sądzisz?

- Co takiego? - Zdumiony Charles wysunął głowę zza podium. - Jack Coffey tak powiedział?

Riker wzruszył ramionami.

- Mallory jak zwykle przesadza. - Spojrzał na nią. Stała na schodkach, wyżej od niego. - Porucznik nie powiedział, że jesteś szalona. Nie chciał tylko, żeby inni się dowiedzieli, że lubisz sięgać po broń. To zupełnie co innego.

Spojrzała na Rikera zmrużonymi oczyma.

- A więc nadal popierasz Coffeya.

- Masz na myśli jego przemowę na temat martwych gliniarzy? Mała, to element procesu twojego kształcenia. Musiałaś tego wysłuchać. - Wszedł po schodkach, by znaleźć się obok niej. - Ale jestem po twojej stronie. Zawsze byłem.

Nie zawsze. Wczoraj nie.

Charles znów zniknął wewnątrz podium. Po chwili z kwadratowego otworu w scenie zaczęła się wolno wyłaniać płatanina poskręcane żelastwa. Przypominała połamane druty parasola, kiedy na chwilę znieruchomiła, nim runęła na ziemię. Po chwili została wciągnięta z powrotem do środka i w otworze pojawiła się uśmiechnięta twarz Charlesa. Z miejsca, gdzie stała Mallory, wyglądało to, jakby ucięto mu głowę i beztrząsco porzucono na estradzie.

- Wciąż zostało kilka zagwozdek do rozwikłania - oświadczyła śmiejącą się głowa.

Kiedy Charles wolno zniknął pod powierzchnią sceny, Riker gwizdnął z podziwu.

- To niesamowite.

Mallory gapiła się na papierową torbę, którą ścisnął w rękę.

- Udało ci się wydobyć moją broń od Coffeya?

- Masz na myśli swojego gnata? - Pokręcił głową. - Porucznik

powiedział, że będziesz się musiała zadowolić swoją trzydziestką ósemką. Pamiętasz? Tą, którą dostałaś, kiedy rozpoczęłaś pracę w policji. Bronią służbową.

- Czy myślisz, że znów zacznę szalony pościg w tłumie?

- Nie - powiedział Riker. - Uważam, że wciąż ma do ciebie pretensję o to, że zabiłaś szczura. Niektórzy ludzie wariują na punkcie psów. Porucznik czuje słabość do szczurów.

W kwadratowym otworze znów pojawiła się głowa Charlesa.

- Zastrześliłaś czyjś szczura?

Mallory odwróciła się do gadającej głowy.

- Charles, lepiej ze mną nie zaczynaj.

Zniknął w głębi podium i ledwo usłyszała, jak niewyraźnie mruczy pod nosem:

- Jestem pewien, że szczur dostał to, na co sobie zasłużył.

Riker wszedł na podium i przykucnął obok podniesionej klapy. Pochylił się nad otworem i powiedział:

- Szczur miał na imię Oskar.

- Mogło być gorzej - rozległ się z dołu głos Charlesa. - Zabić szczura to jednak nie to samo, co zastrzelić psa Coffeya.

Mallory podniosła wzrok do nieba. Policzyła w myślach do dziesięciu, nim zwróciła się do swojego partnera:

- Czy udało ci się uzyskać coś konkretnego?

- Ejże, czy przyszedłbym z pustymi rękoma?

Charles wciąż pozostawał w środku.

- Ale skąd, są w nich dwa pistolety - zauważył.

Weszła na samą górę i stanęła obok Rikera, nie zwracając uwagi na uśmiechającą się do niej twarz wystającą z ciemnego kwadratu w podłodze.

- Czy przynajmniej wyciągnąłeś akta sprawy Olivera Tree?

- Nie musiałem. - Riker włożył jedną rękę do papierowej torby i wyjął z niej szarą teczkę. - Gliniarze z West Side mieli dość czatujących dziennikarzy, więc wydali oświadczenie prasowe. Wszystkie tu jest. Gazety dostaną je dziś rano.

Wzięła od niego teczkę i otworzyła ją. W środku zobaczyła tylko dwie rzadko zapisane kartki. Za mało.

- Nie rozmawiałeś z oficerem śledczym z West Side, prawda?

- Porucznik Coffey sprzeciwił się temu pomysłowi. Zapomniałaś? Ale to nie ma znaczenia. - Stuknął w teczkę, którą trzymała. - Masz tutaj wszystkie fakty. Kusze były dobre. Wszystkie sprawdzone. Kajdanki należały do gliniarzy biorących udział w numerze. Nikt nie mógł przy nich majstrować. Staruszek zginął, ponieważ kluczyk do kajdanek złamał się w zamku.

Mallory bezwiednie mięła kartki trzymane w ręku.

- A co z wykonawcą testamentu Olivera Tree? Czy przedstawił ci szczegółowo ostatnią wolę zmarłego?

- Nie rozmawiałem z nim. Przez najbliższe trzy dni będzie na pokładzie statku wycieczkowego.

Czyli że Riker nie przeprowadził żadnej z zaplanowanych rozmów. A jednak robił wrażenie zadowolonego z siebie.

- Nie ma wątpliwości, Mallory. To był nieszczęśliwy wypadek. Gdyby kluczyk się nie złamał, staruszek nadal by żył.

- Dla kilku milionów dolarów ktoś mógł coś przy nim majstrować. Potrzebna mi kopia testamentu...

- To stary kluczyk. Nie trzeba wydawać pieniędzy na testy laboratoryjne, by to stwierdzić. Nie widać żadnych śladów piłowania.

- Czy masz nazwę statku, którym płynie wykonawca testamentu?

- Po co? Przecież chodzi o nieszczęśliwy wypadek. Nie możemy domagać się od wykonawcy testamentu informacji i z całą pewnością nie możemy go ściągnąć z tego statku wycieczkowego. Zresztą to i tak byłaby strata czasu. Mała szansa, by prawnik poświęcił mi uwagę, jeśli nie będę miał nakazu sądowego. - Riker wręczył jej brązową papierową torbę. - To prezent od jednego z gliniarzy biorących udział w numerze staruszka.

Wyjęła parę kajdanek.

- Bez torby na dowody? Bez żadnych dokumentów?

- Mała, nie bawią się w takie rzeczy, kiedy mają do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem.

Z uwagi na Rikera udała, że ogląda kajdanki. Tydzień temu zbadała je dokładniej, kiedy ten dowód rzeczowy znajdował się na przegubie ręki trupa leżącego na stole do przeprowadzania sekcji zwłok. Ale nie wspomniała Rikerowi o swej wizycie w kostnicy.

Mallory wskazała złamany kawałek metalu, sterczący z zamka.

- Gdzie reszta?

- Nigdy nie jesteś w pełni usatysfakcjonowana, prawda? Policjanci nie znaleźli drugiej części klucza. - Riker rozpiął płaszcz, szykując się do zabawienia tu jakiś czas. - Gliniarz, do którego należą te kajdanki, nie puści pary z ust. Coffey się nie dowie, że rozmawialiśmy z kimkolwiek z komisariatu w West Side.

Jakby mi na tym zależało, pomyślała Mallory. A więc kajdanek nigdy nie poddano szczegółowym oględzinom.

- Brak dokumentów świadczących, do kogo należały. Bezużyteczne jako dowód procesowy.

- Przyjrzyj się im, Mallory. W cholernym zamku tkwi ułamany klucz. To potwierdza teorię o nieszczęśliwym wypadku.

Zeszła po schodach i zatrzymała się obok lampy stojącej. Zbliżyła kajdanki do żarówki. Ułamany fragment metalu był miejscami jasny, miejscami ciemny.

- To dowód popełnienia morderstwa, a raczej byłby nim, gdyby wszyscy sumiennie wywiązywali się ze swoich obowiązków. - Mallory zaliczyła Rikera do grona partaczy.

W zeszłym tygodniu była jedyną funkcjonariuszką policji obecną podczas sekcji zwłok Olivera Tree. Doktor Slope zamknął staruszkowi oczy, w których malowało się przerażenie, i sprzeciwił się jej żądaniu, nazywając je rzeczą zbędną i nieludzką. Nie dokonał nawet oględzin organów wewnętrznych nieboszczyka, ponieważ ofiarom wypadków nie wykonywano pełnej autopsji. W końcu Mallory sama wzięła młotek doktora Slope'a i strzaskała drobną dłoń stolarza, nie chcąc zniszczyć dowodu rzeczowego - kajdanek. Dlatego ich nie przepiłowała ani nie usunęła złamanego klucza z zamka.

I po tym, jak troskliwie obeszła się z kajdankami, co zrobił oficer dochodzeniowy z West Side? Oddał je gliniarzowi, do którego należały, niczym jakąś makabryczną pamiątkę.

Czy mogła jeszcze coś uratować?

- Gdybym dała te kajdanki Hellerowi, powiedziałby, że to stary klucz, wyczyszczony do połysku...

- Heller nic nie powie. - Riker wolno schodził po stopniach, kręcąc głową. - Biegli sądowi nie będą tracili na to czasu ani pieniędzy. A twój podejrzany numer jeden? Naprawdę myślisz, że staruszek zostawił pieniądze ćpunowi? Zastanów się nad tym, mała. Dlaczego bratanek miałby zabijać stryja, żeby odziedziczyć miliony, a potem brać sto dolców za wykonanie numeru z kuszą podczas parady? Czy tak się zachowuje podejrzany o popełnienie zabójstwa w celu odniesienia korzyści majątkowych?

Nie, ale bratanek nadal mógł się na coś przydać.

- Nie zamierzasz wspomnieć o tym drobnym szczególe Coffeyowi, prawda?

Teraz Riker zrobił minę człowieka, który stwierdził, że rozwodniono mu drinka.

- Od samego początku ten ćpun nie pasował ci na podejrzanego. Oszukałaś Coffeya, prawda?

Mallory nawet nie mrugnęła powieką, czekała w milczeniu, aż jej minie gniew. Gdyby Riker wierzył, że podczas parady strzelił jakiś snajper, nie musiałyby oszukiwać, by nie dać się wyeliminować z gry.

- Może obydwoje macie rację. - Charles mocował podporę postumentu w metalowej obejmie w stopniu. Trzy przekładnie zębate mechanizmu zegarowego z matowego mosiądzu tworzyły ponadmetrowej wysokości kolumnę. - Zapomniana Iluzja była niebezpieczna. Przypuśćmy, że Oliver jeszcze powiększył ryzyko, posługując się starym kluczem...

- Nie uważam, żeby był aż tak lekkomyślny. - Mallory paznokciem wydobyła z zamka kawałek ułamanego metalu. - Ale podrzucenie starego klucza to dobre posunięcie z punktu widzenia zabójcy. Słabość nowego ujawniłaby się podczas badań na zmęczenie materiału.

Wyciągnęła z zamka ułamany kawałek klucza. Gapiła się na dziwne rowki na jego powierzchni.

- Twierdzę, że wypolerowano metal, by wyglądał jak nowy. A kto ma dostęp do poniewierającego się starego klucza od kajdanek? Zawęziłabym krąg podejrzanych do gliniarzy i iluzjonistów.

Charles podszedł od tyłu i spojrzał przez ramię Mallory na złamany kawałek metalu, leżący na jej otwartej dłoni.

- Łopatka klucza jest w porządku. Złamała się przedłużka.

- Łopatka klucza? - Teraz dostrzegła miejsce połączenia między częścią z ząbkami a uchwytem. Spojrzała na Charlesa. - Widziałeś to wcześniej?

- Tak, wygląda identycznie jak komplet wytrychów Maksa. Eleganckie cacka. Może to jedyne, czego Oliver nie potrafił udoskonalić. - Podszedł z powrotem do podium i przyklęknął, by coś znaleźć w skrzynce z narzędziami.

- Są różne sposoby otwierania kajdanek. Można to zrobić, posługując się nawet kawałkiem drutu.

- Ale nie kajdanki policji nowojorskiej - powiedział Riker. - Są najlepsze.

- Cóż, większość da się otworzyć drutem albo wytrychem - stwierdził Charles.

Mallory wiedziała, że stara się być taktowny. Wiedza Rikera na temat rodzajów zamknięć ograniczała się do aluminiowych kóteczek służących do otwierania puszek z piwem.

Charles wyjął ze skrzynki na narzędzia zielony aksamitny woreczek.

- Ale jeśli to kwestia życia i śmierci, a w dodatku człowiek nie ma zbyt wiele czasu, rozsądek podpowiada, żeby posłużyć się kluczem.

Mallory przykucnęła obok skrzynki z narzędziami i spoglądała na wyhaftowaną na woreczku literę F. Identyczny woreczek Slope odczepił od ubrania Olivera Tree. Ciekawa była, co bystry oficer dochodzeniowy z West Side zrobił z tym dowodem rzeczowym.

Charles otworzył woreczek i wy dobył z niego kolekcję krótkich metalowych bolców zwisających z wąskiej szczeliny w dziesięciocentymetrowej rurce.

- Widzisz rowek? Jest identyczny jak w tym, co zostało z twojego klucza.

Wpatrywała się w metalowe bolce, niektóre puste w środku, inne pełne. Miały grubość kluczy do kajdanek i takie same ząbki, ale były zbyt krótkie, by się nimi posłużyć.

- To jeszcze jedna pamiątka po Teatrze Iluzji Faustine. - Charles odkręcił kulkę z jednego końca żłobkowanej rurki i wysypał

kilkanaście łopatek od kluczy na dłoń. - Niektóre z nich to zabytki. - Wskazał na jedną. - To klucz, którym posługiwał się Houdini, żeby otwierać angielskie kajdanki. Zdaje się, że nazywały się kajdankami Darby'ego. - Podniósł w górę inną łopatkę z ząbkami po obu stronach. - A ta otwiera kajdanki Martina Daleya. Jedna z nich to klucz uniwersalny do modelu z czasów wojny burskiej, zamykanego na kłódkę podobną do tej, która jest przy drzwiach harmonijkowych. Reszta to...

- Klucze uniwersalne? - Mallory wstała, by przysunąć jeden klucz bliżej światła. Zauważyła delikatne rowki na główce.

Riker wziął złamany klucz z jej dłoni i odkręcił go od przedłużki. Spojrzał na łopatkę, którą trzymała.

- To wszystko klucze uniwersalne?

- Tak - powiedział Charles. - Jeden z licznych mężów Faustine był ślusarzem. - Przykręcił końcówkę klucza do rurki. - Dzięki tej przedłużce można otworzyć zamek, mając jedną rękę zakutą w kajdanki. - Wstał i wskazał kajdanki trzymane przez Mallory. - Mogę? - Wziął je i na chwilę odwrócił się plecami. Potem stanął twarzą do niej i podając jej kajdanki, poprosił: - Zakuj mi prawą rękę i nie puszczaj kajdanek.

Posłusznie wsunęła na przegub ręki Charlesa jedną obręcz kajdanek i zatrzasnęła ją. Podniósł zakutą rękę nad głowę, ciągnąc w górę jej rękę, w której ścisnęła drugi koniec kajdanek. Kiedy opuścił rękę, metalowa obręcz osunęła się z przegubu jego ręki i zawisła na łańcuchu kajdanek trzymany przez Mallory.

Riker, zaskoczony, wziął klucz Charlesa i przyłożył go do złamanego.

- Jakim cudem zrobiłeś to tak szybko? Przysięgam, że nigdy nie widziałem, żebyś otwierał zamki.

- To nic wielkiego. - Charles spojrział na Mallory niemal przeproszająco. - Oliver mógł zginąć przez sentyment do dawnych czasów, posługując się starym kluczem od Faustine.

- Ale skorzystał nie z tego klucza co trzeba - zwrócił się Riker do Mallory. - Klucz Charlesa różni się od złamanego. Przykro mi, mała, lecz nie zrobisz z tego sprawy. Klucz się złamał w zamku, ponieważ starszerek posłużył się nie tym kluczem co trzeba.

Mallory wzięła wytrychy i zacisnęła na nich mocno dłoń.

- Ile osób ma coś takiego?

- Może to mieć każdy, kto pracował u Faustine - powiedział Charles. - I prawdopodobnie to oryginały. W dzisiejszych czasach bardzo drogo kosztuje zrobienie nowych. To nie zadanie dla zwykłego ślusarza. Potrzeba zdolnego rzemieślnika, prawdziwego artysty.

Mallory się uśmiechnęła.

- Czyli teraz w grę wchodzi ktoś z kręgu starszych panów.

Riker ze złością wznosił ręce w górę.

- To jest zły klucz. Jak możesz patrzeć na te same dowody i...

- Myślisz, że Oliver go nie sprawdził? Charlesowi zajęło trzy sekundy znalezienie właściwego klucza uniwersalnego.

- Oliver mógł być zdenerwowany - rzucił Charles.

- Trema. Wypadki się...

- Zajmował się renowacją budynków - przerwała mu. - Wiedział, co to zmęczenie materiału. Więc dlaczego miałby posłużyć się pięćdziesięcioletnim kluczem uniwersalnym, który mógłby się przyczynić do jego śmierci? Ktoś je podmienił. To dlatego w zamku była zła końcówka klucza.

Riker nie był do końca przekonany, ale nie miał ochoty ciągnąć tego tematu.

- To za mało, by przekonać ławę przysięgłych, że mamy do czynienia z morderstwem.

- Być może - zgodziła się. - Ale to bardzo dobry punkt wyjścia. Jeśli bratanek miał dostęp do kuszy staruszka, mógł również wiedzieć o tym komplecie wytrychów. Musisz przesłuchać chłopaka jeszcze dzisiaj.

- Dziennikarze też chcieliby z nim porozmawiać - oznajmił Riker. - Podoba im się jego stanowisko w sprawie zabójstwa nadmuchiwane go psiaka. Ale nie mogą smarkacza znaleźć. Nikt nie wie, gdzie on jest.

- Szukaj go. I chcę dostać z powrotem swoją trzysta pięćdziesiątkę siódemkę.

- Och, zapomnij o tej przeklętej spluwie - powiedział Riker. - Po co zadawać sobie tyle trudu, by drażnić Coffeya? Twoja trzydziestka ósemka, chociaż robi mniejsze dziury, jest równie skuteczna.

Charles nie wtrącał się do dyskusji. Wziął metrowej długości pręt i wszedł po schodkach na podwyższenie.

Stał na drabince, trzymając poprzeczkę nad dwoma pionowymi słupkami, i ostrożnie wsuwał kołki w otwory, kiedy Mallory zwróciła się do niego:

- Nie pamiętam nic takiego na podwyższeniu Olivera.

Charles skinął głową, mocując bolce.

- Wiem, ale widzisz to? - Wskazał zagłębioną oprawkę do żarówki w dolnej części poprzeczki. - Przytrzymuje również kotarę. Z tyłu biegnie drążek na...

- U Olivera nie było kotary ani lampy.

- Mallory, najpierw wszystko zmontujmy. Potem możesz usunąć elementy, które ci nie pasują.

Riker pochylił się nad otwartą skrzynią i wyciągnął z niej kuszę. Gruby pęk cięciw zwisał swobodnie. Uchwyt i spust miały kształt

jak u strzelby. Ale zamiast kurka powodującego tam odpalenie naboju, z osady sterczał długi zakrzywiony kawałek metalu.

- Ej, Charles! - Riker wskazał wąski, podłużny pojemnik na wierzchu osady. - To magazynek?

- Tak, to magazynek. - Charles zszedł na dół, pokonując po dwa stopnie naraz. - Mieszczą się w nim trzy strzały. - Wziął od Rikera broń. - Trzeba ją wyczyścić i naoliwić. Strzelając na sucho, można ją uszkodzić. - Zaniósł kuszę na podwyższenie i umocował jej osadę w zagłębieniu na szczycie postumentu z kół zębatach. Kusza wycelowana była w owalną tarczę. - Mallory, nigdy się tym nie baw, jeśli będziesz tu sama. To niebezpieczne.

- Jasne.

- Mówiłem ci, że ktoś od niej zginął.

Riker spojrział znad kolejnej skrzyni, której zawartość przeglądał.

- Ktoś poza Oliverem Tree?

- Tak, była jeszcze jedna ofiara - powiedział Charles. - Max wypróbował iluzję w małym miasteczku. Po spektaklu dwóch miejscowych chłopaków zakradło się za kulisy. Jeden z nich twierdził, że potrafi wykonać sztuczkę. Założyli się między sobą i chłopak zginął, miał zaledwie siedemnaście lat.

- A więc ta iluzja zawsze była niebezpieczna. - Riker spojrział na Mallory z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Potem jego wzrok przesunął się po wszystkich otwartych skrzyniach i mechanizmach.

- Dość dużo gratów jak na jedną kiepską sztuczkę.

- O nie - powiedział Charles. - To podium wykorzystywano do kilku numerów. W skrzyniach są rekwizyty do wykonania przynajmniej dwunastu różnych trików iluzjonistycznych. Zajmie trochę czasu rozgryzienie tego wszystkiego.

Mallory stanęła obok jednego z postumentów złożonego z wielkich mosiężnych kół z ostrymi zębami. Na tym nie zamontowano jeszcze kuszy. Metalowy bolec wypadł z otworu w pobliżu krawędzi górnej zębaki.

- Naprawię to. - Charles podniósł bolec i wsunął go z powrotem na miejsce. - Na bolcu powinna być czerwona chorągiewka, żeby widzowie mogli śledzić, jak obraca się wokół zębaki. Kiedy dotrze na samą górę, spycha cięciwę z chwytu. Oliver pominął ten szczegół: nie było chorągiewek.

Riker pokiwał głową.

- Człowiek się zastanawia, co jeszcze przeoczył staruszek.

Charles nakręcił sprężynę kluczem znajdującym się z boku postumentu, a potem nacisnął guzik na górze. Mosiężne koła zaczęły się obracać ze zgrzytem.

- Wszystko trzeba naoliwić.

Pochylił się nad skrzynką z narzędziami i wyjął z niej oliwiarękę. Po nasmarowaniu olejem maszynowym zębaki wolno się obracały, tykając głośno niczym zegar. Mallory obserwowała, jak bolec wspina się coraz wyżej, do miejsca w którym zostanie zainstalowana druga kusza. Spojrzała na pozostałą broń w skrzyni u swych stóp.

- Wszystkie są sprawne?

- Mam nadzieję - powiedział Charles. - Żadnego szachrajstwa, jeśli to masz na myśli. Ale dziś nie możemy z nich wystrzelić. Trzeba je porządnie oczyścić i założyć nowe cięciwy.

Riker usiadł na najniższym stopniu podium i spojrzał na Mallory.

- Więc uważasz jednego z tych starszych panów za podejrzanego?

Koła zębate mechanizmu zegarowego wciąż się obracały. Tik, tik, tik...

- Byli na pokazie w Central Parku i na paradzie.
- Charles też - przypomniał Riker z uśmiechem. ...tik, tik...
- Charles jest usprawiedliwiony. - W przeciwieństwie do Rikera.
- Dobra, Mallory. - To zabrzmiało protekcjonalnie. - A co z tym snajperem, co to z tłumu strzelał do balonu?

...tik...

Mallory odwróciła się do swojego partnera.

- A co cię to obchodzi, Riker? Przecież i ty, i porucznik uważacie, że skłamałam, jeśli chodzi o ten strzał. Dlatego Coffey nie pozwala mi prowadzić dochodzenia. A ty nawet się nie pokwapiełeś, żeby opisać dowody rzeczowe.

...tik, tik, tik, tik...

Jak na tak wysokiego mężczyznę, Charles Butler poruszał się niezwykle zwinnie. Rozpłynął się, zniknął wewnątrz podium, gdzie nie panowała tak napięta atmosfera i można było czuć się bezpieczniej.

- Chwileczkę, Mallory. - Riker wstał. - Bardzo się mylisz.

...tik, tik, tik...

Jej głos był monotony jak u automatu.

- Byłam głupia, mówiąc ci, że zastrzeliłam szczura. Dostarczyłeś Coffeyowi tematu dla jego zwariowanego wykładu. Czy wszyscy macie taki zwyczaj? - Podniosła ręce, oczy zrobiły jej się trochę większe. Może pomyślał, że chce go uderzyć.

...tik, tik...

Z rękami uniesionymi nad głową, niczym osoba zatrzymana, obróciła się wolno, żeby mu pokazać, że nie ukrywa broni.

- Kiedy będziesz składał raport porucznikowi Coffeyowi, powiedz mu, że nie mam dzisiaj przy sobie rewolweru. Wszystkie szczury mogą spać spokojnie. - Aluzja była czytelna: zaliczała go do szkodliwych gryzoni.

...tik...

Riker miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i zacisnął usta, aż utworzyły cienką linię. Odwrócił się do niej plecami i okrążywszy parawan ze smokiem, skierował się do wyjścia.

Z mroku za przepierzeniem dobiegł jakiś hałas, kiedy kopnął coś, co mu zawadzało. Sądząc po odgłosie, przedmiot poleciał daleko. Rikera rzadko ponosiły nerwy. A jego gniew nigdy nie był skierowany przeciwko niej, bez względu na to, na jakie próby go wystawiała w dzieciństwie i później.

W końcu znalazła czuły punkt Rikera.

...tik, tik, tik, tik...

ROZDZIAŁ 5

Rabin David Kaplan był szczupłym i eleganckim mężczyzną, ale ani trochę nie przypominał hazardzisty, przynajmniej w golfie i z bochenkiem chleba w dłoni. Krótko przystrzyżona bródka nadawała mu dystygowany wygląd, a niezmacony spokój, z jakim spoglądał na świat, sprawiał, że trudno było uwierzyć, iż potrafi dzielnie przebijać podczas partyjki pokera. Na samym wstępie, jako troskliwy gospodarz, zabrał Charlesowi Butlerowi krawat, argumentując, że człowiek nie jest w stanie skupić się na grze, jeśli nie może swobodnie oddychać.

Krawat zawisł na wieszaku obok kabury z bronią Mallory. Coś takiego stanowiło niecodzienny widok w domu Davida Kaplana.

Charles zajrzał do salonu znajdującego się w końcu korytarza. W pokoju przebywała tylko jedna osoba - starszy pan w czarnym garniturze; jemu pozwolono zostać w krawacie. Gość położył na kolanach starannie złożony szary płaszcz, a kapelusz przytrzymał sękatym palcem. Teraz wstał z kanapy. Kiedy jego smutny wzrok spoczął na Charlesie, nieznajomy wyraźnie się rozczarował, niewątpliwie spodziewając się ujrzeć kogoś innego. Drobnny i filigranowy zdawał się unosić nad dywanem, delikatny jak suchy liść, który jeszcze na dobre

nie opadł na ziemię. Jego twarz miała ziemisty odcień, a oczy były koloru prochu strzelniczego.

- To pan Halpern - przedstawił go rabin. - Chciał zamienić kilka słów z twoim przyjacielem. To dla niego bardzo ważne. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Skądże znowu. - Ponieważ pan Halpern był w krawacie, Charles zdążył już wyciągnąć słuszny wniosek, że nie przyszedł tutaj na partyjkę pokera. Po dokonaniu prezentacji grzecznie skinął głową starszemu panu. - Na pewno nie chce pan do nas dołączyć?

Pan Halpern skłonił się lekko, jak to czynili dżentelmeni w ubiegłym stuleciu.

- Dziękuję, ale wolę poczekać tutaj. - Wskazał kapelusz i płaszcz, by dać do zrozumienia, że nie zabawi długo.

Charles udał się za rabinem do zacisznego gabinetu, pełnego oprawionych w różnobarwną skórę książek. Obok drzwi stał barek na kółkach, a na nim kanapki, o jakich mógłby zamarzyć miłośnik tych przekąsek. Już się zesзли wszyscy stali bywalcy. Charles nadal wyglądał na przesadnie wystrojonego wśród osób w swetrach i bluzach, dzinsach i spodniach koloru khaki. Zdjął marynarkę, rozpiął kamizelkę i podwinął rękawy białej koszuli.

Doktor Slope stał nad deską do krojenia serów, nóż z ząbkami fruwał w akcie tworzenia, opadały spod niego żółte i białe plasterki. Patolog potrafił przybrać kamienną twarz, nawet królewski poker nie był w stanie zmącić powagi na jego opanowanym obliczu. Przyjaciele mówili do niego Edward. Nie należał do przymilnych Edów, osób, których imię się zdrabnia. Lekarz skinął Charlesowi na powitanie, nie przerywając swojej czynności.

- Cześć, Charles! - W oczach Robina Duffy'ego malowała się taka radość, jakby się nie widzieli od lat, chociaż zaledwie tydzień

temu spotkali się u Robina na partyjce pokera. Emerytowany prawnik był drobnym, siwym staruszką i trudnym przeciwnikiem, który prezentował taką samą zadowoloną minę bez względu na to, jakie dostał karty. Każda zmarszczka na jego twarzy zdawała się mówić: „Tak się cieszę, że tu jestem”.

Mallory stanęła za Robinem, wyciągając pieniądze z kieszeni niebieskich dżinsów i kaszmirowego blezera. Rzadko gdziekolwiek bywała i pojawiła się tutaj tylko z uwagi na nalegania rabina Kaplana, niezłomnego strażnika tego miejsca, gdzie mieściła się jej dusza, chociaż Edward Slope często utrzymywał, że rabin strzeże pustego pomieszczenia.

Teraz Charles mógł po raz pierwszy obejrzeć w całej okazałości nowy nabytek w domu rabina. Stary, składany stół do gry w karty odesłano do lamusa, a jego miejsce zajął masywny mebel z grubymi nogami, zwężającymi się u dołu i zakończonymi na kształt lwich łap.

- Piękny stół, Davidzie - chwalił Charles.

- To prezent od mojej żony. - Rabin przesunął ręką wzdłuż wyprofilowanego mahoniowego rantu, palcami delikatnie muskając zielone sukno pokrywające blat.

Odsuwając krzesło od stołu, Mallory rozstrzygnęła zarazem, gdzie kto usiądzie. Jak można było przewidzieć, wybrała miejsce przodem do drzwi. Zawsze zabezpieczała sobie tyły. Doktor Slope zajął krzesło po jej lewej ręce. Lubił przebywać blisko dziewczyny, bez względu na okoliczności, by mieć możliwość jej dogadywać. Z drugiej strony usiadł Robin Duffy, oddany wielbiciel Mallory. Rabin Kaplan ulokował się naprzeciwko lekarza i Kathy, by móc wystąpić w roli rozjemcy.

Charles przycupnął na pojedynczym wolnym miejscu między Robinem a Davidem, bo spodziewano się jeszcze dwóch osób, które z pewnością zechcą siedzieć obok siebie.

Kiedy wszyscy znaleźli się za stołem, pojawiły się butelki z piwem na podkładkach obok talerzy z kanapkami i popielniczek. Teraz zauważył jeszcze coś nowego: prawdziwe sztony do gry w pokera - czerwone, białe i niebieskie - zamiast monet.

Mallory wyczytała z jego twarzy, o czym pomyślał.

- Zupełnie jak prawdziwi karciarze - zwróciła się do Edwarda Slope'a, nie próbując nawet ukryć sarkazmu.

- Niech zgadnę. - Wzięła biały żeton. - Ten jest wart pięć centów, prawda?

Doktor z uśmiechem pochylił się w jej stronę, by odpowiedzieć celną ripostą:

- Wiesz już, w jaki sposób spożytkujesz wygraną? Może zafundujesz sobie wielkiego wypchanego pieska?

Robin Duffy groźnie spojrział na doktora.

- Nie możesz udowodnić, że to ona strzeliła do balonu.

- Powiedziałeś to jak prawdziwy prawnik, Robinie. Byłem tam, kiedy go puknęła. - Doktor Slope szybko ustawiał swoje żetony, budując z nich małe krzywe wieżyczki.

Sposób, w jaki doktor obchodził się ze swoimi sztonami, powiedział Charlesowi, który miał dyplom z psychologii, że Edward Slope nie należy do osób zachowujących podczas partyjki pokera rozwagę. Niedbale ułożone żetony mówiły: „Przyszedłem tutaj, żeby grać”. Zresztą Edward obwieszczał to na cały głos za każdym razem, kiedy siadał do stolika.

Rabin ustawiał swoje plastikowe sztony w równiutkie kolumnienki, co było cechą charakterystyczną dla osób powstrzymujących się od przebijania, ale zarazem w najwyższym stopniu opanował sztukę blefu.

Jeśli chodzi o grę w karty, wykształcenie Charlesa okazało się całkowicie bezużyteczne. Pierwsza partyjka z tymi ludźmi zniszczyła jego wiarę w uporządkowany wszechświat, w którym obowiązują

związki przyczynowo-skutkowe. Pomimo biegłej znajomości mowy ciała, wysokiego ilorazu inteligencji i umiejętności logicznego rozumowania nigdy nie wygrał. Ale co tydzień zasiadał do pokera, przypominając bitego psa, poddającego się eksperymentowi naukowemu.

Nigdy wcześniej nie grał przeciwko Mallory. Na długo zanim się poznali, zrezygnowała z partyjek pokera z najstarszymi przyjaciółmi swego przybranego ojca. Charles gapił się na równiutkie stopy jej żetonów ułożonych z taką pedanterią, że można je było wziąć za solidne plastikowe filary. Gdyby ją spotkał po raz pierwszy, gdyby nie wiedział, ile sztuk broni posiada, uznałby ją za osobę pozbawioną pewności siebie.

- Widziałem cię w telewizji, Edwardzie. - Robin Duffy zgarnął swoje żetony na luźne kupki. - Sekcja zwłok balonu nie została przeprowadzona zbyt profesjonalnie, ale była naprawdę zabawna.

- Potrafię rozpoznać dziurę po kuli - powiedział lekarz.

- Moja żona uważa, że to ty strzeliłeś do wielkiego psiaka, Edwardzie, żeby w złym świetle postawić małą. - Twarz Robina rozpromieniła się w szerokim uśmiechu przeznaczonym dla Mallory. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, wydawał się zdumiony, jakby wciąż rosła na jego oczach.

Teraz Charles zrozumiał, dlaczego rabin nalegał na obecność Mallory; zrobił to z uwagi na Robina. Od śmierci swego przybranego ojca rzadko zaglądała w ten rejon Brooklynu i stary prawnik bardzo za nią tęsknił.

Charles zdjął kapsel z butelki piwa, tradycyjnego napoju podczas karcianych spotkań. Dlatego dziwnie wyglądał kieliszek do sherry, stojący przed jednym z pustych krzeseł. I czy światło nie było trochę bardziej przyćmione niż zwykle?

Cóż, to pachnie spiskiem. Teren został przygotowany.

Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, rabin Kaplan powiedział:

- Pan Halpern otwórz.

Chociaż rabin mógłby zobaczyć drzwi frontowe, gdyby tylko lekko odwrócił głowę, pilnował się, żeby tego nie zrobić i pozwolić starszemu panu pobyc przez chwilę sam na sam z nowo przybyłym.

Co innego Mallory. Patrzyła prosto przed siebie.

Charles musiał się pochylić nad stołem, żeby mieć dobry widok.

Filigranowy pan Halpern otworzył drzwi wysokiej osobie w długim ciemnym palcie. Czarny kapelusz z szerokim rondem rzucał cień na twarz gościa. Widząc jedynie tę ciemną sylwetkę, każdy i tak mógł stwierdzić, że nowo przybyły stanowi pod każdym względem przeciwieństwo pana Halperna, nie było w nim ani śladu kruchości, z jego postaci biła siła, nawet gdy nie wykonywał najmniejszego ruchu. Kiedy wszedł do holu, światło padło na kosmyki długich siwych włosów opadających na szerokie ramiona. Mężczyźni rozmawiali przyciszonymi głosami i do pokoju nie docierały ich słowa. Po kilku minutach uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

Charles nie miał cienia wątpliwości, że pan Halpern płakał, przekraczając próg i znikając w mroku, wolno, ostrożnie zamknąwszy za sobą drzwi.

Mallory nadal obserwowała nieznanego, który zdjął kapelusz i płaszcz i powiesił je na wieszaku przy drzwiach. Niemal niedostrzeżalnie kiwała głową, być może szacując w myślach pierwszorzędnej jakości tweedowy blezer i niebieską jedwabną koszulę. Mężczyzna miał odpięte dwa górne guziki, co świadczyło o tym, że podzielał teorię rabina na temat krawatów przeszkadzających swobodnie oddychać podczas pokera.

Kiedy Malakhai pojawił się w pokoju, wszyscy zgromadzeni przy stole podnieśli wzrok. Temu człowiekowi nigdy nie udało się zwyczajnie przekroczyć progu pomieszczenia, zawsze robiło się z tego wielkie wejście, chociaż w jego zachowaniu nie było afektacji. Ale z drugiej strony, nie dało się uniknąć wrażenia, że zawitał ktoś niezwykły, albowiem wraz z pojawieniem się mężczyzny natężenie emocji w powietrzu wzrosło do dziesiątej potęgi. Uśmiechnął się i chociaż jego twarz pokrywały głębokie zmarszczki, pozostało w niej coś z urody szalonego i niegdyś przystojnego młodzieńca. Jeszcze się nie poddał upływowi czasu, nie pochylił się przed nim; ani zgarbione plecy, ani żadne inne oznaki nie świadczyły o nadwątłym zdrowiu. Długie siwe włosy, przypominające lwią grzywę, lśniły, chwytając światło lampy niczym w pułapkę. Kontrapunktem dla nich były oczy, wielkie, stalowoniebieskie, zawsze pozostające w cieniu.

Charles spojrzał na twarze mężczyzn siedzących wokół stolika. Przez chwilę zdawało mu się, że zaraz zaczną bić brawo temu sławnemu iluzjoniście tylko dlatego, że raczył ich zaszczycić swoją obecnością.

Wszyscy oprócz Mallory wstali, kiedy Charles po kolei przedstawiał ich staremu przyjacielowi rodziny. Wymieniwszy nazwisko Kathleen Mallory, skrzywił się, gdy Malakhai spytał:

- Czy mogę się do pani zwracać Kathy?

- Nie - odpowiedziała.

Charles pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Proszę nie brać tego do siebie. Wszyscy mówią do niej Mallory, zwyczajnie Mallory.

- Ja nie - odezwali się chórem rabin i Robin Duffy.

Edward Slope zajął swoje miejsce i podsunął Mallory talię kart, gotów do rozpoczęcia gry - i to na kilku płaszczyznach.

- Musi pan wybrać właściwy moment. Proszę do niej mówić Kathy tylko wtedy, kiedy chce pan, żeby się zdekoncentrowała. W przeciwnym razie straci to wartość czynnika rozpraszającego. Mam rację, Kathy?

Zignorowała jego uwagę i zaczęła tasować karty.

Teraz Charles przeprosił, że postąpił niezgodnie z zasadami dobrego wychowania, zapominając, że damy mają pierwszeństwo. Zrobił ręką taki gest, jakby obok Malakhaia stała kobieta.

- A pani ma na imię Louisa.

Rabin skłonił głowę i uśmiechnął się, mówiąc w próżnię:

- Bardzo mi miło. Nic a nic się pani nie zmieniła. - Zwrócił się do Malakhaia: - Widziałem państwa ostatni występ.

- To było ponad dwadzieścia lat temu. - Malakhai odwrócił głowę; wyglądał, jakby czegoś nastuchiwał. Uśmiechnął się do rabina. - Louisa dziękuje, że nie zapomniał nas pan. - Po czym zwrócił się do wszystkich zebranych: - Moja żona lubi pokera. Zagra kilka partyjek, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu.

- Pańska zmarła żona? Wykluczone - zaprotestowała Mallory.

- Kathy! - Głos rabina zabrzmiał jak dzwonek ostrzegawczy. - Pan Malakhai jest moim gościem.

- I co z tego? - Odwróciła się do Malakhaia. - Proszę nie mieć mi za złe. Wystarczy, że muszę grać z tymi amatorami. Nie zgadzam się grać z jakąś zjawą.

Chociaż rabin Kaplan w milczeniu znosił większe zniewagi dotyczące jego umiejętności gry w pokera, tym razem najwyraźniej miał ochotę znów skarcić Mallory. Już otworzył usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Może rabin nie bardzo wiedział, na co powinien się oburzyć: na to, że Mallory nie uznaje obecności kobiety, której tu nie ma, czy na użycie słowa „zjawą” w znaczeniu obelgi. Czy wolno mu

nalegać, by powstrzymała się od obrażania gościa, sankcjonując tym samym oczywistą nieprawdę, że zmarła kobieta może dobrze grać w pokera?

Charles odchylił się do tyłu i szepnął do Mallory za plecami Robina:

- Czy wspominałem ci, że Malakhai pomagał mojemu kuzynowi zaprojektować postumenty do iluzji z kuszami?

- Przysuń sobie krzesło, Louiso. - Mallory była znacznie bardziej elastyczna od rabina. - Proszę wszystkich o ślad.

Podczas gdy na środek stołu rzucano białe żetony, Malakhai pomógł usiąść duchowi Louisy. Po zajęciu miejsca kupił trochę żetonów i podzielił je na dwie kupki. Charles zauważył, że sztony każdego z małżonków były ułożone inaczej. Malakhai ustawił cztery równiutkie kolumnienki, podczas gdy żetony Louisy były zgarnięte nie dbale, jak Edwarda Slope'a.

Kiedy wszyscy coś rzucili do garnuszka, Mallory rozdała karty dla sześciu żywych graczy i jednej nieboszczki.

- Gramy pięcioma kartami. Dwójki nie liczą się jako dzikie karty, jeśli pada deszcz, a walety bez względu na to, czy jest pełnia księżyc, czy nów. Gramy w prawdziwego pokera, jasne?

Podczas gdy wszyscy zajęci byli oglądaniem swoich kart, Charles dostrzegł smużkę dymu, wijącą się znad popielniczki, która stała przed Louisa.

- Ja otwieram. - Edward Slope rzucił niebieski żeton na środek stołu. Potem wlepił wzrok w papierosa Louisy.

Na filtrze widać było ślad szminki. A popielniczka poruszała się nieznacznie, jakby ktoś się nią bawił.

Jak zwykle bardzo płynnie.

Charles skinął do Malakhaia, który złożył karty, by spasować. Teraz pozostali mężczyźni uśmiechali się, patrząc na popielniczkę,

wyraźnie onieśmieleni, jakby prowadzili jakiś flirt. Jeśli Mallory coś zauważyła, nie dała tego po sobie poznać.

Przyszła kolejka Louisy, by przebić, i na środek stołu jakby same z siebie spadły dwa niebieskie żetony. Malakhai uśmiechnął się do Edwarda Slope'a.

- Louisa pana przebiła.

Charles podziwiał to mistrzowskie wycucie czasu. Malakhai musiał wybrać moment, kiedy każdy patrzył w inną stronę, i właśnie wtedy położył żetony na skraju stołu i rzucił je na środek. Jeden błąd zniweczyłby cały efekt.

Kiedy przebiecie Louisy zostało rozegrane, przyszła kolej na dokupywanie kart. Edward Slope puknął w stół, by obwieścić, że pozostaje przy tym, co ma, ale Malakhai poprosił o kartę dla Louisy. Karta odrzucona przez jego żonę przesunęła się po stole w kierunku Mallory, powoli ślizgając się po zielonym suknie, jakby popychana niewidzialną ręką.

Mallory wpatrywała się w blat stołu, niewątpliwie szukając żyłki, która wprawiała kartę w ruch. Musiała ona być grubości włosa i zielona jak sukno, niewidoczna w przyciemnionym świetle. Charles wiedział, że w tym końcu stołu, gdzie siedzi Mallory, musi być haczyk, żeby karta mogła sunąć w jej stronę, ale nawet nie próbował go wypatrzeć. Prawdopodobnie był z cienkiego drucika, pomalowanego na kolor drewna. Oto kolejny dowód zмовy Malakhai i rabina, bo takie przygotowania zawsze czyniono wcześniej.

Mallory wzięła kartę i obejrzała ją uważnie. Naturalnie odrobina kleju została na żyłce, kiedy Malakhai pociągnął ją z powrotem.

Po chwili iluzjonista nachylił się do przodu.

- Moja żona chce wiedzieć, kiedy dostanie drugą kartę. Proszę jej wybaczyć, że jest taka niecierpliwa, ale przywykła do gry w Las

Vegas, gdzie wszystko odbywa się w trochę szybszym tempie.

Wszyscy przy stoliku się uśmiechali. Tylko Mallory nie uległa czarowi zmarłej kobiety. Z wymuszonym uśmiechem spoglądała na Malakhaia.

- Dobra robota.

Rzuciła jedną kartę w kierunku pustego krzesła, a dwie dała rabinowi.

- Pasuję. - Charles złożył swoje wyjątkowo złe karty i spojrzał ukradkiem na Mallory. Jej twarz przypominała maskę, nie sposób było cokolwiek z niej wyczytać.

Ale głos kobiety był zupełnie spokojny, kiedy zwróciła się do Malakhaia:

- A więc na czym polega sztuczka z kuszami?

Iluzjonista się uśmiechnął, jakby usłyszał świetny dowcip.

- Nigdy nie zdradzę sekretu tej iluzji Maksa Candle'a.

Odwróciła się do Charlesa, który tym razem nie miał trudności z odczytaniem jej myśli. Świdrowała go wzrokiem, a w jej głosie wyraźnie słychać było rozdrażnienie:

- Co tu jest grane?

Charles rozłożył ręce, by pokazać, że nie jest uzbrojony, a wobec tego zabicie go byłoby nie fair.

- Nigdy ci nie obiecywałem, że Malakhai cokolwiek powie.

Mallory wpatrywała się w siwowłosego iluzjonistę, swojego przeciwnika, swojego nowego wroga. Z łatwością przyszedłoby jej znalezienie czulego punktu mężczyzny. Należało go szukać na pustym krześle stojącym obok niego.

Podczas kolejnego przebijania doktor Slope rzucił dwa niebieskie zetony do pojemnika. Wszyscy spojrzeli na puste krzesło. Karty Louisy leżały na krawędzi stołu, na chwilę się uniosły, jakby je

ogłądała. Cztery żetony wolno przesunęły się na środek stołu, kiedy nieboszczka przebiła.

Slope położył karty na stole.

- Pasuję.

Mallory wpatrywała się w kieliszek Louisy, teraz pełny, ze śladem po szmince, identycznego koloru jak ten, który był widoczny na papierosie. Rabin i Robin złożyli swoje karty i gapili się na kieliszek sherry. Lekko drżał, informując o zniecierpliwieniu Louisy, która pragnęła kontynuować grę.

Mallory od niechcenia podniosła do ust butelkę piwa, jakby przywykła do picia w obecności nieboszczyków. Odpowiedziała na przebicie Louisy, wrzucając cztery żetony do pojemnika.

- Sprawdzam.

Ostateczna rozgrywka.

Karty Louisy się odwróciły. Nie blefowała. Miała kolor, bez trudu przebiła trzy walety i dwie trójki swojej przeciwniczki.

Charles widział, jak Mallory zmrużyła zielone oczy, i nie wątpił, że ocenia prawdopodobieństwo tego, by Louisa po dobraniu jednej karty miała już w pierwszym rozdaniu kolor. Co więcej, nieboszczka przebiła przed dokupieniem karty - cóż za umiejętność przewidywania. Mallory przypuszczalnie się zastanawiała, jak można było tworzyć odpowiednie kombinacje z kart obojga małżonków.

Bez słowa przekazała talię Edwardowi Slope'owi. Podczas trzech następnych kolejek Louisa za każdym razem pasowała i Mallory wygrała dwa razy. Przy kolejnym rozdaniu pominięto Louise i karty potasował rabin Kaplan. Po następnej rozgrywce rabin, spoglądając na stopniały stosik swoich żetonów, wręczył talię Charlesowi.

Zrobili zakłady i przeprowadzili dwie pierwsze kolejki przebić. W tej grze karty dokupywała tylko Louisa.

- Dwie dla pani Malakhai - powiedział Charles, nachylając się w kierunku pustego krzesła.

Malakhai się uśmiechnął.

- Louisa mówi, że znacie się wystarczająco długo, żebyś zwracał się do niej po imieniu.

- Z największą przyjemnością - odparł Charles. – A co...

- Sherry! - Robin wskazał na kieliszek.

Kieliszek Louisy, przed chwilą jeszcze pełny, był do połowy opróżniony, cienka warstewka płynu spływała po ściance. Na serwetce obok jej kieliszka leżała nadgryziona kanapka, na żytnim pieczywie widać było delikatny ślad czerwonej szminki. Robin Duffy gapił się na puste krzesło, wzrok utkwiał w miejscu, gdzie znajdowałyby się twarz kobiety.

Mallory nie okazywała choćby śladu zdumienia.

Charles przeprosił i odszedł od stolika. Kiedy wrócił z kuchni z butelkami piwa, zobaczył na kolanie Mallory otwartą puderniczkę, lusterko było tak nakierowane, by móc w nim obserwować ręce Malakhaia manipulujące pod stołem. Prowadziła rozmowę grzecznym tonem, nic nie zapowiadało rozlewu krwi, chociaż Charles się obawiał, że może do tego dojść, jeśli Louisa kolejny raz wygra.

- W konstrukcji podium kryje się tylko część zagadki - mówił Malakhai. - Trzeba jeszcze popracować głową. Należy sprecyzować, jaki efekt Max chciał osiągnąć. Wtedy można na drodze dedukcji ustalić, w jaki sposób tego dokonać.

- To zwykła sztuczka. - Mallory położyła swoje karty na skraju stołu w taki sam sposób, jak leżały karty Louisy. Przebijała z taką pewnością siebie, że wszyscy odpadli z gry, z wyjątkiem nieboszczki.

Edward Slope spojrział na Mallory wyraźnie zdegustowany.

- Wiem, że blefujesz. - Jednak i tak rzucił swoje karty. - Nienawidzę tego.

- Iluzja to coś więcej niż rekwizyty. - Malakhai robił wrażenie niezainteresowanego grą, kontynuując dyskusję z Mallory. - Jeśli ma się tylko pędzle i farby, czy można opisać obraz stworzony przez artystę, który się nimi posługuje?

- To zwykła sztuczka polegająca na znikaniu - powtórzyła Mallory. - Kajdanki, kusze nie mają tu żadnego znaczenia.

- Dobrze, w takim razie dlaczego sama pani tego nie rozgryzie? - Malakhai rozsiadł się wygodnie i przyglądał się jej z pewnym rozbawieniem. Skłonił głowę w kierunku pustego krzesła, jakby Louisa coś do niego mówiła. Zwracając się do Mallory, powiedział: - Louisa chce sprawdzić karty.

Dwa kolejne zetony wystrzeliły sprzed pustego miejsca przy stole i opadły pośrodku zielonego sukna. Karty zmarłej zostały odkryte. Tym razem Louisa miała królewskiego sekwensa.

Mallory zachowała obojętność. Nawet małe dziecko wiedziało, że nie ma szans. Chociaż bodaj nie mrugnęła okiem, na jej widok człowiekowi przychodziła na myśl bomba zegarowa. Jednak nie zdradziła niczego tonem głosu.

- Oliver Tree nie powinien zginąć. Kiedy ustalę, w jaki sposób przeszkodzono mu w przedstawieniu iluzji, będę wiedziała, kto go zabił.

- Prawdopodobnie sam coś sknocił - powiedział Malakhai. - A może to kwestia niewystarczająco szybkiego refleksu. Wszyscy by zrozumieli, gdyby człowiek w jego wieku posłużył się imitacją kajdanek, ale on uparł się na prawdziwe kajdanki, jak Max. Biedny

Oliver. Cóż za wierność szczegółom. - Nachylił się w stronę pustego krzesła i przez chwilę słuchał. - Louisa przypomina, że nie pokazała pani swoich kart. - Uśmiechnął się. - Naturalnie nie chce pani wprawiać w zakłopotanie, jeśli woli pani ich nie ujawniać.

Mallory jakby tego nie usłyszała, tak była skoncentrowana na sprawie Olivera.

- Oliver dobrze wykonał sztuczkę. Podczas dziesięciu prób wszystko działało jak w zegarku.

Malakhai zrobił zdumioną minę.

- Skąd pani wie, ile dokładnie było prób? Jeden z iluzjonistów...

- Nie - przerwała mu. - O niczym nie wiedzieli, dopóki nie zobaczyli, jak Oliver prezentuje iluzję w parku. Tak przynajmniej utrzymują.

- A więc powiedział pani o tym bratanek Olivera?

Pokręciła głową.

- Nie udało mi się do niego dotrzeć. Miałam nadzieję, że pan będzie wiedział, gdzie można go znaleźć. - Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Czy możemy zakończyć tę partyjkę? - Doktor Slope lekko uderzył palcami w blat stołu przed Mallory. - Chcę zobaczyć twoje cholerne karty.

- A więc nie wierzy pani w nieszczęśliwe wypadki? - spytał Malakhai. - A jednak się zdarzają. Moja żona zginęła, wykonując sztuczkę magiczną.

Tym razem Charles zrobił zdumioną minę. Nikt nie znał okoliczności śmierci Louisy. Dlaczego Malakhai zdecydował się ujawnić je ludziom, których ledwo znał? A ponieważ kontrakt z wytwórcią płytową na Koncert Louisy zabraniał udzielania jakichkolwiek informacji na temat jej śmierci, od dyskrecji niemal całkowicie obcych osób zależało teraz, czy uda się uniknąć wysokiej kary pieniężnej.

Slope stukął palcami w sukno, przynaglając Mallory do pokazania kart.

Ona jednak ani na chwilę nie spuściła wzroku z iluzjonisty.

- Jak można zginąć, wykonując sztukę magiczną?

- Louisa została trafiona z kuszy z odległości dwudziestu kroków - oznajmił Malakhai takim samym tonem, jakim opisałby sukienkę żony. - Piętnaście minut później nie żyła.

Teraz skupił na sobie uwagę wszystkich obecnych, nawet Edward przestał się interesować kartami Mallory. Lekarz spoglądał na puste krzesło.

- Gdzie ją postrzelono?

Malakhai odwrócił się w stronę krzesła. Palcem wskazał punkt, gdzie znajdowałoby się ramię siedzącej kobiety.

- Tutaj? - Mallory dotknęła swojego ramienia.

Malakhai skinął głową.

- Jak wyglądały zwłoki bezpośrednio po śmierci?

Rabinowi karty wypadły z rąk. Patrzył na Mallory wstrząśnięty, milcząco oskarżając ją o całkowity brak taktu.

Nie widać było jednak, by Malakhai czuł się dotknięty brakiem delikatności Mallory. Odwrócił się w stronę pustego krzesła, stojącego obok, by spojrzeć na kobietę, której tam nie było.

- Miała krew w oczach, odrobinę różowej piany na ustach.

- W oczach? - Mallory się uśmiechnęła, co było trochę nie na miejscu. - Chodzi o bryzgi krwi?

- Nie, chociaż rana obficie krwawiła. - Wskazał na miejsce, w którym znajdowałoby się ramię kobiety. - Ale jej oczy wyglądały, jakby zostały zranione od środka.

Charles obserwował Edwarda Slope'a, który zmarszczył brwi. Lekarz odchylił się na oparcie krzesła, jakby potrzebował

dotatkowej podpory, nagle uświadomiwszy sobie, że znalazł się przy stole z zakrwawionymi zwłokami, a nie z uroczym duchem, którego mogły sobie wyobrażać natury bardziej romantyczne.

Mallory siedziała sztywno wyprostowana.

- Czy na ciele były jakieś inne ślady? Rany, zadrapania albo coś w tym rodzaju?

- Nie - odparł Malakhai beznamiętnym głosem. - Tylko lekkie zaczerwienienie twarzy, jakby Louisa się zapłoniła, widząc siebie w takim stanie, jakby czuła się zawstydzona własną śmiercią.

Słowa te wywoływały coraz większe niezadowolenie patologa. Może Edwardowi się nie podobało, że po godzinach pracy wtargnął w jego życie trup.

- I to był wypadek?

- Tak samo jak śmierć Olivera - powiedział Malakhai.

- Oliverowi mogłoby się udać, gdyby kiedykolwiek widział ten numer. Ale oparł się wyłącznie na własnych domysłach.

- Zamiar Olivera był zupełnie jasny - wyjaśniła Mallory. - Chciał zejść z drogi, uniknąć tych wszystkich strzał.

- Jeśli uważa pani, że to takie proste, niepotrzebna pani moja pomoc.

- Nie mówiłam, że potrzebna mi czyjokolwiek pomoc.

- Nigdy nie prosisz o pomoc, Kathy - wtrącił się Edward Slope. - Nawet kiedy jest ci niezbędna. No dobra, jeśli jesteś taka mądra, może mi powiesz, jak nieboszczka może cię ograć w pokera.

Wzięła karty, rozłożyła je i zaczęła bardzo dokładnie im się przyglądać. Edward obserwował dziewczynę przez chwilę, a potem zsunął niżej okulary do czytania i nachylił się do niej.

- O co chodzi, Kathy? Zapomniałaś, jak znaczyłaś karty?

Mallory wyzywająco spojrzała na iluzjonistę.

- Zauważyłam, że Louisa wygrywa, kiedy na stole coś się rusza. Interesujący sposób odwracania uwagi. Założę się, że w tej talii brakuje pięciu kart.

Rabin zrobił zdumioną minę. David Kaplan był tak dobrym pokerzystą, że Charles naprawdę nie potrafiłby odgadnąć, czy mężczyzna jest niewinny, czy też został pomocnikiem Malakhaia w tym triku iluzjonistycznym.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że ktoś przy tym stole oszukuje.

- Proponuję zakład o dwadzieścia dolarów. - Mallory położyła na stole banknot. - Czy ktoś chce się założyć?

Malakhai uśmiechnął się wielkodusznie.

- A więc nie wierzy pani również w łut szczęścia?

- Proszę tego nie brać do siebie - zwrócił się konfidencko Edward do iluzjonisty. - Kathy po prostu nie może znieść, że ktoś kantuje lepiej od niej.

Mallory była nie tyle oburzona, co zadziwiona.

- Nie muszę oszukiwać, żeby ograć kilku starców.

- Nie mówiłabyś tak, gdyby był tutaj twój ojciec - powiedział rabin Kaplan.

- Pewnie że nie - przyznał mu rację Robin Duffy. - To była jego ulubiona kwestia. - Odwrócił się z uśmiechem do Mallory. - Kathy, to zwykła zabawa. Na rany Chrystusa, przepraszam, rabinie, gramy tutaj o drobne sumy.

Rabin Kaplan przemówił tonem zarezerwowanym na kazania w szkółce religijnej:

- Kathy, jest powód, dla którego gramy tylko o drobne kwoty. Wiesz, jaki to powód?

Skinęła głową.

- Wasze żony nie pozwoliłyby wam grać o większe sumy.

- Pomijając to - powiedział rabin.

- Mniejsza pokusa, by oszukiwać?

- Pomijając to - powiedział Edward Slope.

Robin objął ją ramieniem i uściśnął.

- Kathy, moja droga, to tylko zabawa. Pieniądze nie mają znaczenia.

- Tak jest - potwierdził rabin Kaplan. - To tylko...

- Najważniejsze, żeby wygrać - dodał Robin i rabin Kaplan musiał się nad tym chwilę zastanowić.

Mallory zebrała karty od wszystkich i dołożyła do talii swoje pięć.

David Kaplan sięgnął przez stół i położył rękę na jej dłoni.

- Kathy, zabraniam ci je przeliczyć. - Wśród dawnych przyjaciół ojca Mallory tylko rabin mógł jej czegoś zabronić i uchodziło mu to na sucho.

Mallory nie odłożyła kart. Odrząciła jego rękę i wstała od stolika.

- Zaraz wracam.

- Dokąd ona poszła? - Robin gapił się na drzwi, które zamknęły się za Kathy.

Charles nasłuchiwał odgłosu otwierania innych drzwi.

- Chyba do kuchni.

Teraz wszyscy usłyszeli, jak w sąsiednim pomieszczeniu za ścianą Mallory wysuwa i zamyka szuflady.

- Co ona...

Edward uniósł jedną rękę, by uciszyć Robina i móc łowić odgłosy przesuwanych metalowych utensyliów kuchennych. Zwrócił się do rabina:

- Davidzie, dlaczego nie zamknąłeś sreber na klucz? Przecież wiedziałeś, że Mallory przyjdzie dziś wieczorem.

Rozległ się warkot robota, a potem odgłos szlifowania metalu.

- To ostrzałka do noży - wyjaśnił rabin. Teraz wszyscy nasłuchiwali zaintrygowani.

Głośne dźwięczenie w drewno sprawiło, że David Kaplan aż podskoczył na krześle.

- Deska do krojenia chleba?

- No, ładnie - powiedział Edward. - Niszczy talię. Wstrętne egoistka. Jeśli jej nie wolno schować wszystkich asów, to nikomu nie wolno.

Ale kiedy Mallory wróciła do gabinetu, talia była cała - mniej więcej. Nadziała karty na ostro zakończony szpikulec do szaszłyków. Teraz zsunęła je z metalowego pręta i położyła na stole przed rabinem Kaplanem.

- Tego już za wiele. - Rabin podniósł karty i spojrzał na nią przez otwór w samym środku.

Rzuciła mu uśmiech - no, półuśmiech.

- Przecież nie policzyłam kart, więc o co chodzi?

Charles patrzył na przedziurawione karty. Znaleźli się w martwym punkcie. Jeśli Malakhai ukrył jakieś karty dla Louisy, trudno mu będzie wprowadzić je z powrotem do gry.

Iluzjonista się śmiał, wcale nie czując się dotknięty. Rabin westchnął.

- Zniszczyłam deskę do chleba - oświadczyła Mallory, zajmując miejsce za stołem. - Kupię ci nową.

Edward Slope wziął jedną z uszkodzonych kart i unióś ją pod światło.

- Znacznie łatwiej byłoby posłużyć się bronią. Dobra, Kathy, prawie uwierzyłem, że nie strzeleliś do balonu.

Tylko Charles był głęboko poruszony, kiedy wziął swoje karty i spojrzał na dziury w nich. Ta sztuczka nie powinna jej się udać. W myślach obliczał wytrzymałość talii kart na takie przebicie, szacował, ile potrzeba siły, jaką trzeba odczuwać furię, by zrobić to, co zrobiła Mallory.

Przystąpili do kolejnej partii przy odgłosie, jaki wydawały plastikowe żetony rzucane na stos pośrodku stołu.

Może tak się akurat złoży, że Louisie przestanie dopisywać szczęście.

Jak powiedziałyby Mallory: „No jasne”.

Trzy rozdania później Mallory siedziała przed największym stołem żetonów, a Charles nadal rozmyślał nad tym, w jaki sposób przedziurawiła karty. Słyszał tylko jedno walnięcie w deskę do krojenia chleba. Może Mallory próbowała własnych sił w sztukach iluzjonistycznych. Mogła przedziurkować je cicho, po kolei, a potem dla efektu dźgnąć deskę. Może w ten sposób chciała zaimponować przeciwnikowi. Z drugiej strony, wierzył teraz, że stać ją było na przedziurawienie całej talii za jednym zamachem - ze złości. Obie możliwości przepełniały go niepokojem.

Wciąż starała się wyciągnąć informacje z Malakhaia. Wszyscy pozostali byli pochłonięci obserwowaniem kieliszka Louisy. Lewitował, płynął w powietrzu nad stołem i opadał z powrotem, jakby niewidzialny duch kobiety najzwyczajniej w świecie popijał wino. Ten trik iluzjonistyczny zaprezentowany został bez zarzutu. Malakhai wszystkie swoje sztuczki zawsze wykonywał perfekcyjnie. Kieliszek delikatnie opadł na stół.

Mistrzowska robota.

Jednak iluzjoniście nie udało się odwrócić uwagi Mallory od śledztwa. Uniósł ręce w górę.

- Nie widzę w tym nic zagadkowego. Nie wątpię, że wie pani, iż Oliver zginął, ponieważ w zamku złamał się klucz.

Uśmiechnęła się tak lekko, że niemal niedostrzegalnie.

- Ale skąd pan o tym wie?

No właśnie, skąd wiedział o tym Malakhai? Charles przypomniał sobie, jak Riker mówił, że oświadczenie dla prasy zostanie ogłoszone nie wcześniej niż jutro. Jeśli pozostali iluzjoniści wiedzieli o

złamanym kluczu, z pewnością do tej pory już by o tym wspomnieli.

- To bardzo proste - odparł Malakhai. - Spytałem policjanta, który sporządził notatkę służbową o wypadku. Przydzielono mu tę sprawę.

Widocznie Mallory potraktowała to jak wyzwanie. Zmrużyła oczy, co było niechybną oznaką kłopotów.

- Teraz to moja sprawa. A kiedy ją zakończę, może mi nawet zostanie trochę czasu, by wykryć mordercę pańskiej żony.

- Zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku - powtórzył Malakhai. - Na oczach widzów.

- Świadcami śmierci Olivera Tree były miliony ludzi. I co z tego? Zaczniemy od strzały w ramieniu Louisy. Powiedział pan, że ugodziła ją tutaj? - Wskazała własne ramię i zwróciła się do lekarza: - Mięsień trójgłowy ramienia, prawda? A myślałeś, że nie uważam podczas sekcji zwłok.

- Znów odwróciła się do Malakhaia: - Strzała nie miała nic wspólnego ze śmiercią Louisy. Morderstwo popełniono później, w ciągu następnego kwadransa.

- Strzała uszkodziła tętnicę - oświadczył Malakhai. - Louisa straciła dużo krwi.

Mallory wolno pokręciła głową i zwróciła się do Edwarda Slope'a:

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, panie doktorze. Mogę panu przedziurawić aortę i nie wykrwawi się pan na śmierć w ciągu piętnastu minut.

- Zgadza się - przyznał Edward, wpatrując się z uwagą w swoje karty. - Przy takiej ranie samo ciśnienie krwi powstrzymałoby krwotok. Pomoc lekarska, udzielona w ciągu godziny, uchroniłaby ofiarę przed następstwami szoku. - Uniósł wzrok, jakby tknięty jakąś myślą.

- Ale w takich razach najważniejszy jest czas. Ludzie wpadają w panikę i...

Mallory potrząsnęła głową.

- Ludzie pod wpływem paniki zawsze mają skłonności do swoistej przesady. Jeśli karetka pogotowia zjawi się po czterech minutach, świadkowie przysięgają, że przyjechała po czterdziestu. Więc jeśli Malakhai mówi, że minął kwadrans, mogło to być dziesięć, a może nawet pięć minut.

Iluzjonista spojrział na puste krzesło.

- Nigdy nie rozmawiałem publicznie o jej śmierci. To...

- I bardzo słusznie - rzekła, z aprobatą kiwając głową. - Nie należy nigdy o tym mówić bez obecności adwokata. Pańska żona знаła zabójcę i była z nim sam na sam w chwili swej śmierci. Domyślam się, że przeniesiono ją za kulisy. Tam usunięto jej strzałę. Mam rację?

Malakhai skinął głową.

- I znajdowała się w pomieszczeniu zamkniętym. Nie myślę się? - Nawet nie zaczekała na odpowiedź. - Na pewno. Zabójca musiał zostać z nią sam, żeby ją zabić. A więc Louisa leży na podłodze, a on bierze poduszkę, coś miękkiego, co nie zostawi śladów, albo...

- Mam wątpliwości, czy była to poduszka - przerwał jej Slope. - To za mało, żeby spowodować uszkodzenie siatkówki i wywołać zaczerwienienie twarzy.

- Racja - przytaknęła Mallory. - Podbiegnięte krwią oczy, rumieniec. Zapomniałeś o różowej pianie na ustach. Poprzestańmy na uciśnięciu klatki piersiowej, dobrze?

- Znowu zwróciła się do Malakhai: - A więc Louisa leży na podłodze i ktoś ją dusi. Ale nie umiera tak szybko, jak tego pragnie zabójca. Louisa walczy, broni się przed śmiercią. Stąd ta krew. Rana krwawi, ponieważ kobieta zebrała wszystkie siły, by odepchnąć poduszkę i móc oddychać. Ale jest coraz słabsza: straciła dużo krwi, brakuje jej powietrza. Jednak nie chce umierać. A zabójca? Jest

wystraszony, wpadł w panikę. Ludzie gromadzą się pod drzwiami. W każdej chwili ktoś może wejść. Ona jednak wciąż z nim walczy, wciąż trzyma się kurczowo życia, czekając na czyjąś pomoc. Więc on kolanem przygważdża ją do podłogi, a potem dusi, napierając na nią całym ciałem, siłą wpychając ją w objęcia śmierci. Louisa próbuje krzyczeć, ale morderca cały czas dusi ją poduszką. Louisa skręca się z bólu, lecz walczy nadal. Potem przestaje krzyczeć. Wie, że nikt jej nie usłyszy. Nikt nie pośpieszy z pomocą. Jest tak cicho, że słyszy trzask swoich łamanych żeber. I w końcu, w końcu...

- Kathy, dość tego! - przerwał rabin, niszcząc nastrój, jaki Mallory stworzyła swoim sugestywnym opowiadaniem. - Mówisz o śmierci żony pana Malakhaia. To...

- Bardzo niegrzeczne - wtrącił doktor Slope. - I aroganckie. Mogę wymienić przynajmniej trzy szybko działające trucizny wywołujące pianę na ustach i krwotok siatkówki.

- Trucizna jest zawodna - odparła Mallory, jakby wymieniała się z patologiem przepisami na ciasteczka. - Lepiej jest dusić: brak śladów na szyi, brak substancji chemicznych w organizmie. - Zwróciła się w stronę pustego krzesła przy stole: - Kto cię zabił, Louiso?

Malakhai wolno odwrócił się w stronę swej niewidocznej żony.

- Odmawia odpowiedzi.

Mallory się uśmiechnęła.

- Tak przypuszczałam. Czy powiedziała panu, żeby wezwać adwokata?

Rabin uderzył dłonią w stół.

- Kathy!

Mallory udała zdziwienie, ale nieszczęśliwie jej się to udało.

- Nikogo nie oskarżam.

Doktor Slope skrzyżował ręce na piersiach, całkowicie odcinając się od dyskusji.

- Co powiedział miejscowy koroner?

Malakhai wzruszył ramionami.

- Nie przeprowadzono sekcji zwłok, nie było śledztwa.

Mallory pokiwała głową.

- Miejscowej policji wygodniej było uznać to za nieszczęśliwy wypadek. Mniej papierkowej roboty. Tym bardziej że nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Bo mogę się założyć, że nie zrobił pan tego. Zabójca mógł mówić o wyjątkowym szczęściu. - Odsunęła krzesło od stołu. - Uważam, że jasno wyraziłam swoje zdanie o śmierci w następstwie nieszczęśliwego wypadku.

- Ale nie przedstawiła pani żadnych dowodów - zauważył Malakhai. - Jeśli potrafi pani udowodnić morderstwo ponad pięćdziesiąt lat po jego popełnieniu, wyjawię pani, jak Max Candle wykonywał swoją Zapomnianą Iluzję.

Uwaga wszystkich znów skupiła się na Malakhaiu. Rzucił Mallory wyzwanie.

Oczy obecnych zwróciły się na policjantkę.

- Powiedziałam panu, Malakhai, że nie potrzebuję pańskiej pomocy. I niepotrzebny mi również żaden dodatkowy bodziec. Oliver zadedykował swój występ pańskiej żonie. Może czuł się winny. A może pan miał do niego jakieś pretensje. Jeśli udowodnię, że to on zabił Louise, będzie panu potrzebny dobry adwokat.

- Policjant prowadzący sprawę powiedział, że śledztwo umorzono. Stwierdzono, że przyczyną zgonu był nieszczęśliwy wypadek. Oliver posłużył się starym kluczem. Policjant powiedział, że nie ulega wątpliwości...

Podniosła jedną rękę, by mu przerwać.

- Oliver zajmował się renowacją starych budynków. Nie tylko ciesielką, również starymi śrubami, rurami, ramiakami. Starszy pan

dużo wiedział na temat zmęczenia materiału. Z pewnością nie zaryzykował życia, zdając się na pięćdziesięcioletni klucz do kajdanek.

- To pani tak uważa.

- To jest fakt - powiedziała Mallory. - Zamówił nowe klucze w warsztacie ślusarskim, z którym prowadził interesy. Sprawdziłam to trzy godziny temu.

O ile Charles dobrze pamiętał wydarzenia dnia - a pamiętał - za ledwie dwie godziny temu Mallory jadła pizzę u niego w kuchni.

- Nowe klucze były ze stali lepszego gatunku - dodała.

Malakhai machnął ręką, by oddalić jej argumenty - jej kłamstwa.

- A więc Oliver pomylił nowy klucz ze starym.

- Przykro mi - zaczęła Mallory, chociaż wcale nie było jej przykro - ślusarz nadal ma stary klucz. Zatrzymał go na wypadek kolejnego zamówienia. Oliver zlecił mu wykonanie dziesięciu egzemplarzy. Według słów majstra z warsztatu, podczas każdej próby posługiwał się nowym kluczem. To chyba lekka przesada, prawda? Nadmierna ostrożność, nawet jeśli życie Olivera było zagrożone. Przypuszczam, że można powiedzieć, iż miał bzika na punkcie zmęczenia materiału.

Czy tym razem posunęła się za daleko? Charles pamiętał Olivera jako człowieka ufego, który zawierał umowy, pieczętując je uściśkiem dłoni, nie miał żadnych skłonności paranoidalnych. Ale minęło bardzo wiele lat od spotkania Olivera i Malakhaia. A Mallory miała taką moc przekonywania, że iluzjonista najwyraźniej jej uwierzył.

- Może miał więcej niż jeden stary klucz?

- Znowu pułdo - odparła Mallory. - Oliver poprosił ślusarza, żeby dobrze pilnował klucza. Powiedział, że ma tylko jeden taki, że to pamiątka po Teatrze Iluzji Faustine. Pan też w nim występował.

Założę się o każde pieniądze, że miał pan identyczny klucz. Nadal go pan ma?

- Pani naprawdę...

- Wiem, że jest pan w to zamieszany, Malakhai. Zbyt skwapliwie wytyka pan moje błędy.

Malakhai się uśmiechnął, tym samym przyznając jej rację.

- Cóż, tylko się panu wydaje, że przypadkiem odkryłam karty. Gdziekolwiek pan się uda, proszę się oglądać za siebie. Będę zaraz za panem, a to powinno napawać pana niepokojem. Może pan spytać kogokolwiek przy tym stole, każdy panu powie, jaki mam spaczony charakter.

Robin Duffy ze zdumieniem uniósł wzrok, jakby ugodziła go prosto w serce.

Mallory zwróciła się do rabina, który znał ją lepiej od wszystkich w tym towarzystwie. Patrzyła na niego z wyzywającą miną, prowokując Davida Kaplana do zaprzeczenia jej słowom - czekając, by wytknął jej kłamstwo. Teraz musiała sobie uświadomić, że może tak czekać w nieskończoność.

Rabin odwrócił się od niej.

Kiedy Charles szukał słów, które mógłby rzucić w obronie Mallory, Edward Slope niczym dzielny rycerz pośpieszył jej z pomocą. Otoczył ją ramieniem i wolno pokręcił głową, zaprzeczając, by Mallory miała spaczony charakter. Potem pochylił się do Malakhaia.

- Proszę się pilnować. Widział pan, co Kathy robi z pieskami.

ROZDZIAŁ 6

Gabinet Mallory mieścił się w głębi domu należącego do Charlesa Butlera. Nie dobiegał tam hałas ani głosy turystów przemierzających ulice SoHo. Poniżej było podwórko, gdzie w gąszczu chwastów stały pojemniki na śmieci i uwijały się szczury, ale piski i odgłosy drapania malutkich pazurków nie dochodziły przez zamknięte okna na wysokości drugiego piętra. W pokoju umeblowanym metalowymi sprzętami panował wzorowy ład i porządek. Mallory nigdy nie widziała w tym nic szczególnego i całkiem serio uważała, że to wewnątrz w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla jej charakteru.

Trzy monitory komputerowe stały równiutko na osobnych stacjach roboczych, niczym żołnierze w szeregu, każdy z jednym niebieskim okiem. Bezgłośnie składały meldunki, które przesuwały się na ekranach. Na półkach wzdłuż jednej ściany znajdowały się urządzenia peryferyjne, pudełka z dyskietkami, programy i podręczniki. Przyległa ściana była pusta od podłogi do sufitu. Dziś służyła jako ogromny ekran, na którym można było oglądać nagraną na wideo relację z zabójstwa popełnionego w Central Parku. Oliver Tree wykonywał swoją ostatnią sztukę. Mallory zaprogramowała urządzenie w taki sposób, by w kółko odtwarzało film, więc staruszek ginął, a następnie powstawał z martwych, i tak na okrągło.

Charles Butler proponował jej tworzące przytulną atmosferę meble antyki w miejsce metalowych szafek na akta, biurka i krzesel. Proponował też zasłony zamiast zimnych, bezosobowych żaluzji w oknach. Uważał, że jeden czy dwa obrazy mogłyby przełamać monotonię ściany, na której z czterech ran, zadanych ostrymi strzałami, płynęła krew, a Oliver Tree wisiał bezwładnie, przykuty kajdankami do tarczy.

Ale wołała swoje proste sprzęty. Można je było ustawić w każdym pokoju o gładkich, białych ścianach i natychmiast poczułaby się w nim jak u siebie w domu, w znajomym, chociaż sterylnym wnętrzu. Metalowe obudowy stacji roboczych były zimne w dotyku. Ze względu na komputery utrzymywała w pokoju temperaturę o kilka stopni niższą od tej, w której człowiek odczuwa pełny komfort cieplny.

Podczas kolejnej projekcji relacji z pokazu iluzji Oliver znów ożył na ścianie, wołając o pomoc, krew płynęła mu jedynie z rany w szyi.

Odsunęła krzesło od monitora. W ciągu kilkugodzinnych poszukiwań, z których część przeprowadziła całkowicie zgodnie z prawem, nie udało jej się natrafić na najmniejszy ślad Louisy Malakhai. Z kolejnych archiwów nadchodziły pełne ubolewania informacje, że nie dysponują zdjęciami, metryką urodzenia ani aktem zgonu, żadnymi namacalnymi dowodami, że młoda kompozytorka kiedykolwiek istniała - z wyjątkiem muzyki, jedyne go koncertu Louisy, opus numer jeden.

Mallory sięgnęła do kieszeni blezera i wyjęła z niej paszport Louisy. Wpatrywała się w czarno-białą, zniszczoną fotografię. Wokół wydrapanej twarzy wiły się długie loki. Musiały być ognistego koloru, bo Emile St John coś wspomniał o rudowłosej kobiecie.

Paszport został wystawiony przez władze Czechosłowacji, ale informator z Interpolu nie znalazł dokumentów potwierdzających

czeskie obywatelstwo Louisy. Mallory przekartkowała strony, by przyrzeć się ostatniemu stemplowi kontroli granicznej. Wynikało z niego, że w sierpniu 1942 roku Louisa przyjechała do Francji. Mallory uważniej obejrzała wcześniejsze pieczętki.

Podrobione? Tak.

Tylko ostatni stempel był prawdziwy. Czyli że Louisa musiała się posłużyć tym paszportem, by dostać się do Francji. Ale wcześniejsze stemple wyszły spod piórka artysty, nie odcisnęła ich pieczętka funkcjonariusza służby granicznej. Sprytne. Nowy paszport mógłby wzbudzić większe podejrzenia w Europie ogarniętej wojną. Na wewnętrznej stronie okładki okrągła, sucha pieczęć zachodziła na zdjęcie. Była prawie doskonała.

Schowwała paszport z powrotem do kieszeni blezera, gdzie trzymała francuski dowód tożsamości Louisy, którego ważność wygasła pod koniec 1942 roku.

Skontaktować się z Paryżem?

Spojrzała na ścienny zegar. Minęła północ - za wcześnie, by rozpocząć buszowanie po Internecie. Jej europejski łącznik dopiero za kilka godzin usiadzie za biurkiem.

Początkowo zjednała sobie pracownika Interpolu, by kraść od niego wiadomości, czerpać dane z jego bazy. Ale teraz czekała na meldunki od niego, ukazujące się na monitorze. Ponieważ angielski nie był jego ojczystym językiem, precyzyjnie dobierał słowa, nie używał idiomów ani zwrotów potocznych. Jego teksty były zwarte, jasne i zimne. Niczym dwa obcujące ze sobą roboty zawsze ograniczali się do problemów czysto zawodowych.

Policjant cudzoziemiec był jej jedynym przyjacielem - czy też jedynym, którego nie odziedziczyła po swym przybranym ojcu razem z zegarkiem staruszka.

Pomalowanym na czerwono paznokciem dotknęła wyłącznika i ekran pociemniał. Mallory obróciła się na krześle w stronę ściany,

gdzie kolejna strzała ugodziła Olivera Tree. Patrzyła obojętnie, myślami błądząc gdzieś daleko, jak następna strzała przesywa serce starszego pana i na białej koszuli rośnie plama krwi. Wyłączyła wideo, pozwalając wytchnąć Oliverowi od niekończącej się agonii, od ustawicznego konania.

Trzymając w ręku notes i pióro, zapisała sobie, którym elementem podium przyjrzeć się bliżej, podium zajmującego tyle miejsca w piwnicy. Zamierzała ująć wszystko w punktach i rysunkach wielkości ekranu monitora.

Zamknawszy za sobą drzwi od gabinetu, na paluszkach minęła mieszkanie Charlesa i zeszła na dół. Zanim jeszcze otworzyła skrzyżnięte drzwi na klatkę schodową, dobiegły ją dźwięki muzyki i śpiew głęboko cierpiącej kobiety. Natychmiast rozpoznała głos Billie Holiday. Jakiś miłośnik bluesa odtwarzał stare albumy płytowe na gramofonie przechowywanym w piwnicy.

Mallory przechyliła się przez poręcz i spojrzała w dół krętych schodów z kutego żelaza. Ozdobnie powyginane elementy, oświetlone silnymi gołymi żarówkami, tworzyły fantastyczne wzory na zaokrąglonych ścianach. Schodząc po spiralnych schodach, słuchała piosenki nagranej na początku krótkiej kariery artystki.

Dzięki przybranemu ojcu muzyczna edukacja Mallory nie miała sobie równych. W wieku dwunastu lat dziewczynka potrafiła wymienić wszystkie płyty nagrane przez Billie Holiday. Markowitz nazywał ją Lady Day. Ta piosenka pochodziła z lat trzydziestych, najlepszych w krótkim życiu wokalistki, burzliwym, niespokojnym, wypełnionym muzyką.

Mallory wyciągnęła rewolwer.

Melodia urwała się gwałtownie akurat w chwili, kiedy ona znalazła się na kolejnym podeście, ostatnim przed piwnicą, a po chwili rozległa się następna piosenka. Ktoś zmienił płytę i epokę. Był rok

1946, głos śpiewaczki stał się bardziej zachrypnięty.

Mallory przystanęła na schodach. Gramofon, nastawiony na cały regulator, nie pasował do pospolitego włamania. Wiedziała, że na dole nie ma Charlesa. Uznawał wyłącznie muzykę klasyczną. Ale może zostawił otwarte drzwi.

Schowwała broń z powrotem do kabury.

A więc który z lokatorów Charlesa mógł być w piwnicy? Psychiatra z trzeciego piętra słuchał wyłącznie rock'n'rolla. A artysta minimalista z góry nie słuchał niczego poza trzaskami w radiu.

Znalazła się na ostatnim stopniu. Stara piosenka urwała się w pół słowa i po chwili rozległa się trochę nowsza. Rok 1955, Billie Holiday była u końca swej kariery, pozostały jej cztery lata do śmierci podczas festiwalu jazzowego.

Mallory pchnęła drzwi do piwnicy. W głębi, za czarnymi cieniami, przez szparę w drzwiach harmonijkowych wpadała wąska smuga światła. Mallory postanowiła nie korzystać z latarki leżącej na skrzynce z bezpiecznikami. Gdyby się okazało, że to początkujący włamywacz, nie chciała stanowić dla niego wyraźnego celu w ciemnościach.

Utwór ledwo się rozpoczął, a znów zmieniono nagranie. Lady Day śpiewała w londyńskiej mgle, kiedy Mallory zbliżyła się do przepierzenia. Spojrzała na wielką staroświecką kłódkę. Była zamknięta, a łańcuch nadal przewleczony przez otwory w drewnianych płytach. Wprawdzie szpara była wystarczająco szeroka, by przesunąć przez nią rękę, ale czemu włamywacz miałby zamykać za sobą drzwi?

I jakiego nagrania szukał? Rozległ się kolejny utwór, z 1958 roku, kiedy Billie Holiday pozostało już niewiele miesięcy życia.

Mallory sięgnęła do kieszeni dzinsów. Jej palce zacisnęły się na pęku wytrychów, które zabrała dziś rano. Przyniosła go do światła

padającego przez szparę, odkręciła metalową kulkę u góry przedłużki i wybrała końcówkę, którą Charles nazwał kluczem uniwersalnym z wojny burskiej. Otworzyła starą kłódkę i cicho wyciągnęła łańcuch z otworów w drewnianej ścianie. Obydwoma rękami rozepchnęła skrzydła drzwi. Skrzywiła się, słysząc zgrzyt nienaoliwionych zawiasów i kółek przesuwających się po metalowych prowadnicach na podłodze.

Spoglądała teraz na plecy wysokiego mężczyzny pochylającego się nad gramofonem i przesuwającego igłę na następny utwór na płycie, tym razem autorstwa Duke'a Ellingtona. Lady Day śpiewała: *If you hear a song in blue...*

Najwidoczniej szukał właśnie tego nagrania. Odszedł od starego gramofonu i zbliżył się do otwartego kufra z ubraniami. Grzebał w szufladach, kiedy zaszła go od tyłu.

Malakhai musiał się zorientować, że nie jest sam. Jej obecność zwiastowało głośne skrzypienie drewna i zgrzyt metalu, on jednak udawał całkowitą obojętność, nawet się nie odwrócił.

Odebrała to jako zniewagę.

Iluzjonista zainteresował się ubraniami wiszącymi w drugiej części kufra. Biały kostium znajdował się tam, gdzie go zostawiła dzień rano, rzucony na inne ubrania. Atłas połyskiwał, kiedy Malakhai wziął materiał do ręki.

- Myślę, że to pani rozmiar, Mallory. - Wolno odwrócił głowę, by jej pokazać uśmiechnięty profil. - Dotrzymuje pani słowa. Obejrzałem się za siebie, i oto pani jest. - Przesunął dłonią po klapie białego kostiumu. - Ma pani taką figurę jak Louisa. Życzy sobie pani ten komplet?

- To nie pana własność, by nią pan rozporządzał.

- Ależ tak. Proszę spytać Charlesa. - Zatoczył ręką krąg, obejmując nim wszystkie kartony opatrzone imieniem Faustine. - Max

zostawił mi rekwizyty, garderobę, wszystko z teatru w Paryżu. Nigdy się po to nie pofatygowałem.

Malakhai otworzył szufladę i wyjął z niej czarny jedwabny krążek. Puknął w niego zdecydowanym ruchem i krążek przemienił się w cylinder. Mężczyzna włożył go na głowę.

- Kupiła mi go Faustine. Terminowałem u niej.

Mallory skinęła głową w kierunku kufra.

- Czy Faustine kupiła to wszystko dla Louisy?

- Nie, nigdy nie poznała mojej żony. Niemcy wkroczyli do miasta pewnego ranka w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku i tego samego popołudnia staruszka zmarła. Oczywiście to zwykły zbieg okoliczności. Faustine nigdy nie widziała niemieckiego żołnierza.

Mallory spojrzała na okienko w ścianie w głębi. Szyba i kraty były nietknięte.

- Jak się pan tu dostał? Czy Charles pana wpuścił?

Machnął lekceważąco ręką.

- Och, proszę. Przechodziłem przez zamknięte drzwi, zanim się jeszcze pojawił na świecie.

Mallory skrzyżowała ręce. Całą swoją postawą mówiła kpiąco: „Jasne”. Nie zrobił na niej wrażenia swymi umiejętnościami.

- I dlatego zapalił pan światło i zbyt głośno nastawił muzykę. A potem zamknął pan drzwi za sobą, żeby nikt nie wiedział, że pan tu jest. Czy coś pominęłam?

- Swoim zachowaniem wprowadziłem panią w niepokój. Przepraszam.

Wcale nie. Prawdopodobnie zamknął drzwi, żeby nikt mu nie przeszkodził, kiedy będzie grzebał w kufrze. Uniosła w górę pęk kluczy.

- Przypuszczam, że ma pan coś takiego. To znacznie ułatwia życie, prawda?

Muzyka ucichła. Billie Holiday zamilkła.

Bardzo dobrze. Miała dość nieboszczek na jeden wieczór.

Malakhai zapalił papierosa, wypuścił kłąb dymu i usiadł na skrzyni. Na cementowej posadzce leżał pośród kawałków desek łom. Drugi obłoczek dymu unosił się znad popielniczki stojącej na stosie kartonowych pudeł. Na filtrze widniał ślad czerwonej szminki.

Malakhai nie odrywał oczu od Mallory, zdejmując tweedową marynarkę i podwijając rękawy niebieskiej jedwabnej koszuli. Uniósł brwi, patrzył wyczekująco, co powie Mallory. Ale uważała, że tylko ona ma prawo w ten sposób postępować z ludźmi, nie on, więc się odwróciła, by przyrzeć się stojącym w pobliżu skrzyniom. Połowa z nich była otwarta. Wziął łom i przystąpił do podważania wieka kolejnej paki.

- Czego pan szuka?

- Skrzynki wina. - Z całej siły napał na narzędzie i wieko się uniosło, czemu towarzyszył trzask pękającego drewna i ciche zgrzytnięcie zardzewiałych gwoździ. Zajrzał do środka i pokręcił głową. - Tutaj też nie ma.

Malakhai upuścił łom na podłogę i znów podszedł do kufra. Wyjął kostium wyszywany czarnymi cekinami, który migotał w świetle lampy tak oślepiająco, że niemal odwrócił uwagę Mallory od Malakhaia, ukradkiem przeszukującego kieszenie.

- Musi pani to przyjąć. Louisa nalega. - Wyciągnął rękę z ubraniem w kierunku Mallory. - Moja żona mówi, że blondynkom świetnie w czarnym.

Pozwoliła, żeby kostium przez chwilę połyskiwał w powietrzu między nimi, zwisając z wieszaka trzymanego w jego wyciągniętej ręce.

Malakhai ze zrozumieniem skinął głową.

- Jak pani chce. - Powiesił kostium z powrotem na drążku. - Ale jeszcze pani po niego wróci. - Spojrzał w kierunku popielniczki, na

której leżał tłący się papieros, a potem uśmiechnął się do Mallory. - Louisa mówi, że nie będzie się pani mogła oprzeć jej strojom. - Przez chwilę wpatrywał się w obłoczek dymu, a potem skinął głową, jakby przyznawał komuś rację. - Cekiny będą powtarzały pani imię. Nie pozwolą pani usnąć, póki się pani nie podda.

Mallory ściągnęła uśmiech. Wiedziała, czego Malakhai szuka w fałdach ubrań i kieszeniach, odtwarzając niby to komentarze zmarłej żony.

Przechylił głowę na bok, znów nasłuchując. Wskazał na suknie na końcu drążka.

- I te jedwabne. Zmuszą panią, by włożyła je pani na przyjęcie. Sprawia, że nie spocznie pani przez całą noc, tańcząc i pijąc dobre wino. Louisa chce, żeby usłuchała pani tych strojów. Wiedzą, co dla pani najlepsze.

- A co Louisa ma teraz na sobie?

- Sukienkę, w której umarła. - Obejrzał się przez ramię i skupił wzrok na dymie unoszącym się znad popielniczki. - Jest błękitna jak niebo, niemal tak jasna jak jej oczy.

Mallory podeszła do kufra i stanęła tuż obok mężczyzny. Używał drogiej wody kolońskiej, tak dyskretnej, że nie poczuła jej zapachu podczas gry w pokera. W powietrzu unosiła się też inna woń, lekko zakurzonego kwiatu - gardenii. Mallory zajrzała do otwartej szuflady z bielizną. Dostrzegła saszetkę wsuniętą między haleczki.

- Czy to wszystko stanowiło własność pańskiej żony?

- Te pantofelki do tańca należały do Faustine, ale reszta jest Louisy. W naszym pokoju nie było szafy. Jej funkcję pełnił ten kufer. Tak, są tutaj wszystkie jej stroje oprócz tej jednej sukienki. Louisa została w niej pochowana.

- Pochowano ją w zakrwawionej sukni?

- Pogrzeb odbył się w pośpiechu.

- To była jej jedyna sukienka. - Mallory przesunęła ręką po wieszakach. - Wszystkie te ubrania: garnitury, koszule, spodnie, zostały uszyte na mężczyznę, a potem dopasowane do jej figury. Ale w dniu śmierci miała na sobie sukienkę. Dlaczego?

- Kobiety. - Wzruszył ramionami, jakby to stanowiło pełną odpowiedź. Następnie podszedł do stosu skrzyń z teatryku Faustine i ściągnął kolejną. Była duża, ale trzymał ją, jakby ważyła zaledwie kilka kilogramów. Postawił skrzynkę na podłodze. - Gdzie jest to wino? Jeszcze tyle do wypicia, a tak mało czasu zostało.

Mallory podeszła do popielniczki, na której leżał papieros Louisy. Utkwiła wzrok w dymie.

- Włosy ma obcięte bardzo krótko, prawda?

Najwyraźniej Malakhaiowi się nie spodobało, że próbuje mu odebrać jego rolę. Odwrócił się do Mallory plecami i pochylił nad skrzynią. Znieruchomiał, opierając dłonie na kolanach. Nieznacznie odwrócił głowę, tak że widziała jedynie linię jego podbródka.

- Skąd pani to wie?

A więc dobrze się domyśliła. W Paryżu Louisa obcięła długie włosy, które miała na zdjęciu w paszporcie. Spojrzał przez ramię.

- Chłopcy pani powiedzieli?

Chłopcy? Musi mieć na myśli starych iluzjonistów. Skinęła w kierunku kufra.

- Krótkie włosy pasują do męskich ubrań.

Pochylił głowę i z całych sił naparł na łom.

- Nosila krawaty i garnitury, jak wszyscy iluzjoniści. Louisa fascynowała każdego, kto znalazł się w teatrze. W połowie długości sali potrafiła przeistoczyć się w kogoś innego, zmieniając chód. - Odwrócił się w kierunku dymu unoszącego się nad popielniczką, ostatniej drżącej smużki z papierosa, który po chwili zgasł. - Ma

takie jasnoniebieskie oczy. Chwilami wydają się prawie białe. Nigdy się nie malowała.

- Ale dziś wieczorem użyła pomadki do ust. - Mallory obeszła skrzynię, by móc zobaczyć jego twarz. - Zrobiła sobie makijaż tamtego wieczoru, kiedy została zabita, prawda? I włożyła sukienkę, swoją jedyną sukienkę, żeby umrzeć jak kobieta.

- Tak. - Jego ciemnoniebieskie oczy miały teraz posępny wyraz. Wbił wzrok w łom, którym podważał kolejne drewniane wieko. - Tamtego wieczoru była kobietą w każdym calu.

Mallory przycisnęła ręką wieko skrzyni, by nie mógł go podważyć.

- Ukrywał ją pan przed Niemcami czy przed francuską policją?

Łom wysunął mu się z rąk i upadł na posadzkę. Mallory zdjęła dłoń z wieka skrzyni i cofnęła się.

- Wiem dużo o Louisie.

Pokręcił głową, by dać jej do zrozumienia, że to kłamstwo.

- Nie sądzę. Ale muszę przyznać, że wie pani dużo na temat śmierci. Pani wykład podczas gry w pokera był bardzo pouczający. I niezwykle brutalny.

- Nie? Gdzie pan był, kiedy umierała?

- Gdzie indziej.

Uwagę Mallory odwrócił dym kolejnego papierosa. Kiedy go zapalił?

- Poznałam pańskich starych przyjaciół z teatryku Faustine.

- A oni nie mogli pani powiedzieć nawet, gdzie Louisa się urodziła. - Rękami odrywał deski. - Nigdy nikomu nie opowiadałem o swojej żonie.

- Zgadza się, kontrakt z wytwórnią płytową zawiera klauzulę o karze umownej.

Zostawił tę skrzynię i rozejrzał się za inną.

- Czy słyszała pani kiedyś koncert mojej żony? Louisa zaczęła go komponować, kiedy miała zaledwie czternaście lat. Ukończyła go w Paryżu.

- Dziwne, że pańscy starzy przyjaciele nic nie wiedzieli o jej przeszłości, chyba że miał pan coś do ukrycia, zanim Louisa umarła. A więc się nie mylę. Była poszukiwana. Nie ufał pan żadnemu z nich?

- Powiniennem zagrać jej koncert: jest w nim zawarta cała osobowość Louisy. Krytycy muzyczni twierdzą, że to dzieło ma duszę, nie daje człowiekowi spokoju, jeśli pani woli. Ale przecież nie wierzy pani w duchy.

- Podobnie jak pan. - Obserwowała go, jak unosi obłuzowane wieko. - Sprawienie, by zmarła kobieta chodziła i mówiła, wymaga ogromnego wysiłku. To pan pociąga za sznurki.

Ukazało się wewnątrz skrzyni i Malakhai pobladł na widok drewnianej kuszy, która się w niej ukazała. Uchwyt był pęknięty, a łuk złamany na pół. Potrząsnął głową, jakby w ten sposób mógł uciec od tego widoku. Tym razem zadał sobie trud, by zamknąć wieko skrzyni, chociaż inne pozostawił otwarte.

- Tutaj też nie ma wina. - Kiedy spojrział na Mallory, zdążył się już opanować. - Nic pani nie wie o mojej żonie.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku nie miała krótkich włosów. - Obserwowała jego ręce, zaciskające się na łomie. - Przynajmniej nie w sierpniu, to znaczy wtedy, kiedy przekroczyła granicę Francji. Osiemnastoletnia oblubienica.

- Miała tylko siedemnaście lat - poprawił ją. - Louisa skończyła osiemnaście lat dopiero w Paryżu.

- Dodał jej pan jeden rok. To była część kamuflażu.

- Chłopcy pani tego nie powiedzieli. Nie wiedzieli o tym. Mallory, jest pani fascynującą kobietą. Założę się, że wzbudza pani w ludziach lęk.

- Miała długie, falujące, jasnorude włosy. Potem je obcięła. - Mallory spojrzała na spodnie, garnitury i mało kobiece obuwie, nie licząc złotych pantofelków do tańca. - Louisa ukrywała się w Paryżu przebrana za chłopaka. Zamordowano ją w Teatrze Iluzji Faustine zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Jak do tej pory wszystkie szczegóły się zgadzały; czytała to z jego twarzy. Jeśli dowód tożsamości Louisy też podrobiono, przynajmniej data ważności była prawdziwa.

- Dlaczego w dniu śmierci miała na sobie swoją jedyną sukienkę? Czy Niemcy szukali kobiety w męskim przebraniu? Louisa zamierzała opuścić Paryż, prawda? - Mallory podeszła do niego od tyłu i szepnęła mu prosto do ucha:

- Czy chciała wyjechać bez pana?

Rozległ się trzask pękających desek. Wieko skrzyni opadło na podłogę.

- Znalazłem wino. - Wydobył butelki i postawił je na podłodze. - Mallory, jest pani inna, niż się spodziewałem. Potrafi pani świetnie rozszyfrowywać ludzi, żywych i umarłych. Słuchając Charlesa, odniosłem wrażenie, że woli pani towarzystwo komputerów.

Wiedziała, jakie przezwisko nadali jej nowojorscy policjanci - Robot. Usiadła na odwróconym wieku skrzyni. Było to jedyne miejsce niepokryte kurzem, śmiertelnym wrogiem wszystkich automatów. Malakhai postawił przed nią butelki. Z nalepek wyczytała, że zawierają caberneta, burgunda i portwajn.

- Dobry, stary Max, sentymentalny drań. - Wyjął ze skrzyni rzeźbioną drewnianą szkatułkę i potrząsnął nią. Zmarszczył czoło, słysząc brzęk potłuczonego szkła. - Jaka szkoda. To były najlepsze kryształy Faustine. - Otworzył pudełko i spojrzął na komplet dwunastu kieliszków do wina, wciśniętych w zielony aksamit.

Tylko połowa z nich była cała. Postawił na podłodze trzy kieliszki.

Pogrzebawszy jeszcze w skrzyni, wyciągnął z niej srebrny korkociąg o perłowej rączce. Wbił go w korek w butelce.

- To niepospolite wino - powiedziała Mallory. - Za drogie, żeby je pić.

- Mówi tak pani, bo jest stare. - Szarpnął korkociąg i wyciągnął go z okruchami suchego korka. - Cholera.

- Weisnął szpikulec głębiej i zaczął go wkręcać w szyjkę butelki. - Pamiętam to wino, kiedy było młode. Ale ma pani rację, nawet wtedy należało do dobrych.

Reszta korka wyszła w kawałkach. Z szyjki butelki wydobył się zapach octu, informując ich, że wino skwaśniało.

- To powinno być karalne. - Wpatrywał się w nalepkę, jakby czytał nekrolog drogiej przyjaciółki. - Dlatego nie uznaję gromadzenia zapasów wina.

Mallory zlustrowała pozostałe butelki.

- Różne wina, różne winnice. Dlaczego wszystkie są z tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku?

- To był cudowny rok, radosny rok. Louisa wciąż żyła. Cała nasza paczka trzymała się razem: terminowaliśmy u Faustine. Dopiero potem wszystko się popsuło. - Wetknął największy kawałek pokruszonego korka z powrotem do butelki, by zlikwidować źródło ostrego zapachu. - Daty się zgadzają, Mallory. Pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Louisa nie żyła, chłopcy się rozjechali. - Wytarł kieliszek chusteczką do nosa i wsunął go jej do ręki. - Znajdę butelkę dobrego trunku.

Postawiła kieliszek na cementowej posadzce i odsunęła go.

- Nie chce pani wina? - Uśmiechnął się. - Ciekawe.

- Odwrócił się. Popielniczka stała teraz na podłodze, Louisa zaczęła palić kolejnego papierosa. - Moja żona uważa, że boi się pani stracić kontrolę nad sytuacją. Chce, żeby więcej pani ryzykowała,

miała wielu kochanków, piła tyle wina, ile tylko zechce.

- Czy Louisa miała wielu kochanków?

Odwrócił wzrok od Mallory i zaczął sprawdzać butelki jedną po drugiej, szukając takiej, która zawiera dobre wino.

Zapach oleju maszynowego trochę psuł bogaty bukiet burgunda. Mallory spokojnie obserwowała, jak jej podejrzany o morderstwo montuje świeżo naoliwioną, śmiercionośną broń, mocując długi, wygięty element w rowku na końcu osady kuszy.

Już dawno zostawili w spokoju kufer, przeniósłszy butelki z dobrym winem za parawan ze smokiem, by rozsiąść się bliżej podium. Wewnętrzny zegar Mallory zupełnie się rozregulował. Upływ czasu można było mierzyć ilością wypitego wina i liczbą powtórek bluesów. Czwarty raz słuchała tego samego albumu płytowego. A może piąty? Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na gołej cementowej posadzce, popijała trunk z kryształowego kieliszka, zapomniawszy o swoim lęku przed kurzem i alkoholem.

Billie Holiday śpiewała: *If you hear a song in blue...*

- Jest pani taka młoda. - Przykręcił śrubę, żeby umocować elementy. - Te słowa nic dla pani nie znaczą, prawda?

- Prawda - skłamała Mallory, nie chcąc mu niczego zdradzać o sobie ani swej wyjątkowej więzi z panterą w klatce Rilkego ani z rozmyślaniami T.S. Eliota o czwartej nad ranem, ani z bluesem.

...like a flower crying...

Kieliszek Mallory był opróżniony tylko do połowy, ale Malakhai znów dołał jej wina. W którymś momencie jedwabny cylinder trafił z jego na jej głowę, nie potrafiła powiedzieć, kiedy i jak to się stało.

Teraz opadł jej na oczy, więc przesunęła go do tyłu.

- Max powinien być inżynierem. Zaprojektował tę kuszę. - Żył i mięśnie przedramienia zarysowały się wyraźnie, kiedy Malakhai odgiął gruby, zakrzywiony metalowy pręt, by napiąć cięciwę. - Ta ma nacisk siedemdziesięciu kilogramów, ale nawet dziecko może ją obsługiwać, korzystając z lewara. Strzała mknie z prędkością osiemdziesięciu metrów na sekundę. Niebezpieczna broń.

...heart trying to compose...

- Myślałam, że jest pan miłośnikiem muzyki klasycznej, jak pańska żona. Dlaczego akurat Billie Holiday?

- Cóż, w Paryżu wszyscy byliśmy dziećmi jazzu, dopiero później przeczuciłem się na bluesa. Odkryłem Billie między drugą wojną światową a wojną koreańską.

- Emile St John powiedział, że w Korei znalazł pan żonę. Po tym, jak nie żyła od...

- To raczej ona odnalazła mnie. Pozostaliśmy przy wcześniejszej wojnie. Myślę, że bardziej by się pani spodobała, Mallory. Mnóstwo broni dużego kalibru.

... a prelude that never dies...

- Świat ogarnięty wojną. - Wziął wąski, drewniany pojemnik, magazynek na trzy strzały. - Chciałbym móc ukazać pani zdumiewającą skalę tego wszystkiego. Spadające bomby. - Umieścić magazynek we właściwym miejscu na wierzchu osady. - Parady i muzyka, wiwatujące tłumy, całe miasta zamieniające się w gruzy. - Dokręcił śruby, które mocowały magazynek do kuszy. - Naziści maszerujący defiladowym krokiem i jankesi w czołgach.

To było wzniosłe.

...my prelude to a kiss...

Malakhai podniósł zagięty metalowy pręt, wystający z tylnej części elementu wypuszczającego strzały.

- Charles miał rację. Wszystkie wymagają nowych cięciw. Ale ta powinna wystarczyć na kilka strzałów. - Ponownie przesunąwszy pręt w dół, napiął cięciwę: kusza była gotowa do wypuszczenia pierwszej strzały.

Cylinder znów opadł Mallory na oczy. Malakhai wyciągnął rękę i przesunął go jej na tył głowy.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku widziałem podniebny pojedynek, walkę powietrzną kilku samolotów. Jeden myśliwiec wybuchł w powietrzu, pilot spadał na ziemię, jeszcze żył. Spadochron się nie otworzył, przypominał białą wstęgę jedwabiu. Lotnik przebierał nogami jak szalony. Może myślał, że jeśli uderzy w ziemię, biegnąc, uniknie śmierci. Niepoprawny optymista. To musiał być Amerykanin.

Malakhai spojrzął przez celownik kuszy. Mallory była ciekawa, czy mężczyzna zdaje sobie sprawę, że celuje w popielniczkę, na której tli się papieros Louisy.

- Mallory, proszę mi obiecać, że nigdy nie stanie pani przed jedną z tych kusz, kiedy będą zamontowane na postumentach.

- Max Candle paradował przed czterema.

- Tak, ale pani nie jest Maks'em Candle'em. Podobnie jak nie był nim Oliver. - Malakhai podszedł do podium i umieścił uchwyt kuszy w otworze w postumencie. Wrócił i podniósł do połowy opróżnioną butelkę wina.

- Bardzo dobry rocznik. - Napełnił kieliszek stojący obok popielniczki Louisy. - Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Max uciekł ze szkoły z internatem. Nazywał się Butler, jak Charles. Kiedy wyruszył za mną do Paryża, przybrał nazwisko Candle, by ukryć się przed agentami Pinkertona, których wynajęli jego rodzice. Jeśli nie wie pani, kim byli ci...

- Wiem, prywatnymi detektywami. A więc poznaliście się w szkole?

- Tak. Ojciec Maksa był dyplomatą. Rodzice zamierzali zabrać go do domu w Stanach. Wtedy postanowił uciec.

- A jak brzmi pana prawdziwe nazwisko?

- Malakhai. Rozczarowana? - Wrócił do podium i wspiął się po schodach na scenę.

Obserwowała, jak podnosi ciężką tarczę, z łatwością wyciągając ją z rowków w słupkach.

- A imię?

- Może pani powiem, kiedy lepiej się poznamy. - Zabrał tarczę za czerwoną kotarę.

Mallory zaczęła się już przyzwyczajać do jego uników. Nie naciśkała go, więc tylko zapamiętywała czułe punkty, o których świadczyły pytania pozostawione bez odpowiedzi.

Louisa była nałogową palaczką. Popielniczkę wypełniały niedopałki papierosów ze śladami szminki, ale Mallory jeszcze nie udało się przyłapać męża zmarłej kobiety na tym, jak zapala kolejnego papierosa. Doszła do wniosku, że na wszystkich papierosach, należących rzekomo do Louisy, musiały być wcześniej porobione ślady szminki, ale papierosy zaczynały się palić, kiedy Malakhai był daleko od nich.

Zgrabna sztuczka.

Mallory sączyła trunek, rozważając, na czym ona polega. A więc taki smak miało wino w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, kiedy Malakhai był nastoletnim chłopcem, a wszędzie wkoło szalała wojna.

- Jakie stosunki panowały podczas okupacji między wami a Niemcami?

- Och, żołnierze byli naszymi najlepszymi klientami. Po śmierci Faustine przekształciliśmy teatr w lokal z występami artystycznymi. Nie mogliśmy związać końca z końcem na samych pokazach iluzji.

Więc usunęliśmy rzędy foteli i na ich miejsce wstawiliśmy stoliki i krzesła: urządziliśmy jedną wielką salę restauracyjną.

- Żywiliście wroga?

- Raczej go podtruwaliśmy, tak okropne było jedzenie. - Zniknął za parawanem ze smokiem, z daleka dobiegł ją jego głos: - Wino było gorsze od tego, więc na widowni nigdy nie mieliśmy oficerów.

Usłyszała trzask pękających desek, kiedy Malakhai wziął się do otwierania kolejnej skrzyni.

- Byliśmy tylko bandą dzieciaków - powiedział. - Kiedy człowiek jest młody i biedny, myśli wyłącznie o żołądku, nie o polityce.

Wrócił, niosąc w jednym ręku okrągły stolik kawiarniany, a w drugim krzesło.

- Pochodzą z teatru Faustine. Max kupił chyba wszystko oprócz bidetu staruszki. - Postawił sprzęty przed schodkami.

- Czy Louise zabił niemiecki żołnierz?

- Dajmy temu spokój, dobrze? - W tonie jego głosu słyhać było tylko lekkie zniecierpliwienie. - Chce pani zobaczyć tę sztuczkę czy nie? - Wytarł krzesło ściereczką i podsunął je Mallory. - Proszę usiąść.

Zajęła miejsce przy małym stoliku, a on zagrał rolę kelnera, stawiając przed nią kieliszek i butelkę wina. Ruchy rąk miał pewne. Może uda jej się wyprowadzić go z równowagi.

- Jak umarła Faustine?

- We śnie, bez rozlewu krwi. Wiecznie sprawiam pani zawód, prawda? - Wytarł popielniczkę Louisy i postawił ją na stole obok butelki z winem. - Prawdopodobnie nie spodoba się pani ta sztuczka. To bezpretensjonalny żart iluzjonistyczny. Pokazywaliśmy go każdego wieczoru na otwarcie programu. Wymyślił go Max. Louisa nie była iluzjonistką, więc maksymalnie go uprościł.

Malakhai delikatnie wyjął skrzypce z zakurzonego futerału i zaczął kręcić kołeczkami w miejscu, gdzie długa szyjka kończy się ślimakiem.

- Proszę się nie spodziewać zbyt wiele. - Trzącał struny, napinając je lub poluzowując, strojąc instrument bez pomocy kamertonu. - Proszę to potraktować jak odrobinę poezji, wstęp do pokazu iluzji.

Wpatrywała się w papierosa leżącego na popielniczce. W pewnej chwili jego koniec zaczął się żarzyć, a potem uniosła się smużka dymu.

Środek chemiczny?

To by tłumaczyło, dlaczego nigdy nie przyłapała Malakhaia, jak zapala papierosa. Może to było coś, co się zaczynało tlić po wyjęciu z pudełka i zetknięciu z powietrzem. Wzięła papierosa i powąchała dym, ale nie wyczuła najmniejszego śladu zapachu chemikaliów. Wsunęła filtr do ust i zaciągnęła się.

Gardło zaczęło ją palić i dostała ataku kaszlu. Z trudem chwyciła powietrze.

- A więc to pani pierwszy papieros. - Malakhai podszedł do niej i zaczął delikatnie klepać ją w plecy. - Skąd to wiem?

Czuła ogień w płucach, do oczu napłynęły jej łzy.

- Coś zostało zmieszane z tytoniem. Pali...

- Och, zawsze tak jest, kiedy człowiek zaciągnie się pierwszy raz. Potem się dziwi, dlaczego w ogóle doszło do drugiego razu. - Podał jej kieliszek, a ona napiła się łączywie, traktując wino jak lekarstwo. - No cóż, Mallory, teraz, kiedy obydwoje zażyliśmy truciznę, łączy nas więź..- Nie zdjął dłoni z jej ramienia, póki Mallory nie przestała kaszleć. - A więc zaryzykowała pani i zaciągnęła się papierosem, godne pochwały. I jest pani na najlepszej drodze, żeby się upić. To jeszcze lepiej.

Postawiła kieliszek i odsunęła go.

Malakhai pochylił się nad skrzynią i wyjął z niej jutowy manekin. Zarzucił go sobie na ramię i wszedł po schodach na podium. Jeśli nie liczyć cer i łąt, stanowił dokładną kopię manekina, którym posłużył się Oliver Tree.

Malakhai przymocował szmaciane ręce do żelaznych obręczy sznurkiem, a nie kajdankami.

- Manekin nie stanowi elementu sztuczki. Potrzebny mi do ustawienia kuszy. - Zszedł po schodkach i włożył strzałę do magazynka. Po załadowaniu broni i naciągnięciu ciężki spojrzął na Mallory, uśmiechając się czarująco.

- Chwila pełna napięcia?

Wcale nie.

Pod blezerem czuła dający poczucie bezpieczeństwa rewolwer i była gotowa założyć się o wszystko, że strzała nie może się równać z kulą.

- W oryginalnej wersji - powiedział - nie było magazynka. Używano kuszy jednostrzałowej z drewnianym łukiem. Broń trzymano w ręku, nie stała na postumencie. Ale ponieważ jest pani widzem, byłoby nietaktem, gdybym się zwrócił do pani z prośbą, by strzeliła pani do mnie.

- Przekreślił przełącznik na postumencie. - Więc zaimprovizujemy pokaz, zdając się na urządzenie mechaniczne.

Rozległo się tykanie mechanizmu zegarowego, kiedy zęby kół zaczęły o siebie zahaczać.

Malakhai stanął za postumentem i patrzył przez celownik kuszy.

- Maksa zainspirował numer z magiczną kulą. Nigdy go nie widział, ale miał ogólne pojęcie, na czym polega. W oryginalnej wersji posługiwano się pistoletem.

Malakhai podszedł do Mallory z naręczem porcelanowych naczyń.

- Strzał roztrzaskiwał talerz trzymany przez iluzjonistę, który następnie zębami chwycił kulę. - Pochylił się nisko, by ustawić małe

talerzyki wokół stolika kawiarnianego.

- Ale podczas okupacji Niemcy krzywo patrzyli na cywilów z bronią palną. - Cały czas słyhać było miarowe tykanie. - A chwytanie strzały zębami byłoby zbyt ryzykowne.

Tykanie ustało. Cięciwa z brzdękiem osunęła się z chwytu, strzała pomknęła zbyt szybko, by Malakhai mógł śledzić jej lot od postumentu do serca manekina, z dziury w jutowym tułowiu posypały się trociny.

- Świetnie - powiedział Malakhai. - Teraz miejmy tylko nadzieję, że cięciwa wytrzyma kolejny strzał. - Położył po jednym papierosie na każdym talerzu ustawionym na podłodze wokół stolika. - Odpowiedni nastrój to połowa sukcesu.

Nie miała racji, sądząc, że ślady szminki Louisy zrobiono wcześniej. Wszystkie filtry były czyste.

Malakhai przywiązał czerwoną wstążkę do końca strzały, którą następnie umieścił w magazynku. Po ściągnięciu jutowego manekina obszedł całe podium, wyłączając okrągłe lampiony i lampy stojące. Im robiło się ciemniej, tym większy niepokój ogarniał Mallory. Teraz jedynym źródłem światła była żarówka umocowana między słupami na podium, trochę dalej wszystko ginęło w mroku.

W połowie wysokości schodków Malakhai przystanął na skraju żółtej plamy światła i zatoczył krąg jedną ręką, powtarzając:

- Odpowiedni nastrój.

Jak na komendę wszystkie papierosy na spodeczkach zapaliły się jeden po drugim i ze wszystkich stron otoczył Mallory dym, białe smugi niknęły w zalegającym wokół mroku.

Usłyszała tykanie kół zębanych i odwróciła się w stronę podium. Malakhai stał na scenie. Jedyna paląca się żarówka miała mały zasięg, dzięki czemu mężczyzna wyglądał o kilkadziesiąt lat młodziej. Trzymał skrzypce i smyczek. W ciemnościach tykanie wydawało się głośniejsze.

- Znajduje się pani w Teatrze Iluzji Faustine. Jest rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi. Jeśli spojrzy pani w górę, może pani dostrzec małe prywatne łożo. A nad nimi strop pokryty malowidłem przedstawiającym postaci i sceny ze znanych sztuk. Och, i żyrandol; ogromną, połyskującą kryształową kulę. Jest o wiele za duży w stosunku do rozmiarów sali. Faustine miała nie najlepszy gust. Ale trwa wojna. Staruszka nie żyje, a nas nie stać na żarówki. Więc żyrandol się nie pali, a salę oświetlają świece. Jest wypełniona po brzegi. Przyszli paryżanie i uciekinierzy z różnych stron Europy. Żołnierze w szarych mundurach z bronią u pasa. Kelnerami są młodzi chłopcy w cylindrach i smokingach. Proszę sobie wyobrazić, że wino nie jest tak dobre.

Nic nie mąciło grobowej ciszy, jeśli nie liczyć tykających kółek zębatach] w nieruchomym powietrzu snuł się jedynie dym.

- Nie jest już pani policjantką, Mallory. Nie dzisiejszego wieczoru. Mieszka pani w okupowanym Paryżu. Wszystko, co było znajome i bliskie, zniknęło. Nie wie pani, co będzie pani jutro jadła. Nie wie pani nawet, jak zakończy się ten wieczór. Wszystko może się zdarzyć.

Czy tykanie stało się głośniejsze?

- Czuje pani zapach rozlanego wina i tanich perfum, a także dymu. - Uniósł skrzypce i przycisnął je brodą do ramienia. - Teraz musi pani jeszcze bardziej popuścić wodze fantazji. Zamiast mnie widzi pani prześliczne stworzenie o ognistorudych włosach. Ma zaledwie osiemnaście lat. I musi sobie pani wyobrazić, że skrzypce dziewczyny są dobrze nastrojone.

Mallory słyszała cichy zgrzyt mechanizmu, pomimo że niedawno został naoliwiony. Koła zębate obracały się, tykając. Bolec, który miał zepchnąć cięciwę z chwytu, wznosił się coraz wyżej. Malakhai stał między dwoma słupami. Smyczek zawisł nieruchomo nad strunami.

- Kiedy Louisa gra, Max Candle wchodzi na scenę z lewej strony. W ręku trzyma kuszę. Widzi pani, jak wyciąga strzałę z kołczanu. Przywiązana jest do niej długa czerwona wstążka. Max wsuwa strzałę do kuszy. Louisa go nie widzi, tak jest pochłonięta swoją grą. - Zamknął oczy. - Obraca się wolno, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że ktoś na nią patrzy. Nie mogę pani zagrać koncertu. Wykonam prostą palcówkę, której mnie nauczyła Louisa w pewne deszczowe popołudnie.

Melodia była słodka. Koła zębate postumentu tykały w rytm metronomu - a może bomby. Malakhai obracał się. Ruszał jedną ręką, przesuając potartym kalafonią smyczkiem po strunach. Palcami drugiej ręki przebierał po szyjce instrumentu, by tworzyć akordy i wygrywać krótkie rytmiczne frazy. Obserwowała jego plecy i ruch ramienia przesuującego smyczek po strunach skrzypiec.

Broń wypaliła. Mallory śledziła strzałę, obserwując czerwoną wstążkę mknącą w ślad za nią. Malakhai gwałtownie wyrzucił jedną nogę. Wyglądało to tak, jakby strzała go przeszła. Odzyskał równowagę, nadal się obracał, nadal grał, aż znów znalazł się twarzą do swej jednoosobowej widowni. I chociaż muzyka nie zamilkła ani na chwilę, zniknęła smyczek, a po strunach przesuwała się śmiercionośna strzała. Z jej jednego końca zwisała czerwona wstążka.

Żarówka nad głową zgasła. Cały świat pogrążył się w ciemnościach.

Mallory odruchowo sięgnęła prawą ręką po broń. Usłyszała kroki Malakhai na schodkach, wyjęła słuch, by móc w mroku trafić do celu.

Zapaliła się lampa stojąca u podnóża podwyższenia.

- No i? - Malakhai się schylił, by dotknąć kulistej lampy na podłodze, która po chwili zaczęła pulsować światłem. - Podobało się pani? - Obszedł wkoło podium, zapalając wszystkie lampy.

Nagle dostrzegła coś, co bardziej ją zaintrygowało: smukły cień, przesuwający się na ścianie skrzyni stojącej w głębi. Szczupła postać uciekała, jakby ją zostawiono z tyłu, więc teraz śpieszyła, by ukryć się w ciemnościach spowijających piwnicę. Ale między światłem lampy a cieniem nikogo nie było.

Za dużo wina. Odsunęła kieliszek na skraj stołu. Najpierw papierosy, które się same zapalają, a teraz to.

- Jak pan to zrobił? Chodzi mi o ten cień.

- Ach, o to? Myślałem, że bardziej zainteresuje panią sztuczka, w której Louisa została ranna.

- To był ten numer?

- Znowu zawiedziona? - Uśmiechnął się. - Ale zaintrygował panią cień, więc nie była to całkowita strata czasu.

- Wiem, że nie złapał pan tej strzały w powietrzu, nie kiedy mknęła z prędkością osiemdziesięciu metrów na sekundę. To niemożliwe. Strzała nie trafiła w pana, prawda? Ukrył pan smyczek pod skrzypcami po tym, jak zamienił go pan na drugą strzałę.

- Nie. Była tylko jedna strzała.

- Nie złapał pan tej strzały. - Podeszła do postumentu i zajrzała do pustego magazynka. - Widziałam, jak go pan ładował.

- Ale nie widziała pani, jak go opróżniłem. Kaszłała pani, przypomina sobie pani?

- Widziałam lecącą strzałę.

- Widziała pani wstążkę. Była przywiązana do drutu, który biegł od kuszy do mojej ręki. Strzała, jedyna strzała, od samego początku była ukryta pod skrzypcami.

- Ale przecież nie pociągnął pan za żaden drut. Zauważyłabym to. - Musiałoby to być bardzo silne szarpnięcie.

- Drut przechodził między moimi palcami i był owinięty wokół drewnianego kłoca leżącego na podium. Kiedy kopnąłem kloc, żeby

spadł w dół, poleciał na tyle daleko, żeby wstążka przymocowana do drutu znalazła się w mojej dłoni.

Próbowała sobie przypomnieć, co było najpierw - kopnięcie podczas utraty równowagi czy lot czerwonej wstążki. Jedyne, czego była pewna, to że Malakhai skłonił ją do zachowania typowego dla przygodnych świadków wszelkich zdarzeń - widziała coś, czego nie było.

- A więc na tym to polega?

- Wiedziałem, że będzie pani rozczarowana. To wszystko jest takie proste: kiedy już się pozna sekret.

- Zostać zabitym wstążką to nic groźnego. Powiedział pan...

- Max był jeszcze chłopcem, kiedy wymyślił tę sztuczkę. Odgrywanie śmierci w numerze wieńczącym występ stało się jego specjalnością pod koniec kariery artystycznej. Był to dość pomysłowy sposób zabezpieczenia swoich iluzji przed innymi. Żaden iluzjonista nigdy nie skradł mu żadnego triku. Tylko on jeden był gotów podjąć prawdziwe ryzyko.

- Szukał śmierci?

- Nic tak trywialnego. - Malakhai usiadł na najniższym stopniu schodków. - Myślę, że dla Maksa wojna skończyła się za wcześnie. Patrzył na nią jak wszyscy jankesi, widział w niej pokoleniową próbę ognia. Jego życie było wtedy znacznie ciekawsze. Świat powojenny przyniósł rozczarowanie. Wszystko straciło swoje barwy, smak, fakturę.

- I był żonaty z kobietą, której nie kochał - dodała Mallory.

Malakhai skinął głową, sięgając po butelkę, którą następnie uniósł pod światło.

- Skończyło się nam wino. Zaraz wrócę.

Przeszedł za parawan ze smokiem i postawił butelkę obok kufra. Mallory podążyła za nim, ale niewystarczająco cicho. Zauważyła, jak Malakhai pośpiesznie wyjmuje rękę z kieszeni kostiumu Louisy.

Pogładził materiał zielonego garnituru.

- Złote pantofelki Faustine świetnie do niego pasują. Ciekaw jestem, co robią w tym kufrze. Nigdy nie widziałem, żeby Louisa je nosiła.

- Może chodziła na tańce z kimś innym. Spytałam pana, czy Louisa miała kochanków. Nie... - Kiedy cień przesunął się po kufrze, wyciągnęła broń i obróciła się szybko. Nie zobaczyła nic oprócz dymu unoszącego się z popielniczki, stojącej na podłodze.

- To tylko Louisa - wyjaśnił Malakhai. - Nie zrobi pani krzywdy, Mallory. Lubi panią.

- Skąd pan o tym wie?

- Nikt nigdy tego nie rozgryzł. Ale może pani spróbować. - Dotknął rękami spodni z gładkiego materiału.

- Może tego pan szuka? - Wręczyła mu paszport. Był otwarty na stronie ze zniszczonym zdjęciem. - Myślę, że może to być dzieło Edith Candle.

Uniósł w górę zniszczoną podobiznę swojej żony.

- To było jedyne zdjęcie Louisy. Tak, prawdopodobnie zrobiła to Edith. Biedaczka zazdrosna o ducha.

- Początkowo myślałam, że poślubił pan Louise, by dać jej nowe nazwisko do nowego, niesfałszowanego paszportu. Ale nie doceniałam pana, Malakhai. To fachowa robota. Niemal wzięłam go za prawdziwy.

Pokręcił głową.

- Nie mogę przypisać zasługi sobie. Ten paszport to robota Nicka Prado. Zajmował się chałupniczo fabrykowaniem dokumentów dla tych, którzy chcieli zbiec.

- Należał do ruchu oporu?

- Przykro mi, ale rzecz wyglądała bardziej prozaicznie. Fałszerstwo było jego głównym zajęciem. Miejscowy drukarz kierował do niego klientów. Nick miał pracownię na tyłach drukarni.

- A więc prezentowanie sztuczek magicznych nie było zbyt popłatnym zajęciem?

- Praktykanci u Faustine nie dostawali pensji. Wszyscy musieliśmy zarabiać na życie w inny sposób. Starsza pani była hojna, tylko jeśli chodzi o kostiumy. Nie interesowało jej, czy głodujemy, póki dobrze się prezentowaliśmy.

- A po śmierci Faustine?

- Zyski były bardzo skromne. Nie utrzymalibyśmy się z nich wszyscy. - Wciąż wpatrywał się w zniszczoną fotografię w paszporcie. - Szkoda, że Edith to zrobiła.

Mallory wzięła od niego dokument.

- Może to pan pociął zdjęcie Louisy. Czy nie wpadł pan w szal? - Stuknęła w fotografię. - Czy to pan porysował tę twarz?

Milczał. Nachyliła się bliżej.

- Był pan zły, stracił pan panowanie nad sobą. - A teraz hipoteza, domniemanie, końcowy strzał. - Wiedział pan, że pańska żona pana oszukuje. Louisa zdradzała pana z Maksem Candle'em.

- Tak, wiedziałem o tym. Ale im wybaczyłem.

ROZDZIAŁ 7

Skóra fotela była jedwabista, a miękka poduszka obejmowała jego pośladki tak pieszczotliwie, jak nigdy nie robiła tego żadna kobieta. Jednak sierżant Riker nie czuł się tutaj zupełnie swobodnie i nie miało to nic wspólnego z napiętymi stosunkami, które ostatnio panowały między nim a jego współpracowniczką.

Salon w mieszkaniu Mallory był nieprzytulny, robił wrażenie niezamieszkanego, chociaż komfortowo go urządziła, czerń skórzanej tapicerki kontrastowała z bielą dywanu i z ostrymi kantami mebli z kosztownych gatunków drewna, szkła i chromu - wszystko to nie na kieszeń gliniarza. Najbardziej rzucało się w oczy okno na całą ścianę, wychodzące na Central Park. Taki widok słono kosztował.

Riker nie chciał wiedzieć, skąd Mallory bierze pieniądze na te wszystkie luksusy. Ale miał mocne podstawy, by sądzić, że zarabiała na nie w sposób jak najbardziej uczciwy. Ostentacyjnie obnosiła się ze swoim życiem na wysokiej stopie i eleganckimi strojami, w przeciwieństwie do gliniarzy, o których wiadomo było, że biorą łapówki. Łączył to z jej obojętnością, z jaką zносиła kolejne porażki. Nigdy więc nie zadawał bezpośrednich pytań na tematy finansowe, żeby nie wywinąć kozła jak tyłu przed nim, którzy padli ofiarą wyjątkowej metody podstawiania nogi, stosowanej przez Mallory.

Była odwrócona do niego plecami. Stała przed otwartą szafą, w jednym ręku trzymając jego nowy płaszcz, a w drugim wieszak. Znieruchomiała na moment i wiedział, że dostrzegła plamę na rękawie, mikroskopijny ślad po sosie do spaghetti.

Riker położył na szklanym stoliku okolicznościowym stos kaset wideo.

- Masz tu więcej relacji z parady. Kamerzysta skoncentrował się na balonie i krzyczących dzieciakach. Nie znajdziesz na nich kusznika w akcji. - Kiedy odwrócił się znowu w stronę szafy, Mallory zniknęła. Prawdopodobnie udała się do kuchni na poszukiwanie odplamiacza; miała swoją własną hierarchię ważności spraw.

Skorzystał z okazji, że został sam, by bliżej się przyjrzeć bukietowi czerwonych róż na długich łądogach, dostarczonych w wysokim kryształowym wazonie. Wysunął kartonik z załączonej koperty i przeczytał: „Kolacja o ósmej. Obiecuję więcej nie grać na skrzypcach”. Liścik nie był podpisany. Eleganckie pismo ze staroświeckimi zawijasami świadczyło o tym, że autor liściku jest znacznie starszy od niej. Na odwrocie kartonika była nazwa śródmiejskiego hotelu. To powiedziało mu jedynie, że wielbiciel Mallory jest obrzydliwie bogaty, ale tego domyślił się już wcześniej, oceniając wartość wazonu.

Usłyszał za sobą jakiś szmer. Udając, że podziwia widok, włożył bilecik z powrotem do koperty. Kiedy się odwrócił, Mallory wsunęła mu do ręki zimną butelkę. Chociaż było jeszcze przedpołudnie, przyjął ten gest dobrej woli i pociągnął łyk importowanego piwa.

Propozycja zawarcia pokoju? Czy też próba przekupstwa?

Mallory usiadła na kanapie i przejrzała kasety.

- Znalazłeś bratanka Olivera? - Z jej tonu wynikało, że jest ciekawa, czy w ogóle się pokwapił, by go szukać.

- Masz na myśli Kusznika? - Klapnął na fotel i rzucił jej złożoną gazetę.

Mallory rozpostarła ją i przeczytała tytuł, wydrukowany dużymi literami, biegnący w poprzek pierwszej strony: ZNIKNIĘCIE KUSZNIKA.

- Twój chłoptuś musiał w pośpiechu opuścić miasto - powiedział Riker. - Nikt go nie widział od dnia parady. Jeśli się nie odnajdzie, władze miasta może się wykręcać od procesu. Zdaje się, że chłopak otarł sobie kolano, kiedy go przewróciłaś na ziemię.

Odnalazła artykuł w środku gazety.

- A jeśli założyć, że numer z kuszą miał służyć do odwrócenia uwagi od planowanego morderstwa? Richard Tree mógłby być ważnym świadkiem. Może wcale się nie ukrył. Może nie żyje.

Aby nie zakłócić procesu postępującego odprężenia w stosunkach między nimi, Riker powstrzymał się od wyrażenia opinii, co myśli o tej teorii. Podczas gdy Mallory przeglądała artykuł, on skupił się na tym, by nie rozlać piwa. Boże, jak nienawidził tej białej wykładziny dywanowej. Wielobarwny dywan w jego mieszkaniu był bardziej praktyczny. Z upływem lat Riker właściwie zmienił jego pierwotny wzór, wzbogacając go o barwne akcenty, do czego służyły mu sosy kupowane w garmażerii.

Spojrzał na zegarek, a potem wziął pilota i nacisnął guzik, którym włączało się telewizor. Otworzyły się automatyczne drzwiczki szafki z czarnej laki, ukazując ekran. Zbliżała się pora południowych wiadomości.

- Mallory, oglądałaś dziennik? Ze strzału do balonu zrobili miniseriał.

- Nie. - Wciąż była zajęta lekturą artykułu.

Czy ona w ogóle kiedykolwiek oglądała telewizję? Wyobraził ją sobie, jak robi coś wyłącznie po to, żeby się odprężyć. A potem uznał, że kupiła telewizor tylko dlatego, żeby stworzyć pozory, iż

mieszka tu normalny człowiek.

Rozsiadł się ze swoim piwem, podkreślił dźwięk i z zachwytem spoglądał na wystrojoną prezenterkę siedzącą za długim biurkiem. Miała na sobie obcisły sweterek, jaskrawoczerwona szminka ostro kontrastowała z bielą zębów.

Riker westchnął. Nigdy nie potrafił się oprzeć facetkom z wystającymi górnymi zębami i ognistorudymi włosami; pamiętał dobrze scenerię kręgielni w Lodi w stanie New Jersey.

Za biurkiem prezenterki był wielki ekran, na którym pokazywano zdjęcie Mallory stojącej na skraju platformy w kształcie cylindra. Rudowłosa mówiła: „...odkryto nowe okoliczności, związane z zestrzeleniem Goldy'ego...”.

Obraz na dużym ekranie rozplątał się, zastąpiło go ujęcie gigantycznego balonu, z którego uciekało powietrze. Kamera dokonała zbliżenia na starszą panią oglądającą paradę. Riker pamiętał, jak słuchał wyjaśnień tej kobiety, modląc się, żeby nie umarła z uwagi na podeszły wiek, nim skończyła.

Obraz znieruchomiał, a prezenterka śpiewnie ciągnęła: „...świadek zmarł niespodziewanie, zanim zdążył złożyć zeznanie w prowadzonym śledztwie...”.

- Jakim śledztwie? - Mallory uniosła wzrok znad gazety.

- Czy wszczęto jakieś oficjalne dochodzenie? - Wyraźnie dała Rikerowi do zrozumienia, że podejrzewa go, iż coś przed nią ukrywa.

Riker wzruszył ramionami.

- Nie wiem, skąd im to przyszło do głowy. Nie ma żadnego śledztwa. Sprawa balonu jest zamknięta, podobnie jak sprawa Olivera Tree.

Gapiła się na niego, czekając, aż Riker przyzna się do tego, że coś przed nią zataił.

- Mallory, to telewizja - powiedział obronnym tonem. Wskazał

na gazetę, którą trzymała. - Doszłaś do miejsca, gdzie z jednego strzału zrobiły się trzy? - Spojrzał na podobiznę obserwarki parady. - A ta starsza pani jest świadkiem, który zmarł w tajemniczych okolicznościach.

Obraz na ekranie się zmienił, pokazywano teraz starszego pana wysiadającego z samochodu zaparkowanego w zacisznej uliczce na przedmieściu. Na pomarszczonej twarzy malował się strach, kiedy mężczyzna zauważył napierający tłum szturmujących na niego dziennikarzy z kamerami i mikrofonami. Teraz kamera pokazywała plecy staruszka, który pośpiesznie dreptał brukowanym chodnikiem w stronę swego domku, swego sanktuarium. Jednak ponieważ chodził o kulach, wszyscy reporterzy go prześcignęli i przed nim dotarli do drzwi. Zatrzymał się, zakrył twarz rękami i krzyknął:

- Tak, nie żyje! Moja żona nie żyje! Jesteście teraz zadowoleni?

- Czy to była niespodziewana śmierć? - zapytał, a właściwie wykrzyczał na całe gardło jakiś dziennikarz.

- Nie - odparł starszy pan. - Miała dziewięćdziesiąt dwa lata. Bardzo długo czekała na śmierć.

W głębi otworzyły się drzwi do garażu i ukazała się młoda amazonka, wysoka i wysportowana. Dziewczyna, uzbrojona w kij baseballowy, wybiegła przed dom. Kierowała się w stronę dziennikarzy, wymachując swoim orężem, ogarnięta ślepą furią.

- Moja babcia umarła na zapalenie płuc, wy pieprzeni... - krzyczała.

Kamerzyści szybko się rozpierzchli, teraz ich obiektywy rejestrowały obraz wielu par nóg, kiedy wszyscy starali się jak najszybciej uciec.

Riker odwrócił się do Mallory i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Mówiłem ci. Komu wierzysz? Mnie czy tym pajacom?”.

Wielki ekran za biurkiem prezenterki pociemniał, kiedy rudowłosa kobieta wstała, by powitać szczupłego młodego mężczyznę o

zapadniętej klatce piersiowej, z rzadkimi, zmierzwionymi włosami. Riker dostrzegł łaty na łokciach rękawów swetra mężczyzny i uznał to za niechybny znak, że facet nie zajmuje się niczym konkretnym - prawdopodobnie jest pisarzem. Prezenterka przedstawiła gościa jako eksperta od broni.

Dalej, stary. Z doświadczenia Rikera wynikało, że wszyscy eksperci od broni byli w istocie mężczyznami, bez względu na płeć.

Za biurkiem prezenterki na dużych sztalugach pokazano rysunek bohatera komiksu, nadmuchanego Goldy'ego, unoszącego się nad małutkimi postaciami ludzi.

Ekspert od broni stanął obok sztalug i wskazał na grube niebieskie linie nakreślone na ciele wielkiego psiaka.

- Oto tor lotu pocisku. W tym miejscu jest wlot kuli: na końcu ogona, która następnie drasnęła tylną łapę, przeszła przez zad i obrozę do pyska. - Urwał, by nabrać powietrza. - W końcu wyleciała przez lewe ucho pieska. - Skierował palec wskazujący na chodnik i kamera dokonała zbliżenia blondynki z bronią.

Riker spojrział na Mallory i z ulgą stwierdził, że jest pochłonięta lekturą.

- A ta linia - powiedział ekspert - pokazuje punkt, skąd wystrzelono pocisk. Pokrywa się on z miejscem, gdzie stała policjantka, która strzeliła do balonu.

Mallory uniosła wzrok, kiedy prezenterka zwróciła się do telewizorów, błyskając zębami w szerokim uśmiechu.

- Oto więc kolejny dowód przeciwko policjantce, która zastrzeliła Goldy'ego. Fachowa ekspertyza autora poczytnych dreszczowców, Rolfa Warnera.

- Skądś znam tego faceta. - Riker nachylił się bliżej do telewizora. - Ejże, czy to nie ten sam ekspert, który wypowiadał się na temat wojny w Bośni?

- ...a oto skrót wiadomości dla tych, którzy właśnie włączyli

odbiorniki - mówiła rudowłosa. - Mamy informacje o nagłej śmierci świadka strzelaniny. I o tajemniczym zniknięciu innego świadka, Kuznika. - Kobieta się uśmiechnęła, na chwilę oślepiając Rikera dużymi wystającymi zębami. - Poszukiwania policji jak na razie nie przyniosły rezultatów. Nasi informatorzy z Police Plaza numer jeden twierdzą, że to wszystko wygląda na próbę zatuszowania incydentu przez nowojorską policję. Kuznik nadal...

Mallory wyrwała mu pilota z ręki i wyłączyła telewizor.

- Sama znajdzie tego gnojka.

- Nie zrobisz tego - zaprotestował Riker. - Coffey ma rację w tym punkcie. Nie zbliżysz się do Richarda Tree. Porucznik przydzielił dwoje ludzi do jego szukania. Znajdą szczeniaka.

- Czyli jednak prowadzimy sprawę o zabójstwo. - W jej głosie znów zabrzmiał podejrzliwy ton.

- Nie, Mallory. Ale ktoś przekazał prasie kartotekę młodocianego Richarda Tree.

Spojrzała na niego gniewnie, jej wzrok mówił: „A więc zataiłeś coś przede mną”.

Riker wiedział, kiedy pora się ulotnić. Wziął kapelusz i skierował się do szafy po swój płaszcz.

- Postępujemy zgodnie z poleceniem rzecznika prasowego burmistrza. Chce, żebyśmy odszukali Kuznika i przekazali go w ręce dziennikarzy. Nie ma to nic wspólnego z robotą policyjną.

Otworzył drzwi szafy i zobaczył kartonowe pudło, wystarczająco duże, by pomieścić kuca szetlandzkiego.

- Co jest w tym wielkim pudle?

- Deska do krojenia chleba dla rabina Kapłana.

Riker podniósł ręce do góry.

- Dobra już, dobra. Zapomnij, że w ogóle pytałem.

Młoda policjantka zostawiła broń na wieszaku obok drzwi wejściowych do domu rabina, ale wciąż wyglądała groźnie, kiedy pochylała się nad kuchennym zlewem, trzymając śrubokręt i próbując obłaskawić iskry syjące się z pęku przewodów w ścianie.

Rabin David Kaplan stał w pobliżu pustego kartonu i pokornie kiwał głową, jakby rozumiał jej zamiar bezprzewodowego doprowadzenia prądu do gniazdek w nowym bloku rzeźniczym. Nie miał jednak zielonego pojęcia o elektryczności. Tylko jego żona wiedziała, co to jest przeciążona sieć i gdzie znajduje się skrzynka z bezpiecznikami. Rabin nie miał pojęcia, o czym mówi Kathy Mallory.

Kiedy z powrotem przykręciła osłonę na gniazdko w ścianie, przeniósł wzrok na potężny sprzęt, który zamontowała na środku pomieszczenia. Wyspa była solidnie wykonana, wyłożona kawałkami twardego drewna o starannie dobranych słojach.

Rabin w milczeniu pokręcił głową. Kathy zawsze miała skłonności do przesady. A może była to swego rodzaju pokuta. Tylko czy za popełnione grzechy, czy też za przyszłe? Czy powinien żałować, że zorganizował spotkanie ze starszym panem?

Teraz już za późno.

Pan Halpern natomiast nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczy „śliczne dziecko”, które ostatniego wieczoru widział tylko przełotnie.

Czym mogło grozić ich kolejne spotkanie?

Cóż, pan Halpern był bardzo słabego zdrowia.

Skończyła sprawdzanie gniazdek w wyspie i spojrzała spod ściągniętych powiek na rabina Kaplana, źle zrozumiałwszy jego minę.

- Nie podoba ci się?

- Ależ nie, Kathy. Bardzo mi się podoba. Jest wspaniałe, ale takie... - Takie skrajne? Takie podejrzane? - Zniszczyłaś deskę do

chleba za pięć dolarów, a nie pamiątkę rodową. - Złamała mu również serce i zachwiała jego wiarą. Może nie powinien pozwolić, żeby jej to uszło na sucho. Ale musi rozważnie dobierać słowa; chętnie przyjmowała jakąkolwiek krytykę.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że każdy z obecnych może zaświadczyć, jaki masz spaczony charakter. Jak mogłaś powiedzieć coś takiego w...

- Nie kwapiłeś się, żeby temu zaprzeczyć, prawda, rabinie?

Była odwrócona do niego plecami, bo akurat pochyliła się, żeby przykręcić śrubę, ale usłyszał oskarżenie w jej głosie, jakby przełożyła karty po ich potasowaniu. Rozpoczęła się gra.

- Kathy, jak w tych okolicznościach mogłem zaprzeczyć? Pokrzyżowałbym ci szyki.

Dobre odparowanie ciosu.

Rabin się uśmiechnął, podchodząc do bloku rzeźniczego, i spytał, wykorzystując uzyskaną przewagę:

- Ale teraz chcę wiedzieć, czy naprawdę w to wierzysz, czy też skłamałaś, by osiągnąć jakiś cel?

- Ty uwierzyłeś.

Zapisał sobie w myślach jej piłkę gemową - szybki strzał w ważny organ. Położył rękę na sercu i odbił piłeczkę:

- Myślisz, że uważam cię za zdemoralizowaną? Nigdy w to nie wierzyłem.

Czy był do końca szczery? Chyba nie, ale nie zamierzał skłamać - nie tym razem. Niektóre z jego kontrpłetek były czystymi aktami samoobrony, słowami wypowiedzianymi pośpiesznie, by odeprzeć jej ataki.

- Poznałem cię, kiedy miałaś dziesięć lat, i...

- Jedenaście.

- Dziesięć. Dodałaś sobie rok. Nie zaprzeczaj. - W tym miejscu urwał, by pogratulować sobie zręczności: z jednej strony nalegał na

uczciwość, a z drugiej sam zaciemniał prawdę. - Opinia Helen Markowitz ma dla mnie większą wagę niż twoje słowa.

To ją jakoś pohamowało. Przywoływanie imienia Helen nadal posiadało swoistą poskramiającą moc, ale nie potrwa to już długo. Rabin potrzebował mocnych słów, by utrzymać pole.

- Pamiętam ten dzień, kiedy Louis przyprowadził cię do domu. - Jakby mógł zapomnieć dziecko przestępcę w kajdankach, maleńkie uesteczka miotające przekleństwa.

- Pamiętasz swój pokój, pamiętasz, jak wyglądał, kiedy Helen po raz pierwszy położyła cię do łóżka?

Skinęła głową.

- Dawniej to był pokój gościnny.

- Owszem, tak go nazywali. Kupili ten dom dziesięć lat przedtem, jak z nimi zamieszkałaś. I przez te wszystkie lata Helen raz w tygodniu zmieniała pościel w pokoju gościnnym. Ale jeśli kiedykolwiek ktoś zostawał u nich na noc, zawsze słała mu na rozkładanej kanapie na dole. Trochę dziwne, nie uważasz?

Widział, że się z nim zgadza.

- Dziesięć lat przed twoim pojawieniem się w tym pokoju stała kołyska. Louis pozbył się jej, zanim Helen wróciła ze szpitala bez dziecka.

Oprócz zastąpienia kołyski łóżkiem przez następne dziesięć lat nic tam nie zmieniono. Prążki na tapecie nigdy nie spłowiały, zachowały pierwotne barwy z dziecięcej książeczki do kolorowania. Miękki tkania chodnik zapraszał małe bose stopki, a kołdra była pozszywana z barwnych kawałków materiału przedstawiających zwierzątka. Cały pokój przypominał przemysłną pułapkę zastawioną przez Helen Markowitz, by schwytać w nią jakieś dziecko błakające się po świetle. Przez dziesięć lat ta łagodna kobieta ani słówkiem nie wspomniała o swoim własnym dziecku, które zmarło, zanim się jeszcze urodziło.

Przez dziesięć lat pokój krzyczał.

- Helen czekała na ciebie tak długo. Ty uczyniłaś jej życie spełnionym, Kathy. Uważała, że pod każdym względem jesteś wspaniała, nic a nic niezepsuta.

To przez tę słabość, zaślepienie niepozwalające dostrzec straszliwych zbrodni, miłość matczyzna była zarazem taka niedoskonała i taka cudowna.

- Kathy, dobrze wiesz, że nigdy ani jednym słowem bądź czynem nie sprzeciwiłem się Helen.

Dzięki kunsztownemu doborowi słów udał mu się zgrabny unik, ale ile go to kosztowało? Wiedział, kim była Mallory - chociaż jej przybrana matka gwałtownie temu zaprzeczała. Helen Markowitz podarła opinię psychologiczną dziecka, ze złością porwała na strzępy kartkę, zdecydowanie sprzeciwiając się słowu „socjopatia” w odniesieniu do małej dziewczynki, która dopiero stała u progu życia.

Rabin Kaplan chciał wierzyć, że Kathy Mallory nie wiedziała, jaka była. Póki pozostawała nieświadoma prawdy, poty to bezwzględne, zdemoralizowane dziecko mogło istnieć w stanie niewinnej łaski. Czasem wierzył, że prawda to nie coś pięknego, ale oręż o wielkiej sile niszczącej. Kiedy indziej zastanawiał się, czy stał się jedynie zręcznym blagierem, niezwykłym kłamcą.

W chwilach ciężkiej ciszy, zalegającej między nimi, przypatrywał się twarzy Kathy, szukając oznak odkupienia - jej win czy swoich? Nie potrafił powiedzieć. Zakończyli swój słowny pojedynek i odniósł tylko lekkie obrażenia - jak zwykle.

Przesunął ręką po powierzchni bloku rzeźniczego.

- Nie podziękowałem ci za prezent. Jest fantastyczny. - Podniósł wzrok, z zadowoleniem dostrzegł słaby uśmiech na jej twarzy. - Twoje spotkanie z panem Halpernem zostało umówione na jutro. Ale może się to okazać stratą czasu. Nie był w Paryżu podczas okupacji.

- Wiem, że pomiędzy nimi dwoma istnieje jakaś silna więź. - Zebrała swoje narzędzia i wrzuciła je do torby.

- Wczoraj wieczorem staruszek płakał po rozmowie z Malakha-
iem.

Dostała to, czego chciała, i teraz szykowała się do wyjścia.

Nie tak szybko.

- Kathy, nie będziesz przesłuchiwać pana Halperna. - Rabin powiedział to mentorskim tonem. Nie ukończył jeszcze wzniesłego zadania umoralniania Kathy Mallory. - Pan Halpern jest dobrym gawędziarzem. Wysłuchasz go, nie przerywając mu. Powie ci to, co będzie chciał powiedzieć. Pominie wszystko, co sprawia mu ból. Kiedy skończy, zadowolisz się tym, czym się z tobą podzielił i nie będziesz nalegała na więcej.

ROZDZIAŁ 8

Widzę, że nie próżnowałaś dziś rano. - Charles wsunął beużyteczny klucz z powrotem do kieszeni i skierował snop światła latarki na metalową puszkę przymocowaną do harmonijkowych drzwi. Łańcuch zniknął, a szpara zamieniła się w cienką szczelinę, przez którą wpadało światło elektryczne. Nowy zamek szyfrowy wymagał znajomości kombinacji cyfr, by otworzyć drzwi. - Czy zamierzałaś zdradzić mi szyfr?

Mallory nacisnęła cztery guziki. Na górze puszkę mignęło zielone światełko i jednocześnie rozległ się szcęk metalu.

- To dobry zamek. Malakhaiowi nie uda się go otworzyć.

Charles rozsunął drewniane skrzydła. Chodziły lekko na świeżo naoliwionych prowadnicach, zawiasy też już nie skrzypiały.

- Wcale mi nie przeszkadzają wizyty Malakhaia. Uważam, że...

- Są urocze, zgoda. - Dopisała teraz nieproszonych gości do listy, na której miała już przecież rozsypujące się graty i niesprawną instalację elektryczną, co go tak rozczulało.

Charles obszedł parawan ze smokami i wyjął z papierowej torby nowe cięciwy do kusz. Przystanął, gapiąc się na najbliższe sąsiedztwo podium.

- Mallory, sprzątałaś?

Zniknęły wszystkie pozostałości po libacji i pokazach sztuk magicznych poprzedniego wieczoru. Puste butelki i zerwane cięciwy wyrzuciła razem z innymi rupieciami, zamiotła podłogę wokół podium. Ale nawet bez śladów na zakurzonej posadzce widziała dowody ponownej wizyty Malakhaia. W czasie gdy widziała się z Rikerem i rabinem, Malakhai rozszerzył swoje poszukiwania na pudła i kufry stojące na najniższych półkach. A więc pokonanie nowego zamka nie sprawiło mu większych trudności. Mallory musi zrewidować swoje poglądy na temat pokolenia, które nie potrafi zaprogramować magnetowidu.

Charles pochylił się nad skrzynką z narzędziami.

- Oglądałaś dzisiaj wiadomości? - Wyciągnął oliwiarkę. - Dziennikarze znów zainteresowali się śmiercią Olivera. - Ze śrubokrętem w dłoni podszedł do kuszy, którą wczoraj umieścił na postumencie. - Nie wiedziałem, że jego bratanek był nieletnim przestępcą. Co robił? Okradał sklepy czy coś w tym rodzaju?

- Spytaam Rikera. - Mallory się uśmiechnęła. Porucznik Coffey będzie ją podejrzewał o ten przeciek do prasy, ale nigdy jej tego nie udowodni. A szychy z Police Plaza numer 1 będą mu siedziały na karku, póki nie odnajdzie bratanka Olivera, bez względu na to, jak bardzo nadweręży to budżet wydziału. Doprowadziła do podwojenia liczby osób zajmujących się śledztwem w sprawie zabójstwa, którego oficjalnie nie prowadzono.

- Dziś po południu oglądałem relację z konferencji prasowej burmistrza. - Charles wyciągnął kuszę ze szczeliny w postumencie. - Jakiś dziennikarz zapytał o morderstwo w parku. Burmistrz był wściekły, że złości aż walił w mównicę. Zapewniał, że Central Park

to najbezpieczniejsze miejsce w Nowym Jorku. Powtórzył to trzy razy.

- Zawsze tak mówi - zauważyła Mallory. - Za każdym razem, kiedy znajdziemy w parku trupa.

Charles odkręcił metalową osłonę elementu strzelającego.

- Czyli że Central Park nie jest najbezpieczniejszym miejscem na Manhattanie?

- Jest. Statystyki przestępczości są tam niższe. Ale park jest jedyną niezamieszkaną enklawą w mieście.

Spoglądała na otwarte kartony na półkach. Nie stanowiły części przesyłki z Teatru Iluzji Faustine. Czego szukał Malakhai? Teraz przypomniało jej się jeszcze jedno pytanie, na które nie otrzymała odpowiedzi, co utrudniało jej grzebanie w przeszłości.

- Jak Malakhaiowi na imię?

Charles jakby fizycznie uchylił się przed tym pytaniem, bo akurat uklęknął, by obejrzeć środkowe koło zębate postumentu.

- Jeśli w ogóle ma imię, nigdy go nie słyszałem. - Podniósł w górę jeden palec ubrudzony olejem, na dowód pokazu iluzji urządzonego tu ostatniej nocy. - Czy...

- Sprawdziłam tytuł własności tego szpitala na północy stanu. Nick Prado powiedział, że budynek należy do Malakhaia.

- Zgadza się. - Charles wytarł ręce o spodnie. - Nie strzelałaś z tej...

- Zgodnie z dokumentami nieruchomość ta stanowi własność zagranicznego funduszu powierniczego.

- Malakhai jest niezwykle skrytym człowiekiem, Mallory. - Charles zdjął kuszę z postumentu i wyciągnął ją w jej stronę. - Wspominałem, że to niebezpieczne, prawda? - Nagiął metalowy łuk, by zamocować nową cięciwę, a potem odwrócił się do Mallory plecami,

by ponownie umieścić kuszę na postumencie.

A więc nie zamierzał więcej rozmawiać o Malakhaiu. Świetnie. Nie szkodzi, mogą zmienić temat. Śledztwo da się prowadzić wielotorowo, miała jeszcze innych podejrzanych. Na razie wykorzysta jego wiedzę z zakresu psychologii.

- Co możesz mi powiedzieć o klasycznym narcyzmie?

- A więc Nick Prado znalazł się na twojej liście. Bardzo się z tego ucieszy. - Charles pochylił się nisko, by spojrzeć przez celownik kuszy. - Prawdziwy narcyz byłby zadowolony, że znalazł się w centrum twojej uwagi, bez względu na to, czy jest winny, czy nie. Czy jakoś ci to pomoże?

- Przypuśćmy, że jest winny.

Charles z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nick nie miał powodu, by zabić Olivera.

- W takim razie pomóż mi go wyeliminować z grona podejrzanych. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Jeśli Prado jest niewinny, nie mogę mu zaszkodzić swoimi podejrzeniami, prawda? Więc założmy hipotetycznie, że to zrobił.

- Nie martwię się tym, że mogłabyś mu zaszkodzić. Jest niezniszczalny. - Charles umieścił strzałę w kuszy, naciągnął cięciwę i opuścił dźwignię, by uruchomić mechanizm zegarowy. Pochylił się nad otwartą skrzynią i wyjął z niej kolejną kuszę.

Mallory usiadła obok niego na podłodze, kiedy przystąpił do rozkładania broni.

- Tak - kontynuował Charles - jest klasycznym przykładem narcyzmu. Prawdopodobnie się zorientowałaś, kiedy wczoraj z tobą flirtował. Większość mężczyzn nigdy by się nie ośmieliła zaczepić takiej kobiety jak ty.

Uniósł głowę znad rozłożonej na części kuszy.

- Jesteś piękna. - Zabrzmiało to niczym wyznanie winowajcy. Twarz Charlesa była zabawna nawet wtedy, kiedy starał się zachować powagę. Miał minę zakochanej żaby.

- Ale Nicky szczerze wierzy, że jest dla ciebie odpowiednim partnerem. Wiem, że brzmi to śmiesznie, lecz uważa się za człowieka młodego i w pełni męskich sił.

Wsunął łuk do osady, a potem sięgnął do torby po cięciwę.

- Nie żartowałem, kiedy powiedziałem, że sprawiłoby mu przyjemność być podejrzanym o morderstwo, nawet gdyby był winny. Prawdziwy narcyz wierzy, że potrafi przechytrzyć cały świat.

- A więc gdyby planował morderstwo, nie zwracałby uwagi na detale?

- Nie ująłbym tego w ten sposób. Plan byłby bardzo starannie obmyślony, ale prawdopodobnie zbyt skomplikowany. Im bardziej zawiły plan, tym większe prawdopodobieństwo popełnienia błędu. To słaby punkt narcyza. I nie pasowałby do twojej teorii podmiany klucza. Dla Nicka to zbyt proste.

Mechanizm zegarowy przestał tykać. Usłyszała brzęk cięciwy i w tej samej chwili strzała znalazła się w środku tarczy.

- Ale proste zabójstwo jest najbardziej eleganckie - zauważyła Mallory. - A to było bliskie zbrodni doskonałej.

- I w tym cały szkopał. - Charles odłożył kuszę na bok i wziął następną. - Nie pasuje to do charakteru narcyza. Podmiana klucza nie jest dla niego żadnym wyzwaniem. Wymaga jedynie zręczności. Nie, gdyby Nick planował morderstwo, wymyśliłby coś bardziej zagnatwanego. Więc prawdopodobnie jest najgorszym kandydatem na podejrzanego. - Charles podniósł w górę śrubę z wyraźnymi śladami rdzy, a następnie sięgnął po oliwiarękę. - Wiesz, Malakhai miał rację.

Ta aparatura nie pomoże ci rozgryźć zagadki Zapomnianej Iluzji.

- Co tu jest do zgadywania? - Spojrzała na tarczę. - Należy wyswobodzić się z kajdanek, zanim strzały dosięgną tarczy.

- Z góry przygotowana droga ucieczki? - Charles pokręcił głową. - Oliver próbował odtworzyć iluzję Maksa Candle'a. Ryzyko stanowiło nieodłączną część tego numeru, było znakiem rozpoznawczym Maksa. Oliver wyjaśnił to policjantom i dziennikarzowi. Nie chciał, żeby pośpieszyli mu na ratunek, kiedy zacznie krzyczeć. Gdy pierwsza strzała zraniła go do krwi, nie pozwolili mi wejść na scenę. Przypuszczam, że myśleli, iż ja też biorę udział w tym numerze.

Charles wstał i otrzepał spodnie.

- Imitacja kajdanek i niecelne strzały. - Uniósł ręce do góry. - Gdzie tu magia? Gdybyś kiedyś widziała jedną ze sztuczek Maksa, zrozumiałabyś, co mam na myśli.

- Dobra, pokaż mi.

- Jest drobny szkopuł. Nie wiem, na czym polegały jego najważniejsze iluzje.

Ale Charles miał wyższy iloraz inteligencji niż większość ludzi. Czyżby brał ją na przeczekanie? Nie, poznałaby to po jego minie.

- Wiesz, na czym polegała chociaż jedna z nich?

- Mogę ci pokazać sztuczkę, którą Max wymyślił na przyjęcia dla dzieci. Nazywa się przenikanie materii. - Wszedł na podwyższenie i po wyjęciu tarczy z rowków w słupkach położył ją na skraju sceny. - Przy tej sztuczce wykorzystuje się mechanizm równoległowodowy. Pamiętasz, jak Oliver rozpostarł swoją pelerynę, a potem opadła na ziemię?

- Chodzi ci o te metalowe dźwignie wynurzające się przez zapadnię?

- Tak. - Charles zszedł po schodkach. - Przynajmniej zobaczysz, na czym to polega. - Pochylił się nad otwartą skrzynią i wyjął z niej

duży, płaski przedmiot owinięty pikowaną tkaniną. Oparłszy go o bok podwyższenia, ściągnął materiał. Ukazało się lustro w grubej ramie z klonowego drewna. Miało wielkość i kształt tarczy, a po bokach identyczne bolce. Lustro silnie zniekształcało każdy przedmiot, który się w nim odbijał. Przywodziło Mallory na myśl krzywe zwierciadła w wesołych miasteczkach, w których zwykli ludzie raz wyglądali jak olbrzymy, a raz jak karły.

- Nauczyłem się tej sztuczki, kiedy miałem dziewięć lat. Przejedź przez to lustro. - Wniósł zwierciadło po schodach i umieścił ramę w nacięciach w słupkach w taki sposób, że znalazło się metr nad podłogą. - Max wymyślił tę sztuczkę na przyjęcie dla dzieci z okazji Halloween, co tłumaczy pewne odstępstwo od zwykłej praktyki. - Zawiesił czerwone aksamitne kotary, przysuwając je bliżej do lustra, tak że niemal dotykały słupków podtrzymujących zwierciadło. - Nie ginął w tym numerze.

- Dlaczego nie? Dzieciaki to uwielbiają. - Podeszła do podnóża schodków. - Podczas Halloween powinno się straszyć.

- Nie chciał umierać przed dziecięcą publicznością. - Zadowolony z ustawienia rekwizytów znów zszedł po schodkach i zaczął wolno przedzierać się przez stosy kartonów, odczytując wszystkie nalepki. - Byłem przyzwyczajony do widoku Maksa umierającego na scenie. Inne dzieci nie. - Otworzył jakieś pudło i wyjął z niego cztery mosiężne drążki i okrągłe podstawki. - Nadal nic nie rozumiesz. Najważniejszy był dla niego realizm. Dorośli widzowie naprawdę wierzyli, że co wieczór umiera w finale.

- Mnóstwo krwi? - Usiadła na najniższym stopniu.

- Nic tak prymitywnego. - Szybko złożył z elementów wolno stojące słupki, a następnie u góry każdego z nich przykręcił metalowe kółka. - Publiczność nigdy nie widziała prawdziwej krwi, ale

wyobrażenia dostarczała im jej aż w nadmiarze.

- Nigdy się nie bał, że ktoś z widowni spróbuje go uratować i zepsuje cały efekt?

- Nigdy. Zdaje się, że Houdini miał takie kłopoty w latach trzydziestych. Chyba świat się zmienił. - Charles rozstawił mosiężne słupki w taki sposób, że utworzyły wierzchołki kwadratu w pobliżu podnóża schodów. Połączył słupki czerwonym aksamitnym sznurem, który przewiółł przez mosiężne kółka. - Max zawsze mógł liczyć na kilku dobrych samarytan śpieszących z pomocą. Dodawali całemu numerowi więcej dramatyzmu. Ale zawsze byli zbyt powolni, pojawiali się za późno. Większość ludzi siedziała i przyglądała się jego śmierci.

Charles patrzył na stolik kawiarniany i krzesło, które Malakhai wykorzystał poprzedniego wieczoru.

- Max nie studiował psychologii, ale znał najmroczniejsze zakamarki ludzkiej duszy. - Charles wziął krzesło i ustawił je pośrodku czworoboku utworzonego przez sznury z czerwonego aksamitu. Zanurzył rękę w innym kartonie i wyciągnął z niego długą pelerynę ze szkarłatnego jedwabiu, dokładną kopię tej, którą miał na sobie Oliver Tree.

- Myślisz, że chodzi o coś w rodzaju instynktu stadnego? Czy właśnie to sprawia, że ludzie nie ruszają się z miejsc?

- Tak, ale nie tylko. - Obejrzał materiał i udrapował go na podium. - Lepiej zrozumiałem to zjawisko na studiach. Pisałem pracę o zachowaniach tłumu. Moje najlepsze studium powstało w małym miasteczku w New Jersey. W sklepie odzieżowym wybuchł pożar. Płomienie uwięziły jakąś uczennicę w pomieszczeniu z oknem wystawowym.

Miał ponurą minę, kiedy odczepił jeden koniec aksamitnego sznura i wszedł do środka czworoboku. Widocznie wspomnienie to nie należało do przyjemnych.

- Nazywała się Mary Kent. Miała piętnaście lat. - Stojąc za krzesłem, spoglądał na podium. - Mary połamala sobie kości rąk, tak mocno waliła w szybę. Ale szkło okazało się zbyt grube. Była drobniutka, za słaba, by je rozbić. Działo się to wszystko w sobotnie popołudnie, mnóstwo ludzi było na ulicy. Zebrali się przed wystawą, całkowicie zahipnotyzowani pożarem i dziewczynką, która krzyczała i waliła w szybę. Przypuszczam, że okno przypominało wielki ekran telewizora. Przechodnie utworzyli widownię i przyglądali się jej śmierci.

- A gdzie była straż pożarna?

- Nikt jej nie wezwał. W końcu jakiś strażak gdzieś na drugim krańcu miasta zauważył dym. Ale przybyli za późno. To nie była ich wina. Mary zginęła.

Opuścił ogrodzony czworobok i wszedł po schodkach.

- Przeprowadziłem rozmowy ze wszystkimi świadkami, obserwatorami zdarzenia. Za śmierć Mary Kent winili strażaków, właściwie ganili ich za opieszałość. Byli święcie przekonani, że ktoś inny wezwał straż pożarną, tak przynajmniej twierdzili. Spytałem, dlaczego nikt nie pomyślał, by wziąć kamień i stłuc szybę, żeby Mary mogła się uratować. Mówili: „Nie pomyślałem o tym”. Nikomu nie przyszło to do głowy.

- Uwierzyłeś świadkom?

- Nie. - Wskazał na ogrodzony sznurami czworokąt. - Usiądziesz tam. Pamiętaj, że tę sztuczkę pokazywano kameralnej widowni w małym pomieszczeniu. To z uwagi na lustro. Więc nie wychodź poza sznury.

Charles sprawdził odbicie krzesła w zwierciadle.

- Max zorganizował dla mnie przyjęcie z okazji Halloween. - Przekręcił kontakt z boku lewej kolumny. Zapaliła się żarówka w zagłębieniu poprzecznej belki. - Pozostałymi gośćmi były dzieci iluzjonistów, bardzo trudna publiczność.

Mallory zajęła miejsce między sznurami, a Charles zeskoczył ze schodów po dwa stopnie naraz, wziął szkarłatną pelerynę. Dziewczyna spojrzała na karton wypełniony belami identycznego materiału.

- Dlaczego jest ich aż tyle?

- To prawdziwy jedwab. - Zgasił lampę stojącą w pobliżu podwyższenia. - Czasami materiał ulegał rozdarciu, kiedy metalowe szczytce wynurzały się z zapadni. Więc Max potrzebował dużego zapasu tkaniny.

Zniknął za parawanem ze smokiem. W całej piwnicy zaczęły gasnąć lampy. Żarówka zamontowana w belce tworzyła niewyraźną poświatę wokół lustra.

- Gotowa? - Charles wrócił, mając na sobie szkarłatną pelerynę. Mnisi kaptur zakrywał mu włosy i ocieniał twarz, kiedy zbliżał się do podwyższenia.

W lustrze odbijała się tylko ciemność zalegająca za krzesłem. Kiedy Charles znalazł się u szczytu schodów, Mallory ujrzała jego twarz; przesuając się wzdłuż falistej powierzchni zwierciadła, karykaturalnie się wydłużała i kurczyła. Stał pośrodku sceny i szeroko rozpostarł ramiona. Materiał peleryny całkowicie przesłonił lustro, stykając się z kotarami po obu stronach słupków. Po kilku chwilach jedwab oklapł. Charles zniknął, ale czerwona tkanina nie opadła na ziemię. Przeciskała się przez środek lustra cienką wstęgą szkarłatanego jedwabiu.

Teraz peleryna zniknęła w lustrze, a w środku owalnej ramy pojawiła się głowa Charlesa. Wokół lustra świeciło się światło, było przed nim pusto, nie znajdował się tam żaden człowiek, który mógłby się odbijać w zwierciadle. Nos Charlesa wydłużył się w pofalowanej tafli, przekształcił się w ryj, a oczy stały się wielkie jak spodki. Kiedy obnażył zęby, wydłużyły się na kształt kłów, a usta wyglądały, jakby za chwilę miał się z nich wydobyć ryk.

Dwie białe dłonie pojawiły się obok zawieszanej w powietrzu głowy potwora. Charles strzelił palcami, lustro obróciło się na swoich ośkach i zaczęło wirować między słupkami. Kiedy owalna rama przestała się obracać i znów znieruchomiła, Charles nie był już uwięziony w tafli. Zwierciadło było puste i czarne.

Ktoś trącił Mallory palcem w ramię, drgnęła przestraszona.

Charles stał za nią.

To musiała być ta straszna część.

Uśmiechał się, bardzo z siebie zadowolony.

- No i co o tym myślisz?

- Dobra sztuczka. - Spojrzała na podium. - Powiedz mi, czy dobrze zgadłam. Peleryna była przywiązana do drutu, który przechodzi przez klapkę na zawiasach w środku lustra. To dlatego Max posługiwał się krzywym zwierciadłem, prawda? Żeby zniekształcenie ukryło obecność klapki?

Charles skinął głową. Już się nie uśmiechał. Zapalał lampy.

- Kotary mają czarną podszewkę - powiedziała Mallory. - Wiem, że nie możesz przesunąć słupków, na których umocowane jest zwierciadło. Ale rama lustra jest wystarczająco gruba, by zmienić kąt jego nachylenia. Kiedy mechanizm równoległowodowy rozłożył pelerynę, przesunąłeś lustro i stanąłeś za zasłoną. Wtedy odbijałeś się w zwierciadle pod innym kątem.

- No cóż, zgadza się. - Odwrócił się w jej stronę wyraźnie zawiedziony. - Ale co powiesz o samym efekcie? O iluzji?

- Dobrze się domyśliłam, na czym polega sztuczka?

Charles nie odpowiedział. Zbliżył się ponownie do podwyższenia i wszedł po schodkach, bardzo wolno, jakby nagle ogarnęło go zmęczenie. Kiedy stanął przed owalną ramą, nacisnął jeden fragment lustra, by zmienić jego ustawienie. Ujrzał twarz Mallory w

pofalowanym zwierciadle. Ich spojrzenia się spotkały, gapił się na nią z żalną miną. Krzywe zwierciadło, ustawione pod tym kątem, skróciło Charlesowi nos, a jego wyłupiaste oczy nabrały bardziej ludzkiego wyrazu.

Mallory zaczerpnęła powietrza i wstrzymała oddech.

W krzywym zwierciadle Charles odrodził się jako wcielenie swego sławnego kuzyna. Mallory nie mogła oderwać oczu od przystojnego mężczyzny w lustrze - żywego i stokroć bardziej zniewalającego niż na starych fotografiach. Mężczyzna w zwierciadle wywierał na nią niezwykle wpływ i sprawiał, że poczuła falę ciepła na twarzy. Walczyła z sobą, żeby się nie poruszyć, żeby nie zniszczyć ulotnej iluzji. Jeden ruch wszystko zniweczy, ale miała uczucie, że lewituje, że jej ciało staje się lekkie, niemal puste w środku, i wolno się unosi.

Jaki piękny.

To musiała ujrzeć Louisa w dniu, kiedy poznała Maksa Candle'a. I z tą chwilą Malakhai został skazany na utratę swojej młodej żony. Ten mężczyzna był taki...

I wtedy Max zniknął, rozpułnął się, w chwili gdy Charles zdjął lustro ze słupków i odwrócił się do niej. Wyglądał teraz jak zawsze, miał długi nos i oczy smutnej, ale czarującej żaby, nieświadom, że wskrzesił zmarłego.

- Prezentować ci sztuczki magiczne to strata czasu - oświadczył.

Charles zostawił ją samą w piwnicy. Mallory tak długo myszkowała wśród pudeł, aż znalazła brakujące żelazne okowy, używane podczas Zapomnianej Iluzji do nakładania na nogi.

Wszystkie cztery kusze zostały umocowane na postumentach i wycelowane w tarczę. Przygotowała do strzału broń znajdującą się najbliżej schodków. Bardzo proste. Nie trzeba ponownie uruchamiać

mechanizmu zegarowego. Wszystkie kusze były sprawne. Obecnie musiała jedynie rozgryźć pozostałą część zagadki.

Przerzuciwszy pelerynę przez jedno ramię, wspięła się na podwyższenie i stanęła przed tarczą. Z różnych miejsc wokół podium obserwowała, jak działają kusze. Teraz zamierzała obejrzeć sztukę z miejsca zajmowanego przez Olivera Tree.

Przyklęknęła i przymocowała obręcze na nogi do kółek u podstawy słupków. Kajdany nie miały zamków, tylko zatrzaski. W myślach odtwarzała taśmę, którą oglądała sto razy. Obręcze były identyczne z tymi, które Oliver miał wokół kostek nóg, kiedy zawisł na tarczy.

Mallory sięgnęła do pasa, by odczepić parę kajdanek używanych przez nowojorską policję. Oliver posłużył się dwiema parami, ale miał tylko jeden klucz. Przypomniała sobie poszczególne kadry jego sfilmowanego występu i ujrzała kawałek ułamanej przedłużki, spadającej na tle szarej muszli koncertowej. Nie było śladu drugiego klucza, kiedy palce lewej ręki mężczyzny wykręciły się w paroksyzmie bólu.

Z przyzwyczajenia wyciągnęła własny klucz do kajdanek. Oczywiście nigdy jej się to nie uda. Ten klucz był za krótki, żeby otworzyć zamek, kiedy jedną rękę będzie miała przykutą do słupka. Położyła kluczyk na podłodze i sięgnęła do tylnej kieszeni spodni po pamiątkę z Teatru Iluzji Faustine. Odkręciła kulkę na górze przedłużki i wybrała końcówkę z identycznymi ząbkami jak w jej kluczyku do kajdanek.

Następnie wyprostowała się i zatrzaskała jedne kajdanki wokół żelaznego kółka przy słupku z prawej strony. Na łańcuchu wisiała druga część kajdanek. Bez trudu mogła jej dosięgnąć - znacznie łatwiej niż Oliver. Był dwanaście centymetrów od niej niższy. Mallory mierzyła metr siedemdziesiąt osiem.

Teraz stanęła przed pierwszym problemem. Podwyższenie zostało wykonane dla Maksa Candle'a, mężczyzny wyższego od Olivera o osiemnaście centymetrów. Jednak kółka na słupkach były w tych samych miejscach. W kopii wykonanej przez Olivera żelazne okowy znajdowały się w identycznej odległości od wierzchołka słupków.

Mallory strząsnęła kurz z jedwabnej peleryny i udrapowała ją sobie na ramionach, następnie naciągnęła kaptur na głowę. Długie okrycie ciągnęło się za nią po podium. Spojrzała w dół, na zarys zapadni. Pedał był wyraźnie widoczny. Kiedy go nacisnęła, kwadrat podłogi otworzył się za nią.

Metalowa rama wolno wynurzała się z otworu, spowita materiałem. Urządzenie bezszelestnie rozprostowywało swoje stalowe kości, by wypełnić pelerynę na kształt uniesionych ramion. Zaokrąglony metalowy pojemnik imitował ludzką głowę pod kapturem. Cofnęła się i rozstawiła nogi, by wsunąć je w żelazne obręcze. Wyciągnęła prawą rękę i włożyła ją w kajdanki zwisające z żelaznego kółka. Wymagało nieco gimnastyki zatrząśnięcie ich jedną ręką, w której jednocześnie trzymała klucz. Oliver Tree zrobił to znacznie szybciej z dwoma parami kajdanek.

Na dźwięk pierwszego łyknięcia mechanizmu zegarowego upuściła klucz.

W ustach jej zaszcło, kiedy obserwowwała kawałek metalu z brzękiem upadający na podłogę, tuż obok porzuconego przez nią kluczyka do kajdanek.

Rozpostarta peleryna zasłaniała jej kusze. Mallory wyciągnęła jedną nogę tak daleko, jak na to pozwalał łańcuch, ale nie mogła dosięgnąć pedału, żeby opuścić pelerynę i móc wyraźnie widzieć broń. Jakim sposobem udało się to Oliverowi Tree?

Przykuta za obie nogi i jedną rękę słuchała tykania i zgrzytu zębatek. Dźwięki dobiegały z lewej strony.

Wyobraziła sobie wznoszący się boleć, przybliżający się do spustu kuszy.

Gdzie wycelowana jest broń?

Tyle razy widziała umierającego Olivera Tree, że znała na pamięć tor lotu każdej strzały. Podczas testowania oryginalnej aparatury Maksa stwierdziła, że kusze ustawione są identycznie, jak to zapamiętała z filmu relacjonującego tragedię w parku.

Mechanizm zegarowy tykał.

Skup się! Gdzie uderzy strzała?

Ujrzała teraz wyraźnie Olivera. Strzały wypuszczone z kusz zamontowanych z lewej strony trafiły go w uda. Było dosyć czasu jedynie na sformułowanie tej myśli i przesunięcie jednej nogi. Tykanie ustało. Strzała przebiła rozpostarty jedwab i przygwoździła ją do tarczy.

Żadnego bólu.

Mallory spojrzała na strzałę, która przeszła przez materiał niebieskich dżinsów, o włos omijając jej nogę. Oddychała wolno i płytko, by lepiej nasłuchiwać kroków tego, który pojawi się w piwnicy, kroków niedoszłego zabójcy. Ostatnio niezbyt wierzyła w nieszczęśliwe wypadki.

W lewej, swobodnej ręce trzymała broń, chociaż nie pamiętała, kiedy wyciągnęła ją z kabury, tak była skupiona na odgłosach kroków na schodach.

Czerwony materiał przesunął się na bok.

Malakhai.

Patrzył na strzałę, która przygwoździła ją do tarczy. Spojrzał na otwartą zapadnię i nacisnął pedał znajdujący się przed nią.

- Mechanizm równoległowodowy wolno się porusza. Za chwilę się schowa. - Nie zwracając uwagi na rewolwer w dłoni Mallory,

wskazał pedał. - Powinna pani nacisnąć go przed nałożeniem kajdank i obręczy na nogi. Synchronizacja jest najważniejsza, Mallory. - Teraz lekko go zaniepokoił widok lufy unoszącej się broni. Trudniej było spudłować teraz, kiedy celowała w twarz.

- Zaliczam pani punkt - powiedział. - Och, zapominam o dobrych manierach. Dobry wieczór. Pięknie pani wygląda.

- Chybił pan o parę centymetrów.

Spojrzał na strzałę w dżinsowym materiale.

- Śmiem twierdzić, że mniej. Prawdopodobnie potrąciła pani postument, kiedy napinała pani cięciwę. - Sięgnął do kieszeni na piersi płaszczka i wyjął z niej paczkę papierosów. Zachowywał się zupełnie naturalnie, jakby prowadzenie pogawędki z kobietą zakutą w łańcuchy było czymś najzwyczajszym pod słońcem.

- Napięła pani cięciwę w kuszy. Mam rację, Mallory?

- Czy mam uwierzyć, że to kolejny nieszczęśliwy wypadek?

Jego uśmiech świadczył, że Mallory próbuje potraktować się łaskawiej, wmawiając sobie, że to wypadek, a nie jej głupi błąd.

- Mówiłem, żeby nie stawała pani przed kuszą gotową do strzału.

Czy broń była naładowana, kiedy napięła cięciwę? Nie przypominała sobie, żeby sprawdzała, czy w magazynku nie została strzała po próbnej kolejce. Miałaby się przyznać do takiego przeoczenia?

Za nic.

Potrząsnęła kajdankami na przegubie ręki. Była to niezbyt subtelna sugestia, by je zdjąć - i to natychmiast.

Malakhai zapalił papierosa.

- Postumenty są precyzyjne jak szwajcarskie zegarki. Zresztą koła zębate rzeczywiście wykonano w Szwajcarii. - Wolno wypuścił z płuc kłąb dymu. Zachowywał się jak ktoś, komu się nigdzie nie śpieszy. - Wykonanie tej sztuczki wymaga pewnej finezji.

Zadzwońnię łańcuchem, ale nie podchwycił aluzji. Spojrzał na broń wycelowaną w swoją pierś.

- Wnioskuje, że nie lubi pani krytyki. - Ignorując zagrożenie, wyciągnął rękę i wyszarpnął strzałę z tarczy.

- Przypomina mi się stare przysłowie. Złej baletnicy przeszkadza rąbek u spódnicy.

Trzymał teraz w jednym ręku ostrą strzałę i stał zbyt blisko. Palec Mallory spoczywał lekko na cynglu.

Tego wszystkiego było dla niej zbyt wiele. Malakhai nie okazywał lęku przed bronią. Już to wystarczało, by wywołać w niej irytację. Pragnęła też, żeby to był jego błąd, a nie jej. Ale teraz spoglądał na klucze leżące na ziemi, kolejny dowód jej pomyłek. Nienawidziła go za to. Wpatrywała się w strzałę, którą trzymał w dłoni. Czy zamierzał ją tą strzałą zranić? Czy też prowadził głupią grę?

Mięśnie jej zdrętwiały. Czuła, że poziom adrenaliny we krwi wzrósł. Mogła walczyć, chociaż pociągnięcie za spust nie wymagało żadnego wysiłku. A inne substancje uwalniały się w mózgu w odpowiedzi na narastającą wściekłość uniemożliwiająca logiczne myślenie.

Ostatnią, nadal trzeźwą częścią mózgu usłyszała, jak wypowiada spokojnym, lodowatym tonem słowa:

- Proszę rzucić strzałę. Proszę ją rzucić i się cofnąć.

Kropelka potu stoczyła jej się po policzku. Drżenie ręki, w której trzymała broń, było prawie niedostrzegalne. Spowodował je skurcz mięśnia znajdującego się pod silną kontrolą - żeby nie dopuścić, by rewolwer wystrzelił w pierś Malakhaia.

Mallory szarpnęła kajdankami, aż metal wpił się w ciało. Zadawanie sobie bólu było jej własnym sposobem na wyrzucenie z umysłu myśli o przemocy. Ale nadal czuła, jak narasta w niej gniew, popychając ją do jednego gwałtownego czynu. Jeśli się nie opanuje, zabije Malakhaia.

Pociągnęła kajdanki, szarpiąc nimi z całej siły, by spowodować większy ból, ale to i tak było za mało.

- Rzuć ją! - wrzasnęła.

W chwili kiedy Malakhai odwrócił się do niej plecami, żeby ciśnąć strzałę daleko przed siebie, szarpnęła zakutą w kajdanki ręką z siłą, jaką wyzwolił w niej gniew na myśl o własnej przemocy.

Rozległ się głośny trzask i przez chwilę była przekonana, że to jej broń wypaliła.

Malakhai się odwrócił i ze zdumieniem zobaczył, że stalowe kajdanki nie są już przytwierdzone do słupka. Żelazna obręcz zwisiała z drugiego końca łańcucha kajdanek, a razem z nią odłamany fragment drewnianego filara.

- Krwawi pani?

- Nie. - Opuściła głowę i patrzyła na czerwoną pręgę na nadgarstku, nie chcąc, żeby Malakhai zobaczył, że ona też się przestraszyła. Nie zamierzała wyrwać obręczy. Chciała tylko zadać sobie ból.

- A więc przechodził pan tędy przypadkiem? Będzie się pan przy tym upierał?

Ujął metalowe kajdanki w obie dłonie. Nie widziała, żeby posłużył się kluczem. Kajdanki po prostu się otworzyły, uwalniając jej rękę. Uniósł je w górę razem z odłamanym kawałkiem drewnianego słupa.

- Mogę to naprawić. Ale proszę niczego więcej nie niszczyć, dobrze? Może się pani powstrzymać od dotykania czegokolwiek?

Przyklęknał, żeby otworzyć obręcz na nogi, ale Mallory go odepchnęła. Potem ociągając się, wsunęła broń do kabury i otworzyła obręcz, w które miała zakute nogi w kostkach. Gniew jej jeszcze nie minął, ale panowała nad nim, kiedy stanęła obok tarczy.

- Mallory, ma pani podarte dzinsy. Dobrze, że strzała nie rozharatała pani nogi. Być może następnym razem trafi w jakieś bardziej

niebezpieczne miejsce, jak w wypadku biednego Olivera.

- Czy to groźba?

- To fakt. Obawiam się, że na naszą kolację będzie pani musiała włożyć coś innego. Mamy zarezerwowany stół na ósmą. Za mało czasu, żeby zdążyła pani pojechać do domu i się przebrać. Podobały się pani róże?

- Skąd pan znał mój adres?

Wskazał kufer, ledwo widoczny nad parawanem ze smokiem.

- Proponuję garnitur z zielonego jedwabiu.

Mallory była ubrana nieodpowiednio na porę roku i epokę. Kiedy wysiadła z taksówki, poczuła na stopach zimny powiew. Złote pantofelki do tańca nie nadawały się na listopad. Chociaż były jej rozmiaru, wąskie rzemyki i wysokie obcasy sprawiały, że niepewnie stawiała kroki. Zanim weszli do restauracji, zatrzymali się przed lustrem i Malakhai powiedział:

- Louisa mówi, że jedwab trochę wypłowił. Kiedyś jego zieleń miała ten sam odcień co pani oczy.

Restauracja w Greenwich Village cieszyła się popularnością wśród Europejczyków. Jedna duża sala rozbrzmiewała różnorodnym gwarem. W pobliżu okna wychodzącego na Zachodnią Czwartą Ulicę stał mały stół nakryty dla trzech osób. I usiadły przy nim trzy osoby, jeśli liczyć Louise, bo tak uczyniła Mallory. Zgodnie z powiedzonkiem doktora Slope'a podczas pokerowych spotkań: „Przy-szedłem, żeby grać”.

Malakhai wyjął pudełko papierosów.

- Nie pozwolą panu tutaj palić - powiedziała Mallory. - Takie obowiązują przepisy.

- Ach, nowe, drakońskie prawa. - Malakhai wyciągnął z paczki papierosa. - Ale chyba pani nie wierzy, że ta restauracja

przywiązuje wagę do drobnych kaprysów burmistrza? - Wskazał nazwę lokalu na karcie dań. - Ci ludzie to Francuzi, prawda? A co pani sobie myślała?

Mallory już przeszła ochota, żeby go zabić.

Inne kobiety w restauracji patrzyły w ich stronę - w jego stronę. Mężczyźni również rzucali na niego ukradkowe spojrzenia. Chociaż stolik znajdował się pod samym oknem, Malakhai znalazł się w centrum uwagi wszystkich obecnych.

Jego ciemne oczy przyciągały wzrok. Mallory na zmianę to nachylała się w jego stronę, to się odsuwała.

- Zamierzał pan przeszukać piwnicę? Czy zjawił się pan tam tylko po to, żeby mnie przestraszyć?

- Czy cokolwiek jest w stanie panią przestraszyć? - W jego głosie nie było sarkazmu. - Mechanizm postumentów jest stary. Kto wie, co zostało uszkodzone oprócz słupka.

- Popielniczka dla pana. - Młody kelner w czerwonej marynarce pojawił się przy stoliku nie wiadomo skąd. Postawił przed Malakhaiem nie popielniczkę, tylko zwykły spodeczek. - Gdyby ktokolwiek protestował...

- Wiem, Jean. Będziesz wstrząśnięty, widząc, że palę w twoim lokalu. I bardzo głośno każesz mi zgasić papierosa. Obiecuję, że udam skruchę. - Kiedy kelner zostawił ich, żeby zamówić w kuchni dania, Malakhai zaczął obracać niezapalony papierosa w palcach. - Widzi pani tamtą kobietę? Tę oburzoną, w fioletowej sukni?

Mallory się odwróciła, żeby spojrzeć na trójkę stałych bywalców stojących w pobliżu drzwi. Wkładali płaszcze i coś mówili, gestykując, do kobiety ubranej na fioletowo. Ale ona nie zwracała na nich uwagi, beczelnie gapiąc się na Malakhaia i jego papierosa, którego widok działał na zagorzałą przeciwniczkę palenia jak płachta na byka.

Malakhai przesłał kobiecie uśmiech, mówiąc do Mallory:

- Ona i jej przyjaciele są gotowi do wyjścia. Ale jakże mogłaby wyjść, nie korzystając z odrobiny władzy nad cudzoziemcem? - Wyjął srebrną zapalniczkę. - Otóż zamierzam zakosztować prostej przyjemności, której może mnie pozbawić.

Kobieta ściągnęła brwi. Machała na kelnera, jakby był przejeżdżającą taksówką. Jean krążył po sali, udając, że jej nie widzi. Trójka towarzyszy, z którymi zjadła obiad, stała przy drzwiach i przywoływała ją gestami. Kobieta w fioletowej sukience z wyraźnym ociąganiem dołączyła w końcu do swych przyjaciół. Nawet kiedy już znalazła się na chodniku, jeszcze nie skończyła z Malakhaiem. Zatrzymała się obok okna, by obrzucić go gniewnym spojrzeniem.

Niezapalony papieros zniknął w jego zacisniętej pięści. Kiedy przytknął otwartą dłoń do szyby, była pusta. Trójka przyjaciół brażkami nagrodziła sztuczkę, a kobieta, czerwona ze złości, oddaliła się ulicą. Malakhai znów zacisnął pięść. Gdy tym razem ją otworzył, między jego palcami tkwił zapalony papieros.

Mallory spojrzała na spodeczek, na którym żarzył się drugi papieros. Na bibułce były ślady szminki. Musiał go tu położyć, kiedy odciągnęła jej uwagę jego poprzednia sztuczka. Gapiała się przez chwilę na unoszącą się smużkę dymu.

- Skąd pochodziła Louisa?

- Gdyby pani to wiedziała, z miejsca stałaby się pani głośną postacią wśród melomanów. Nigdzie nie ma żadnych wzmianek o Louisie. Jakiś sfrustrowany historyk rozpuścił nawet plotkę, że ją wymyśliłem.

- A czy krążą jakieś plotki o morderstwie?

- Nawet sporo. Większość z nich rozsiewał Nick Prado, by zwiększyć sprzedaż płyt na początku lat pięćdziesiątych. Było to piętnaście lat przedtem, nim zrezygnował z występów, by założyć firmę public relations. Ale już wtedy miał wszystkie cechy rasowego specja od reklamy.

- Prado zna prawdę.

- Czyżby? Nigdy tego nie powiedział, przynajmniej pani, Mallo-
ry.

- A pan bynajmniej nie uwierzył, że jej śmierć to był nieszczęśli-
wy wypadek. Wiedział pan, że Louisa została zamordowana. Wie-
dział to pan na długo przed naszą partyjką pokera.

Spodziewała się, że zaprzeczy. Ale nie zrobił tego. Nie potrafiła
wyczytać z jego twarzy, czy słusznie się domyśliła, czy też nie.

- Dlaczego tak się pani interesuje Louisa?

- Oliver zapisał właściwie cały majątek na cele dobroczynne,
więc odpada motyw zabójstwa z chęci zysku. Myślę, że przestraszył
tego, kto zabił pańską żonę.

Przerwali rozmowę, kiedy wrócił Jean z butelką burgunda. Nalał
trochę wina do jednego kieliszka i krążył w pobliżu stolika, czekając
na aprobatę Malakhaia. Następnie napełnił trzy kieliszki i się oddalił.

- Oliver spartaczył iluzję - powiedział Malakhai. - Mogę to
stwierdzić na podstawie relacji telewizyjnej.

- Na czym polegał jego błąd?

- Och, byłbym ostatnim, który zepsułby pani zabawę. Jestem pe-
wien, że sama pani do tego dojdzie.

- A co z chłopcem, który zginął, kiedy Max Candle przygotowy-
wał się do zaprezentowania iluzji? Czy to jeszcze jedna historyjka
wymyślona przez Nicka Prado? Nieziszczone marzenie każdego
dziennikarza?

- Nie, wydarzyło się to naprawdę, ale ta historia nie jest szeroko
znana. Max był zdruzgotany. Nie zamierzał wykorzystać śmierci
chłopca dla zdobycia rozgłosu.

- O tym wypadku powinno być głośno w całym kraju.

- Dlaczego? Max Candle ginął na scenie i w magiczny sposób
ożywał. Chłopiec pozostał martwy, mniej w tym magii, został

jedynie raport z wypadku w policyjnych kartotekach. Nic poza tym.

- Może znajdował się pan na widowni tamtego wieczoru, kiedy Max prezentował swoją iluzję?

- Prawdę mówiąc, tak.

- Wiedziałyby więc pan, co zrobić, żeby przeszkodzić Oliverowi w powtórzeniu tej iluzji w Central Parku.

- Niekoniecznie. Nie wykonał jej w taki sam sposób jak Max. Musiałbym znać wersję Olivera.

Kilka godzin później wcale nie była bliższa rozwiązaniu zagadki Zapomnianej Iluzji. Jej kieliszek zawsze był do połowy napełniony, chociaż ani razu nie widziała, żeby Malakhai dolewał do niego wina. A pod koniec długiego wieczoru stwierdziła, że musi wyraźniej wymawiać słowa, by nie bełkotać ani nie połykać sylab.

Przez całą drogę powrotną do domu Mallory siedziała w taksówce sztywno wyprostowana, za to reszta świata przechylała się i wirowała. Świat wyraźnie stracił nad sobą kontrolę.

Dom w Upper West Side, gdzie mieszkała, pojawił się w oknie od strony pasażera. Tylne drzwiczki się otworzyły i Malakhai stanął na chodniku. Wyciągnął jedną rękę, by pomóc Mallory wysiąść z samochodu, jakby się bał, że może nie trafić stopą na krawężnik, gdyby spróbowała to zrobić o własnych siłach. Kiedy przekraczali marmurowy próg budynku, skinęła w kierunku rozmazanego zielonego uniformu, wiedząc, że musi to być Frank, portier.

W milczeniu jechali windą, która sunęła nie pionowo w górę, tylko nieco ukośnie. Kiedy znaleźli się na właściwym piętrze, Malakhai poprowadził Mallory korytarzem, uprzejmie, ale mocno trzymając ją pod rękę. Była to dawno zapomniana galanteria, którą znała z czarno-białych filmów z innej epoki. Sprytna Mallory wykorzystała

ten staroświecki przejaw dobrych manier, żeby się nie potknąć na niesformnie falującym chodniku.

Zatrzymali się przed drzwiami do jej mieszkania. Czekał cierpliwie, podczas gdy ona trzy razy próbowała otworzyć zamek. Dwa razy oszukała samą siebie i zrzuciła winę na nowy klucz. W końcu udało jej się otworzyć drzwi. Malakhai stał tuż obok, a mimo to miała wrażenie, że jego głos dobiega skądś z daleka, kiedy powiedział: „Dobranoc”.

W końcu znalazła się w swoim mieszkaniu. Opierała się o jedyną nieruchomą ścianę i pragnęła, żeby reszta pokoju przestała wirować. Teraz przypomniawszy sobie pytanie, które chciała mu zadać na zakończenie wieczoru.

Otworzyła drzwi po drugiej próbie, przekręciwszy gałkę we właściwą stronę. Pobiegła korytarzem. Winda była zajęta. Mallory wypadła przez drzwi na schody i dokonywała niezwykłych sztuczek, by utrzymać równowagę na posadzce, która umykała jej spod nóg, jakby się uparła, żeby skrócić jej kark.

Pokonała hol, prawie cały czas biegnąc pod górę, i dzięki przytomności umysłu Franka pomiędzy nią a ulicą nie wyrosła przeszkoda w postaci szyby w stalowej ramie. Mallory znalazła się na chodniku, zadyszana, tylko trochę się chwiejąc na nogach - tak jej się przynajmniej wydawało.

Malakhai właśnie zajął miejsce na tylnym siedzeniu żółtej taksówki. Podawał kierowcy adres, kiedy Mallory pojawiła się obok drzwiczek.

- Po której stronie pan stał podczas drugiej wojny światowej?

Samochód oddalał się od krawężnika, kiedy Malakhai wychylił się przez okno i zawołał do niej:

- Tamtego wieczoru, kiedy zastrzeliłem Louise, miałem na sobie niemiecki mundur!

ROZDZIAŁ 9

Głowa bolała ją w każdej pozycji. Choćby lekkie jej przechylenie w którąkolwiek stronę powodowało nasilenie nieznosnego łupania. Mallory siedziała na kanapie, tyłem do okna, w salonie u Charlesa Butlera. Wrażliwość na światło stanowiła kolejny dotąd jej nieznaną symptom.

Riker, specjalista od leczenia kaca, zajrzał jej głęboko w przekrwione oczy, a potem odwrócił się do Charlesa.

- Nie jest chora. Znam na to sposób.

Obaj mężczyźni udali się do kuchni, zostawiając ją w błogosławionej ciszy. Pochyliła głowę nad długim najeżonym zwrotami prawniczymi tekstem, który trzymała na kolanach.

Na ulicy tuż pod oknami salonu niespodziewany wrzask kota przeszedł w przeraźliwe miauczenie, aż zawibrowały przeczulone zakończenia nerwów układu sympatycznego Mallory - co nie miało bynajmniej żadnego związku ze współczuciem. Sprawilo jej nawet pewną satysfakcję, kiedy życzyła niewątpliwie cierpiącemu zwierzęciu szybkiej i gwałtownej śmierci, nim z powrotem przystąpiła do lektury ostatniej woli Olivera Tree.

Z kuchni dobiegł ją głos Rikera.

- Potrzebne mi surowe jajko, woda sodowa i sos tabasco.

Ledwo usłyszała odpowiedź Charlesa:

- Jesteś pewien, że jej to nie zabije?

Kiedy Riker wrócił do salonu, trzymał szklankę podejrzenie ciemnej, pienistej cieczy.

- Charles parzy cappuccino na popitkę.

- Nie wypiję tego - oświadczyła Mallory.

- Wypijesz. - Podał jej szklankę. - I to duszkiem. Dzięki temu staniesz na nogi. Nie będziemy cię musieli dobić.

Przechyliła szklankę i niemal wciągnęła jej zawartość, żeby mieć to jak najszybciej za sobą. Mikstura miała wstrętny smak i konsystencję. Mallory uznała, że została zdradzona. Spojrzała groźnie na Rikera truciciela.

- Dobra, mała. - Zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło, obok drzwi. - Kiedy następnym razem pójdziesz w tango, przed położeniem się do łóżka weź aspirynę. I pij dużo płynów. Najprzykrzejsze dolegliwości są spowodowane odwodnieniem.

Utkwiła wzrok w brązowym punkcie na klapie jego płaszcza - miała kolejny powód do irytacji. Od jak dawna jest tam ta plama od kawy?

Uniosła tekst ostatniej woli Olivera.

- Jak udało ci się to wyciągnąć od prawnika?

- Pomyślałem, że w ten sposób mógłbym ci poprawić humor. - Riker usiadł obok niej i zaczął grzebać w kieszeniach garnituru. - Wstąpiłem do kancelarii wykonawcy testamentu. Dziewczyno, w powietrzu unosi się tam zapach pieniędzy. Spytałem sekretarkę o nazwę statku wycieczkowego, którym płynie jej szef. Wyjaśniłem, że zamierzam mu przetelegrafować kilka pytań dotyczących testamentu.

Wyjął plik wizytówek i pomiętych kartek papieru.

- Sekretarka, jak jej na imię... - odsunął wizytówkę na długość

ramienia, zamiast włożyć okulary do czytania - ...Gina. Zwierzyła mi się, że czeka na przyjęcie do akademii policyjnej. Miła dziewczyna, kocha gliniarzy. A więc Gina zapytała mnie, jakie, moim zdaniem, ma szanse na to, że się dostanie. Zapewniłem ją, że będzie w znacznie korzystniejszej sytuacji, jeśli napiszę jej list polecający. I wtedy ona mi oświadczyła, że jej szef nie płynie żadnym statkiem wycieczkowym.

- Ukrywa się przed policją?

- Raczej ukrywa podium i kuszę. Po tym numerze z kuszą na paradzie pomyślał, że zechcemy jeszcze raz przyjrzeć się wypadkowi Olivera, może skonfiskujemy rekwizyty tuż przed aukcją. - Wskazał na plik papierów leżących na kolanach Mallory. - Zajrzyj na stronę trzydziestą drugą.

Mallory przekartkowała testament, aż dotarła do spisu przedmiotów do sprzedania na aukcji, z której dochód miał być przeznaczony na cele dobroczynne. Były tam wymienione wszystkie rekwizyty estradowe. Zaczęła przesuwając palec wzdłuż pierwszej kolumny listy.

- Pozwól, że ci zaoszczędzę nieco czasu - powiedział Riker. - Podium nie figuruje na tej liście. Ale Gina mówi, że to ważny eksponat. Aukcja rozpoczyna się dziś o pierwszej po południu. Prawnik chce się pozbyć wszystkich rekwizytów scenicznych, zanim opadnie zainteresowanie mediów.

Wręczył jej wizytówkę, przeczytała adres zapisany ołówkiem na odwrocie. Aukcję zorganizowano ponad trzydzieści przecznic od miejsca jej następnego spotkania na Times Square.

- Jaką wartość ma sztuczka magiczna, która się nie udała?

- Całkiem sporą - odparł Riker. - A prawnik otrzymuje część zysków z aukcji. Najwyższe ceny oferuje pewien hollywoodzki producent. Chce nakręcić film o Oliverze Tree i jego występie, który zakończył się tak tragicznie.

- Kogo jeszcze zaproszono do udziału w aukcji?

- Masę iluzjonistów, którzy zjechali do miasta na festiwal. To dlatego nikomu nie wolno zajrzeć do wnętrza podium, póki nie wyłoży gotówki. Prawnik się boi, że zostanie okantowany.

Mallory spojrzała na zegarek. Zbliżała się pora spotkania z panem Halpernem. Zastanawiała się, ile czasu zajmie jej wysłuchanie leciwego staruszka, który przeżył Holokaust, jeśli będzie się ściśle trzymała instrukcji rabina Kaplana. Ponieważ nie zamierzała zrezygnować z aukcji, rozważała również, jaka ją czeka kara za popędzanie starszego pana.

Co mógłby jej zrobić rabin?

- Riker, czy sekretarka powiedziała coś o bratanek Olivera? Nie jest wymieniony wśród spadkobierców. - Wśród legatów nie było też uwzględnione podium.

- Owszem. - Zajrzał do otwartego notesu. - Ściśle mówiąc, Richard Tree jest wnukiem brata przyrodniego Olivera. To jedyny żyjący krewny staruszka.

- Ale głównym spadkobiercą jest miejscowy szpital.

- Tak, Gina mówi, że Oliver spędzał tam wszystkie niedziele. Pokazywał sztuczki magiczne chorym dzieciom. Więc bratanek nie dziedziczy ani centa, ale utworzono dla niego całkiem pokaźny fundusz powierniczy.

- Więc jednak osiąga jakąś korzyść.

- Dzięki śmierci stryja? Ani grosza. Fundusz istnieje od wielu lat. Chłopak musi poddać się badaniom, czy nie bierze narkotyków, żeby otrzymać czek. Do tej pory nie przeprowadził testów. To dlatego zgodził się za sto zielonych wziąć udział w numerze z kuszą. Miałby z funduszu powierniczego mnóstwo forsy, ale nie potrafi wystarczająco długo powstrzymać się od brania narkotyków, by zainkasować pieniądze.

- Po śmierci staruszka łatwiej będzie dobrać się do tych pieniędzy.

- Znowu się mylisz. Oliver nie czuł specjalnej sympatii do swojego bratanka, ale nie chciał, żeby chłopak zmarł z nadmiaru pieniędzy. Więc wynajął najlepszego prawnika na Manhattanie, żeby utworzył superbezpieczny fundusz powierniczy. Adwokat Olivera jest wyjątkowym rekinem. Pamiętaj o tym, kiedy się z nim spotkasz. Nie uda ci się wyprowadzić w pole tego łobuza.

Mallory wyciągnęła szeleszczący banknot dwudziestodolarowy. Riker skinął głową i zakład stanął.

- Dobra, następny wywiad. - Riker przewrócił kilka kartek notesu. - Rozmawiałem z facetem, który kierował firmą Olivera po przejściu starszego pana na emeryturę. Mówi, że Oliver na boku nadal trochę pracował. Był właścicielem starego teatru w górnej części miasta. Renowacja to było coś w rodzaju jego hobby. To tam parę lat temu zbudował swoje podium.

Stuknęła palcem w stos kartek.

- Testament sporządzono osiem miesięcy temu. Dlaczego więc nie ma w nim wzmianki o podium?

Riker wzruszył ramionami.

- Staruszek miał słabą pamięć.

- Może jeszcze przed śmiercią komuś je podarował. Riker, pamiętasz świąteczny obiad? Te jego prezenty dla starych przyjaciół? Jeden z nich otrzymał podium i wskazówki Olivera, dotyczące wykonania Zapomnianej Iluzji. Ten człowiek wiedział, co zrobić, żeby numer się nie udał.

- To dobra teoria, ale...

- Staje się coraz lepsza. Wczoraj wieczorem obejrzałam dokładnie podium Maksa Candle'a. Obręcze na kajdanki są umieszczone wysoko na słupkach. W obu podwyższeniach identycznie.

- I co z tego?

- Iluzja została pierwotnie opracowana dla wyższego mężczyzny. Max Candle mierzył metr osiemdziesiąt trzy. Oliver był od niego o

osiemnaście centymetrów niższy. Prado i Futura obaj są mniej więcej tego samego...

Wrócił Charles z tacą, na której stały kubki z kawą. Postawił ją na niskim stoliku przed Mallory. Aromat capuccino nie wywołał u niej mdłości. Lekarstwo Rikera na kaca okazało się skuteczne.

- Dziękuję, Charles. Czy słupek jest poważnie uszkodzony? Czy potrzebny będzie stolarz, żeby...

- Słupek nie jest uszkodzony - odparł Charles z taką miną, jakby mu było przykro z tego powodu.

- Ależ tak - upierała się. - Zniszczyłam go wczoraj wieczorem.

- Jesteś tego absolutnie pewna?

- Cóż to ma znaczyć, do diabła? - Czy uważał, że sobie to wymyśliła?

Riker spojrział na Charlesa zmrużonymi oczami.

- Czy powinienem wiedzieć, o czym mówicie? Ominęło mnie coś ciekawego? - Odwrócił się do Mallory. - Nigdy nigdzie mnie ze sobą nie zabierasz.

- Dosyć tego - ucięła Mallory. - Zastrzeliłam szczura, nie strzelałam do balonu, zniszczyłam słupek. - Miała nadzieję, iż obaj zrozumieją, że zakwestionowanie czegokolwiek, co właśnie powiedziała, byłoby wielkim błędem. - Musiał go naprawić Malakhai. - Najwyraźniej znów odwiedził piwnicę, kiedy dziś rano zasnęła, nie słysząc budzika.

A więc nie chodziło o paszport. Malakhai nadal czegoś szukał.

Bagażnik roweru młodego posłańca wypełniały pakunki. Chłopak pędził ruchliwą arterią, jaką był Broadway, nie zwracając uwagi na sygnalizację świetlną, i skierował przednie koło prosto w tłum pieszych stojących na przejściu przy 42 Ulicy. Ostrzegął na cały głos tych, którzy byli na tyle nierozważni, by blokować mu drogę: „Jestem nieubezpieczony! Jestem nieubezpieczony!”.

Mallory pociągnęła pana Halperna do tyłu, a reszta ludzi się rozstała, żeby zrobić drogę dla rowerzysty. Posłaniec śmignął, mając po obu stronach ściśniętych pieszych. Gwizdami i uniesionymi palcami dawano mu do zrozumienia, że przy pierwszej sposobności powinien dopuścić się niezgodnego z naturą aktu płciowego z samym sobą.

Pan Halpern pokiwał głową i uśmiechnął się, spoglądając za znikającym rowerzystą.

- Oto Nowy Jork.

Powiedział to takim tonem, jakby te słowa mogły stanowić dobre wytłumaczenie każdego przeżycia grożącego śmiercią. I prawdopodobnie stanowiły.

Tamtego wieczoru, kiedy zorganizowano partię pokera, starszy pan miał kapelusz. Dziś włożył czapkę z futrzanymi nausznikami, by chronić głowę przed zimnem.

- Podczas przerwy obiadowej zawsze odbywam przechadzkę wokół Times Square, bez względu na pogodę. Każdy powód jest dobry, by wyrwać się z biura.

Mallory wytężyła słuch, żeby słyszeć jego cichy głos. Ze wszystkich stron atakowały ich migoczące elektroniczne sygnały, potrącali śpieszący dokądś przechodnie, mijały pojazdy. Samochody i autokary turystyczne z Broadwayu zlewały się z potokiem pojazdów z Siódmej Alei, a wszystkie przecznice dokładały jeszcze coś od siebie, powiększając zgiełk i ścisk.

- Times Square bardzo się zmienił - powiedział pan Halpern. - Zupełnie jakby się obserwowało dorastanie dziecka. - Wskazał sklep Disneya. Kolorowi bohaterowie kreskówek wyparli prostytutki, porno-widowiska i księgarnie dla dorosłych. Królowała Myszka Miki. - Moje prawnuki kochają... - Urwał, być może przypomniawszy

sobie tytuły prasowe, z których wynikało, że sierżant Mallory nie należy do wielbicielek świata komiksów.

Zatrąbił samochód, łamiąc zarządzenie władz miejskich, dotyczące ograniczenia używania sygnałów dźwiękowych. Zapach pieczonych kasztanów sprawił, że Mallory odwróciła głowę. Sprzedawca uliczny bezprawnie rozłożył kram, mimo że ostatnio burmistrz usunął z placu drobnych handlarzy. Pod nieobecność policji wiele osób naruszało obowiązujące przepisy. Dziwne - nie widziała dziś ani jednego umundurowanego policjanta.

Znów skupiła uwagę na starszym panu, kroczącym obok, i oceniła go wzrokiem. Według słów rabina, pan Halpern był rówieśnikiem Malakhaia, ale wyglądał na kilka dziesiątków lat więcej. Jest chory czy tylko zmęczony?

- Czytam w pani myślach, sierżant Mallory. Dlaczego jeszcze pracuję? To niemal nieprzyzwoite, prawda? Powiniennem ustąpić miejsca młodszemu, swoim następcom.

- Wcale nie, jeśli nie ma pan ochoty. - Trzymała się dokładnie poleceń rabina. To była rozgrzewka, niezobowiązująca pogawędka, z punktu widzenia Mallory - całkowita strata czasu.

- Ależ ja chciałem przejść na emeryturę - powiedział pan Halpern. - Kiedy mój syn przejął rodzinny interes, zamierzałem urządzić sobie w garażu pracownię. W końcu miałbym czas, żeby zająć się rysowaniem. Tyle lat na to czekałem. Ale mój chłopak wymyślił co innego. Urządził dla mnie specjalny gabinet. Siedzę w nim codziennie, wykonując nikomu niepotrzebną pracę. Syn udaje, że jestem niezbędny. Ja udaję, że nie widzę, że mu przeszkadzam. Obaj się nawzajem oszukujemy.

- Dlaczego mu pan nie powie, czym chciałby się pan zająć? - W najlepszym razie staruszkowi zostało tylko kilka lat na rysowanie.

- Powiedziałem mu. Powiedziałem, że chcę odejść na emeryturę. Ale mój syn wie, jak bardzo go kocham. Był pewien, że go okłamuję.

- Pan Halpern wzruszył ramionami. - Więc żeby udowodnić, że jego miłość jest większa, wymyślił większe kłamstwo. Oświadczył, że beze mnie nie da rady poprowadzić interesu. Cóż, to mój syn. Jak mogę mu zarzucić kłamstwo? - Uniósł brwi, jakby pytał, czy Mallory dostrzeżę komizm całej sytuacji.

Dostrzeżała. I dzięki rabinowi Kaplanowi, który wynalazł ironię, Mallory nawet przewidziała puentę.

Wyjęła zegarek i zmarszczyła czoło. No cóż, najwyższy czas zakończyć tę miłą pogawędkę na rozgrzewkę.

- Rabin mówił, że może mi pan opowiedzieć o Malakhaiu.

- O tak. - Spojrzał na zegarek, który trzymała w ręku, i pokiwał głową, rozumiejąc, że policjantka ma gdzie indziej coś ważnego do załatwienia.

- Wczoraj wieczorem rozmawiał pan z nim w domu rabina. - Trzymała zegarek w dłoni, dając panu Halpernowi wyraźnie do zrozumienia, że powinien zacząć jak najszybciej.

- Tak, byłem zdumiony, że tak dobrze się trzyma, bardzo młodo wygląda. Postarzały się tylko jego włosy.

- Ile miał lat, kiedy spotkał go pan po raz pierwszy?

- W obozie? Był mniej więcej w moim wieku, miał może siedemnaście lat. Ja rozładowywałem worki z pocztą z pociągu. To należało do moich...

- Mówi pan o obozie koncentracyjnym?

- Tak, takim bez krematoriów i komór gazowych. To był obóz przejściowy, stacja przesiadkowa podczas podróży do gorszych miejsc. Byliśmy więźniami, ale dobrze nas karmili. A tamtego dnia grała muzyka. Zawsze grała muzyka, kiedy mieliśmy gości z zewnątrz. Przybyła wówczas ekipa inspektorów Czerwonego Krzyża. Akurat gdy zwiedzali obóz, przyjechał pociąg z nowymi więźniami, których należało przyjąć. Później wyczytywano nazwiska osób

mających udać się w dalszą drogę. Kiedy pociąg znów odjeżdżał...

Skrzywił się na jakieś wspomnienie z przeszłości i spojrzął na chodnik.

- No cóż, nikt nie chciał się znaleźć w pociągach, które stamtąd odjeżdżały. Moi rodzice, cała moja rodzina trafiła do Auschwitz. Nigdy żaden z nich stamtąd nie wrócił. Ani jeden kuzyn, ciotka czy wuj. Wiedziałem, że któregoś dnia na tej liście pojawi się również moje nazwisko. - Znów urwał. - Mówię bez ładu i składu, przepraszam. - Pochylił się, żeby lepiej widzieć cyferblat jej zegarka.

Mallory zatrzasnęła go i wsunęła do kieszeni.

- Mam czas - zapewniła. - Tyle czasu, ile panu potrzeba.

Staruszek skinął głową i wyjął z kieszeni płaszcz paczkę papierosów. Uniósł ją, jakby pytał, czy Mallory nie ma nic przeciwko temu, że zapali. Nie miała.

- Louisa przebywała w obozie mniej więcej od miesiąca. Wtedy nie wiedziałem, jak jej na imię. Nigdy z nią nie rozmawiałem. Ale widywałem tę dziewczynę codziennie, kiedy prowadzono ją do biura komendanta. Miała zawsze nieobecny wzrok, wyglądała jak lunatyczka. Myślałem, że postradała zmysły.

Przeszył powietrze palcem, jakby zaznaczał punkt na osi czasu.

- Tamtego dnia było jednak inaczej. Louisa stała na estradzie i grała na skrzypcach, zabawiając gości. Komendantowi zależało na tym, żeby pokazać tym z Czerwonego Krzyża, jak dobrze jesteśmy traktowani w obozach przy bocznicach kolejowych, co się tam dzieje. To była najgorzej strzeżona tajemnica pod słońcem. Wszyscy więźniowie wiedzieli o obozach śmierci. Wiedzieli o nich również ludzie z Czerwonego Krzyża. A jednak przyjeżdżali, żeby robić zdjęcia w obozach przejściowych, pokazywać je światu.

Trzymając niezapalonego papierosa, sięgnął do drugiej kieszeni po zapalnik.

- Stałem obok pociągu ze swoim wózkiem, czekając, aż otworzą wagon pocztowy. Malakhai pojawił się obok mnie: młody chłopak, wysoki i wyprostowany. Miał ciemnoniebieskie oczy. Dziwne, że się nie zmieniły przez te wszystkie lata. Długie włosy przypominały lwią grzywę.

Przystojny młodzieniec, ale jakiś dziwny i niepasujący do tego miejsca. Chociaż dzień był ciepły, koszulę miał zapiętą pod samą szyję, rękawy spuszczone. Wiedziałem, że nie wysiadł z pociągu z innymi. Nie był ani więźniem, ani żołnierzem. Później doszedłem do wniosku, że musiał przyjechać z ludźmi z Czerwonego Krzyża.

Pan Halpern potarł zapałką o ściankę pudełeczka.

- Po rozładowaniu poczty zaczął razem ze mną pchać wózek. Żaden strażnik nawet nie spojrzął w jego stronę.

Zwracali uwagę tylko na takich, którzy się boją lub robią coś ukradkiem. Nic więcej ich nie interesowało. Pchając wózek, Malakhai ani na chwilę nie odrywał oczu od estrady. Miała wysokość może trzech metrów, była wsparta na czterech grubych słupach, u podnóża schodków stali wartownicy. Więźniowie, którzy wysiedli z pociągu, mijali estradę, ich szeregi tworzyły ludzki potok.

Mallory poczuła czyjąś bliską obecność. Odwróciła się i zobaczyła małego brodatego mężczyznę w czapce narciarskiej. Udał nagłe zainteresowanie wystawą sklepową. Co zamierzał?

Znów skupiła się na opowieści pana Halperna.

- Na estradzie stały trzy wykonawczynie. Na wiolonczeli i oboju grały kobiety w średnim wieku. Louisa była chyba jeszcze uczennicą. Miała długie rude włosy, niebieskie oczy, a cerę mlecznobiałą, jak pani. Nadal widzę jej twarz w najdrobniejszych szczegółach. I do śmierci będę pamiętał jej wyraz. Nie sądzę, żeby wiedziała, co się dzieje wokół. Wydawała się pochłonięta muzyką, pogrążona we śnie

lub chora psychicznie.

Staruszek znów ujrzał to wszystko, cofnąwszy się w czasie.

- Więźniowie maszerowali obok estrady. Żołnierz wywoływał nazwiska pasażerów pociągu śmierci. A wszystko to przy dźwiękach muzyki Mozarta.

Zaczął wymachiwać w powietrzu zapałką niczym miniaturową batutą, dyrygując pamięcią.

- Byłem roztargniony, nasłuchiwałem swojego nazwiska. Tamtego dnia mnie nie wyczytano. Kiedy się odwróciłem do młodego nieznajomego, zniknął. Spojrzałem na estradę. Louisa też zniknęła. Dwie starsze kobiety nadal grały na swoich instrumentach. Strażnicy stojący u podnóża schodów nie zauważyli braku skrzypaczki. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że był świadkiem ucieczki, chociaż stało się to na oczach setek ludzi. Nikt niczego nie widział.

- Czy przypomina pan sobie jakiś inny incydent, do którego doszło w tym samym czasie?

- Chodzi pani o coś, co mogłoby ewentualnie odwrócić uwagę? - Włożył do ust niezapalonego papierosa. - Tak, później to sobie uzmysłowiłem. Pamiętam zamieszanie gdzieś za szeregami więźniów. Nie widziałem, co to było, tak się skupiłem na wyczytywanych nazwiskach. Louisa musiała mu skoczyć w ramiona, kiedy strażnicy patrzyli w inną stronę.

Mallory skinęła głową.

- Jeśli coś się działo na dole, strażnicy nie mieli powodu, żeby spoglądać na estradę. - Większość ludzi przeżywa życie, nigdy nie patrząc wyżej własnych głów.

Papieros tkwił w spierzchniętych wargach staruszka.

- Pociąg był załadowany, gotów do odjazdu. Znów dostrzegłem chłopaka i dziewczynę, skryli się w krzakach rosnących wzdłuż torów. Byli zbyt blisko. Chciałem ich ostrzec przed żołnierzami

ubezpieczającymi transport. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że Louisa i Malakhai zamierzają wsiąść do pociągu.

Mallory obserwowała drugiego mężczyznę, drobną postać w czapce narciarskiej. Kręcił się teraz bliżej, trzymając w ramionach walizkę, tuląc ją jak dziecko, ślizgając się tam i z powrotem w tenisówkach. Kieszonkowiec wypatrujący potencjalnej ofiary? Nie, nie pasowała do tego waliza. Rozejrzała się po placu. Dlaczego nie ma gliniarzy?

- Chciałem ich powstrzymać, ostrzec - ciągnął pan Halpern. - Szaleństwem było jechać pociągiem śmierci.

Kiedy wsiedli do wagonu pocztowego, bardzo się o nich bałem. Potem odwróciłem głowę. Nie chciałem ściągać na nich uwagi swoim strachem. Przeszukanie wagonu trwało zaledwie kilka minut. Była to czysta formalność. Kto z własnej woli wsiadłby do pociągu? Na końcu podróży czekała przecież śmierć.

Machinalnie potarł drugą zapałkę. Też się nie zapaliła.

- Żołnierze sprawdzili wagon pocztowy, ale nie znaleźli chłopaka i dziewczyny. Pociąg ruszył.

- A więc Louisa i Malakhai ukryli się w workach z pocztą?

- Tak myślałem, kiedy sam postanowiłem uciec. W wagonie było zawsze dziesięć albo dwanaście worków z pocztą. Tylko jeden wyładowywano w obozie przejściowym. Worki były wystarczająco duże, by zmieścić się w nich człowiek, a większość na ogół niepełna. Obliczyłem, że pociąg zatrzymuje się kilka razy, zanim dotrze do Niemiec. Do tamtej chwili nigdy nie myślałem, żeby w ten sposób, wsiadając do pociągu jadącego do obozu zagłady, uniknąć śmierci.

Znów coś odwróciło uwagę Mallory. Brodaty mężczyzna w czapce narciarskiej znalazł się w polu jej widzenia. Nadal ścisnął swoją walizkę. Czekał na coś albo na kogoś.

Pan Halpern wyjął z pudełka kolejną zapałkę. Niezapalony papieros poruszał się w kąciku jego ust, kiedy mężczyzna mówił:

- Dwadzieścia lat później znowu ujrzałem ich na estradzie: tutaj, w Nowym Jorku. Louisa już od dawna nie żyła, a jej duch stanowił element triku iluzjonistycznego. Słyszałem, jak Malakhai do niej mówi, ale jej nie widziałem, tylko przedmioty, które przenosiła. A później wysłał biedaczkę na widownię. Poczułem powiew powietrza obok swego fotela. Dotarł do mnie zapach perfum, woń kwiatów.

- Gardenii?

- Być może gardenii. Przysięgam, że potem Louisa musnęła dłonią mój policzek. Po występach chciałem pójść za kulisy, spytać go, w jaki sposób uciekli. Ale się rozplakałem. Nie byłem w stanie rozmawiać.

Mallory straciła z oczu podejrzanego człowieczka w czapce narciarskiej. Znów wmieszał się w tłum.

- Wspomniał pan, że też pan uciekł?

- Owszem, ale nie w taki sposób jak oni. Wsiadłem do następnego pociągu. Z chwilą kiedy strażnicy by się zorientowali, że Louisa uciekła, zlikwidowano by cały obóz, wszystkich więźniów. Nie miałbym drugiej okazji. Szedłem z wózkiem wzdłuż torów. Nie zwracałem uwagi na strażników, więc stałem się dla nich niewidoczny, tak jak Malakhai. Czekałem, aż zasłoni mnie obłok pary z lokomotywy, i wtedy wsiadłem do wagonu pocztowego. Na workach nie było nazw miejscowości, tylko numery. Nie miałem możliwości ustalenia, kiedy ani gdzie zostaną wyładowane. Zanim pociąg ruszył, przeszukano wagon. Kolba karabinu, którą żołnierz trącił worek, znalazła się parę centymetrów od mojej głowy. Zaczyna pani już rozumieć? Jak mogliby nie natrafić na dwoje ludzi ukrywających się w różnych workach?

Potań zapałkę, zapaliła się i natychmiast zgasła na wietrze. Wyjął następną.

- Ukrywałem się przez wiele godzin. Bałem się, że pociąg się nie zatrzyma przed wjazdem do Niemiec. Kiedy w końcu stanął, nie mogłem otworzyć wagonu pocztowego od środka: nie było klamki. Może sobie pani wyobrazić, co wtedy czułem? Uznałem się już za trupa i ponownie wślizgnąłem się do brezentowego worka, mojego całunu. Potem drzwi się otworzyły. Wyładowano tylko jeden worek, akurat ten, w którym się ukryłem. Łut szczęścia, jedna szansa na dziesięć, żeby wydostać się z pociągu.

Worek wrzucono na ciężarówkę dostawczą. Z chwilą kiedy samochód znalazł się na szosie, wylazłem z worka i wyskoczyłem. Byłem wolny.

Potań następną zapałkę i Mallory ostoniła ją rękami, by wiatr nie zdmuchnął płomienia.

- Ale rozumie pani, prawda? Malakhai i Louisa nie mogli uciec w ten sposób. Sama pani widzi, jakie to byłoby trudne. - Nachylił się nad płomieniem zapałki i zapalił papierosa. - Ale myślę, że to rozgryzłem. Istnieje tylko jeden sposób, w jaki mogli tego dokonać.

Odwrócił się, żeby nie wypuścić dymu w jej stronę, i w jego oczach pojawiło się śmiertelne przerażenie. Mallory ujrzała w rękę małego mężczyzny w czapce narciarskiej broń wycelowaną w pana Halperna. Z pistoletu natryskowego wystrzelił w jego kierunku strumień czarnej farby. Teraz mały człowieczek zrobił zdumioną minę. Biegając, próbował schować pistolet do walizki.

Mallory nie musiała go długo gonić. Śmiał się, kiedy go przewróciła na ziemię. Nie okazywał najmniejszego lęku, był nawet z siebie dumny - póki nie poczuł bólu.

- Złamię mi pani rękę! - krzyknął, kiedy bez pardonowo wykręciła mu ją do tyłu, by go zakuć w kajdanki.

Zebrało się wokół nich kilka osób, niektórzy żądni sensacji, inni prawdopodobnie mając nadzieję, że ją przyłapią na brutalnym obchodzeniu się z zatrzymanym. Mallory, która nigdy nie lubiła sprawać przyjemności gapiom, postanowiła nie połamać małemu mężczyźnie kości.

- Dziękujemy - powiedziała kobieta ubrana po cywilnemu, uklękławszy obok niej. Dołączył do nich mężczyzna. Mignął Mallory swoim identyfikatorem i odznaką, kucając nad zatrzymanym. - Zajmiemy się nim.

Zobaczyła, że za tą dwójką nadciągają następni, przynajmniej dziesięciu gliniarzy w cywilu, biegnąc, przypinali identyfikatory do płaszczy. Odwróciła się i ujrzała kolejnych, zbliżających się z drugiej strony placu.

A więc urządzili zasadzkę. To tłumaczyło brak mundurowych. Wszyscy wiedzieli, co zamierzał zrobić mały dziwak. Prawdopodobnie go obserwowali, kiedy strzelił z pistoletu natryskowego do starszego pana - i mu w tym nie przeszkadzili. Usiłowanie napaści to nie to samo co jej dokonanie.

Oddaliła się od grupki gapiów i gliniarzy w cywilnych ubraniach. Pan Halpern stał z dala od zbiegowiska. Twarz miał zbryzganą czarną farbą, która kapiała również z płaszcza na chodnik. Mallory ujęła starszego pana pod ramię i poprowadziła go ulicą. Widziała w każdym przechodniu potencjalnego przestępcę, który mógł go zaatakować, więc trzymała pana Halperna mocno.

Niewielki gabinet znajdował się na końcu korytarza, z daleka od kręcących się pracowników firmy noszącej nazwisko Halperna. Ściany ozdobiono rysunkami Paula Klee i Maksa Ernsta. Na biurku nie leżały żadne dokumenty, a krzyżówka w „Timesie” była już

rozwiązana i wyrzucona do kosza na śmieci.

- Przepraszam za to, co się wydarzyło. - Mallory postawiła na biurku pana Halperna filiżankę herbaty.

Na twarzy miał wciąż czerwone placki: ślady po szorowaniu płam czarnej farby. Najbardziej ucierpiał płaszcz, na jasnoszarym garniturze widać było tylko kilka kleksów. - Przepraszam - powtórzyła jeszcze raz, wiedząc, że za coś takiego nie sposób przeprosić. Nie mogła zapomnieć wyrazu oczu pana Halperna, kiedy wypalił pistolet natryskowy. Powinna była zadbać o bezpieczeństwo starszego pana.

Jeszcze jedna wpadka.

Wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoni.

- To nie pani wina.

Miał zimną, suchą skórę, jego szczupła ręka przypominała w dotyku pergamin. Mallory się zastanawiała, ile czasu zostało mu na rysowanie.

Na korytarzu syn pana Halperna rozmawiał z umundurowanym.

- Pani sierżant Mallory, proszę mi powiedzieć, o co chodziło temu małemu człowieczkowi z pistoletem do farby - prosił starszy pan Halpern. - Czy to moja futrzana czapka go zdenerwowała? Kilka miesięcy temu opluł mnie obrońca praw zwierząt.

- Nie, to był jeden z wrogów palenia. - Mallory wyobraziła sobie tytuł w jutrzejszej gazecie: **POLICJANTKA, KTÓRA STRZELAŁA DO PIESKA, ZAATAKOWAŁA AKTYWISTĘ RUCHU PRZECIWNIKÓW PALENIA.** - Pański papieros wyprowadził go z równowagi. Jego ojciec zmarł na zawał, syn upatruje przyczynę choroby w biernym paleniu.

- Ale na dworze?

- Ten świrus zawsze działa na ulicy. Łatwiej zbiec z miejsca wydarzenia. Oblał farbą wiele osób, głównie kobiety. Nigdy nie

zaatakował nikogo wystarczająco rosnącego, by oberwać pięścią w nos. Sierżant Rodrigues powiedział, że musiał się pan w złym momencie odwrócić. Zazwyczaj oblewa swoje ofiary farbą z tyłu. Potem wygłasza mówkę na temat palenia i ucieka, zanim się ludzie zorientują, że zostali pobrudzeni.

- Więc inni gliniarze wiedzieli, kim jest, kiedy...

- Times Square to jego ulubione miejsce - potwierdziła podejrzenia starszego pana. - Tym razem policjanci na niego czekali.

Piętnastu gliniarzy przydzielono do schwytania jednego chuligana. Nie daj Boże, jeszcze polałby farbą jakiegoś przyjeźdnego i pokrzyżowałby szyki burmistrzowi promującemu turystykę. W tym samym czasie ona musiała uciekać się do oszustw i forteli, żeby komuś zlecono rozpracowanie sprawy zabójstwa.

Odwróciła się, żeby rzucić okiem na policjanta czekającego na korytarzu.

- Kiedy będzie pan gotów, ten gliniarz odwiezie pana do domu w Scarsdale.

- Nie, pani sierżant Mallory. Dziękuję, ale nic mi nie jest. Mój syn nie zrozumiałby, gdybym...

- Zrozumie po rozmowie ze mną. - Czy staruszek lekko napiął mięśnie twarzy? Łagodniejszym, dodającym otuchy tonem powiedziała: - Człowiek po każdej napaści jest lekko roztrzęsiony, nawet jeśli to tylko pyskówka na ulicy. Wy tłumaczę wszystko pańskiemu synowi. Zrozumie.

- Czy zostało jeszcze trochę czasu, żebym mógł dokończyć swoją opowieść? Chcę przedstawić pani moją teorię na temat tego, jak Louisa i Malakhai uciekli.

- Naturalnie. - Już zrezygnowała z punktualnego przybycia na aukcję. Jak do tej pory, ten dzień nie był zbyt owocny.

- Powiedziałem pani, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem Malakhaia, koszulę miał zapiętą pod samą szyję i opuszczone rękawy. Myślę, że pod ubraniem ukrywał...

- Niemiecki mundur?

- Tak, tak. - Uśmiechnął się i uderzył dłonią w biurko. - Malakhai miał pod cywilnym ubraniem mundur. - Pan Halpern wyglądał na zadowolonego z Mallory, jakby była obiecującą studentką. A może cieszył się z tego, że uważnie go słucha. To z pewnością niecodzienna rzecz w tym gabinecie, w tym ładnie urządzonej areszcie domowym. - To najpewniejszy sposób wyprowadzenia w pole żołnierzy sprawdzających wagony i trącających worki lufami karabinów - dodał. - Malakhai musiał być żołnierzem, który przeszukiwał wagon pocztowy przed odjazdem pociągu.

- Dobry pomysł - przyznała Mallory. - A więc przypuszcza pan, że Malakhai służył w niemieckiej armii?

- Och, nie. To na pewno było przebranie. Tamtego dnia wypowiedział do mnie tylko kilka słów. Miał dziecięcą łatwość chwytania obcego języka, ale mówił z cudzoziemskim akcentem. Urodziłem się w Niemczech. Zaręczam pani, że on nie. - Nachylił się do niej, jakby byli spiskowcami. - Uważam, że wiedział, co się stanie, kiedy pociąg się zatrzyma, by wyładować pocztę.

Mallory skinęła głową.

- Prawdopodobnie już wcześniej zapoznał się dokładnie z całą trasą.

- A więc pociąg się zatrzymał. Otwarto drzwi wagonu, żeby odebrać pocztę. Stał w nich Malakhai w niemieckim mundurze. Był żołnierzem, który wyładował worek pocztowy z Louisą w środku. Jak powiedziałem, słabo mówił po niemiecku. A jednak ten młody chłopak niósł w ramionach odbitą więźniarkę, otoczony przez niemieckich żołnierzy. To zawsze stanowiło dla mnie wielką zagadkę.

Prawdziwie romantyczna historia.

Pan Halpern wyprostował się na krześle i zmarszczył czoło.

- Ale nigdy się nie dowiem, czy dobrze to sobie wykombinowałem.

- Nie zapytał go pan? Tamtego wieczoru w domu rabina Kaplana...

- Malakhai nie pamięta, jak uratował Louise z obozu. Powiedział, że zbyt długo zwlekałem z zadaniem pytania. Miał kilka udarów mózgu. Choć niegroźne, upośledziły mu pamięć. Trwa to od mniej więcej roku. Powiedział, że ciągle coś zapomina. Każdego ranka fragmenty życiorysu ulatują mu z pamięci. Więc nigdy się nie dowiem, jak wykonał swoją najlepszą sztuczkę. Czy dobrze ją rozgryzłem, czy też nie.

- Moim zdaniem, to całkiem prawdopodobne. - Mallory odwróciła się do drzwi, gdzie czekał umundurowany policjant, by odwieźć pana Halperna do domu.

- Czy będę musiał złożyć zeznania przeciwko temu mężczyźnie z pistoletem natryskowym?

- Nie sądzę - powiedziała. - Policjanci, którzy go aresztowali, mają i bez tego wystarczająco dużo skarg, by przyskrzynieć tego świra. Jest nienormalny.

- Tak się teraz pani wydaje, pani sierżant. Ale wszystko się zmienia, i to bardzo szybko. Za kilka lat, kiedy wspomni pani to wydarzenie, będzie mnie pani pamiętała jako przestępcę, który palił papierosa. - Uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni. - To nie pani wina. Świat się zmienia.

Skinęła na policjanta, żeby wszedł.

- Odwiezie pana teraz do domu. Może powinien pan już tam pozostać? Zająć się rysowaniem i zapomnieć o tym miejscu. Zresztą i tak nie chce pan tu być.

- Ach, ale mój syn. - Jego bezradny uśmiech przypominał jej, że istnieją oszustwa popełniane z miłości, do których ludzie nigdy się nie przyznają. Pan Halpern będzie tu codziennie wracał, by zajmować się jakimiś nieistotnymi sprawami. Ojciec i syn będą dalej udawali, że jest tu potrzebny.

Do gabinetu staruszka wszedł młodszy pan Halpern.

- Wszystko się zmienia - powiedziała Mallory.

ROZDZIAŁ 10

Sierżant Riker oparł głowę na oparciu fotela obitego pluszem. Gapił się na żyrandol. Miliony ostrych, kryształowych sopli zwisało z wielkiej świetlistej kuli. Odnosił nieprzeparte wrażenie, że w każdej chwili żyrandol może na niego runąć.

Lęk przed spadającymi przedmiotami był powszechny w rejonie Manhattanu, gdzie przechodnie często byli ofiarami rdzewiejących gargulców i wykruszających się gzymsów. Życie w tym mieście, przypominające loterię, ukształtowało charakter nowojorczyków, którzy liczyli tylko trafienia, z lekceważeniem odnosząc się do strzałów prawie celnych i rykoszetów.

Ten żyrandol był zbyt okazały jak na teatr na zaledwie trzysta miejsc. Określenie, którego Riker szukał, brzmiało „pseudoeleganci”. Chociaż jeśli wierzyć informacji dla prasy, przygotowanej przez Nicka Prado, była to dokładna kopia oryginalnego żyrandola z teatryku Faustine.

Oliver Tree wydał fortunę, by odtworzyć teatr swej babki. Chociaż do otwarcia zostały trzy dni, nie ukończono jeszcze prac budowlanych. W powietrzu unosił się zapach świeżego tynku i farby.

Riker spojrzał na zegarek.

Gdzie ona się podziewa?

Jeśli Mallory się wkrótce nie pojawi, ominie ją główna atrakcja - licytowanie podium.

Spojrzał na scenę, gdzie kobiety i mężczyźni oglądali rekwizyty umieszczone na długich stołach. Podczas przerwy aukcjoner opuścił swoje miejsce na podium. Człowiek z Hollywoodu miał zaproponować najwyższą cenę i wtedy dowód rzeczowy Mallory znajdzie się w drodze na Zachodnie Wybrzeże. Riker był ciekaw, czy aukcjoner się denerwował, stojąc na miejscu Olivera Tree i patrząc na kusze.

Nick Prado wylewnie pomachał Rikerowi, schodząc po kilku stopniach z podwyższenia. Przez ostatnią godzinę emanował zawodowym czarem i ciepłem, grając rolę drogiego i bliskiego przyjaciela. Ale Riker wolał trzymać się z daleka od tego podejrzanego znajomego. Nie podobał mu się szeroki uśmiech Prado, mówiący każdemu napotkanemu: „Kochaj mnie. Zresztą czy można mnie nie kochać?”.

Teraz mężczyzna szedł w jego stronę, krocząc dumnie jak paw po długim zielonym chodniku. Zielone były również obicia foteli teatralnych, ściany i łoże, a także długie kotary po bokach sceny, przewiązane złotymi sznurami.

Prado przykucnął obok fotela Rikera.

- No i co pan o tym sądzi?

- A więc tak wygląda awokado w środku.

- Za wystrój może pan mieć pretensje do babki Olivera. Chociaż ta zieleń to kolor amerykańskich banknotów. Faustine kochała turystów. Dlatego jej teatr nosił angielską nazwę. Nie była pewna, czy Amerykanie są wystarczająco bystrzy, by zrozumieć, co znaczy Théâtre de Magie.

Emile St John stał na skraju sceny i przywoływał swojego przyjaciela. Prado przeprosił i wrócił pomiędzy uczestników aukcji.

Kiedy Riker opanował lęk przed żyrandolem, zaczął podziwiać

fresk na suficie przedstawiający bohaterów znanych sztuk. W informacji wręczonej mu przez Prado nie podano, w jakich rolach uwieczniono aktorów, a jedyną postacią, którą Riker potrafił zidentyfikować, był długonosy Cyrano de Bergerac. Było to oczywiście odstępstwo od oryginalnego malowidła powstałego około 1900 roku. Ale czy miał to być żart, czy też hołd? Najwidoczniej upłynęły dziesięciolecia od spotkania starszego pana i młodego mężczyzny, bo jako Cyrano występował nastoletni Charles Butler.

Riker wstał ze swojego miejsca i odwrócił się w stronę drzwi do foyer.

Gdzież ona jest?

Wprawdzie Mallory nosiła zegarek z dewizką, ale Riker wiedział, że spogląda na niego tylko dla zachowania pozorów, był to rekwizyt mający świadczyć, że jest zwykłym człowiekiem. W gruncie rzeczy kierowała się wewnętrznym zegarem, połączonym bezpośrednio z jej mózgiem, i nigdy, przenigdy się nie spóźniała.

Ruszył środkowym przejściem i wszedł po schodach prowadzących na scenę. Gdy minął ciężką zieloną kotarę, znów zadarł głowę.

Oho, tu mogło na niego spaść więcej przedmiotów.

Pustka nad sceną ciągnęła się w górę jeszcze siedem metrów ponad lambrekinem. Przez całą jej długość biegł wąski pomost. To rusztowanie z desek było chybottliwe, kołysało się wysoko w powietrzu. Jakiś robotnik stał w jego połowie, sprawdzając liny podtrzymujące masywne ekrany, wiszące tuż nad głową Rikera.

Riker skierował wzrok w stronę stołów i doliczył się z grubsza trzydziestu uczestników licytacji, którzy oglądali pozostałe eksponaty wystawione na aukcji. Mała grupka skupiła się wokół podstawy podium, a samotny iluzjonista stał za podwyższeniem dla aukcjone-ra. Franny Futura stanowił nowy cel dla kusz.

Drugi raz tego popołudnia Riker przystanął obok każdego postumentu i sprawdził magazynki, żeby się upewnić, że nie ma w nich strzał. Mimo to był podenerwowany, widząc starszego pana stojącego na przecięciu linii strzałów czterech kusz.

Siwowłosy iluzjonista zbliżył się do skraju podwyższenia i odszukał wzrokiem Nicka Prado, znajdującego się na scenie poniżej. Futura skinął na niego ręką.

- Nick, chodź no tutaj. Chodź i spójrz na to.

Prado pokręcił głową i odwrócił się.

- Wciąż cierpisz na lęk wysokości? - zapytał Futura wielce uradowany, jakby zdobył punkt. - To tylko trzy metry. Nie tak dużo... - Urwał, kiedy Prado zeszytniał, a potem wolno się odwrócił w stronę podium.

- Franny, przypominam ci, że mieszkam w apartamencie na ostatnim piętrze wieżowca.

Riker policzył Prado dwa punkty. Trudno pogodzić lęk wysokości z mieszkaniem pod niebem. A Futury nie było stać na tak luksusowy apartament jak Nicka, przynajmniej sądząc na podstawie informacji o zdolności kredytowej obu mężczyzn, uzyskanych przez Rikera. Futura przybrał skromną minę człowieka nieśmiałego, biedaka, zwykłego zjadacza chleba. Trochę niepewnie cofnął się od skraju podium. Może po raz pierwszy widział kusze i ogarnął go lęk. Ostrożnie zszedł po schodkach.

Prado z uśmiechem gapił się na drzwi do foyer.

Riker obejrzał się przez ramię i ujrzał swoją partnerkę. Szła przez widownię. Wzrok Mallory padł na żyrandol i malowidło na suficie, potem przesunął się na zielone ściany i łoże. Miała taką minę, jakby... Już kiedyś to widziała? Czy była tu wcześniej? Nie, to coś innego, bo najwyraźniej zaskoczyło ją to, co ujrzała.

Kiedy wchodziła po stopniach na scenę, Riker ostentacyjnie spojrział na zegarek, korzystając z rzadkiej okazji, by wytknąć Mallory

niepunktualność: spóźniła się o całe czterdzieści minut. Może już nigdy więcej nie trafi mu się taka gratka.

Ale teraz znajomy olbrzym w trzyczęściowym garniturze biegł przejściem w kierunku sceny i Mallory zawołała do niego:

- Spóźniłeś się, Charles!

Riker przestał patrzeć na zegarek.

- Przepraszam. - Charles Butler przystanął obok pierwszego rzędu foteli, by złapać oddech. - Zszedłem do piwnicy i straciłem rachubę czasu. Pomyślałem sobie, że jeszcze raz rzucę okiem na słupki. Wiesz, widać pęknięcie...

- A więc teraz mi wierzysz. - Mallory odwróciła się od niego. - Riker, kto zgłosił chęć nabycia podium?

- Jeszcze nikt. Aukcjoner ogłosił przerwę.

Charles gapił się na sufit. Rozpoznał siebie w podobiznie Cyrana. Jednakże dzielnie się uśmiechał, idąc w kierunku Mallory.

- Chcesz, żebym zajął teraz do środka podium?

- Nie możesz. Wszystko jest zaplombowane. - Riker wskazał strażnika stojącego obok schodków. - Drzwi pozostaną zamknięte, dopóki prawnik nie poczuje pieniędzy w swoich tłustych rączkach. Rozmawiałem z producentem filmowym. Z całą pewnością zaproponuje wysoką cenę. Po aukcji pozwoli nam zająć do środka, nim wyeksponuje podium na Zachodnie Wybrzeże.

- To mnie nie zadowala - oznajmiła Mallory. - To podium nigdzie nie pojedzie, póki go nie...

- Chwileczkę. - Riker zrobił minę człowieka próbującego przemówić jej do rozsądku. - Nie możesz go skonfiskować, nie masz też nakazu rewizji. Nawet nie wszczęto śledztwa w sprawie zabójstwa. Nowy właściciel może wysłać podium nawet na Księżyc, jeśli przyjdzie mu ochota.

Uwagę Charlesa przykuł stół z rekwizytami. Przeczytał jedną z przywieszek, a potem wziął do ręki okrągły srebrny przedmiot, który Riker uznał za paterę z pokrywką.

- To ma ponad sto lat.

Mallory podeszła do innego stołu, uznając broń za bardziej interesującą. Czytała wszystkie przywieszki, idąc wzdłuż stołu.

Zamierza coś kupić?

Jakby mało miała broni. Ale ta nie powinna wzbudzić w niej emocji. Cóż to za pistolet, z którego nie można strzelać pociskami? Riker już je wszystkie porównał z listą obiektów wystawionych na aukcję i przeczytał metki, na których opisano poszczególne egzemplarze. Z luf starych muszkietów wylatywał tylko dym. Z jednego lugera można było strzelać sznurkami i rzutkami, a kilka rewolwerów wyglądało równie groźne jak te, które nosiła Mallory, ale były to tylko pistolety startowe, robiące dużo hałasu.

Franny Futura stał u podnóża schodków na podium, kiedy Mallory zasła go od tyłu.

- Wczoraj wieczorem byłam na obiedzie z Malakhaiem - powiedziała. - Wiem, co się wydarzyło w teatrze Faustine.

Futura odwrócił się do niej, nerwowo zaciskając i rozprostowując ręce. - Nie...

- W porządku, Franny. - Nick Prado pojawił się u podnóża schodków i uśmiechnął się do Mallory. - Emile i ja dziś rano jedliśmy śniadanie z Malakhaiem. Zastanawia mnie, dlaczego nie wspomniał o tej rozmowie.

- No cóż, nie ma już takiej pamięci jak kiedyś. - Tonem głosu Mallory wyraźnie chciała coś dać do zrozumienia, ale Riker nie miał pojęcia co. Była wyraźnie rozczarowana reakcją Nicka, kiedy ten tylko wzruszył ramionami.

Gdy podeszła bliżej do Futury, iluzjonista odsunął głowę, zabawnie wyciągając chudą szyję, ale nogi jakby mu wrosły w ziemię.

- Malakhai mi nie powiedział, jak pozbył się pan zwłok - powiedziała Mallory. - Co pan z nimi zrobił?

Rikerowi zrobiło się żal iluzjonisty, którego Mallory wzięła sobie na cel, ale wiedział, że partnerka do czegoś zmierza. Futura otworzył usta, ze zdumienia odjęło mu mowę.

Odpowiedział za niego Nick Prado.

- Pochowaliśmy ją w piwnicy.

Futura skinął głową, uśmiechając się blade.

- Co wcale nie znaczy, że zabiliśmy starszą panią.

Teraz Mallory okazała zdumienie.

- Starszą panią?

Prado błysnął w uśmiechu wszystkimi zębami.

- Babkę Olivera, Faustine. Mogę panią zapewnić, że umarła śmiercią naturalną.

- I dlatego ukryliście zwłoki w piwnicy? - Mallory machnęła ręką w powietrzu. - Ależ naturalnie.

- Nie dopełniliśmy obowiązku poinformowania władz o jej śmierci. - Prado mówił obojętnym tonem, jakby potajemne grzebanie zwłok stanowiło dla niego chleb powszedni. - Potrzebne nam były pieniądze z jej emerytury na opłacanie czynszu za wynajem teatru. Była babką Olivera. Skoro on nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, dlaczego pani to przeszkadza?

- Dobra, nie obchodzi mnie, co zrobiliście ze starszą panią. Porozmawiajmy o Louisie. - Zwracała się wyłącznie do Futury, mężczyzna odzyskał teraz władzę w nogach i się cofnął. Mallory przysunęła się do niego o krok. - Założę się, że pan był kapusiem, tym który ją wydał.

Riker pokręcił głową. Ten blef był aż nadto oczywisty, zupełnie niepodobny do Mallory.

- Nie postawiłbym na to złamanego centa. - Nick Prado wkroczył między Mallory a Futurę. Uśmiechał się beztrudnie i przyjaźnie. - Szanse są wyrównane. Przynajmniej połowa paryżan kolaborowała z Niemcami.

Riker powstrzymał uśmiech. Nick Prado właśnie potwierdził sytuację Louisy Malakhai podczas wojny. Mallory słusznie oceniła tego skończonego egoistę. Nigdy nie przepuści okazji, by zdobyć przewagę.

- Zgadza się - przytaknęła. - Ale Niemcy jej nie zabili.

- Mallory wciąż patrzyła na Futurę, a przynajmniej starała się na niego patrzeć ponad ramieniem Prado.

Nagle Futura się wyprostował i uniół głowę, poczuwszy się pewniej, kiedy dołączył do nich jeszcze jeden człowiek. Potężny, opanowany Emile St John położył swoją wielką dłoń na wątym ramieniu Futury, przyjmując rolę obrońcy.

Riker poczuł dziwną sympatię do St Johna, który wytwarzał wokół siebie atmosferę spokoju. Ulegali jej wszyscy, którzy się znaleźli w jego towarzystwie - z wyjątkiem Mallory.

Naturalnie. St John był pod tym względem podobny do jej zmarłego przybranego ojca. Czy Mallory też to zauważyła?

- Louisa zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku - oświadczył St John. - To nie był...

- Ma pan na myśli sztuczkę z magiczną kulą? - Mallory przesunęła się i teraz znów mogła wyraźnie widzieć Futurę. - Numer z pistoletem, przerobiony na kuszę? Nie, to nie strzała zabiła Louise.

Futura lekko się zachwiał, nie przechylił głowy, jak to zwykle robił, udając spłoszonego ptaka, tylko cały wychylił się w jedną stronę. Nawet St John dał się zaskoczyć. Ale nie Prado, z jego twarzy ani na chwilę nie zniknął uśmiech.

Mallory okrążyła Nicka, by znaleźć się obok Futury.

- Czy Louisa wiedziała, że zostanie naprawdę postrzelona? Czy wiedziała, że Malakhai posłużył się załadowaną kuszą?

Futura odebrał to jako fizyczną napaść. Potrząsnął głową, nie wiadomo, czy w wyniku potrącenia, czy zaprzeczając.

- Jeśli wiedziała, była wspaniałą aktorką. - Spojrzał na St Johna. - Pamiętasz wyraz jej twarzy, Emile? Louisa była kompletnie zaskoczona.

Riker doszedł do wniosku, że to zły moment, by przypomnieć Mallory, iż zabroniono jej prowadzić przesłuchania. Przenikliwy pisk, wywołany sprzężeniem aparatury nagłaśniającej, skierował jego uwagę na mniejsze podwyższenie podium.

Adwokat Olivera Tree stał obok mikrofonu na miejscu dla aukcjонера.

- Czy mogę prosić państwa o uwagę? - W jego łysinie odbijały się reflektory wiszące pod sufitem. Chociaż musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt kilogramów, nikt nie nazwałby go grubasem; pieniądze potrafiły działać cuda. Metry ciemnego materiału elegancko spowijały jego potężną postać, garnitur pochodził z pracowni samego wielkiego Armaniego. - Za kilka minut skończy się przerwa. Proszę wszystkich o zajęcie miejsc.

Mallory podeszła do podnóża schodków na podwyższenie i pokazała złotą odznakę.

- Najpierw chciałabym obejrzeć wnętrze tego podium. Czy jest pan wykonawcą testamentu? Atkins?

- Ta-a-ak. - Tylko ktoś, kto mieszka przy Park Avenue, potrafi zawrzeć tyle sylab w trzyliterowym wyrazie. A z postawy prawnika jasno wynikało, że Mallory powinna się do niego zwracać „panie Atkins”. Zszedł po schodkach. Na nogach miał lakierki, małeńkie

stopy wyglądały karykaturalnie w zestawieniu z masywną sylwetką. Machnięciem białej dłoni, na której palcach połyskiwały pierścienie, zignorował identyfikator Mallory, pilnując się, żeby nie spojrzeć jej w oczy. Zwrócił się do powietrza nad jej głową: - Wiem, kim pani jest. To pani strzelała do balonu. Już rozmawiałem z drugim policjantem, nazwiskiem Riker, jeśli się nie mylę.

Ton prawnika nie pozostawiał wątpliwości - Riker stał się w jego ustach substytutem słowa „hołota”.

Atkins pogroził Mallory jednym palcem, jakby upominał dziecko.

- Nikomu poza nabywcą nie wolno oglądać wnętrza podium.

- Interesuje się nim policja - odparła Mallory, zastępując tym słowa: „Ty kutasie”.

- Ma pani nakaz? Nie? Tak myślałem. - Prawnik odwrócił się i niczym wielki ciemny statek opuszczający port majestatycznie przepłynął przez scenę.

- Atkins! - zawołała za nim. - To podium ma związek z zabójstwem.

Teraz skupiła na sobie uwagę wszystkich obecnych. Trzydzieści głów zwróciło się w jej stronę.

Prawnik się odwrócił. Na jego twarzy malował się uśmiech.

- Ale nie ma nakazu? - Pożegłował z powrotem przez scenę i zacumował obok Mallory, tym razem łaskawie rącząc na nią spojrzeć. - Jednakże jestem pewien, że ta uwaga wpłynie na znaczny wzrost ceny. Chce pani urządzić przedstawienie? Proszę bardzo. Może pani wygłosić tyradę na temat morderstwa, a ja dam pani małą prowizję.

- Wygląda mi to na próbę przekupstwa, panie mecenasie.

Atkins prychnął i zasłonił usta dłonią. Na jego palcach połyskiwały wielkie kamienie czterech sygnetów.

- Powinna się pani lepiej postarać, pani sierżant. - Swoim tonem dawał do zrozumienia, że reprezentuje nieprzyzwoite bogactwo i władzę, więc Mallory będzie musiała o wiele bardziej się natrudzić.

Mallory wskazała na kusze.

- Ma pan pozwolenie na handel bronią? - Uśmiechnęła się. - Nie? W takim razie muszę przerwać aukcję.

Prawnik tylko uniósł jedną brew.

- Proszę nawet nie powtarzać tej groźby. Oliver Tree miał specjalne pozwolenie podpisane przez burmistrza. Jako wykonawca testamentu mam prawo posłużyć się tym pozwoleniem, aby sprzedać ruchomości zmarłego.

Riker pomyślał, że zabrzmiało to jak prawniczy blef, ale Mallory, wytrawna szulerka, najwyraźniej nie zamierzała go sprawdzić. Wydawała się pochłonięta wyłożoną na stole bronią - rekwizytami.

- Widziałam pozwolenie, Atkins. Wiem, że nie obejmuje ono sprzedaży broni palnej.

- To wszystko nieszkodliwe atrapy, jak pani dobrze wie.

- Może nie. Wiem, że bratanek Olivera Tree miał dostęp do tej kolekcji. Wśród rekwizytów może się znajdować narzędzie zbrodni. Jeśli nie może pan okazać pozwolenia...

- Oliver Tree zginął od strzał. Dziwne, że muszę przypominać o tym fakcie funkcjonariuszowi policji.

- Nie chodzi o to śledztwo, Atkins. - Mówiła tak cicho, że Riker musiał wyciągnąć szyję, by ją słyszeć. - Mam martwego handlarza narkotyków w East Village.

Co? Prawdę mówiąc, dawniej było to bezpieczne kłamstwo. Zawsze znalazł się jakiś martwy handlarz narkotyków gdzieś w centrum miasta. Ale teraz, kiedy gangi handlarzy narkotyków z Dominikany

definitywnie skończyły z zabijaniem członków amerykańskich gangów, będzie miała dużo szczęścia, jeśli natrafi na świeżego trupa.

- Bratanek pana Tree jest również pańskim klientem, Atkins. Wiem, że zapłacił pan za niego kaucję, kiedy ostatnim razem aresztowano go za narkotyki. - Mówiła teraz wystarczająco głośno, by wszyscy mogli ją słyszeć. - Kiedy gliniarz chce zobaczyć pozwolenie na handel bronią, nie dyskutuje się z nim. Czy są jeszcze jakieś inne proste zasady, które muszę wyjaśnić, zanim zamknę tę aukcję?

Riker się uśmiechnął. Wiedział, że bogaty producent filmowy, siedzący na tej sali, wraca do Hollywood rannym samolotem. Prowizja Atkinsa będzie mniejsza, jeśli aukcja zostanie opóźniona. Mallory trafiła prosto w portfel prawnika, co było równoznaczne z ciosem w pachwinę normalnego człowieka.

- Może przeczytamy opisy eksponatów, dobrze? - Prawnik wziął ze stołu rewolwer i zaczął nim niedbale wymachiwać. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie miał broni w ręku, a może miał, bo skierował lufę prosto w twarz Mallory, sprawdzając metkę. - To wszystko niegroźne atrapy. Proszę spojrzeć. - Pokazał na przywieszkę. - Z lufy tego wydobywa się tylko dym. Nie jest w najmniejszym stopniu niebezpieczny.

- On ma rację, Mallory. - Nick Prado spoglądał nad ramieniem prawnika. - Jest tylko dużo dymu i huku, ale nawet nie można go załadować pociskami. Mechanizm biegnie przez lufę i...

Urwał gwałtownie, kiedy spotkały się spojrzenia jego i Mallory. W tej chwili zawarli osobliwy sojusz. Odebrawszy jej sygnał, Prado cofnął się i złośliwie uśmiechnął do prawnika.

Mallory spojrzała na inny rewolwer leżący na stole i pochyliła się nisko, by bliżej mu się przyjrzeć. Na metce był opisany jako pistolet startowy.

- Ten wygląda mi na prawdziwy, ale jestem tylko gliniarzem. Co mogę wiedzieć? Chyba zwyczajnie wstrzymam aukcję do czasu użycia decyzji z biura prokuratora okręgowego. Nie powinno to potrwać dłużej niż kilka dni. - Po chwili dodała: - Chyba że wolno mi będzie zajrzeć do wnętrza podium.

- Ten numer nie przejdzie, pani sierżant. - Prawnik przestał się protekcyjnie uśmiechać. - Proszę się rozejrzeć wkoło. Mam salę pełną iluzjonistów, ekspertów. Mogą zaświadczyć, że to wszystko atrapy. Wystarczy spojrzeć na te cholerne metki. - W tonie głosu mężczyzny można było usłyszeć groźbę, kiedy dodał trochę ciszej: - Ale ma pani rację, jeśli chodzi o bratanka Olivera. Chłopak jest moim klientem. - Zaatakował ją, być może przekonany, że Mallory się cofnie. Nie zrobiła tego. I teraz znalazł się w niezręcznej sytuacji, zmuszony zrobić krok do tyłu i oddać pole Mallory.

Westchnął i obrzucił ją pełnym politowania spojrzeniem.

- Wszyscy wiedzą, co zrobiła pani biednemu Richardowi: przewróciła go pani na chodnik bez cienia szacunku dla jego osoby. - Westchnął. - Cóż, sądzę, że chłopak może zaskarżyć policję o nieuzasadnione aresztowanie i brutalne traktowanie. Kiedy prokurator okręgowy stwierdzi, jak łatwo można było uniknąć tego procesu, straci pani pracę, prawda, pani sierżant?

Otoczył ich tłum uczestników aukcji. Zachowywali się niczym widzowie ulicznej bójki.

- Wygląda mi to na groźbę - powiedziała Mallory. - I to w obecności świadków.

- Och, niech pani stąd zmiata, pani sierżant, zanim znów stanie się pani pośmiewiskiem. Proszę sobie iść postrzelać do kolejnego balonu. - Prawnik odwrócił się do zebranych, szukając u nich poparcia, ale ujrzał dezaprobatę na ich twarzach. Najwyraźniej stali po stronie Mallory, być może w błędnym przekonaniu, że jest w tym

pojedyńku słabszym przeciwnikiem.

- Jest szybszy sposób sprawdzenia broni. - Wzięła rewolwer z jednego ze stołów i sięgnęła po talię kart, wyłożoną na innym.

Riker stał za plecami Atkinsa, kręcąc głową i bezgłośnie mówiąc „nie”. Odwróciła się od niego. Szybko obszedł prawnika i wyciągnął do niej rękę.

Za późno.

Rzuciła karty wysoko w powietrze i wypaliła do nich, kiedy spadały. Rozległ się huk wystrzału.

Adwokat poblądł na twarzy. W swoim abstrakcyjnym świecie ksiązek prawniczych i umów nie miał do czynienia ze strzałami z broni palnej.

Mallory pochyliła się i podniosła jedną kartę z podłogi. Odwróciła się do prawnika i spojrzała na niego przez okrągłą dziurę w samym jej środku.

- Prawdziwa kula.

I w tej trudnej chwili, kiedy facet z wrażenia - a raczej z przerażenia - otworzył usta, rozkazała ostrym tonem:

- Proszę mi pokazać cholerne dokumenty dotyczące broni! Chcę zobaczyć pańskie pozwolenie! Chcę...

Jej głos zagłuszyły głośnie oklaski i gwizdy uczestników aukcji. Zgotowali jej owację jako zwycięzcy. Ale Riker zauważył, że prawnik opanował się i teraz nienawistnie spoglądał na Mallory.

- Może oboje zapomnimy o papierkach? - Uśmiechnął się niezszczerze. - Proszę bez skępowania obejrzeć sobie wnętrze podium. Miejmy to już za sobą. - Przeszedł przez tłum obserwatorów. - Proszę państwa o zajęcie miejsc i jeszcze kilka minut cierpliwości.

Większość obecnych wróciła na fotele w pierwszym rzędzie. Charles Butler został na scenie.

- Mogę przez chwilę przyjrzeć się tej broni? - zwrócił się do

Mallory lodowatym tonem, co było doprawdy zadziwiające. Nie czekając, aż odda mu rewolwer, Charles odebrał go jej, zyskując szacunek w oczach Rikera.

Już miała zaprotestować, kiedy Riker odciągnął ją na bok, wcale nie siląc się na delikatność.

- Mallory, czy ci zupełnie odbiło? - Był taki wściekły, że mocno ścisnął ją za ramię, nie dbając o to, że porobią jej się siniaki. - Jak mogłaś wystrzelić w takim miejscu? Gdyby kula odbiła się rykoszetem i...

- Zamierzasz naskarżyć na mnie porucznikowi Coffeyowi?

- Co? Posłuchaj no! Nie można...

- Nie można mi ufać, jeśli chodzi o broń? - Strąciła jego dłoń ze swojego ramienia. - Proszę, donieś o tym Coffeyowi. Powiedz mu wszystko o mojej małej sztuczce z kartami, wtedy mnie wyleje. Tego chcesz, prawda? Uważasz, że lepiej, jak stracę pracę, niż miałabym zostać zabita jako psychopatka. - Dotknęła jego piersi palcem zakończonym długim, pomalowanym na czerwono paznokciem. - Zgadza się?

Zadarł głowę do góry i spojrzał na robotnika na pomoście wysoko nad nimi. Słodki Jezu. Mężczyzna w kombinezonie znajdował się akurat na linii strzału. Riker kompletnie się załamał, kiedy Mallory spojrzała na mężczyznę i uśmiechnęła się. Nie wiedziała o tym niewinnym widzu, ale najwyraźniej uznała jego obecność za nieoczekiwaną premię.

Riker przesunął dłonią po swych siwiejących włosach. Miał ogromną ochotę czegoś się napić.

- Żeby chodziło tylko o ten balon. Ale najpierw zrobiłaś ten głupi kawał ze szczurem, a teraz...

- Nigdy nie marnuję kuli, Riker.

- Nie kłam, a przynajmniej nie okłamuj mnie. Czterech gliniarzy widziało, jak zastrzeliłaś tego szczura siedzącego na automacie do sprzedaży słodczy.

- Riker, skoro jestem taka głupia, jak to możliwe, że z taką łatwością rozgryzam was wszystkich, normalnych ludzi? Uważasz, że jestem wariatką lubiącą strzelać? Świetnie. Idź do Coffeya. I to zaraz. Biegnij do niego! - Patrzyła na niego, jakby był kimś obcym, a nie człowiekiem, który był świadkiem, jak dorastała. - Nie rozumiesz tego, Riker? Nie mogę ci ufać. Jak ci się to podoba? Razem pracujemy, a nie mogę ci ufać.

- Nie zasłużyłem sobie na to.

- Nie zajmujesz się razem ze mną tą sprawą. Kręcisz się w pobliżu, żeby mieć mnie na oku. I dobrze wiem dlaczego. Zaprowadzanie porządków w domu? Czyż nie tak to nazywacie, kiedy zginie świrnięty gliniarz? Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że kiedy się znajdę w trudnym położeniu, nie będę musiała liczyć na twoje wsparcie.

Odeszła od niego, kierując się w stronę podium, ale Charles Butler zagroził jej drogę. Stanął z wyciągniętą ręką. W końcu z ociąganiem położyła mu na dłoni uszkodzoną kartę.

Charles uniósł broń odebraną Mallory.

- To naprawdę atropa, Riker. Robi dużo huku, ale nie strzela kulami.

- Zrobiła dziurę w...

- To nie dziura od kuli. - Charles spojrzął na uszkodzoną kartę. - Ta dziura została zrobiona ostrzem metalu. Ścisłej mówiąc, ostrzem z nierdzewnej stali. Zawężmy to jeszcze bardziej, dobrze? - Przysunął kartę blisko do oczu, jakby odgadywał z niej dalsze informacje, i mówił sucho: - Niewątpliwie szpikulec do szaszłyków z szuflady w kuchni rabina Kapłana. - Odwrócił kartę. - A wzór na koszulce? Nie pasuje do kart leżących na podłodze.

Charles odwrócił się do Mallory i wskazał oskarżycielsko palcem jej kaszmirowy blezer, widoczny spod rozpiętego trencza.

- Miałaś na sobie ten blezer tego wieczoru, kiedy grałaś w pokera. I dlatego tak się akurat złożyło, że miałaś w kieszeni kartę, kartę z dziurą. Ukryłaś ją wtedy podczas gry.

Mallory ani odrobinę się nie spieszyła.

- No cóż, nieboszczka oszukiwała, prawda? Otwórz podium i sprawdź, co jest w środku, dobrze, Charles?

- Ale ukryć kartę? Mallory, jestem wstrząśnięty.

Podobnie jak Riker. Stał, trzymając obie ręce w kieszeni, żeby jego partnerka nie widziała, jak zaciska pięści.

Charles lekko dotknął w jednym miejscu drewnianej ścianki podium i otworzyły się drzwiczki prowadzące do środka. Zajrzał przez nie i pośpiesznie się cofnął, czując smród.

Ludzkie ramię wysunęło się powoli i uderzyło o podłogę z cichym stukiem, jaki powstaje, kiedy bezwładna kończyna upadnie na deskę. Rękaw był podwinięty do łokcia. Po chwili osunął się na ziemię tułów. W ozdobionym zakładkami plastronie eleganckiej wieczorowej koszuli tkwiła strzała, ale nie widać było krwi. To mógłby być trik iluzjonistyczny, gdyby nie aż nadto prawdziwa dziura w piersiach. Riker nigdy nie widział Kusznika bez cylindra. Marchewkowo-rude włosy chłopaka sterczały niesfornie we wszystkie strony. Biała twarz była wykrzywiona grymasem bólu i niedowierzania.

Uczestnicy aukcji zaczęli się zakradać na scenę, niemal na paluszkach zbliżyli się do platformy.

- To jest Richard, bratanek Olivera - powiedział Nick Prado. Twarz miał spokojną, głos opanowany.

Riker doszedł do wniosku, że Prado musi być oswojony z zapachem zwłok, skoro zachował spokój, podczas gdy reszta osób była wyraźnie wstrząśnięta i bliska mdłości. W wyniku pośmiertnego zwiotczenia mięśni doszło do opróżnienia zawartości jelit. Wcześniejszy brak najmniejszego śladu smrodu dobrze świadczył o

szczelności drzwi w podium.

Franny Futura wycofał się na skraj sceny. Jego rumiane policzki pobladły. Emile St John nie okazywał żadnych emocji i Riker był ciekaw, co jest w stanie poruszyć tego człowieka.

Mallory przyklękła obok zwłok i ich dotknęła. Bezwładne ciało nie stawiało oporu jej dłoni. Zesztywnienie pośmiertne minęło.

- Nie żyje od paru dni. - Uśmiechała się lekko, spoglądając na Rikera. - Teraz mam prawdziwą sprawę.

Jack Coffey rzucił okiem na leżący na biurku raport policji o śmierci Richarda Tree alias Kuznika.

- A więc kiedy otrzymamy wyniki sekcji zwłok?

- Jutro z samego rana - powiedział Riker. - Doktor Slope osobiście się tym zajął. A Heller przeprowadził szczegółowe badania na miejscu. Wygląda na to, że mała miała nosa.

Coffey odsunął raport Rikera na skraj biurka.

- Slope przeprowadzi pełną sekcję zwłok?

- Tak. Mallory miała naprawdę szczęście, że w ciele denata tkwiła strzała. To wystarczy, żeby skonfiskować podium. I mamy teraz w toku dochodzenie w sprawie zabójstwa. Cholernie dobra robota policyjna.

- Nigdy nie miałem zastrzeżeń do pracy Mallory - odparł Coffey.

- Niepokoi mnie jej stan psychiczny. Masz ją na oku?

Riker pokręcił głową.

- Nie, koniec z tym. Jest już dorosła.

- Ale niebezpieczna.

- Czyżby? - Riker zapalił papierosa, chociaż nie było popielniczki. - Może za bardzo się pan przejął swoimi wykładami, panie

poruczniku. Nawiasem mówiąc, nic a nic się nie przestraszyła. Choć warto było spróbować.

- Ale ty się wystraszyłeś, Riker. Wiesz, kim jest Mallory.

- Tak, moją partnerką i dobrym fachowcem. Nigdy nie widziałem równie utalentowanego gliniarza, może z wyjątkiem jej starszka. I wie pan co? Myślę, że będzie jeszcze lepsza od Markowitza. No cóż, starał się pan, jak mógł, ale nie udało się panu. - Wstał i zapiął płaszcz. - Koniec zabawy, panie poruczniku. Proszę mi oddać rewolwer Mallory. Dopilnuję, żeby go dostała. Teraz, kiedy przywrócono ją do pracy...

- Ma dosyć pukawek do zabawy. Musi się zadowolić swoją trzydziestką ósemką. Na jakiś czas zatrzymam jej spluwę. - Uśmiechnął się. - Powtórz Mallory, że czekam, aż wyciągną kulę z zestrzelonego nadmuchiwanego pieska, żebyśmy mogli ją porównać...

- Gówno prawda - przerwał mu Riker. - Nikt nie szuka tej kuli. Nie ma pan podstaw, żeby zatrzymać broń Mallory. Chce pan, żeby mała myślała, że jej pan nie ufa?

Coffey był niesamowity.

- Nigdy jej nie ufałem. Czy to dla niej nowina? A sprawa tego balonu wcale nie jest zamknięta. Jeszcze o niej usłyszymy. - Włączył pilotem mały telewizor stojący w kącie gabinetu. Odtworzył kilka razy z magnetowidu film przedstawiający Hendersona, jak spada z wierzchowca wystraszonego ogromnym balonem osuwającym się na ziemię. - Ta taśma to dowód rzeczowy Hendersona w procesie wytoczonym władzom miasta.

- W jakim znowu procesie? Idiota spadł z konia. Któż mógł wiedzieć, że taki z niego kiepski kawalerzysta?

- Utrzymuje, że koń by go nie zrzucił, gdyby Mallory nie stworzyła niebezpiecznej sytuacji stanowiącej zagrożenie dla życia. Riker, to proces o dziesięć milionów dolarów. Teraz wszystko zależy

od tego, czy Hendersonowi uda się udowodnić, że Mallory strzeliła do nadmuchiwanego psiaka.

- Chrzanię tę robotę. Postaram się o konia i adwokata - zapowiedział Riker.

- To jeszcze nie wszystko. Henderson utrzymuje, że świadomie zatrudniliśmy niebezpieczną psychopatkę. Użył nieco odmiennego określenia, ale do tego się to sprowadza. - Coffey cofnął taśmę i puścił ją od początku. - Lubię oglądać, jak ten drań spada na dupę. Złamał sobie kość ogonową.

- Mam nadzieję, że to bolesne jak cholera.

Coffey wyłączył telewizor.

- Mallory może prowadzić to dochodzenie, ale oficjalnie nadal jest zawieszona w obowiązkach. Może za tydzień czy dwa władzom miasta uda się doprowadzić do oddalenia powództwa. Jednak Mallory musi się nauczyć...

- Och, do diabła z tym balonem. Mallory oświadczyła, że nie użyła broni. Ja...

- No pewnie. Nie zrobiła tego. Powiedziałbym, że to był dobry żart, Riker. Ale wiem, że Mallory brak poczucia humoru. I nie zaprzeczyła, że użyła broni na posterunku policji, prawda? Głupi strzał, i do czego? Do cholernego szczura. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, krew mnie zalewa.

- Nie sądzę...

- Nie masz tu nic do gadania, Riker. Nikogo nie obchodzi, co sądzisz.

- Nieprawda. Ale przykro mi, że pan tak uważa, panie poruczniku. - Riker położył na brzegu biurka swoją metalową odznakę. - Proszę mi dać broń małej albo zostawię odznakę i więcej mnie pan nie zobaczy.

- Riker, nie bierz tego do siebie. Liczy się to, jak odebrano tę

sprawę. Martwię się, co sobie pomyśleli ci gliniarze, kiedy zastrzeliła...

- To wszystko duzi chłopcy. Każdy z nich stracił kiedyś ukochanego chomika. Jestem pewien, że jakoś przeboleją śmierć szczura. - Riker trącił swoją odznakę. - Poruczniku, nigdy nie blefuję. Taką mam niezłomną zasadę.

Kiedy zmęczony policjant pojawił się na schodach, niosąc papierową torbę zawierającą najcięższą spluwę Mallory, oficer dyżurny zawołał:

- Ej, Riker, masz chwilę czasu?

- Jasne.

Riker wolno podszedł do biurka i oparł jeden łokieć na brzegu wysokiego kontuaru. Biurko bardziej przypominało ambonę, co nawet dobrze pasowało do charakteru pracy sierżanta, od czasu do czasu udzielającego błogosławieństwa, ale o wiele częściej nakładającego pokutę na policjantów patrolujących miasto.

- O co chodzi, Harry?

Sierżant Harry Bell był krzepkim mężczyzną o czerwonym nosie. W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat pracy razem z Rikerem zdążyli posiwieć.

- Zobaczysz się ze swoją partnerką, zanim wróci z urlopu?

- Tak.

- Powiedz jej, że miała rację, jeśli chodzi o Oskara Wspaniałego, tego szczura. - Sierżant Bell przechylił się przez kontuar i wręczył mu garść banknotów: dziesiątek, piątek i jedynek. - To od czterech gliniarzy, po dysze od łepka. Jesteśmy kwita z Mallory.

- Co? - Riker gapił się na pieniądze, które trzymał w ręku. - Założyliście się o szczura?

- Riker, przecież mówiłem ci o szczurze. Kiedy...

- Nie, Harry. Powiedziałeś tylko, że go zastrzeliła.

- Oświadczyła, że szczur jest chory. O to się założyliśmy.

- Powiedz mi wszystko po kolei, Harry, bo Mallory już przestała się do mnie odzywać i czuję się bardzo samotny. Co to za historia z tym chorym szczurem?

- Widziałeś go. Najszybsza czworonożna bestia, prawda? - Harry Bell zrobił gwałtowny gest ręką, naśladując ruchy zwierzęcia. - Ale tamtego wieczoru Oskar chodził bardzo wolno, był łagodny jak baranek. Siedział na automacie ze słodyczami i obserwował, co się dzieje wkoło. Więc Pete Hong...

- Ten nowy?

- Tak. Jest jeszcze bardzo zielony. Pochodzi z przyjemnego, spokojnego miasteczka na północy stanu. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek widział szczura. Zaczął mu wymachiwać pałką przed samym nosem. Szczur nie zareagował. Pete podszedł bliżej, jakby zamierzał go pogłaskać. Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Mallory korzystając z tego, że jest starsza rangą, poleciła Pete'owi odsunąć się od szczura.

Mój mały dyplomata.

- Jak odebrał to twój chłopak, Harry?

- Niezbyt dobrze. Wtedy Mallory powiedziała, że szczur jest chory, i nawet nowicjusz powinien wiedzieć, że nie należy go dotykać. No więc to na chwilę ostudziło zapał Pete'a. Zrobiło mi się trochę żal chłopaka: pierwszy tydzień w robocie, a twoja partnerka sprawiła, że w obecności dwóch innych gliniarzy poczuł się jak skończony idiota.

- Więc musiałeś stanąć po jego stronie, prawda? - Riker pokiwał głową. Domyślał się, co było dalej.

- Jasne - przytaknął sierżant Bell. - Nie mogę pozwolić, żeby jeden z moich ludzi wyszedł na głupka w obecności pieprzonego pracownika dochodzeniówki, nie chciałem cię obrazić, Riker. Więc

choć przypuszczałem, że mała ma rację, powiedziałem, że szczur jest tylko przejezdny, obżarty, i dlatego taki ociężały. Stary Oskar od lat wykradał nam co lepsze kaski z drugiego śniadania i rzeczywiście był gruby. Więc dwóch pozostałych gliniarzy poparło moją teorię o przejezonym szczurze. - Oficer dyżurny wzruszył ramionami. - Potrafią odróżnić chorego szczura od zdrowego, ale...

- Ale ważniejsze jest okazanie poparcia swojemu człowiekowi - powiedział z uśmiechem Riker.

- Tak jest. A twoja partnerka na to: „O co zakład?”

- Mallory nie przepuści takiej okazji.

- O, tak. No więc się założyliśmy...

- Chwileczkę, czy dobrze zrozumiałem? - przerwał mu Riker. - Ty i tamci dwaj wiedzieliście, że Mallory ma rację, a mimo to założyliście się? Wszyscy?

- Tak, trochę się zagalopowaliśmy. Ale Pete Hong pierwszy włożył pieniądze. Co nam pozostało? Dziesięć dolarów to niedużo za to, żeby chłopak wyszedł z twarzą. No więc wszystko teraz zależało od tego szczurka. Pete nie chciał, żeby Oskar uciekł, ale Mallory wciąż nie pozwalała mu go dotknąć.

- „Bo szczur jest chory, może niebezpieczny”.

- Tak, że szczurami nigdy nic nie wiadomo. Tymczasem Oskar już się przymierzał, żeby zeskoczyć za automat ze słodyczami. W ścianie jest dziura, wielka jak pięść. I akurat kiedy szczur zamierzał czmychnąć, Mallory zabiła go jednym strzałem. Ładna, czysta robota.

Oficer dyżurny wyciągnął plik papierów w kierunku Rikera.

- To raport z laboratorium Stacji Epidemiologicznej. Przyszedł dziś rano. Mallory miała rację, ten cholerny szczur był chory. Wkrótce odwiedzą nas lekarze, by wszystkim pobrać krew do analizy.

Riker przejrzał raport. Zawierał również kopię raportu dowódcy zmiany. Mniej barwnie niż sierżant Bell, zwięźle opisywał całe wydarzenie i podkreślał konieczność uśmiercenia potencjalnie niebezpiecznego zwierzęcia.

- Harry, chcę, żebyś przesłał to wszystko do Wydziału Zabójstw. Upewnij się, że trafi do Coffeya. - Riker lekko uderzył dłonią w biurko. - Zrób to zaraz, dobra?

- Jasne. Czy porucznik też coś postawił na szczura?

- Owszem. - Riker się uśmiechał, idąc w kierunku wyjścia.

Jack Coffey się mylił, jeśli chodzi o Mallory. Odnaczała się poczuciem humoru. Ale miał zarazem rację. Mała była potworem. Pozwoliła porucznikowi wygłosić mowę na temat gliniarzy pochopnie sięgających po broń. A cały czas cierpliwie czekała na oficjalne pismo ze Stacji Epidemiologicznej, stanowiące kapitalną puentę jej kawału.

Co za przebiegłość.

Kiedy raport trafi na biurko Coffeya, porucznik pęknie ze złości, a może będzie walił głową w ścianę, wrzeszcząc na całe gardło.

Riker opuścił komisariat z jedną ręką uniesioną wysoko w geście triumfu.

Reguły gry Mallory.

ROZDZIAŁ 11

Ażeby obejść przepisy, kierownictwo restauracji wydzieliło część sali dla palących. Goście, odgradzeni szybą od podłogi do sufitu, siedzieli swobodnie przy stolikach, paląc cygara i papierosy. Dym unosił się w górę, a pod sufitem wolno obracał się wiatrak.

Na wypadek gdyby jakaś odrobina zakazanego dymu wydostała się z odizolowanego pomieszczenia, w głównej sali całą parą działał system oczyszczania powietrza, pochłaniając wszystko, wyciągając bukiet win, aromat sosów, mięs i makaronu. W tej bezwonnej części lokalu niepalący obserwowali gości za szkłem niczym eksponaty muzealne z czasów przed totalną dezynfekcją miasta Nowy Jork.

Kierownik sali stał za pulpitem, przewracając kartki zeszytu z rezerwacjami, i udawał, że nie widzi osób czekających w kolejce.

Uśmiechnięty kelner w białym smokingu podeszedł do kobiety stojącej na końcu ogonka.

- Sierżant Mallory? Widziałem panią w telewizji.

Ogłoszono alert i teraz zaszczycił ją uwagą również kierownik sali. Z uznaniem patrzył na jej czarny skórzany trencz, obłądnie drogie buty i trochę mniej kosztowną torebkę od Cartiera. Ludzie w kolejce zaczęli odwracać głowy, obrzucając ją ciekawskimi spojrzeniami.

Kiedy zdjęła płaszcz, zlustrowano jej czarny kaszmirowy blezer i dzinsy wykończone aksamitową lamówką. Kierownik sali powiedział: „No, tak”. Ludzie w kolejce mieli na sobie wizytowe stroje, ale Mallory ubrana była w pieniądze.

Kelner wziął od niej płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię.

- Już na panią czekają.

- Oni?

- Państwo Malakhai. - Wskazał jedną ręką salę dla palących.

- Racja, niewidzialna kobieta.

Kelner spojrzął w kierunku stolika, przy którym siedział tylko Malakhai.

- Widocznie pani Malakhai wyszła do toalety.

- Widział ją pan?

- Ależ naturalnie.

Ten człowiek jeszcze ją umacniał w przeświadczeniu, że nie można ufać zwykłym obywatelom zeznającym, że słyszeli strzały, które nigdy nie nastąpiły, że byli świadkami wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca. Teraz się okazało, że widzą również duchy. Ruszyła za nim w stronę sali dla palących.

- Chwileczkę - powiedziała, zanim otworzył szklane drzwi. - Jakiego koloru włosy ma ta kobieta?

- Rude. Ognistorude.

Mallory wskazała stolik.

- Czy to on panu tak powiedział?

- Nie. - Kelner był wyraźnie zmieszany. - Chodzi pani o to, że to nie jest ich naturalny kolor? Wcale nie wyglądają na farbowane.

Mallory weszła do przeszklonego pomieszczenia i zauważyła trzy nakrycia na małym okrągłym stoliku, dla nieboszczki w zakrwawionej niebieskiej sukience nalano wino do kieliszka.

Malakhai wstał, kiedy Mallory położyła swoją nową czarną torebkę na stole obok jedynego pustego kieliszka. Gdyby jej towarzyszył

znał ją lepiej, wzbudziłoby to jego podejrzenia. Nigdy nie nosiła torebek.

- Dobry wieczór. - Malakhai odprawił kelnera, zanim ten zdążył odsunąć krzesło, i zrobił to teraz osobiście.

- Jest pani punktualna. - Kiedy Mallory zajmowała miejsce, spojrział na zegarek. - I to co do sekundy.

Zamiast powitania powiedziała:

- Często pan korzystał ze swojego niemieckiego munduru. Miał go pan na sobie tamtego dnia, kiedy wydostał pan Louise z obozu przejściowego, a potem ponownie w dniu, kiedy strzelił pan do niej.

Malakhai spokojnie usiadł i przesunął butelkę wina na bok, by móc lepiej widzieć swoją towarzyszkę - tę żyjącą.

- Przez cały dzień mi pani brakowało. Oglądałem się przez ramię, ale nadaremnie.

Wrócił do swej dawnej gry, ignorował to, czym się nie chciał zajmować, i zmieniał temat. Nawet sam sposób prowadzenia przez niego rozmowy można było uznać za mistrzowską sztukę odwracania uwagi. Ale dziś wieczorem Mallory zjawiła się dobrze przygotowana.

- Jest pan pewien, że mnie nie było? Wiem, że jadł pan śniadanie z Prado i St Johnem. Po południu pracował pan nad swoją iluzją. - Według informacji kierownika sceny z Carnegie Hall, Malakhai przez kilka godzin instalował żyłki i małe metalowe kółeczka.

- Wnioskuje, że pani spędziła część dnia w towarzystwie pana Halperna. - Wypuścił z płuc kłęb dymu. - I naturalnie o pani obecności na aukcji poinformowano w wieczornych wiadomościach. Czy spodobała się pani rekonstrukcja Teatru Iluzji, zrealizowana przez Olivera?

- Nie. - Nie dorównywała wizji, jaką roztoczył przed nią Malakhai tamtego wieczoru w piwnicy. Teatr Olivera był bladą kopią,

której brakowało dramatyzmu czasów wojny, dymu i wina, perfum i żołnierzy z bronią. Nawet trup ukryty w podium wyglądał nieprawdziwie, rana nie krwawiła, bardziej przypominało to imitację aktu przemocy.

- Wracając do tego munduru - powiedziała Mallory. - Nigdy pan nie służył w niemieckim wojsku.

Skinął na kelnera i wskazał pustą butelkę, a następnie zwrócił się do Mallory:

- Dobrze go pamiętam, był pierwszorzędnie uszyty. Należał do oficera SS.

- Zabił pan tego oficera?

- Nie. Przykro mi, że panią rozczarowałem, Mallory. - Wypuścił kółko dymu i obserwował, jak unosi się w kierunku wiatraka. - Ukradłem mu walizkę na dworcu kolejowym. Przez pomyłkę, chciałem ukraść torbę jego ordynansa, w której znalazłbym mundur szeregowca. Byłem za młody, by uchodzić za oficera. Ale potem uświadomiłem sobie, że nikt nigdy nie patrzył na twarze esesmanów. Ludzie widzieli jedynie insygnia SS.

Sięgnęła przez stół i delikatnie zdjęła włos z rękawa jego ciemnego garnituru. A więc to stąd kelner wiedział, że kobieta jest ruda. Włos był bez cebulki, nie można było zatem na jego podstawie przeprowadzić identyfikacji, analizując DNA. Jednak i tak ostentacyjnie zawinęła go w serwetkę i włożyła do torebki. Malakhai przyglądał się jej z lekkim zainteresowaniem.

- Robi się pan nieostrożny. Domyślałem się, że nie miał pan czasu, żeby się przebrać po tym, jak ukrył pan zwłoki w podium Olivera.

- A więc jego bratanek był rudy. W wiadomościach nie pokazano zdjęcia. - Odłożył swego papierosa na popielniczkę, obok tego ze śladami szminki Louisy. - Nigdy go nie widziałem. Nie mogę powiedzieć, że mi przykro z powodu jego śmierci.

- Nie pamięta pan, jak ukrywał pan zwłoki? Nie dziwi mnie to. Wiem o udarach.

- Dzięki uprzejmości pana Halperna? Był taki zmartwiony, że nie pamiętam, jak...

Pojawił się kelner, balansując tacą na wysokości głowy. Po rozłożeniu wolną ręką stojaka postawił swój ciężar, a potem zaczął przedstawiać wszystko na blacie stolika, na którym ledwo się mieściły trzy talerze i trzy komplety sztućców, kieliszki, butelka, popielniczka i torebka. Mallory i Malakhai patrzyli w milczeniu, wyraźnie zafascynowani, kiedy kelner wbrew obowiązującym prawom fizyki powiększył przestrzeń, tworząc miejsce na koszyczek z pieczywem, świecznik, jeszcze jedną butelkę wina i duży półmisek zakąsek.

- Nie potrafiłbym tak - przyznał Malakhai.

Kiedy kelner napełnił winem trzy kieliszki i oddalił się, by zrealizować zamówienie na potrawy, Mallory wsunęła jedną rękę do otwartej torebki. Malakhai tego nie zauważył. Patrzył na twarz swej towarzyszki, nie spodziewając się dziś wieczorem niczego nadzwyczajnego, z pewnością żadnych sztuczek magicznych, a już na pewno nie w wykonaniu Mallory.

- To ciekawe zagadnienie - powiedziała. - Musiał pan pomóc śmierć Louisy, zanim pan zapomni, kim była. - Po omacku odszukała w torebce kółeczko. Żyłka była wciąż na swoim miejscu. - A jeśli chodzi o dzień, kiedy Oliver zginął w Central Parku? Pamięta pan, gdzie pan wtedy był?

- W domu, setki kilometrów stąd. Oglądałem transmisję telewizyjną.

Wyciągnęła żyłkę z torebki.

- Która to była godzina?

- W moim salonie nie ma zegarów. Przypuszczam, że nadawali na żywo transmisję wieczornego spektaklu.

- Wieczornego? - spytała Mallory. - Nie zauważył pan promieni słońca na estradzie i zatłoczonej widowni?

- Nie było to silne światło reflektorów? - Jego uśmiech miał świadczyć, że naprawdę się pomylił. - Przepraszam.

No jasne.

- Stwierdzono, że zgon Olivera Tree nastąpił o piętnastej trzydzieści jeden. - Lubiła być precyzyjna w tych sprawach. - Ale pan oglądał spektakl wieczorem. - Ukryła żyłkę pod serwetką i przesunęła ją w kierunku nakrycia dla Louisy, jednocześnie się nachylając. - Czy może pan to wytłumaczyć?

- Po wylewie czasem potrafię sobie przypomnieć tylko, które mamy dziesięciolecie. Mylenie nocy z dniem to jeden z moich drobniejszych błędów.

- Albo oglądał pan występ Olivera nagrany na wideo. Może nagrał go pan sobie, ponieważ wiedział pan, że tamtego popołudnia nie będzie pana w domu.

- Pamiętam, że dzwonił budzik. Mógł dzwonić od wielu godzin. Możliwe, że nagrałem audycję na wypadek, gdybym miał udar.

Zostawiła serwetkę obok kieliszka Louisy.

- A więc nie ma pan alibi na tamto popołudnie?

- Nie, żyję trochę jak pustelnik. Czasem przez kilka dni nie widzę żywej duszy, a od lat nie pytam nikogo, która godzina.

- Jak panu na imię?

- Posługuję się jedyne nazwiskiem. Ojciec rzucił moją matkę i nigdy mnie nie uznał za swojego syna. Więc matka podała jego nazwisko na mojej metryce urodzenia. To doprowadziło jego rodzinę do szału. Moja matka miała oryginalne poczucie humoru. - Patrzył na wybrzuszenie jej blezera w miejscu, gdzie znajdowała się kabura. - Broń psuje linię ubioru. Czy nie martwi to pani krawca?

Inni policjanci rozwiązali ten problem, niżej nosząc broń, ale

Mallory lubiła wzbudzać strach.

- Louisa miała lepszego krawca - przyznała. - Te przeróbki musiały być kosztowne. Jak bardzo się obłowiliście dzięki temu, że pochowaliście babkę Olivera w piwnicy?

Roześmiał się. Nie o taką reakcję jej chodziło.

- Moje uznanie. Nie zapytam, w jaki sposób się pani tego dowiedziała. Jedynym naszym zyskiem była renta Faustine. Ledwo starczała na pokrywanie kosztów czynszu za teatr. Ubrania Louisy należały do pewnego chłopaka, który odszedł z trupy. Sama je przerobiła.

Mallory potrząsnęła głową.

- Potrafię rozpoznać dzieło pierwszorzędnego krawca. I wiem, ile kosztuje jego praca.

- Moja żona była córką krawca. - Kiedy obrócił się w stronę krzesła zmarłej kobiety, nagle poczuł się niepewnie. Na talerzu Louisy leżały ostrygi i krewetki, nadziane na kolorowe wykałaczki, ale nie on je tam umieścił.

- Dlaczego Louisa trafiła do obozu przejściowego?

Kiedy znów spojrzął na Mallory, nadal był zmieszany.

- Och, trafiało tam mnóstwo ludzi. Urządzano łapanki na ulicach, aresztowano po dwadzieścia osób za jednym zamachem. Zatrzymanych sprawdzano później w obozie przejściowym. Większość z nich wypuszczano.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziała Mallory. - Wiem, że komendant obozu codziennie przesłuchiwał Louise. Była kimś więcej niż córką krawca.

- Nie była szpiegiem, jeśli o to pani chodzi. Ale jej ojciec był kimś więcej niż krawcem. Miał listę nazwisk ludzi, którymi interesowali się Niemcy. Myśleli, że może Louisa wie, gdzie on się ukrywa.

- A więc współpracował pan z Polską podziemną.

- Nie, byłem tylko sztubakiem zakochanym w Louisie. Kochałem ją od dziecka. - Odwrócił głowę, kiedy kieliszek Louisy się poruszył, ale nie za jego sprawą, nie jego ręka pociągnęła za żyłkę. W oczach Malakhaia malował się głęboki niepokój. Lecz nie okazał najmniejszego niezadowolenia, że Mallory bawi się jego zmarłą żoną jak marionetką.

- Więc zaryzykował pan dla niej życie, a potem ona pana zdradziła.

- Louisa mnie nie prosiła, żebym wy dostał ją z obozu. - Malakhai zgniótł w popielniczce niedopałek i wpatrywał się w papierosa Louisy, wypalonego do połowy, ciemnego i niewydzielającego dymu. - W Central Parku jest szeroki bulwar dla pieszych. Zaczyna się obok muszli koncertowej. Bardzo malownicza aleja, wzdłuż której stoją posągi i ławki. Zna ją pani?

Mallory skinęła głową. Ostatnio spędziła tam trochę czasu, chodząc między długimi szpalerami drzew, których wyrośnięte gałęzie tworzyły baldachim.

- To nie Paryż - powiedział. - Ale od biedy ujdzie. Naszego ostatniego wieczoru w Paryżu Louisa i Max spotkali się ze mną w takim miejscu. Było to na kilka godzin przed spektaklem u Faustine. Z jakiegoś bistro po drugiej stronie parku dobiegały dźwięki akordeonu. Pamiętam, że melodia była skoczna. Padał deszcz. Trzymałem parasol nad Louisa. Była bardzo zmartwiona, przestraszona. Na miejscowy posterunek policji dostarczono listy gończe. Nazajutrz całe miasto miało być oblepione plakatami ze zdjęciem Louisy i wysokością nagrody za jej wydanie. Emile St John ostrzegł ją tamtego ranka.

- Jakie doświadczenia miał St John?

- Emile był policjantem. Mówiłem pani, że wszyscy gdzieś pracowaliśmy. Louisa była zrozpaczona. Chciała uciec do Hiszpanii.

Cóż, to równało się samobójstwu. Nie wydawano wiz wyjazdowych, a cała granica była pilnie strzeżona. Hiszpania zatrzasnęła do siebie drzwi. Gdybyśmy spróbowali posłużyć się dokumentami podrobionymi przez Nicka, aresztowano by nas. Louisa powiedziała, że wolałaby umrzeć, niż znów trafić do obozu, być przesłuchiwana. Była zdecydowana tamtej nocy opuścić Francję beze mnie. Powiedziała, że nie chce, żebym jeszcze raz narażał dla niej życie.

Nalał wina do kieliszka.

- Chyba skwitowałem to śmiechem. Powiedziałem, że zawsze będę się nią opiekował. - Teraz nalał wina swojej żonie. - I wtedy Louisa wyznała, że kocha mojego najlepszego przyjaciela. Pamiętam wyraz twarzy Maksa, ten ból. I łyzy? Nie jestem pewien. Może to były tylko krople deszczu. - Wypuścił kłąb dymu i patrzył, jak unosi się w górę. - Mam nadzieję, że Max płakał.

- Nienawidził go pan?

Pokręcił głową.

- Co czułem? Zupełnie jakbyśmy wszyscy troje ulegli jakiemuś strasznemu wypadkowi drogowemu. Byłem wstrząśnięty niespodziewanymi szkodami, siłą uderzenia. A potem ogarnęła mnie dziwna pustka. Zawsze tak wyobrażałem sobie śmierć, dusza ulatuje, nieważka, nie ma niczego, co mogłoby ją utrzymać na ziemi. Potem Louisa odprawiła Maksa, żebyśmy mogli przez chwilę pobyć sami, ona, moja żona, i ja. Wie pani, co najlepiej pamiętam? Że wtedy po raz ostatni Louisa mnie objęła. Prosiła, żebym wybaczył jej i Maksowi.

- Był pan zły.

- Chyba nie, a przynajmniej nie wtedy. Kiedy zostałem sam, wsunąłem papierosa do ust. Pamiętam, że stałem tam jak głupiec, próbując na deszczu zapalić zapałkę.

- I tamtego wieczoru pokrzyżował pan plany Louisy, która chciała uciec za granicę. Podczas numeru otwierającego spektakl postrzelił

pan żonę z kuszy. Ale nie było pana w teatrze, kiedy ją zabito. Uciekł pan.

Wszystko w jego twarzy zadawało pytanie, skąd Mallory o tym wie.

- Był pan za młody, by uchodzić za oficera. A pan Halpern powiedział, że nie znał pan wystarczająco dobrze języka, by udawać Niemca. W teatrze zawsze byli niemieccy żołnierze. Więc po tym, jak strzelił pan do Louisy, musiał pan uciekać.

Skinął głową.

Naciskała dalej.

- Wyglądało to, jakby nie udała się magiczna sztuczka. Czy czegoś to panu nie przypomina? Biedny Oliver. Ale pozostajmy przy morderstwie Louisy. Jakie były szanse, że francuscy gliniarze będą chcieli pana odszukać? Oficera SS, który strzelił do nieuzbrojonej kobiety i uciekł? Nie, miejscowa policja niezbyt pilnie prowadziłaby śledztwo.

O wiele łatwiej uznać śmierć za nieszczęśliwy wypadek, to mniej kłopotliwe dla wszystkich. I gdy pan uciekał, pańską żonę mordowano za kulisami.

Kiedy Malakhai spojrział na popielniczkę, leżał na niej świeży papieros ze śladem szminki w kolorze, jakiego używała Louisa. Spojrział na kieliszek swej żony. Był do połowy opróżniony.

Mallory zamknęła torebkę, w której schowała gąbkę nasączoną winem.

- A więc zostawia pan swoją zakrwawioną żonę leżącą na scenie. Jest pan na ulicy. Zdejmuje pan niemiecki mundur i ukrywa go w pobliskim zaułku. Pod spodem ma pan cywilne ubranie. Nie trwa to wszystko więcej niż kilka minut. Ale kiedy wraca pan do teatru, Louisa już nie żyje.

Potarł zapalniczkę. Płomyk drżał tak leciutko, że Mallory mogłaby tego nie zauważyć, gdyby nie wypatrywała wszelkich oznak słabości Malakhaia. Znów gapił się na popielniczkę i papieros Louisy. Teraz został z niego tylko zgnieciony niedopałek, który trafił tu z torebki Mallory. Malakhai musiał się zastanawiać, czy stracił rachubę czasu, czy umknęło jego uwadze kilka minut, tyle ile zabiera wypalenie jednego papierosa.

Kelner wrócił do stolika. Spytał, czy może zabrać talerz Louisy. Malakhai spojrzął na resztki krewetek na talerzu swej żony. Ale nic nie kombinował przy jedzeniu. Więc jakim cudem? Miał do wyboru trzy możliwości: obłęd, utrata pamięci - albo Mallory.

Kelner odszedł, opróżniwszy popielniczkę, usuwając dowód w postaci niedopałka papierosa. Mallory jeszcze nie tknęła swojego wina. Malakhai pociągnął solidny łyk.

- Ryzykował pan życie dla Louisy, a potem zdradził pana z pańskim najlepszym przyjacielem. Ale wyrównał pan z nią rachunki. To musiało stanowić pewną pociechę.

Żadnej reakcji. Był gdzie indziej, błędził myślami daleko stąd.

- Czy wie pan, co myślała pańska żona, kiedy strzelił pan do niej, kiedy z jej ramienia popłynęła prawdziwa krew?

Ocknął się z zamyślenia, był teraz bardziej czujny, obserwował ją - i czekał.

- Nie spodziewała się tego - powiedziała Mallory. - Louisa myślała, że zostanie postrzelona długą czerwoną wstążką, jak każdego wieczoru na początku przedstawienia. Wyobrażam sobie jej minę, kiedy ujrzała pana w niemieckim mundurze. Na ten widok zupełnie straciła głowę. Więc już była ogłuszona, niczym jakieś biedne, ogłupiałe zwierzę prowadzone na rzeź. Cóż za łatwy cel. A potem strzelił pan do niej, akurat pan. Oto o czym myślała, kiedy umierała za kulami. Strzelił pan do niej i uciekł. To wszystko, co wiedziała w

ostatniej chwili swojego życia, kiedy ten łobuz ją mordował.

Kieliszek Louisy znów się przesunął, gdy Mallory pociągnęła żyłkę przez kółko ukryte w torebce. Szybkie szarpnięcie, ruch nadgarstka pod blatem stolika, i koniec żyłki znów znalazł się w torbie.

Malakhai nie spojrzę więcej na kieliszek.

Mallory nachyliła się do przodu.

- Czym się pan zajmował w czasie wojny?

- W Paryżu? Grałem na ulicy w trzy kubki. - Spojrzał na kelnera, który nagle pojawił się przy stoliku, żeby napełnić jego kieliszek. - Milo, czy macie w kuchni orzechy włoskie?

- Tak, proszę pana.

- Przynieś mi trzy puste łupinki. - Znów odwrócił się do Mallory.

- Jestem przekonany, że naprawdę interesuje panią jedynie morderstwo Olivera.

Skinęła głową. Zmiana tematu rozmowy była łatwym do przewidzenia unikiem, próbą ucieczki przed tym, co sprawiało mu ból. A teraz Mallory dostanie to, po co przyszła.

- Wszyscy mi powtarzają, że staruszek spartaczył iluzję.

- Podium Olivera nie jest dokładną kopią oryginału.

- Wiem. Widziałam wprowadzone przez niego innowacje. Proszę mi dać jakiś punkt zaczepienia, od którego mogłabym zacząć. - Proszę odwrócić moją uwagę od Louisy, to nie będę więcej przysparzała panu bólu.

- Tylko ostatnia strzała ugodziła go śmiertelnie. Gdyby się tak nie bał, mógłby uniknąć trzech pierwszych. Strach może człowieka sparaliżować. Oliver przestał walczyć o życie, kiedy sobie uświadomił, że klucz się zaciął w zamku. Dla Maksa nie miałyby to znaczenia.

- Czy mam rozumieć, że Max używał nieprawdziwych strzał?

- Nie. Policjanci zawsze sprawdzali rekwizyty Maksa. Strzały były identyczne. Żadnego oszukaństwa. W każdym magazynku znajdowały się trzy strzały.

- Czyli że w osadzie kuszy było urządzenie blokujące?

- Nie. Proszę nie zapominać, że do manekina strzelają wszystkie cztery kusze. Coś, co blokowałoby osadę kuszy, blokowałoby również cięciwę. Ale przy każdym strzale uwalniane są wszystkie cięciwy. I policjanci ponownie je naciągnęli. Tę część numeru Oliver wykonał poprawnie.

Pojawił się kelner z trzema łupinami orzecha włoskiego.

- Dziękuję, Milo. - Malakhai położył łupinki na pustym talerzu. - To łatwiejsza sztuczka. Przy jej prezentowaniu postugiwałem się ziarenkami grochu. Czy mogę pożyczyć pani broń?

- Chyba pan żartuje? - Z zasady gliniarze nikomu nie użycali swojej broni. Zasada ta była jeszcze bardziej rygorystycznie przestrzegana, kiedy spluwę chciał pożyczyć szalenic spożywający posiłki w towarzystwie swej zmarłej żony.

- Boi się pani, że panią zastrzelę na oczach tych wszystkich ludzi?

- Strzelił pan do swojej żony przy znacznie liczniejszej widowni.

- Ale przecież nie wierzy pani, że zamierzam panią zabić.

- Naturalnie że nie. - Mallory uśmiechnęła się uprzejmie. - Ale wzięwszy pod uwagę pańską przeszłość, istnieją spore szanse, że mogę paść ofiarą wypadku.

- Przecież obserwowała pani, jak ładowałem kuszę i z niej wystrzeliłem. Wiem, że to nie strach przez panią przemawia. Rozwaga? - Wziął swoją serwetkę i rozłożył ją. - Może myśli pani, że ktoś

mógłby mieć coś przeciwko widokowi broni w restauracji? Nie chcemy, żeby ludzie rzucili się w popłochu do wyjścia. - Wręczył jej kwadrat płótna, wystarczająco duży, by ukryć pod nim trzy takie sztuki broni. - Proszę, zachowamy dyskrecję. Niech pani zwinie broń w to. No dalej, śmiało. Wiem, że pani tego chce. Lubi pani ryzyko, prawda, Mallory? Myślę, że da mi pani rewolwer, żeby się przekonać, co nastąpi później.

To była chwila szczęścia, powtórka jej ulubionego snu, w którym szybowała w powietrzu z wielką szybkością - w całkowitych ciemnościach.

Uśmiechnął się.

- Potrzebne mi są tylko naboje. Jeśli pani chce, może pani zostawić broń na stole, żeby było bardziej interesująco.

Wzięła serwetkę z jego dłoni i przykryła nią rewolwer, który wyjęła z kabury. Trzymając broń na kolanach, otworzyła magazynek i wysypała z niego sześć naboii.

Następnie wręczyła mu amunicję, a rewolwer owinięty w serwetkę położyła na wolnym miejscu, tam gdzie wcześniej stał talerz Louisy. Niewidoczna lufa wycelowana była w Malakhaia.

- Naprawdę lepiej, żeby nie dotykał pan tej broni. - Jej ręce, oparte łokciami o blat, tworzyły strzelistą wieżę, koniuszki palców niemal się stykały, jakby się modliła.

- Jeśli przyjdzie panu ochota porównać swój refleks z moim, będzie to pana kosztowało oko, może dwoje oczu.

- Zrozumiałem, ale nie chodzi mi o pojedynek. - Malakhai rzucił pięć kul między bułeczki w koszyczku na pieczywo. - Potrzebna mi tylko jedna. - Umieścił nabój pod łupinką orzecha, a następnie zaczął wolno przesuwac wszystkie trzy łupinki. - Nie zawsze można wierzyć własnym zmysłom, Mallory. To jedyne ostrzeżenie, jakie pani

usłyszcy. - Łupinki wirowały coraz szybciej. Potem raptem przestał je przesuwac i cofnął ręce. - Gdzie jest kula?

- Tutaj. - Podniosła środkową łupinkę i rzeczywiście kula była pod nią.

- Czy jest pani pewna, że to ta sama? - Podniósł pozostałe łupinki, by pokazać jej jeszcze dwa naboje, które powinny być w koszyczku na pieczywo.

- Sprytne. W jaki sposób ma mi pomóc? - W jej głosie dało się wyczuć irytację. Lekko dotknęła kieliszka Louisy, drobny, rozmyślny gest, groźba dalszego sprawiania bólu.

- Wierzy pani swoim oczom, Mallory. To błąd. Iluzja polega na tym, że się nie widzi. A bardzo dobre numery są obmyślane w taki sposób, żeby przeczyły logice. - Wzniósł do góry jedną kulę, a dwie pozostałe odsunął na bok. - Tym razem będę grał uczciwie. Posłużę się tylko jednym nabojem.

Ukrył kulę pod łupinką orzecha i wszystkie trzy łupinki znów rozpoczęły swój kontredans na blacie stołu. Kiedy orzechy ponownie ustawiły się w szeregu, dotknął lekko palcem pierwszego.

- Powiedzmy, że zabiłem Olivera, żeby pomścić swoją żonę. - Dotknął drugiej łupinki. - Albo może jego zabójca strzelił podczas parady. - Palec przesunął się na ostatnią łupinkę. - Albo Oliver spartaczył sztuczkę i sam jest winien swojej śmierci. Nie chce pani, żeby tak było, ale nie można tego wykluczyć. A więc gdzie jest teraz kula?

- To żadna z tych rzeczy, a kulę trzyma pan w ręku.

- Bardzo dobrze, Mallory. Zaczyna pani rozumieć. Jednakże... - Rozprostował obie dłonie, nie miał w nich naboju.

Po kolei podniosła łupinki - kuli nie było.

- Przed panią jeszcze daleka droga. - Sięgnął po serwetkę, pod którą leżał rewolwer.

Mallory była szybsza. Nie spuszczać z niego wzroku, złapała zmięty materiał. Pod serwetką nie było broni. Odwróciła się i zobaczyła, jak pojedyncza kula wysuwa się z materiału i toczy po blacie. Mallory opuściła serwetkę na stół, a w następnej chwili ujęła twarz Malakhaia w obie dłonie - tak delikatnie, że inni goście musieli ich wziąć za kochanków. Nikt nie widział, jak blisko jego oczu znajdowały się jej kciuki, długie czerwone paznokcie ocierały się o rzęsy, niemal dotykały ciemnoniebieskiej tęczówki, grożąc, że mu wydrapią oczy.

- Bardzo wolno proszę położyć obie ręce na stole.

Jego dłonie pojawiły się na płaskim talerzu, jedynym wolnym miejscu. Był zbyt spokojny.

- Gdzie mój rewolwer?

- Pod serwetką. Proszę sprawdzić jeszcze raz.

- Nie mam ochoty na zabawę z panem, Malakhai. Wydłubię panu oczy.

- No dobra, teraz jest pod serwetką. Proszę zajrzeć.

Nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła jedną ręką do serwetki, jej palce zacisnęły się na twardej lufie.

Zła ściągnęła materiał. Ujrzała przed sobą broń. Sześć kul bezszelstnie potoczyło się w jej stronę między butelką wina a koszyczkiem na pieczywo. Umieściła je z powrotem w magazynku, nie dbając o to, że kelner stoi zaledwie kilka metrów dalej, obserwując ją i prawdopodobnie odbierając to jako ocenę obsługi.

Malakhai się uśmiechał.

- Musi się pani nauczyć myśleć niestereotypowo, w przeciwnym razie nigdy pani nie rozgryzie tej zagadki.

Mallory nie widziała siebie w roli jego uczennicy; miała w nosie jego nauki.

- Dziś wieczorem nie rozmawiał pan z Louisą. Zapomniał pan? Doznał pan kolejnego udaru?

Rozczarowana jego milczeniem ciągnęła w nadziei zadania mu prawdziwego bólu:

- Z każdym dniem coraz więcej pan zapomina.

Przyłapała go, jak machinalnie skinął głową. Odłożył papieros na popielniczkę i zauważył kolejnego papierosa Louisy. Nosił ślady szminki. Mallory nie dodała substancji chemicznych powodujących wydzielanie dymu; wystarczyło samo pojawienie się w popielniczce papierosa. Wpatrywał się w niego, nagle nieufnie, jakby papieros mógł mu czymś grozić.

- Wkrótce nastąpi koniec - powiedziała. - Zapomni pan nawet, jak się pan nazywa.

- Mniej brzemienia do dźwigania.

- Pańska żona wymyka się panu.

- Mniej cierpienia. - Spojrzał na Mallory, by obdarzyć ją odrobiną bólu, wiedział, że ucieszy się z takiego prezentu.

- Stracił pan pierwszą Louise. Jedyne, co pan teraz ma, to fragmenty potwora, którego sam pan stworzył: może to tylko pół kobiety. - Wsunęła broń do kabury. - Nie komplikujmy sprawy. Nie widzę Olivera w roli zabójcy pańskiej żony. Ale wiedział, kim był morderca.

- Myli się pani. - Malakhai wolno pokręcił głową. - Biedny Oliver o niczym nie wiedział. Wierzył, że zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Zwłoki Louisy były jedynymi, jakie widział w ciągu całej wojny. Armia skierowała go do pracy papierkowej, czego ogromnie się wstydził. A on bardzo chciał walczyć. Taki dzielny człowieczek stanął naprzeciwko tych wszystkich kusz.

Mallory obserwowała, jak Malakhai zaciska rękę w pięść. Śmierć Olivera rozgniewała go. Ten gniew nie był udawany. Nigdy nie przyłapała go na oszustwie tego szczególnego rodzaju i uznała, że to nie w jego stylu.

- Nie - dodał Malakhai. - Wątpię, by kiedykolwiek przeszło mu przez myśl, że chodziło o morderstwo. Oliver był wyjątkowo dobrym człowiekiem, a przy tym niezwykle lojalnym. Nigdy by nie uwierzył, że któregoś z jego przyjaciół byłoby stać na coś takiego.

- Jeśli Oliver nie zabił pańskiej żony, wobec tego nie został zamordowany z zemsty. A swój majątek zapisał na cele dobroczynne, odpada więc również motyw zabójstwa dla pieniędzy. Stąd wiem, że musiał kogoś przestraszyć. To wszystko, co mam.

- Mówiąc o nim, używa pani jego imienia - powiedział Malakhai.
- Nigdy go pani nie spotkała, ale mimo to jest dla pani Oliverem.

Puściła te słowa mimo uszu.

- Strzał, który niechcący trafił w balon, to była próba zabójstwa. Wiem więc, że to jeszcze nie koniec. Nie mogłam znaleźć pana ani Nicka Prado na taśmach z parady. Wszyscy pozostali byli wyraźnie widoczni w chwili, kiedy rozległ się strzał.

- Bardzo osobiście traktuje pani śmierć Olivera, prawda? - Malakhai uśmiechnął się lekko, tęsknie. Dziwnie wzruszało go to niewinne przyzwyczajenie posługiwania się imieniem nieboszczyka.

- Może Prado strzelał do pana. Byłoby to logiczne - powiedziała Mallory. - Czy jego dawne numery nie polegały na sztuczkach ze strzelaniem? Ale prawdopodobnie by nie chybił. Myślę, że to pan wystrzelił tę kulę, która trafiła balon. Celował pan w mężczyznę, który zabił Olivera. Czy to ktoś, kto był na platformie? Czy też dostrzegł pan w tłumie Nicka Prado?

- Oliver byłby panią zachwycony: osobisty obrońca, własny paladyn.

- Może spudłował pan, ponieważ zadrzała panu ręka, w której trzymał pan broń. Albo może brakuje panu tego czegoś, co jest

niezbędne, żeby zabić człowieka. Co pan robił w czasie wojny po śmierci Louisy? Czy zajmował się pan papierkami jak Oliver? W której armii pan służył?

- Rozpocząłem podstawowe szkolenie w wojsku brytyjskim. Potem, jeszcze nim je ukończyłem, przeniesiono mnie do jednostki amerykańskiej.

- I czym się pan tam zajmował?

- Masowymi morderstwami. - Nawet mu nie drgnęła ręka, kiedy popijał wino. Mówił spokojnie, niemal jak automat. - Rozrywałem ludzi na strzępy materiałami wybuchowymi. A potem skrupulatnie liczyłem ofiary. Chodziłem między kadłubami bez rąk i nóg, niektóre jeszcze się ruszały. Ale ci, którzy nie zginęli od razu, umierali bardzo szybko. Zawsze zaliczałem ich do trupów, nawet kiedy słyszałem ich krzyki. Liczyłem zakrwawione głowy.

Tak było najłatwiej się zorientować, ile byłoby ofiar, gdyby pozostały w całości.

ROZDZIAŁ 12

Ośrodek był wysoko oceniany przez władze stanu Connecticut - i zyskał uznanie w oczach Mallory. Drzwi do wszystkich pokoi stały otworem, żeby mogła zajrzeć do środka, ich zimne, białe ściany stanowiły przedłużenie bezosobowego korytarza. Żadnych fotografii rodzinnych, żadnego nieprzyjemnego zapachu przykutych do łóżek pacjentów, żadnej woni wody kolońskiej ani perfum. Usuwano wszystkie cechy indywidualne pensjonariuszy. Silny zapach środka dezynfekującego do końca zabijał wszelkie ślady, które mogłyby świadczyć, że mieszkają tu ludzie; tylko fanatyczna sprzątaczką albo sierżant Mallory mogły swobodnie oddychać w takiej atmosferze. Spodobał jej się również wysoki pielęgniarz, który szedł obok niej. Jego sztywny biały kitel pachniał lekko krochmalem. Pielęgniarz aż za dobrze znał pana Rolanda.

- Staruszek w zeszłym miesiącu skończył osiemdziesiąt siedem lat. Przeżył swoją żonę i syna. Wnuki już się nie mogły doczekać, kiedy go tu umieszczą. Proszę nie podchodzić za blisko i zapomnieć wszystko, co słyszała pani o oficerach i dżentelmenach. Kiedy mówi, pluje, czasem robi to specjalnie.

- Czy jest niedołączny?

- Trochę chodzi. Ale mówiąc między nami, generał Roland był

zawsze... - Jednym palcem zrobił kóleczek na czole, dając do zrozumienia, że uważa go za szurniętego.

- On panu powiedział, że był generałem?

- Tak, proszę pani, najprawdziwszym generałem. Można by pomyśleć, że wojna nadal trwa, kiedy się słyszy, jak rozkazuje personelowi.

Ale zgodnie z danymi obrazującymi przebieg służby wojskowej pana Rolanda, a uzyskanymi podczas nocnego buszowania w komputerze wojskowym, staruszek nigdy nie posiadał wyższego stopnia niż porucznik i przed końcem drugiej wojny światowej został dyscyplinarnie zwolniony z wojska.

Mallory i pielęgniarka szli korytarzem o wysokich oknach. Szyby błyszczały po niedawnym myciu, za nimi rozpościerał się martwy ogród. Ten długi hol zastawiony był wiklinowymi fotelami i wózkami inwalidzkimi, w których siedzieli starsi ludzie w zielonych szlafrokach i kapciach. Ich twarze pozbawione były wyrazu, nie zachwycali się widokiem bezlistnych drzew i zrudziałej trawy, którego podziwianie stanowiło jedyne ich zajęcie; odnosiło się wrażenie, jakby przyprowadzono ich tutaj i o nich zapomniano.

Teraz Mallory lepiej rozumiała staruszka, z którym się jeszcze nie spotkała.

- Pobłażliwie traktuje pan dziwactwa pana Rolanda, prawda?

- O tak, podobnie jak wszyscy tutaj - odparł pielęgniarka. - Mój dziadek walczył podczas drugiej wojny światowej. Żywcem obdarłby mnie ze skóry, gdybym nie okazywał staruszkowi szacunku. Więc zwracam się do niego „panie generale” i czasem nawet mu salutuję. Lubi to.

Może pan Roland nie miał urojeń, a jedynie był sprytny. Odwróciła się za siebie, by spojrzeć na ludzi przykutych do foteli, pozostających w stanie oczekiwania, wykluczonych ze świata żyjących i

pozostawionych samym sobie. Tak, pan Ronald mądrze robił, dodając sobie generalski węzyk.

- Spóźni się pani dwie minuty na spotkanie. To moja wina, przepraszam. Może kazać pani za to zapłacić. - Pielęgniarka przystanął przed drzwiami na końcu korytarza i otworzył je. - Jest do pani wyłącznej dyspozycji.

Kiedy weszła do pokoju, zastała tam zasuszonego staruszka z kosmykami siwych włosów sterczących na wszystkie strony po bokach łysiny. Robił wrażenie zagubionego pośród nowoczesnej aparatury medycznej. Na metalowym stojaku wisiał plastikowy worek, z którego kroplami skapywał płyn do żył mężczyzny. Widziała siniaki na jego rękach, ślady po licznych wcześniejszych ułkuciach igieł. Przewód od monitora stojącego przy łóżku wił się między guzikami czerwonej pizamy i znikał w okolicy serca. Rurki doprowadzały tlen ze zbiornika w ścianie do plastikowego aparatu pod nosem.

- A więc to pani jest sierżant Mallory. - Głos pana Rolanda, ostatnie, co mu pozostało z czasów dawnej świetności, brzmiał władczo, jak przystało na osobę, której stopień wojskowy sobie uzurpował. Zmierzył Mallory spojrzeniem od stóp do głów, jakby naprawdę był generałem dokonującym inspekcji swych oddziałów. Jego wzrok zatrzymał się na wybrzuszeniu blezera. Wskazał na nie powykęcany palcem. - Czy to broń? Kto dał broń takiej małej dziewczynce? Proszę się wylegitymować. - Był to rozkaz.

Mallory sięgnęła do tylnej kieszeni dżinsów i wyjęła swoją odznakę oraz legitymację służbową. Wyciągnęła je w jego stronę, a on zmrużył oczy, by odczytać jej nazwisko i stopień.

- Dziękuję, że zgodził się pan mnie bezzwłocznie przyjąć - powiedziała, cofając się, by znaleźć się poza zasięgiem śliny z jego ust.

- W policji służą teraz same dzieciaki. - Staruszek kiwnął głową.
- Ale dziewczyny z bronią! Do czego to doszło.

Mallory usiadła na krześle stojącym obok łóżka.

- Potrzebne mi są informacje o człowieku, który służył pod pana komendą w czasie drugiej wojny światowej.

- To była prawdziwa wojna. Wypłacano nam o pięćdziesiąt procent wyższy żołd niż w czasie pokoju. Byłem zawodowym oficerem. Z jednostki, którą dowodziłem, bardzo niewielu żołnierzy przeżyło. Zajmowaliśmy się głównie sabotażem. Mój batalion walczył z największym poświęceniem.

Według informacji Mallory, nie był to wcale batalion, z dwudziestu żołnierzy tylko dwóch doczekało końca wojny. Armii amerykańskiej nie zadowoliło wyjaśnienie Rolanda, dlaczego tak szafował ludzkim życiem.

- Mógłby mi pan zaoszczędzić nieco czasu. Wie pan, ile trwa próba wydobycia jakichkolwiek informacji od wojska.

Prawdę mówiąc, zajęło jej to bardzo niewiele czasu. Przedstawiciele młodego pokolenia traktowali włamanie się do komputera Pentagonu jako sprawdzian swoich umiejętności. Nawet dziecko potrafiło tego dokonać, i wiele dzieci to robiło. Każdego roku notowano tysiące włamań do komputerów wojskowych. Ale w buszowaniu po zbiorach przeszkadzały jej dzwonki i gwizdki elektronicznych strażników.

- Chodzi mi o szeregowca Malakhaia. Czy...

- Czy go pamiętam? Jasne że tak. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by ten skurwiel zginął. - Urwał, by ocenić wrażenie, jakie to na niej wywarło, i był wyraźnie rozczarowany, że ani Mallory nie zaszokował, ani jej nie zaimponował. - Podczas ostatniego zleconego zadania bojowego kazałem mu w biały dzień wyskoczyć z samolotu.

Miał cholerne szczęście. Niemieccy artylerzyści musieli chyba spać, kiedy otworzył się jego spadochron.

- Pragnął pan śmierci swojego własnego żołnierza?

- Tak. - Teraz, kiedy zrozumiała, że był panem życia i śmierci, zdawał się bardziej z siebie zadowolony. - Kapral, nazywał się Edwards, cholerny dzieciak, młodszy od pani... A więc ten pedancik próbował do tego nie dopuścić. Musiałem zdzielić pistoletem małego drania, żeby nie blokował drzwi. Potem rozkazałem, żeby Malakhai wyskoczył. Powinienem wypchnąć też Edwardsa. Ale był bez spadochronu. Lubię dawać ludziom chociaż niewielką szansę.

Mallory skinęła głową. Edwards był tym, który dotarł do zagubionych medali, przyznanych żołnierzom jednostki. Wśród odznaczeń, które zabezpieczył dla szeregowca Malakhaia, było aż nadto Purpurowych Serc, a każde oznaczało odniesienie jednej rany w akcji. Nie mogła o nich zapomnieć.

- A więc - powiedział staruszek - traktowałem jako swój obowiązek dopilnowanie, żeby Malakhai nigdy nie wrócił z tej wojny do domu. Ten chłopak nie nadawał się do tego, żeby ze spokojnym sumieniem puścić go wolno między zwykłych ludzi.

- Odznaczono go wieloma medalami. - Mówiła cicho, ale obstawała przy swoim.

- W większości za rany od szrapneli. - Staruszek machnął ręką, by dać do zrozumienia, że nie miało to znaczenia. - Błędem było odznaczanie go medalami. Widzi pani, nie zabijał swych ofiar pojedynczo. Wysadzał w powietrze kilkanaście osób naraz, całe ciężarówki. I czasem zapominał o rozróżnianiu żołnierzy i ludności cywilnej. Takie rzeźnicze akcje nigdy nie są wspomniane w aktach.

Tajne misje. To wyjaśniało brak szczegółów w dokumentach Malakhaia i dzwonki alarmowe rozlegające się za każdym razem,

kiedy pokonała kolejną linię zabezpieczeń.

Staruszek podniósł zaciśniętą pięść.

- Najwięcej ryzykowaliśmy, a doczekaliśmy się niewielkiej chwały.

My?

- Więc Malakhai wykonał wiele bardzo ryzykownych zadań.

- Właściwie były to misje samobójcze. Ale zawsze cudem udało mu się z nich wrócić, pojawiał się w obozie poharatany niczym jakiś cholerny bezdomny kot. I za każdym razem jego wzrok stawał się zimniejszy. - Roland się uśmiechnął, zapalając się do tematu. - Wydrążony Chłopak, tak go nazwałem. Z czasem zaczął nawet na to reagować. Pod koniec przestał być człowiekiem. Powinienem to zrobić jak należy, zwyczajnie wyciągnąć spluwę i go zastrzelić, tak jak zabija się psa. Miałem śliczny pistolecik, prezent od generała Pattona.

Akurat.

- Wiedział pan, że Malakhai zaciągnął się do armii dwa dni po śmierci swojej żony?

- Tak mówili Brytyjczycy. Malakhai odbył podstawowe szkolenie w ich armii. Cholerni lekarze chcieli go leczyć i odesłać do szpitala. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku brali do wojska dzieciaki i starców, ale nie chcieli słyszeć o Malakhaiu. Powiedzieli, że stracił kontakt z rzeczywistością. Uważali, że będzie miał mniejsze szanse przeżycia niż dziecko. Owszem, był chory, ale nieodczuwanie strachu to bardzo pożyteczny rodzaj szaleństwa. Można było wystrzelić z karabinu tuż obok jego głowy i żadnej reakcji. Więc pomyślałem sobie: „Dlaczego ma się zmarnować?”. Kazałem urzędnikowi sfałszować jego dokumenty i sfabrykować przeniesienie do swojej jednostki. Był polskim bękartem, więc daliśmy mu amerykańskiego ojca. Wyciągnęliśmy go z brytyjskiej jednostki szkoleniowej,

zanim Anglicy zdążyli go odesłać do czubków. To była bardzo zgrabna akcja.

- Fałszował pan wiele dokumentów. Czy nie powinien pan odsyłać swych ludzi do domów po tym, jak zostali zestrzeleni? Czy nikt nie liczył odznaczeń Malakhaia? Został siedem razy ranny, otrzymał siedem Purpurowych Serc.

- Były zaległości w pracy papierkowej. Wojenna biurokracja.

- Dostał też inne medale za męstwo. Dotarły do niego pięć lat po wojnie. Nigdy nie chciał pan, żeby je otrzymał, prawda?

- Nie, póki był użyteczny. Gdybym zgłaszał każdy najdrobniejszy odłamek, jaki go trafił, odesłaliby go do Stanów.

- A chciał pan, żeby zginął.

- Cóż, nie mogłem go odesłać do domu, prawda? Szeregowiec Malakhai to był automat do zabijania. Zresztą nie był prawdziwym Amerykaninem.

- Ale nosił amerykański mundur.

Staruszek był wyraźnie poirytowany.

- Wciąż tego nie rozumiesz, dziewczeczko. Wiesz, dlaczego Hitler wysyłał ludzi do komór gazowych? Wcale mu nie chodziło o to, żeby sprawniej ich zabijać. Zmechanizował zabijanie, by zmniejszyć szok, na jaki narażeni byłiby jego żołnierze. Ten drań wiedział, co by z nich uczyniły masowe egzekucje dokonywane własnymi rękami. Wszyscy staliby się tacy, jaki był Malakhai. Straciliby duszę. Całe pokolenie wydrążonych chłopców nigdy nie mogłoby wrócić do normalnego życia. To by zniszczyło ten przeklęty kraj. I Hitler stałby się królem bez poddanych.

- Wszystkie te odznaczenia. - Czują coraz większą dumę, że ma za przeciwnika Malakhaia. - Medale za odniesione rany, medale za męstwo.

- Chłopak był szalony! - Starzec zacisnął pięść, sfrustrowany, że nie dociera do niej ten prosty fakt. - I żałosny. Czasem łzy płynęły mu po twarzy w najgorszych chwilach. Nie płakał: był pozbawiony uczuć. Zachowywał się jak automat. Łzy pojawiały się i znikaly bez powodu, jakby maszyna uległa awarii. Ale nawet wtedy jego oczy pozostawały takie zimne, takie...

- Był pan o niego zazdrosny?

To rozgniewało fałszywego generała. Odwrócił się i teraz była tego pewna. Pochyliła się niżej nad jego łóżkiem.

- Bał się pan szeregowca Malakhaia? Czy dlatego pragnął pan jego śmierci?

- Nigdy nikogo się nie bałem. I z całą pewnością nie boję się ciebie, dziewczeczko. - Uniósł głowę i celnie strzyknął śliną.

Mallory drgnęła. Odrobina śluzu ściekała jej po policzku. Ogarnięta zimną furią, wyciągnęła rękę w jego stronę. Skulił się, oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia i strachu. Mały tyran domu starców nie był przyzwyczajony do tego, żeby mu oddawano. Wolno opuściła rękę, by ująć nią róg prześcieradła. Wytarła nim ślinę z policzka.

Ośmielony, pewien teraz, że nie zamierzała mu zrobić krzywdy, potrząsnął głową, udając rozczarowanie.

- Masz takie same zimne, puste oczy, dziewczeczko. Ale nie dorównujesz klasą Malakhaiowi. - Kiedy mówił, z ust wydobywały mu się kropelki śliny. - Założę się, że chciałybyś się na mnie odegrać. - Jedną ręką uniosła się buntowniczo. - Chcesz odłączyć wszystkie te rurki i przewody, zniszczyć starego generała, prawda? Cóż, wystarczy tylko...

- Mylił się pan - szepnęła, nachylając się nisko do jego ucha i jednocześnie sięgając do kieszeni na piersiach blezera.

Wpatrywał się w jej rękę, na jego twarzy malowało się przerażenie. Czy myślał, że wyjmie broń? Naprawdę cierpiał na manię wielkości.

- Jeszcze jedno pytanie. - Wyciągnęła wydruk komputerowy i rozłożyła go. - Mam tutaj informacje o naprawach telefonów z przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego. - Uniosła kartkę, żeby mógł wyraźnie zobaczyć. - W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, kiedy naprawiano panu linię telefoniczną, ugryźł pana pies, mały piesek. Czy dali panu za to medal? - Wstała z krzesła i spojrzała na niego z góry. - Nie?

Cokolwiek Roland zamierzał powiedzieć, wyleciało mu to z głowy. W końcu zamknęła mu usta. Lubiła, kiedy ostatnie słowo należało do niej, a wyrównywanie rachunków sprawiało jej ogromną satysfakcję - ale nie dzisiaj.

Mallory obserwowała, jak starzec kuli się przed nią, zakopuje w pościeli, kurcząc się na wszelkie sposoby. Czy się bał? Tak. Może naprawdę myślał, że go zdradzi przed personelem szpitala, że jego dni jako szanowanego generała to już przeszłość.

Był przerażony.

A jednak wcale nie sprawiło jej to satysfakcji. Ogarnęło ją tylko niewyraźne uczucie, którego nie mogła uznać za litość, bo zbyt mało znany jej był ten stan emocjonalny; nie pasował do jej filozofii. Rzadko ogarniały ją wyrzuty sumienia i nie czuła ich, kiedy odwróciła się plecami, słysząc cichy płacz starca leżącego na łóżku. Zapomniała o Rolandzie, zanim jeszcze opuściła budynek i udała się na parking.

Cóż, nie była to całkowita strata czasu. Trochę lepiej zrozumiała Malakhaia. Według słów Emile'a St Johna, koncert skrzypcowy Louisy stał się elementem czarodziejskiej sztuczki magika po drugiej wojnie światowej. Ale to było tylko preludium do prawdziwego szaleństwa. Duch Louisy w pełni się ukształtował podczas kolejnej wojny.

Wiedziała teraz, dlaczego Malakhai zgłosił się na ochotnika, żeby walczyć w wojnie koreańskiej w latach pięćdziesiątych. To była jeszcze jedna okazja, żeby zginąć. Ale trafił do niewoli. Dokumenty dotyczące tego okresu jego życia były pełniejsze, podawały dokładnie rok spędzony w pojedynczej celi - a raczej klitce półtora metra na półtora, liczącej tyleż samo wysokości. Po tym jak go stamtąd wyciągnięto, kolejne sześć miesięcy spędził w szpitalach dla weteranów wojskowych, dochodząc do siebie po okropieństwach tortur - i grając w karty ze zmarłą kobietą.

Sierżant Riker stał pod ścianą ze stalowymi szufladami, w których przechowywano zwłoki z identyfikatorami przyczepionymi do palców nóg. Przyglądał się, jak Mallory wsuwa swój rewolwer kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem do kabury. Mniej satysfakcjonująca ją broń służbowa kaliber trzydzieści osiem leżała w chlebaku u jej stóp. Dziewczynie nie przyszło do głowy, żeby podziękować Rikerowi za wyciągnięcie ulubionej spluwy od porucznika Coffeya - a także wygranej od frajerów w mundurach.

Uśmiechała się. Zawsze to już coś. I nie przeliczyła pieniędzy, co mogło świadczyć, że do pewnego stopnia znów cieszył się jej zaufaniem.

Główny patolog doktor Slope włożył na nos okulary do czytania i spojrzął na zapiski, krocząc w towarzystwie pracownika kostnicy wzdłuż stalowej ściany. Zatrzymali się przed jedną z szuflad, pracownik otworzył drzwiczki i wysunął ulubionego nieboszczyka Mallory.

Riker zapiął płaszcz, podchodząc do zwłok na stole. Niska temperatura w pomieszczeniu sprawiała, że zapach zwłok i chloru nie był tak silny. Spoglądał teraz na ślady przeprowadzenia pełnej sekcji zwłok. Na tułowiu widoczne były ślady cięć skalpela. Każdy narząd

został zbadany i zważony. Sprawdzone skład chemiczny płynów komórkowych i tkanek. Przepiłowano nawet czaszkę, żeby dostać się do mózgu, i spenetrowano wszystkie naturalne otwory ciała - ępun został potraktowany istic po królewsku. Największym szczęściem, jakie mogło spotkać nieboszczyka, było trafić w ręce sierżant Mallory.

Wygląd trupa świadczył, że zmarły prowadził marne życie. Riker mógł policzyć wszystkie żebra u tego narkomana, który wołał heroinę od jedzenia. Na rękach miał rysunki węży wykonane atramentem i szpilkami. To samookaleczenie świadczyło o długim okresie przebywania w zamknięciu, może w jednym z licznych ośrodków dla narkomanów, w którym pobyt opłacił mu stryj. Twarz stężała z ustami wykrzywionymi w jęku, górna warga była uniesiona. Bardziej fachowy tatuaż na jednym ramieniu głosił drukowanymi literami kredo zmarłego chłopaka:

ŻYCIE JEST DO DUPY.

Doktor Slope skinieniem głowy odprawił pracownika kostnicy. Zsuwając okulary, spytał Mallory:

- Wróciłaś ze swojego krótkiego urlopu?

Mallory pokręciła głową.

- Gdyby pytali dziennikarze, nie widziałeś mnie.

Riker spojrział na świętej pamięci Richarda Tree, lepiej znanego z telewizji i gazet jako Kusznik. Był raczej chłopcem niż mężczyzną. Chociaż liczył dwadzieścia dwa lata, nie miał jeszcze zarostu, tylko gdzieniegdzie sterczały pojedyncze włoski, a perkaty nos nadawał mu chłopięcy wygląd.

- A więc smarkacz przedawkował, tak?

Doktor Slope skinął głową.

- Wyniki badań jeszcze nie przyszły. Ale nie sądzę, żeby zawierały jakieś niespodzianki.

- Rana strzałą została zadana już po śmierci - powiedziała Mallory.

- Jeśli zamierzasz sama dokonywać sekcji, po co mnie fatygujesz? - Doktor Slope wręczył jej notatki. - Przyczyna śmierci: przedawkowanie u narkomana od dawna będącego ofiarą nałogu. Ale to też już wiesz, prawda? - Odwrócił rękę trupa, by pokazać na jej zgięciu ślady po ukłuciu igłą. - Znalazłem starsze blizny na podeszwach stóp i pod kolanami. Prawdopodobnie ukrywał nałóg, póki tamte żyły mu nie wysiadły. Powiedziałbym, że już od dawna był o krok od śmierci.

- Więc w żadnym wypadku nie mogło to być morderstwo. - Riker wyciągnął notes.

- Z całą pewnością. - Slope był wyraźnie zirytowany, może dlatego, że to również było coś, o czym Mallory już wiedziała. - Żadnych śladów walki, żadnych zadrapań ani ran odniesionych podczas obrony. A ostatnie ukłucie igły nie różni się od śladów wcześniejszych ukłuć, których dokonał własną ręką. Prawdopodobnie był jedyną osobą, która potrafiła znaleźć u siebie dobrą żyłę.

- A co z AIDS? - Pióro Rikera zawisło nad czystą kartką, chociaż wątpił, czy usłyszy coś, co byłoby warte zanotowania. - Może to było samobójstwo?

- Nie - powiedział Slope. - Podejrzewam, że niedawno dostał jakieś pieniądze. Heroina była dobrego gatunku. Prawdopodobnie był przyzwyczajony do kiepskiej hery, mocno zanieczyszczonej. Pomóż mi go przewrócić na brzuch.

Riker schował do kieszeni bezużyteczne pióro i notes, potem wciągnął na ręce plastikowe rękawiczki, nie chcąc dotykać nieboszczyka. Stopień jego przewrażliwienia zależał od tego, jak stary okazał się trup. Ten był już dobrze przejrzały. Dlaczego Mallory nie może tego zrobić? Ostatecznie to jej cholerny ćpun.

Kiedy przewrócili zwłoki na brzuch, ukazały się znaki na plecach. Były to krzyżujące się linie wewnątrz prostokąta.

- Te ślady powstały już po śmierci - poinformował Slope. - Ale niedługo po niej i zanim przeniesiono zwłoki. Może to odcisk metalowej kratki kanału wentylacyjnego. Wystarczy ją odnaleźć, a będzie wiadomo, gdzie nastąpił zgon. Przypuszczam, że zwłoki przeniesiono przynajmniej dwadzieścia cztery godziny po śmierci.

- Czyli że można będzie tylko postawić zarzut okaleczenia zwłok - powiedział Riker. - Zgadza się?

- Jest tu coś dziwnego. - Slope wręczył Mallory strzałę, opisaną i umieszczoną w plastikowej torbie jako dowód rzeczowy. - Klatkę piersiową przekłuto w kilka dni po zgonie chłopaka. Przypadkowa śmierć upozorowana na morderstwo, uważam, że to ciekawe.

- Nazwałabym to próbą odwrócenia uwagi - uściśliła Mallory. - Czy nie moglibyśmy przez kilka dni skupić się na wynikach sekcji zwłok?

- Naturalnie. Załatw mi jakieś podkładki, żeby formalnie wszystko było w porządku, to wrócimy do tej sprawy.

- Załatwienie podkładek może zająć kilka dni.

- Racja. - Slope uniósł ręce w górę. - A więc czy na coś ci się to przyda? Czy też na próżno traciłem czas?

- Nie ma tu nic, co mogłabym wykorzystać - odparła Mallory. - Ale mógłbyś mi pomóc w czymś innym. Co mi możesz powiedzieć o wylewach?

- Daj mi trochę czasu - prosił Slope. - Czego jeszcze nie wiesz?

- Chodzi o Malakhaia.

Tymi słowami go zaintrygowała. Był równie zaskoczony jak Riker.

- To trwa od roku - powiedziała. - Po każdym wylewie zamiera drobny fragment jego mózgu, Malakhai traci pamięć. Wiem, że

ostatnio proces ten postępuje szybciej. Muszę wiedzieć, ile mi zostało czasu, nim umrze lub całkiem straci pamięć.

- Przykro mi o tym słyszeć. - Doktor wsunął metalowe nosze z powrotem do lodówki i zamknął drzwi. - Jeśli jest leczony, może jeszcze żyć jakiś czas, a jego stan nie pogorszy się gwałtownie. Nie mogę ci podać dokładnej daty jego śmierci. Może to nastąpić jutro albo za rok. Ale pewnego dnia dojdzie do rozległego wylewu. Te, które zdarzają mu się teraz, prawdopodobnie nie wywołują większych uszkodzeń mózgu. Nie wpływają na sprawność fizyczną. Ani na umysłową: nie powodują demencji. Mogą mu ulatywać z pamięci poszczególne dni i konkretne wydarzenia.

- A osoby?

- Może nie rozpoznawać niektórych dawnych znajomych. To zależy od tego, jak groźne są te wylewy.

Riker gapił się na buty, mając nadzieję, że uda mu się ukryć przed Slope'em swoje zaskoczenie - i upokorzenie. Co jeszcze Mallory przed nim zataiła?

- Obecnie doznaje tylko drobnych wylewów - powiedziała Mallory. - Czy mógł niedawno popełnić morderstwo i zapomnieć o tym?

- To możliwe - odparł Slope. - Ale mało prawdopodobne. To nie jest tak jak w przypadku choroby Alzheimera. Zazwyczaj pamięć o tym, co się wydarzyło ostatnio, pozostaje nietknięta, najpierw ulatują najstarsze wspomnienia. Ale to ty powiedziałaś Malakhaiowi, jak została zamordowana jego żona. Czy to nie wyklucza morderstwa z zemsty, skoro Oliver zginął przed partią pokera?

Riker był zły, bo w to też nie został wtajemniczony. Spróbował odszukać jej wzrok.

Mallory celowo ignorowała swego partnera, odwracała się od niego, mówiła tylko do Slope'a:

- Malakhai już wcześniej wiedział, jak zginęła jego żona. Może nie znał wszystkich szczegółów, ale wiedział, że nie wykrwawiła się na śmierć w wyniku rany w ramieniu. Widział więcej trupów od ciebie. I odniósł poważniejsze obrażenia od Louisy.

Doktor Slope potrząsnął głową.

- Dlaczego czekałby ponad pięćdziesiąt lat, żeby się zemścić?

Nie zauważyła, że Riker się od niej odsunął.

- Nie wiem. - Mallory gapiła się na szafkę, w której znajdowały się zwłoki jej ćpuna. - Ale ten trup był wspaniałą próbą odwrócenia uwagi. - Podniosła w górę mały woreczek z zielonego atłasu. Riker poznał, że to ten sam, który dał jej Charles, kiedy pokazywał jej klucze wytrychy z Teatru Iluzji Faustiné.

Wręczyła go lekarzowi.

- Coś ci to przypomina?

Slope przyjrzał się wyhaftowanej literze F.

- Taki sam, jaki znaleźliśmy przy zwłokach Olivera Tree.

- My? - spytał Riker, mając nadzieję, że Slope mówi o swoich pomocnikach. - Czy coś mnie ominęło? Przeprowadzono sekcję zwłok ofiary wypadku?

Slope zsunął niżej okulary.

- Ofiary gwałtownej śmierci, o której było głośno w mediach. Naturalnie, że rzuciliśmy okiem na zwłoki. Żadnego krojenia. Nic nadzwyczajnego. Mallory była jedyną policjantką, która się pofatygowwała do kostnicy. Nie powiedziała ci?

- Musiało jej to wylecieć z głowy. - Riker oparł się o szafkę, czując się nagle niepotrzebny.

Mallory odebrała Slope'owi aksamitny woreczek i odwróciła się do swojego partnera.

- Powiedziałaś mi, że zabójca Olivera musiał jedynie podmienić

klucze, jednym zgrabnym ruchem zastąpić nowe starymi. Dzięki woreczkowi było to łatwiejsze. Mógł to zrobić każdy kieszonkowiec.

Riker nie patrzył na nią, kiedy wkładał kapelusz i zapinał płaszcz. Wydawała się nie dostrzegać, że jest zły. Bardziej prawdopodobne, że było jej to obojętne. Popchnął wahadłowe drzwi i wyszedł, zostawiając Mallory mówiącą w próżnię. Był w połowie korytarza, kiedy usłyszał za sobą odgłos jej kroków.

- Riker, zaczekaj!

Szedł dalej, pragnąc jedynie odetchnąć świeżym powietrzem na ulicy i zaznać odrobiny samotności. Dogoniła go i szła teraz obok. Nie spojrzał na nią - nie mógł.

- Dokąd idziesz, Riker?

- Do teatru. - Spojrzał na zegarek. Spóźni się na spotkanie z Frannym Futurą. - Usunę taśmy policyjne, żeby iluzjoniści mogli...

- Nie tak prędko. Potrzebne mi niektóre przedmioty z pomieszczenia w podium Olivera. Spotkamy się tam. Zjemy razem obiad, dobrze?

- Nie jestem głodny, mała. - Dotarł prawie do końca korytarza i prawie wyczerpała mu się cierpliwość do niej. - Zjemy obiad kiedy indziej, jak dorośniesz.

Poczuł dłoń Mallory na rękawie płaszcza. Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Czyżby w oczach dziewczyny malowało się zdumienie? Tak. Starła się wyczytać coś z jego twarzy, prawdopodobnie się dziwiła, dlaczego jest na nią zły. Wczuwanie się w czyjeś położenie nie należało do jej mocnych stron.

- Nigdy się nie zmienisz, Mallory. Pamiętam, że nigdy się nie nauczyłaś dzielić zabawkami z innymi dziećmi.

- Dobrze wiesz, że nigdy się nie bawiłam z innymi dziećmi. - W słowach tych nie było skargi, stwierdzała suchy fakt. To był dobry strzał, celny strzał.

Podczas tych wszystkich lat, kiedy obserwował, jak Kathy Mallo-ry dorastała, nigdy nie słyszał, żeby miała chociaż jedną koleżankę w swoim wieku. Zadowalała się towarzystwem gliniarzy z Wydziału Zabójstw, a komputery zastępowały jej huśtawki na placu zabaw. Wywoływała większy lęk u dzieci z bardziej tradycyjnych domów niż puste ulice i wyrzucone kartony po lodówkach.

Jego głos stał się łagodniejszy, jakby mówił do Kathy dziecka.

- Wiesz, że nie wolno tak traktować swojego najbliższego współpracownika. Przekazałem ci wszystkie informacje, jakie uzyskałem. Ale ty...

- Za każdym razem, kiedy przedstawiałam ci dowód, miałeś jakieś zastrzeżenia. Za każdym razem, Riker. Po prostu nie potrafiłeś być po mojej stronie.

Teraz ją ogarnął gniew. Raz mrugnął powieką i zamienili się rolami - ale jak do tego doszło?

Przybrała wojowniczą pozę, podparła się pod boki.

- Co by się stało, gdybym wspomniała o sekcji zwłok Olivera tamtego dnia na paradzie? Czy byś mnie nie wyśmiał? A potem trzymałeś z Coffeyem przeciwko mnie.

Nie, chwileczkę. Nie uda jej się to - przynajmniej nie dzisiaj. Źle postąpiła i nie zrzuci winy na niego.

- Świetnie - powiedział, rozpinając guziki płaszcza.

- Chcesz dostać z powrotem swój przeklęty prezent? Proszę bardzo.

- Nie, zaczekaj. - Wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie.

- Zasłużyłeś sobie na płaszcz. - Było po burzy. Uśmiechała się niewyraźnie, zapinając mu guziki. Potem przesunęła mu dłońmi po ramionach i sprawdziła, czy nie ma nigdzie żadnego pyłku. Kiedy się uśmiechała, znów była dziesięcioletnią Kathy.

To nie było fair.

- Płaszcz jest zapłatą - powiedziała. - Za to, że załatwiłeś denty-
stę.

- Co?

Mallory się odwróciła i wróciła do kostnicy, zostawiając go zmieszane-
go i z lekko ściśniętym sercem. To był jej sposób postępowania,
niezmienny od lat - zadać cios i uciec.

Dentystę?

Od dawna nie wspominał tego wydarzenia. Ile miała wtedy lat -
jedenaście? Zgłosił się na ochotnika, że po szkole zaprowadzi ją do
dentysty. W poczekalni lekarz powitał go z uśmiechem.

- A gdzie inspektor Markowitz? - Wskazał na dziewczynkę stoją-
cą obok Rikera. - Zabiła go?

Mała Kathy nie widziała w tym nic śmiesznego. Już się szykowa-
ła, by kopnąć mężczyznę w gołeń, ale Riker, złapawszy ją za koł-
nierz płaszcza, powstrzymał jej wojownicze młodzieńcze zapędy.

Dentysta, zachwycony swym poczuciem humoru, spytał:

- Czy tym razem możemy przykuć tego potwora do fotela?

Riker przyparł lekarza do ściany i zapytał, czy przykuwa do fotela
jakieś inne małe dziewczynki, czym wywołał konsternację u denty-
sty. I czy uważa, że to jest normalne?

Oczy Kathy się zaświeciły, kiedy przez chwilę miała nadzieję, że
dentysta straci wszystkie zęby, ale Riker, ku jej rozczarowaniu, pu-
ścił mężczyznę.

Potem wziął dziewczynkę za rączkę i wyprowadził ją, by przez
godzinę karmić z nią wiewiórki w Washington Square Park. Mówił o
życiu i tłumaczył, że mogłoby to być niesprawiedliwe, niegrzeczne.
Cóż za idiota. Jakby dziecko ulicy potrzebowało takich morałów,
dziecko, które jadło to, co wygrzebało ze śmietników w dni, kiedy
nie udało mu się niczego ukraść na obiad. Kiedy ją zapytał, czy den-
tysta sprawił jej przykrość swymi słowami, mała dziewczynka

potrzęsnęła główką w milczeniu. „Nie, skądże znowu, ty głuptasie” - skłamała.

W tamtej krótkiej chwili poznał ją lepiej; przygryzła zębami dolną wargę, zachowując stoicki spokój. Gdyby się rozplakała albo poskarżyła - chociaż raz - nie miałaby dziś nad nim takiej władzy.

Spojrzał na swój nowy płaszcz. Zapłata? Czy według niej wtedy ostatni raz stanął po jej stronie?

ROZDZIAŁ 13

Mallory zasłoniła oczy przed stojącym nisko słońcem i przyglądała się mężczyźnie na drabinie. Pracował przy tradycyjnym daszku, obwiedzionym żółtymi żarówkami i zwieńczonym rzędem eleganckich złotych liter. Robotnik mocował ostatnią literę w napisie Teatr Iluzji Faustine. Informacje o aktualnym programie widniały na białych polach z trzech stron prostokątnej markizy. Wśród artystów biorących udział w najbliższym przedstawieniu na czołowym miejscu wymieniono Franny'ego Future. Tylko to nazwisko było znane Mallory.

Budynek znajdował się dwadzieścia pięć przecznic na północ od dzielnicy teatrów, ale to był Broadway. Niezły adres jak na kogoś, kogo Charles opisał jako zmęczonego życiem iluzjonistę prezentującego ograne numery.

Mallory odwróciła się w stronę szklanych drzwi wykończonych cienkimi stalowymi kółkami. Riker usunął żółte taśmy, jakimi ogrodzono miejsca wypadku. Czy nadal tu był? I wciąż się gniewał? Prezent urodzinowy od niej powinien mu wynagrodzić jej rozliczne grzechy, stanowił przedpłatę za przyszłe przewinienia, sama jeszcze nie wiedziała jakie. Prawdę mówiąc, kupiła mu płaszcz, by nie marznął w zimie, bo stare palto było zbyt wytarte. Ale to proste wyjaśnienie za drogo by ją kosztowało.

Przystanęła w wejściu, by obejrzeć niedawno zainstalowaną gablotę ze szkła i chromu. Zdjęcia babki Olivera otaczały tablicę ku jej pamięci. Fotki, umieszczone zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przedstawiały Faustine w różnym wieku: począwszy od ciemnowłosej dziewczyny do korpulentnej diwy w peruce. Na ostatnim portrecie wokół oczu miała czarne obwódki, a usta pomalowane ciemną szminką. Wśród cech, które pozostały niezmiennie przez całe długie życie Faustine, były nienasyconie, wystający podbródek, znamionujący upór, i bezlitosne spojrzenie. Mallory ciekawa była, czy ktokolwiek kiedykolwiek sprzeciwił się tej kobiecie. Doszła do wniosku, że nie.

Pchnęła drzwi i znalazła się w niewielkim foyer. Od czasu aukcji zaszyły tu kolejne zmiany. W zacisznym kąciaku postawiono ciemnozieloną kanapę. Zapach nowej skóry mieszał się z zapachem świeżego tynku. Zaśniedziała mosiężna spluwaczka przysiadła na podłodze obok stojącej popielniczki. Ściany i wykładziny były w jaśniejszym odcieniu zieleni. Faustine najwyraźniej miała słabość do tego koloru - i do atrakcyjnych młodych chłopców.

Terminatorzy starszej pani byli przedstawieni na ogromnym plakacie teatralnym oprawionym w ozdobną złotą ramę. Mallory przeczytała napis na małej mosiężnej tabliczce na ścianie z prawej strony plakatu.

A więc to zdjęcie zachowało się z 1940 roku, kiedy Faustine jeszcze żyła; zanim usunięto teatralne fotele, by pomieścić stoliki; zanim do miasta wkroczyła wojna w szarych mundurach wojsk okupanta. To było dwa lata przed pojawieniem się Louisy w Paryżu. Oliver Tree nie był wymieniony wśród młodych artystów w smokingach i cylindrach. Widocznie nawet rodzona babka nie uważała go za iluzjonistę.

Młody Max Candle stał w głębi, ledwo się mieszcząc w kadrze. Z jego postaci biła młodzieńcza energia. Wyglądał, jakby sztywniał się

do lotu, jakby chciał uciec sprzed obiektywu i wtargnąć do prawdziwego życia. W jego oczach malowało się oczekiwanie cudownych wydarzeń, które miały nastąpić.

Ale jeszcze bardziej przykuwał wzrok Malakhai, chociaż mógł mieć wtedy zaledwie piętnaście lat. Stanowił centralną postać na fotografii, siedział na krześle o wysokim oparciu niczym młodociany król z długimi włosami opadającymi na szerokie ramiona. Pan Halpern w pewnym sensie miał rację - zestarzały się tylko włosy Malakhai. W nim samym pozostało coś z chłopca i chłopięcej urody.

Reszta poddała się upływowi czasu, zupełnie zmieniając się ze wewnątrz. Młody Emile St John miał gęste kręcone włosy i figurę boga - dalekiego boga, bo utkwiał wzrok w jakimś tylko sobie widocznym pejzażu. Franny Futura był delikatny, niemal dziewczęcy z pełnymi, wydatnymi ustami i długimi rzęsami. Ale Mallory z ledwością rozpoznała nastoletniego Nicka Prado, uroczego i pełnego melancholii. Stał trochę na uboczu, smagły młodzieniec o wilgotnych hiszpańskich oczach i szelmowskim uśmiechu, który mówił: „Tak, jestem śliczny, nieprawdaż?”. Starszy pan Prado niewiele przypominał tego pełnego wdzięku chłopca. Jedyne, co przetrwało, to miłość własna.

Mallory się odwróciła, słysząc śmiech. Zajrzała przez okrągłe szklane okienko w drzwiach na widownię. Zobaczyła na scenie trzech terminatorów Faustine. Emile St John stał obok wyjścia za kulisy. Nick Prado i Franny Futura siedzieli na drewnianych skrzyaniach. Między mężczyznami krążyła butelka wina. Stoły wniesione na czas aukcji zniknęły, podobnie jak podium Olivera. Musieli je zabrać ludzie z filmu.

Niech cię diabli, Riker.

Wiedział, że chciała jeszcze raz rzucić okiem na wnętrze podium, a jednak pozwolił, żeby nowy właściciel wysłał nabytek na

Zachodnie Wybrzeże. Zła pchnęła wahadłowe drzwi i ruszyła środkiem sali.

- Co panowie tutaj robią? - Trzy głowy odwróciły się w jej stronę. - Mam nadzieję, że nie opijacie śmierci bratanka Olivera.

- Witam. - Nick Prado uśmiechnął się i wciągnął brzuch.

- Dzielimy łupy po aukcji. - Podniósł w górę pęk kluczy.

- Wpuścił nas sierżant Riker. - Spojrzał na butelkę szampana, którą trzymał w ręku. - I naturalnie musieliśmy odpowiednio uczcić nadanie nazwy teatrowi Olivera.

Zmrużywszy oczy, żeby lepiej widzieć, Franny Futura podszedł niebezpiecznie blisko krawędzi sceny. Zazwyczaj czysty i schludny, dziś miał przekrzywiony krawat i usta rozchylone w głupawym uśmiechu. Trzymał plastikowy kieliszek i szedł, zataczając się jak pijany, w pewnej chwili nogi mu się poplątały, potknął się i przewrócił na plecy. Z oczami okrągłymi i niewinnymi niczym u wystraszonego dziecka Futura usiadł na deskach sceny i szeroko rozłożył nogi. Gapił się na swój kieliszek, z którego jakimś cudem nie wylało się wino, i mamrotał coś niezrozumiale. Mogło to być: „A jednak Bóg jest”.

Mallory weszła po schodkach na scenę.

- Gdzie podium? - Jeśli zabrano je niedawno, może jeszcze nie opuściło miasta i uda się do niego dotrzeć.

- Nie ma powodów do niepokoju. - Emile St John rozsunął kulisy, by mogła zobaczyć wielką drewnianą konstrukcję znajdującą się za nimi. Wszystkie kusze były na swoich miejscach, wycelowane w drewniane słupy na szczycie podium. - Riker powiedział ludziom z Hollywood, że jeszcze przez kilka dni nie mogą go zabrać.

- Prawnik Olivera jest panią zachwycony. - Prado znalazł się u jej boku, stał zbyt blisko, przy każdym słowie ział na nią oparami alkoholu. - Prawdopodobnie dzięki temu trupowi cena wywoławcza

podium wzrosła dwukrotnie. I naturalnie Franny też panią kocha. Wszystkie bilety na jego występy zostały sprzedane. - Spojrzał na Futurę siedzącego na podłodze i spokojnie popijającego szampana. - A ty myślałeś, że ta scena jest za daleko od dzielnicy teatrów, by ściągnąć tłumy. - Prado się schylił i klepnął Futurę w plecy. Ten skłonił się do przodu, a potem wolno przewrócił się na wznak. Leżał teraz plackiem na podłodze, nie uroniwszy ani kropli wina z kieliszka.

Emile St John zrezygnował z otwarcia kolejnej butelki szampana. Ujął jedną potężną dłonią ramię Futury, by pomóc mu wstać.

- Chyba masz dość wina, Franny?

Prado uśmiechał się do Mallory, uderzając ręką w czarny jedwabny krążek, który przemienił się w cylinder.

- Wybaczy pani Franny'emu? Nie jest sobą.

Bardzo niedobrze.

Futura wspierał się na ramieniu St Johna, uśmiechając się do niej i nie odczuwając najmniejszego lęku - ale to się zmieni. Jutro rano, kiedy wytrzeźwieje, Mallory oficjalnie przystąpi do śledztwa. Specjalnie, żeby mu napędzić stracha, poleci dwóm mundurowym gli-niarzom, by sprowadzili Futurę na posterunek. Nie dawała mu wielkich szans, że wytrzyma przesłuchanie dłużej niż pięć minut.

Nick Prado poprawił Futurze krawat.

- Nie bardzo jest teraz na co patrzeć, prawda? Szkoda, że nie poznała pani Franny'ego, kiedy był młody i piękny. Faustine zatrudniała tylko najbardziej ponętnych chłopców w Paryżu. Ach, cóż czas może uczynić z człowieka.

Widocznie Prado nie zaliczał siebie do tych, którzy się starzeją. Jakie przedziwne lustro musiał mieć ten egoista, tremo, które czyniło go ślepym na upływ czasu, może coś w rodzaju krzywego zwierciadła Maksa Candle'a. Wykonana przez Olivera Tree kopia tego

rekwizytu leżała na drewnianej skrzyni. Nierówna tafla lustra służyła jako prowizoryczny blat dla butelek szampana i zestawu pojemników z daniami z garmażerii.

Obserwowała odbicie St Johna w zwierciadle, na zmianę był to chudy, to gruby. Nie postarzał się tak bardzo. Nadal zostało w nim sporo ze spokojnego chłopca z plakatu, dźwigał dodatkowe kilogramy jak brzemień, pogodzony z losem. Tego mężczyznę niełatwo złać. Jego przesłuchanie będzie najciekawsze.

Mallory oceniła pozostałości zaimprovizowanego pikniku starszych panów. Krzywe zwierciadło było pobrudzone resztkami dań garmażeryjnych, położonych na tekturowe tacki. Wpatrywała się w Futurę, aż spojrzał na nią szklanymi oczami.

- Nie zaprosiliście na swoje przyjęcie Malakhaia?

- Jestem pewien, że wkrótce się pojawi - odparł Futura, niewzruszenie zadowolony. - Myszkuje po piwnicy Charlesa.

St John wyjął z papierowej torby plastikowy kieliszek do wina.

- Gdzie jest jeszcze jeden szampan...

- Ja go mam. - Prado mocował się z kolejną butelką. Korek wystrzelił z hukiem. Franny Futura podskoczył, z pewnym opóźnieniem reagując na hałas.

St John wręczył Mallory kieliszek i nalał jej markowego szampana, który musiał kosztować majątek. Zapalił cygaro, również bardzo drogie.

- Kubańskie - zauważyła, spoglądając na oderwaną banderolę.

Skinął głową, najwyraźniej nie przejmując się tym, że afiszuje się kontrabandą w obecności policjantki. Skierowała swoje pytanie do kieliszka trzymanego w dłoni:

- A więc Malakhai nie znalazł tego, czego szukał w piwnicy?

St John wzruszył jedynie ramionami na znak, że nie ma pojęcia.

- Może Charles coś wie. Zabrakło nam jedzenia, no i skoczył do delikatesów razem z sierżantem Rikerem. Niedługo powinni wrócić.

- Sądzicie, że Malakhai może szukać zdjęcia swojej żony? - Odstawiła kieliszek na zwierciadło. - Rozumiem, że nie zachowało się wiele fotografii Louisy. - Odwróciła się do Futury. Uśmiechnął się i wolno podniósł obie ręce, żeby jej pokazać, że nie ma niczego, co by ją interesowało. Mallory podeszła krok bliżej. - Pamięta pan, jak wyglądała? Dokąd sięgały jej włosy, kiedy zobaczył ją pan po raz pierwszy?

Futura wskazał punkt tuż poniżej ramion.

- Mniej więcej dotąd.

- O ile sobie przypominam, miała bardzo krótkie włosy.

- Prado nalał wina do kieliszka pijanego Futury.

- To było później - powiedział ten. - Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem... - Urwał, gdy Prado wznosił kieliszek proponując toast:

- Za kolejne wspaniałe dni w teatrze Faustine.

St John stuknął się z nim kieliszkiem.

- Wspaniałe? Och, Nick, ty kłamczuchu. - Jedną ręką zatoczył koło, obejmując całe pomieszczenie. - Oliver wprowadził szereg ulepszeń. Teatr Faustine był cudownie zapuszczony. Po śmierci starszej pani przekształciliśmy go w knajpę z występami. Powietrze było gęste od dymu. Podłoga cuchnęła whisky i winem.

- A jedzenie było okropne. - Mallory stanęła twarzą do St Johna, przyjmując postawę boksera gotowego do walki.

- Niemieccy żołnierze byli waszymi najlepszymi klientami. Ale nie przychodzili do was oficerowie. Jeśli nie liczyć wieczoru, kiedy pojawił się Malakhai w mundurze esesmana. - Jak wypadła w oczach St Johna? Nic nie mogła wywnioskować z jego obojętnej miny.

Czego trzeba, by wyprowadzić tego człowieka z równowagi?

- Jednak interes nieźle szedł. - Nick Prado przerwał niezręczne milczenie, które zaległo między Mallory a St Johnem, i napełnił ich kieliszki. - Niemcy dostawali jedynie za dużo darmowych drinków. Więc nigdy nie starczało nam pieniędzy. - Wziął kieliszek Mallory i podał go jej.

- Ale to była świetna zabawa. Trwała kilka lat.

- Lecz nie przynosiła zysków. - Mallory nie spuszczała wzroku z St Johna. - Wszyscy mieliście jakieś inne zajęcia, by związać koniec z końcem. Czym pan się trudnił?

- Miałem smykałkę do opróżniania ludziom kieszeni.

- Potężny mężczyzna skłonił się, wyciągając rękę z błyszczącym złotym przedmiotem wiszącym na dewizce. - Sądzę, że to należy do pani.

Mallory trzymała teraz w jednym ręku wino, na które nie miała ochoty, a w drugim - swój zegarek. Jej informator z Interpolu potwierdził słowa St Johna, próbowała pogodzić pracę Emile'a w instytucji stojącej na straży prawa ze zdolnościami złodziejskimi. Nie przyszło jej do głowy, by spojrzeć w lustro, kiedy odstawiła swój kieliszek.

- A jak Louisa zarabiała pieniądze?

Pierwszy przemówił St John. Zawsze pozostanie najważniejszy w tym towarzystwie. Pozostali trzymali się z tyłu.

- Louisa grała na ulicy na skrzypcach.

Futura wypił swoje wino i powiedział:

- Ale więcej zarabiała na grze w pokera za kulisami teatru.

- W tym samym pomieszczeniu, w którym została zamordowana?

Futura na chwilę wytrzeźwiał. Potem Prado klepnął go w plecy, jakby to miało sprawić, że mężczyzna pogrąży się znów w pijackim otępieniu - i sprawiło.

- Śmierć Louisy to była tragedia - oświadczył St John.

- Nieszczęśliwy wypadek.

Mallory odwróciła się do niego.

- Tak jak śmierć Olivera?

- Otóż to. - Uśmiechnął się zadowolony, że zrozumiała, w końcu.

- Mogę dowieść, że Oliver został zamordowany. - Przesuwała wzrok po twarzach obecnych. Tylko na obliczu Futury malowało się znużenie.

Prado uśmiechnął się do niej oblesnie.

- Taka śliczna, a tak chorobliwie interesuje się morderstwami. Czy w pani życiu liczy się coś oprócz śmierci?

- To ciekawość zawodowa, Prado. - Obserwowała go kątem oka, nie raczyła się nawet odwrócić w jego stronę, tylko rzuciła uwagę w przestrzeń. - Wiem, czym się pan zajmował podczas wojny. Współpracował pan z Brytyjczykami. Był pan wytrawnym strzelcem wyborowym.

- Nie tylko. - Jego uśmiech był dobroduszny, nie miał jej za złe drobnego przeoczenia, tego, że nie doceniła go w pełni. - Na scenie byłem mistrzem sztuczek z bronią palną.

- Był pan snajperem. - Powiedziała to tak, żeby zabrzmiało jak zniewaga. Patrzyła na niego, jakby akurat zauważyła, że stoi metr od niej, a ona przyłapała go na braku konsekwencji. - Nigdy nie stał pan tak blisko swoich ofiar. Miały rozmiary owada, kiedy je pan zabijał. A to dobrze pasuje do próby zabójstwa podczas parady. Tak się właśnie składa, że szukam zabójcy celującego z daleka, który wystrzelił z broni.

Roześmiał się głośno, czym ją rozczarował. Pragnęła go sprowokować do wybuchu gniewu.

- A więc o to chodzi? Kto strzelił do nadmuchanego pieska? - Prado wskazał jej nietknięty kieliszek z winem.

- Proszę się napić wina, Mallory. Odprężyć się.

St John zachował powagę.

- Jeśli to jest przesłuchanie, może powinienem poprosić swojego adwokata.

- Przecież ty nie mogłeś strzelić do balonu. - Futura rozciągnął usta w głupim uśmiechu. Podreptał do Emile'a St Johna i ścisnął jego ramię, by mu dodać otuchy. - Kiedy padł strzał, byłeś ze mną na platformie.

- Następnym razem - zapowiedziała Mallory - snajper nie spudłuje. Jeden z was zginie. Jeśli wam życie miłe, lepiej ze mną porozmawiajcie. To wszystko wiąże się ze śmiercią Louisy. Może od tego zaczniemy?

- W chwili śmierci Louisy - odparł Prado - nie mieliśmy żadnego doświadczenia w zabijaniu. Żaden z nas nie brał wcześniej udziału w wojnie.

- Nieprawda. - Futura wstał, chociaż trochę się chwiał na nogach pod wpływem wypitego alkoholu. - Emile brał udział w wojnie. Działał w ruchu oporu.

St John po raz pierwszy zdradził zaskoczenie.

- Wiedziałeś o tym, Franny? Ale skąd?

- Niech zgadnę. - Mallory zwróciła się do Futury: - Pozna swój swego?

- Zgadza się - potwierdził.

Mallory podeszła bliżej do Futury.

- Istniał jeszcze jeden sposób, żeby się o tym dowiedzieć: jeśli pracowało się dla Niemców.

Prado opiekuńczo objął ramieniem pijanego mężczyznę.

- Mówiłem pani, Mallory, że połowa paryżan współpracowała z Niemcami. Ja sam miałem z nimi konszachty. Kochałem amerykańskie papierosy, ale Niemcy mieli najlepsze francuskie wina. Co miałem robić?

Mallory nie zwracała na niego uwagi i zwróciła się do Futury:

- Członkowie ruchu oporu? To eleganckie określenie terrorystów.

Pan i Emile rzucali bomby i uciekali, zanim dotknęły ziemi. Więc mając was dwóch... - spojrzała na Prado - ...i tego snajpera, dysponując trójką zabójców specjalizujących się w zabijaniu na dużą odległość.

- W pani ustach brzmi to naprawdę złowieszczo - rzekł Prado. - To zupełnie co innego niż robota policjanta, prawda? Wy biegniecie w kierunku wroga. Chcecie go złapać, przewrócić na ziemię. Bardzo podniecające, prawda? Czy w pani życiu brak normalnych kontaktów seksualnych, sierżant Mallory?

- Nick! - powiedział tylko St John. Cieszył się wśród nich wyjątkowym autorytetem. Pozostali mężczyźni niechętnie przeszli na bok sceny.

Mallory podążyła za Prado. Jeszcze z nim nie skończyła.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku prowadził pan całkiem dochodowy interes. Widziałam próbki pańskich umiejętności w paszporcie Louisy. - Odwróciła się do St Johna i Futury. - Wszyscy mieliście coś do stracenia, gdyby została schwytana przez Niemców. Ich więźniowie zawsze zeznawali, prawda?

- Francja pétainowska była równie okrutna - oświadczył Prado. - A czego Niemcy mogliby chcieć od Louisy? Kiedy przyjechała do Paryża, była uczennicą

Mallory odwróciła się do niego i pokręciła głową, by dać mu do zrozumienia, że przyłapała go na kłamstwie.

- Wiedział pan wtedy, że Louisa nie jest zwykłą uciekinierką. Malakhai sprowadził ją do Paryża, obciął jej włosy i ubierał ją jak chłopaka. Potem ukrył Louise w jedynym miejscu, w którym nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby jej szukać: na scenie, w świetle jupiterów, tuż pod nosem niemieckich żołnierzy. Nawet gdyby nigdy nie wspomniał, że uciekła z obozu, wiedział pan, że jest poszukiwana. Wszyscy wiedzieliście.

Skupiła uwagę na Futurze, podejrzewając, że ten - pijany czy trzeźwy - załamał się najszybciej.

- Malakhai strzelił do swojej żony z kuszy. Ale to nie on ją zamordował. Zabójca wkroczył wówczas, gdy Malakhai wybiegł już z teatru.

Futura zwrócił się do Nicka Prado, być może przekonany, że mówi szeptem:

- Malakhai złamał...

Prado otoczył mężczyzną ramieniem, spojrzał w jego pijaną twarz i nakazał mu milczenie. St John ponownie napełnił kieliszki.

- Mniej mów, więcej pij, Franny. - Zwrócił się do Mallory: - A więc to jednak oficjalne przesłuchanie?

- Skądże znowu - zaprzeczyła. - Raczej wyświadczam panom przysługę. Jeden z was zamordował Louise. - Mallory wpatrywała się w Futurę i z zadowoleniem zauważyła, że tym razem rozlał wino. Nachyliła się blisko jego ucha. - Lepiej, jak się przyznacie, nim wpadniecie w łapy Malakhaia. Wiecie, co robił podczas wojny. Rozrywał swoje ofiary na strzępy.

Prado już się nie uśmiechał, kiedy nalewał Futurze wino.

- Wszyscy zgodziliśmy się zachować milczenie, jeśli chodzi o Louise, ze względu na Malakhaia. To stare dzieje, Mallory. Lepiej do nich nie wracać.

- Śmierć Olivera wydarzyła się całkiem niedawno.

- Ale co to ma wspólnego z Louisą? - Prado robił wrażenie na prawdę zirytowanego.

- Oliver pomagał Maksowi Candle'owi i Malakhaiowi budować podium, ale nie widział was od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku do dnia swojej śmierci w Central Parku. - Spoglądała po kolei na wszystkich, wypatrując jakiegoś znaku, że się myli, że skłamali, składając wyjaśnienia na policji. - A więc minęło pięćdziesiąt lat. I nagle pojawił się ze swoim tajemniczym zaproszeniem.

Jeden z was pomyślał, że Oliver zamierza opowiedzieć o śmierci Louisy. Oskarżenie o morderstwo nigdy nie ulega przedawnieniu. A sprawa wydaje się jeszcze mniej zabawna, kiedy się wie, co jej mąż robił w czasie wojny. Kto chciałby mieć za przeciwnika Malakhaia? - Czy był ktoś taki poza nią?

Futura unióśł rękę do ust, jakby za chwilę miał zwymiotować. Nick Prado skinął głową i sprowadził mężczyznę po schodach, a potem ruszył z nim w kierunku foyer, ze słowami:

- Chyba koniec przyjęcia, Franny.

St John podążył za nimi. Kiedy drzwi zamknęły się za tą trójką, Mallory rozchyliła kurtynę, by odsłonić replikę podium Maksa Candle'a. Tym razem sprawdziła, czy w magazynkach kusz nie ma strzał, nim po trzynastu stopniach weszła na górę.

Spędziła kilka minut na czworakach, robiąc pomiary i sprawdzając zapadnie w podłodze. Umieszczone były w tych samych miejscach co w oryginalnym podium Maksa Candle'a. Różniły się jedynie zawiasy drzwi zapadowych. Oliver zastosował lepsze, solidniejsze. W miejscu ich mocowania nie było szerokiej szpary w deskach.

Kiedy skończyła oglądać podium z zewnątrz, dotknęła mechanizmu zapadkowego w ścianie i drzwi się otworzyły. Zajrzała do mrocznego wnętrza. Kiedyś za nic nie weszłaby do takiego pomieszczenia, bo miało tylko jedno wejście, a Kathy, przebiegłe dziecko ulicy, zawsze unikała wszystkich pomieszczeń przypominających pułapkę. Nawet teraz niezbyt jej się podobała perspektywa wejścia do środka.

Nie potrafiła powiedzieć, co sprawiło, że się obejrzała. Emile St John bezszelestnie zakradł się z powrotem na scenę i stał teraz za nią. Trzymał jej zegarek - znowu.

- Przepraszam, siła przyzwyczajenia. - Zwrócił jej zegarek, a potem wyszedł przez rozsuniętą kurtynę i skierował się do prowizorycznego stołu. Podniósł pełny kieliszek wina, który zostawiła na lustrze. - Jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać. Może przy winie.

Mallory wzięła plastikowy kieliszek z jego wyciągniętej ręki.

- Chce pan, żebym przestała straszyć Franny'ego Futurę.

- Cóż, dobrze by było. - Uśmiechnął się, nalewając także sobie. - Franny był zawsze bojaźliwy. Ale jestem pewien, że wystarczyła pani chwila, żeby się tego domyślić.

Skinęła głową.

- Więc jakim cudem znalazł się w ruchu oporu? To nie pasuje do...

- Koktajli Mołotowa i pistoletów maszynowych? - Roześmiał się, jakby to był świetny dowcip. - W Paryżu Franny był za dnia urzędnikiem pocztowym. Nigdy w życiu nie podłożył ani jednej bomby, nigdy nie miał w ręku broni. Jego praca dla ruchu oporu polegała na przechwytywaniu listów z donosami. Czy pani...

- Listów od kapusiów. - Osobiście była po stronie kapusiów. Policja nie mogłaby bez nich funkcjonować.

- Tak, to brzydki zwyczaj z czasów wojny, ludzie donosili na siebie nawzajem. - Wrócił za kulisy i usiadł na najniższym stopniu podium. - Ale listy rzadko zawierały poważne oskarżenia. Pies sąsiada sika na twoje azalie? Listonosz obłapuje ci żonę? W takim razie donieś na niego, robiąc z faceta wywrotowca. Uczynź to listownie. Nie musisz się podpisywać.

St John oparł się jednym łokciem o wyższy stopień i podejrzliwie spoglądał na jej kieliszek. Ponieważ z nim nie piła?

Przechyliła kieliszek - upiła łyk wina, żeby mówić dalej.

- Donosicielstwo nadal istnieje - ciągnął. - Weźmy na przykład

dziennikarzy i ich tajnych informatorów: przypominają karaluchy, które boją się pokazać w świetle dnia. Wojna niczego ludzi nie nauczyła.

Kiedy umilkł, znów wypita łyk. Riker zawsze utrzymywał, że nie ufa nikomu, kto nie chce się z nim napić. Nigdy nie poszła z Rikerem na drinka. To mogło wiele tłumaczyć.

- Franny uratował życie wielu osobom, przechwytyjąc te listy - powiedział St John. - Ale żył w wiecznym strachu, czekał na pukanie do drzwi, aresztowanie w środku nocy. Czy ma pani pojęcie, jakie okropne rzeczy robiono z takimi ludźmi jak on? Kulka w łeb byłaby błogosławieństwem. I oto pojawia się pani, Mallory, młoda i silna, z bronią, i wali pani w drzwi Franny'ego.

Zastanowiła się nad tą nową rolą, w której ją obsadził - rolą potwora.

- Czy mogę pana o coś zapytać jak gliniarz gliniarza?

Jedynie się uśmiechnął, słysząc jej słowa. Może Malakhai mu powiedział, że zdradził tę tajemnicę podczas rozmowy w restauracji.

Usiadła na schodku obok niego.

- W latach pięćdziesiątych zrezygnował pan z występów jako iluzjonista. Dlatego musiało mnie zaintrygować, skąd pan ma taki majątek, taki wielki majątek. Nie zaoszczędził pan takich sum z pensji szefa biura Interpolu.

To też nie wywołało u niego zaskoczenia. Co było dziwne. Informację o jego wieloletniej pracy w Interpolu uzyskała nie od Malakhaia, tylko od swego komputerowego łącznika z zagranicy. Czy St John się tego spodziewał? Tak, zdradzał to jego uśmiech, który mówił: „W końcu”.

A więc jej internetowy korespondent z Europy ją wydał.

A to gnida, a to mały, nędzny...

- Ma pani rację. - St John sączył wino, smakował je, nie śpieszył się. - Moja kariera sceniczna była krótka w porównaniu ze wszystkimi latami pracy w Interpolu. Ale pokaźny majątek odziedziczyłem po rodzinie. Nie handlowałem na czarnym rynku, jeśli tak pani...

- Uporządkujmy to. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku był pan policjantem nowicjuszem w Paryżu. Wiem, że sfalszowano akt zgonu Louisy. Znajdował się pan na miejscu zbrodni tamtego wieczoru, kiedy zmarła. Co...

- To tylko domysły. - St John podniósł jedną rękę, tak jak robi to policjant z drogówki, zatrzymując ruch, ale on chciał powstrzymać Mallory przed wyciąganiem fałszywych wniosków, zanim w pełni skrytalizują się w jej umyśle. Wyjął cygareto z platynowej papierosnicy, a potem wskazał jej kieliszek z winem. - Proszę pić, a ja będę mówił.

Przyglądała się, jak dla zyskania na czasie sięga do kieszeni na piersiach po małą gilotynkę, a potem ucina koniec cygara. Schował przyrząd i powoli zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki. Mallory się to podobało; zapamiętała sobie ten nowy sposób dręczenia przesłuchiwanym - graniem na zwłokę. Stukała nogą w podłogę, czekając, aż St John zacznie mówić.

- Mallory, wiem, że zasięgała pani o mnie języka. Rozmawiałem z agentem Interpolu, pani internetowym kolegą. - Z wolna pokiwał głową, udając smutek. - Naprawdę powinna sobie pani lepiej dobrać przyjaciół. Philippe Breton okazał się niedyskretny. Od piętnastu lat jestem na emeryturze, więc musiał sobie zadać wiele trudu, by mnie odszukać w nowojorskim hotelu. Zadzwoił z pytaniem, czy poznałem panią osobiście. Chciał wiedzieć, jak wygląda jego tajemnicza policjantka z Ameryki.

St John zapalił cygareto złotą zapalniczką i wypuścił chmurę dymu.

- To młody człowiek o płytkim umyśle. Jest pani o wiele za dobra dla niego. Więc dla ostrożności powiedziałem Philippe'owi, że nosi pani paskudne okulary. Proszę mi wybaczyć, Mallory, ale oświadczyłem również, że ma pani bardzo grube nogi i brzydką cerę. Spodziewam się, że nie przeszkadza pani ta moja ojcowska troska.

Zapała chwila milczenia. Obserwowali, jak dym unosi się wysoko nad ich głowami. Mallory sączyła swojego szampana, a St John zaraz znów przemówił:

- Naturalnie Philippe nie będzie już z panią więcej gawędził. Przeniesiono go w teren: koniec z komputerami. Widzi pani, jego przełożonym opisałem panią zupełnie inaczej. Powiedziałem im o pani złotych włosach, pani prześlicznych zielonych oczach, pani nienasyconym głodzie informacji. Pomyśleli, że lepiej nie narażać młodego mężczyzny na pokusy. Nie spodziewałaby się pani tego po Francuzach, prawda?

- Ładna robota. - Naprawdę tak myślała. Nie była zła, że przez niego straciła informatora w Interpolu. Emile St John był w swoim czasie dobrym gliniarzem. Gdyby się okazało, że to on zamordował Olivera, nie zawahałaby się zażądać dla niego kary śmierci, ale trochę by jej było go żal. - Wie pan, że zamierzam przesłuchać Futureę. Więc chce mu pan załatwić adwokata, tak?

- Naturalnie. - Wypuścił kółko dymu i obserwował, jak się unosi niczym aureola, póki się nie rozplynęło. - Moi prawnicy są całkiem dobrzy. Obawiam się, że nie pozwolą pani dręczyć biednego Fanny'ego podczas poszukiwania jakichś dowodów winy. Ale niepokoją mnie te nieoficjalne przesłuchania. To się musi skończyć. Nie chcę do niczego pani skłaniać łapówkami czy przez wpływowych znajomych, to takie prostackie. Zrobię to jednak, jeśli mnie pani do tego zmusi.

Ta groźba to było coś więcej, niż się spodziewała. Nie zadałby

sobie aż tyle trudu, gdyby Futura nie był kopalnią wiadomości. Ale podejrzliwie traktowała wszystko, co przychodziło jej zbyt łatwo. Może kierował się innymi pobudkami. Może St John był po prostu uczciwym człowiekiem, który nie może spokojnie patrzeć, jak ktoś się znęca nad jego podopiecznym.

- A czym pan się zajmował w ruchu oporu? - I zgodnie z niepisaną umową pociągnęła łyk wina, by skłonić go do mówienia.

- Niektórzy ludzie lubią mówić o wojnie. Ja do nich nie należę. - St John przez chwilę badał wzrokiem twarz Mallory. Zaniepokoiło go to, co dostrzegł w jej oczach. - Muszę już iść. - Wziął butelkę z podłogi i postawił ją na stopniu obok niej. - Mam nadzieję, że ją pani dokończy. Byłoby zbrodnią zmarnować markowego szampana.

- Przypuszczam, że niektórzy ludzie mają słuszne powody, by ukrywać to, czym się zajmowali w czasie wojny.

Przystanął obok kurtyny.

- Nie spodziewam się, by pani to potrafiła zrozumieć, Mallory. Nie przeżyła pani wojny.

- Wiedział pan, że Futura działał w ruchu oporu. Prosimi pana, żeby miał pan na niego oko, prawda? Był pan jego aniołem stróżem.

Znów odwrócił się do niej przodem.

- Bardzo dobrze, Mallory. Tak, niektórzy martwili się o bojaźliwego Franny'ego. Ale w moich oczach czyniło to z niego bohatera.

- Ile osób wiedziało o pańskich związkach z ruchem oporu?

- Cztery. Trzy z nich nie żyją.

- Ale Futura nie był jedną z nich. Dlatego zdziwił się pan, że o tym wiedział. Któż mógłby mu zawierzyć taką tajemnicę? Pan nie. To dość oczywiste. - Jego twarz nadal nie zdradzała nic, co Mallory mogłaby wykorzystać. - Nie sądzę, aby pan i Prado obracali się w tych samych kręgach co Futura. Żaden z was nie widział go od

zakończenia wojny. Mam rację? St John skinął głową.

- Po śmierci Louisy zamknęliśmy teatr. To był koniec wszystkiego. Byliśmy...

- Kiedy Futura powiedział, że działał pan w ruchu oporu, Prado nie okazał zdziwienia.

- No cóż, Nick zawsze o tym wiedział. Nie raz korzystałem z jego umiejętności podrabiania dokumentów.

- Nie zrozumiał pan, o co mi chodzi. Obserwowałam twarz Prado. Nie zdziwił się, że Futura znał pański sekret. To pański stary przyjaciel mu o wszystkim powiedział. A teraz zadaje pan sobie pytanie, kiedy Prado pana wydał. W zeszłym tygodniu? Czy też podczas okupacji? Kiedy zdradził pańską tajemnicę temu bojaźliwemu człowieczkowi?

Tak, dostrzegła malutką rysę w murze, który wzniesli wokół siebie iluzjoniści. Emile St John będzie zachodził w głowę, ale na tym poprzestanie. Wiedziała, że nigdy nie zada Nickowi Prado żadnych pytań. Po prostu będzie żył dręczony wątpliwościami. Taki już jest.

Teraz ogarnął go głęboki smutek; przenikał do kości jak słotna pogoda - i wywołał w nim uczucie zimna, chociaż mężczyzna tylko lekko się wzdrygnął.

- Jest pani lepsza ode mnie. Urodziła się pani do tej roboty.

To nie był zdawkowy komplement i Mallory o tym wiedziała. Emile St John już jej to wytłumaczył - była supergliną, pukającym do drzwi potworem z nocnych koszmarów Franny'ego Futury.

Mallory stała między rozsuniętą kurtyną i obserwowała St Johna, jak się oddalał. Kiedy dotarł do końca sali i zamknęły się za nim drzwi, odstawiła kieliszek na krzywe zwierciadło. Jej wzrok padł na odbicie w lustrze, na zniekształconą, wydłużoną twarz. Obraz stał się

bardziej groteskowy, kiedy się poruszyła, jej rysy się skurczyły, przybierając wyraz okrucieństwa. Potrząsnęła głową, próbując wywołać inne odbicie swej postaci, ale nie ujrzała w lustrze normalnej kobiety.

Lekki powiew zimnego powietrza poruszył jej włosy, jakby ktoś przeszedł za nią. Odwróciła się i spojrzała na okno za kulisami. Szyby były wybite, otwór przesłonięto kawałkiem folii. Wiatr wciskał się przez wąskie szpary między calowymi gwoździami.

Mallory wyciągnęła rękę, by złapać za łańcuszek, który służył do zapalania żarówki wiszącej pod niskim stropem. Okrągły metalowy klosz, identyczny jak w podium Maksa Candle'a, rzucał krąg jasnego światła na podłogę, ale sufit pograżony był w mroku. Ściany obu podwyższeń nie różniły się, jeśli chodzi o rozmieszczenie rowków i kołków.

Spojrzała na drzwi zapadowe, ledwo mogąc dostrzec ich kontury. Wszystkie dźwignie i zaczepy znajdowały się na zewnątrz - jak w oryginale Maksa. Skończyła zbieranie danych o pomieszczeniu. Nie potrzebowała żadnych rysunków, wystarczały jej liczby, które mogła wprowadzić do komputera.

Poczuła na plecach pęd powietrza wywołany zamykającymi się drzwiami. Zbyt późno się odwróciła.

Nie!

Drzwi mocno się zatrzasnęły. Jak w podium Maksa od środka nie było w nich gałki. Naparła na nie, ale ani drgnęły. Waliła pięściami, pomstując w myślach: „Głupi, głupi błąd!”.

Nawet jako dziecko pilnowała się, żeby nigdy nie odwracać się tyłem do drzwi. W wieku ośmiu lat nauczyła się unikać wszelkich pomieszczeń bez wyjścia zapasowego, przez które w razie czego mogłaby uciec przed przymilnymi alfonsami i szaleńcami włóczącymi się po ulicach. Zanim się tego nauczyła, nie raz oberwała,

a potem kryła się, by lizać rany i powtarzać sobie to, czego nauczyło ją doświadczenie i bity: nikomu nie ufaj - nigdy nie odwracaj się plecami.

Nigdy! Nigdy! Znowu uderzyła w drzwi.

Jak mogło jej się to przytrafić? Powinna je czymś zablokować, żeby się nie zatrzasnęły.

Głupi błąd.

Teraz waliła w drzwi jedną pięścią, aż bolała ją ręka, ale uważała, żeby jej nie złamać. Ból to dobra rzecz. Sprawia, że jaśniej się myśli. Mallory wyjęła telefon komórkowy z kieszeni blezera, ale nie było sygnału. Okazało się, że akurat tutaj, gdzie jest, nie ma zasięgu.

St John powiedział, że Charles i Riker powinni wkrótce wrócić. Ale czy zostaną, jeśli stwierdzą, że w teatrze nie ma nikogo, że przyjęcie najwyraźniej się skończyło? To pomieszczenie było na tyle szczelne, że nie wydostał się z niego smród rozkładających się zwłok Richarda Tree. Czy było hermetyczne? A także dźwiękoszczelne?

Mallory usłyszała nad sobą trzask. Żarówka zgasła, w środku zrobiło się ciemno i musiała pamiętać, żeby oddychać.

Chociaż знаła każdy centymetr kwadratowy tego pomieszczenia, nie mogła pozbyć się myśli, że wystarczy jeden nieopatrzny krok i spadnie w przepaść. W całkowitej ciemności nie istniały góra i dół, nie było żadnych znaków orientacyjnych, jak w zwykłym świetle. Ręce zwisały jej bezradnie wzdłuż tułowia. Płuca też zaczynały odmawiać posłuszeństwa, oddechy stały się płytkie. Poczowała nieprzyjemne łaskotanie w żołądku.

Jednak nie nazwałaby tego paniką; raczej przypomnieniem.

Przypomniała sobie wszystkie puste budynki, w których siedziała skulona, wstrzymując oddech i czekając, aż w ciemnościach ucichną odgłosy kroków. Potem decyzyje w sprawach będących kwestią

życia i śmierci, podejmowane przez małą dziewczynkę: czy jeszcze zostać, czy już wyjść. Iluzjoniści mieli rację - najważniejsze było wybranie właściwego momentu.

Czy podium jest hermetyczne? Jeśli zostanie w nim zbyt długo...

Jedna ręka uniosła się sama z siebie, bez udziału świadomości. Kathy dziecko ulicy przejmowała inicjatywę, drobna rączka zacisnęła się w piąstkę i zaczęła walić w ścianę. Mallory czuła się tak, jakby stała z boku i słuchała rozsierdzonej dziewczynki. Mała Kathy krzyczała: „Wypuście mnie, wy łobuzy! Wypuście mnie!”.

Podium nie było dźwiękoszczelne. Mallory usłyszała hałas po drugiej stronie drewnianej ściany. Rozległ się pośpieszny tupot nóg. Ktoś biegł w jej stronę. Dziecko wrzeszczało ile sił w małych płucach, z jego ust płynął potok gniewnych słów i przekleństw; ale kobieta pozbawiona wszelkich emocji spokojnie wyjęła rewolwer i wycelowała w kierunku drzwi.

Światło, które wpadło przez szeroką szczelinę, raniło boleśnie oczy.

Riker utkwiał zdumione oczy w lufie broni Mallory.

- To nie może być coś, co powiedziałem. Dopiero przyszedłem.

ROZDZIAŁ 14

Charles Butler zastanawiał się, czy zawdzięcza to wyłącznie swojemu dużemu nosowi, bo tylko on wyczuł słaby zapach, wątpliwą pamiątkę po znalezionym wczoraj nieboszczyku, wydobywający się z wnętrza podium. Riker zachował całkowitą obojętność. Przeżuwał kanapkę z wołowiną, stojąc w otwartych drzwiach.

Charles zmusił się do uśmiechu, w pełni świadom, że wszelkie objawy zadowolenia na jego twarzy sprawiają, iż przypomina cyrkowego kłowna. Miał nadzieję, że złagodzi tym wściekłość Mallory, której wcale nie ukrywała.

- Zatrzasnęłaś się?

Chwileczkę. Nie powinien tak mówić. Daje jej w ten sposób do zrozumienia, że popełniła błąd.

- Nie! - Odwróciła się od niego i oświadczyła Rikerowi: - Ktoś mnie zamknął i odciął dopływ prądu.

Riker przestał jeść, w jego oczach można było wyczytać nieme pytanie: „Co takiego?”.

Charles spojrzał na szereg palących się reflektorów nad ich głowami. Przez rozchyloną kurtynę wpadały światła rampy i skrzącego się żyrandola, dobitnie świadcząc o sprawności instalacji elektrycznej. Ale nie zamierzał zwracać na to uwagi Mallory

- No cóż, wiesz, że przewody są nowe. Mogło coś się stać z...

- To nie kwestia wadliwej instalacji - powiedziała. - Zwarcie nastąpiło w odpowiednim momencie.

Ton jej głosu nie pozostawiał ani cienia wątpliwości. Najwyraźniej zaliczyła Charlesa do swoich wrogów. Wrogiem był każdy, kto nie zgadzał się z nią bez reszty.

Charles, nie zważając na przykry zapach, wszedł do pomieszczenia w podium i sięgnął do oprawki wiszącej pod sufitem. Odkręcił żarówkę i potrząsnął nią.

- Masz rację, to nie instalacja. - Wyłonił się z pomieszczenia w podium i jeszcze raz potrząsnął żarówką, żeby Mallory usłyszała, jak drucik żarowy uderza o szkło. Był to tradycyjny sposób sprawdzania, czy żarówka nie jest przepalona. To powinno dziewczynę przekonać.

Zbyt późno się zorientował, że popełnił drugi błąd tego popołudnia. Spojrzał na przepaloną żarówkę w dłoni i wzruszył ramionami, przeprasząc za ten bezspreczny dowód zadający kłam jej teorii.

Riker odważnie spróbował odwrócić uwagę Mallory od Charlesa, pytając:

- Gdzie jest teraz Prado?

- Tutaj.

Charles spojrzał w stronę, gdzie kończyła się scena. Nie dochodziło tam światło górnych reflektorów. Patrząc na niewyraźną sylwetkę Nicka Prado, pozbawioną w lekkim cieniu wydatnego brzuszka, można było uwierzyć w mit o wiecznej młodości.

- Ktoś mnie zamknął w środku podium. - Mallory utkwiała wzrok w Nicku, wcale nie zamierzając kryć się ze swoim oskarżeniem.

Czując zimny powiew na karku, Charles odwrócił się w stronę prostokątnego otworu w ścianie, w który jeszcze nie wstawiono szyby. Arkusz folii oderwał się w jednym rogu, przez szparę wpadał strumień powietrza. A więc to przeciąg spowodował, że drzwi się zatrzasnęły. Zawahał się jednak, czy to powiedzieć na głos. Po

pierwsze, niegrzecznie było zwracać uwagę na coś tak oczywistego. Poza tym Mallory nie lubiła, gdy się jej wytykało błędy, szczególnie kiedy nie miała racji.

Riker, człowiek rozsądny, wsunął ręce do kieszeni i nie odzywał się.

- To tylko wiatr - powiedział Nick Prado. - Bardzo często wyciąga pani fałszywe wnioski, prawda, Mallory? - Im bliżej podchodził do oświetlonej przestrzeni, tym stawał się starszy. - Weźmy śmierć Louisy. Dla mnie wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. Ja tam byłem, pani nie.

Mallory już trochę ochłonęła. W jej głosie zabrzmiała tylko lekka nuta złośliwości.

- Mogło to być tak zorganizowane, żeby wyglądało na wypadek, ale strzała z kuszy nie raniła Louisy śmiertelnie.

Nick, jakby to rozważał, kiedy minąwszy kurtynę, spojrzął na nowe torby z delikatesów.

- A jeśli umarła w wyniku szoku? Takie rzeczy się zdarzają.

- W ciągu piętnastu minut? Wykluczone - zaprzeczyła Mallory, idąc w kierunku okna, by przyjrzeć się plastikowej folii.

Charles zauważył, że Nick jest lekko poirytowany tym, że odwróciła się do niego plecami.

- Racja, ciągle zapominam, że jest pani osobą wszystkowiedzącą.

- Prado spojrzął na krzywe zwierciadło służące jako stół. Leżały na nim papierowe torby i stała do połowy opróżniona butelka szampana. Wziął butelkę i wyciągnął ją w stronę Rikera zapraszającym gestem.

Robiąc rzadki wyjątek od reguły, Riker pokręcił głową, odmawiając napicia się z Prado, co dało Charlesowi wiele do myślenia. Pół godziny temu policjant nie miał oporów, żeby pić z tym człowiekiem. I czy ktoś potrafi jeść kanapkę z wołowiną, nie popijając jej niczym?

Nick nalał sobie wina.

- To mógł być wynik szoku. Podczas wojny nagminnie łamano, jeśli można tak powiedzieć, podręcznikowe reguły śmierci.

Mallory była zajęta zbieraniem gwoździ z podłogi pod oknem osłoniętym folią.

- Lekarz sądowy powiedział...

- Czy kiedykolwiek słucha pani, co się do pani mówi? - Prado podniósł głos. - Czy kiedykolwiek kogokolwiek pani słucha?

Charles wpatrywał się w kieliszek z winem, jakby mógł się w nim bezpiecznie schronić, a Riker gapił się w swoje zdarte buty. Ale Mallory powstrzymała się od krwawej rozprawy. Wrzuciła zebrane gwoździe do zamykanej na suwak przegródki w swoim chlebaka.

Nick ciągnął, mówiąc coraz głośniejszym głosem, jakby zwracał się do liczniejszego audytorium:

- Pewnego ranka pod koniec wojny w pobliżu mojego obozu spadł samolot. Stał w płomieniach w chwilę po tym, jak dotknął ziemi.

Urwał dla osiągnięcia większego efektu, ale Mallory wszystko popsowała, mówiąc:

- Nie mam czasu na wojenne wspomnienia.

- Zamilcz! - krzyknął gniewnie Prado, co mu się rzadko zdarzało; prawdę mówiąc, Charles pierwszy raz widział go wzburzonego.

Dziwne, ale Mallory zamilkła. Całkowicie ignorując mężczyznę, otworzyła notes na stronie z liczbami, uznawszy je za bardziej interesujące.

Nick ciągnął nieco głośniejszym głosem:

- Jedno skrzydło odpadło, część dziobowa samolotu była zmiażdżona. Kilkunastu z nas pobiegło przez pole w kierunku słupa ognia. Wtem dziesięć metrów od wraku zobaczyłem coś, w co nie mogłem uwierzyć.

Odwrócił się do Mallory. To był błąd. Nie obchodziło jej, co zobaczył, ani kiedyś, ani teraz. Tylko lekko tym zrażony Nick zwrócił się do Rikera:

- Trzyosobowa załoga samolotu oddalała się z miejsca katastrofy. Lotnikom nic się nie stało. To było niemożliwe. Wszyscy powinni zginąć. Tymczasem szli sobie jak gdyby nigdy nic. Usiedli w cieniu zabudowań i dopiero wtedy umarli. Trwało to minuty. Minuty. Żaden z nich nie odniósł najmniejszych obrażeń.

- Szok? - spytał Riker, starając się okazać grzeczne zainteresowanie.

Mallory, najwyraźniej nieporuszona, wodziła ołówkiem wzdłuż kolumny cyfr.

- Nie wierzę w szok.

- Ja też nie - powiedział Nick. - Znalazłem inne wytłumaczenie. Cała trójka widziała, że samolot spada na ziemię, że czeka ich niechybna śmierć. Ludzie wierzą swoim zmysłom, a to nie podlegało dyskusji: w żaden sposób nie mogli ocaleć z tej katastrofy. Myślę, że ci trzej chłopcy ugięli się przed logiką sytuacji. Byłoby absurdem przeżyć, więc zamknęli oczy i umarli.

Charles pomyślał, że pewnie to możliwe, ale sam ograniczył się jedynie do zajęcia miejsca na stopniu podium, by dalej popijać wino.

Mallory zaczęła teraz okazywać zniecierpliwienie podobne do tego, które ogarnia nas na widok natrętnej muchy.

- Powtarzam ostatni raz, Louisa nie odniosła śmiertelnej rany. Nie miała pojęcia, że umrze, póki ten łobuz nie zaczął jej dusić poduszką.

- Nie wiesz tego, Mallory - odezwał się Charles. - To, o czym mówiliśmy podczas pokera, to tylko spekulacje. Nie możesz oczekiwać od Edwarda, żeby przeprowadził sekcję zwłok, nie widząc trupa, do tego pół wieku po śmierci ofiary.

- Dziękuję, Charles - odparła, bynajmniej nie z wdzięcznością, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że powinien zamilknąć, i to natychmiast. Zamknęła notes z liczbami. - Śmierć Olivera to też nie był nieszczęśliwy wypadek.

- Biedny Oliver - powiedział Nick. - Ucieleśnienie donkiszotowskiej walki z wiatrakami. Ale w rzeczywistości była to raczej prozaiczna śmierć. Spartaczył sztukę. Życie może być bardzo proste, Mallory, jeśli mu tylko na to pozwolić.

Nick był zbyt zadowolony z siebie. Mallory najwyraźniej zamierzała popsuć mu humor. Wszystko na to wskazywało. Zdawało się, jakby nie dotykała stopami ziemi, jakby uniosła się w powietrze przed wymierzeniem ciosu. Gdyby miała ogon, niechybnie by nim machała. Charles ubóstwiał jej koci wdzięk - ale niektóre zachowania kotów sprawiały, że odczuwał ściskanie w dołku.

Gotów się rzucić, by obronić starszego pana przed ostrymi pazurami, powiedział:

- Nick ma rację, Mallory. Oliver rzeczywiście spartaczył sztukę. Najwidoczniej nie znał końcowego efektu...

- Rozmawiałeś z Malakhaiem. - Nie kryła, co o tym myśli. Oskarżyła Charlesa o zadawanie się z jej wrogiem, a jego starym przyjacielem. - Tylko seria nieszczęśliwych wypadków? - Uniosła brwi. - W porządku. - Podparła się pod boki. Nie będzie kolejnego ostrzeżenia. - Dostrzegłam błąd w swoim rozumowaniu. - Powiedziała to zbyt uprzejmie. - Ale co z tym nieboszczykiem, którego znalazłam w środku podium? Z bratankiem Olivera? Zapomnieliście o nim?

Nick dopił swojego szampana.

- Chłopak zmarł z przedawkowania narkotyków. Wszyscy wiedzieli, że Richard jest narkomanem. Na rękawie koszuli była plama krwi. Od ukłucia igłą, prawda? Ale rana od strzały nie krwawiła.

Nieboszczycy nie krwawią, czyli że nie było to morderstwo. - Machnął ręką. - Wiem to dzięki wojnie.

Charles spostrzegł, że Riker nastawił uszu. Policjant wymienił spojrzenia ze swoją partnerką. Porozumieli się bez słów. Mallory cofnęła się do podium, a on podszedł do Nicka.

- Powiedział pan, że wszyscy wiedzieli, że smarkacz był ćpunem. - Riker szukał czegoś w kieszeni. - Jak to możliwe? Chłopak zadawał sobie przecież wiele trudu, żeby ukryć swój nałóg, o czym świadczą ślady ukłuć na stopach i pod kolanami. - Wyciągnął zniszczony notes i usiadł na schodkach obok Nicka. - Oliver Tree wiedział o nałogu swego bratanka. Finansował jego kuracje odwykowe. Ale nie przechwalałby się tym przed nikim, prawda?

Policjant przekartkował notes pełen ołówkowych zapisków.

- O, proszę. - Znalazł to, czego szukał. - Pan i pańscy przyjaciele, St John i Futura, przyjechaliście do miasta w dniu śmierci Olivera Tree. Takie oświadczenie złożyliście na policji. Żaden z was nie widział się ze starszym panem od czasów wojny.

- To prawda - powiedział Nick. - Widocznie poznaliśmy bratanka Olivera po owym nieszczęśliwym wypadku. Chłopak ciągle naga- bywał nas o pieniądze, choćby o kilka dolarów, więc nie ulegało wątpliwości, że cierpiał na brak gotówki. Dlatego zleciłem mu wy- konanie numeru z kuszą podczas parady.

Riker pilnie notował.

- I chłopak powiedział panu, że potrzebna mu forsa na narkotyki? - spytał oschle. Nie dodał: „Trudno mi w to uwierzyć”.

- Sam wyciągnąłem taki wniosek na podstawie obserwacji.

Riker skinął głową.

- Na podstawie plamki krwi na rękawie koszuli. Nieźle. Czy tego też nauczył się pan podczas wojny?

- Można tak powiedzieć - odparł Nick. - Spędziłem jakiś czas w szpitalu wojskowym. Miałem przelotny romans z morfiną.

Charles unikał wzroku Mallory.

- A więc to było przedawkowanie narkotyków. Cóż, powiedzmy, że Richard wczołgał się do wnętrza podium stryja, by mieć trochę spokoju. Robotnicy kręcili się przez cały dzień. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział, jak daje sobie w żyłę, prawda? Powiedzmy, że zatrzasnął się w środku tak samo jak...

Kątem oka Charles dostrzegł, że Mallory zeszywniała, i nie dokończył myśli.

- Może Richard nie mógł znaleźć łańcuszka i zapalić żarówki. Mógł wpaść w panikę w ciemnościach. Jeśli przechowywano tam kusze...

- Właśnie - podjęła Mallory niemal sympatycznym tonem.

- Potknął się w ciemnościach i upadł na strzałę... kiedy już nie żył od kilku dni. Och, Nick ci tego nie powiedział. - Odwróciła się do iluzjonisty i pochyliła głowę, jak w ukłonie.

- Jeszcze jedna nauczka z czasów wojny, Prado.

Rozumie się, że z czasów jej wojny.

- Nie znaleziono też strzykawki wewnątrz podium - dodał Riker.

Mallory skinęła głową.

- Schludny nieboszczyk. Lubię takich. I wyjątkowo zdolny. Wiem, że po śmierci jeszcze był aktywny. Ślady na plecach zgadzają się z wzorem kratki na podłodze w jego mieszkaniu. Bo tam umarł. Ale nie pozwolimy, żeby fakty popsuły dobrą historyjkę.

Odwróciła się w kierunku drzwi w podium.

- Więc nieboszczyk wstał z podłogi w swoim mieszkaniu i, wciąż martwy, wsiadł do metra. Przypuszczam, że skorzystał z taniego

środku lokomocji. Widzicie, po śmierci zostawił portfel w domu. Nie miał przy sobie pieniędzy na taksówkę, ale w kieszeni nosił bilet miesięczny. Następnie wszedł do teatru i zamknął się w środku podium, niechący. Widzicie? Równy ze mnie gość. Sama staram się znaleźć słabe punkty w swoim rozumowaniu. Ale wsadzić sobie strzałę kilka dni po śmierci? No cóż, to rzeczywiście niezwykła sztuczka.

Charles rozumiał, do czego zmierza Mallory, wygłaszając ten monolog. Pełen wyższości uśmiech Prado informował, że iluzjonista przyłapał ją na błędzie lub kłamstwie.

Skrzyżowała ramiona, stanęła nad Nickiem i patrząc na niego z góry, rzekła z uśmiechem:

- Dobra, proszę mi powiedzieć, gdzie popełniłam błąd.

Pułapka się zatrzasnęła.

Oczy Nicka zrobiły się tylko nieznacznie większe - wystarczająco, by świadczyć, że być może lepiej od niej zna szczegóły. Albo że jest zaskoczony jej oskarżeniem.

Charles wkroczył pomiędzy nich, uśmiechając się, jakby to mogło mu uratować skórę.

- Richard nie został zamordowany, jeśli strzała...

- Ale Oliver owszem. - Rzuciła Charlesowi spojrzenie, w którym zawarte było pytanie, dlaczego jej popsuł szyki. Czyżby próbował odsunąć niebezpieczeństwo od Nicka?

Ależ naturalnie. Drogo będzie go to kosztować. Odeszła i zatrzymała się obok kurtyny. Był wyrzut w tym odwróceniu się do niego plecami i tonie jej głosu.

- Znałeś tego staruszka, Charles.

- Prawdę mówiąc, nie widziałem go od...

- Znałeś go i lubiłeś. - Mallory odwróciła się do niego twarzą, żeby mógł zobaczyć, jak jest wstrząśnięta, chociaż jej mina była

jakby wymuszona. - Oliver umarł samiuteńki na tym podium, śmiertelnie przerażony, kiedy go mordowano.

Teraz Charles znalazł się w nietypowym położeniu - słuchał kazania o swoim braku wrażliwości. I to kto je prawił - Mallory! Jak wytłumaczyć tę dziwną sytuację? Może Mallory wiedziała, co znaczy prawdziwe współczucie.

Nie, to nie to.

Ale wiedział, że Mallory ma jakiś cel, krytykując jego rzekomy brak współczucia, obojętność w obliczu przypadkowej śmierci.

Podeszła do schodków prowadzących ze sceny.

- Oliver został zamordowany. Więc nie mów mi o nieszczęśliwych wypadkach, Charles. W ogóle się do mnie nie odzywaj.

To zabrzmiało ostatecznie - fałszywie, ale ostatecznie.

Linie zostały zakreślone, znalazł się po drugiej stronie, razem z Nickiem Prado. Riker podążał za swoją partnerką, dystansując się od obozu wroga.

Minęły cztery godziny, odkąd się rozstali z Charlesem i Prado na chodniku przed teatrem. Riker rozglądał się po pokoju w mieszkaniu Mallory na Upper West Side i zastanawiał się, jak tego dokonała. Większości nowojorczyków zajęłoby dziesięć dni załatwienie przewozu kanapy ze sklepu meblowego w jednym końcu miasta pod adres na drugim końcu. Ona już zdążyła przewieźć urządzenie całego pokoju, ponad osiemdziesiąt przecznic na południe od domu Charlesa Butlera w SoHo.

Mallory siedziała przy komputerze, palce fruwały jej nad klawiaturą.

- Myliłam się, jeśli chodzi o tę kratkę?

- Tak, w mieszkaniu nieboszczyka nie znalazłem żadnych kratek na podłodze. Ale ślady na plecach pasują do kratki nawiewu w teatrze. Znalazłem ją po usunięciu taśm policyjnych.

- Ekipa Hellera ją przeoczyła?

- W ogóle jej nie szukali, Mallory. Nie rozebrali trupa na miejscu zbrodni. Nie było...

- Racja, żadnych wyjątkowych względów dla zmarłego ópuna. Jeszcze jeden cholerny wypadek.

Ale podium poddano dokładnym oględzinom. Heller przyjechał na miejsce wypadku i osobiście nadzorował swoich ludzi. A to sprawiło, że Riker się zastanawiał, jakiego haka może mieć Mallory na szefa laboratorium kryminalistycznego.

Spojrzał w swoje notatki.

- Nawiew ciepłego powietrza jest w małym pokoiku za kulisami. To prawdopodobnie tam Richard się szprycował. Drzwi mają zamek.

- Pokój zamykany na klucz nie stanowiłby żadnej przeszkody dla nikogo z listy moich podejrzanych - oświadczyła Mallory. - Czy to tam ludzie Hellera znaleźli portfel?

- Tak. Ale miałaś rację w kwestii pieniędzy. Nie miał forsę na taksówkę. Musiał wydać wszystko na heroinę. - Riker schował notes z powrotem do kieszeni na piersi.

Przeżył jeden nieprzyjemny moment, kiedy wszedł do gabinetu Mallory. To było coś więcej niż déjà vu. Gdyby nie widok Central Parku, mógłby pomyśleć, że znajduje się w jej prywatnym gabinecie w domu Charlesa w SoHo. Nawet terminale komputerowe ustawiła dokładnie pod kątem prostym do okien. Na jednej pustej ścianie przesuwwały się nadnaturalnej wielkości sylwetki widzów parady z okazji Święta Dziękczynienia.

- To z wiadomości o szóstej po południu - wyjaśniła.

- Jakiś turysta sprzedał telewizji swój film, nakręcony kamerą wideo.

Dlaczego Mallory nie potrafiła oglądać wiadomości w telewizji jak normalny człowiek? Stał przed ścianą, patrząc na przesuwane się na niej obrazy. Kamera pokazywała skalisty pagórek w Central Barku. Kamienie sterczały za niskim murkiem ciągnącym się wzdłuż alejki. Głos był ściszony, ale i tak słyszał wywiad dziennikarza z filmowcem amatorem, sześćdziesięcioletnim turystą z Rhode Island.

Ze wzrokiem utkwionym we wzgórze Riker czekał, co będzie dalej. Pojawił się biały obłoczek dymu wśród cieni rzucanych przez drzewa i skały.

Strzał z broni?

Tak, dziennikarz potwierdzał, że biały dym pojawił się dokładnie w tym samym momencie, kiedy rozległ się odgłos wystrzału. Ktoś ubolewał, że ekspert sieci telewizyjnej od broni, autor technothrillerów, jest nieosiągalny i nie może przedstawić swojej opinii. Ten strzał zniszczyłby precyzyjnie wyrysowaną przez pisarza trajektorię lotu pocisku. Kula, która trafiła w balon, nie mogła pochodzić z broni Mallory.

- Czyli że przestałaś być podejrzana o zastrzelenie nadmuchiwanego pieska?

- Jeszcze nie. - Przycisnęła guzik pilota. Taśma się cofnęła, biały obłoczek dymu zniknął, wessany przez spowite cieniami skały i drzewa. - Nadal utrzymują, że były trzy strzały. Teraz jestem więc uczestniczką spisku. I podejrzaną w sprawie o zamordowanie Kuszniaka i Olivera Tree.

- Cóż, niech Slope ujawni wyniki sekcji zwłok. Jaki sens je teraz ukrywać? Już poinformowaliśmy o nich Prado.

Mallory cofnęła taśmę i zatrzymała obraz rzucany na ścianę.

Wpatrywała się w nieruchome ujęcie chmury dymu. Wskazała skalisty pagórek.

- Zgadnij, kto to.

Riker podszedł bliżej do ściany.

- Zbyt niewyraźne. Nic nie widzę. Jeszcze raz rozejrzył się po pokoju.

- Kiedy zdążyłaś przewieźć to wszystko z SoHo?

- Wynajęłam ekipę zajmującą się transportem dzieł sztuki. Bardzo delikatnie obchodzą się z czułymi urządzeniami.

I prawdopodobnie nie znajdują się też na nielegalnych aplikacjach. Najbardziej wrażliwe elektroniczne dekodery znajdowały się w kartonie, który Riker przyniósł z bagażnika jej samochodu.

Usiadł na zimnym metalowym krześle.

- Jak zareagował Charles, kiedy mu powiedziałaś, że zabierasz swoje rzeczy?

- Możliwy jest tylko jeden sposób. To oznacza koniec naszej współpracy. On jest zbyt beztronski, jeśli chodzi o zamki.

Albo może niezbyt rozważnie dobiera sobie przyjaciół. Jedno z tych przewinień było czynnikiem decydującym.

- A więc nie powiedziałaś Charlesowi, że się wynosisz.

Naturalnie że nie. Pozwoli, żeby biedak, niczego nie podejrzewając, wszedł do pustego pokoju i sam się wszystkiego domyślił.

- Wnoszę z tego, że niepotrzebne ci już podium Maksa Candle'a?

Mallory wskazała mały ekran komputera. Przesuwały się na nim kolumny cyfr i symboli, migocząc biało na niebieskim tle.

- Wszystko jest tutaj, całe urządzenie.

Wziął zielony aksamitny woreczek, leżący na brzegu metalowego biurka, i wyjął z niego komplet wytrychów.

- Rozumiem, dlaczego starsi panowie zachowują takie pamiątki.
- Wierzysz w to, że podmieniono klucze?
- Tak, ale jeszcze nie wszystko mi się zgadza w twojej teorii. Pamiątasz, co powiedziałaś podczas parady? „Mój zabójca kocha widowiska”. To twoje słowa.

- A ty doszedłeś do wniosku, że na poczekaniu wymyślam jakąś historyjkę? Nie, jedynie okłamałam Coffeya. - Nie ulegało wątpliwości, że uważa to za szlachetne kłamstwo, tylko do takich była zdolna.
- Wiem, co sobie myślisz. To kwestia stylu. Oliver umarł, krzycząc, było wielkie zamieszanie, wszystko odbyło się w świetle jupiterów. Tymczasem strzał podczas parady padł z ukrycia, prawda? Szybki i precyzyjnie wymierzony. Ten, kto strzelał, chciał mieć to już za sobą. Ofiara nawet by się nie zorientowała, co się stało. - Mallory odwróciła się do obrazu na ścianie przedstawiającego obłok dymu. - Tam na skałach jest Malakhai. - Wyłączyła magnetowid.

- A morderstwo w Central Parku?

- Pasuje mi do niego Nick Prado. Człowiek zajmujący się reklamą, żyjący z organizowania happeningów. Ale jestem otwarta na inne pomysły. - Obróciła się na swoim krześle, by spojrzeć mu w twarz. - Ktoś mnie zamknął w środku podium. Wierzysz mi?

Riker wiedział, że naprawdę pyta go, czy jest po jej stronie.

- Tak. Gdyby chodziło tylko o zatrzaśnięte drzwi albo o przepaloną żarówkę... Ale niezbyt wierzę w takie zbiegi okoliczności. Uważam, że przynajmniej jedną z tych rzeczy zrobiono naumyślnie.

- Zatrzaśnięto drzwi z premedytacją. - Wyciągnęła z chlebaka przezroczystą torebkę i rzuciła ją na biurko. W środku było pięć błyszczących gwoździ. - Była nimi przybita plastikowa folia w oknie za kulisami. Nie wypadły same z siebie. Chciał, żeby wyglądało to na wypadek, jakby to wiatr zatrzasnął drzwi. I przepalona żarówka

to też była celowa robota.

- Mallory, Charles pokazał ci żarówkę. Słyszałaś...

- Charles zna się na elektryczności tyle co ty. - Zapaliła lampę stojącą na biurku. - Nie spuszczaaj oczu z tej żarówki. - Pochyliła się nad oprawką.

Riker obserwował lampę. W pewnej chwili ujrzał iskrę, usłyszał huk i żarówka zgasła. Mallory wykręciła ją z oprawki. Kiedy nią potrząsnęła, usłyszał, jak drucik żarnika dzwoni o szkło.

- Wywołałam spięcie tym. - Uniosła w górę metalowy pilnik do paznokci. - Przewód zasilający lampy na podium ma swój własny bezpiecznik. To dlatego zgasła tylko jedna żarówka. Gdyby Teatr Iluzji Faustine był dokładną kopią oryginału, mogłabym ci pokazać przepalony bezpiecznik, ale Oliver zastąpił je automatycznymi korkami.

Riker usiadł z założonymi rękami na brzegu biurka.

- A więc podejrzewasz o to wszystko Nicka Prado?

- Nie wykluczam, że to on. Przypuszczam, że Futura wymiotował w męskiej toalecie, kiedy razem z Charlesem wróciliście do teatru. Ale wszystko mogło być zainscenizowane.

- Nie widziałem Futury. Ale nie przypuszczam, żeby potrafił zrobić cokolwiek, co...

- Dlatego, że jest tchórzem? Nawet nie wiesz, jaki to ciekawy człowiek. Podczas wojny działał w ruchu oporu. To też do niego nie pasuje, prawda? Jest na mojej liście. A więc gdzie byli dwaj pozostali, kiedy przyszliście?

- Prado i St John stali w foyer. Rozmawialiśmy z nimi przez kilka minut, zanim razem z Charlesem weszliśmy na widownię.

- To mógł być każdy z nich. Komuś zależało na tym, żebyś uwierzyła, że wypadki się zdarzają. Albo może jedynie chciał,

żebym wpadła w panikę. To zrobiło wrażenie na Charlesie, prawda? Kupił wszystko.

Biedny Charles. Ale to był mocny punkt. Na początku swej kariery w policji, kiedy zajmował się awanturami domowymi, Riker zauważył, że mężczyźni opierali swoją linię obrony na kwestionowaniu świadectwa rozhisteryzowanych kobiet: kto dałby wiarę słowom zakrwawionej kobiety, która nie potrafiła opanować płaczu?

Więc ktoś odegrał nową wersję dawnego, starego numeru, i Charles dał się na to nabrać. Riker potrafił sobie wyobrazić jeszcze kilka powodów zerwania współpracy przez Mallory: wielki umysł Charlesa Butlera, twarz, która wszystko zdradzała, i bliskie związki z podejrzanymi. Miała rację, że się od niego odsunęła, ale powinna to zrobić w odpowiedni sposób.

- Prawie zapomniałem. - Wyjął płytę kompaktową z kieszeni płaszcza i położył ją na brzegu biurka. - Prezent od Emile'a St Johna. *Koncert Louisy*. Zależało mu, żebyś go wysłuchała.

Otworzyła pudełko i wsunęła płytę do otworu czytnika. Z głośników umieszczonych na wszystkich ścianach popłynęły dźwięki muzyki w wykonaniu orkiestry symfonicznej. Riker został otoczony instrumentami, ścianą dźwięków. Nie lubił muzyki klasycznej, słuchał zmieszany, jakby starał się zrozumieć obcy język.

- Chyba ładna. Ale wiesz, co powiedziałały twój staruszek? Co z niej za pożytek, jeśli nie można przy niej tańczyć?

Jego dawny przyjaciel stosował takie kryterium oceny dla całej muzyki, rozległego zbioru utworów bluesowych, jazzowych i rockowych. Nawet wolne, smętne melodie w jakiś sposób wpływały na człowieka. Ale teraz kompozycja zmarłej kobiety poruszyła go. Nagle zawładnęła całą jego uwagą, jakby smyczki i rogi zaczęły do niego przemawiać bardziej znajomym językiem. Ten fragment był smutny, melancholijny.

Zadzwoił telefon. Ręka Rikera zawisła nad słuchawką. Odczytał na wyświetlaczu numer dzwoniącego.

- To Charles.

- Nie odbieraj.

- Zamierzasz kazać mu siedzieć i gapić się w ściany w twoim pustym gabinecie, aż się domyśli, w którym momencie popełnił błąd?

Czy taki jest twój plan?

- Tak. Masz coś przeciwko temu?

- Jest twoim przyjacielem, zapomniałeś? Twój staruszek też go lubił.

Koncert Louisy stał się teraz tęskny, sprawił, że dzwonek telefonu zabrzmiał melancholijnie, niskie dźwięki dostojnego rogu tworzyły dla niego tło. Riker się zdumiał: koncert zupełnie nie wzruszył Mallory, a telefon sprawił, że posmutniała. Wolno przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby w ten sposób mogła się pozbyć uczucia żalu.

Riker znalazł wyjście: nastawił głośniejszą muzykę i odwrócił wzrok od aparatu telefonicznego.

- A więc jeśli Charles nie jest w stu procentach po twojej stronie...

- Riker, daruj to sobie, dobrze?

Kiedy telefon przestał dzwonić, spojrział na aparat, jakby rozmowę przerwano w pół słowa bez osiągnięcia porozumienia.

Mallory włączyła automatyczną sekretarkę, żeby telefon więcej jej nie przeszkadzał.

- Zostawiłaś mu informację?

- Nie! - Mallory utkwiała wzrok w ekranie komputera. Jej twarz przypominała maskę, kiedy całkowicie skupiła się na komputerze.

Uświadomiwszy sobie, że przestał istnieć, przynajmniej dla niej, Riker po cichu wyszedł.

Minęła godzina, nim Mallory oderwała wzrok od ekranu komputera. Nie wiedziała, co się z nią działo przez ten czas. Wewnętrzny zegar znów ją zawiódł. Zdarzało jej się to coraz częściej. Może to tylko wpływ wina, którym poczęstował ją Emile St John.

Skończyła kopiowanie plików gry komputerowej, w której zadawano gwałtowną śmierć joystickiem. Miała cały program, by móc strzelać na ekranie z kuszy.

Telefon zadzwonił dwa razy, a potem usłyszała głos Charlesa nagrywającego się na automatyczną sekretarkę.

- Mallory? Jesteś w domu?

Właściwie nie. Z napięciem wpatrywała się w ekran, kiedy jej dzieło ożyło, cyfry i symbole przeistoczyły się w przedmiot, który obracał się w przestrzeni niczym trójwymiarowy obiekt, prezentując się jej ze wszystkich stron, a potem przekreślił się, by mogła obejrzeć go od dołu. Włączyła projektor połączony płaskim przewodem zasilającym. Teraz obraz pojawił się na ścianie. Podium nadal wolno się poruszało.

- Mallory, proszę, podnieś słuchawkę, jeśli jesteś w domu - rozległ się głos w telefonie.

Nacisnęła kilka klawiszy, by obudowa schodków stała się przezroczysta, ujawniając we wnętrzu mechanizm równoległowodowy i dźwignie.

- Wymienię wszystkie zamki - oświadczył Charles.

Ciągle naciskała klawisze. Otworzyły się drzwi zapadowe. Wolno wyłonił się mechanizm równoległowodowy, szeroko rozpostarł metalowe ramiona, by podtrzymać pelerynę.

- Czy oddzwonisz? - W tonie głosu Charlesa nie było zbyt wiele nadziei. - Zamierzasz chyba mi to wyjaśnić, prawda?

Nie. Mallory wypaliła z czterech kusz. Strzały po kolei uderzyły w tarczę. Teraz Mallory wydłużyła odstępy czasu między poszczególnymi strzałami.

- Powinniśmy porozmawiać. - W głosie Charlesa dało się usłyszeć pewne znużenie. - To jest... to jest nieludzkie.

Myślisz, że jestem potworem.

- Nie, nie to miałem na myśli - powiedział Charles, jakby potrafił czytać w jej myślach. - Kiedy wszedłem do pustego gabinetu, byłem kompletnie zaskoczony.

Wypuściła z kusz następną serię strzał.

- Do widzenia, Mallory.

Elektroniczna zabawka zaczęła ją nudzić. Charles miał rację w jednym punkcie. Zwykła sztuczka z uciekaniem była zbyt prostacka dla Maksa Candle'a. W czym zawierała się magia? Opadająca pele-ryna to tylko smaczek, żart.

- Naturalnie nie mam na myśli pożegnania na zawsze - odezwał się uparty głos w automatycznej sekretarce.

W czym zawiera się magia?

- Chodzi mi o zwyczajne do widzenia. - Charles urwał. - A więc...

W tym musi się kryć coś więcej. Wyłączyła obraz podium i puściła taśmę, na której zarejestrowana była śmierć Olivera. Starszy pan znów konał na ścianie.

- A więc zadzwonisz?

No pewnie.

Max Candle zawsze umierał. Wcale nie zamierzał uchylać się przed strzałami.

- Do widzenia - powtórzył Charles.

Ale wszystkie kusze wypaliły, a w magazynkach nie było atrap strzał.

- Na razie - dodał.

Gapiła się na ścianę, na której Oliver umierał od strzał. Jeśli Oliver nie dokończył iluzji, skąd Malakhai mógł wiedzieć, że została spartaczona?

Straciła kolejną godzinę, udoskonalając swoją własną iluzję. Dzwonek u drzwi wyrwał ją z transu.

Charles? Któż by inny? Frank, portier, bardzo go lubił. W dniu jej ostatnich urodzin wpuścił Charlesa do budynku, nie uprzedziwszy Mallory, tak żeby gość mógł ją zaskoczyć, pojawiając się z kwiatami. Naturalnie wiązało się to z dużym napiwkiem. Czy ukarała za to portiera? Nie, musiało jej to wylecieć z głowy.

Pięć minut później uporczywy dzwonek zaczął jej działać na nerwy i naprawdę miała ochotę ochrzanić Franka za to, że nie informuje jej o wizytach gości. Zirytowana wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem, układając sobie w myślach, jak podreguluje portiera, żeby nigdy więcej się to nie powtórzyło. Ale na razie zamierzała wygłosić kilka szorstkich uwag pod adresem Charlesa, żeby móc wrócić do pracy.

Kiedy Mallory otworzyła drzwi, ujrzała w progu rabina Kaplana. No, pięknie. Co teraz zrobi z tą nadwyżką adrenaliny?

- Jest późno - powiedział rabin. - Nie wejść do środka. To nie powinno zająć dużo czasu.

Jego twarz pozostawała obojętna i Mallory nie miała pojęcia, jaki kłopot ściągnęła sobie na głowę tym razem.

- Chodzi o to, co wydarzyło się wczoraj - ciągnął Kaplan. - Pan Halpern powiedział mi, że poświęciłaś swój cenny czas, by nakrzyczeć na jego jedynego syna.

Rabin uniósł dłoń, nakazując jej milczenie, zanim zdążyła mu przerwać.

- Rozumiem, że oskarżyłaś biedaka o znęcanie się nad ojcem. Kiedy syn wrócił wieczorem do domu, pan Halpern spędził wiele

godzin, przekonując go, że wcale nie jest... jak go nazwałaś? Łotrem bez serca.

- Nie na...

- Przepraszam, Kathy. Czy skończyłem mówić? Wydaje mi się, że nie.

Uśmiechnął się i Mallory stała się czujna.

- No więc syn wyrzucił z pracy własnego ojca. - Rabin Kaplan otworzył zamki swojej teczki. - Pan Halpern chciał, żebyś się dowiedziała, iż w końcu przeszedł na emeryturę. To wszystko, Kathy.

Akurat.

Rabin chciał tylko uspić jej czujność. Za chwilę wymierzy decydujący cios. Kiedyś był bardzo dobry w tej grze. Teraz potrafiła go rozszyfrować.

- Nie wierzę. Mogłeś zadzwonić, żeby wygłosić to kazanie.

- Ale nie mógłbym ci wręczyć tego. - Wyciągnął z teczki mały, płaski pakunek i przez chwilę mu się przyglądał. - Zdaje się, że nikt nigdy nie przeprosił pana Halperna za to, był więźniem obozu koncentracyjnego, ani za zamordowanie jego rodziców, a właściwie całej jego rodziny. Był wzruszony twoimi przeprosinami za to, co zrobił mężczyzna z pistoletem natryskowym. - Rabin Kaplan podał jej paczuszkę. - To prezent dla ciebie. Pracował nad nim cały dzień.

Odwinęła pakunek i ujrzała oprawiony w ramki portret wykonany kredkami. Twarz niebieskookiej uczennicy spowijały pukle długich rudych włosów. Dziewczyna miała nieobecny wzrok, była pogrążona w myślach, jakby się zastanawiała nad jakimś poważnym problemem - na przykład jak przeżyć w piekle.

Mallory spojrzała na rabina.

- Louisa Malakhai?

Rabin Kaplan skinął głową.

- Dobry, prawda? - Ruszył w kierunku windy, Mallory szła obok niego. - Narysował go na podstawie dawnych szkiców w dzienniku, sporządzonych, kiedy był młody i snuł plany, że zostanie artystą. Pan Halpern jest człowiekiem utalentowanym i bardzo szczęśliwym. Teraz będzie mógł cały swój czas poświęcić na rysowanie. A więc doprowadziłaś do tego, że został wyrzucony z pracy. - Rabin wzruszył ramionami. - I to przez własnego syna. - Nacisnął guzik, by ściągnąć windę. - No cóż, w sumie dobrze zrobiłaś.

Jego uśmiech był zbyt miły, przygotowała się na nadchodzący cios.

- Jeśli ma to dla ciebie znaczenie, Kathy, nadal podzielam opinię Helen. - Drzwi windy się otworzyły, wszedł do kabiny. - Uważam cię za ideał, chociaż masz spaczony charakter. - Metalowe drzwi się zasunęły, ale jeszcze zdążyła zobaczyć jego zadowoloną minę, że znów udało mu się ją zirytować.

Rabin, jak zwykle, wszystko idealnie sobie zaplanował. Znów ostatnie słowo należało do niego. Musi go jeszcze pokonać w tej grze. Starzał się, był coraz powolniejszy - jeszcze nadejdzie jej dzień.

ROZDZIAŁ 15

Malakhai się obudził. Był kompletnie ubrany, leżał na łóżku w pokoju w nowojorskim hotelu. Przestał śnić, ale jeszcze niezupełnie oprzytomniał. A telefon wciąż dzwonił.

Zapalił lampkę nocną i spojrzął na zegarek. Była druga nad ranem. Podniósł słuchawkę, zamierzając natychmiast znów odłożyć ją na widełki, ale usłyszał kobiecy głos:

- Malakhai?

- Tak.

- Kiedy był pan jeńcem wojennym w Korei, czy w pańskiej celi panowały zupełnie ciemności? Czy też dochodziło tam światło?

- Mallory. - Dziwny dzieciak, i niewychowany. Malakhai spojrzął na tę połowę łóżka, gdzie spałaby jego żona. Wpatrywał się w błyszczącą złotą cynfolię i mocniej ścisnął słuchawkę telefonu. A więc znów mu się to przytrafiło. Zasnął, nie zabrawszy hotelowej miętówki w czekoladzie z poduszki Louisy. Zapomniał. - Najmocniej przepraszam.

- Cella więzienna - zabrzmiał w jego uchu głos Mallory, niewątpliwie uważającej, że przeprosiny są przeznaczone dla niej. - Czy było tam światło? Okno?

Ogarnął go wstyd - a wszystko przez czekoladkę w złotku. Przewyciężywszy łyżę, odezwał się do Mallory:

- W dzień wpadało trochę światła.

Ta stara historia pełna była luk, ale nadal dokładnie pamiętał, jak wszystko wyglądało.

- W mojej celi było małe okienko wychodzące na kamienny mur. Wpadało przez nie światło, ale nie widziałem nieba ani słońca. Cienie przesuwają się wzdłuż muru. Dzięki temu nie straciłem rachuby czasu.

- Co pan robił z całym tym czasem?

- Spędzałem go z Louisą.

- I to był początek...

- ...mojego szaleństwa? Tak twierdzili wojskowi psychiatrzy. - Ale on zawsze uważał to za rodzaj samodyscypliny, religii wymagającej bezwzględnej wiary, wyznawania grzechów i pokutowania za nie, nawet wyliczania litanii win. Wziął miętówkę z poduszki Louisy i zgniótł ją w dłoni. Najmocniej przepraszam.

O czym zapomni jutro?

- Nie kochał pan wojny, zabijania - powiedziała Mallory. - To nie dlatego zgłosił się pan do armii, by wyjechać do Korei.

- Kochałem Louise. - Usiadł i rozpiął koszulę, starając się nie patrzeć na łóżko. - Ale istnieje ciekawa analogia. Kiedyś w Warszawie widziałem plakat, przykład sztuki w służbie propagandy. Przedstawił młodą kobietę. Czubek jej głowy był niewidoczny, zamalowany krwistoczerwoną farbą, jakby został odstrzelony. Poniżej wypisano słowa, jak można by je przetłumaczyć? „Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani?”. Myślę, że to wszystko wyjaśnia.

Połączenie uległo przerwaniu. Widocznie Mallory zadowolona ta krótka odpowiedź. Czy rozumiałaby muzykę? Nie, daremne byłyby starania wyjaśnienia jej tego. Tylko niepotrzebnie wystawiłby jej cierpliwość na próbę.

Nadal Louisie formę i wypełnił ją treścią w koreańskim obozie jenieckim, ale przyszła po niego wiele lat wcześniej, w chaosie

drugiej wojny światowej, kiedy Roland celnie przezwał go Wydrążonym Chłopcem.

Malakhai leżał na poduszce. Sufit przemienił się w niskie chmury nad europejską równiną w okowach zimy. Objął się mocno ramionami, bo panował przeraźliwy ziąb. Już się skończyła noc, nastał ranek - pierwszy brzask.

Mógłby ocalić dziecko, gdyby zawołał z bezpiecznej kryjówki, jaką stanowił załom skalny, ale tego nie zrobił. Patrzył, jak pięcioletni chłopczyk wchodzi na pole. To było wprost idealne rozwiązanie. Musiałby czekać jeszcze godzinę, aż jeden z Niemców spowoduje wybuch, tymczasem napatoczyło się ciekawskie dziecko bezwiednie kierujące się prosto na minę.

Młody szeregowiec Malakhai rozcierał skostniałe ręce podczas kolejnych irytujących zbiegów okoliczności graniczących z cudem, które sprawiały, że niemieccy chłopcy wciąż żyli. Prawie skończyli usuwać z drogi ciężkie drzewo, kawałek po kawałku. Malakhai nie wiedział ani go nie interesowało, z czego się śmiali żołnierze w wojskowej ciężarówce. Jeden z nich wskazywał dziecko, które za kilka minut zginie. Żołnierz skinął na małego chłopczyka i malutka postać przyśpieszyła kroku.

Dobrze.

Koniuszki palców Malakhai przybrały sino-szary kolor, pragnął, żeby dziecko jeszcze szybciej rzuciło się w objęcia śmierci.

Uśmiechnięty jasnowłosy żołnierz trzymał serdelek. Chłopczyk podszedł bliżej, spoglądał onieśmielony, jego okrągłe oczy przypominały brązowe ciasteczka, wyciągnął drobniutką rączkę w stronę smakołyku.

Pierwsza mina wybuchła pod nogami dziecka, po niej następne. Eksplozje następowały jedna po drugiej, więc żołnierze nawet się nie zorientowali, co się dzieje, kiedy rozrywały ich miny. Ludzkie strzępy

leciały we wszystkie strony. Przez jakiś czas padał krwawy deszcz; delikatna mgiełka przemieniła śmierć w zamarznęte czerwone krople.

Ciężarówka stała w ogniu. Powietrze wypełniała gryząca mieszanka siarki i dymu, śwędu spalonych opon i ciał. Malakhai nie czuł jeszcze bólu głowy ranionej odłamkiem metalu. Wyszedł ze swojej kryjówki i zaczął liczyć ofiary - trupy trzydziestu czterech żołnierzy. Nie uwzględnił chłopca, który był cywilem.

Kiedy skończył, stanął nad zwłokami dziecka. Malutkie ciało u jego stóp było okaleczone, ale zachowało się w całości. Chłopiec znalazł się w centrum pierwszej eksplozji, a jednak drobniutka twarzyczka pozostała nienaruszona, kończyny zaś nadal trzymały się na zakrwawionych ścięgnach i kościach.

Malakhai poczuł, że ma wzdół. To też było dziwne. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale kiedy stawała mu przed oczami twarz Louisy, uważał za całkowicie naturalne, że o niej myśli, kojarzy ją ze wszystkim, co zmysłowe. Czuł ogień w kroczu, teraz bardziej intensywny - żywy płomień w środku zimy. A wszystko zaczęło się od tego małego ciała u jego stóp. Dziecko musiało mieszkać w wiejskim domu majaczącym w oddali.

Malakhai zeszywniał i znieruchomiał, nasłuchując z napięciem. Przez zaśnieżoną równinę dobiegły go dźwięki skrzypiec.

Niemożliwe. Rana głowy?

Halucynacje słuchowe? Oczywiście, i to nie pierwszy raz. Poznawał medyczny żargon przy okazji kolejnych ran. Ale nie było to znajome dzwonienie, diabelskie dzwony i wybuchy bomb. To była najprawdziwsza muzyka, a dźwięk skrzypiec nie należał do repertuaru uszkodzeń ciała i umysłu.

Spojrzał na twarzyczkę dziecka. Płatki śniegu spadały na wypukłe szkliste oczy i topniały. Malakhai nie czuł nic poza podnieceniem

rozgrzewającym mu krocze przed wytryskiem spermy.

Odwrócił głowę w kierunku zabudowań, żeby lepiej słyszeć muzykę. Zerwał się wiatr i zagłuszył ciche dźwięki melodii. Poczuiwszy wilgoć, Malakhai uniósł dłoń do twarzy.

Łzy?

Dla Louisy.

Myśli o niej nie wywoływały uczucia bólu ani żalu. Smakował jedynie słone łzy - prezent od Louisy. Wydrążony Chłopak płakał, był to odruch warunkowy na wymaginowany dźwięk skrzypiec. Przypisał Louisie tę sztuczkę, fałszywe łzy za martwe dziecko, przejaw smutku, iluzja współczucia.

Ale dlaczego?

Dwie niewyraźne postaci wyłoniły się z odległego domu. Rodzice? Może właśnie się zorientowali, że ich dziecko nie śpi w łóżeczku. Wiedział, że zwrócą przerażone spojrzenia w stronę płonącej ciężarówki wojskowej. A jednak Malakhai ani nie potrafił się postawić na ich miejscu, ani im współczuć, nie czuł nic poza pulsowaniem w zranionej głowie.

Co Louisa kazałaby mu teraz zrobić?

Ależ naturalnie.

Szeregowiec Malakhai podniósł malutkie ciało, które ważyło tyle co nic, i odwrócił się tyłem do ciemnego dymu i poskręcane go metalu, osmalonych mundurów i martwych żołnierzy. Ruszył przez białe pole, świeżo przyprószone śniegiem.

Młody żołnierz kroczył prosto przed siebie na odmrożonych nogach, zmierzając wolno w kierunku zabudowań, tam gdzie brały początek ślady stóp dziecka.

Mallory znudziła ścianą, na której nadnaturalnej wielkości Oliver Tree w kółko umierał na ruchomym obrazie filmowym.

Wyjęła *Koncert Louisy* z komputerowej stacji dysków. Na biurku leżał przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych. Dawno wyrzuciła stare baterie i teraz grzebała we wszystkich szufladach w poszukiwaniu nowych. Gdzie one są? Ludzie od przewodzących nie mogli ich zgubić. Osobiście pakowała zawartość biurka i przewiozła własnym samochodem.

Nie ma baterii - nic nie szkodzi. Podłączyła odtwarzacz płyt do transformatora umożliwiającego korzystanie z gniazdka w ścianie, a potem powiesiła sobie na szyi duże słuchawki. Spowita kablami przeszła przed obiektywem projektora. Ruchome obrazy padły na jej sylwetkę, mknące strzały bezgłośnie przesunęły się po włosach.

Otworzyła drzwi garderoby i wyciągnęła z niej wszystkie starannie poukładane pudła. Opróżniła kąt gabinetu, by wykorzystać dwie ściany do odtworzenia celi więziennej. Z kartonów zbudowała dwie pozostałe, o wysokości zaledwie półtora metra. Kiedy skończyła, od górnej krawędzi kartonowej ściany do przeciwległej, murowanej, biegly papierowe taśmy - przypomnienie, że było za nisko, żeby się wyprostować. Taśma wyglądała niemal jak kraty, kiedy się spoglądało na sufit.

Ustawwszy ostatnie kartony na swoim miejscu, odgrodziła się od reszty pokoju i usiadła po turecku na podłodze celi. Po kilku minutach usłyszała ciche odgłosy, na które wcześniej nigdy nie zwracała uwagi - tykanie zegara ściennego i deszcz bębniący w szybę okienną. Z ulicy dobiegła stłumiona muzyka z radia tranzystorowego. Ale na otaczających ją ścianach przynajmniej nie widziała gradu strzał i konania Olivera. Mallory spojrzała w górę, na sztuczne kraty z papierowej taśmy, wyznaczające zasięg jej nowego, mikroskopijnego świata. Nałożyła na uszy słuchawki, które odcięły ją od wszystkich dźwięków powstających poza jej celą.

Absolutny spokój.

Nie tego się spodziewała. Nie odczuwała żadnego dyskomfortu, chociaż nie widziała drzwi ani okien. Może wynikało to z jej bezgranicznego zaufania do systemu alarmowego.

Nie, to było coś więcej, coś znajomego. Wróciło do niej dawne wspomnienie.

Mój mały domek.

Mallory odtworzyła fragment swego dzieciństwa, karton po lodówce, który kiedyś był domem dziesięcioletniej uciekiniarki. Jej kartonowy dom stanowił zaciszny azyl po wariactwach na ulicach miasta, huśtawkach emocji, wywołanych przez ucieczki i bójki.

Czuła się tu bezpiecznie.

A Malakhai żył tak przez rok, odcięty od świata zewnętrznego. Niemal z radością przyjąłaby taki wyrok. Ale co robił w tym czasie on, poza słuchaniem muzyki zapisanej w pamięci i rekonstruowaniem postaci zmarłej kobiety?

Mallory wzięła odtwarzacz płyt kompaktowych i nastawiła go tak, by na okrągło móc słuchać *Koncertu Louisy*. Słuchawki stereofoniczne sprawiały, że zdawało się, iż orkiestra symfoniczna gra w jej głowie. Ale ta muzyka nie przemawiała do niej, nie przywoływała duchów z 1942 roku. To były tylko następujące po sobie nuty, dźwięki piskliwych smyczków, którym basowo wtórowały rogi.

Malakhai, coś ty robił przez te wszystkie dni?

Cóż, analizował każdy szczegół postaci martwej Louisy w niebieskiej sukni, z podbiegniętymi krwią oczami i różową pianą na ustach. Musiał tysiące razy odtwarzać w myślach jej śmierć.

Mallory przestała zwracać jakąkolwiek uwagę na muzykę. Skoncentrowała się na wizji Teatru Iluzji Faustine, ale takiego, jak go opisał Malakhai, a nie w wersji Olivera. Umieściła w nim stoliki

kawiarniane, rozstawiła butelki wina, zaludniła go cywilami i żołnierzami, potem przesyciła powietrze dymem. Żyrandol połyskiwał, estradę rozświetlał rząd świec. Na scenie obok niej stała rudowłosa dziewczyna ze skrzypcami. Mallory wcieliła się w postać dziewczyny i zwróciła głowę w kierunku młodego Malakhaia. Chłopak stał w kulisach, zasłonięty przed widownią skrajem kurtyny, i czekał, aż Louisa zacznie grać.

Mallory uniosła rękę, oparła skrzypce na ramieniu i przytrzymała je brodą. Potem Louisa przesunęła po strunach smyczkiem, który pachniał kalafonią. Pod instrumentem ukryta była strzała mająca zastąpić smyczek na zakończenie numeru. Mallory znów skierowała wzrok na Malakhaia.

Czy go jeszcze widzisz, Louiso? Czy widzisz mundur?

Nie, jeszcze nie. I tylko Mallory widziała strzałę w magazynku kuszy. Louisa miała oczy zamknięte. Była całkowicie pochłonięta muzyką.

Na tej iluzji polegała zwykła sztuczka Maksa Candle'a. Ale dziś wieczorem Malakhai wycelował broń w nią - w nich.

Jest taki młody. Ma znów osiemnaście lat. W prawym ręku trzyma uchwyt kuszy, oczy przesłania mu daszek czapki wojskowej. Uniósł broń.

Mundur jest uszyty z szarego sukna, ma srebrne guziki i czerwony kołnierzyk. Nie można pominąć najmniejszego szczegółu. Spoglądała na młodego Malakhaia oczami Louisy. Przystojny chłopak w eleganckich czarnych oficerkach. Celował teraz do niej z kuszy.

O czym myślała Louisa? Łatwiej wcielić się w zabójcę - trudniej być ofiarą w celowniku broni. Najpierw zobaczyła mundur, a potem insygnia SS. Malakhai?

Tak, teraz go poznała. Przewyciężyła strach przed mundurem. Louisa patrzyła na swoją dawną miłość. Położył palec na spuście.

Zastanawiała się, dlaczego Malakhai wykonuje sztukę Maksa? Tak.

Dlaczego nie ma Maksa?

Max nie mógłby cię zabić, Louiso. Tylko Malakhai był do tego zdolny - ponieważ pokochał cię, kiedy jeszcze oboje byli dziećmi.

Mallory czekała, aż chłopak wypuści strzałę. Czy Louisa nadal wierzyła, że powietrze przesyje jedwabna szarfa - niegroźny jedwab, który można okręcić wokół ukrytej strzały? Franny Futura mówił o jej pełnej zaskoczenia minie. Nie, Louisa nie miała pojęcia, na co się zanosí. Odwróciła się tyłem do publiczności, okręcając się podczas gry, by nie widziano, jak zamienia smyczek na strzałę. Wykonywała numer otwierający wszystkie występy.

Dlaczego mu ufałaś, Louiso?

Znałam Malakhaia przez całe życie.

Mallory, mniej ufna, spojrzała na chłopaka. Utkwił spojrzenie ciemnoniebieskich oczu w Louisie, jakby ją sondował, przewiercał - ostatnia pieśczoła na odległość. Nacisnął spust.

Głupia Louiso.

Nawet nie zdążyła krzyknąć, kompletnie zaskoczona. Grot strzały utkwíł głęboko w jej ramieniu, powodując ból. Skrzypce i smyczek upadły na ziemię. Ukryta strzała wysunęła się z ręki Mallory. Jak to się mogło stać? Louisa wpatrywała się w Malakhaia, który się odwrócił, żeby uciec. Dlaczego? Dlaczego zadałeś mi ranę?

Uciekał od niej. Louisa osunęła się na ziemię, policzek Mallory dotknął zimnych desek sceny. Drżały od szybkich kroków nóg w oficerkach, Louisa czuła to przez skórę, kiedy leżała na podłodze.

W ciągu najbliższej godziny Mallory w kółko odgrywała tę scenę. Raz zostawiła Louise osuwającą się na ziemię i pobiegła za Malakhaiem przeciskającym się między stolikami, potrącającym je,

wywołującym popłoch na sali. Potem oboje, Malakhai i Mallory, znaleźli się przed teatrem. Oddychali głęboko. Tamtego wieczoru padał deszcz. Powietrze było wilgotne i zimne. Malakhai spojrział w górę i w dół ulicy, ale Mallory nie dostrzegła nikogo na chodniku. Pod osłoną deszczu, pod osłoną nocy, ściągnął z siebie mundur. Pod nim miał zwykłe ubranie. Wbiegł z powrotem do teatru. Minęło zaledwie kilka minut, nie piętnaście, jak oceniał, nawet nie dziesięć. Był taki młody, czas zdawał się wydłużać, ale w rzeczywistości upłynęło jedynie kilka minut.

Louisa umiera. Czy tego chciałeś, Malakhai?

Następnym razem, kiedy Louisa została ranna, Mallory leżała na scenie razem z nią, krew broczyła z rany zadanej tą samą strzałą, kolejnymi strzałami, a ona była kolejny raz zdradzona, porzucona, nasłuchująca odgłosu ciężkich kroków Malakhaia uciekającego, zostawiającego ją, żeby się wykrwawiła na śmierć.

Teraz Louisą była w głębokim szoku. Czyjeś silne ramiona zabrały ją z podłogi i zaniósły do pokoiku za kulisami, gdzie znów złożyły ją na ziemi. Mallory słyszała, jak drzwi się zamykają, tłumiąc gwar rozmów, odgłosy przesuwanych krzeseł i stolików, brzęk szkła.

Poczuła na twarzy poduszkę.

Brak powietrza. Ogarnęła ją panika. Myślała tylko o jednym: żeby zaczerpnąć tchu. Odpychała poduszkę rękami. Mallory nie wiedziała, skąd ma tyle sił, napinała wszystkie mięśnie, płuca ją paliły, mała nie pękły, spragnione jednego haustu powietrza. Jeszcze mocniej przyduślił ją poduszką. Louisa wiła się i szarpała. Wierzgała nogami. Krew z rany brudziła podłogę, czyniąc ją śliską i czerwoną.

Gdzie jest Malakhai?

Nie ma go, Louiso. Uciekł. Wiesz o tym.

Znikąd żadnej pomocy. Jej morderca usiadł na niej, przygniótł ją całym ciężarem ciała, dusił poduszką. Mallory słyszała głosy po

drugiej stronie drzwi, ludzie mówili w obcych językach.

Dlaczego nie krzyczysz, Louiso?

Nie mogę. Pod drzwiami są niemieccy żołnierze.

Już? Minęły zaledwie minuty od strzału. Żołnierze z widowni?

Zabójca był zdesperowany. Nie umierała wystarczająco szybko. Przygniótł jej piersi kolanem i napał całym ciężarem ciała. Słyszała, jak z trzaskiem łamią się zebra. Do bólu dołączył się szok. Czuła, jak morderca miażdży jej serce swym ciężarem, jak kaleczą je odłamki zgruchotanych kości.

Nie, nie!

A potem jej ciało znieruchomiało. Krew zebrała się na dnie oczu. Dzieło - rozpoczęte przez Malakhaia - było prawie ukończone. Louisa leżała bezwładnie, oczy miała szeroko otwarte. Na ustach pojawiła się różowa piana, malutkie bąbelki pękały jeden po drugim.

Mallory zwinęła się w kłębek w celi więziennej Malakhaia. Urwały się dźwięki i obrazy, urwały wszelkie myśli, bo zmarli nie śnią.

Kiedy znów otworzyła oczy, światło poranka padało na sufit nad kratami z papierowej taśmy. Bolał ją każdy mięsień. Czuła, że kark i kończyny jej zeszywniały. Z odtwarzacza płyt kompaktowych wciąż płynęły dźwięki koncertu, zalewając mózg muzyką, która dla niej nic nie znaczyła. Tyle wart był mit, że Louisa istniała w swojej muzyce.

Mallory nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad muzycznymi metaforami. Swing i rock'n'roll, poznane dzięki przybranemu ojcu, sprawiały, że jej ciało poruszało się bez udziału świadomości. Muzyka Louisy była za trudna.

Mallory próbowała na siłę nadać jakieś znaczenie kompozycji. Ponad dźwiękami skrzypiec przebijały wysokie tony trąbek. Może

oznaczały wystrzały. A teraz rozbrzmiały wszystkie instrumenty orkiestry, tworząc wielki mur dźwięków. Ekspłodowały odłamkami klarnetów i fletów - bomby rozrywające się w powietrzu, oślepiające szrapnele, spadające jak gwiazdy. Potem muzyka opadła kaskadami w płynne doliny bogatych, niskich oktaw. Kiedy melodia znów się uspokoiła, kiedy muzykę zastąpiła nicość, Mallory nieświadomie skinęła głową. Od dawna знаła tę nicość.

Ile udało się Malakhaiowi rozszyfrować podczas tego roku, kiedy siedział zamknięty w celi?

Zabójcę splamiła krew Louisy. Inni mogli mieć na sobie jej krople, ale morderca był nią umazany. Malakhai wiedział, kto to taki. Najmniejszy szczegół tamtego wieczoru nie umknął jego uwagi. A jednak czekał tyle czasu, żeby się zemścić.

Podniosła odtwarzacz płyt kompaktowych, by wyłączyć muzykę. Przewód nie był naprężony, tylko leżał luźno. Pociągnęła go i czarny kabel, nie stawiając oporu, prześlizgnął się przez szparę między kartonami, póki wtyczka nie utkwiała w wąskiej szczelinie. Urządzenie nie było już podłączone do sieci. Wtyczka wypadła z kontaktu, kiedy Mallory spała. Przegródka na baterie była pusta - wiedziała o tym. Dawno temu wyrzuciła stare baterie. Jednak nadal słyszała muzykę.

Nie! To niemożliwe!

Kopnęła kartony i krzyknęła z bólu. Ściągną nóg ją paliły. Skurcz złapał mięśnie ramion. Poczowała, jak muzyka wywołuje falę paniki. Musiała stoczyć ze sobą walkę, by się nie ruszać, leżeć spokojnie i pozwolić, by kurcz minął. Muzyka nabierała tempa. Kropelki potu zrosiły twarz Mallory. Serce zaczęło walić szybciej, mocniej, w takt melodii. Odsunęła kartony zagrażające jej drogę i poczuła w ramionach ukłucia igiełek bólu.

Muzyka znów trysnęła, jakby chciała się na nią zwalić kaskadą dźwięków. Mallory uniosła ręce, by się przed nią osłonić. I wtedy

muzyka złagodniała, niby żywa istota, która postanowiła jej nie przywalić rozsypującym się murem dźwięków. Mallory wolno się przekręciła i na czworakach wyczołgała z celi Malakhaia, ciągnąc za sobą odtwarzacz płyt kompaktowych, połączony przewodem ze słuchawkami. A muzyka skradała się za nią.

To niemożliwe!

Melodia znów się wznosiła. Mallory ze złością uderzyła pięścią w odtwarzacz. Odłamał się mały kawałek plastikowej obudowy, ukazując przełącznik na baterie. Nie była pusta.

Mallory sądziła, że wyrzuciła stare kadmowe baterie, tymczasem tkwiły w odtwarzaczu jedna obok drugiej - dobre, naładowane przez noc.

Idiotka.

Dotknęła wyłącznika i muzyka umilkła. Odetchnęła głęboko. A więc nic nie było tym, czym zdawało się być. Nawet szaleństwo okazało się tylko tanim chwytem.

Porucznik Coffey podniósł żaluzje przesłaniające górną połowę ściany. W pokoju za szybą wszyscy jego pracownicy zebrali się wokół małego telewizora, na biurko rzucali banknoty. Domyślił się, że nadal był to zakład w ciemno, bo nikt poza rzecznikiem prasowym burmistrza nie wiedział, jaki scenariusz zostanie odegrany dziś rano. Odwrócił się w stronę większego ekranu telewizora stojącego w kącie jego gabinetu.

Sierżant Riker siedział zgarbiony na krześle, nie okazując entuzjazmu wobec zbliżającego się wydarzenia - może dlatego, że nie brał udziału w zakładach. Został wciągnięty przez drzwi gabinetu, zanim zdążył zamienić słówko z hazardzistami z sąsiedniego pokoju.

Jack Coffey przesunął dłonią po włosach, zatrzymując ją na łysinie, którą przypisywał stresowi i za którą winił Mallory. On i Riker

w milczeniu oglądali prognozę pogody w porannym programie. Jacka Coffeya ogarnęło oburzenie na widok zadowolonego z siebie synoptyka, szczęśliwego idioty o niezasłużenie gęstych włosów, zarabiającego krocie za przekładanie kilku plansz. Mapę za nim ozdabiały uśmiechnięte słoneczka i marszczące czoła krople deszczu. Duży pojedynczy płatek śniegu przesłonił cały stan Connecticut.

Porucznik pochylił się i zaczął grzebać w stosie świeżych papierzysk leżących na jego biurku.

Co, u diabła?

Chwycił jakąś kartkę i machnął nią przed twarzą Rikera.

- Jakim cudem skłoniła ekipę Hellera, żeby się tym zajęła? Zleciłem im inspekcję podium, nie platformy z parady.

Riker wzruszył ramionami i Coffey doszedł do wniosku, że sierżant może rzeczywiście nie mieć o tym zielonego pojęcia. Mallory prawdopodobnie wołała nie wtajemniczać swojego partnera w takie sprzeczne z regulaminem postępowanie.

Coffey spojrział przez szybę. Przyjmowano ostatnie zakłady, podczas gdy synoptyk śmiał się do kropli deszczu wiszącej nad stanem Nowy Jork i zwiastującej burze.

Na ekranie pojawił się amatorski film z parady z okazji Święta Dziękczynienia. Głównymi jego bohaterami była żona pana Zimmermanna i dzieci. Mała rodzinka dzielnie się uśmiechała, chociaż włosy pani Zimmermann nastroszył wiatr. Dzieci machały rączkami, stojąc obok potężnej platformy ze śniegowym bałwanem. Bez żadnego powodu operator pokazał panoramę i wyraźny obraz skalistego wzgórza na końcu trasy parady. Pani Zimmermann i dzieci, potrącając się, nawzajem pośpiesznie się przegrupowywali, by zająć odpowiednie miejsce przed kamerą. Cofnęli się w kierunku parku,

podczas gdy obiektywy wszystkich kamer w całym Nowym Jorku były wycelowane w potężne balony płynące w przeciwną stronę.

Obraz zniknął, zastąpił go widok studia ulubionej porannej audycji burmistrza. Kobieta i mężczyzna siedzieli na kanapce. Damsko-męski duet dziennikarski nie zmienił się zbyt od czasów, kiedy Jack Coffey chodził do, szkoły. Gospodarz programu nieodmiennie nosił kiepski tupecik, chociaż jego ciemny kolor niezbyt pasował do wyrazistych rysów twarzy i potrójnego podbródka. Współgospodynią programu była Murzynka. Nie było po niej widać upływu lat. Ani na moment nie przestawała się uśmiechać. Plotkowano, że jej wieczny uśmiech był niezamierzonym następstwem operacji plastycznej.

Riker się nachylił i podkręcił głoś, kiedy do studia wszedł Heller. Kierownik laboratorium kryminalistycznego robił wrażenie, jakby wbrew swej woli ścisnął dłonie dziennikarzom telewizyjnym. A może Heller czuł się tylko nieswojo przed kamerami. Albo Mallory trzymała członków jego rodziny jako zakładników gdzieś na odludziu.

Potężny mężczyzna usiadł na kanapie pomiędzy gospodarzami programu. Heller był niezwykle opanowany, nawet mu nie drgnęła powieka, kiedy wszystko pokręcili, wymieniając jego świetne referencje i dotychczasowe sukcesy zawodowe. Zwrócił oczy na monitor stojący obok kanapy. Telewidzowie zobaczyli ten sam obraz w powiększeniu. Przedstawiał skaliste wzgórze nad głową uśmiechniętej żony turysty.

- Proszę obserwować wzgórze - poinstruował dziennikarz telewizjów. Nieruchomy obraz ożył, pokazując w zwolnionym tempie włosy pani Zimmermann, rozwiewane przez wiatr. Gospodarz programu wyraźnie wymawiał każde słowo. - Widzicie państwo ciemny cień na skałach? Widzicie obłoczek białego dymu?

Riker wziął z biurka program telewizyjny i przesunął palcem w dół kolumny z audycjami porannymi, może aby się upewnić, że rzecznik prasowy burmistrza nie zaprosił czołowego kryminologa nowojorskiej policji do jakiegoś programu dla dzieci.

- Ten obłoczek dymu oznacza strzał z broni, prawda? - zwrócił się dziennikarz do Hellera. - Oczywiście dowód, że policjantka nie działała sama. Mam rację?

- Sierżant Mallory nic nie zrobiła - powiedział Heller. - Ten obłoczek dymu pasuje do ścieżki dźwiękowej migawki nagranej dla wiadomości. To dym z lufy karabinu. Odebraliśmy łuskę dwójce dzieciaków, które tamtego ranka bawiły się w parku.

Uśmiechnięta kobieta dotknęła rękawa Hellera.

- Ale czy jest pan pewien, że to strzał z karabinu trafił Goldy'ego? Chodzi mi o to, że balon był taki wielki. - Odwróciła się do kamery i rozłożyła szeroko ręce, by pokazać słowo „wielki” widzom mającym trudności w nauce.

- To mógł być pistolet, prawda? Z każdej broni można trafić w coś takiego.

- Celem nie był balon - wyjaśnił Heller. - Balon został trafiony rykoszetem. Na prośbę sierżant Mallory podejrzewającej, że mierzą z broni do platformy, moi ludzie dokonali oględzin i znaleźli dowody potwierdzające przypuszczenia policjantki. Znaleźliśmy dwie dziury w tkaninie, z której zrobiono wielki cylinder. Jedną, przez którą wleciał pocisk, i drugą, którą wyleciał. Stwierdziliśmy również ślady naboju na metalowym szkielecie pod cylindrem.

Prowadzący program uniósł brew.

- Twierdzi pan, że była to próba zabójstwa jednego z iluzjonistów?

- Nie - odparł Heller. - Mówię, że pocisk odbił się rykoszetem od platformy. Reszta to czyste spekulacje.

- Cóż, przynajmniej wiemy, skąd się wzięła jedna kula - powiedziała roześmiana kobieta. - Strzały...

- Jeden strzał - poprawił ją Heller, unosząc w górę palec wskazujący, świadom, z kim ma do czynienia. Najwyraźniej potrzebna im była ta pomoc wizualna, by odliczyć jeden strzał. A to potwierdzało teorię Rikera, że rzeczywiście oglądają z Coffeyem audycję dla dzieci.

Gospodarz programu pokazał trzy palce.

- Mamy świadków, którzy słyszeli trzy strzały.

Rozległy się dwa elektroniczne sygnały, by zagłuszyć słowa odpowiedzi Hellera. Coffey podejrzewał, że były to niecenzuralne epitety dotyczące wartości zeznań przygodnych świadków. Heller powtórzył opinię w grzeczniejszej formie.

- Setki razy puszczaście te taśmy. Czy słyszeliście trzy strzały? Nie. - Znow podniósł palec wskazujący. - Był tylko jeden strzał. Sierżant Mallory nie wystrzeliła ze swojej broni.

Coffey odwrócił się w stronę szerokiego okna, za którym znajdował się pokój jego podwładnych. Za szybą rozległy się głośne gwizdy i okrzyki. Mężczyźni zgarniali pieniądze i wsuwali je do kieszeni spodni. Kilka zmiętych banknotów fruwało w powietrzu. Podrzucali je pechowcy, którzy przegrali.

Riker pochylił się i wyłączył telewizor.

- Szefie, czy to się panu podoba, czy nie, mała jest czysta. Chce pan, żebym stał kurz z jej biurka?

Coffey skinął głową, uśmiechając się smutno.

- Wiem, co sobie pan myśli, panie poruczniku - dodał Riker. - Jak Mallory ma się kiedykolwiek nauczyć reguł gry, jeśli nie może jej pan przyłapać na ich łamaniu? - Uśmiechnął się. Nie był to szeroki uśmiech puszącego się zwycięzcy. Riker po prostu się cieszył, że jest po drugiej stronie niż przegrany - jego przełożony.

Kątem oka Coffey śledził mężczyznę w mundurze. Sierżant Harry Bell wszedł z korytarza i teraz kroczył przez pokój. Kiedy oficer dyżurny był zaledwie kilka kroków od drzwi gabinetu, Coffey wolno wyciągnął jedną rękę i odwrócił dłoń wewnętrzną stroną do góry. Jakby na dany znak, sierżant Bell wszedł do środka i położył cztery banknoty dziesięciodolarowe na dłoni porucznika - jego wygraną.

Na twarzy Harry'ego Bella malowało się głębokie rozczarowanie, kiedy zwrócił się do zaskoczonego Rikera:

- Nigdy się nie zakładasz, kiedy gra idzie o twojego partnera? Jezu, Riker, nawet jeśli uważałeś, że Mallory jest winna, mogłeś coś postawić choćby dla zasady.

Mallory uklękła i poświeciła latarką na cementową posadzkę piwnicy. Warstwa talku była nienaruszona. Posypała nim sporą powierzchnię. Nie dostrzegła śladów prowizorycznego rusztowania, po którym mógłby przejść nad pułapką, a przecież nad nią nie prze-frunął. A jednak zza harmonijkowej ścianki dobiegał śpiew Billie Holiday i Mallory wiedziała, że Malakhai tam jest. Czuła dym papierosów Malakhaia i Louisy.

W miejscu gdzie kończyło się przepierzenie, przyjrzała się z uwagą długiemu rzędowni kołków, którymi drewniane płyty były przymocowane do ściany piwnicy. Nie można ich było wyważyć zwykłym łomem. Sądząc po wielkości metalowych łebków, tkwiły głęboko w murze grubości dwóch cegieł. Jednak pociągnęła za końcowy panel i nabijana bolcami metalowa listwa oddzieliła się od ściany, drewniana płyta przesunęła się łatwo, cicho, a pozostałe panele złożyły się, tworząc szczelinę obok ceglanego muru. Przez to nowe wejście dostała się do części magazynowej.

Skradała się wzdłuż szeregu półek i pochylała nisko, okrążając stosy kartonów. Przyjemnie było ujrzyć zdumienie na twarzy

Malakhaia, kiedy uniósł głowę znad otwartego pudła stojącego u jego stóp. Uśmiechnął się.

- Ciekaw byłem, ile czasu zajmie pani rozpracowanie tego. Nawet Charles myśli, że można wejść tylko przez środkowe panele. Przypuszczam, że pomocna byłaby znajomość poczucia humoru Maksa.

- Znalazł pan to, czego pan szukał?

Uniósł książkę o osmalonym skórzanym grzbiecie. Karton u jego stóp wypełniał popiół i poczerniałe fragmenty okładek.

- To były dzienniki Maksa. Przypuszczam, że Edith je znalazła po jego śmierci.

- Dlaczego się pan nimi interesował?

Wrzucił osmaloną książkę do kartonu i wytarł dłonie w szmatkę.

- Pisał w nich o mojej żonie. Max opowiedział mi o swoich dziennikach pewnego wieczoru, kiedy wyjechaliśmy z miasta. Był bardzo pijany i gnębiły go wyrzuty sumienia.

- Prowadził w Paryżu dziennik?

- Nie, zaczął go pisać znacznie później, po moim powrocie z Korei razem ze zmartwychwstałą Louisa. Zaangażowanie jej do magicznej sztuczki w większym stopniu wpłynęło na Maksa, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Jego dzienniki były listami miłosnymi do zmarłej kobiety. To dlatego Edith je spaliła: z zazdrości o nieboszczkę. - Bez przekonania kopnął karton.

- Czy Max Candle, tak samo jak pan, stracił dla niej głowę?

Malakhai się uśmiechnął, wyjął ze skrzynki butelkę wina i uważnie przeczytał etykietę.

- Zawsze wiem, na czym stoję, kiedy z panią rozmawiam, Mallo-ry. - Nalał wina do kieliszka i podał jej. - Zdaję sobie sprawę, że to nieeleganckie pić przed południem.

Wzięła kieliszek.

- To mi się podoba - chwalił. - Mam nadzieję, że nigdy nie stanie się pani za dobrze wychowana. - Spojrzał na karton. - Żony zawsze wiedzą, prawda? Martwa rywalka musiała ją kompletnie wyprowadzić z równowagi. Biedna Edith. Biedny Max.

Zaciągnął się papierosem i odchylił głowę do tyłu, by obserwować, jak obłoczek błękitnego dymu unosi się w górę, ku sufitowi.

- Mogę pani opowiedzieć o swoim życiu w odcinkach trwających tyle co wypalenie jednego papierosa. Na przykład o tej nocy, kiedy uciekliśmy z Paryża, Max i ja. Uratował mi życie, ciągnął mnie ulicami i wpychał do wagonów kolejowych. Przekroczyliśmy hiszpańską granicę.

- Mówił pan, że granica była zamknięta. Powiedział pan, że nie mógł pan tamtą drogą wywieźć Louisy z Paryża.

- Bo była zamknięta. Och, czasem otwierali ją na godzinę czy na jeden dzień, ale owej nocy granica okazała się zatrzaśnięta niczym wieko trumny. Lecz było mi to obojętne. Kompletnie się załamalem. Max miał większe szanse powodzenia, gdyby postanowił się przedostać sam, ale nie chciał mnie zostawić. Widzi pani, właściwie sprawa była beznadziejna. Jednak Max zawsze słuchał wewnętrznego głosu, który mu mówił: „Skacz albo zgin”. Nawet wtedy potrafił się zdobyć na takie ryzyko.

Zamknął karton wypełniony popiołem.

- Wyszliśmy z pociągu w Cerbère. Policja ustawiła wszystkich pasażerów w szeregu, by ich wylegitymować.

Mieliśmy w kieszeniach kilka dokumentów podrobionych przez Nicka, wizy wyjazdowe z Francji, promesy na wyjazd z Lizbony. Naturalnie były beзуżyteczne. W tamtym miesiącu nikt nie mógł legalnie otrzymać wizy wyjazdowej, więc wszystkie papiery były podejrzone. Podróżowaliśmy bez bagażu, to też wyglądało

podejrzanie. A Max nadal miał na sobie smoking. Funkcjonariusz był Francuzem, czyli należał do narodu czułego na wygląd zewnętrzny, ale i tak musiało mu się to wydać dziwne, szczególnie jedwabny cylinder. Max poszedł porozmawiać z policjantem pilnującym wyjścia na stację. Wrócił bez pieniędzy, ale za to z zamiarami na wszystkie okoliczne francuskie punkty kontrolne. Strażnik powiedział mu, że dokumenty są sprawdzane telefonicznie i telegraficznie, więc nie mogliśmy wsiąść z powrotem do pociągu. Opuściliśmy stację razem z pasażerami, którzy zatrzymali się w Cerbère. Potem wdrapaliśmy się na strome wzgórze. Pamiętam, że mijaliśmy niskie kamienne murki i drzewa oliwne. Na niebie świecił milion gwiazd. Zatrzymaliśmy się w hiszpańskiej wartowni. Max rozmawiał ze strażnikami. Ja siedziałem w środku i cały czas płakałem. Spytały go, dlaczego jego przyjaciel tak rozpacza. Powiedział im, że w nocy umarła mi żona. Potem spytały Maksa, dlaczego on płacze. Łzy płynęły mu po policzkach, kiedy oznajmił, że był kochankiem żony swojego przyjaciela. Zaskoczył tym strażników. Powiedział im, że ma w kieszeni tylko kilka franków i pół paczki papierosów. Nie jest przygotowany na wręczenie łapówki. Aha, nie omieszkał również dodać, że nasze dokumenty są fałszywe. Cóż, strażnicy zaczęli się pokładać ze śmiechu. Nie rozumiałem, co ich tak rozbawiło, i dalej płakałem. Przepuścili nas, nie wiem dlaczego. To był cud, że tamtej nocy nie zostaliśmy aresztowani. Niemieccy żołnierze czyhali wzdłuż całej granicy niczym kot obok mysiej dziurki. Ale to jeszcze nie był koniec opowiadania dowcipów. Kiedy w końcu dotarliśmy do Lizbony, wykryto, że promesa wyjazdowa jest sfalszowana. Naturalnie wiedziałem, że tak się to skończy, ale było mi obojętne, co się ze mną stanie. Siedzieliśmy w poczekalni przed gabinetem jakiegoś urzędnika. Ten głupiec w eleganckim garniturze stał nad nami

i wymachiwał naszymi podrobionymi dokumentami. Był oburzony. Max wstał w swoim zakurzonym smokingu i się uklonił. Był naprawdę czarujący. Powiedział, że ma nadzieję, iż urzędnik nie poczuł się dotknięty niską jakością sfałszowanych dokumentów, ponieważ nie było naszym zamiarem obrażenie go. Ależ nie, powiedział urzędnik. Dokumenty są naprawdę pierwsza klasa. Pocieszał Maksa. Potem obaj zniknęli w gabinecie mężczyzny. Od czasu do czasu dobiegał mnie zza drzwi śmiech. Godzinę później siedzieliśmy w samolocie odlatującym z Lizbony. Nie wiem jakim cudem. To był czysty absurd. Cała wojna była taka. - Zgniótł niedopałek papierosa w popielniczce. Papieros Louisy już dawno zgasł. - Pamiętam, że w samolocie paliłem papierosa. Tamtej nocy cały świat przesłaniał dym. Młodzi żołnierze zaciągali się skrętami w okopach, generałowie palili cygara, popijając whisky, prostytutki ćmiły cygaretki na rogach ulic. Zastanawiałem się, jak ktokolwiek z nas mógł coś widzieć przez ten dym wystrzałów armatnich i fajek. Później się okazało, że nikt nic nie widział.

Spojrzał na cienkiego białego papierosa trzymanego w palcach.

- Widzi pani, traktowałem to jak lekarstwo. Moja żona nie żyła. Odrobina nikotyny przyniosła mi pocieszenie. Byłem przekonany, że zabiłem Louise strzałem z kuszy. Ból się pogłębiał. Kolejny papieros, kolejna dawka pocieszenia. - Przechylił głowę na bok.

- A po jej śmierci - powiedziała Mallory - kiedy wykorzystał pan jej postać w swojej iluzji, skąd pan wiedział, że Max nadal...

- ...nadal miał bzika na punkcie Louisy? Kiedy przywoziłem ją ze sobą z Korei, zabrałem ją do niego na obiad. Znowu się w niej zakochał. Nie przeszkadzało mu, że Louisa nie żyje. Był Amerykaninem. Dla Maksa nie było rzeczy niemożliwych.

Odsunął popielniczkę na bok.

- Ale to inna historia, którą opowiem przy innej okazji, pałac kolejnego papierosa. - Podszedł do kufra szafy. - Dziś wieczorem jest msza za Olivera. Proponuję biały atlasowy smoking.

- Taka jest tradycja, kiedy umrze iluzjonista, prawda? Ale wszyscy mi powtarzają, że Oliver nie był iluzjonistą.

- I mają rację. Beznadziejny partacz. Nie będzie ceremonialnego nabożeństwa, jakim pożegnaliśmy Maksa Candle'a. To było wydarzenie. Zjechali się iluzjoniści z całego świata, by godnie uczcić jego pamięć. Nie słyszałem, by później zorganizowano jeszcze coś równie okazałego. Zresztą Oliver już został pochowany. To będzie skromne nabożeństwo w małym kościółku niedaleko od pani.

- Futura powiedział, że Oliver też kochał Louise.

- Był jej bezgranicznie oddany. Jak pani wie, Oliver nigdy się nie ożenił. Dochował jej wierności.

- Pan też nigdy nie kochał nikogo poza Louisa?

Uklęknął obok Mallory.

- Nadal się pani zastanawia, czy jestem wariatem, czy też Louisa stanowi tylko element mojej sztuczki? Czy nie rozstaję się z nią dlatego, że czuję się winny, czy też dla korzyści materialnych?

- Myślę, że kiedyś mógł pan rzeczywiście kochać ją do szaleństwa. Ale teraz to już tylko przyzwyczajenie. Coraz trudniej manipulować żyłkami, prawda? - Mallory wskazała popielniczkę. - Jej papieros zgasł. To już prawie koniec. - Uśmiechnęła się, a on potraktował to jako ostrzeżenie i cofnął się.

- To moja druga wizyta tutaj dzisiejszego ranka - powiedziała. - Myślę, że znalazłam to, czego pan szuka: stary list wciśnięty w nosek buta. - To tam przybrana matka Mallory ukrywała cenne rzeczy, żeby uchronić je przed włamywaczami, jakby istniał czarny rynek

na kiepskie wiersze, pisane przez męża Helen.

Malakhai stanął nad nią.

- Czy to list od Maksa?

- Od Louisy. Zaadresowany do pana. Prawdopodobnie pomyślała, że jeśli zginie tamtej nocy, pan zatrzyma jej rzeczy osobiste. - Mallory spojrzała na kufer. - Zawsze się zastanawiałam, dlaczego pan tego nie zrobił. - Spuściła wzrok i zaczęła z uwagą studiować swoje paznokcie, jakby nie przywiązywała wagi do transakcji, którą zamierzała zaproponować. - Oddam panu ten list w zamian za informację. Kiedy w Święto Dziękczynienia wystrzelił pan z broni, w kogo pan celował?

Wolno pokręcił głową. Nic z tego.

- Mam swoje zasady, Malakhai. Nie ma nic za darmo. Proszę się przyznać, w kogo pan celował, albo zniszczę list Louisy.

- Trudno. - Powiedział to bez wahania. Nie blefował.

Mallory wstała i podeszła do kufra.

- Wiem, że napisała go tej nocy, kiedy zginęła. - Wyjęła biały smoking i przerzuciła go sobie przez ramię. - Louisa wspomniała w nim o wyznaniu uczynionym w parku. - Odwróciła się plecami do Malakhaia. - Ostatnia szansa. Czy chodziło o Nicka Prado? Czy to on stał w pobliżu platformy, kiedy wystrzelił pan z broni?

Spojrzał na skrzynkę z winem, kręcąc przecząco głową. Nic z tego.

Mallory sięgnęła do kieszeni blezera i wyjęła z niej pojedynczą kartkę. Papier był delikatny, kruchy, pożółkły ze starości, zmięty. Atrament tworzył fioletowe szlaczki, pismo było prawie nieczytelne. Podeszła do Malakhaia i włożyła mu kartkę w dłoń - nie chcąc nic w zamian.

Spojrzał na papier, jeszcze nie do końca wierząc, że go trzyma.

Odwróciła się w kierunku przepierzenia. Malakhai pochylił głowę, czytając wypłowiałe słowa listu. Pisała go kobieta, która nie wiedziała, jak zakończy się najbliższy dzień, ucieknie czy zostanie złapana, przeżyje czy umrze. Zaczynał się od słów: „Kochany Malakhaiu”, a potem następowało długie pożegnanie.

Mallory otrzymała podobny list od swojego przewidującego przybranego ojca. Napisał go przed śmiercią. Dostarczono go jej w dniu jego pogrzebu. Trzy pokolenia Markowitzów, sami policjanci, pisały takie listy do swoich bliskich. Córka gliniarza rozumiała znaczenie pożegnania.

Podeszła do harmonijkowej ściany i skierowała się do bocznego wyjścia. Ani razu nie odwróciła głowy, żeby nie przyłapać Malakhai na tym, że płacze.

Miała swoje zasady.

ROZDZIAŁ 16

Franny Futura nasłuchiwał, czy został sam. W końcu w teatrze ucichło, co świadczyło o tym, że wszyscy tancerze i pracownicy techniczni wyszli na przerwę obiadową.

Roześmiał się na cały głos i wykonał krótki taniec na deskach sceny, przytupując i wirując, objąwszy się ramionami z całych sił, jakby w ten sposób mógł okiełznać swoją radość. Nie udało mu się to. Uśmiechał się szeroko, kiedy przystanął i skłonił się przed pustą widownią.

- Broadway. - Wymówił to słowo, najświętsze ze świętych, unosząc się na palcach. A po chwili dodał cicho, jakby zmawiał modlitwę: - Dziękuję ci, Oliverze.

To prawda, że ten odcinek ulicy był daleko od centrum, ale nigdy nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że znajdzie się tak blisko wysnionej Wielkiej Białej Drogi. Franny wiedział, jakie miejsce zajmuje wśród iluzjonistów. Przezywali go chodzącym la-musem, kompendium ogranych, starych sztuczek, które nikogo nie bawiły. Jednak w najbliższy piątkowy wieczór wykona numer Maksa Candle'a przy pełnej widowni, w programie, którego będzie pierwszą gwiazdą. Na markizie przed budynkiem jego nazwisko wypisane

było większymi literami niż nazwiska wszystkich pozostałych artystów.

Podszedł do długiego czarnego stołu, na którym stała szklana trumna. Przezrocyste płyty osadzono w ramach z ciemnego ołowiu, ołowiana listwa biegła również w miejscu połączenia obu połówek trumny. Ujął cynowe rączki i rozdzielił dwie niezależne od siebie części. Lekko przesunęły się wzdłuż metalowych szyn umieszczonych na stole. Poklepał wielką dynię w środku trumny. Metalowa obejmą przytrzymała ją w odpowiednim położeniu, żeby ostrze nie strąciło jej na podłogę zaraz na początku. Wybrał ten sezonowy owoc zamiast wypchanego manekina, używanego przez Maksa, ponieważ dzięki temu mógł stworzyć złudzenie krwawienia. Wprawdzie sok był jasny w porównaniu z prawdziwą krwią, ale o niebo lepszy od trocin.

Metr za stołem wznosił się wąski prostokąt z czarnych desek, sięgający aż do rusztowania nad sceną. Były do niego przyłączone sprężyny i koła zębate, przypominające błyszczące mechanizmy zegarów eksponowane w monstualnym puzderku wyłożonym aksamitem. Na szczycie tej mechanicznej podstawy dwa metalowe ramiona podtrzymywały wahadło: cienki stalowy pręt, zakończony półokrągłym ostrzem.

Franny tanecznym krokiem pobiegł za kulisy i wspiał się po drabinie na pomost. Kiedy szedł po wąskich drewnianych deszczułkach, rusztowanie nad sceną nawet chybotąło się tak samo jak tamto w teatrze Faustine. Chwycił się balustrady i się uśmiechnął.

Zupełnie jak za dawnych czasów.

Ten teatr to nie była zwykła rekonstrukcja; zdawało mu się, że znów znalazł się w Paryżu. Zatoczył pełne koło - i wrócił do punktu wyjścia.

Franny spojrział w dół i wyobraził sobie Maksa Candle'a leżącego

w szklanej trumnie, przykutego za rękę i nogę, wykrzykującego zawsze te same słowa, by poinformować widzów, że z wahadłem stało się coś niedobrego, że zginie od jego ostrza. Powtarzał to co wieczór.

Z mroku kulis z prawej strony ukazała się smużka dymu i popłynęła w kierunku świateł rampy.

- Emile?

Jedyną odpowiedzią było pukanie w drewnianą ściankę. Teraz rozpoznał swojego gościa. Ile lat musi minąć, zanim ten odgłos przestanie napawać go lękiem?

Nick Prado powiedział kiepskim *sotto voce*:

- Nagle coś w drzwi zastukało.

Franny zacisnął ręce na balustradzie, kiedy mężczyzna pojawił się w pełnym świetle na środku sceny. Nick stał pod rusztowaniem i spoglądał w górę, parafrazując słowa poety:

- Któż to puka w moje drzwi? Franny, musisz spróbować wzbogacić swoją iluzję o coś z Poe'go. - Wzrok Nicka prześlizgnął się wzdłuż długiego wahadła do ostrego jak brzytwa sierpowatego ostrza. - Słyszałem, że zaangażowałaś sześciu tancerzy. - Znów zadarł głowę. - Powiedz, że to nieprawda.

Franny przechylił się przez balustradę. Kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał ostro, piskliwie i trochę za głośno:

- To dla spotęgowania wrażenia. Nie sądzę, żeby sama iluzja potrafiła przykuć uwagę współczesnej widowni. Ten numer taneczny jest naprawdę bardzo dobry.

Nick wzdrygnął się z przesadnym niesmakiem.

- Zejdiesz na dół? Czy mam dalej krzyczeć?

Oderwanie rąk od barierki, którą ścisnął kurczowo, wymagało sporego wysiłku od Franny'ego. Czuł się pewnie na rusztowaniu, ale czy zdoła wymyślić jakiś pretekst, żeby tu pozostać?

Nie.

Powłócząc nogami, dotarł na koniec pomostu i wolno zszedł po

drabinie. Może nie ma bezpiecznych miejsc. Nie znalazł takiego przez wszystkie lata usilnych poszukiwań.

Nick przesunął dłonią po wieku trumny.

- Szkoda, że nie możesz tego zrobić tak jak Max Candle. Konkurujesz z wielkimi spektaklami w śródmieściu. Z mnóstwem wyrafinowanych sztuczek. Gdyby publiczność myślała, że istnieje prawdopodobieństwo ujrzenia, jak umierasz... - Podeszedł do mechanizmu i nacisnął dźwignię, by wprawić wahadło w ruch. - To była taka śliczna iluzja.

Mężczyźni stali teraz obok siebie i obserwowali, jak tryby się ząbiają, jedne koła wprawiają w ruch następne, uruchamiają sprężyny, tykają miarowo. Nick rzucił Franny'emu złośliwy uśmiech.

- Mam nadzieję, że to nie Oliver skonstruował ten mechanizm.

- Nie - powiedział Franny. - Bałem się, że ten też mógł spartańczyć. Charles pożyczył mi dawne rekwizyty Makska.

Nick obserwował wahadło zataczające mały łuk.

- Miałeś jakieś kłopoty z wyregulowaniem mechanizmu? Byłoby zbrodnią zniszczyć oryginalną trumnę. Jej miejsce jest w muzeum.

- Nie, Emile mi pomógł. Prawdę mówiąc, sam wszystko zrobił. Wahadło wychyla się między skrzyniami bardzo precyzyjnie. Zbacza nie więcej niż o centymetr.

Nick znów spojrział w górę. Wahadło nabierało rozpędu i ostrze zataczało coraz większy łuk.

- Wspaniałe urządzenie. Szwajcarskie zębatki i balans. Tylko tacy milionerzy jak Max i Oliver mogli sobie pozwolić na skonstruowanie czegoś takiego. Nie przekonam cię, żebyś to zrobił tak jak Max?

Franny nic nie powiedział, tylko obserwował wahadło. Opuszczało się, balansując nad szklaną trumną. Nick klepnął go w ramię.

- Zapomnij, że o tym wspomniałem, staruszkule. Rzeczywiście byłoby to zbyt ryzykowne, jeśli zdecydowałeś się na oryginalny

mechanizm. To przecież staroć. Naprawdę masz do niego pełne zaufanie?

- Emile mówi, że jest w idealnym stanie. - Franny obserwował, jak ostrze opuszcza się coraz niżej, by przeciąć trumnę w miejscu połączenia.

- Co, u licha, to tutaj robi? - Nick wskazał jaskrawo-pomarańczowy owoc w trumnie.

- Dynia? To zamiast manekina używanego przez Maksa. Chcę, żeby publiczność widziała, że ostrze naprawdę przecina... O nie! - Franny kręcił głową w takt ruchów wahadła. Pestki i miąższ przyczepiły się do ostrza. Jasnożółty sok dyni kapał na podłogę i pryskał na trumnę. Im wahadło zataczało większy łuk, tym dalej pryskał sok.

- Pięknie. - Nick wyjął okulary i włożył je na nos, by ocenić poziomowisko. - Pudło. Czy to twoja pierwsza próba z dynią?

Franny pobiegł za kulisy, gdzie środki czystości stały obok aparatury nagłaśniającej. Kiedy wrócił na scenę, Nick stał przy jednym końcu trumny i zaglądał do środka.

- Sok z dyni nie ubrudził mikrofonu, ale chyba powinieneś sprawdzić go jeszcze raz. Jeśli został uszkodzony, widzowie nie usłyszą twoich krzyków, wydobywających się ze środka. A tak to sobie zaplanowałaś, prawda?

Nick obszedł trumnę i kiwając głową, obejrzał dość prowizoryczne przedłużenie kabla ginącego za ścianką z zawiasami.

- W wieczór premierowy na widowni będą krytycy. Zadałem sobie wiele trudu, żeby namówić ich na przyjęcie, Franny. Chyba nie chcesz wszystkiego zepsuć, prawda? - Spojrzał na materiał równiutko ułożony na podłodze obok trumny. - A więc zamierzasz zasłonić skrzynie, kiedy będziesz z nich wychodził?

- Naturalnie. Nie ma innego sposobu.

- Cóż, można to wykonać sposobem Maksa. Zostawał w trumnie, wołając o pomoc, patrząc, jak wahadło opuszcza się coraz niżej. Mogę ci zdradzić, jak to robił.

Franny wolno pokręcił głową, wycierając ręcznikiem wnętrze trumny.

Nick się uśmiechnął.

- Używasz kajdanek, które się automatycznie otwierają, prawda? Możemy tak ustawić wahadło, żeby ostrze w najniższym położeniu kołysało się przed trumną. - Wskazał panel z zębatkami. - To dlatego stół i ścianka są pomalowane na czarno. Nie widać, gdzie się kończy pas smokingu Maksa i zaczyna tło. Oczywiście istnieje ryzyko, jak przy każdym urządzeniu mechanicznym. Ale możesz wykonać najlepszą iluzję podczas festiwalu.

Wyczyściwszy trumnę z pestek i soku, Franny spojrział na mikrofon suchutki jak pieprz.

- Nie wydaje mi się, Nick.

- Mówiliby o tobie całe lata, gdybyś zaryzykował chociaż odrobinę.

Franny spojrział na pestki na podłodze. Ekipa porządkowa sprząta nie resztę. Zwinął ręcznik i rzucił go za kulisy.

- Oddałbym wszystko - powiedział Nick - żeby jeszcze raz zobaczyć ten numer wykonywany tak jak należy. Widzowie siedzieli wtedy jak zahipnotyzowani. Byli przerażeni. - Okrążył trumnę, sprawdzając obrzeżone ołowiem otwory z obu końców. - Mogę ulepszyć twoją wersję. To nie pociągnie za sobą żadnego ryzyka. Tam gdzie powinny być nogi, możemy umieścić jakiś mechanizm, coś, co stłukłoby szkło. Wyglądałoby to tak, jakbyś był w środku i próbował się wydostać. Max każdego wieczoru wybijał jedną szybkę. Dodatkowy efekt dla spotęgowania nastroju grozy. To wszystko, czego potrzeba. Sam zajmę się przygotowaniem.

- Nie... Przepraszam, ale... Dziękuję, lecz Emile mi pomaga. Wróci tutaj. Prawdę mówiąc, będzie tu lada chwila. - Dlaczego to powiedział?

- Musimy już iść, Franny. Zostawimy Emile'owi wiadomość w kasie.

- Iść? Dokąd?

Nick stuknął w drewniany stół.

- Może tuż zanim pojawisz się na scenie, wypuścimy kruka. Mógłby przysiąść na podium. I jeszcze odgłos kołatania. - Znów zastukał w drewniany stół. - Koniecznie musi być kołatanie. Nowojorczycy są odcytani. Wiem, że zrozumieją aluzję.

Franny pokręcił głową. Nick wzruszył ramionami.

- Przesada? Może masz rację. Ale musimy porozmawiać o tancerzach. Potrzebna ci pomoc przy tej iluzji.

- Emile mi...

- Emile nie może ci teraz pomóc, Franny. Zapomniałeś, że przygotowuje się do wykonania iluzji Maksa z szubienicą? Mam nadzieję, że Oliver tamtej też nie spartaczył. Kiedy się rozstawałem z Emile'em, wciąż sprawdzał rekwizyty. Nie wydaje mi się, żeby w najbliższym czasie się tu pojawił.

Franny nacisnął dźwignię, żeby znów podnieść wahadło.

- Wkrótce wrócą moi asystenci. Powinienem...

Nick wolno pokręcił głową.

- Zawarliśmy umowę, Franny.

- Przecież się nie wygadałem przed Mallory.

- Bo mogłem jej opowiedzieć o śmierci Faustine. - Spojrzał na ostrze wiszące w powietrzu. - Według moich informacji, Mallory znów prowadzi to dochodzenie. Wszczęto oficjalne śledztwo w

sprawie śmierci Olivera. - Urwał na chwilę, by posłuchać tykania zębatek.

Franny zwrócił wzrok w kierunku rusztowania, gdzie był bezpieczny.

- Może dałoby się wzmocnić ten dźwięk, instalując mały mikrofon - powiedział Nick. - Tik-tak, tik-tak. Dla pogłębienia nastroju grozy, nie uważasz? - Odwrócił się, by spojrzeć na drzwi do foyer, a potem rzucił okiem na zegarek. - Franny, wkrótce przyjdzie po ciebie Mallory. To osoba pozbawiona litości. Zaciągnie cię na posterunek policji. Wiesz, co potrafią tam zrobić z człowiekiem. Nie wyjdiesz stamtąd, póki się nie ugniesz i nie powiesz wszystkiego.

Czy pojawi się nocą?

- Ach, cóż to za kobieta - dodał Nick. - U nikogo nie widziałem bardziej bezlitosnego spojrzenia.

- Czy naprawdę myślisz, że Oliver został...

- Oliver nie żyje. Nie stanowi problemu, Franny. Ale co mamy zrobić z tobą? Nie można cię tu zostawić. - Nick wstał i wskazał ręką w kierunku wyjścia. - Pójdziemy?

- A co z Malakhaiem? Już z nią rozmawiał.

- I co z tego? Jest wariatem mającym najlepsze referencje na świecie.

Chociaż nie było broni ani uniesionej pięści, nawet cienia przemocy, Franny ruszył w kierunku drzwi. Nie robił tego chętnie, ale też nie stawiał oporu. W jego własnym intymnym świecie nadal istniały oddziały szturmowe. Żołnierze widma maszerowali za nim, kiedy przekroczył próg i znalazł się na ulicy. Niemal słyszał odgłos ich kroków, gdy razem z Nickiem kroczył Broadwayem. Franny zmrużył oczy przed blaskiem słońca stojącego wysoko na niebie. Chodnikiem szli przechodnie. Dwaj policjanci powoli przejechali radiowozem. Było wiele osób, do których mógł się zwrócić o pomoc. Ale maszerował

potulnie, jedynie pochlipując cicho - wstydił się urządzić scenę w miejscu publicznym.

Wszystko, co stare, znów wróciło w pełnej krasie.

Wygląd ścian przywodził na myśl dawne czasy, przedstawiając scenki z epoki prohibicji, melin i przemycanego dżinu. Na niskim podwyższeniu muzycy grali standardy jazzowe. A najlepsze w tym wszystkim było to, że na stolikach stały popielniczki. Sierżant Riker siedział w chmurze dymu z własnego papierosa i gapił się na gardenię stojącą na parapecie. Mógłby przysiąc, że przed chwilą jej tam nie było.

W barze tłoczyli się bardzo młodzi ludzie, jeśli nie liczyć kilku siwowłosych iluzjonistów, których poznał wcześniej. Unikał ich przez ostatnie pół godziny, nie chcąc zaczynać przesłuchań przed pojawieniem się Mallory. Znowu się spóźniała, co go niepokoiło. Kiedyś można było regulować zegarek według jej czasu przybycia.

Charles Butler ruszył w kierunku drzwi i to był dla Rikera pierwszy sygnał, że przyszła Mallory, bo tylko on mógł dojrzeć jasne kręcone włosy i biały atłas jej garnituru, migający między kłębiącym się tłumem bywalców lokalu.

Chwileczkę. Atłas?

Teraz dostrzegł błysk złotych sandałów na wysokich obcasach, które włożyła zamiast adidasów. Widział dobrze tylko jej odbicie w oknie. Biały smoking płynął w ciemnej jak noc szybie. Materiał elegancko układał się na zgrabnej figurze i rzucał refleksy. Do tego torebka zamiast plecaka.

Został obrabowany; to nie była jego Mallory. Spóźniła się, tak jak spóźniają się kobiety, i nawet ubrana była jak kobieta. Nie miała bluzki ani blezera i ogarnęło go dziwne uczucie, że byłoby

nieprzyzwoitością, niemal kazirodztwem, wpatrywać się w jej odsłonięty dekolt. Nigdy nie uważał nowojorskiej policji za swoją prawdziwą rodzinę, ale Mallory zawsze wprowadzała zamęt w jego głowie. Teraz mała zmieniała swoje surowe zasady i swój styl.

Nienawidził zmian.

Riker uznał, że to wszystko przez jej nowy zwyczaj picia wina w towarzystwie podejrzanych. No cóż, to się musi skończyć. Oto jakie są skutki, kiedy osoby niemające doświadczenia w picciu zostawia się bez opieki w barach i sklepach monopolowych.

Zarzuciła swój skórzany trencz Charlesowi na ramię, jakby był żywym wieszakiem - nie żeby miał coś przeciwko temu. Na jego twarzy malowały się szczęście i nadzieja. Teraz Charles podniósł ręce w górę, być może traktując to jako wstęp do zawarcia pokoju, by jej pokazać, że jest nieuzbrojony. Nagle w jego prawej dłoni pojawiła się gardenia.

Uśmiech Mallory był wymuszony. Riker się domyślał, że miała powyżej dziurek w nosie sztuczek magicznych.

Wsunęła łądzkę kwiatu w butonierkę w klapie. Czarny skórzany płaszcz pofrunął w stronę Rikera, który złapał go w locie i obserwował, jak Charles prowadzi Mallory w stronę muzyków. Zaczął z nią wolny taniec do melodii bluesa z lat czterdziestych.

Mallory spełniała zachcianki Charlesa. Przestała udawać, że może mieć jakiś powód, by się gniewać na biedaka. I dzisiejszego wieczoru starała się zachowywać jak najbardziej poprawnie, co też zaniepokoiło Rikera. Jedyłą pociechę stanowiło znajome wybrzuszenie, które tworzyła broń schowana pod białym aksamitnym garniturem.

Nick Prado stał przy barze i popijał z Emile'em St Johnem. Mala-khai jeszcze nie przyszedł, ale obaj mężczyźni zapewnili Rikera, że od razu się zorientuje, kiedy iluzjonista pojawi się na sali.

Zespół niespodziewanie przestał grać, by zamienić kilka słów z zaafowanym kierownikiem. Charles i Mallory wrócili do stolika. Prado zaczepił ich po drodze. Musnął kwiat w klapie marynarki Mallory, udając zainteresowanie, chociaż pięćdziesiąt identycznych kwiatów znajdowało się w sali.

- Gardenie były ulubionymi kwiatami Louisy. Olivera też. Zostawił instrukcje dotyczące swego pogrzebu, zgodnie z którymi karawan...

Uwagę Prado odwróciło pojawienie się dwóch mundurowych policjantów. Oczy wszystkich skierowały się w stronę drzwi.

- No, ładnie! Mamy nalot policji.

Riker znał jednego policjanta. Był to mężczyzna w jego wieku, którego jeszcze nie zmuszono do odejścia na emeryturę; zgodnie z ostatnią modą w nowojorskiej policji zastępowano wszystkich siwo-włosych funkcjonariuszy smarkaczami prosto po szkole. Sierżant Estrada rozmawiał z kierownikiem, kiedy podszedł do niego Riker.

- O co chodzi?

Estrada wskazał dwójkę młodych ludzi siedzących przy stoliku kilka metrów dalej.

- Tych dwoje zadzwoniło i poskarżyło się na dym papierosowy.

Kierownik mu przerwał:

- Tutaj wolno palić. To bar, a nie restauracja. Podajemy jedynie przekąski. Więc teraz nie podoba im się, że się tu tańczy.

- Co? - Dołączył do nich Nick Prado. - Nie wolno tańczyć?

Kierownik lokalu wzniosł oczy do nieba, przybierając klasyczną pozę nowojorskiej ofiary napadu ulicznego.

- Nie mamy licencji na prowadzenie kabaretu, proszę pana. Burmistrz oświadczył...

- Zgadza się. - Riker nigdy nie miał cierpliwości, by wysłuchiwać tego, o czym wszyscy wiedzieli. - W restauracjach nie wolno palić, w barach nie wolno tańczyć.

Sierżant Estrada się uśmiechnął.

- Będzie jeszcze gorzej, Riker. Burmistrz zamknął dziś twój ulubiony lokal ze striptizem.

Riker się skrzywił, aktualizując swoją listę.

- Czyli koniec z seksem w mieście Nowy Jork. - Spojrzał na kabury pistoletów Estrady i jego młodego kolegi. Z obu sterczały gardenie. - Dobra, chłopaki, jesteście ze mną.

Kiedy trzech policjanci szli w kierunku pary, która złożyła skargę, Riker zauważył, że w kieszeni na piersiach wyrósł mu kwiat. Rzucił go na podłogę, jakby mógł to być objaw delirium tremens, podczas którego kiedyś oblażył go pająki.

- Dobry wieczór państwu - zaczął grzecznie. - Podtrzymują państwo swoją skargę?

- Tak - twierdziła para chórem, jakby odpowiadała podczas nabożeństwa.

I Riker podejrzewał, że tak właśnie jest. Zaczął się przyzwyczajając do religijnego uniesienia, z jakim podatnicy korzystali ze swych praw.

- Potrzebne nam zażalenie na piśmie. Ci dwaj funkcjonariusze zabiorą państwa do Południowego Bronksu. Nie powinno to potrwać dłużej niż kilka godzin.

- Chyba pan sobie żartuje! - Mężczyzna spojrział na Rikera wyraźnie zszokowany. Kobieta potrząsała głową, powtarzając: „Tylko nie Bronx” takim tonem, jakby mówiła: „Tylko nie łamanie kołem”.

Riker uznał ich za mieszkańców Manhattanu, mógł nawet z grubsza podać ich adres w Upper East Side. Uważali peryferyjne dzielnice Nowego Jorku za oddalone satelity, odległe planety wymagające wiz i szczepień.

Kobieta wyjęła gardenię z włosów i przysunęła ją blisko do oczu, zaskoczona chyba brakiem metki z ceną.

- Przykro mi - powiedział Riker. - Ale takie są przepisy. Wszystkie skargi dotyczące naruszenia zakazu tańców załatwia Południowy Bronx. Ale naprawdę doceniam to, że gotowi są państwo zepsuć sobie cały wieczór, by spełnić swój obywatelski obowiązek.

Policjanci w mundurach odwrócili się, aby ukryć uśmiechy, kiedy mężczyzna i kobieta wzięli swoje wierzchnie okrycia, zdecydowanie kręcąc głowami. Po chwili już maszerowali w kierunku wyjścia.

Riker ich dogonił.

- Ejże, dokąd państwo idą? Jeśli nie złożą państwo pisemnej skargi, nie będziemy mogli zamknąć tego lokalu.

Kiedy drzwi się za nimi zatrzasnęły, Riker odwrócił się do milczących bywalców i krzyknął:

- Wolno tańczyć!

Zespół i goście ochoczo posłuchali.

Ale nagle okrzyki wznoszone na cześć bohatera wieczoru umilkły, a Riker, tak jak go zapewniali Prado i St John, rozpoznał Malakhaia, gdy tylko iluzjonista pojawił się na sali.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego, na ów niedościgniony ideał wrodzonego wdzięku, nieświadomie poruszający się w takt muzyki. A może to zespół grał w rytm jego kroków.

Chociaż Riker nigdy nie używał słowa „piękno”, by opisać mężczyznę, teraz przyszło mu ono na myśl. Ciemnoniebieskie oczy Malakhaia były młode i nie pasowały do długiej grzywy białych włosów. Riker spotkał się z tym zjawiskiem już wcześniej u piłkarzy z innej epoki, chłopców niekończącego się lata, i nazwał to magią.

Mallory nie spuszczała wzroku z baru, przy którym Malakhai pił samotnie. Od kiedy wszedł, nie spojrzał w jej stronę, ale cały czas

czuła jego obecność. Podobnie jak inne kobiety. Nie była jedynym myśliwym na tej sali.

Emile St John stał na podwyższeniu dla orkiestry i wymachiwał rękami, w których trzymał czarną jedwabną szarfę, płynącą nad małą estradą. Materiał zawirował, tworząc kulę. Kiedy iluzjonista pociągnął jedwab, obecnym aż zaparło dech na widok gołąbka uderzającego skrzydłami o wewnętrzną ściankę przezroczystego balonu. St John zapalił cygaro i przytknął je do tworzywa. Balon pękł z hukiem, a gołąb zniknął.

Charles pochylił się przez stół, żeby Riker mógł go usłyszeć poprzez frenetyczną brawę.

- Na cześć mojego kuzyna Maksa wypuszczono tysiąc gołębi.

- Cóż - wtrącił Prado - Oliver spartaczył robotę, więc zasłużył sobie tylko na jednego. A gdyby nie zginął podczas wykonywania numeru, nie doczekałby się nawet tego.

- Czyli że Oliver dobrze zaplanował swoją śmierć? - Riker uśmiechnął się z lekką drwiną.

- Najważniejsze jest wycucie czasu - oświadczył Prado, nie dostrzegłszy sarkazmu w tonie Rikera. - Oliver walnął w kalendarz, zanim życie stało się zbyt przykre. Ja zamierzam umrzeć, kiedy światu zostanie dokładnie sześć minut radości. A nastąpi to już niedługo. - Wzniósł kieliszek w toaście. - Wielu umiera za późno, niektórzy umierają zbyt wcześnie. Obco brzmi jeszcze nauka...

- „Umieraj w porę!” - dokończył Riker. - Nietzsche, prawda?

Trzy osoby siedzące przy stoliku odwróciły głowy, by spojrzeć na kiepsko ubranego policjanta. Charles, zaskoczony, wyjrzał przez szerokie okno frontowe, wyciągając szyję, by dojrzeć księżyc nad Columbus Avenue; być może chciał się upewnić, że ten nadal krąży po swojej orbicie i przynajmniej jedno zjawisko we wszechświecie

pozostaje normalne.

Nick Prado uśmiechnął się znad kieliszka.

- A więc, Riker, co pana tu dziś sprowadza?

- Sprawy służbowe. - Riker skinął głową Emile'owi St Johnowi, kiedy mężczyzna odsunął krzesło, żeby usiąść obok Prado.

- Co się znowu stało? - zapytał St John.

- Wznowiono śledztwo w sprawie śmierci Olivera Tree. Podejrzewamy, że został zamordowany. - Riker odwrócił się do Nicka Prado. - Ale pan już to wie. Dziś po południu poinformował o tym rzecznik burmistrza.

Sądząc po minie St Johna, dla niego było to coś nowego. Emile spojrzął podejrzliwie na Prado, uśmiechającego się, jakby się przyznawał, że został na czymś przyłapany.

- Och, proszę mi mówić Nick. A więc prowadzi pan dochodzenie w sprawie śmierci Olivera.

- Śledztwem kieruje Mallory. - Riker podniósł kieliszek, niezbyt rygorystycznie traktując zakaz picia na służbie.

- Ale o tym też już pan wie, wiesz, Nick. - Riker przesunął wzrokiem po twarzach ludzi stojących przy barze.

- Myślałem, że dziś wieczorem zastaniemy tu Franny'ego Future. Opuścił hotel w wielkim pośpiechu. Śniady taksówkarz uregulował rachunek, a portier załadował torby do bagażnika jakiegoś gruchota.

Prado westchnął.

- Biedny Franny. Nie wyniósł się z klasą.

- Cóż, jego sytuacja finansowa nie pozwala mu na wynajęcie limuzyny - zauważył Riker. - Wiadomo, dokąd się przeprowadził?

Mallory obserwowała, jak iluzjoniści wymieniają spojrzenia. St John słyszał o tym po raz pierwszy, ale Nick Prado już o wszystkim wiedział.

- Nie? Dobra, następne pytanie. Chodzi o jego nazwisko. - Riker pochylił się nad notesem i przerzucił kilka kartek. - Franny Futura. Nie pasuje do jego francuskiego akcentu. Wymyślił je sobie sam, prawda?

- Nie, Oliver mu wymyślił - sprostował St John.

- Franny miał zaledwie szesnaście lat, kiedy Oliver go przechrzczył.

- A jak się nazywa naprawdę? - Ołówek Rikera zawisł nad kartką.

- François coś tam - informował St John. - Nick, jego nazwisko brzmiało jakoś podobnie do Futura, prawda?

Prado pokręcił głową.

- Pamiętam jedynie, że Futura było najgorszym możliwym sposobem zniekształcenia jego prawdziwego nazwiska. Oliver przekreślił nazwisko, zapowiadając występ Franny'ego. To był żart, drobny odwet. Franny zawsze poprawiał złą francuszczyznę Olivera. Ale potem w porannej gazecie ukazała się pochlebna recenzja i Franny postanowił pozostać przy swoim nowym nazwisku, żeby nie zmarnować notatki prasowej.

Riker otworzył notes na czystej stronie.

- A więc ci dwaj nie darzyli się zbytnią sympatią?

- Wprost przeciwnie - powiedział Emile St John. - Byli najlepszymi przyjaciółmi. Nie jestem pewien, czy po wojnie utrzymywali ze sobą kontakt. Franny nigdy nie występował w Nowym Jorku. Przez całe życie czekał na tę szansę. Nie ma powodów do obaw. Odnajdzie się przed spektaklem. - St John mówił do Rikera, ale patrzył na Nicka Prado i jego przesłanie było oczywiste: Franny Futura ma się pojawić w wieczór premierowy. I jakby milcząco, samym wzrokiem, dobito targu, drugi mężczyzna ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Riker to zauważył. Nie odrywał wzroku od Prado.

- Czy to chwyt reklamowy? Nie lubię tracić czasu.

- Nie - zaprzeczył Prado. - Ale może uda mi się to jakoś wykorzystać. Kolejny świadek zabójstwa nadmuchiwanego pieska znika w tajemniczych okolicznościach. Jest pan geniuszem, Riker.

Mallory odwróciła się w stronę baru. Malakhai zniknęła, wzdłuż mahoniowego blatu rosły w równiutkim szeregu gardenie. Dostrzegła go przy stoliku po drugiej stronie podwyższenia dla muzyków. Rozmawiał z młodą brunetką liczącą sobie trzy razy mniej lat od niego. W tym niewinnym flircie to kobieta była osobą, która zdobywa. Mallory obserwowała, jak tamta wykonuje kolejne etapy tańca godowego: nachyla się do przodu, bawiąc się kosmykiem włosów, a potem lekko dotyka ramienia mężczyzny, wybuchając śmiechem.

Malakhai się odwrócił i zauważył, że Mallory się im przygląda. Uśmiechnął się i wstał od stolika. Kiedy szedł przez salę, Prado zerwał się z krzesła i pośpiesznie oddalił.

Mallory sięgnęła ręką do włosów i wyciągnęła z nich kolejny niechciany kwiat. Nie odrywała wzroku od iluzjonisty. Wszystkie kobiety, które mijał na parkiecie, znajdowały we włosach kwiaty. Kiedy zatrzymał się obok jej krzesła, Charles przedstawił go Rikerowi, a potem przeprosił obecnych i poszedł do baru po jeszcze jeden kieliszek i nową butelkę wina.

Emile St John wirował na parkiecie z partnerką mniej więcej w swoim wieku. Tańczyli swinga z lat czterdziestych, wykonując pas sprzed pół wieku. Malakhai zajął miejsce przy stoliku i uczynił głośną ruch w stronę tancerzy.

- Mogę pani pokazać, jak to się robi.

- Ojciec nauczył mnie tańczyć - powiedziała Mallory. - Wygląda na to, że jest coraz mniej rzeczy, których mogę się nauczyć od pana. I jestem zmęczona tymi wszystkimi kłamstwami.

- Nigdy pani nie okłamałem, nie rozmyślnie. - Malakhai położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na jego rękę. Zrozumiała i cofnęła ją.

- Uważam, że najlepsze są te kłamstwa, które zawierają prawdę, może troszkę zniekształconą i wyprowadzającą w pole.

Riker, siedzący naprzeciwko nich, nieświadomie mu przytaknął, odnosząc tę uwagę do sposobu postępowania swojej partnerki,

- Racja - przytaknęła Mallory. - Zwykły kłamca musi mieć dobrą pamięć. Pan nie może się już tym poszczycić.

Teraz ona wyczuła, że młoda brunetka zbliża się do ich stolika. Kobieta się nachyliła, pokazując Malakhaiowi niemal cały biust w głęboko wydekoltowanej bluzce. Zmysłowym głosem poprosiła go do tańca. W chwili kiedy Malakhai wstał od stolika, Nick Prado wrócił do nich.

Mallory wymieniła spojrzenia z Rikerem, który skinął głową. Iluzjoniści też miewają swoje słabostki.

Kiedy muzycy skończyli grać, Emile St John odsunął krzesło i usiadł.

- Wciąż nie mogę zrozumieć tego zakazu tańca. Co się dzieje z tym miastem?

Prado przechylił głowę na bok, jakby się nad tym zastanawiał.

- Chyba wolę taką sytuację jak teraz. Więcej zakazów do łamania. - Uśmiechnął się do Mallory, bądź co bądź, reprezentantki prawa. - Czy policjant, który spadł z konia, wycofał swoje oskarżenie? Rozumiem, że została pani oczyszczona z zarzutu strzelania do balonu.

- Nie - odezwał się Riker w imieniu swojej koleżanki. - Skarga nie została wycofana, ale zmieniła się jej treść. Teraz Henderson oskarża burmistrza o to, że pozwala, aby niebezpieczne postaci z komiksów biegały samopas po ulicach. Więc burmistrz nakazał, by

dom towarowy Macy'ego odesłał na emeryturę wszystkie wielkie balony. Jeśli tego nie zrobią, cofnie zgodę na organizowanie parady.

- Wzniósł kieliszek. - I wtedy miasto będzie bezpieczne dla Hendersona i jemu podobnych idiotów.

Emile St John stuknął się kieliszkiem z Rikerem.

- Za ostatnią paradę. - Następnie podniósł w górę złoty zegarek Mallory, która jednak trzymała w ręku dewizkę.

Obrzuciła St Johna lodowatym spojrzeniem, chowając zegarek z powrotem do kieszeni. Prado westchnął.

- Tracisz refleks, Emile. Pora się zbierać. Ja zapłacę za tę kolejkę. Coś mi się wydaje, że twój portfel zrobił się cieńszy.

- Nonsens - rzekł Francuz, sięgając do kieszeni na piersiach. Kiedy otworzył portfel, ujrzał jedynie pocięty papier.

Nick z uznaniem pokiwał głową.

- Dobra robota, moja droga.

Mallory uniosła w górę garść banknotów i kart kredytowych. Niechętnie położyła je na stoliku.

St John wydawał się lekko przygnębiony, kiedy regulował rachunek, ale Prado się śmiał. Obaj mężczyźni pożegnali się i poszli w stronę drzwi, ozdobionych teraz girlandami kwiatów.

Riker odwrócił się do Mallory.

- Co jeszcze masz, mała? Czy zamierzasz mi powiedzieć o tym drobiazgu, który wyciągnęłaś Nickowi z kieszeni?

Wyjęła kolejny kwiat z włosów i rzuciła go za siebie. Następnie wyjęła receptę i rozłożyła na stole.

- Rano pokażę ją Slope'owi. To prawdopodobnie jakiś niegroźny środek, ale nigdy nie wiadomo, co może zabić, jeśli poda się odpowiednią dawkę. Ile stawiasz na to, że podpis lekarza jest sfałszowany?

- Ach, niech mu idzie na zdrowie - powiedział Riker, obserwując plecy Nicka Prado, kiedy za mężczyznami zamykały się drzwi. - Mam nadzieję, że kiedy będę w jego wieku, dojrzeję do tego, żeby załatwiać ludzi. Ale trucizna jest zbyt oklepana. Nie będę się zakładał, nie chcę cię pozbawiać pieniędzy, mała. A może to pieniądze St Johna?

Zespół grał pierwsze takty wolnego utworu. Malakhai pojawił się obok stolika i ujął Mallory za rękę. Pozwoliła się zaprowadzić na parkiet.

- Nauczę panią jednej niezwyklej sztuczki. - Kiedy znaleźli się w samym środku tańczących, puścił ją. Pozostałe pary wirowały wokół nich. - Nigdy dotąd nie wykonywałem jej z żyjącą kobietą. Wyciągnął prawą rękę, przybierając postawę tancerza. Kiedy podniosła dłoń, by mu ją położyć na ramieniu, powiedział: - Proszę mnie nie dotykać. Proszę trzymać rękę płasko przede mną. Lewą dłoń proszę unieść parę centymetrów nad moim ramieniem i jej nie opuszczać. Proszę ani na chwilę nie zapominać o zachowaniu dystansu. - Uśmiechnął się. - Jakby była pani do tego zdolna.

Poczuła jego dłoń na swoim karku, chociaż jej nie dotykał. Lewa ręka Mallory wisiała w powietrzu nad materiałem jego garnituru, jej palce zagięty się, jakby ścisnęły ramię mężczyzny.

- Proszę zamknąć oczy, Mallory, bo inaczej nie poczuje pani, co będzie dalej. To można robić tylko z zamkniętymi oczami.

Woń kwiatów była silniejsza, kiedy się miało zaciśnięte powieki. Poczuła ciepło jego dłoni uniesionej w powietrzu. Cofnęła się, ale czuła je nadal.

- Bardzo dobrze - chwalił, znów się do niej przysuwając, kiedy robiła krok w tył, by zachować odległość między nimi. Poruszył się w prawo, a ona razem z nim, tym razem nie naśladowując jego ruchów,

tylko się ich domyślając. Klarnet ustąpił miejsca saksofonowi.

Obracali się wkoło w takt muzyki, ani na chwilę nie stykając się ciałami. Jedna melodia przeszła w drugą, nieco szybszą. Mallory poczuła się lżejsza, kiedy tempo tańca wzrosło. Grała trąbka. Szybkie nuty krążyły w ciemnościach, wtórowało im bicie w bębny. Mallory poczuła nagle na twarzy ciepło, które napłynęło wraz z falą krwi. Muzyka przyśpieszyła, a potem znów zwolniła. Ciało Mallory kołysało się, jej ruchy stanowiły lustrzane odbicie ruchów partnera, którego nie widziała ani nie dotykała. Delikatne włoski na jej karku się zjeżyły.

Obracała się i obracała, z zamkniętymi oczami, po omacku goniąc mamiące ją ciepło. Muzyka nabrała cikliwych basowych tonów, była słodka i gęsta, nuty kapały wolno niczym krople miodu. Słychać było zmysłowy rytm altówki, bez końca przeciągającej swoje preludeum, to pulsowanie ciał, które się jeszcze nie spotkały. Odczuwali niemal ból, kiedy zbliżali się do siebie. Muzyka zwalniała, rozbrzmiewała teraz ledwo słyszalnie.

Szepty piszczałek.

Westchnienie.

Podczas ostatnich słodkich, przeciągłych dźwięków rogów poczuła na plecach dotyk gorącej ręki Malakhaia. Jej dłoń znalazła się w jego dłoni. Jeszcze nie otworzyła oczu. Upajająca woń kwiatów mieszała się z zapachem wina i dymu papierosowego. Lekko musnął palcami jej włosy i Mallory odchyliła głowę do tyłu. Z zaciśniętymi powiekami, nic nie widząc, spoglądała w niebieskie oczy chłopca o gładkiej twarzy. Silną dłonią przyciskał ją do siebie. Jeszcze mocniej. Saksofon wydawał dźwięki przypominające jęki kochanków ogarniętych miłosnym uniesieniem, gorące i omdlewające. Był rok 1942 w Paryżu.

Mallory źle oceniła czas i odległość.

Szybko się cofnęła, podnosząc jedną rękę, jakby chciała się osłonić przed strzałą. Malakhai spoglądał na nią niebieskimi, chłopięcymi oczami - tak zimnymi teraz, kiedy przestali tańczyć.

Bez słowa się odwrócił i odszedł.

Nie spodziewała się tego.

Pozbawiona nagle przewodnika, jakim były muzyka i ciepło, Mallory stała samotnie na środku sali, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Spojrzała na biały atlasowy smoking. Czego szukała? Śladów krwi?

ROZDZIAŁ 17

Mallory stała obok parawanu ze smokami i kiwała głową, udając, że uważnie słucha tego, co mówi Charles Butler.

Nie dawał jej spokoju jego ubiór.

Charles trzeci raz w tym tygodniu miał na sobie niebieskie dżinsy, chociaż garnitur stanowił niemal jego drugą skórę. Czasami wyobrażała go sobie jako małego szkraba maszerującego w marynarce i krawacie do przedszkola dla przyszlých dżentelmenów.

I dlaczego tak go intryguje podium Maksa?

- Na każdym piętrze zainstalowałem kamery. - Charles opuścił podwyższenie, zeskakując po dwa stopnie naraz. - I poprosiłem Malakhaia, żeby korzystał z dzwonka, zamiast otwierać zamki sposobem. Co ty na to?

Był dziś rano taki rozpromieniony. Nie spodziewał się zastać jej w piwnicy - dla obojga była to niespodzianka. Najwyraźniej uznał, że Mallory przyszła, by wyjaśnić swoje wątpliwości dotyczące bezpieczeństwa gabinetu na piętrze.

- Nie chodzi tylko o otwieranie zamków przez Malakhaia. - Mallory patrzyła wskroś niego, skupiając wzrok na podium stanowiącym wciąż nierozwiązaną zagadkę.

Charles usiadł na podłodze i otworzył skrzynkę z narzędziami. Mallory przykucnęła obok.

- Emile St John wykonuje numer z szubienicą. Czy Max też ko-
rzystał w tym numerze z podium?

- Tak - powiedział Charles - ale Emile przygotowuje wcześniej-
szą wersję. Max wymyślił tę sztuczkę na długo przed skonstruowa-
niem podium. Mam nadzieję, że nie chcesz obejrzeć oryginalnej
szubienicy. Zajęłoby cały dzień...

- Powiedz mi tylko, jak ona wygląda.

- Widziałas ją na każdym westernie. Jest bardzo wąska, ma może
trzy metry wysokości. I wydaje się bardzo chybota, specjalnie. To
zwiększa napięcie u widzów. - Odwrócił się, żeby spojrzeć na po-
dium. - Wiesz, to podwyższenie trochę przypomina szubienicę. Mo-
że dlatego Max chciał, żeby prowadziło na nie tradycyjne trzynaście
stopni.

Mallory podeszła do drzwiczek w podium. W środku paliło się
światło, więc widziała nowiutkie lśniące, mosiężne koła zębate i
łańcuchy mechanizmu równoległowodowego. Oznaczało to, że Char-
les dokonał przeglądu i remontu kapitalnego.

- Próbujesz to rozpracować?

Charles uniósł głowę znad skrzynki z narzędziami.

- Zagadkę Zapomnianej Iluzji? Tak, ale Malakhai nie daje mi
zbyt wielkich szans. Obiecał, że wyjawি mi tajemnicę w swoim te-
stamencie.

Usiadła na skraju skrzyni pełnej czerwonych peleryn.

- Nie mogę czekać aż tak długo. - Na podłodze leżała kusza, ta
sama która wystrzeliła, rozrywając jej dzinsy. Osłona postumentu
była zdemontowana, ukazując ukryte w środku tryby kół i sprężyny.
- A więc mechanizm został uszkodzony.

- Pękła jedna sprężyna. - Charles przesukał szereg przegródek w
skrzynce na narzędzia i wyjął z jednej kawałek łańcucha. - Malakhai
zabrał ją do warsztatu. Sądzi, że uda mu się znaleźć identyczną no-
wą.

To tłumaczyło, co robi na podłodze obok skrzynki na narzędzia popielniczka pełna petów, chociaż na żadnym niedopałku nie było śladów szminki.

Krzywe zwierciadło stało oparte o bok drewnianej skrzyni. Widziała w pofalowanym szkłe odbicie Charlesa, ale bez względu na to, jak przekręcała głowę, nie udawało jej się stanąć przed lustrem pod takim kątem, by twarz Charlesa przybrała rysy Maksa Candle'a. Już nigdy nie dokona tej sztuczki.

Ich spojrzenia się spotkały.

- A więc wyprowadziłaś się tylko tymczasowo, tak? Kiedy to się skończy, z powrotem wniesiesz na górę swoje komputery? - Charles tak zabawnie się uśmiechał; zdawało się, że przeprasza za swój niczym nieusprawiedliwiony świetny humor. Próbował ukryć ten uśmiech, żeby Mallory nie uznała go za głupca.

Starła się znaleźć jakiś sposób, by delikatnie wyprowadzić go z błędu.

- W tej chwili nie masz żadnych klientów. Porozmawiamy o tym, kiedy ukończę tę sprawę.

Może wróci, kiedy jej dawny wspólnik przestanie się zadawać z wrogiem, witając Malakhaia ufnym obliczem zdradzającym każdy sekret. Jeśli nie wprowadzi się z powrotem, będzie jej brakowało tego szczerego spojrzenia.

- Jak dobrze znasz Franny'ego Future'?

- Przed Świętem Dziękczynienia znałem go tylko ze słyszenia. - Charles podniósł się i ruszył z łańcuchem w stronę drzwiczek w podium. - Może go widziałem, kiedy byłem dzieckiem, ale nie pamiętam tego.

- Nigdy niczego nie zapominasz.

- Pamięć fotograficzna jest niedoskonała. - Zniknął w małym pomieszczeniu, dobiegł ją tylko jego głos. - Udało mi się wyrzucić z pamięci wszystkie nudne kazania kościelne, które słyszałem w dzieciństwie.

Stała w otwartych drzwiach.

- A więc jaką się cieszył opinią?

- Przemęczonego iluzjonisty. - Charles wymienił łańcuch zapadni. - Ranny za młodu był w Londynie gwiazdą pierwszej wielkości, ale już dawno temu, chyba pod koniec lat czterdziestych. Wszystkie jego sztuczki są z pierwszej połowy stulecia. Jeszcze przed nastaniem epoki wyrafinowanych numerów, wykorzystujących najnowsze osiągnięcia techniki, i widowisk ze światłami laserowymi zaczął zostawać w tyle. Ale nigdy się nie poddał. Cenię go za to. Franny jedyny z dawnej paczki nadal zarabia na życie pokazami iluzji.

Obserwowała go, jak zaczepia łańcuch o koła zębaki.

- Futura wciąż się nie odnalazł. Nie zatrzymał się u ciebie, prawda? A może dzwonił?

- Przykro mi, ale nie.

- Podczas obiadu świątecznego u ciebie w domu Futura powiedział, że to on zaaranżował ten numer z kuszą w wykonaniu bratanka Olivera. Nie należy jednak do osób, które stanęłyby przed wycelowaną w siebie bronią. Może strzała nie była prawdziwa? Może to była atrapa z gumy czy coś w tym rodzaju?

- Nie, widziałem strzałę, kiedy Franny wyciągnął ją z platformy. Wyglądała tak jak strzały Maksa. Miała zwykły metalowy grot, zdolny zadać śmiertelną ranę. - Wyłonił się z pomieszczenia i podszedł do schodków na podium. - Ale kusza nie była załadowana. Franny prawdopodobnie ukrył strzałę pod peleryną, a potem wbił ją w platformę. Cylinder był wykonany z papieru mâché i przymocowany do stalowego szkieletu.

- Wtedy nie wyglądałoby to tak naturalnie.

- Mylisz się. - Pochylił się nad skrzynią z rekwizytami i wyjął z niej uszkodzoną kuszę. Różniła się od pozostałych.

Pęknięty łuk był wykonany z drewna, kusza nie miała magazynka.

- Z tej strzela się pojedynczymi strzałami. - Wręczył jej broń. - Identyczną posłużył się Richard Tree podczas parady. Osada obita jest blachą stalową takiego samego koloru jak strzały. Nieprzypadkowo. Nie ma magazynka, który zasłaniałby rowek na strzałę. Z pewnej odległości nikt nie zauważy, czy kusza jest naładowana, czy też nie. Wszyscy widzą tylko broń i zwalnianie cięciwy.

- Ta kusza jest bez cięciwy.

- Zgadza się. Ale jeśli chcesz, możesz i tak strzelić z niej do mnie.

- Charles, łuk jest złamany.

- To nie ma znaczenia. - Pochylił się nad skrzynią z czerwonymi pelerynami i wyciągnął jedną ze stosu. Zarzucił ją sobie na ramiona i przyklęknął na podłodze, tak jak kucał Futura w ranek Święta Dziękczynienia. - Jesteś gotowa? Strzel we mnie.

Wycelowwała w niego złamaną kuszę bez cięciwy i powiedziała:

- Pif-paf.

Charles zgiął się wpół, a kiedy znów uniósł głowę, ujrzała strzałę w jego piersiach. Palcami obejmował brzechwę w miejscu, gdzie byłaby rana, strzała drżała, jakby trafiła go z wielką siłą. Wyglądało to aż nadto realistycznie.

- Nieźle, Charles. - A więc na tym to polega. Kolejny tani chwyt. - Ale Oliver nosił się z innym zamiarem, przygotowując się do występu w Central Parku. Wszystkie kusze zostały załadowane przez gliniarzy, w każdym magazynku znajdowały się trzy strzały. - To też nie dawało jej spokoju. - Podczas iluzji strzelano tylko dwa razy, prawda? Raz do manekina, raz do Olivera. Dlaczego więc w magazynkach umieszczono po trzy strzały?

- No cóż, Max zawsze posługiwał się trzema strzałami.
- Przecież Oliver nigdy nie widział Zapomnianej Iluzji.
- To prawda, ale mógł widzieć wcześniejszy numer Maksa z kuszą. W tamtym używano tylko dwóch strzał.
- Nigdy nie wspomniałeś o innej sztuczce z kuszami.
- Opowiedział mi o niej Emile. To stary numer, ale nikt nigdy nie wykonywał go tak jak Max. - Charles napiął cięciwę lewarem. Następnie przywiązał długą wstążkę do strzały i umieścił ją w magazynku.

Mallory odtworzyła w myślach śmierć Olivera. Podczas występu strzała z tej kuszy ugodziła Olivera w szyję.

- To była wczesna wersja tej sztuczki. - Charles podszedł do postumentu kuszy po drugiej stronie schodków i załadował broń. - Max posługiwał się trzema strzałami, ale mnie wystarczy po jednej w każdym magazynku. - Wsunął do magazynka kolejną strzałę ze wstążką.

Ta kusza wycelowana była w serce. - W tym numerze nie ma na początku manekina.

Mallory zajrzała do przechylonego magazynka bliższej kuszy. Tym razem w grę nie wchodziła zręczność ruchów ani oszustwo. Charles posługiwał się prawdziwymi strzałami - i postępował według wskazówek Emile'a St Johna.

- Nie musisz mi tego prezentować - powstrzymała go. - Opisz mi tylko, na czym to polega.

- Wtedy nie będzie takie ciekawe. - Wskazał jej krzesło stojące przed podium. - I tak zamierzałem ją wypróbować. Wszystko jest przygotowane. Teraz usiądź. Nie ruszaj się z miejsca, bo zepsujesz cały efekt. - Uśmiechnął się. - Jesteś tylko widzem, jasne? Nie ma kajdanek, więc w tym numerze niepotrzebny mi gliniarz.

Nacisnął guzik, by uruchomić mechanizm w pierwszym postumencie. Rozległo się tykanie, koła zaczęły się wolno obracać, bolec

z czerwoną wstążką wznosił się ku spustowi kuszy.

Charles naciągnął na głowę mnisi kaptur i podszedł do drugiej kuszy, by uruchomić jej mechanizm. Dwa kołeczki wznosiły się przy wtórze tykania, kiedy wspinał się po schodkach. Znalazłszy się na podwyższeniu, stanął twarzą do tarczy. Szeroko rozpostarł ramiona i czerwony materiał przesłonił tarczę, stykając się z kotarą.

Wypaliła pierwsza kusza, strzała przeszła pelerynę. Jak można się było domyślać, Charlesa pod nią nie było. Materiał opadł na podłogę, a długa czerwona wstążka ciągnęła się od dziury w materiale do metalowej strzały tkwiącej w tarczy. Charles prawdopodobnie ukrył się za kotarą. Drugi mechanizm wciąż tykał.

Mallory gwałtownie odwróciła głowę w prawo, słysząc, jak coś uderza w karton. Odwrócenie uwagi? Znów spojrzała na podium. Peleryna wolno unosiła się z podłogi, wypełniała się, jakby ponownie kogoś otulała. Mechanizm równoległowodowy rozpościerał materiał, stwarzając złudzenie, że pod peleryną jest rozkładający ramiona człowiek, którego tam nie było.

Poprzez głośnie tykanie zębatek znów usłyszała jakiś hałas, ale tym razem ani na chwilę nie oderwała wzroku od sceny. Nasłuchiwała odgłosów dobiegających gdzieś z tyłu. Ręką sięgnęła do broni; oczy utkwiała w unoszącym się czerwonym bolcu, który zwolni spust drugiej kuszy.

Wypaliła następna kusza. Mallory śledziła wstążkę przesywającą pelerynę. Ale tym razem peleryna okrywała Charlesa. Mallory zobaczyła, jak mężczyzna odrzuca głowę do tyłu. Wydał okrzyk, odwracając się przodem do niej, i opadł na kolana. Fragment zakrwawionej wstążki ciągnął się od powiększającej się czerwonej plamy na jego piersiach do strzały tkwiącej w tarczy. Nie osłaniał rękami rany, nie przytrzymał wstążki. Osunął się na scenę, padając na wznak, jego

głowa zwisała nad najwyższym stopniem, oczy miał szeroko otwarte i nieruchome jak u nieboszczyka.

Wstała z krzesła i powoli weszła po schodkach. Kiedy dotarła na górę, usiadła obok nieruchomej postaci, uważając, żeby ani jedna kropla krwi nie ubrudziła jej ubrania.

- Charles? Następnym razem, kiedy będziesz umierał, nie uśmiechaj się, osuwając się na ziemię. Prawdziwi nieboszczycy na ogół nie zachowują się w ten sposób.

- Dotknęła palcem czerwonej cieczy. - I za bardzo rozrzedziłeś krew.

Spojrzał na nią.

- No cóż, to stara krew. Stanowiła część mojego wyposażenia na Halloween, kiedy byłem małym chłopcem. - Usiadł z wielce rozczarowaną miną. - Ale poza tym...

Wyciągnęła rewolwer.

- Trudna z ciebie publiczność, Mallory.

- Nie jesteśmy sami. Bądź cicho. - Wpatrywała się w otaczający ich mrok, spowijający pomieszczenie, w którym były setki kryjówek. Znów usłyszała hałas. - Zostań tutaj. - Zeszła po schodkach. Piwnica była pełna cieni, ale żaden z nich się nie poruszał. Panowała absolutna cisza, póki spośród stosu skrzyń nie wypadł szczur.

Jeszcze jeden tani chwyt.

Spojrzała na Charlesa, zamierzając mu przypomnieć o pułapkach na szczury. Sprzeciwił się jej ostatniej propozycji, twierdząc, że przetrącanie gryzoniom kręgosłupów jest niehumanitarne. Wycelowała lufę w uciekającego szczura, chcąc jedynie pokazać Charlesowi, że to szczur był...

- Mallory, nie!

- Wiem. - Schowała broń. - Uważasz, że szczury są urocze. - Podobnie jak niesprawna instalacja elektryczna, nieproszeni goście i...

- Wcale nie - zaprotestował. - Ale jeśli strzelisz szczurowi w plecy, jak to wytłumaczysz porucznikowi Coffeyowi?

- Usiadł na najwyższym stopniu i zrobił poważną minę, która w jego mniemaniu prezentowała twarz pokerzysty najwyższej klasy. - A więc pomijając mój uśmiech i rozwodnioną krew, jak ci się podobała sztuczka?

- Jest całkiem niezła. Nie zaglądałam do magazynka drugiej kuszy. Nie było w niej strzały, prawda?

- Tak, udałem tylko, że ją wkładam. Ale uznałaś, że była tam, kiedy zobaczyłaś, jak spust spycha cięciwę, bo widziałas, że pierwsza kusza wypuściła prawdziwą strzałę.

- Drugą strzałę ukryłeś pod peleryną.

- Zgadza się. Drut ze wstążką prowadzi od kuszy tutaj. - Zdjął rozdartą pelerynę i rozpiął koszulę, by pokazać Mallory grubą metalową rurkę, kończącą się na plecach.

- Nie wiedziałem, do czego służy ta rurka. Dopiero Emile mi to wyjaśnił.

Mallory skinęła głową.

- I znów posłużyłeś się ciężarkiem, prawda? Jest doczepiony do drutu ze wstążką. Straciłeś ciężarek z podium. Dzięki temu wstążka przeleciała przez rurkę. Potem ją złapałeś, odczepiłeś drut, owinąłeś go wokół ukrytej strzały i cisnąłeś nią w tarczę.

- Przepraszam, jeśli cię zanudzam.

Przestał udawać powagę. Był wyraźnie zirytowany.

- Rzykowałeś z pierwszą strzałą, Charles. Przypuśćmy, że coś poszłoby nie tak. Na przykład jeszcze jedna pęknięta sprężyna w postumencie. Mogłeś zginąć.

Całkiem niezłe jej się udało. Pokraśniał z zadowolenia, że jednak czymś jej zaimponował.

- Ale podczas występu Olivera kusze załadowali gliniarze - powiedziała. - I oni napięli cięciwy. Wszystkie kusze wystrzeliły, nie

było żadnych blokad, żadnego strzelania na sucho.

- Masz rację. Strzelanie na sucho nie sprawdziłoby się w tamtych warunkach. - Odwrócił się, żeby spojrzeć na tarczę. - W tym wypadku wcześniej prowadzi się druty i mocuje ciężarek, przy słabym oświetleniu są niewidoczne w głębi sceny. Ale coś takiego nie udało się w świetle dnia.

Kolejny zmarnowany ranek.

- A więc Oliver zapożyczył chwytły z innych numerów.

- Wiem jednak, że wiele elementów wykonał poprawnie. Max zawsze korzystał z pomocy policjantów, kiedy pokazywał sztuczki z kajdankami. W przeciwnym razie widzowie nie uwierzyliby, że kajdanki są prawdziwe. Ponieważ policjanci byli na miejscu, musieli również sprawdzić kusze. Dziwnie by wyglądało, gdyby tego nie zrobili. A Max...

- Lubił realizm. To trzeba przyznać. - Mallory weszła po schodkach i usiadła na najwyższym stopniu obok Charlesa. - Jaką sztuczkę wykonywał Emile St John?

- Główny rekwizyt stanowiły ptaki. To był cudowny numer z wyciąganiem widzom przedmiotów z kieszeni. Zabierał komuś portfel i sprawiał, że papużki wylatywały ludziom ze spodni. Naturalnie wszyscy iluzjoniści pokazywali tego typu sztuczki. Kiedyś umiejętność dyskretnego wyciągania ludziom przedmiotów z kieszeni była podstawą sztuki iluzji.

- St John w swoim numerze nie posługiwał się bronią?

- Nie, nigdy. Mówiłem ci już, że sztuczki ze strzelaniem należały do żelaznego repertuaru Nicka. Pamiętam, jak mój kuzyn mówił, że Emile nienawidził widoku broni.

A jednak St John przez wiele lat współpracował z francuską policją i Interpolem; dla takich ludzi broń stanowi chleb powszedni.

- Charles, to nie ma sensu, nie pasuje do jego życiorysu. Nigdy ci nie powiedział, czym się zajmował?

- Masz na myśli lata wojny? Wiesz o tym? - Na twarzy Charlesa malowało się coś więcej niż zwykłe zdumienie; raczej poczucie winy. - Powiedział ci?

Bez słowa skinęła głową, choć to było kłamstwo.

- Nasłuchiwałam się wielu wojennych opowieści. - Przynajmniej w tym nie minęła się z prawdą.

Spuścił głowę, by spojrzeć na pelerynę i krople nieprawdziwej krwi.

- Zawsze sądziłem, że to tajemnica. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy o tym usłyszałem. Bardzo dawno temu. Potem przez długie miesiące prześladowały mnie koszmary senne. Nie powinnaś źle myśleć o Emile'u z powodu tego, co robił. - Podniósł z podłogi czerwony materiał. - Należy wziąć pod uwagę, że była wojna.

Mallory milczała, nie chcąc go spłoszyć wyraźnym ponagłaniem. Po prostu zostawiła wolne miejsce w przestrzeni między nimi i czekała, aż go wypełni sekretną zawartością.

- Słyszałem tylko raz, jak o tym mówili - powiedział Charles. - Emile prawdopodobnie myślał, że śpię, kiedy o tym opowiadał Maksowi. - Zwinął ciasno pelerynę. - Po wyzwoleniu Paryża Emile został członkiem plutonu egzekucyjnego maquis. Ale musisz pamiętać, że w tamtym okresie było bardzo dużo procesów: pośpiesznie wymierzano sprawiedliwość kolaborantom.

- Emile St John był katem?

Mallory wysiadła z taksówki na 56 Ulicy, w pobliżu mniej wspaniałego tylnego wejścia do Carnegie Hall. W oknach założono kraty, a daszek ze złotymi literami był dalekim echem pełnej przepychu markizy, zainstalowanej z frontowej strony budynku. Mallory

przeszła między zaparkowanymi samochodami dostawczymi i okrążyła pojemnik na śmieci, stojący na chodniku.

Brązowe drzwi na scenę były otwarte. Nick Prado szedł chodnikiem na czele orszaku, tam gdzie markiza rzucała cień, i przystanął, pozując do zdjęć.

- Hej, Mallory! - Shorty Ross ostatni opuścił budynek. Podjechał do niej swoim wózkiem inwalidzkim.

Ten dziennikarz był wyłącznie reporterem policyjnym - nie pojawił się tu, by wysłuchiwać rewelacji na temat festiwalu iluzji. Ross musiał poczuć krew.

- Słyszałem, że wróciłaś do pracy, Mallory.

- Tak, Shorty, to najświeższa plotka. - Spotkała go po raz pierwszy pewnego deszczowego dnia w Wydziale Zabójstw. Miała wtedy dwanaście lat. Wyświadczać przysługę inspektorowi Markowitzowi, przez godzinę opiekował się Kathy, opowiadając jej o wojnie w Wietnamie. A potem podwinął nogawki spodni, żeby zaspokoić dziecięcą ciekawość dotyczącą amputowanych nóg i protez przymocowanych pod kolanami. Sztuczne nogi były interesujące, chociaż nie usatysfakcjonowały jej do końca. Shorty odmówił jednak zdjęcia skarpetek z kikutów, twierdząc, że nigdy się nie rozbiera na pierwszej randce.

- Nigdzie nie możemy znaleźć Franny'ego Futury - powiedział Shorty. - I ktoś go wymeldował z hotelu.

- Naprawdę? Być może pan Prado wie, gdzie jest Futura.

- Nie ukryłabyś nic przede mną, prawda, mała?

Mallory się uśmiechnęła. Zbyt dobrze się znali. Czekwała teraz na tradycyjną propozycję Shorty'ego pokazania gołych kikutów w zamian za informacje.

Fotoreporterzy przestali się interesować Nickiem Prado, żeby pstryknąć zdjęcia sławnej policjantce, która wprawdzie nie strzelała do nadmuchanego pieska - ale jakie to ma znaczenie! Po chwili

dołączyli do nich dziennikarze i zablokowali wózek inwalidzki Shorty'ego Rossa. Prado pojawił się u boku Mallory i położył jej dłoń na ramieniu. Nie powiedziała ani słowa, tylko spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że powinien zabrać rękę, i to natychmiast, bo inaczej może go spotkać coś nieprzyjemnego. Prado cofnął dłoń.

- Nie ma pani nic przeciwko kilku zdjęciom dla prasy, prawda? - Stał przed kamerami. - Tak trudno skłonić ludzi do zainteresowania starymi sztuczkami, niewykorzystującymi najnowszych osiągnięć techniki. Ale seks zawsze dobrze się sprzedaje.

Oślepiały ją lampy błyskowe. Prado się uśmiechał. Mallory miała poważną minę. Nachyliła się bliżej, żeby nie usłyszeli jej dziennikarze.

- Gdzie jest Franny Futura? Już nie żyje?

Ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać, nie poruszył też ustami, kiedy powiedział:

- Sprawdziła pani pod łóżkiem w jego pokoju hotelowym? To pierwsze, co bym zrobił.

Dziennikarze napierali na nich, wykrzykując pytania i celując w nich mikrofonami niczym lufami pistoletów. Kobieta ubrana na czarno krzyknęła z bólu i Mallory usłyszała, jak Shorty Ross mówi:

- Och, przepraszam! Czy to była pani noga?

Dziennikarze stojący z przodu już wcześniej zdążyli ucierpieć od jego wózka inwalidzkiego, więc teraz się rozstąpili, pozwalając Shorty'emu podjechać do Mallory.

- Pani sierżant, co pani wie o zniknięciu Franny'ego Futury?

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. - Spojrzała na Prado, tym razem to ona się uśmiechała. Też potrafiła mówić, nie poruszając ustami. - Czy to kolejny tani chwyt reklamowy?

- Widzę, że rozpoznaje pani już mój styl pracy. Czuję się mile połączony.

- Może go pan nastraszył, Prado. - Mówiła teraz głośniej. - Może to Futura wpadł na pomysł, żeby się ukryć.

Shorty to usłyszał.

- Facet się ukrywa?

To wywołało całą serię pytań. Mallory nachyliła się do Prado i powiedziała do niego cicho:

- Zgrabne posunięcie. Wiedział pan, że załamałby się po pięciu minutach rozmowy ze mną.

Uśmiech na chwilę zniknął z oblicza Prado.

- Musi pani kogoś przycisnąć w sprawie tego strzału do nadmuchiwanej piłki, prawda? No cóż, Franny znajdował się na platformie, był widoczny jak na dłoni, kiedy wielki psiak spadł na ziemię.

- Ale mógł dobrze widzieć skaliste wzgórze.

Dziennikarze umilkli. Wyteżali wzrok, starając się czytać z ruchu ich warg.

- Pana tam nie było, Prado. Nie ma pan alibi. - Teraz mówiła wystarczająco głośno, żeby wszyscy ją słyszeli, i Shorty Ross uniósł w górę kciuki w geście podziękowania.

- Richard Tree nie strzelił z kuszy do Futury - oświadczyła Mallory i to była prawda. - Może strzała pochodziła z innego łuku. - Kątem oka widziała, jak dziennikarze słowo w słowo zapisują to kłamstwo. Inni podsunęli mikrofony, kiedy dodała: - Nie ma pan też alibi, jeśli chodzi o strzał z broni palnej.

Chcąc zwrócić na siebie uwagę Mallory, Shorty Ross trącił ją wózek inwalidzkim. Szybko się cofnął, wiedząc, że jest zdolna pacnąć nawet beznogiego weterana wojny.

- Pani sierżant? Czy mamy tu do czynienia z nowym spiskiem?

Prado stanął przed wózkiem inwalidzkim dziennikarza.

- Proszę państwa, czy mogę prosić o chwilę cierpliwości? - Pociągnął Mallory do tyłu, ze słowami: - To efektowny pomysł, ale moim zdaniem, zbytnio pani wszystko komplikuje. - Wskazał ręką tłum dziennikarzy. - Potrzebują czegoś prostego, czegoś, co się nada na tytuł w gazecie.

- Futura wie, kto zabił Louise, prawda?

Jakaś kobieta podkraśniała się bliżej i teraz podsunęła mikrofon tuż pod nos Mallory.

- Louisa? Czy dobrze usłyszałam? Mówiąc „zabił”, ma pani na myśli „zamordował”? Czy chodzi o zmarłą kobietę z numeru Malakhaia?

Prado ukłonił się Mallory.

- Gratuluję. Dopięta pani swego. - Ruszył w dół ulicy, a za nim pociągnął tłum fotoreporterów i dziennikarzy.

Zakładając, że Futura nadal żyje, można przyjąć, że do końca dnia nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Przedstawiciele prasy przez najbliższe godziny ani na moment nie spuszcza Prado z oka - byli niemal tak dobrzy jak policjanci obserwujący podejrzanego. Gdyby przyznawano Mallory większe fundusze z budżetu Wydziału Zabójstw, nie musiałyby tak improwizować.

- To było dość dobre - usłyszała za sobą znajomy głos.

Malakhai stał w otwartych drzwiach, opierając się o framugę. W dziennym świetle dostrzegła kilka płowych kosmyków, pozostałość po czasach, kiedy jego czupryna miała kolor lwiej grzywy. Rękawy niebieskiej koszuli podwinął, a spodnie koloru khaki były zakurzone na kolanach.

- Lepiej od Prado radzi sobie pani z dziennikarzami. - Jego ciemnoniebieskie oczy śmiały się, miały w sobie jakiś magnetyzm. Przez chwilę poczuła się dziwnie lekka. Szukała w myślach, co mogłaby

powiedzieć, kiedy rzucił niedopałek papierosa i zgniótł go obcasem. - Nie chcę okazać się niewdzięczny, ale wszystkie bilety na mój występ są już wyprzedane. Niepotrzebna mi reklama. - Roztarł ramiona pokryte gęsią skórą. - Chłodno tu. Wejźmy do środka.

Weszła za nim do budynku, a potem po schodach do magazynu, gdzie pod jedną ścianą ustawiono krzesła. Obok szeregu monitorów i przełączników było dwoje drzwi otwartych na całą szerokość, za nimi rozpościerała się podłoga z wypolerowanych jasnych desek. Na scenie dominowało wysokie metalowe rusztowanie. Nie było go w dniu, w którym rozmawiała z kierownikiem sceny. Kable zwisały z góry i wiły się na podłodze.

- Myślałam, że skończył pan ustawiać rekwizyty.

- Wprowadziłem kilka zmian.

Mallory podążyła za nim przez drzwi i znalazła się na scenie o białych ścianach, ze złożonymi kolumnami i gzymsami. Nigdy nie oglądała głównej widowni od tej strony rampy. Rzędy pustych foteli obitych czerwonym pluszem wypełniały rozległe pomieszczenie. Spojrzała na balkony wznoszące się na wysokość siódmego piętra. Ich cztery poziomy wykończono z przodu śmiałymi krzywiznami. A na samej górze widniała świetlista aureola z zewnętrznym pierścieniem gwiazd-satelitów.

W sobotni wieczór trzy tysiące osób zapełni tę salę i - co dziwne - nagle poczuła ich brak. Sala była oświetlona jak na przedstawienie i czekała na swoją publiczność. Wyczuwało się napięcie w milczącej pustce, przypominające chwilę poprzedzającą pęknięcie tamy, jakby tłum powstrzymywały jedynie zamknięte drzwi do foyer. Ta pustka pragnęła zostać wypełniona.

Malakhai był w połowie wysokości metalowej drabiny z tyłu rusztowania.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli popracuję w czasie naszej rozmowy? Oświetlenie wymaga mnóstwa przygotowań.

Spoglądała na miejsca na jaskółce.

- Jak będą mogli pana oglądać z najtańszych miejsc?

- Na ścianie zostanie zamontowany ogromny ekran, na którym pokazywane będą bardziej skomplikowane sztuczki. Dlatego tak ważne jest oświetlenie. Jeden błąd i cała praca pójdzie na marne. Ale, moim zdaniem, większość osób przyjdzie, by posłuchać *Koncertu Louisy*. Nigdy nie wykorzystywałem muzyki w charakterze akompaniamentu do swoich sztuczek. Zawsze było na odwrót.

Weszła za nim po metalowej drabinie na szczyt rusztowania.

- Słyszał pan o Futurze?

Stał przed tablicą z wyłącznikami i lampkami na rozkładanym metalowym stelażu.

- Znalazła go pani?

- Jeszcze nie - powiedziała. - Ukrywa się albo nie żyje.

Słyszając to, Malakhai się uśmiechnął.

- Prawdopodobnie jeszcze jeden chwyt reklamowy Nicka. - Pstryknął kilkoma przełącznikami i reflektory znajdujące się nad ich głowami rzuciły na tylną ścianę sceny jasne kręgi światła w barwach podstawowych. - Jestem pewien, że się odnajdzie.

- Wie, kto zabił Olivera. Podobnie jak pan.

- A więc przestałem już być podejrzany w sprawie śmierci Olivera?

- Cóż, lubię zostawiać sobie wszystkie furtki otwarte. - Obserwowała go, jak pstryka wyłącznikiem na tablicy rozdzielczej. Światła na widowni przygasły. Przekręcił inny wyłącznik i zobaczyła dwa białe koła, goniące się po podłodze. - Zaprogramowane efekty świetlne? - Zadarła głowę i ujrzała rząd reflektorów umieszczonych

we wnęce nad sceną. - Nie wiedziałam, że jest pan taki biegły w tych sprawach.

- Nie jestem. Na szczęście stać mnie na zatrudnienie ludzi, którzy się na tym znają.

- Nie ufa pan kierownikowi oświetlenia?

- To nie jest kwestia zaufania.

- A więc chodzi o zachowanie kontroli - powiedziała Mallory. - Jak w wypadku Maksa Candle'a i jego w pełni zautomatyzowanego podium.

- Miałem właśnie powiedzieć, że korzystam z tablicy tylko podczas prób. Ale chyba jestem trochę podobny do Maksa. Byliśmy ze sobą bardzo zżyci.

Jakiś cień przesunął się wzdłuż tylnej ściany sceny i zniknął w prawej kulisie. Mallory zwróciła się do Malakhaia:

- W jaki sposób uzyskał pan ten cień?

- Nigdy tego nie powiem. To mój prezent dla pani, Mallory. Pewnego dnia o trzeciej nad ranem, kiedy nie będzie pani mogła usnąć, przemknie pani przez myśl, że tym cieniem mogła być Louisa.

- Nie wierzy pan w to tak samo jak ja.

- Ależ wierzę. Praca iluzjonisty polega na wzbudzaniu bezgranicznej wiary. Zawsze na tym polegała. - Wyjął z kieszeni czarną wstążkę i wyciągnął rękę w stronę Mallory. Wolno podniósł szarfę, by odsłonić pięć unoszących się w powietrzu kart. - A oto cud: królewski poker! Och, zapomniałem. - Karty opadły na podłogę, trącił je nogą. - Już to pani widziała i nie spodobało się pani.

Mallory gapiła się na rząd lamp zawieszonych nad jej głową. Malakhai mógł rzucać cienie, posługując się jupiterami i wyciętymi sylwetkami ludzi, ale nie przyłapała go na tym. Na obu końcach balkonów na trzecim piętrze znajdowały się jeszcze inne zestawy

reflektorów, ale były zgaszone. Spojrzała na tablicę z wyłącznikami. Może tutaj kryła się odpowiedź. Będąc prawdziwym niedowiarkiem, szukała cienia Louisy pośród rzędów reflektorów i wyłączników.

Malakhai założył ręce na piersi i przez chwilę przyglądał się Mallory.

- Kiedy Picasso składał wizytę, zawsze ostrzegął, że przyszedł, aby coś ukraść.

- Znał pan Picassa?

- Nie. Zepsuła pani świetną historyjkę. Będę musiał opowiedzieć inną. Może o wyzwoleniu Paryża?

- Wolałabym posłuchać o wieczorze, kiedy umarła Louisa. Nie zabawiał pan długo w mieście, więc kto się zajął pogrzebem?

- Emile. Zależało mu na tym, żebyśmy wyjechał, i to szybko. Niemal straciłem głowę i stanowiłem zagrożenie dla wszystkich. Louise pochowano w grobie rodzinnym St Johna.

Mallory oderwała wzrok od tablicy.

- A więc St John był w posiadaniu zwłok, czyli dysponował wszystkimi dowodami popełnionego morderstwa. Czy po wojnie powiedział panu, jak naprawdę zginęła Louisa? Czy też wszystko zataił? Czy w dniu parady to do niego pan strzelał?

- Pozwoli pani? - Dał jej znak, żeby się odsunęła na bok, a potem wrócił do pracy przy tablicy. - Wybiega pani za daleko w przód. Kiedy dotarliśmy do Londynu, rozstaliśmy się z Maksem. Spotkaliśmy się znowu dopiero po wyzwoleniu Paryża.

- Oddziały ruszyły na Paryż tego samego dnia. Już to wiem.

- W takim razie czemu nie dopowie pani reszty, Mallory? - Dotknął wyłącznika i srebrna kula uniosła się nad sceną i poszybowała w kierunku jej głowy. Mallory cofała się, aż znalazła się na skraju rusztowania. Wtedy kula zmieniła kierunek lotu, popłynęła w górę

i pękła, dotknąwszy gorącego reflektora. To był zwykły balon.

Światło na widowni zgasło, jeśli nie liczyć małych, migoczących jak gwiazdy żaróweczek okalających balkony.

- Kiedy alianci wkroczyli do Paryża, odłączyłem się od swojej jednostki, żeby odszukać Maksa. Przez cały dzień biegałem po mieście. Wkoło wciąż trwała wojna. Komendant Paryża poddał się, ale wojska okupanta nadal do nas strzelały. A na ulicach odbywał się absurdalny festyn. Ludzie krzyczeli ze szczęścia, a po chwili ginęli od pocisków i kul. Dziewczeta całowały wszystkich mężczyzn w mundurach. Mały tłum gapiów zebrał się, by obserwować pojedynek dwóch czołgów na placu Opery. Żałuję, że nie widziała pani tej bitwy dinozaurów.

Scena zrobiła się czerwona. Po naciśnięciu kilku przełączników pojawiły się błyski żółtego światła.

- Wszystko wkoło było zaminowane, przygotowane do wysadzenia. Podczas usuwania ładunków wybuchowych znajdowaliśmy się jakby w potężnej bombie. Ludzie wychodzili z dziećmi na balkony i wymachiwali małymi chorągiewkami. Po chwili kryli się w środku, bo zaczynały świstać pociski. Cały dzień był taki, huśtawka emocji. Wypatrywałem Maksa na każdej ciężarówce wojskowej, wśród wszystkich maszerujących kolumn żołnierzy. W końcu poszedłem do teatrzyku Faustine, by tam na niego poczekać. Wiedziałem, że przyjdzie, jeśli żyje. Teatr był zabity deskami. Czekałem pod drzwiami do zmroku.

Kolor ścian zmienił się na indygo, drobniutkie gwiazdki srebrnego konfetti opadły z szeregów zgaszonych reflektorów udających niebo.

- Wróciłem do teatru Faustine nazajutrz, i jeszcze następnego dnia. Pamiętam, że płakałem, kiedy sobie uświadomiłem, że mój przyjaciel musiał polec.

- Zapomniał o panu.

Malakhai tylko na nią spojrział, jakby chciał zapytać: „Kto tak powiedział?”.

- Wyruszyłem na... Niemcy nazwą to później *Wanderjahr*. Rokiem wędrówki. - Znowu manipulował przy tablicy. Teraz ściany załała purpurowa poświata. - Kiedy później wróciłem do teatru Faustine, okazało się, że w środku nic nie ma. Jakiś bogaty Amerykanin wszystko kupił i wywiózł.

- Max Candle.

- Tak. Kiedy się spotkaliśmy w Nowym Jorku, powiedział, że czekał na mnie przed teatrem, gdy ja szukałem go na mieście. Tamtego dnia pojawił się również Emile. Zastał Maksa walącego w zamknięte drzwi, w kółko wykrzykującego moje imię. Emile wykorzystał swoje chody w policji, by zdobyć listę poległych żołnierzy z mojej jednostki. Moje nazwisko widniało na samym początku. Kilka razy uznano mnie za martwego.

Mallory odwróciła się na odgłos czyichś pośpiesznych kroków, który dobiegał z dołu. Chociaż scena była pusta, wciąż słyszała, jak ktoś coraz szybciej okrąża rusztowanie. Nagranie? Czy tablica służyła nie tylko do zmiany oświetlenia, ale również do wywoływania efektów dźwiękowych? Wzmacniacze musiały być umieszczone w podstawie rusztowania.

Kroki umilkły.

- Max uratował muzykę Louisy - powiedział Malakhai.

- Zachował dość przytomności umysłu, by przed naszym wyjazdem z Paryża ukryć rękopis. Dlatego potem kupił wszystko, co było w teatrze. Stało tam mnóstwo starych kufrów, a musiał mieć pewność, że wyślą właściwy. Wykorzystał swoje powiązania rodzinne, by opublikowano koncert. To była moja szansa na magiczną sztukę i na nowe życie.

- Czy kiedy wyjechał pan do Korei, zanotowano kolejną serię masowych zabójstw? Czy i wtedy w niebanalny sposób chciał pan popełnić samobójstwo?

- Podczas tamtej wojny nikogo nie zabiłem. Trafiłem do niewoli kilka tygodni po zaciągnięciu się do wojska.

Mallory skinęła głową. To się zgadzało z tym, czego dowiedziała się z jego akt. Jeszcze go nie przyłapała na kłamstwie.

- A więc wrócił pan z Korei i włączył swoją zmarłą żonę do wykonywanego przez siebie numeru. Już nie pragnął pan śmierci?

Na skraju sceny tańczyły szare wstążki. Byłyby niewidoczne w panującym mroku, gdyby nie światło odbijające się od jedwabiu. Włączył się reflektor i szarfy stały się niebieskie, tworząc złudzenie wirującej sukni.

- A teraz? - Mallory spojrzała na niego, nie zważając na jego próby odwrócenia jej uwagi. - Co teraz myśli pan o śmierci?

Reflektor zgasł, wstążki opadły na podłogę, przypominając kupon zmiętego jedwabiu. Odwrócił się twarzą do niej.

- Myśli pani, że igram z nimi, żeby któryś z nich mnie zabił? Że chcę w taki wymyślny sposób popełnić samobójstwo?

- Czemu nie? Wiem, co pana czeka. Stopniowo traci pan pamięć. Ale włożyć sobie lufę pistoletu do ust to nie w pana stylu. Wziął pan udział w dwóch wojnach, szukając bardziej oryginalnego rozwiązania.

- Byłaby pani fatalnym iluzjonistą. Znadto pani wszystko komplikuje. Rozwiązanie zawsze musi być dziecinnie proste.

- Zemsta to właśnie coś prostego - powiedziała Mallory. - Zawsze pan wiedział, który z nich zabił Louise. Ten człowiek miał jej krew na rękach. Był pan pięćdziesiąt lat spóźniony, ale wybrał pan

właśnie takie proste rozwiązanie: podczas parady wystrzelił pan w stronę platformy. Celował pan w kogoś znajdującego się w pobliżu? Na przykład w Nicka Prado?

- Wciąż pani sądzi, że to ja umieściłem te zwłoki w podium Olivera? Ten czerwony włos, który zabezpieczyła pani w restauracji...

- ...pochodził z peruki, bardzo wysokiej jakości, ale nie należał do człowieka. - Rozejrzała się, spoglądając na liczne rekwizyty zgromadzone na scenie. - Charles mówi, że podczas wykonywania swojego numeru nie korzysta pan z peruki. Więc co pan z nią robi poza nabieraniem kelnerów? Zostawia pan włosy w pokoju hotelowym, żeby pokojówki je znajdowały?

Wyglądało na to, że rozumie jej spojrzenie. Pytała wzrokiem: „Do jakiego stopnia jest pan szalony?”

- Cóż, przynajmniej przestałem być podejrzany o zamordowanie bratanka Olivera. To już coś.

- Nie - powiedziała Mallory. - Mógł pan umieścić tam zwłoki, jeśli chciał pan kogoś zdenerwować. Futura stanowiłyby łatwą ofiarę takiego postępowania.

- Rzeczywiście, jestem niezrównany w wywoływaniu hysterii. Nie potrafi pani zwyczajnie pogodzić się z tym, że Oliver spartaczył numer, że wszystko da się logicznie wytłumaczyć.

- Przyjaźnił się pan z Maksymem Candle'em aż do jego śmierci. Gdzie w tym logika? Łobuz zamierzał uciec z pańską żoną. A pan nadal nie rozstaje się z nieboszczką. Po tym, co panu zrobiła...

Szarfy uniosły się z podłogi i natarły w kierunku Mallory niczym falująca jedwabna kotara.

- Louisa nie musiała wyznawać, że ma romans. - Wstążki zatrzymały się i zawisły w powietrzu. - W normalnych warunkach utrzymałaby to w tajemnicy. Nie rozumie pani, prawda? Musiała mi

powiedzieć. Louisa nie mogła pozwolić, żebym tamtego wieczoru ryzykował dla niej życie, nie po tym, co zrobili...

- To musiał być dla pana cios prosto w serce. Max był pańskim najlepszym przyjacielem.

- Wszystko mu zawdzięczałem. Uratował mi życie. I uratował muzykę Louisy. - Malakhai spojrzął przez Mallory na światła, które rozblęły na widowni. - Zawsze najtrudniejsze jest oświetlenie sceny.

- Trudno ukryć przewody?

- Chodzi nie tylko o to. Muszę sprawić, żeby widzowie uwierzyli w Louise. Oszczędzę im szczegółów jej śmierci, ograniczając się do krwi na sukience. Całą resztę załatwi muzyka. - Spojrzął na swoją tablicę elektroniczną. - To urządzenie również potrafi odtwarzać muzykę. Korzystam z niego tylko podczas przygotowań. Jutro wystąpię z prawdziwą orkiestrą.

Dotknął klawisza na górze tablicy i z głośników po obu stronach sceny popłynęły dźwięki koncertu.

- Powiedziałem pani, że w tej muzyce zawarta jest moja żona. Słyszysz pani bicie serca w niskich tonach? Jest bardzo subtelne. Potrzeba oboju, delikatnych uderzeń w bęben i wiolonczeli, by stworzyć wrażenie bicia ludzkiego serca.

- Jego ręce poruszały się nad przełącznikami, wyciszając wszystkie instrumenty, aż pozostał jedynie rytm bijącego serca, silnego mięśnia kurczącego się i pompującego krew. - To właśnie ona: Louisa. - Teraz przekręcił gałkę, by wzmocnić dźwięk. - W koncercie występują momenty dziwnej ciszy, która wzbudza u słuchaczy niepokój. Chcą czymś wypełnić pustkę. Przechodzi to w wyraźny ból istnienia, i jedyne, co słychać, to bicie serca. - Ściszył muzykę. - Jest tak ciche, że odbierane niemal podświadomie. - Poruszył ręką i cienki strumień jasnoniebieskich piór spłynął z jego dłoni i skierował się

w stronę widowni, tworząc chmurę, która delikatnie opadła na pluszowe fotele. - A potem wysłę ją między ludzi. No, Mallory, czy czuje pani delikatny powiew powietrza po przejściu Louisy? Czy czuje pani zapach gardenii?

Mallory skinęła głową, nasłuchując bicia serca kobiety. Wietrzyk był niemal nieuchwytny; poczuła, jak unosi jej cienkie włoski na karku. Woń kwiatów była słaba i słodka.

Malakhai nachylił się nisko do niej.

- Ale podczas spektaklu nigdy nie używam perfum.

Zapach natychmiast zmienił charakter, przeszedł w korzenną woń jego płynu po goleniu - kolejny tani chwyt.

Jego oczy śmiały się do niej.

- A to lekkie poruszenie powietrza, kiedy panią minęła? To wszystko dzieje się tylko w pani umyśle, Mallory. Nie ma żadnych drutów. Wrażenie jest silniejsze przy pełnej widowni. To jak wywoływanie zbiorowej hysterii. Jak powiedziałem, umiem to robić.

Czarna sylwetka ukazała się na ścianie. Zniknęła, kiedy wyłączył bicie serca.

- Czy właśnie to zrobił pan Futurze? Nastraszył go pan cieniami? Sprawił pan, że wpadł w histerię?

- Czy jest pani pewna, że są tam jakieś cienie, Mallory? Czy może pani wierzyć swoim zmysłom? Co jest prawdą?

Wyprowadzanie ludzi z równowagi było jej specjalnością, nie jego.

- Kiedy Louisa wyznała panu prawdę, zaczęła pana zżerać zazdrość.

- Ma pani rację. Nigdy nie mogłem się uwolnić od obrazów powstających w mojej wyobraźni: mojej żony w łóżku z innym mężczyzną.

- A potem ją pan zastrzelił. Ciekawy sposób rozwiązania problemu niewierności.

Nie dając się złapać na przynętę, przeszedł na środek małej wzniesionej sceny i odwrócił się, żeby spojrzeć na pustą salę. Reflektory nad głową pozbawiły twarz mężczyzny wyrazistości. Sprawily, że jego oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie, a włosy przemieniły się w złotą grzywę.

- Nawet po jej śmierci nie byłem pewien Louisy poty, póki żył Max. - Mówił do pustych rzędów pluszowych foteli, które w głębi wielkiej sali przybrały ciemnoczerwony kolor. - Zawsze, kiedy występowałem w Nowym Jorku, Max przychodził na każde przedstawienie. Nieodmiennie pojawiał się w teatrze późno, dopiero wtedy, gdy zgaszono światła na widowni. Zajmował miejsce w tylnym rzędzie, jak najdalej ode mnie i od sceny. - Malakhai stanął na samym skraju rusztowania i znieruchomiał, przypadkowo przybrawszy wdzięczną pozę, spojrzenie miał rozpromienione, patrzył gdzieś w dal. - Nie przychodził, żeby oglądać mnie. Max jedynie chciał być blisko Louisy: potajemnie, skrycie. I za każdym razem, kiedy wysyłałem swoją zmarłą żonę na widownię, ciekaw byłem, czy spotykała się z nim tam, w ciemnościach.

Kierownik sali krążył w pewnej odległości; delikatnie dając do zrozumienia, że już zamykają lokal.

Jedyny gość, Emile St John, siedział w najdalszym kącie hotelowej restauracji, chociaż stać go było na lepszy stolik. Mallory doszła do wniosku, że nie zależało mu na tym, by znaleźć się w centrum uwagi; wolał takie dobrowolne wygnanie, trzymanie się z dala od bywalców lokalu i z dala od prawdziwego życia.

Pod tym względem byli do siebie podobni.

Na białym obrusie leżały srebrne sztucce i stały kryształowe kieliszki. Kelner sprzątał po posiłku dla jednej osoby.

Też miała w zwyczaju jadać samotnie.

Kiedy Mallory podeszła do niego, St John się uśmiechnął i na powitanie wznosił kieliszek z winem. Powiedział kilka słów do kelnera, który zostawił tacę i pośpieszył do kuchni.

St John wstał, by odsunąć dla niej krzesło.

- Cóż za miła niespodzianka. Czym mogę pani służyć, Mallory?

- Och, mam tylko kilka pytań. - Zajęła miejsce przy stoliku, a przed nią pojawił się czysty kieliszek. Kelner zabrał tacę, a kiedy znalazł się wystarczająco daleko, by nie móc jej usłyszeć, powiedziała: - Wygląda na to, że wszyscy kochali się w Louisie. Max Candle i Malakhai, nawet Oliver.

- Tak, Oliver był jej bezgranicznie oddany. - Nalał Mallory czerwonego wina. - W czasach kiedy papier nutowy był nie do zdobycia, spędzał godziny, rysując pięciolinie na papierze pakowym i na odwrocie plakatów, żeby miała na czym zapisywać nuty. Bez końca poprawiała swój koncert. Widzi pani, gdyby się urodziła w innej epoce, chyba by tego nie dokonała. Nie chcę pomniejszać jej talentu, ale koncert to nader ambitne zamierzenie. A ją jakby coś zmuszało do ukończenia tego jej jedyne dzieła. Czasem się zastanawiam, czy Louisa przeczuwała, że umrze tak młodo.

Mallory do tej pory skutecznie opierała się chęci przerwania jego wywodów, ale stwierdziła, że dosyć już tego dobrego.

- A Futura? Czy też coś czuł do żony Malakhaia?

St John pokręcił głową.

- Franny nie miał u niej żadnych szans. Jestem pewien, że uświadomił to sobie w dniu, w którym się poznali. Louisa była kobietą dla prawdziwych mężczyzn, jeśli wie pani, co mam na myśli.

- Uznała Franny'ego za mięczaka.

- Bardzo dobre określenie. Podoba mi się.

- A jeśli chodzi o pana?

- Moją jedyną obsesją było działanie. Och, zapomniałem. Ma pani całkowicie spaczony pojęcie o francuskim ruchu oporu. Jak to pani ujęła? Że rzucaliśmy bombę i uciekaliśmy, zanim dotknęła ziemi... Całe miasto było pełne paranoików i...

- I szpiegów. Chodziłam do szkoły. Wiem, co spotykało ludzi, których schwytano. A pan i Nick? Co pan czuł do Louisy? - Znów umilkła, postanowiwszy, że więcej nie będzie kończyła za niego zdań. Dużo się nauczyła od rabina Kaplana. Emile St John, podobnie jak przyjaciel rabina, pan Halpern, był bardziej otwarty, kiedy mógł swobodnie snuć opowieść.

- Wszyscy byliśmy bliskimi przyjaciółmi - oświadczył. - Razem głodowaliśmy, razem zdobywaliśmy jedzenie. Louisa i Nick jeździli na rowerach na wieś, by wykraść warzywa z pól.

- Ale nie kochaliście się w niej? Żaden z was?

Uśmiechnął się i uczynił taki gest ręką, jakby nie wiedział, jak to wszystko wytłumaczyć.

- Moja matka powiedziałaaby, że Nick i ja byliśmy...

- Obaj jesteście gejami? - domyśliła się. To nie pasowało do wyciągów bankowych Prado, z których wynikało że płacił alimenty czterem byłym żonom.

- Cóż, powinienem mówić tylko za siebie. Jestem homoseksualistą. Nick był dziwką. Sam by pani powiedział. Jest z tego dumny. W tamtych czasach poszedłby do łóżka z każdym. Z facetem, z dziewczyną, bez różnicy. Podczas okupacji nie wiązał się z nikim na dłużej niż na jedną noc. Nie potrafił się nawet ograniczyć do uwodzenia osób jednej płci. Och, szkoda, że go pani nie znała w latach młodości, śliczny był z niego chłopak.

- Nadal tak się postrzega.

- Musi go pani uważać za głupca, za podrzędnego donżuana, który nie pojmuje, jaki się wydaje śmieszny komuś w pani wieku.

Skinęła głową.

- Ale w młodości Nick był niepospolitym uwodzicielem, najwytrawniejszym, jakiego znałem. W tamtych czasach miał hiszpański akcent i kruczoczarne włosy. Nawet jego oczy były wtedy ciemniejsze, a on potrafił wzrokiem rozbierać kobiety. Ubóstwiały to. Wiem, że Faustine to lubiła. Nick był jej ulubieńcem. Nauczył się wielu sztuczek w sypialni tej starszej pani. Potrafił uwieść każdego, nawet mężczyznę, który nie miał skłonności homoseksualnych. Wystarczyło porozmawiać z Nickiem przez kilka minut albo pozwolić, żeby przypalił papierosa, a odnosiło się wrażenie, że było się z nim w łóżku.

- Czy kiedykolwiek sypiał z niemieckimi żołnierzami?

- Niewykluczone. Podniecało go takie ryzyko. Ale nawet jeśli to robił, to co? Nick nie interesował się polityką i charakteryzowała go skrajnie dekadenccka postawa. Każdą noc spędzał z kimś innym. Czasem był to przejaw zwykłego pragmatyzmu, chęci zaoszczędzenia na śniadaniu. Poza tym w jego pokoju na tyłach drukarni nie było wanny, to też trzeba wziąć pod uwagę.

- Widziałam dokumenty podrobione przez Nicka. Ładna robota. Przypuśćmy, że Niemcy dowiedzieli się o tym jego ubocznym zajęciu: pomaganiu uchodźcom politycznym w przekraczaniu granicy...

- Myśli pani, że przejmował się więzieniem? Swobodny tryb życia narażał go na większe niebezpieczeństwo. Nawet Niemcom, zadającym się z osobami obu płci, groziła śmierć. Proszę pamiętać, że każdego wieczoru piliśmy z żołnierzami. Słuchaliśmy opowieści o samochodach-komorach gazowych. Ale Nick nie bał się niczego, był

przedsiębiorczym, apolitycznym nastolatkiem o niespożyтым temperamencie.

- Nie ma pan o nim najlepszej opinii.

- Nick jest tym, kim jest: największą, najbardziej wszechstronną dziwką, jaka kiedykolwiek chodziła po tym świecie. Królem żigolaków i niezrównaną ciotą. Urodził się, żeby kierować firmą reklamową. Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobi dla rozgłosu.

- Nie przepada pan za nim, prawda?

Żachnęła się i nagle Mallory uświadomiła sobie, że wszystko opacznie zrozumiała.

- Kocham Nicka. Jest pozbawiony skrupułów, ale pozostanę jego dozgonnym przyjacielem. - St John się odwrócił, by dać znak kelnerowi, że prosi o rachunek, więc nie zauważył zdumienia malującego się na jej twarzy. Ale w końcu taką samą minę miała podczas obierania cebuli i ładowania broni.

Napisał na rachunku numer swojego pokoju i kelner znowu zostawił ich samych.

- Obawiam się, że Nick nigdy się nie zmieni na lepsze. Nadal podrywa wszystko, co się rusza. Płeć nie gra roli. Wystarczy mu, żeby oddychało.

- A czy pan spał kiedyś z niemieckim żołnierzem? Utrzymuje pan, że walczył pan w ruchu oporu. Ale wielu ludzi tak mówiło po opuszczeniu miasta przez Niemców. Może był pan kolaborantem? - Przysięgła sobie, że to ostatnie pytanie, jakie mu zadaje.

- Odpowiedź na obydwie pytania brzmi „nie”, Mallory. Nigdy nie spałem również z Nickiem, chociaż miałem ogromną ochotę. Podczas okupacji żyłem jak mnich. Nadal tak żyję.

- Wiem, że był pan członkiem plutonu egzekucyjnego maquis, wykonywał pan wyroki śmierci. - Tym razem udało jej się go zaskoczyć. Aż otworzył usta i zapomniał wypuścić dym papierosowy z

płuc. - To niezbyt pasuje do mnisiego habitu. - Odstawiła kieliszek. Skończyła uprzejmą rozmowę. St John odkrył swój czuły punkt i teraz mogła przystąpić do ataku. - Mój profesor historii mieszkał podczas wojny we Francji. Powiedział, że zaraz po wyzwoleniu doszło do krwawej łaźni. Proszę mi więc powiedzieć, ile osób zabił pan na polecenie maquis?

To były dawne dzieje, ale ich wspomnianie nadal sprawiało mu ból.

- Czy Charles pani o tym powiedział? Tak, to musiał być on. Dziwne, że zapamiętał tamtą rozmowę. Miał zaledwie sześć albo siedem lat. Gotów byłem przysiąc, że śpi. Razem z Maksym zabraliśmy go na występ iluzjonistów, a potem na kolację. Charles leżał zwinięty w kłębek na dywaniku obok kominka, zmordowany jak pies. Max spełniał wszystkie jego dziecięce zachcianki, kiedy rodziców chłopca nie było w mieście. Żadnego jedzenia szpinaku i stałych pór snu. Dopiero gdy chłopak padał ze zmęczenia, Max kładł go do łóżka.

Żadnych dygresji, St John. Wracaj do czasów wojny.

- A więc powiedział pan Maksowi o plutonie egzekucyjnym.

- Musiałem z kimś pogadać. Przeżywałem trudny okres: czas przystosowywania się do powojennego życia. Trwało to wiele lat. Borykałem się z przeszłością. Wiedziałem, że Max mnie zrozumie. On też zabijał podczas wojny. Ale ludzie, których ja... - Przez chwilę bawił się kieliszkiem. - Ci ludzie byli bezbronni, kiedy do nich strzelałem, przywiązani do słupa, z oczami zasłoniętymi kawałkiem szmaty. W plutonie nie przestrzegano zasady, żeby jeden karabin zawierał ślepe naboje. Wszystkie kule ze wszystkich karabinów niosły śmierć. Nie było możliwości samooszukiwania się, zachowania czystych rąk.

- Aresztowano tysiące ludzi, kilkaset osób doczekało się procesu.

- Tak, w ciągu kilku pierwszych miesięcy tak właśnie było. Wyrazy uznania dla pani profesora. Stracono mnóstwo osób za prawdziwe i wymaginowane zbrodnie. Ale ten konkretny oddział maquis wykonywał wyroki na skazanych za zbrodnie wojenne francuskich obywatelach, którzy tak bardzo chcieli się przypodobać swoim nowym panom, że byli gorsi od Niemców. Z przerażającą gorliwością dopuszczali się największych okrucieństw. Dwaj z nich wyłupywali oczy kobietom i wypełniali oczodoły karaluchami. Ujęcie przez Niemców nie było najgorszym, co mogło się człowiekowi przydarzyć w okupowanej Francji.

- Wyroki wydawały sądy doraźne.

- To termin wojskowy. Pochodzi z czasów amerykańskiej wojny domowej, prawda? Odwrócony bęben na polu bitwy, błyskawiczny proces i szybkie wykonanie wyroku. Tak, ma pani rację. Ale myślę, że rzeźnia, seryjne skazywanie na śmierć byłoby lepszą analogią dla tych wczesnych procesów. Po wyzwoleniu wyglądało na to, że wszyscy Francuzi działali w ruchu oporu. Tak przynajmniej utrzymywali i podsądni, i oskarżyciele. Zawsze podejrzliwie traktowałem tych, którzy byli najbardziej żądni krwi, którzy najgłośniejsze domagali się sprawiedliwości. Nie mam pojęcia, ilu niewinnych ludzi zginęło od kul plutonów egzekucyjnych. - Odsunął krzesło od stolika. - Od tamtej pory żyję w celibacie, odbywając pokutę.

- Mnich i kat. - Uniosła płasko dłonie, jakby ważyła na nich obydwa słowa, porównywała je.

- Chyba nie przypuszcza pani, że udział w tych egzekucjach sprawiał mi przyjemność?

Wolno skinęła głową. Tak właśnie myślała.

- Musiał się pan zgłosić na ochotnika do takiego zajęcia.

- Byłem ochotnikiem. - Wypuścił kłęb dymu z cygara, świadom tego, że kelner nie będzie mu zawracał głowy przypomnianiem o

zakazie palenia w miejscu publicznym, zawdzięczał to pieniądзом i hojnym napiwkom. Obserwował, jak szary obłoczek unosi się w górę. Śledził dym wzrokiem. - Wszędzie wokół siebie widziałem ludzi zbyt entuzjastycznie traktujących tego typu zajęcie. Uważałem, że zawsze należy zabijać z głębokim żalem. I tak, z żalem, podnosiłem karabin i strzelałem do bezbronnych ludzi z rękami zawiązanymi na plecach.

Pochylił głowę, by przyjrzeć się resztkę wina na dnie kieliszka. Kiedy znów przemówił, jego głos był zbyt opanowany, pozbawiony intonacji, wyprany z emocji:

- Najlepszy jest strzał z pistoletu przyłożonego do głowy. Ale byliśmy bardzo młodymi oprawcami. Niedoświadczonymi w skutecznym zabijaniu. Posługiwaliśmy się karabinami i staliśmy w pewnej odległości od... celu. Kierując się błędnie rozumianym współczuciem, staraliśmy się unikać strzałów w głowę, które przyniosłyby szybką śmierć. Pociski wylatujące z naszej broni rozrywały serca i płuca. Kiedy robi się to niefachowo, ofiara umiera w wyniku wewnętrznego krwotoku, nie jest to natychmiastowa śmierć, jak można by przypuszczać. Przez lata wiele się nazytałem na ten temat.

Uniósł wzrok znad kieliszka, czego później żałowała. Zapamiętała jego spojrzenie pełne cierpienia, tak niepasujące do suchego wyliczania faktów.

- Każdy strzał zostawia dziurę sto razy większą od samej kuli. Widzi pani, ciepło przy uderzeniu powoduje wyparowywanie krwi i tkanki tłuszczowej. - Zaciśnął mocno pięści, aż mu pobiegały kostki. - Więc każda kula przypomina pięść, która rozrywa skórę, miażdży kości. Stałem dostatecznie blisko, by widzieć, jak skazani dygoczą, kiedy przywiązywano ich do słupa. Po pierwszej serii padali, osuwali się na ziemię. Ale nadal żyli. Dziurawiłem ich kulami, póki nie przestali przyzywać Boga, oszalali ze strachu i z bólu. Wreszcie nieruchomieli i szaleństwo się kończyło.

ROZDZIAŁ 18

Karaluchy w zlewie i różowe gipsowe flamingi w dziwacznych pozach na pożółkłym trawniku przed oknem - Franny Futura nigdy sobie nie wyobrażał, że ubóstwo może być aż tak odrażające. Popłakał się na wspomnienie zniszczonych mebli i odgłosów, jakie wydawały rury kanalizacyjne, kiedy sąsiedzi w motelu korzystali z toalety. Dawno temu te popękane i brudne ściany musiały być pomalowane na żywszy kolor; teraz miały barwę wiekowego łososia zdychającego ze starości.

Franny podszedł do jedyne go okna w pokoju i wyjrzał przez dziurę w zasłonach. Policzył flamingi. Jednego różowego gipsowego ptaka można by uznać za celowe epatowanie kiczem. Ale ta grupka, składająca się z czterech sztuk, była rozmyślnym i przerażającym zamachem na dobry gust.

A więc tak wygląda New Jersey.

Nick mu przykazał, żeby nie wychodził z pokoju, ale telefon przy łóżku nie działał. Futura gapił się na budkę telefoniczną po drugiej stronie parkingu - ustawioną na sztorc szklaną trumnę obok ruchliwej szosy, którą przejeżdżały samochody - miliony spojrzeń każdego dnia.

Niebezpiecznie było opuszczać pokój, tak mu przynajmniej powiedział Nick. Franny mu wierzył, łatwo dawał się nastraszyć.

Przeczytał gdzieś, że strach to cecha wrodzona, że niektórzy ludzie już w genach mają zapisany lęk przed wszystkim - nie jego wina, że jest mniej odważny od innych.

Ale nie był zupełnym tchórzem. Ostatnio zapomniano o dobrych manierach, publiczność gwizdała, tupiała i wrzeszczała podczas jego pokazów. Czasami się bał, że widzowie wedrą się na scenę i go z niej ściągną. Jak do tej pory, zawsze mu się udawało dokończyć występ, chociaż ręce mu się trzęsły, a z oczu kapały łzy, które brano za kropelki potu. W ciągu tych wszystkich lat przejechał tysiące kilometrów - i na co się to wszystko zdało?

Gdyby tylko udało mu się skontaktować z Emile'em St Johnem, wszystko dobrze by się skończyło. Emile przyjechałby po niego długą limuzyną, obaj wróciliby do Nowego Jorku, by popijać dobrą szkoeką z barku i palić kubańskie cygara. Po południu mógłby wznowić próby.

Położył rękę na gałce drzwi i natychmiast ją cofnął, jakby metal był rozgrzany do czerwoności. W najgorszym razie co mogło go spotkać? Czy istnieje coś gorszego od męki oczekiwania? Z pewnością Nick będzie na niego zły. Poza tym wszystkie te pędzące samochody, tyle par oczu utkwionych w nim.

Franny stał przed drzwiami, ręce opuścił wzdłuż tułowia. Raz, dawno temu, zdobył się na odważny czyn. Z pewnością stać go na to, żeby przejść przez parking do budki telefonicznej.

Usłyszał zgrzyt metalu i odgłosy czyichś kroków. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami jego pokoju. Rozległo się pukanie. Po chwili ten ktoś wsadził klucz do zamka. Gałka się przekręciła. Franny cofał się wolno, krok za krokiem, a kiedy się potknął i przewrócił, zaczął się czołgać w stronę ściany.

Gdy drzwi się otworzyły, weszła do pokoju potężna kobieta w fartuszkach, z naręczem czystych prześcieradeł i ręczników. Spojrzała

na Franny'ego zdumiona, widząc go skulonego na podłodze, zasłaniającego rękami twarz i cicho popłakującego.

Budynek wznosił się w samym środku ruchliwej śródmiejskiej dzielnicy teatralnej, ale przez jego grube mury nie dobiegłoby nawet wycie syreny straży pożarnej. Wybierając miejsce na swój występ, dużą wagę przywiązywał do izolacji akustycznej. Iluzja z szubienicą nie wywarłaby takiego wrażenia, gdyby coś odwracało uwagę widzów od tykania zębatek, skrzypienia desek i wrzasków wisielca.

Emile St John po raz ostatni sprawdził mechanizm. Wszystkie dotychczasowe próby przebiegły gładko. Oliver niczego nie spartaczył w tej sztuczce.

Zakładając kajdanki, spojrzął na zegarek. Jego pomocnik powinien wrócić za kilka minut. Zaangażował tego młodego człowieka z uwagi na jego wyjątkową punktualność.

Najważniejsza jest synchronizacja.

Trzyście stopni nad nim znajdowała się szubienica. Na podwyższeniu było bardzo niewiele miejsca, z ledwością starczało go dla jednego człowieka. Wąskie podium wyglądało na chybotałe, ale pod nieoheblowanymi deskami i powiązаныmi na supeł powrozami kryła się solidna stalowa konstrukcja. Szubienica wyglądała na skleconą byle jak, jakby pozbijało ją dziecko, wykorzystując garść zardzewiałych gwoździ. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko się rozsypie przy lada podmuchu wiatru.

Wszedł po schodkach, tak jak to robił tyle razy Max Candle. Na ostatnim stopniu stawał ciężej, deska z trzaskiem pękała w miejscu, gdzie był zawias. Emile wyciągnął nogę, żeby ją postawić na małej platformie. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i cała konstrukcja wychyliła się dokładnie o piętnaście centymetrów. Stojąc pod

pętlą, obserwował, jak sznur zaczyna się obniżać, poruszany mechanizmem zegarowym. Rzucił złowieszczy cień na kurtynę wiszącą z tyłu. Kiedy cień był na wysokości jego głowy, sznur ponownie zaczął się unosić. Do tej pory wszystko przebiegało bez zarzutu. Oliver dokonał wielkiej rzeczy, dopasowując pętlę do wysokości i ciężaru Emile'a. Metalowe ramię podnośnika hydraulicznego zaczepiało się o metalowy uchwyt, który Emile miał pod ubraniem.

Wsunął kluczyk do zamka, by otworzyć kajdanki. Lina zaczęła się naprężać, pętla zaciskać pod brodą.

Usłyszał odgłos pękającej deski. Ręce nadal miał w kajdankach. Ale kiedy podłoga pod nim się zapadła, nie zaczął szybować w powietrzu. Nie zdjął sobie pętli i nie zszedł po niewidzialnych schodkach na scenę, jak to robił tyle razy podczas prób.

Spadł niby kamień, wór z balastem, a jego nieruchome ciało obracało się powoli, wisząc na końcu liny.

Kiedy Franny wrzucił odpowiednią liczbę monet do automatu telefonicznego i w końcu uzyskał połączenie z teatrem, w słuchawce rozległ się głos młodego Francuza. Przypominał głos Emile'a sprzed pół wieku.

- Naturalnie, panie Futura. Jestem jego pomocnikiem. Już po niego idę.

Franny nasłuchiwał odgłosów oddalających się kroków. A potem usłyszał krzyk młodego mężczyzny.

Najwidoczniej Nick miał rację. Emile już nie może mu pomóc. Franny odwiesił słuchawkę. Promienie popołudniowego słońca padały na jego wykrzywioną, mokrą od łez twarz.

W komisariacie nowojorskiej policji aż wrzało od pracy. Mallory siedziała za kwadratowym stołem z mokrymi śladami po puszkach

napojów gazowanych, którego blat ozdabiały inicjały wycięte przez znudzonych przestępców i gliniarzy. Ci, którzy przydzielali środki z budżetu Wydziału Zabójstw, traktowali ją po macoszemu. Ujawnienie przez Slope'a faktu przeprowadzania sekcji zwłok Richarda Tree zniweczyło wszelkie jej marzenia o przydzieleniu dodatkowych ludzi do tej sprawy, a Heller nie zgodzi się na kolejne ekspertyzy ani występy przed kamerami telewizji. Zły humor Mallory jeszcze potęgował widok szczerzącego zęby mężczyzny stojącego pomiędzy dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami.

- Prado, jeśli udowodnię, że wbił pan strzałę w trupa, stanie pan przed sądem pod zarzutem bezczeszczenia zwłok. Nie przysporzy to popularności festiwalowi. Poza tym proszę nie zapominać o swojej firmie reklamowej. Wszyscy pańscy nadziani klienci mogą nagle zrezygnować z jej usług.

- Proszę mnie nie rozśmieszać - odparł Prado. - Każdy chwyt jest dobry. Pozwoli pani, że sam puszczę tę plotkę w obieg? - Skinął głową w kierunku okna w pomieszczeniu na drugim piętrze. Dziennikarze kręcili się na chodniku, zaśmiecając SoHo kubkami po kawie i opakowaniami po kanapkach. Inni stali przyczajeni za barobusem sprzedającym szybkie dania. - Ujawnię, że uzyskałem informacje od pani, jeśli sobie pani tego życzy.

Za nią rozległ się jęk. Wydał go ćpun leżący na podłodze w bok-sie odgrodzonym kratkami.

- Ej, zamknij się. - Sierżant Hong z całych sił uderzył pałką w drewnianą ramę, ale nie udało mu się zwrócić na siebie uwagi zatrzymanego. - Zdaje się, że znowu będzie rzygał.

Mallory spojrzała przez ramię na zwiniętego w kłębek chłopaka. Był drobnutki, chudy i wyraźnie cierpiał.

- Nie wkurzaj mnie - powiedziała.

Ćpun usiadł i oparł się o kraty. Głowa opadła mu na piersi.

Znów zwróciła się do Prado:

- Muszę wiedzieć, co dokładnie pan robił w Święto Dziękczynienia. Bratanek Olivera nadal miał na sobie smoking, kiedy znalazłam jego zwłoki wewnątrz podium. Więc przypuszczam, że umarł kilka godzin po paradzie.

- Franny udał się z Richardem na komisariat policji. - Prado rzucił płaszcz na stół. Bez pytania odsunął krzesło i usiadł. - Opowiedział policjantom, jak zaaranżował numer z kuszą, i wypuścili chłopaka. Mnie z nimi nie było.

- Wiem - powiedziała Mallory. - Futura z posterunku pojechał prosto do domu Charlesa. Ale pan pojawił się tam dopiero godzinę później. Nie wiadomo również, co pan robił podczas parady. Obejrzałam wszystkie relacje. Na żadnym filmie pana nie ma.

- Poszedłem do delikatesów na Columbus Avenue, żeby kupić sobie kawę. Było zimno, a platforma miała ruszyć dopiero za pół godziny. Wszystko to może pani przeczytać w podpisanym przeze mnie protokole przesłuchania.

- Ale nigdy nie wrócił pan z kawą. Pytałam też sprzedawców w tamtych delikatesach. Nie pamiętają żadnego iluzjonisty, nikogo w cylindrze i smokingu.

- Nie zapamiętaliby nawet Marsjanina. Panował ścisk, a po kawę była bardzo długa kolejka. Po jakimś czasie zrezygnowałem z czekania. Wróciłem z pustymi rękami.

- A co się wydarzyło później? Gdzie pan był, kiedy strzelano do balonu? Czy zaczął się pan z bronią na wzgórzu?

- To jeszcze jedna dobra plotka. Proszę poczekać, aż świat się dowie, że dla swoich klientów jestem gotów strzelać do nadmuchiwanych piesków i beczceścić zwłoki. Za żadne pieniądze nie można sobie kupić lepszej reklamy.

- Proszę mi pomóc oczyścić pana z wszelkich podejrzeń. Proszę tylko powiedzieć...

- Nie słucha pani, co mówię, Mallory. Nie chcę, żeby mnie oczyszczono z podejrzeń. Proszę mi powiedzieć, czy mogę poinformować dziennikarzy, o co jestem oskarżony? Może obydwójce pokażemy się przed budynkiem. Ja w kajdankach, jako pani więzień.

- Nie oskarżyłam pana o żadne przestępstwo, przynajmniej na razie.

- Co trzeba zrobić w tym mieście, żeby zostać aresztowanym? - Spojrzał na mundurowych, po czym znów zwrócił się do Mallory: - I czemu wysłano nieznajomych gliniarzy, żeby mnie aresztowali? W moich snach to pani zakuwała mnie w kajdanki.

Mallory odwróciła się do dwóch umundurowanych policjantów.

- Skuliście go?

- Nie - odpowiedział Pete Hong. - Poinformowaliśmy go, że nie jest aresztowany. To bardziej przypominało zaproszenie do śródmiejskiego komisariatu. Proponował nam po sto dolców na łebka za to, żebyśmy zakuli go w kajdanki na oczach dziennikarza. Ostrzegłem, że to próba przekupienia funkcjonariusza. Wtedy pan Prado oznajmił, że to wynagrodzenie za występ publiczny. Wciąż nie wiem, jak tę sprawę opisać w raporcie.

- Decyzja należy do ciebie, Mallory. - Partner Honga gapił się na zegar, czekając, aż wskazówka godzinowa się przesunie, co będzie oznaczało koniec jego zmiany. - Sierżant Bell powiedział, że to ty kazałaś go sprowadzić.

Mallory skinęła głową.

- Wygląda mi to na przekupstwo.

Prado wyciągnął ręce.

- A więc zakuje mnie pani?

- Nie - powiedziała Mallory. - Nigdy tego nie robimy, kiedy uważamy, że przestępcy może to sprawić przyjemność.

Wstała i podeszła do oddzielonej kratami celi. Siedział w niej jedynie chłopak w niebieskich dżinsach i zarzyganym bawełnianym podkoszulku. Znów się ocknął ze snu i dygotał, zwinięty w kłębek na podłodze. Mamrotał coś niezrozumiale. Mallory nawet nie mogła się zorientować, w jakim to języku, ale i tak wiedziała, że chłopak jest nieprzytomny i gada od rzeczy. Skórę miał lśniącą od potu, a ciemne długie włosy pozbawione połysku. Osłabiony, gnębiony skurczami żołądka i mdłościami, znajdował się w jakimś innym świecie, ledwo zdawał sobie sprawę z jej obecności.

- Zastanówmy się: łapówka czy nie. - Mallory odwróciła się w stronę dwóch funkcjonariuszy. - Myślę, że możemy zamknąć pana Prado razem z ćpunem, podczas gdy sami zwrócimy się do biura prokuratora okręgowego z prośbą o opinię. To może trochę potrwać.

Prado wstał z krzesła i podszedł do krat, by lepiej się przyjrzeć małemu, drobnemu chłopakowi, który leżał na podłodze.

- Myśli pani, że przez ten czas pani mały przyjaciel i ja możemy zapatać do siebie miłością?

- Nie zależy mu na pańskim uczuciu. Pragnie wziąć szprycę. - Mallory spojrzała na marnie wyglądającego chłopaka o nieprzytomnym wzroku. W uczciwej bójce pokonałaby go nawet trzynastoletnia dziewczynka. - Ale może się na pana rzucić, jeśli go pan zdenerwuje. - Spojrzała na Prado i pokręciła głową. - Nie, staruszkule, nie wytrzymałby pan dwóch sekund z ćpunem na głodzie.

Prado był tak zaskoczony, że Mallory niemal się spodziewała, że mężczyzna pomaca się po jądrach, żeby się upewnić, że mu ich nie ucięła.

Szykowała się do tego.

Silnym kopnięciem odsunęła krzesło od stołu i wskazała je ręką.

- Siadaj, Prado.

- Wołę postać. - Ton jego głosu był zdecydowany.

Mallory odwróciła się do mundurowych.

- Pomóżcie panu Prado usiąść.

Kiedy ruszyli w jego kierunku, Prado postanowił dobrowolnie zająć miejsce przy stole. Ruchy miał sztywne. Mallory kiwnęła głową do policjantów.

- Możecie już iść. Nie, zaczekajcie. - Odwróciła się do chłopaka zamkniętego w celi. - Jesteście pewni, że nie mówi po angielsku?

- Tak - powiedział Hong, a jego partner dorzucił:

- Ale ma oczy, Mallory.

Trudno było nie zrozumieć aluzji, że nie powinna obchodzić się brutalnie ze swoim podejrzanym w obecności świadka - następna osoba kwestionowała męskość Prado. Mallory obserwowała, jak mężczyzna zaciska pięści.

Co mogła teraz zrobić, żeby zmusić go do mówienia?

- Jeśli nie jestem aresztowany, nie muszę z panią rozmawiać.

- Wychodzi pan z błędnego założenia, Prado. Kiedy pana aresztujemy, będzie miał pan prawo zachować milczenie. Ale teraz? Albo odpowie pan na pytania, albo zarzucę panu utrudnianie śledztwa w sprawie zabójstwa.

- Nie może pani dowieść, że Oliver został...

- Owszem, mogę. Trudno to uznać za zbrodnię doskonałą. Ale mam w czym wybierać. Na przykład morderstwo Louisy, to też da się udowodnić. A co z Frannym Futurą? Czy jego też powinnam umieścić na liście zmarłych? Co pan z nim zrobił, Prado?

Mężczyzna wyjął cygaro.

- Mogę? Och, zapomniałem o zakazie palenia w budynkach publicznych. - Prado wstał z krzesła i wziął płaszcz. - Wyjdę na dwór.

Szedł w stronę drzwi, kiedy Mallory otworzyła okno.

- Może pan zapalić na schodach przeciwpożarowych.

Złapała go za ramię i pociągnęła z całej siły. Stracił równowagę i poleciał w kierunku okna siłą rozpędu, przy bardzo niewielkiej pomocy ze strony Mallory. Stracił oparcie dla nóg i jego głowa znalazła się za oknem. Kurczowo uczeplił się parapetu. Otworzył usta, a potem zaczął się trząść. Jedną ręką złapał się za serce, z trudem chwycił powietrze.

Zawał? Nie, to było coś znacznie ciekawszego. W ciągu zaledwie trzech sekund zaskoczenie mężczyzny przeistoczyło się w paniczny lęk. Kiedy chwiejnym krokiem odszedł od okna, trochę się uspokoił. Mallory zagroziła mu drogę.

- Proszę się nie bać - powiedziała aż nadto uprzejmie, by mogło to być szczere. Wskazała na ulicę w dole. Spojrzał w tamtym kierunku, w równym stopniu zafascynowany, jak przestraszony.

- Spójrz, Prado. Wszystko widać jak na dłoni. Jakże istnieje niebezpieczeństwo, że na oczach wszystkich tych dziennikarzy, zgromadzonych w dole, wypchnę pana przez okno?

Jeśli Prado dalej będzie gryzł dolną wargę, przegryzie ją sobie do krwi.

Może wystraszyło go coś, co zobaczył na ulicy. Mallory wychyliła się przez zakratowane okno. W drzwiach komisariatu ukazał się wózek inwalidzki Shorty'ego Rossa. Wszyscy dziennikarze biegli, zatrzymywali taksówki, wsiadali do furgonetek i prywatnych samochodów. Niektórzy kierowali się do metra.

Umundurowany policjant otworzył drzwi do pomieszczenia aresztu.

- Ej, Mallory. Ten facet, co to chciałaś, żebyśmy go zatrzymali, ten St John, powiesił się.

Charles Butler szedł korytarzem, trzymając wielki bukiet kwiatów, kiedy natknął się na Mallory zawzięcie dyskutującą z postawną pielęgniarką.

Kilka kroków dalej stał mundurowy policjant i Malakhai. W pewnej chwili otworzyły się drzwi, pojawił się w nich Nick Prado, spojrzął na zgromadzone towarzystwo, odwrócił się na pięcie i popędził korytarzem w kierunku wyjścia.

Nick miał mocno rozwinięty instynkt samozachowawczy. Charles się zastanawiał, czy nie powinien złożyć wyrazów uszanowania Emile'owi St Johnowi kiedy indziej.

Kobieta w białym fartuchu wydzieraa się na Mallory:

- Co mnie to obchodzi? Pan St John nie jest ofiarą przestępstwa. Jasne? To był wypadek.

Ostatnio Mallory nie lubiła, kiedy w jej obecności wypowiedano te słowa.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Pokazała swoją odznakę. - Niewiele osób niechcący się wiesz.

Pielęgniarka nawet nie spojrzała na złotą odznakę.

- Pan St John mówi, że popełnił błąd podczas wykonywania sztuczki magicznej. Tak brzmi jego wersja wydarzenia, potwierdza to jego pomocnik. Jeśli zechce zobaczyć się z panem Prado albo panem Malakhaiem, albo z kimkolwiek, proszę bardzo. Ale nie z panią. Wyraźnie to zastrzegł.

Charles obserwował, jak Mallory szykuje się do kontrataku, jej zachowanie świadczyło, że jest niemal gotowa zastrzelić pielęgniarkę. Wyciągnęła z kieszeni notes, pozwalając, by kobieta zobaczyła broń w kaburze. Spojrzenie i ton głosu Mallory świadczyły, jak bardzo żadna jest krwi.

- Potrzebne mi zeznanie...

- Guzik mnie to obchodzi! - Pielęgniarka wskazała policjanta stojącego pod drzwiami do szpitalnej sali. - I ten strażnik też nie ma tu co robić. Musi się stąd wynieść.

Malakhai stał oparty o ścianę, z przyjemnością przysłuchując się

tej wymianie zdań. Skinął Charlesowi na powitanie, a potem zwrócił się do pokonanej Mallory:

- A więc obawia się pani, że podczas mojej wizyty Emile'owi grozi kolejny nieszczęśliwy wypadek? Może Nick już go załatwił. Nie powinniśmy tego sprawdzić?

Charles wyczuł napięcie między Malakhaiem a Mallory. Gdyby nie znaczna różnica wieku między nimi, mógłby to wziąć za grę miłosną. W subtelnym tańcu widoczne były wszystkie charakterystyczne dla niej gesty. Mallory zrobiła krok do przodu, jakby zamierzała Malakhaia dotknąć, a on nachylił się do niej - w oczekiwaniu na co? Na pieścizotę?

Mało prawdopodobne.

Charles pomyślał, że Mallory uderzy Malakhaia. Przynajmniej taki miała zamiar, nawet kiedy się cofała. Coś ją w nim pociągało i odpychało, złościło i fascynowało - wszystkie elementy tak sobie bliskich uczuć miłości i nienawiści.

Pielęgniarka przytrzymała otwarte drzwi i zwróciła się do Malakhaia:

- Proszę wejść do środka, a ja zajmę się strażnikiem. - Obrzuciła złym spojrzeniem funkcjonariusza stojącego w progu. Kiedy drzwi za iluzjonistą się zamknęły, Mallory pociągnęła Charlesa w głąb korytarza, byle dalej od pielęgniarki, która trzymała wartę ramię w ramię z policjantem.

- Przypuścimy, że ktoś cierpi na lęk wysokości - powiedziała. - Jakie są szanse, że zamieszka w apartamencie na ostatnim piętrze?

- Oczywiście twoje pytanie nie ma nic wspólnego z tym, że Nick Prado zajmuje apartament na ostatnim piętrze wieżowca?

- Charles, nie proszę cię, żebyś zwrócił się przeciwko przyjacielowi. Próbuje ograniczyć krąg podejrzanych. Lęk wysokości

tłumaczyłby, dlaczego podczas parady Prado nie było na platformie w chwili, kiedy nastąpił strzał. A więc czy rzeczywiście cierpi na lęk wysokości?

- Nie mam pojęcia.

- Charles, przypomnij sobie. Futura powiedział, że Prado za nic nie wszedłby na platformę, jakby kategorycznie odmówił zrobienia tego. Tamtego ranka Prado ubrany był w smoking. Miał wziąć udział w paradzie, prawda? Ale czy w ogóle pokazał się na platformie iluzjonistów?

- Nie, ale przypuszczałem, że składa wyjaśnienia policjantom, którzy aresztowali bratanka Olivera za numer z kuszą.

- Mylisz się, Futura je złożył. Zajęło mu to dziesięć minut. A więc Nicka Prado nie było na platformie?

- Cóż, nie, ale to nie znaczy, że...

- Czy może mieszkać na ostatnim piętrze, jeśli cierpi na lęk wysokości?

- Tak, może nawet latać samolotem. Póki przebywa w zamkniętym pomieszczeniu, nie ma problemu. Widzisz, to jedyna fobia, która łączy się z lękiem przed obrażeniami fizycznymi. Musiałby znaleźć się na skraju przepaści albo na drabinie. Ale jeśli jest jakaś bariera, na przykład szyba w oknie, nie wystąpią oznaki niepokoju.

- Jak wysoki był cylinder na platformie? Miał trzy metry? Wykluczone, by Prado tam wszedł, prawda?

- Tak. Jeśli cierpi na lęk wysokości, nie przyłapiesz go na drabinie. Nie ma jednak sposobu, żeby to zweryfikować.

Spoglądała na niego bardzo nieufnie. Czy podejrzewała go o kłamstwo? Prawdopodobnie tak. Ale wiedział, że w grę nie wchodzi żadne osobiste uczucia. Czuł się niemal mile polectany, że Mallory posądza go o to, iż mógłby ją oszukać.

- Mallory, można kogoś znać przez całe życie i nie wiedzieć, że ta osoba cierpi na jakąś fobię. Tacy ludzie zawsze unikają sytuacji, w których mogłoby się to ujawnić. A więc jakie istnieje prawdopodobieństwo, że byłeś świadkiem panicznego lęku? - Człowiek tak próżny jak Nick nigdy nie przyznałby się do żadnej słabości.

W głębi korytarza zamknęły się drzwi do sali Emile'a St Johna. Malakhai ruszył w stronę Mallory i Charlesa wolnym krokiem, szeroko uśmiechnięty - jego mina dobitnie świadczyła o tym, że stan Emile'a nie jest poważny.

- Przykro mi - powiedział. - Emile nie może przyjąć więcej gości. To był dość nieprzyjemny wypadek.

- Jasne. - Mallory niewątpliwie w taki właśnie sposób odczytała mowę jego ciała i posunęła się do kłamstwa.

Malakhai uśmiechnął się do niej. Jego mina mówiła: „Mam dla pani prezent, ale nie spodoba się pani”.

- Coś wyszło nie tak jak powinno, ale łatwo to naprawić. Emile poprosił Nicka, by go zastąpił. - Nachylił się bliżej do Mallory i szepnął: - Wygląda na to, że Oliver spartaczył sposób wykonania kolejnej sztuczki.

Charles przeżył nieprzyjemną chwilę, kiedy nie wiedział, czy tych dwoje pozabija się nawzajem, czy też uściska.

Mallory weszła do swojego gabinetu i usiadła przy biurku, by napisać list pożegnalny. Wcześniej zrobiły tak trzy pokolenia glińczy w rodzinie Markowiczów.

Ale do kogo ma go zaadresować?

Do Charlesa? Nie, to przyjaciel z drugiej ręki, odziedziczony po jej przybranym zmarłym ojcu. A kiedy dojdzie do opowiedzenia się po którejś stronie, może nie stanąć za nią bez wahania. Zresztą robiła wszystko, żeby w decydującej chwili mógł mieć wątpliwości.

Do Rikera? Albo jednego z dawnych partnerów Markowicza do

pokera? Nie. Podobnie jak zegarek z dewizką, też zostali jej przekazani przez staruszkę, jedyne go człowieka, którego kiedykolwiek kochała.

Mallory spojrzała na białą kartkę papieru i ujrzała scenki z Akademii Świętego Serca. Helen Markowitz zapisała swoją przybraną córkę do szkoły prowadzonej przez zakonnice, kiedy odkryła, że mała Kathy urodziła się w katolickiej rodzinie. Ten eksperyment źle się skończył. Dziewczynka udowodniła, że jest urodzoną sportsmenką i potrafi rywalizować, ale koleżanki nie chciały jej w swoich drużynach. Znów je ujrzała na boisku, jak się od niej odsuwają, patrząc podejrzliwie, wyczuwając, że z Kathy Mallory coś jest nie tak.

Wtedy przynależność do jednej grupy była dla niej bardzo ważna. A teraz? Cóż, teraz, kiedy państwo Markowitz nie żyli, nauczyła się, by się nie przejmować, że jest sama.

No pewnie.

Bo jakkolwiek by na to patrzeć, była zupełnie sama.

Mallory gapiła się na pustą kartkę. Więc jaki to ma sens?

Stary zegarek z dewizką leżał na skraju biurka. Na kopercie, pod nazwiskiem staruszkę i jego przodków, z których wszyscy przywiązywali wielką wagę do tradycji, na samym dole było wygrawerowane jej imię.

Jak uczennica, pilnie zabierająca się do pracy domowej, Mallory pochyliła głowę nad kartką i napisała: „Do wszystkich zainteresowanych”. Podała kartkę i zaczęła od nowa, mniej oficjalnie i bardziej realistycznie. „Do tego, komu zależy...”.

To wszystko, co udało jej się napisać. Zapadł zmrok, ale nie zapaliła lampki.

List Louisy nosił datę jej śmierci, jego napisanie najwyraźniej zajęło cały czas, jaki jej pozostał. To było piękne pożegnanie, obnażenie

kobiecej duszy. Ale nikt nie spodziewałby się takiego listu po Mallory Robocie.

Jeszcze raz zaczęła się zastanawiać nad nagłówkiem. Jeśli jej list pożegnalny ma mieć jakiś sens, musi być zaadresowany do jednej konkretnej osoby. Jej przybrana matka nazwałaby to aktem miłości, mającym ukoić smutek tych, których zostawiła.

Pióro Mallory zawisło w powietrzu. Przechyliła głowę na bok.

Skoro nikt jej nie kocha i w związku z tym Mallory nie spodziewa się, by ktokolwiek ją opłakiwał, jaki to ma w ogóle sens?

Franny Futura ocknął się przestraszony, rękami uderzając o ścianki ciasnego szklanego pomieszczenia - trumny. Światła rampy się przesuwają, mknęły z niewiarygodną szybkością.

Nie, nie znajdował się na scenie. Nigdy nie udało mu się dotrzeć do Nowego Jorku. Spojrzał przez brudną szybę i zdołał wypatrzeć znajomą grupę czterech wyprężonych różowych flamingów.

A więc wciąż znajdował się w budce telefonicznej obok autostrady. Oprzytomniał całkowicie i ogarnął go strach. Kiedy wstał, kolana się pod nim ugięły, we wszystkich stawach i mięśniach poczuł przeszywający ból. Osunął się na ziemię, przycisnął czoło do przezroczystej szklanej ściany.

Czy kiedykolwiek był taki głodny i zmęczony - taki skostniały z zimna? Co powinien zrobić? Pokój w motelu był po drugiej stronie parkingu. Franny ani na chwilę nie spuszczał wzroku z drzwi. Skrzywił się, czując ból w ścięgnie Achillesa. Dla kogoś, kto nie miał zdrowych nóg, na których mógłby przejść przez ten pogrążony w mroku plac, drzwi znajdowały się w odległości setek kilometrów.

Na parkingu rozbłysły reflektory. Samochód jechał prosto na niego, pędził w stronę budki telefonicznej, oślepiając go jaskrawymi

światłami, wrażenie potęgowały jeszcze refleksy w czterech szklanych ścianach. Tysiąc kilogramów stali i chromu zatrzymało się z piskiem hamulców tuż obok budki, spod opon wyprysnęły kamyki.

Które z nich teraz się z nim bawiło, znęcało się nad nim? To zbyt okrutne. Czy to Nick Prado, czy też Mallory?

ROZDZIAŁ 19

Tego ponurego ranka błyskawica rozdarła niebo nad drzewami Central Parku. Kamienne stopnie fontanny były mokre od dżdżu, a na włosach Mallory połyskiwały kropelki wody. Szeroki podjazd oddzielał hotel od dziedzińca, charakterystyczną fasadę ozdabiały flagi różnych państw, rozwiewane przez wiatr.

Nie mogłaby tego lepiej zaaranżować.

Kolejnym darem losu był tłum obrońców praw zwierząt, zgromadzony na chodniku. Mała armia gniewnych ludzi wznosiła w górę wielkie zdjęcia rannych zwierząt. Inni wymachiwali transparentami potępiającymi gościa, który zatrzymał się w hotelu - gwiazdę filmową pokazującą się w miejscach publicznych w futrze.

Boy hotelowy ładował walizki do bagażnika długiej czarnej limuzyny. Kiedy szofer przeszedł na tył samochodu, by wręczyć mu napiwek, Mallory wybiegła zza fontanny i przecisnęła się przez tłum tarasujący chodnik. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i wślizgnęła się na miejsce za kierownicą. Jedynym pasażerem auta był Emile St John, siedzący z tyłu, po drugiej stronie szklanej przegrody. Mallory się odwróciła i uśmiechnęła do niego. Ale nie był to życzliwy uśmiech - raczej zapowiedź czegoś nieprzyjemnego. St John nie krył zaskoczenia.

Nacisnęła guzik na tablicy rozdzielczej. Zamknęły się wszystkie drzwiczki w samochodzie. Naciśnięcie innego guzika spowodowało, że opuściła się szklana ściana, która ich odgradzała.

- Dzień dobry. - Udało jej się wypowiedzieć te słowa takim tonem, że zabrzmiały jak groźba. Przekręciła klucz w stacyjce i uruchomiła silnik.

- Czy to porwanie? - St John ochłonął ze zdumienia i teraz wyglądał jedynie na rozbawionego. - Ale Nick będzie zazdrosny. Dokąd jedziemy?

- Donikąd. - Ustawiła długi wóz w poprzek podjazdu. Osłona chłodnicy i tylny zderzak niemal dotykały zaparkowanych po obu stronach aut. Skutecznie zablokowała ruch. Silnik pracował na jałowym biegu, kiedy odwróciła się przodem do St Johna. Już się nie uśmiechała. - Przez wiele lat był pan dobrym gliniarzem, St John. Ucieczka nie jest w pana stylu.

- Obawiam się, że z wiekiem zrobił się ze mnie tchórz. Jestem za stary na to, by prezentować sztuczki Maksa Candle'a. - Machnął w powietrzu jedną ręką, jakby chciał powiedzieć: „Ot, i tyle”.

Szofer grzecznie stuknął w okno od strony Mallory. Nie zwracała na niego uwagi.

- Poprosił pan Nicka Prado, żeby wykonał za pana numer z szubienicą. Jest mniej więcej w pańskim wieku, prawda?

- Tak, ale Nick jakoś nie zdaje sobie z tego sprawy. Nigdy nie miałem sumienia, żeby mu powiedzieć, że się starzeje. - St John odwrócił się w kierunku okna i zobaczył czerwonego sedana zatrzymanego się prostopadle do limuzyny. Przednia szyba samochodu znajdowała się naprzeciwko bocznych okien limuzyny, kierowca machał ręką, jakby chciał odpędzić natrętną muchę, naiwnie wierząc, że w ten sposób pozbędzie się setek kilogramów stali tarasujących

mu drogę. St John podniósł w górę dwa palce, by pokazać kierowcy, że to nie potrwa długo, zaledwie kilka minut.

Mylił się.

Portier stukał w tylną szybę, starając się zwrócić na siebie uwagę St Johna. Luksusowa limuzyna była dobrze izolowana od hałasu ulicznego i głos mężczyzny przypominał bzykanie owada, ale Mallory się domyślała, co mówi portier. Przez drugie boczne okno miała widok na podjazd łączący się z ruchliwą arterią - Central Park South. Taksówka zatrzymała się obok czerwonego sedana, jej reflektory były trzydzieści centymetrów od drzwiczek limuzyny. Kiedy obydwie pojazdy pozbywały się pasażerów i ich bagażu, dwie taksówki i jeszcze jeden wóz prywatny ustawiły się za nimi, blokując drogę.

Dziedziniec rozświetlił zygzak błyskawicy.

Mallory nie zwracała uwagi na coraz bardziej niecierpliwe walenie w obydwie okna. Odezwała się jak gdyby nigdy nic:

- Lekarz oświadczył, że w wyniku wypadku doznał pan jedynie otarcia skóry na szyi. - Właściwie doktor odmówił wszelkich wyjaśnień. Bardziej pomocne okazało się włamanie do szpitalnego komputera. - A co z Frannym Futurą? Czy wciąż żyje?

Huk grzmotu, głośniejszy od strzału z broni palnej, rozległ się niemal równocześnie z zygzakiem błyskawicy.

St John odwrócił się do okna, na którym rozpryskiwały się krople deszczu. Jakiś mężczyzna stukał w szybę i pokazywał żółtą taksówkę zablokowaną przez limuzynę i inne samochody.

Mallory zignorowała go.

- Gdzie jest Futura?

St John tylko potrząsnął głową, jego uwagę rozpraszali ludzie na zewnątrz. Szofer się wycofał, ale portier twardo stał, a taksówkarz

posunął się do obrazowego i obraźliwego gestu. Wyprostował jeden palec, w tradycyjnym języku migowym nowojorskich kierowców znaczyło to, żeby St John wsadził sobie swój samochód w cztery litery. Przez grubą szybę widać było, że między szoferem a taksówkarzem doszło do ostrej wymiany zdań. Kolejne samochody pojawiały się na podjeździe.

- Gdzie jest Futura? - W tonie jej głosu nie było nalegania. Miała cały dzień. Kolejni kierowcy gromadzili się wokół taksówkarza i szofera. Przez mokrą szybę widać było okrągłe i skośne oczy oraz wszystkie odcienie koloru skóry.

- Mallory, gdybym wiedział, powiedziałbym pani, gdzie jest Franny.

- Akurat.

Taksówkarz przepędził szofera, uniósłszy w górę zaciśniętą pięść, i teraz znów odwrócił się do limuzyny i zaczął bębnić w szybę. Choć obowiązywał zakaz nieuzasadnionego używania klaksonów samochodowych, Mallory wytrwale ignorowała jednego z gwałcicieli prawa, którego samochód trąbił przeciągle. Sznur aut kończył się teraz na ulicy. Żaden z zablokowanych pojazdów nie mógł się wycofać. Samochody nie mogły też wjechać na chodnik, na którym zebrałi się protestujący. Jeden z demonstrantów wymachiwał wielkim zdjęciem obgryzionej łapy zwierzęcia uwięzionego w metalowych siłkach. Mżawka przeszła w lekki deszczyk, ale żaden z miłośników zwierząt nie zamierzał wracać do domu. Z zaciekawieniem obserwowali szturm kierowców rozgniewanych na limuzynę.

- To nie dlatego ucieka pan do Paryża, że się pan boi, St John. Po prostu nie chce pan tu być, kiedy zginie kolejna osoba.

Kolejni kierowcy taszczyli bagaże z samochodów stojących na końcu podjazdu, obrzucając limuzynę gniewnymi spojrzeniami. Inni mężczyźni przyłączyli się do taksówkarza walącego w maskę

obiema pięściami, sfrustrowanego, z oczami, które ze złości omal mu nie wyszły z orbit, i starającego się dobrać do tego bogatego łobuza, który nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Pozostali kierowcy bębnilo w okna i bagażnik. Ich usta otwierały się i zamykały, kiedy wydawali okrzyki, które przedostawały się przez grubą szybę. Słowa były stłumione, niektóre w obcych językach, ale ich sens nie ulegał wątpliwości. Łatwo było wyczytać z ruchu ust wyraz „dupek” w różnych językach.

Pojazdy zablokowały dwa pasy ruchu na Central Park South.

St Johnowi coraz trudniej było zachować spokój, kiedy z każdą chwilą więcej rąk waliło w okna, coraz więcej rozgniewanych twarzy przysuwało się do szyb.

- Mallory, to stara sprawa, która powinna zostać załatwiona na długo przed pani pojawieniem się na tym świecie. Podczas wojny pogodziłem zabijanie ze swoją religią...

- Nigdy pan niczego nie pogodził. Nadal nosi pan to w sobie. - To był celny strzał, poznała po jego spojrzeniu. Miał minę, jakby poczuł ból od ukłucia w czułe miejsce.

Jeden z samochodów na końcu podjazdu próbował się wycofać na ulicę i uderzył w powóz, oswobadzając konia z uprzęży. Stara klacz kasztanka biegła chodnikiem, a przechodnie uciekali przed nią w popłochu. Wiwaty bojowników o prawa zwierząt przedostały się przez zamknięte okna. Przewrócony powóz bez konia zablokował ruch jeszcze bardziej i teraz sznur unieruchomionych pojazdów ciągnął się aż za skrzyżowanie.

Mężczyzna w szarym garniturze przyciskał swoją legitymację do okna od strony Mallory. Nie musiała na nią patrzeć, i tak wiedziała, że ma przed sobą pracownika hotelowej ochrony. Osobnika w szarym garniturze bezceremonialnie odepchnęli mężczyźni gorzej ubrani.

Ze wszystkich stron w karoserię i szyby limuzyny walono pięściami. Obrońcy praw zwierząt na chodniku zachowywali się, jakby kibicowali taksówkarzom, usiłując stworzyć wrażenie poważnej demonstracji.

- Wiem, dlaczego pan wyjeżdża. - Uśmiechnęła się zadowolona. Tak, zapowiadał się wspaniały nowojorski poranek, obfitujący w konfrontacje i uliczne ekscesy. - Nie chce pan być świadkiem tego morderstwa. Jakby bycie gdzie indziej w chwili, kiedy ginie człowiek, wszystko załatwiało.

Przez szyby okien dobiegały odgłosy coraz liczniejszych klaksonów.

- Wiem, że chce pan, żebym położyła temu kres. To dlatego zamknął mnie pan wewnątrz podium, prawda? To było przesłanie przeznaczone wyłącznie dla mnie. Policyjna logika. Zbieg okoliczności zawsze wzbudza podejrzenia.

Mężczyzna w turbanie wykonał taniec na masce, a potem wskoczył na dach samochodu. Zachwycony tłum zaczął go dopingować.

- A ukrycie nieboszczyka w podium? To też była pańska robota, St John. Chciał pan, żebym oficjalnie zajęła się tą sprawą. Wręczył mi ją pan na tacy wraz z tym trupem. Ale teraz mi pan nie pomoże, bym nie dopuściła do morderstwa. Nie potrafi pan opowiedzieć się po czyjejsz stronie, prawda? Świetnie, ale proszę mnie nie zmuszać do pościgu za panem. Proszę tu zostać i być świadkiem śmierci człowieka. Nazwijmy to karą dla kata.

- Podczas wojny...

- Proszę ze mną nie zaczynać. Jesteście wszyscy żałośni. Starcy bawiący się w gry wojenne. Futura nie żyje, prawda?

Skrzywił się i wiedziała, że to prawda albo wkrótce się nią stanie.

Obrońcy praw zwierząt znów zaczęli wiwatować. St John spojrzął na dach samochodu, skąd dobiegały odgłosy tupania.

- Stoi pan przed trudnym dylematem. Czy Malakhai umrze? - Ton jej głosu był monotony. - Czy też najpierw dopadnie Prado? Wie pan, że zostanie mi ostatni z was i może będąc musiała go zabić. Czy tego pan pragnie?

Samochód się kiwał, bujał. Rozgniewani kierowcy popychali go ze wszystkich stron. Tłum kibiców przeniósł się na pustą połowę podjazdu, żeby mieć lepszy widok. Czekał na niemal pewne zniszczenie długiej czarnej limuzyny. Mężczyzna w turbanie znów zeskończył na maskę i rozpoczął szalony taniec, blacha wyginała się pod jego kowbojskimi butami. Kopnął w przednie okno, ale nie udało mu się stłuc grubej szyby.

Tylko Mallory zachowała spokój, badawczo przyglądając się St Johnowi. Czy przypomniały mu się czasy sprawiedliwości wymierzonej przez maquis, motłoch żądny krwi? Witam w mojej strefie działań wojennych. W Nowym Jorku, Niujorkowie.

Usłyszała syreny, brzmiały zaledwie jak piskliwy skowyt, ale coraz donośniejszy. Niebo przecięła błyskawica, a w chwilę potem rozległ się grzmot; burza była coraz bliżej.

- W dniu, w którym zginęła Louisa, powiedział pan dziewczynie, że Niemcy drukują plakaty z jej zdjęciem. Czyli że nie wiedzieli, gdzie się ukrywa, nie, póki któryś z was jej nie wydał. Czy to nie dlatego Malakhai miał na sobie niemiecki mundur, kiedy do niej strzelał? Wiedział, że...

- Tak, tak! - Przy tych słowach samochód niemal przewrócono. St John trzymał się kurczowo podłokietników, żeby nie spaść z siedzenia. Jego twarz nie zdradzała oznak strachu, ale nie mógł zapamiętać nad kropelkami potu pokrywającymi górną wargę ani nad pobielającymi kostkami palców. Między kierowcami a ludźmi w

hotelowych uniformach już doszło do bójek na pięści. St John był narażony na widok prawdziwej krwi, kiedy zgromadzonych wokół samochodu zaczęły ponosić nerwy.

Głos Mallory przeszedł niemal w szept:

- Czy tym informatorem był Franny Futura?

Tylko gapił się na nią, jakby była nienormalna, skoro potrafiła zachować taki stoicki spokój w środku tej ludzkiej nawałnicy, która w każdej chwili mogła wtargnąć do samochodu. Albo wywlec ich na ulicę. Czyjaś zakrwawiona twarz uderzyła w szybę okna tuż obok głowy St Johna. Aż się wzdrygnął. W jego oczach nie było strachu, tylko cierpienie. Miał okazję się przekonać, jak wyglądała działalność maquis, z pozycji ofiary stojącej w obliczu swych oprawców. To było nowe doświadczenie, nowe piekło.

- Czy Futura był informatorem?

Limuzyna znów się zatrzęsała. Syreny stały się głośniejsze. Pojazd opadł na wszystkie cztery koła, kiedy dwa wozy policyjne zatrzymały się przy krawężniku.

- Nie, to nie był Franny. - Głowa St Johna opadła na oparcie, utkwiał wzrok w szybie umazanej krwią. - Oliver doniósł na Louise. Zleciliśmy to jemu.

- Zleciliście jemu? Wszyscy wspólnie zabiliście Louise?

- O wiele bardziej podobała mi się tamta scenografia - powiedział Nick Prado. - Była bardziej nastrojowa. Tamten zamknięty w celi ćpun był niezastąpionym statystą. - Stał przed lustrem w drugim końcu pokoju przesłuchań, strzepując nieistniejący pyłek z krawata; by mieć powód, żeby być blisko swego własnego odbicia. - A więc, Mallory, co się stało z pani maskotką?

- Z ćpunem? - Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. - Wsadziliśmy go do większej klatki i ktoś wbił mu nóż w plecy. Inni

skazani opowiedzą panu o tym, kiedy się pan znajdzie pośród nich.

Uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze i postukał w nie palcem.

- To okno, prawda? Lustro weneckie? Czy jesteśmy w tej chwili obserwowani?

- Nie, Prado. Zawsze, kiedy ma pan to nieprzyjemne wrażenie, że ktoś pana obserwuje, tym kimś jestem zazwyczaj ja. - Mallory usiadła przy stole. Bilet do teatru leżał na wierzchu grubego szarego skoroszytu. Posłaniec dostarczył go na jej biurko w pokoju Wydziału Zabójstw razem ze świeżo wydrukowaną ulotką reklamową.

A więc to Charles Butler miał wykonać Zapomnianą Iluzję w Carnegie Hall. Ten hołd ku czci zmarłego Maksa Candle'a przewidziano bezpośrednio po występie Malakhaia.

Czyj to był pomysł?

Prado odsunął krzesło stojące przy drugim końcu stołu i usiadł. Wyciągnął rękę i postukał palcem w ulotkę.

- Widzę, że zna pani najświeższą nowinę. Odważny chłopak z tego naszego Charlesa. Ostatnio niewielu osobom udaje się wyjść bez szwanku podczas wykonywania iluzji jego kuzyna. - Ton głosu Prado był buńczuczny. - Jest pani gotowa mnie aresztować? - Uśmiechnął się szeroko, oblesnie. Wyciągnął obie ręce, żeby mogła go zakuć w kajdanki. - Szkoda, że nie chodzi pani w mundurze. W moich snach...

- Wcale nie jestem tak daleka od aresztowania pana. Lepiej niech pan nie przeciąga struny. - Odłożyła bilet i ulotkę na bok. - Jak zamierza się pan wykręcić od wykonania numeru Emile'a: sztuczki z szubienicą? Na małe chybotliwe podwyższenie prowadzi trzynaście stopni, mam rację? Uwzględniając pański lęk wysokości...

- Moje co? Nie wiem, o czym pani mówi. Dziś rano już odbyłem jedną próbę. Proszę spytać pomocnika Emile'a.

Nie, nie mogła się mylić w tym względzie.

Mallory nachyliła się do przodu, by lepiej widzieć jego oczy, kiedy przesunęła mu dłoń tuż przed twarzą. Nawet nie mrugnął, a jego źrenice wolno zareagowały, gdy zasłoniła światło wpadające przez okno. Rzuciła mu ołówek, złapał go niezdarnie.

- A więc ile środków uspokajających musiał pan zażyć, żeby wejść po schodach szubienicy?

Tylko przez chwilę na jego twarzy malowała się głęboka nienawiść.

Mallory spojrzała na stos skoroszytów.

- Dobra, Prado, porozmawiajmy o zabójstwie Olivera Tree. - Nie patrzyła na niego, kiedy kartkowała pierwszą teczkę. - Był pan jedyną osobą, która wiedziała, że zamierza wykonać ten numer.

- Widzę, że nadał ma pani obsesję na punkcie Zapomnianej Iluzji.

- Już nie. Oliver ujawnił wszystkie tajemnice magiczne, które rozszyfrował: to był prezent dla jego starych przyjaciół. - Wyjęła mały notes i przewróciła kilka stron. - Święto Dziękczynienia u Charlesa. - Spojrzała na Prado. - Powiedział pan, że wiele miesięcy wcześniej otrzymał pan swoje rekwizyty i instrukcje wykonania numeru. Ale jest pan jedyną osobą, która nie planowała wzięcia udziału w festiwalu iluzji.

- Jestem odpowiedzialny za promocję tego wydarzenia artystycznego. To zajęcie pochłaniające masę czasu.

- Ale to pan otrzymał rozwiązanie zagadki Zapomnianej Iluzji. Pierwotnie Oliver nigdy nie zamierzał wykonać tego numeru publicznie. Myślę, że zdawał sobie sprawę ze swoich braków. Darzył dużym szacunkiem was wszystkich, prawdziwych iluzjonistów. Ob ręcze na słupach umieszczone były zbyt wysoko jak na osobę jego wzrostu. Zbudował podium dla kogoś wyższego, kogoś wzrostu Maksa Candle'a, pana wzrostu.

Pokazała to, czego szukała. Materiał był umieszczony między kartkami papieru.

- Oliver zaproponował, żeby wykonał pan numer z Frannym Futurą. Ale pan odmówił. Przekonał go pan, by osobiście wykonał ilustrację. Miał to być chwyt reklamowy, żeby rozpropagować festiwal.

- W jaki sposób pani do tego doszła? - Z jego miny nie można się było zorientować, czy słusznie się domyślała.

- Oliver w swoim testamencie nie wspominał o podium. Długo nie dawało mi to spokoju. Potem uświadomiłam sobie, że podarował je już wcześniej panu. Teraz ważny punkt, świadczący o tym, że działał pan z premedytacją. Przyniósł pan do parku klucz od kajdank. Wyczyścił go pan, żeby wyglądał jak nowy. - Rzuciła na stół zielony aksamitny woreczek na wytrychy. Znajdował się w plastikowej torebce, do której doczepiono opis dowodu rzeczowego. - Zamienił pan woreczki. Ten należy do pana. Znalazłam go przy zwłokach Olivera.

Prawdę mówiąc, zabrała go ze skrzynki na narzędzia Charlesa.

Prado spojrział na aksamitny woreczek, nie okazując zbytniego zainteresowania.

- Wszyscy terminatorzy Faustine mieli takie woreczki.

Mallory pochyliła się nad notesem.

- A więc przyznaje pan, że miał pan komplet wytrychów. - Nie było to pytanie i nie dała Prado czasu, żeby mógł jej zaprzeczyć. - Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy pobrali panu próbkę krwi? Potrzebna mi do badań DNA. Potrzebny mi też garnitur, który miał pan na sobie tamtego dnia w Central Parku. Muszę porównać włókna znalezione na woreczku. - Niewielkie szanse, że porucznik Coffey przyzna jej jeszcze złamanego centa na przeprowadzenie analiz.

Mallory spojrzała na niego z pytającą miną, na którą nie dałby się nabrać nawet nierozgarnięty dziesięciolatek.

- Nie? Nie chce nam pan pomóc? No cóż, kiedy sąd postawi pana w stan oskarżenia, najlepszy adwokat w mieście nie powstrzyma mnie od wytoczenia panu odrobiny krwi.

Znów skupiła uwagę na zawartości skoroszytu.

- Śmierć Louisy była bardziej skomplikowana. Nie doceniałam pana, Prado.

- Dziękuję. Czy mogę się zrewanżować komplementem? Zaczyna pani rozumować jak iluzjonista.

- Nie, rozumowanie jak iluzjonista to strata czasu. Trudniej było postawić się na miejscu próżnego nastolatka, ale przyniosło to lepsze wyniki. Spisek, by zabić Louise, to cały pan, Prado. Rażąca głupota. Zbyt skomplikowany, zbyt wiele fajerwerków. Zupełnie jakby zawiesił pan neon nad jej zwłokami. Nie wiem, jak pan przeżył w Paryżu jako młodociany przestępca. To dopiero wywarło na mnie wrażenie.

- Wolę subtelniejsze pochwały, Mallory.

- Znalazłam tyle potknięć, że ława przysięgłych popłacze się ze śmiechu.

- Wystarczy tych komplementów. Czuję, że się czerwienię.

- Gdyby Louisa nie umarła tamtej nocy, francuska policja pękłaby ze śmiechu. A potem wyłapałaby was wszystkich po kolei. Futura pierwszy by się załamał. Zawsze przysparzał problemów. Czy już nie żyje?

- Jakie dowody...?

- Louisa wiedziała, że fałszował pan dokumenty. - Podniosła w górę stary paszport. - Niezbity dowód na to, że miał pan motyw. Futura i St John działali w ruchu oporu. Wygląda na to, że o każdym z was coś wiedziała, nawet o Oliverze. Udzielili schronienia zbiegowi z obozu. Żaden z was nie mógł dopuścić do tego, by znów dostała

się w ręce Niemców. Oto w jaki sposób skłoniliście pozostałych, żeby wzięli udział w morderstwie Louisy Malakhai.

Skrzyżował ramiona; uśmiechał się protekcyjnie.

Wyciągnęła faks z brytyjskiego Ministerstwa Wojny i położyła go przed nim na stole.

- Po jej śmierci został pan żołnierzem, licencjonowanym mordercą. Czy po zabójstwie Louisy rozsmakował się pan w zabijaniu? - Puknęła w kartkę. - Musiał pan zlikwidować mnóstwo ludzi, żeby otrzymać tyle odznaczeń. Razem z Malakhaiem musieliście zmieścić z powierzchni ziemi ludność całego miasta.

- Za późno przyszła pani na świat, Mallory. Rzadko się zdarza, żeby kobieta potrafiła docenić...

- Założę się, że Futura wciąż żyje. Nie może pan sobie pozwolić na jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek. Więc chwilowo nic mu nie grozi z pana strony. Wiedział pan, że Futura się załame. A St John? Ten wypadek z szubienicą był panu aż nadto na rękę.

- Sądzi pani, że próbowałem go zabić?

- Nie, to był pomysł St Johna, zresztą nie pierwszy raz odegrał nieszczęśliwy wypadek. Wiem, że miał swój udział w zamordowaniu Louisy. Oliver wydał ją Niemcom. To było jego zadanie w dniu, kiedy zginęła. Czas odgrywał istotną rolę. Gdyby za wcześniej sprowadził ich do teatru, aresztowaliby Louise. Musieli pojawić się w takim momencie, żeby mogli być świadkami jej wypadku na scenie. Powinien pan więc powierzyć rolę informatora Futurze. Gdybym ja decydowała, wybrałabym jego.

Prado wolno pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Franny by się posikał w spodnie, gdyby musiał rozmawiać z niemieckim żołnierzem.

Nachyliła się do przodu.

- Właśnie dlatego wybrałabym jego. Byłby bardzo przekonujący jako konfident. - A potem, jakby wielkodusznie wybaczała niezdarność dziecku, dodała: - Ale ostatecznie ja jestem zawodowcem, a pan amatorem.

- Jest pani intrygującą młodą kobietą. - Machnął ręką, przyznając jej rację. - Zgadza się, popełniliśmy jeden błąd. Ale Oliver...

- Jeden błąd? Wszyscy mi mówią, że Oliver zawsze miał złe wyuczucie czasu. Zlecenie mu tego zadania było z pana strony największą lekkomyślnością. Ale wtedy dopisał panu fart. Tamtego wieczoru Oliver dobrze sobie wszystko zaplanował. Następnie potrzebny był lekarz, który stwierdziłby, że Louisa nie żyje. Został nim Futura.

- Franny niemal od urodzenia miał zmarszczki, które były efektem jego wiecznego lęku przed wszystkim. Dzięki temu wyglądał poważniej. Nie musieliśmy się uciekać do charakteryzacji scenicznej.

- Potrzebny był też francuski policjant, który na miejscu mógłby sporządzić protokół dotyczący nieszczęśliwego wypadku. Tutaj przydał się Emile i jego oficjalne zajęcie. No i zostawał jeszcze pan. To pan zaniósł Louise do pokoiku za kulisami. A potem ją pan zamordował.

- Bardzo sprytne, ale...

- Mam nadzieję, że nie mówi pan o sobie, Prado. To była niewiarogodnie głupia intryga. Zawierała mnóstwo słabych punktów. Zbyt wiele osób było w to wszystko zamieszanych. Właśnie na taki pomysł mógł wpaść tylko bezmyślny nastolatek.

Uśmiechał się coraz bardziej niepewnie, ale miała przed sobą jeszcze dużo pracy, zanim Prado się załamie. St John przedstawił jej tylko nagie fakty na temat wieczoru, kiedy zginęła Louisa, odmawiając nazwania tego morderstwem.

- I nikt nie wyjaśnił Louisie, co zamierzacie zrobić. To był pana pomysł. Chciał pan, żeby wszystko wypadło realistycznie: prawdziwa krew, prawdziwa niespodzianka. Tamtego wieczoru na sali obecni byli żołnierze. Nie mógł pan sobie pozwolić na kiepskie odegranie sztuczki.

Nie zaprzeczył, sprawiał wrażenie zadowolonego, że doceniła dobry punkt w jego planie.

- Popętniliście jeszcze jeden błąd, Prado. - To go trochę ubodło. Szpilka tu, szpilka tam. - To pana znak rozpoznawczy, z którego wciąż pan nie zrezygnował. Wykorzystał go pan ponownie w dniu parady. Charles nic nie wiedział o planowanym numerze z kuszą. To był pana pomysł. Charles jest amatorem, a chciał pan osiągnąć efekt pełnego zaskoczenia.

Prado spojrzął w lustro.

Szukanie pocieszenia we własnym odbiciu? Nie, przypuszczała, że nie może pozbyć się myśli, iż ktoś stoi po drugiej stronie szyby. Uśmiechał się do kogoś, kto mógł się tam znajdować.

Uderzyła ręką w stół, żeby zwrócić jego uwagę na siebie.

- A więc pojawili się Niemcy, żeby aresztować Louise. A na scenie jest Malakhai. Ma na sobie mundur oficera SS i celuje z kuszy do bezbronnej kobiety.

Mallory otworzyła skoroszyt i wyjęła z niego pięć kartek z polskim tekstem. Dostała je od policjanta o nazwisku Wójcik, który nie potrafił czytać po polsku, ale przypuszczał, że może to być testament jego dziadka. Kolejną darowizną była stara fotografia przyklejona do pierwszej strony. Chociaż zdjęcie nie pochodziło z Niemiec, osoba, którą przedstawiało, odznaczała się pewnym podobieństwem do Louisy Malakhai z portretu sporządzonego przez pana Halperna. Właśnie dlatego wybrała tę fotkę z rodzinnego albumu sierżanta Rikera.

Mallory uniosła w górę plik kartek, żeby Prado je zobaczył. Nawet jeśli istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że znał język polski, wiedziała, że nie zdołałby przeczytać ani jednego słowa. Znalazła okulary do czytania, kiedy przeszukiwała jego kieszenie na wieczorze ku czci Olivera. Nigdy nie włożyłby ich w obecności kobiety, tym samym przyznając się, że z wiekiem wzrok zaczyna go zawodzić.

Postukała w zdjęcie.

- Ojciec Louisy zmarł w areszcie. Nie zdradził żadnych nazwisk. Dlatego Niemcom tak zależało na jego córce.

Żadnej reakcji ze strony Prado. Wiedział nie więcej od niej. A więc to prawda, że Malakhai nigdy nikomu nie mówił o przeszłości swojej żony.

- Wyznaczono nagrodę za wydanie Louisy i wydrukowano plakaty z jej zdjęciem. Nie udzielano wiz wyjazdowych, więc została by aresztowana na granicy, gdyby próbowała się posłużyć dokumentami podrobionymi przez pana. Wszystkie papiery sprawdzano telefonicznie i telegraficznie. Nie było drogi ucieczki. Musiała zostać uznana za zmarłą. Potem wystarczyłoby, gdyby się ukryła do czasu ponownego otwarcia granicy z Hiszpanią. Czy nie tak przedstawił pan swój plan Malakhaiowi i reszcie?

- Pani rozumowaniu nie można nic zarzucić. Przyzna pani, że dysponując zaledwie jedną godziną, całkiem nieźle to wszystko wykombinowałem. Bo tylko tyle miałem czasu do rozpoczęcia spektaklu.

- Nieźle? - Niemal roześmiała się na głos. A mówią, że brak jej poczucia humoru. - Małpa wymyśliłaby to lepiej. A więc jak przekonał pan pozostałych, że ten plan ma szanse powodzenia? Może pokazał im pan akt zgonu podpisany przez lekarza?

Mallory wyciągnęła inną kartkę, dokument w języku francuskim. Ale szybko schowała ją z powrotem do teczki, ponieważ była to

metryka chrztu policjantki z Haiti, opatrzona bardzo dużym nagłówkiem.

- Kiepska robota, Prado. Każdy by się zorientował, że to nie ten sam charakter pisma.

- Najłatwiej krytykować. Pragnę zwrócić uwagę, że przez ponad pięćdziesiąt lat nikt nie zakwestionował autentyczności tego dokumentu.

- Emile dość dobrze odegrał swoją rolę - ciągnęła Mallory. - Ale ostatecznie bardziej przypominał Niemca niż sami Niemcy. Byli zadowoleni, że mogą zostawić tę sprawę jemu, po tym jak ich przekonał, że nie zamierza ścigać oficera SS, który uciekł z miejsca zbrodni. Wyglądało to jak nieszczęśliwy wypadek, śmierć podczas wykonywania sztuczki magicznej. Niemcom się to spodobało, prawda? Takie eleganckie, takie skuteczne. I pozbawione ryzyka: ponieważ mógł im pan pokazać prawdziwego trupa. To była pańska rola.

- Nigdy nie uda się pani tego udowodnić, Mallory.

- Gdyby Louisa wpadła w ich łapy, powiedziałyby wszystko, co wie. Jak większość ludzi.

Wyrównała stos teczek.

- Zgromadziłam dużo dowodów rzeczowych. Sędziowie lubią, kiedy mają coś konkretnego. Jeśli oszczędzi pan podatnikom kosztów procesu, może pan jeszcze raz uniknąć wyroku śmierci. Nie ponowię tej oferty. Musi się pan zdecydować dziś albo...

- Zaryzykuję proces sądowy. Założymy się? Moim zdaniem, nie zdoła pani nakłonić wielkiej ławy przysięgłych, by postawiła mnie w stan oskarżenia.

- Prokuratorzy śnią o takich jak pan. Ci dranie, czy to Francuzi, czy Amerykanie, to polityczne zwierzęta. Takie procesy jak ten pozwalają zrobić karierę. To morderstwo, w którym każdy znajdzie coś dla siebie. Jest tu i wojna, i romans, i zdrada. To się świetnie sprzedaje. Ale nie mogę pana przekazać Francuzom. Boję się, że nie

odeślą pana z powrotem, żeby mógł pan ponieść karę za zamordowanie Olivera w Nowym Jorku. Ostatnia okazja, Prado. - Machnęła jeszcze jedną teczką. - Tu są kolejne dowody. Ale nie muszę ich pokazywać pańskiemu adwokatowi przed uzyskaniem aktu oskarżenia.

Teczka zawierała nowe wytyczne burmistrza dotyczące karania mandatami obywateli, którzy nie myją folii aluminiowej przeznaczonej do wtórnego przetworzenia razem z puszkami i butelkami. Położyła ją na stosie skoroszytów z bezwartościowymi papierami.

- Podczas parady Malakhai chybił. Ale jestem pewna, że nadal pragnie pana śmierci. Mogę przydzielić panu ochronę.

- Dziękuję, nie potrzebuję żadnej ochrony.

- Ale naszpikowany lekami uspokajającymi zamierza pan wykonać numer z szubienicą. Można to uznać za próbę popełnienia morderstwa.

Uniosła w górę świstek papieru z wydrukowanym nazwiskiem lekarza i adresem.

- Poznaje to pan? - Była to recepta na środek uspokajający, którą wyciągnęła mu z kieszeni tamtego wieczoru, kiedy czcili pamięć Olivera. - Doszło już do jednego wypadku podczas wykonywania numeru z szubienicą. A pan podczas tego występu będzie naćpany niemal do nieprzytomności. Nie ma innego sposobu, by zdobył się pan na to, żeby stać na szubienicy i obserwować, jak się zapada podłoga. Bo tak się stanie, prawda? Straci pan oparcie dla nóg i zawiśnie pan trzynaście stopni nad ziemią z pętlą na szyi. Raz poszło już coś nie tak jak należy. Jest pan pewien, że to nie pułapka? Czy jest pan całkowicie przekonany, że nie potrzebuje pan ochrony?

Usiłował wziąć się w garść, odzyskać zwykły rezon. Zauważyła, że coś mu przyszło do głowy. Znów się uśmiechał, opanowany i pewny siebie.

- Malakhai jest zabójcą. Nie myli się pani, jeśli chodzi o niego. - Prado wziął ulotkę o występach w Carnegie Hall i pomachał nią w powietrzu niczym chorągiewką.

- Dlatego trzeba pomyśleć o czymś innym. Charles nie jest tak przystojny jak jego kuzyn. Ale zaręczam pani, że za każdym razem, kiedy Malakhai na niego patrzy, widzi twarz Maksa Candle'a.

- I co z tego? Max i Malakhai byli przyjaciółmi.

- Czyżby? - Prado odwrócił się do lustra i poprawił krawat. - Malakhai przez całe lata znęcał się nad swoim starym „przyjacielem”, wykonując sztuczkę z Louisą. Sprowadził swoją zmarłą żonę do domu Maksa i posadził ją przy jego stole. Max był do szaleństwa zakochany w Louisie. Bardzo ciężko przeżył jej śmierć. I oto znów ją ujrział, jak wstała z grobu i siedziała tuż obok niego przy stole. Ciekawe, prawda? A wracając do Charlesa. Max kochał swojego młodszego kuzyna jak własnego syna. Czy wiedziała pani o tym? Szkoda, że nigdy nie rozgryzła pani tajemnicy Zapomnianej Iluzji. Tak na wszelki wypadek, żeby uniknąć jakiejś niespodzianki. Kiedy Charles będzie występował w Carnegie Hall, nie powinien korzystać z pomocy Malakhaia.

- Malakhai nigdy by go nie skrzywdził.

- Jest pani gotowa zaryzykować życie Charlesa? - Prado spojrział w lustro, nim ponownie usiadł. - Na kilka godzin przed śmiercią Louisa wpadłem do Olivera. Było wczesne popołudnie. Louisa i Malakhai mieszkali piętro wyżej. Słyszeliśmy ich, zachowywali się jak dzikusy. Łóżko skrzypiało i tańczyło po całym pokoju. Biedny Oliver był czerwony jak burak i udawał, że nic się nie dzieje. To takie drobnomieszczańskie. Był z niego prawdziwy Amerykanin. Ale owego popołudnia Louisa nie baraszkowała w łóżku ze swoim mężem. Widzi pani, Malakhai wszedł do pokoju Olivera, kiedy łóżko na górze wciąż wykonywało swój taniec. Och, ale zrobił minę, kiedy

gapił się na sufit. Był zdruzgotany. Nie, to mu złamało serce. - Prado nachylił się nad stołem i uśmiechnął. - Jest pani całkowicie pewna, że Malakhai nie zamierzał tamtej nocy zabić swojej żony?

- Kłamie pan. Max i Louisa powiedzieli mi o swoim romansie. Od nich się o wszystkim dowiedział.

- Czy usłyszała pani o tym od Malakhaia? Cóż, może mu to wyznali. Ale przysięgam pani, Mallory, że kiedy usłyszał to jeżdżące łóżko, po raz pierwszy dowiedział się o ich romansie. Proszę nie pozwolić Charlesowi...

- Nie zrobi Charlesowi krzywdy.

- Nie? Czy nie zastanawia pani, dlaczego Malakhai nie chciał pani pomóc w rozwiązaniu zagadki Zapomnianej Iluzji? Od kiedy, pani zdaniem, planował wspólny występ z kuzynem Maksa? - Mówił do niej, ale grał przed wymyśloną publicznością w sąsiednim pomieszczeniu. - Cóż, być może Charles przeżyje. Nigdy nic nie wiadomo. - Wziął swój kapelusz. - Proszę mi wybaczyć. Muszę jeszcze przeciwżyć numer Emile'a. Może będę musiał dziesięć razy zawisnąć na stryczku. Praktyka czyni mistrza.

- Igra pan ze śmiercią, Prado. Zdawać się wyłącznie na środki uspokajające? Może St John, rezygnując, pomógł Malakhaiowi zrobić pana w wykonanie tego numeru.

- Nawet jeśli tak, to co z tego? Wiem, że przyjdzie pani jutro wieczorem i nie będzie mnie pani spuszczała z oka. Może pani przesunąć mój występ, żeby rozpoczął się po numerze Malakhaia. Ale będzie się pani musiała śpieszyć, Mallory. Najważniejsza jest synchronizacja.

Machnął w powietrzu jedną ręką, nadal popisując się przed widzami, którzy w jego głębokim przekonaniu siedzieli za lustrem. Podszedł do drzwi i je otworzył.

- Prado! - Wstała z krzesła i oparła się na rękach, które położyła

płasko na stole. Zrobiła to specjalnie, żeby rozchyliła się jej marynarka, ukazując broń. - Jeśli Franny'emu Futurze coś się stanie, zabiję pana. Ale nie zginie pan od kuli, niech pan nie czeka na szybką śmierć. Nie będzie pan wiedział, kiedy po pana przyjdę. To może być za miesiąc albo za rok. Potrafię być cierpliwa. To powinno go przekonać, że obok nie ma nikogo.

Jack Coffey siedział sam w ciemnym pomieszczeniu za lustrem. Mallory skończyła przesłuchanie i wiedział, że powinien teraz wyjść. A jednak został na miejscu i patrzył przez szybę, jak kobieta siada i ukrywa twarz w dłoniach.

Przekroczył kompetencje szefa nadzorującego sprawę. Graniczyło to z podglądactwem. Coffey zmienił pozycję na krzesle w pierwszym rzędzie, tak przypominającym teatralny fotel. Chociaż wiedział, że jest sam, odwrócił się, żeby rzucić okiem na rząd przytwierdzonych do podłogi krzeseł znajdujących się za nim.

Ale właściwie czemu czuł się winny? Przecież Mallory dopiero co zagroziła podejrzanemu śmiercią. Może zamierzała jedyniestraszyć Prado. Lecz on powinien się zastanowić, czy należy wierzyć każdemu jej słowu. Miał nadzieję, że Prado wierzył. Być może dzięki temu Futura pożyje trochę dłużej.

Instynkt mu podpowiadał, że powinien odsunąć Mallory od sprawy. Ale kto inny dokonałby tak wiele właściwie bez żadnej pomocy? Riker dobrze ją ocenił. Inspektor Markowitz był niezrównanym gli-niarzem, ale jego córka była od niego lepsza.

Była również niebezpieczna.

Coffeya intrygowało, o czym Mallory myśli, siedząc tak bez ruchu. Żałował, że nie widzi jej twarzy.

Jakby w odpowiedzi na jego niewypowiedziane życzenie opuściła rękę i wolno odwróciła głowę w stronę lustra. Nie błądziła

spojrzeniem jak Nick Prado, który tylko podejrzewał, że ktoś ich obserwuje. Mallory patrzyła mu prosto w oczy. Coffeya nie uspokażała świadomość, że dziewczyna nie może nic zobaczyć przez szybę. To była tylko jej paranoja, z której uczyniła narzędzie zabawy i zastraszania. Wiedziała, że Coffey zająłby środkowe krzesło i na jakiej wysokości znajdowałyby się jego oczy.

Co zrobiłby Lou Markowitz, gdyby mógł zmartwychwstać i zobaczyć teraz swoją córkę? Śmiałby się czy płakał?

Jakby czytała w jego myślach, Mallory się uśmiechnęła - zupełnie jak jej staruszek. To był uśmiech Markowitza.

Jack Coffey zamknął oczy i nadal siedział po ciemku, kiedy Mallory opuściła salę przesłuchań. Nasłuchiwał jej kroków na korytarzu. Zatrzymała się przed drzwiami i spróbowała przekręcić gałkę. Po chwili usłyszała, jak mocuje się z zamkiem. Przygotowywał się do konfrontacji. Zostanie przyłapany na podglądaniu samotnej kobiety w pokoju przesłuchań.

Drzwi uchyliły się tylko trochę. Mallory nie zajrzała do środka.

Po co miałyby to robić? I tak wiedziała, że on tam jest.

Usłyszał jej kroki na korytarzu. Czy się śmiała? Czy też był to śmiech Markowitza?

Gazeta rozłożona była na podłodze, wielkie nagłówki informowały o wypadku Emile'a St Johna. Franny Futura leżał na wznak z poduszką pod głową. Nie opuścił łóżka, odkąd pokojówka przyniosła mu poranną gazetę. Kobieta przyjęła tani sygnet zamiast pieniędzy, bo nie miał czym jej zapłacić.

Odkąd się tu wprowadził, nie zmieniał ubrania. Walizki stały w szafie nieotwarte - równiutko ustawione symbole całego jego życia.

Zawsze był spakowany i gotowy do ucieczki.

Franny obserwował cienie przesuujące się z jednego końca pokoju do drugiego, wolno ślizgające się po ścianach; niektóre zahaczały o sufit. Teraz, kiedy zapadł zmrok, reflektory samochodów na parkingu tworzyły bardziej kontrastowe wzory na ścianach, światła i cienie przebiegały przez pomieszczenie, wzbudzając u Futury niepokój. Każda para świateł oznaczała kolejnego gościa w motelu.

To może nastąpić w każdej chwili.

Przeżył całe życie, przygotowując się do pukania do drzwi. W snach następowało to zawsze nocą. Chociaż często wyobrażał sobie tę chwilę, nigdy nie posunął się poza moment, kiedy drzwi zaczynały się uchylać. Po drugiej stronie ktoś na niego czekał.

Kolejna para świateł rozjaśniła jedną ścianę, skręciła ostro na drugą, a potem zgasła, pogrążając go w ciemnościach. Jego strach był niezdarną istotą, przebiegłą i okrutną. Dusił go, napinał mięśnie, przysiadł, szykował się do skoku. Franny słyszał, jak otworzyły się i zatrzasnęły drzwiczki samochodu. Śledził odgłosy kroków na parkingu. Minęły drzwi i znów mógł odetchnąć.

W jego więzieniu niepotrzebne były zamki i kraty. Nigdy nie udało mu się opuścić tego pokoju w motelu. Ominie go okazja występu na Broadwayu i musi się z tym pogodzić.

Usiadł na łóżku i wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze nad toaletką, szukając tam młodszego Franny'ego z Teatru Iluzji Faustine, stojącego na scenie w blasku reflektorów. To było jedyne miejsce, gdzie czuł się naprawdę bezpiecznie. Do tej pory, gdyby nie rzadkie występy estradowe, nigdy by nie opuszczał wynajmowanych pokoi. Ale nie potrafił tego wytłumaczyć swojemu agentowi, który już wiele lat temu namawiał go do zakończenia kariery.

Ktoś stał pod drzwiami. Był tego pewien.

Franny opadł na poduszkę, oczy miał szeroko otwarte. Czekał ponad pół wieku, upłynęły miliony minut, zanim nadeszła ta chwila.

Nick Prado nie zapukał. Posłużył się kluczem.

ROZDZIAŁ 20

Młody mężczyzna pochylił się nad gazetą, zamierzał zamknąć oczy i zdrzemnąć się, udając pochłoniętego lekturą. Praca o tej porze równała się wyrokowi śmierci przez pozbawienie snu. Ale dyrektor hotelu kierował się jedynie tym, co widział, więc recepcjonista był skazany na nocną zmianę, póki nie pozbędzie się pryszczu.

Najpierw poczuł zapach perfum. Gardenia, kwiat przypinany do sukien przez maturzystki i wywołujący nostalgiczne wspomnienia wieczorów, podczas których podpierał ściany.

Kiedy się odwrócił przodem do kontuaru, ujrzał przed sobą wysoką blondynkę o pełnych karminowych ustach, ubraną w smoking. Przez jedno ramię przerzucony miała długi skórzany płaszcz, cały jej strój połyskiwał czarnymi cekinami. Pomyślał, że jedwabny cylinder jest wprost cudowny. Wyglądała w nim, jakby pojawiła się tutaj prosto z czarno-białego filmu. Do tego miała czelność nosić o północy okulary przeciwsłoneczne.

- Nazywam się Louisa Malakhai, proszę o klucz do pokoju czterysta osiem.

- Myślałem, że pani nie żyje.

Blondynka przechyliła głowę, najwyraźniej nie rozumiewszy żartu.

- Słucham?

- Przepraszam panią. - Uniósł jedną rękę, by zasłonić wymizowaną twarz ze świeżymi pryszczami, które na pewno nie umknęły jej uwagi. - To musiał być chochlik drukarski. - Upuścił na podłogę egzemplarz „Timesa”.

- Mój mąż wypełnił formularz meldunkowy.

- Naturalnie. - Wystukał na klawiaturze komputera numer pokoju. Louisa Malakhai rzeczywiście była zameldowana jako gość. Przeszukał karteczki w pudełku i wyciągnął jedną. Tak, mężczyzna zgłosił jeszcze jedną osobę, swoją żonę. Chociaż, jeśli wierzyć gazetem, umarła ponad pół wieku temu.

Powinna być zimnym trupem.

Spojrzał na jej twarz. Widocznie zbyt długo przyglądał się kobiecie. Polakierowanymi na czerwono paznokciami bębniła w mahoniowy kontuar.

Cóż, w tym cylindrze i smokingu wyszywanych cekinami nie wyglądała na typowego włamywacza. Ale zawsze trup to trup. Wystarczy jeden telefon i...

- Mój mąż śpi. Wolałabym, żeby go pan nie budził. - Położyła delikatną dłoń na jego rękę, powstrzymując go od podniesienia słuchawki.

Recepcjonista znieruchomiał w postawie salutującego żołnierza; serce mu biło jak oszalałe.

- Nie mam ciężkiego bagażu. Sama sobie z nim poradzę. - Wyciągnęła rękę wewnętrzną stroną dłoni do góry, zgiąwszy lekko palec, by widział ostre czerwone paznokcie. - Proszę o klucz.

- Potrzebny mi jakiś dowód tożsamości.

Jeden kącik ust opadł jej nieznacznie, najbardziej subtelna oznaka wściekłości. Taka reakcja równie dobrze pasowała do włamywaczki, jak i gościa hotelowego, ponieważ w Nowym Jorku nie istniało coś takiego jak bezpieczny hotel. Tylko kiepskiemu oszustowi nie udało się podstępnie wyłudzić klucza do pokoju upatrzonej ofiary

od recepcjonisty jakiegokolwiek hotelu w mieście. Jeśli pojawiał się w dzień, kiedy panował duży ruch, a pracownicy byli zaganiani, bez trudu udawało mu się wystrychnąć ich na dudka. Ale jeszcze nikt nigdy nie słyszał, żeby próbowano takiej sztuczki podczas nocnej zmiany. Recepcjonista zagryzł dolną wargę i sam siebie nazwał nadgorliwym dupkiem.

Widocznie spodziewała się właśnie kogoś takiego. Pokazała mu czeski paszport otwarty na stronie ze zdjęciem. Fotografia była niedawno zrobiona i przedstawiała kobietę, która stała przed nim. Ale czy dokument nie był lekko pozółkły, jakby starszy od zdjęcia? Palcami zasłaniała daty wydania paszportu i jego ważności. Czy zrobiła to specjalnie?

- Klucz. - W tonie jej głosu dało się słyszeć irytację.

Skończyły się żarty. To był rozkaz i nic w dotychczasowym życiu pryszczatego wyrostka, spędzającego samotnie sobotnie wieczory, nie przygotowało go na stawianie oporu wysokiej blondynce.

Obdarzył ją swoim najbardziej przymilnym uśmiechem, wręczając jej klucz.

- Pani angielski jest bez zarzutu, pani Malakhai.

Wąski snop światła z jej latarki igrał na twarzy śpiącego Malakhai. Przesunęła strumień światła na ściany. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to dziś rano opisała pokojówka. Zaskoczyła ją podejrzliwość recepcjonisty. Reszta personelu hotelowego była święcie przekonana, że w tym apartamencie mieszka kobieta.

Mallory weszła do łazienki, ale nie znalazła tam, jak się tego spodziewała, rudych włosów na szczotce ani grzebieniu. I wbrew relacji pokojówki, w koszu na śmieci nie było dziś wieczorem serwetki ze śladami szminki. Louisa się dematerializowała.

Mallory odwróciła się szybko, kiedy do pomieszczenia wpadło światło.

W blasku włączonej lampki nocnej zobaczyła Malakhaia. Miał na sobie długi czarny szlafrok. Był odwrócony do niej plecami, całkowicie lekceważąc wszelkie niebezpieczeństwo, jakie mogło mu grozić z jej strony. Walizka, w której był rewolwer, leżała na łóżku. Schowała go tam, ponieważ dopasowany smoking nie dopinał się, gdy miała pod spodem kaburę z pistoletem.

Zamek szczerknął, Malakhai uniósł w górę komplet wytrychów Faustine.

- To oryginał, jeśli nadal to panią interesuje. Nigdzie się bez niego nie ruszam. - Przesunął ręką po zawartości małej walizki. - Trudno to uznać za typowy bagaż młodej damy.

Ściągnął płócienny woreczek z butelki wina, którą zabrała z piwnicy.

- Och, nowojorskie dziewczyny. Mają klasę. - Następnie odwinął z serwetek dwa kieliszki. Zanurzył rękę głębiej, ale nie wyciągnął rewolweru, tylko korkociąg z uchwytem wykładanym macią perłową.

Przepadł efekt zaskoczenia, na który tak liczyła Mallory, i szansa dokonania prawdziwych szkód. Tutaj nie ona kontrolowała sytuację - przynajmniej na razie.

Podeszła do niego bliżej i powiedziała oskarżycielskim tonem:

- Zaaranżował pan wszystko tak, żeby Charles wykonał Zapomnianą Iluzję w Carnegie Hall.

- Zwrócono się do Charlesa, by złożył hołd Maksowi Candle. - Bynajmniej nie zamierzając się bronić, uśmiechał się, manipulując korkociągiem. - Dałem mu kilka starych numerów, wykonywanych przez Maksa na początku programu, nie podczas finału. To Charles wpadł na pomysł, by zaprezentować Zapomnianą Iluzję. Robi to specjalnie dla pani, Mallory. - Malakhai zaczerpnął głęboko

powietrza. - Pani perfumy są troszeczkę za intensywne. Louisy były subtelniejsze. - Obrzucił taksującym spojrzeniem jej dopasowany smoking i cylinder. - Ale poza tym, nieźle wcieliła się pani w jej postać.

Usiadła na skraju łóżka. Nie tak sobie to wszystko wyobrażała.

- Powiedział pan Charlesowi, na czym polega iluzja?

- Nie, sam się tego domyślił. - Malakhai wyciągnął korek z butelki i nalał wina do kryształowych kieliszków.

- Ale wykona ją inaczej, niż to robił Max Candle?

- Proszę przyjść na występ. - Wręczył jej kieliszek. - Będzie pani miała możliwość osobiście się przekonać.

- Nie zrobiłby mu pan krzywdy?

- Naturalnie że nie. - Nie wierzyła mu. - Obserwowałem, jak Charles dorastał. Jak mógłbym...

- Jest bardzo podobny do Maksa, prawda?

- Gdyby był równie przystojny jak Max, nie musiałby tak ryzykować, by wyrzucić na pani wrażenie. - Malakhai usiadł po drugiej stronie łóżka i wznosił kieliszek. - Ale to i tak nic nie pomoże, prawda? Nie jest w pani typie. Myślę, że bałbym się mężczyzny, który jest w pani typie.

Sączył wino i nie zauważył chmury, która przemknęła przez jej twarz.

Mallory wpatrywała się w poduszkę na tej połowie łóżka, gdzie pościel nie była zmięta.

- Zapomniał pan o miętówce.

Odwrócił się i zobaczył czekoladkę w złotku na poduszce w niekniętej powłoczce. Czy go to zasmuciło? Tak.

- Pora się poddać - zauważyła Mallory. - Louisa pana stopniowo opuszcza, prawda?

Potrząsnął głową, gapiąc się na poduszkę. Mallory ciągnęła, starając się wykorzystać tę niewielką przewagę.

- Och, wie pan, kim była. I wciąż może pan o niej snuć opowieści. Ale coraz trudniej ją panu widzieć, prawda?

O czym zapomni pan jutro? Jeśli zabije pan Nicka Prado, wsadzę pana do więzienia. Po jakimś czasie nie będzie pan nawet pamiętał, dlaczego to zrobiłam.

Rozczarował ją - uśmiechnął się.

- Czy w ten sposób zepsuję pani całą zabawę, Mallory?

- Tak. Wolałabym przyskrzynieć Prado za zamordowanie Olivera. Co, pana zdaniem, zrobił Franny'emu Futurze?

- Nie mam pojęcia. - Odchylił się do tyłu i oparł o zagłówek.

Mallory zakręciła winem w kieliszku, a potem odstawiła go na stolik przy łóżku.

- Wie pan, że Prado musi zabić Futurę. - Spojrzała na Malakhaia, mając nadzieję, że zauważy jej pogardę. - Potrzebny mu ktoś, na kogo mógłby rzucić całą winę, kiedy znajdziemy zwłoki. Pan jest idealnym kandydatem: osobą oficjalnie uznaną za niepoczytalną. Pański stały adres zamieszkania to szpital.

Malakhai dopił wino i uniósł jedno ramię, jakby mówił: „I co z tego?”. Odwrócił się w stronę okna, za którym migotały światła miasta i sunął sznur samochodów.

- Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie jest Franny. Nie okłamałbym pani.

- Ale nie zamierza mi pan pomóc.

Mallory chciała go ukarać, wytykając kolejną nieudolność w numerze z Louisą, ale zobaczyła, że miętówka zniknęła, a na poduszce jego żony widoczne jest wgłębienie, jakby pozostawione przez głowę człowieka. Jakiś cień przesunął się po ścianie. Widziała go kątem oka, ale nie zamierzała się w niego wpatrywać, żeby nie dać Malakhaiowi satysfakcji.

Zastanawiała się, czy mogłaby go trafić w inne czułe miejsce.

Cień był bliżej, stał się większy, unosił się, jakby chciał ją uderzyć. Zanim Mallory zdołała się powstrzymać, odruchowo wyciągnęła rękę w kierunku otwartej walizki i rewolweru.

- Czy Max Candle kochał wojnę, tak jak Prado? - Zamiast po rewolwer, sięgnęła po kieliszek.

Malakhai zrozumiał to jako prośbę o ponowne jego napełnienie i przechylił się przez łóżko, by nalać jej burgunda.

- Nie, Max nigdy nie lubił wojny. Zabijanie przyprawiało go o mdłości.

- Mówił pan, że wojna była czymś wzniosłym.

- Rzeczy wzniosłe mogą być cudowne lub okropne, ale zawsze są czymś wyjątkowym. Dla Maksa wojna była okazją do przekonania się, jakim był człowiekiem. Dzielnie się spisał i trzymał swoje medale zamknięte w szufladzie.

Pociągnęła łyk wina, tym razem je smakując.

- A Oliver?

- Został odesłany do Stanów na szkolenie i tam go zatrzymano. Zrobili z niego zaopatrzeniowca. Biedny Oliver. Pragnął walczyć, ale stało się inaczej. - Malakhai ścisnął butelkę w ramionach. - Każdy z nas wyruszył na inną wojnę. Nick się w niej zakochał, a Emile traktował ją jak sprawę honoru i obowiązku. Jedyne, co mógł zrobić Franny, to starać się ją jakoś przetrwać.

- A pan?

- Myślałem, że zabiłem swoją żonę. To było najważniejsze wydarzenie w moim życiu. Nic nie mogło tego przyćmić. Wojna po prostu toczyła się wkoło mnie.

- Ale po wojnie, kiedy spotkał się pan z Emile'em, dowiedział się pan, co naprawdę się stało z Louisą.

Na szklance z wodą stojącej na nocnej szafce widniał teraz ślad szminki. Kiedy go zrobił? W popielniczce leżał palący się papieros z odciskiem karminowych ust.

- Bardzo stylowe przesłuchanie, Mallory. - Napił się wina i westchnął. - A więc tak wygląda brutalność policji. Nie rozumiem, dlaczego ludzie się skarżą. Ale nie wie pani...

- Wiem wszystko. Louisa nie miała pojęcia, co wszyscy zamierzacie zrobić. Chciała po przedstawieniu zbiec za granicę.

- Jak...?

- Myślała, że wykona swoją sztuczkę tak jak każdego wieczoru. Kiedy ją pan zranił, nie udawała zaskoczenia.

- Tak, nie spodziewała się, że mógłbym ją skrzywdzić.

- To był pomysł Prado, prawda? Louisa myślała, że Max Candle wykona zwykłą sztuczkę z drutem i wstążką. To był numer Maksa, ale on nie mógł się zdobyć na to, by zgodnie z planem Prado posłużyć się prawdziwą strzałą.

- Max nie mógł znieść myśli, że mógłby zrobić Louise krzywdę. Kochał ją.

Ale nie aż tak jak pan.

- Z Francji nie było drogi ucieczki - powiedziała Mallory. - A Louisa nie mogła tam zostać. Niemcy musieli uwierzyć, że nie żyje. Na widowni siedzieli żołnierze zaprawieni w bojach, potrafili odróżnić prawdziwą krew i prawdziwe prerażenie od udawanych. Nic nie wzbudziłoby w Louise większego lęku niż ten mundur. To był pański pomysł. Znał pan wszystkie jej czułe miejsca.

- Znęcanie się nad ludźmi to pani specjalność, prawda, Mallory? Ciekaw jestem, gdzie się pani tego nauczyła.

- Rana musiała być prawdziwa. Od tego zależało życie Louisy. Na scenie powinien wystąpić Max Candle. Ale nie był w stanie tego zrobić. Dlatego tamtego wieczoru pan go zastąpił i włożył mundur SS. Kochał ją pan wystarczająco mocno, by Louise przestraszyć i zranić, próbując ją ratować.

Malakhai gapił się na nią, nie kryjąc zdumienia. Może nigdy nie podejrzewał jej o tyle ludzkich uczuć, by zdolna była to zrozumieć.

- A kiedy umierała? - Mallory nachyliła się do niego. - Z pewnością wie pan, co wtedy myślała. Pańska żona zbyt szybko zrezygnowała z walki. Więcej pan wie o umieraniu ode mnie. Orientuje się pan, jak trudno zabić człowieka. A czy domyśla się pan, dlaczego Louisa przestała walczyć? Przez cały czas, kiedy ten łobuz ją dusił, sądziła, że pan pragnie jej śmierci.

A więc to tyle, jeśli chodzi o ludzkie uczucia. Sprawiała, że upuścił swój kieliszek.

Lekko uderzał w czerwoną płamę na prześcieradle.

- Jest pani najbardziej bezwzględna kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Siedziała, nieco rozczarowana. Ręką zrobiła taki gest, jakby pytała: „To wszystko?”.

- Ale bez względu na to, jaka pani jest - ciągnął - ja jestem od pani sto razy gorszy. Robiłem potworne rzeczy, kiedy miałem zaledwie osiemnaście lat.

- Przebiję pana z łatwością - odparła. - Uznano mnie za socjopatkę, kiedy miałam jedenaście lat. - Czy zrobiło to na nim wrażenie? Chodziło teraz o przejęcie kontroli.

- Kłamie pani, Mallory. Bezwzględność to jedyny komplement, na jaki pani zasługuje.

W sytuacji, gdy brak niezbitych dowodów, wiele zależało od tego, by okazała się lepsza od niego w niszczeniu ludzi.

- To prawda. Mam wszystko, czego potrzeba, żeby przymknąć tego łobuza. Może mi pan wierzyć, że dobrze wykonam swoją robotę.

Pokręcił głową. Nie wierzył jej.

- Helen, moja przybrana matka, podała raport psychiatry na milion

kawałeczków. Tak negatywnie mnie w nim oceniono. - Gwałtowność, z jaką kobieta szarpała papier na strzępy, wzmogła dziecięcą ciekawość. Długi czas po tym, jak ją położono do łóżka, dziewczynka wyciągnęła wszystkie skrawki z kosza na śmieci. Za zamkniętymi na klucz drzwiami do swojej sypialni mała Kathy nosiła zniechęconą słodką piżamkę w jaskrawożółte piskłeta na niebieskim tle. Udawała, że jej się podoba, ponieważ dostała ją w prezencie od kochającej Helen.

Przez całą noc mozolnie sklejała kawałeczki papieru, odtwarzając kolejne strony raportu. Podsumowanie oceny charakteru jedenastoletniej dziewczynki napisano prostym językiem, żeby każdy mógł zrozumieć jego treść - nawet dziecko.

Przypomniała sobie, jak kartki upadły na podłogę, a potem jak patrzyła w lustro, zraniona zniewagami, które zawierały słowa na papierze, nie mogąc uwierzyć, że taki potwór może nosić niebieską piżamkę w żółte kaczuszki.

- Wciąż pamiętam tamten test. - Doktor powiedział, że nie ma złych ani dobrych odpowiedzi. Później się okazało, że ją okłamał. - Chyba tylko na jedno pytanie odpowiedziałam prawidłowo. - Ta odpowiedź była zakreślona czerwonym atramentem, przypuszczalnie stanowiła nagrodę pocieszenia dla jej przybranej matki. Doktor Brenner wiedział, że Helen ma bzika na punkcie bezbronnych zwierząt. - Kazał mi wybrać między workiem pieniędzy a starym, nędznym kotem. Co bym wyniosła z płonącego domu? Wybrałam kota, ponieważ to żywe stworzenie. - I ponieważ taka odpowiedź ucieszyłaby Helen.

- W takim razie na to też nie odpowiedziała pani dobrze - zauważył Malakhai. - Reszta ludzi wzięłaby pieniądze. - Odwrócił się w stronę okna. - Znowu pada.

Nachyliła się do niego.

- Proszę mi oddać Prado. Potrzebne mi tylko pańskie zeznanie. Wyrównam rachunki za Olivera i Louise. To moja praca, a jestem w niej dobra.

Lepsza od pana, bo dwa razy gorsza. Jak powiedział Emile St John, urodziła się do takiej roboty. Malakhai spojrział na nią przez łóżko.

- Próbuję sobie panią wyobrazić jako zdeprawowane dziecko. - Odwrócił się od niej, by nalać sobie jeszcze wina. - Na próżno.

- Mogę zniszczyć Prado. Chce pan, żeby cierpiał? To też mogę załatwić.

Czy się z niej śmiał? Nie widziała jego twarzy.

Mallory przesunęła się na drugą stronę łóżka, by móc go obserwować. Wpadła na nowy pomysł, jak go przekonać, że była prawdziwym potworem.

- Nie wydaje się panu dziwne, że Max nigdy nie otrzymał listu pożegnalnego? Powiedziałby panu o nim, prawda? Wyznał panu, że pisał pamiętniki. Nigdy to pana nie zastanawiało?

- Nie. W najmniejszym stopniu. Ponieważ Max miał uciec z Louisą, nie musiała się z nim żegnać.

- Wie pan, że to nie było tego rodzaju pożegnanie. Nie bardzo wierzyła w to, że uda jej się przedrzeć przez granicę. - Mallory wyciągnęła rękę, w której trzymała kieliszek. - Naprawdę uważa pan, że chciała, żeby Maksa też zabili?

Udało jej się go zainteresować. Klęczała na materacu, bardzo blisko niego. Dolał jej wina.

- Pańska żona zasiadła do pisania po wyznaniu uczynionym w parku. - A teraz delikatnie, haczyk. - Miała czas na napisanie tylko jednego listu. Był piękny. Moim zdaniem, Louisa poświęciła mu cały czas, jaki jej pozostał. Potem ukryła go w nosku pantofla. Nie chciała, żeby pan go znalazł, zanim ona nie znajdzie się za granicą- albo zginie.

Jego uśmiech zdawał się smutny i wymuszony.

- Do czego pani zmierza?

- Louisa była bardziej przebiegła, niż pan sądzi.

- Nie może pani tego wiedzieć...

- Max się w niej kochał. Nietrudno go było zaciągnąć do łóżka. Zaplanowała to na zimno, łóżko jeździło po całym pokoju, jak to określił Prado. Wiedział pan, że pana zdradziła, jeszcze zanim to wyznała w parku.

- Proszę tego nie robić, Mallory.

- Wszedł pan do pokoju Olivera, kiedy pańska żona była na górze, w łóżku z innym mężczyzną. Sufit aż się ugiął, tak namiętnie się kochali. Louisa wcale nie próbowała tego ukryć, chciała o tym powiadomić. Założę się o wszystkie pieniądze, że tak to zaaranżowała, żeby przyłapał ją pan w łóżku z Makssem. Zawsze mi pan powtarza, że najważniejsza jest synchronizacja.

- Dosyć tego. - Złapał ją za ramię. - Nie chcę słyszeć, jak wymawia pani imię Louisy.

- Ale nie wszedł pan na górę, prawda? Nie, zwyczajnie pan uciekł. I nigdy by pan jej o to nie zapytał. Dlatego Louisa musiała uczynić wyznanie w parku. Zabrała nawet z sobą Maksa, żeby potwierdził jej słowa.

Mocniej ścisnął ją za ramię. Sprawiał jej ból, ale ona za nic nie da tego po sobie poznać. Uśmiechnęła się.

- Emile jej powiedział, że w Paryżu jest niebezpiecznie. Louisa nie mogła wrócić do obozu, być przesłuchiwana. Kiedy chciała uciec przez hiszpańską granicę, powiedział jej pan, że to samobójstwo.

- Granica była zamknięta, policja miała jej zdjęcie. - Odepchnął ją na tyle mocno, że znalazła się po drugiej stronie szerokiego łóżka. - To było samobójstwo.

- Louisa już o tym wiedziała. - Mallory przesunęła się po materacu, by znów go zaatakować. - Emile powiedział jej to samo. A jednak

była zdecydowana uciec.

Uniósł dłoń, by jej wymierzyć policzek. Nie zwracała na to uwagi.

- Ale najpierw Louisa musiała się upewnić, że pan nie uda się za nią i nie zginie razem z nią. Musiała sprawić, żeby pan ją znenawidził. A więc przespała się z pana najlepszym przyjacielem. Louisa zamierzała uciec, wiedząc, że czeka ją niechybna śmierć, ale chciała, żeby pan żył. Oto jaki miała plan.

Malakhai opuścił rękę. Wolno kręcił głową, wymawiając bezgłośnie słowo „nie”.

- Strzelił pan do niej z kuszy, żeby ją ratować. Na swój sposób ona zrobiła to samo, też chciała pana ratować.

Wolno zgiął się wpół, jakby Louisa rzeczywiście go postrzeliła. Ukrył twarz w dłoniach. Deszcz zalewał szybę, zamazując wszystko, co znajdowało się za nią - migotanie gwiazd i światła miasta, niebo i ziemię. Wszystko znikło.

ROZDZIAŁ 21

Trzydziestoosobowa orkiestra przyłączyła się do owacji, którymi nagradzano mężczyznę w białym smokingu i cylindrze. Malakhai stał na podwyższeniu, na małej scenie na podium, rzucając cień na zasunięte czerwone kotary wiszące na drążku. Na ekranie telewizyjnym, umieszczonym wysoko na tylnej kulisie sceny w Carnegie Hall, jego postać była kilka razy większa niż w rzeczywistości.

Publiczność zerwała się z miejsc, krzycząc: *Encore, encore!* Ludzie tupali, klaskali.

Malakhai skinął dłonią i członkowie orkiestry powstali, by odebrać należne im brawa. Iluzjonista pięć razy wychodził przed kurtynę, by głębokim ukłonem podziękować za oklaski. Teraz publiczność wykrzykiwała jednym głosem, wydobywającym się z trzech tysięcy gardeł:

- Louisa, Louisa, Louisa...

Mallory stała w cieniu, obserwując wszystko przez uchylone drzwi na scenę. Iluzjonista odwrócił się w jej stronę, wyciągnął zapraszająco jedną rękę.

Do niej? Nie, skądże znowu.

- ...Louisa, Louisa...

Stanąła za jednymi drzwiami, kiedy drugie wolno się otworzyły i na ich oświetlonej płaszczyźnie ukazał się cień. Kontury ciemnej

sylwetki były zamazane, a cała postać niewyraźna, ale poruszała się, nawet zdawała się oddychać, i Mallory przyglądała jej się nieufnie - przyglądała się nieufnie młodej kobiecie.

- ...Louisa, Louisa, Louisa...

Mallory przeniosła wzrok na rząd świateł i kabli nad głową, a potem na reflektory na balkonach, wypatrując mechanizmów trikowych, dzięki którym była możliwa ta iluzja.

Dyrygent uniósł pałeczkę i tłum umilkł, starając się nie uронić ani jednej nutki, kiedy orkiestra znów zaczęła grać.

Postać pojawiła się na scenie i chociaż padał na nią snop światła, jej ciemna sylwetka była wyraźnie widoczna. Smyczki naśladowały odgłosy kroków, kiedy Louisa przebiegła wzdłuż tylnej kulisy. Potem jej cień się wydłużył na stopniach podium, kiedy wspinała się po trzynastu schodkach przy wtórze trzynastu delikatnych uderzeń w bęben i rytmicznych dźwiękach oboju i wiolonczeli, które brzmiały jak bicie jej serca. Kiedy znalazła się na podwyższeniu, sylwetka Louisy zamajaczyła obok Malakhaia. Ukłonili się razem. Ich cienie trzymały się za ręce.

Publiczność zaczęła wstawać, począwszy od pierwszych rzędów aż po widzów, którzy siedzieli w głębi sali, potem powstali ci, którzy oglądali popis z balkonów. Wszystkiemu temu towarzyszyła burza oklasków - brawa dla zmarłej kobiety.

Melodia się zmieniała, zrezygnowano z klasycznych tonów *Koncertu Louisy*. Muzycy grali tylko na kilku instrumentach smyczkowych i na sentymentalnych rogach. Czyli że Riker się mylił; da się przy tym tańczyć.

Przynajmniej Louisa umiała.

Malakhai zwrócił się w jej stronę i ich cienie złączyły się na czerwonej kotarze. Okrzyki zachwytu niemal zagłuszyły muzykę, kiedy para zaczęła wolno wirować.

Mężczyzna z krwi i kości zniknął za kurtyną. Jego cień pozostał z Louisą. Teraz jej sylwetka stała się wyraźniejsza, pojawił się profil młodej urodziwej kobiety. Ściany sceny przybrały kolor indygo, dźwięki cymbałów przerodziły się w melodię - odgłos spadających gwiazd.

Mallory się domyślała, że musi chodzić o początek lat czterdziestych, bardzo dobry rok dla właścicieli winnic i tych, którzy potrafili cieszyć się życiem. Cała paczka trzymała się razem, Louisa jeszcze żyła. Cień iluzjonisty zamienił cylinder na czapkę, znów był chłopakiem tańczącym ze swoją młodą żoną. Instrumenty muzyczne po kolei milkły. Zakochani obracali się powoli, z wdziękiem, przybliżając się do siebie przy wtórze jednego rogu. Ostatnia nuta przebrzmiała.

Publiczność oszalała, wypełniając przestronną salę ogłuszającymi okrzykami i przeraźliwymi gwizdami. Nawet kiedy reflektor zgasł i cienie zniknęły w mroku, owacje nie ustały.

Mallory obserwowała środkową płytę z boku podium, ale nikt się nie pojawił w drzwiach od wewnętrznego pomieszczenia. Czy Malakhai ukrył się w środku, czy też stał za kotarą?

Ogłoszono krótką przerwę. Widzowie opuszczali swoje miejsca i kierowali się ku wyjściom. Mallory przeszła przez drzwi na scenę i zderzyła się z robotnikami idącymi z naprzeciwka, wynoszącymi krzesła i stojaki na nuty za kulisy. Zapomniana Iluzja Maksa Candele'a będzie wykonywana wyłącznie przy wtórze tykania mechanizmów zegarowych w postumentach dla kusz.

Mallory szła wzdłuż ściany sceny, żeby móc lepiej widzieć, co się znajduje za kotarą na podwyższeniu. Iluzjonisty tam nie było. Podeszła do podium i położyła dłoń na zamku zapadkowym. Drzwi się otworzyły, ukazując oświetlone wnętrze, ale tam też nie ujrzała Malakhai. Przeszedłszy przez całą scenę, podążyła za ostatnim muzykiem, który opuścił salę.

Za kulisami jedyne źródło światła stanowiły dwa włączone monitory i osłonięta żarówka nad konsolą oświetleniowca, za którą nikt nie było. Mężczyzna, który za nią wcześniej siedział, zmierzał do wyjścia prowadzącego na 56 Ulicę. Idąc, wyjmował papierosa.

Gdzie się podzieli mundurowi, których postawiła przy drzwiach?

Dobiegły ją ciche głosy rozmawiających nieopodal mężczyzn. Okrążyła stos mebli i ujrzała Malakhaia. Przebrał się w ciemny garnitur i krawat. Rozmawiał z Harrisem.

No, przynajmniej jeden z policjantów nie zaniedbał obowiązku pilnowania wyjść ze sceny.

- Harris, gdzie twój kolega?

Malakhai odpowiedział za niego.

- Sierżant Briant jest tam. - Wskazał otwarte drzwi na scenę i Mallory, odwróciwszy się, ujrzała Charlesa oraz drugiego policjanta, jak montowali postumenty w zagłębieniach pierwszego stopnia w podium. Malakhai położył dłoń na ramieniu mężczyzny stojącego obok niego. - A sierżant Harris będzie musiał dołączyć do swego kolegi, zanim skończy się przerwa.

- Nie pan wydaje mu rozkazy - przypomniała Mallory.

- Pani też nie. - Harris nawet nie próbował ukryć zniecierpliwienia. - Poproszono nas o udział w sztuczce magicznej, Mallory. Nikt ani słowem nie wspomniał, że mamy pilnować wejść. - Wyszedł przez drzwi na scenę, kierując się w stronę podium.

Mallory spojrzała na zegarek. Czy Riker będzie jeszcze w śródmieściu? Oceniała, że o tej porze dwadzieścia minut zajęłaby jazda z teatru Faustine na północy miasta do dzielnicy teatrów piętnaście przecznic na południe od Carnegie Hall.

Malakhai stał obok drzwi, przyglądając się policjantom wnoszącym owalną tarczę na podwyższenie.

- Nie może pani mieć pretensji do Harrisa, że jest rozdrażniony. Został artystą. Ilu gliniarzy występowało w Carnegie Hall? - Uśmiechną się do niej. - Czy chciałaby pani na kilka minut przeistoczyć się w artystkę, Mallory? Charlesowi może się dziś wieczorem przydać czyjaś pomoc.

- Mówił pan, że Max Candle zawsze występował sam.

- Ale Charles jest tylko utalentowanym amatorem. - Patrzył na wiszący za nią zegar. - A więc co nowego? Czy Franny pojawił się w teatrze Faustine?

- Nie, Riker powiedział, że inny iluzjonista wystąpił zamiast niego. Kierownik sceny nie miał od Franny'ego wiadomości, odkąd ten zniknął.

- Jaka szkoda. Franny bardzo długo czekał na taką okazję. Musi być zdruzgotany.

- Prawdopodobnie nie żyje. - Przyglądała mu się badawczo, wypatrując oznak niepokoju, ale niczego nie dostrzegła. - Chce pan, żeby Prado wszystko się upiekło? Czy nie dość ofiar ma na sumieniu? Proszę mi pomóc. Proszę mi dać coś, co mogłabym wykorzystać przeciwko temu draniowi.

- Zgoda. - Wskazał ręką podium. - Powiem pani, jak się domyśliłem, że Oliver sfuszerował Zapomnianą Iluzję.

Kotary na podwyższeniu były rozsunięte, owalną tarczę umieszczono między słupkami. Dwaj policjanci wchodzili po schodach, niosąc manekin, kiedy publiczność zaczęła wracać na salę. Gdy wszyscy zajęli miejsca i uciszli się, Charles stanął na skraju sceny, by zadedykować numer z kuszą swemu sławnemu kuzynowi, Maksowi Candle.

Malakhai mówił prosto do ucha Mallory, żeby mogła go słyszeć, kiedy Charles opowiadał historię Zapomnianej Iluzji.

- Oliver mógłby uniknąć trzech strzał. Max zawsze się popisował, udając, że zмага się z kajdankami, gdy w rzeczywistości uchylał

się przed pierwszymi trzema strzałami. Tymczasem Oliver nawet nie próbował tego robić. Kiedy klucz w kajdankach się zaciął, wiedział, że ostatnia strzała ugodzi go prosto w serce.

- Proszę mi powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiem. - Spoglądała przez drzwi na scenę. Policjanci skończyli przykuwanie manekina do tarczy swoimi służbowymi kajdankami i schodzili po stopniach.

Malakhai wpatrywał się w podium.

- Proszę obserwować policjantów umieszczających strzały w magazynkach. Nie ma nic, co by je blokowało. Wszystkie wystrzelą.

Charles skinął po kolei w stronę każdego postumentu i policjanci naciągnęli cięciwy w kuszach, a potem nacisnęli guziki, by uruchomić zębaki. Tykanie stawało się coraz głośniejsze, w miarę jak wprawiano w ruch kolejne mechanizmy zegarowe. Koła się obracały, bolce z czerwonymi chorągiewkami unosiły się w kierunku spustów kusz. Publiczność milczała, jakby zahipnotyzowana odgłosem tykania.

Malakhai wskazał manekin rozpięty na tarczy.

- Nadajmy tej kwestii bardziej osobisty wymiar. Powiedzmy, że jest tam Charles. Załóżmy, że tak wszystko zaaranżowano, by zginął podczas wykonywania tej sztuczki. Chce go pani uratować, ale nie może pani nic zrobić, dopóki nie wystrzeli pierwsza kusza. To zniweczyłoby starannie opracowany plan i pierwsza strzała trafiłaby go w szyję, tak jak Olivera.

Pomknęła pierwsza strzała. Ugodziła manekin w szyję, przez dziurę posypały się trociny na deski podwyższenia.

- Jeśli nie może pani nic zrobić przed pierwszą strzałą, proponuję, żeby zaczęła pani działać pomiędzy drugą a trzecią. Ma pani tylko kilka sekund.

Tykanie stało się cichsze, kiedy druga strzała trafiła manekin w prawą nogę.

- Uratuje mu pani życie, jeśli nie dopuści pani do tego, by wystrzeliła kusza znajdująca się na postumencie bliżej nas. To ona zabija. Musi ją pani zdjąć z podstawy. Nie może pani wyrwać bolca zwalniającego spust. Charles przykręcił go tak mocno, że nie uda się to pani bez klucza francuskiego.

Wystrzeliła kolejna kusza i strzała przeszła lewą nogę manekina.

- Jak ma mi to pomóc przyskrzynić Nicka Prado?

- Nie pomoże to pani. Ale może uratować życie Charlesowi. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia, kierując się w stronę schodów prowadzących na ulicę. - Powiedziałem pani, że może mu być potrzebna pomoc, ale nie mogę zostać do końca jego występu.

Ostatnia strzała rozdarła pierś manekina.

- Malakhai, nigdzie się pan stąd nie ruszy.

Policjanci znów wchodzili po stopniach, żeby zabrać pokiereszowany manekin.

Malakhai spojrzął na zegar ścienny.

- Niebawem Nick powinien kończyć swoją sztukę. Finał może być godny obejrzenia. Naprawdę muszę już lecieć.

Złapała go za ramię.

- Da pan spokój Prado. Zostawi go pan mnie.

Odwrócił się do niej i zanim zdolała cokolwiek zrobić, ujął jej twarz obydwoma dłońmi i delikatnie przyciągnął do siebie. Mallory mu się nie wyrwała. Objął ją ramionami, musnął ustami jej włosy. Pocałował ją w policzek i mocno przytulił. Chociaż nieprzyzwyczajona do takich czułości, nic nie zrobiła, żeby temu przeszkodzić. Potem odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion.

- To na wypadek, gdybym pani nie pamiętał, kiedy spotkamy się ponownie.

- Będę tuż obok. Przypomnę panu.

- Nie, Mallory. Musi pani zostać tutaj i nie dopuścić do tego, żeby Charles zginął. Zapewniam panią, że w tych magazynkach nie ma nic, co zablokowałoby którąś ze strzał.

Charles stał u podnóża schodków.

- Spodziewa się pan, że...

- Proszę mi uwierzyć, Mallory. Wszystkie kusze wystrzelą, a Charlesowi nie uda się wyswobodzić z kajdanek. Sama mi pani nasunęła tę myśl, pytając wczoraj wieczorem, czy skrzywdziłbym Charlesa. Gdyby nie pani, nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Proszę pamiętać, że Charles robi to, by wyrzucić na pani wrażenie, więc nie będzie łatwo go odwieść od zaprezentowania iluzji. Może będzie pani musiała do niego strzelić.

Odwróciła się w stronę sceny. Policjanci kłaniali się publiczności. Jakie były szanse, że przybiegną, kiedy ich zawoła?

- Nie skrzywdziłby go pan.

- Nie. Kocham Charlesa. Myślę, że pani na swój szczególny sposób też go lubi.

- Nie wierzę panu, Malakhai. Nie wierzę, że pozwoliby mu pan zginąć.

- Nigdy pani nie okłamałem, Mallory. - Odwrócił się do niej plecami.

- Stać! Wie pan, że strzelę do pana.

- Proszę pamiętać, że jeśli nie uda się pani powstrzymać Charlesa przed wejściem na podwyższenie, musi pani zdjąć bliższą kuszę z postumentu. - Przechodził pod napisem „Wyjście”.

Wyciągnęła rewolwer i wycelowała tak, żeby trafić mu pod nogi. Co, u diabła?

Broń była zbyt lekka. Nacisnęła spust. Straszak nie był naładowany nawet ślepymi nabojami.

Pocałunek. Zabrał jej rewolwer, kiedy ją całował, a na jego miejsce zostawił zabawkę. A teraz zniknął. Drzwi się za nim zamknęły.

Charles podchodził do pierwszej kuszy. Towarzyszył mu policjant, który uruchomił mechanizm. Stojąc pomiędzy drzwiami na scenę a wyjściem na ulicę, przeklęła Jacka Coffeya za to, że nie przydzielił jej więcej ludzi.

- Zaczekaj! - Wbiegła na scenę i złapała Charlesa za rękę. - Nie możesz tego zrobić.

Spojrzał przez ramię na trzy tysiące osób czekających w napięciu.

- Jeśli mam być szczery, już to robię. - Na widowni rozległ się chichot, chociaż Charles mówił ściszym głosem. Zdjął jej dłoń ze swego ramienia ze słowami: - Więc wybac mi, Mallory, ale...

- Malakhai majstrował przy podium. Jeśli wykonasz sztukę, zginiesz.

Od strony widowni dobiegł ją śmiech. Zauważyła mikrofon w kłapie smokingu Charlesa.

Spojrzał na nią z góry i powiedział głośniejszym głosem:

- Mallory, to numer solowy.

Publiczność znów się roześmiała. Jego głupawa mina nie na wiele się przydawała podczas partyjek pokera, ale świetnie się sprawdzała przy odgrywaniu komedii.

Zasłoniła mikrofon ręką.

- Nie możesz kontynuować występu. Nie uda ci się otworzyć kaidanek.

Charles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Malakhai ci to powiedział, prawda? - Odwrócił się przodem do widowni, jego głos dudnił, niepotrzebne były żadne mikrofony, tak wspaniałą akustyką odznaczała się wielka sala. - Pani nie chce, że bym kontynuował występ. Myśli, że to może być niebezpieczne.

Teraz wszyscy wybuchnęli śmiechem. Czuła, jak fala gorąca uderza jej do twarzy.

- Jeśli wejdiesz po tych stopniach, zdemontuję kusze. Nie mam czasu na próżne gadanie, Charles. - Skierowała się do najbardziej niebezpiecznej kuszy, tej w rogu podium.

- Pozwolisz? - Złapał Mallory za rękę, żeby ją powstrzymać przed zdjęciem kuszy z postumentu. - Może omówimy to innym razem. - Podniósł dziewczynę i przerzucił ją sobie przez ramię, jakby ważyła nie więcej niż piórko. Chociaż krzyczała i wierzgała nogami, podszedł z nią do podium. Po chwili w drewnianej ścianie z boku otworzyły się drzwi.

- Nie! - krzyczała, okładając go pięściami, zapomniawszy, że przy posturze Charlesa znaczyło to mniej więcej tyle, co natrętne muchy siadające na plecach.

Widownia ryczała ze śmiechu.

- Nie! - Mallory znalazła się na podłodze w środku podium. Wyładowała na pupie. Tylne kieszeń dzinsów, gdzie zazwyczaj telefon komórkowy tworzył wybrzuszenie, teraz była pusta.

Przekląty Malakhai.

Drzwi się zatrzasnęły. Metalowy klosz rzucał na podłogę jasny krąg światła, sufit pogrążony był w mroku. Mallory zerwała się na nogi i zaczęła walić pięściami w drewnianą ścianę.

- Wypuść mnie!

Publiczność umilkła i Mallory usłyszała głośne tykanie pierwszego mechanizmu zegarowego, lekko przytłumione przez ściany. Kilka sekund później włączono następne urządzenie. Tykanie stawało się coraz głośniejsze w miarę uruchamiania kolejnych mechanizmów. Usłyszała odgłosy kroków Charlesa w połowie wysokości schodów i krzyknęła:

- Zatrzymaj się! Zejdź na dół albo zginiesz!

Tupnął nogą w środkowy stopień. Usłyszała jego wzmocniony głos:

- Cicho! Dekoncentrujesz mnie.

Publiczność znów się roześmiała. Traktowała ją jak klauna.

- Charles, musisz przerwać wykonywanie tego numeru!

Był już na małej platformie u szczytu schodów. Tupnął nogą.

- Dostyc tego! - krzyknął.

Znowu rozległ się śmiech.

Mallory spjrzała na cienie na suficie. Charles powiedział, że jedyne wyjście stąd prowadzi przez drzwi bez klamki od wewnątrz, ale w podium przechowywanym w piwnicy Charlesa były dwa wyjścia. Malakhai twierdził, że Oliver zbyt dobrze zrekonstruował oryginał. Może ten prototyp ma jakieś słabe strony.

Tykanie stało się głośniejsze. W stropie otworzyła się zapadnia, mechanizm równoległowodowy wynurzał się przez kwadratowy otwór w scenie. Mignęły jej spodnie Charlesa, kiedy odsunął się od peleryny podtrzymywanej przez metalową konstrukcję. Zanim zdołała wspiąć się po drabince przy ścianie, kłapa się zatrzęsnęła. Nie mogła do niej dosięgnąć, ale na końcu drabiny znajdowała się druga zapadnia, już za kotarą. Szarpnęła sprężynę, która zabezpieczała drzwiczki przed otwarciem. Potrzebny był ktoś silniejszy od Charlesa, by otworzyć je ręcznie, a dźwignie znajdowały się na scenie powyżej.

Charles na pewno leżał już rozciągnięty na tarczy, z nogami w żelaznych dybach, z rękami przykutymi policyjnymi kajdankami do słupów. Mechanizm równoległowodowy opuszczał się przez zapadnię znajdującą się poza zasięgiem jej rąk. Tykanie stało się głośniejsze. Nie- to tylko złudzenie; panika sprawiła, że wydawało się

Mallory głośniejsze.

Słyszała, jak publiczność wstrzymała oddech. Pomknęła pierwsza strzała i Charles zawołał:

- Zaczekajcie! Coś jest nie tak! - Sławna kwestia Maksa Candle'a.

A może Charles się zorientował, że jego klucz nie działa. Pierwsze rzędy zajmowali iluzjoniści i partnerzy Charlesa do pokera. Wszyscy znali te charakterystyczne słowa; żaden z nich nie pośpieszy mu na pomoc. A dwaj policjanci uniemożliwią dobrym samarytanom wtargnięcie na scenę.

Znów rozległ się stłumiony okrzyk przerażenia. Czy Charles uchylił się przed drugą strzałą, skierowaną w nogę? Wciąż wzywał pomocy. Mallory miała dwadzieścia sekund, by dotrzeć do kuszy.

Jak Malakhai się wydostał? Wyjście musiało być na poziomie podłogi, a jednak nie posłużył się drzwiczkami w bocznej ścianie. Zeszła z drabiny i stojąc przed tylną ścianą, naciskała deszczułki wokół płyty. Charles krzyczał. Pomknęła kolejna strzała i Mallory drgnęła, jakby to ją ugodziła.

Spokojnie. Bez paniki, bez... Poczwała pod palcami blokadę, deszczułka ustąpiła. Otworzyły się drzwiczki, ukazując jasno oświetloną scenę. Wybiegła i zadartszy głowę, okrążyła podwyższenie. Charles miał oczy okrągłe ze strachu, ale przerażenie na jego twarzy można było wziąć za udawany grymas. Wciąż miał nogi w żelaznych dybach i obie ręce przykute kajdankami do metalowych obręczy w słupkach. Tykał już tylko jeden mechanizm zegarowy. Charles prawą rękę zacisnął w pięść i szarpnął się do przodu, wyrrywając obręcz ze słupka razem z kawałkiem drewna.

Mallory utkwiała wzrok w kuszy, która go zabije. Znajdowała się blisko niej. Charles już prawie nie żył. Zacisnęła ręce na kuszy - za późno. Strzała pomknęła, zanim Mallory udało się zdjąć broń z postumentu.

Charles krzyknął z bólu.

Odwróciła się i zobaczyła strzałę w jego piersiach. Charles przestał walczyć. Tym razem nie przytrzymał strzały. Wisiał bezwładnie na jednej ręce w kajdankach, oczy miał zamknięte.

Mallory czuła się tak, jakby znalazła się pod wodą. Odgłosy były przytłumione, jej ruchy zwolnione. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wciąż trzyma kuszę. Policjanci wbiegali po schodkach. Doktor Slope, siedzący w pierwszym rzędzie, zostawiwszy żonę i córkę, wdrapywał się na scenę. Po chwili minął Mallory i znalazł się na stopniach. Reszta świata poruszała się szybciej. Mallory nogi miała ciężkie jak z ołowiu. Każdy krok wymagał ogromnego wysiłku. W zdrętwiałych dłoniach ścisnęła kuszę.

Była to powtórka z ostatniego występu Olivera, tyle że z udziałem innych aktorów. Policjanci położyli Charlesa na deskach podwyższenia, obchodząc się z nim delikatnie, jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie. Edward Slope uklęknął obok niego i przyłożył jedną rękę do jego szyi, gorączkowo próbując wyczuć puls.

Mallory dotarła na ostatni stopień i spojrzała na ciało. Nie ulegało najmniejszych wątpliwości, że była świadkiem śmierci Charlesa Butlera.

Doktor Slope podniósł się i odwrócił w stronę widowni. Głośno obwieścił:

- No cóż, to magia sztuki.

Co?

Widzowie klaskali i wiwatowali, kiedy Charles wstał, żeby się uklonąć. Wyciągnął strzałę z piersi. Koszula była rozdarta w miejscu, w którym odpiął guzik, Mallory dostrzegła błysk kolczugi i rurkę, która przytrzymywała strzałę.

Bezwiednie rozprostowała palce i kusza wysunęła jej się z ręki.

Edward Slope nachylił się do ucha Mallory.

- Przez cały dzień powtarzałem tę kwestię.

A ona tak mocno spoliczkowała doktora, że zostawiła czerwony odcisk swojej dłoni na jego twarzy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem z wyjątkiem Edwarda Slope'a. Potrząsał głową, jego spojrzenie mówiło „Przepraszam, najmocniej przepraszam”.

- Mallory, myślałem, że o wszystkim wiesz. Myślałem, że też bierzesz udział w tej maskaradzie.

Odlupany fragment słupka zwisał z kajdanek na przegubie ręki Charlesa. Dopiero teraz dostrzegła kołeczek. Spojrzała na słup, by odszukać otwór, w który wchodził bolec. A więc Malakhai miał rację: Oliver zbyt dobrze wykonał replikę - przeoczył ten drobny szczegół.

Przeklęty słupek.

Wyrwawszy obręcz ze słupka, zyskiwało się wystarczające pole manewru, by uniknąć ostatniej strzały. Czyli że Charles wyciągnął strzałę z tarczy i umieścił ją w rurce na piersiach.

- I to tyle? - Była wściekła. Widownia szalała. Jej, Mallory, głos wzmacniał mikrofon Charlesa, a rozgniewaną twarz widać było w powiększeniu na ekranie telewizyjnym. - To wszystko?

Charles odwrócił się do niej ze swoim głupawym uśmiechem. Śmiech zagłuszył jego słowa, tylko Mallory je usłyszała.

- Cóż, nie udało ci się tego rozwikłać. - Podniósł rękę z fragmentem odlupanego słupka. - Malakhai cię podpuścił. Kajdanki wcale się nie miały otworzyć. Na tym polegał błąd Olivera.

Słyszała Robina Duffy'ego, wołającego ją z pierwszego rzędu, gdzie stał razem z rabinem i panią Kaplan. Odwróciła się i ujrzała pełną zachwyty twarz Robina.

- Kathy, byłaś cudowna.

Mallory zwróciła się do policjantów stojących na skraju małej sceny.

- Dajcie mi broń! - wrzasnęła.

Publiczność ryknęła ze śmiechu, funkcjonariusze też. Próbowwała wyciągnąć Harrisowi pistolet z kabury. Roześmiał się i uniósł broń wysoko w powietrze. Zwróciła się do sierżanta Brianta. Podochocony, traktując to jak zabawę, też trzymał broń tak, by nie mogła jej dosięgnąć.

Jeszcze nigdy nie doznała takiego upokorzenia, ale pohamowała się przed kopnięciem Brianta w krocze na oczach trzech tysięcy świadków; nie był to najlepszy pomysł, okazałby się prawie równie brzemienne w skutki jak zastrzelenie chorego szczura.

Mallory się pochyliła, by podnieść kuszę z podłogi. Widząc to, publiczność zaczęła się trząść ze śmiechu. A okrzyki wesołości stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak wyciągała strzały z tarczy.

A więc Malakhai jej nie okłamał. Wszystkie kusze wystrzeliły i Charles nie uwolnił się z kajdanek.

Mallory podała kierowcy adres przybytku sztuki w dzielnicy teatrów, gdzie występował Nick Prado. Taksówkarz kiwał głową,jechał wolno i nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na jezdni. Wzrok utkwiał w tylnym lusterku, oczy zrobiły mu się wielkie ze zdumienia, kiedy obserwował, jak Mallory wkłada strzały do magazynka kuszy.

Może żałował, że w jego wozie nie ma kuloodpornej szyby odgradzającej kierowcę od pasażerów, głupi przejaw oszczędności w takim mieście jak Nowy Jork. Właśnie z powodu tego braku zabezpieczenia Mallory uznała go za ostrożnego typu, biorącego tylko niegroźnych pasażerów- zakonnice, harcerki i bywalców teatrów.

Na pewno nie przypuszczał, że trafi się klientka z kuszą podczas kursu z Carnegie Hall.

Zgodnie z jej teorią, kierowca mógł mieć przy sobie pistolet. Właściciele broni pozostawali w błędnym przekonaniu, że nic im nie grozi, wierząc niezachwianie, że ta będzie zawsze pod ręką, kiedy okaże się potrzebna. Bardzo się mylili. Mnóstwo martwych taksówkarzy miało przy sobie broń.

Ostatnia strzała znalazła się w magazynku kuszy. Mallory nachyliła się do kierowcy.

- Proszę mi dać swój telefon komórkowy!

Taksówkarz zdjął aparat z uchwytu na desce rozdzielczej i rzucił go przez ramię, nie chcąc mieć z nią żadnego kontaktu. Mallory wykreśliła numer Rikera i odczekała dwa dzwonki.

Riker, odbierz telefon.

Dlaczego Malakhai tak długo czekał? Miał wiele okazji, żeby zabić Prado.

Spojrzała na zegarek. Za chwilę powinien się zakończyć numer z szubienicą. Prado będzie pod wpływem środków uspokajających, zażytych, by móc wykonać sztuczkę na wysokim, wąskim podwyższeniu, gdzie stanowił łatwy cel.

- Tu Riker - rozległ się głos w słuchawce.

- Riker, czy Nick Prado jest wciąż na scenie? Widzisz go?

- Nie, zniknął, zanim się pojawiłem. Nie sądzę, żeby...

- Zniknął?

- Tak, zmienili kolejność występów. Wykonał swoją sztuczkę, kiedy jeszcze byłem w teatrze Faustine.

Przeklęty porucznik Coffey. Gdyby miała jednego dodatkowego człowieka, mogłaby kontrolować wszystkie trzy teatry jednocześnie.

- Riker, sprawdź, czy go nie ma gdzieś za kulisami. Jedzie tam Malakhai, jest uzbrojony.

- Jezu!

- Jestem... - Telefon komórkowy przestał działać. No, ładnie. Cudowny wieczór. Rzuciła aparat na przednie siedzenie. - Potrzebne nowe baterie.

To się stawało zbyt skomplikowane, zupełnie nie w stylu Malakhaia. Bardziej już pasowało do Prado, lubującego się w teatralnych efektach, do jego pokrętnego rozumowania. Zupełnie, jakby wszystko to zaaranżował król reklamy.

Ależ naturalnie!

- Zawracamy! Pojedziemy do centrum.

- Jak pani sobie życzy, królowo.

Taksówka się zatrzymała. Mallory siedziała jak na szpilkach, a tymczasem z naprzeciwka wolno sunęły samochody. W końcu kierowca zawrócił w miejscu, gdzie to było niedozwolone, i ruszyli na północ, w kierunku teatru Faustine.

Przysunęła się do kierowcy.

- Ma pan broń?

Taksówkarz odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Był bardziej zdziwiony niż przestraszony, i z czystego przyzwyczajenia wzięła w nim górę jego nowojorska natura.

- Proszę pani, może się pani przecież wybrać na niedźwiedzia z tą cholerną...

Mallory podsunęła mu swoją złotą odznakę pod nos.

- Kiedy proszę, żeby pokazał mi pan swoją broń, ma mi ją pan pokazać. Taka jest zasada.

- Pani z policji? W takim razie dlaczego nie... O, cholera. - Przystał zaciskać ręce na kierownicy. - Kto zrozumie gliniarzy.

Sięgnął do schowka na rękawiczki i go otworzył. Światła miasta przesuwwały się za oknami wolno jadącego samochodu. Pierwsze krople deszczu uderzyły w szyby, kiedy mężczyzna wyciągnął swój arsenał.

- Mam ołowianą rurkę, brzytwę, nóż. - Pokazał jej aerozol. - To musztarda w sprayu, ale dość stara. - Wyciągnął drugą puszkę. - To pieprz w sprayu. Ale nie mam broni. Zadowolona?

W mieście, w którym przypadają dwie sztuki śmiertelnej broni na głowę, nigdy nie można znaleźć spluwy, kiedy jest człowiekowi potrzebna.

- Dodaj gazu. I możesz przejeżdżać na czerwonym świetle. Dostaniesz napiwek. - Rzuciła dwie dwudziestki na przedni fotel. - To za kurs. Nie potrzebuję pokwitowania.

Teraz taksówka przyśpieszyła. Na Manhattanie pieniądze zawsze były bardziej skuteczne niż policyjna odznaka.

Młody mężczyzna stał przed tylnym wejściem Teatru Iluzji Faustine. Miał na sobie tradycyjny zielony uniform biletera i takiego samego koloru czapkę. Rzucił papierosa na chodnik, otworzył usta ze zdumienia i nawet mu nie przyszło do głowy, żeby zatrzymać młodą kobietę z kuszą.

W teatrze robotnik w kombinezonie kończył instalować okno, kiedy wpadła jak burza przez drzwi, które pchnęła tak mocno, że uderzyły gałką w ścianę i odłupały kawałek tynku. Mężczyzna również się nie palił, by zagrozić jej drogę, kiedy pobiegła w kierunku sceny.

Mallory przystanęła obok kosza na śmieci i spojrzała w głąb ciemnych korytarzy utworzonych przez potężne ekrany ze sklejki. Wszędzie piętrzyły się pudła i kartony, tworząc liczne zakamarki. Minęła zasuniętą kurtynę. Ujrzała teraz wyraźnie mężczyznę w wieczorowym ubraniu, stojącego z mikrofonem w ręku przed publicznością. Zapowiadał następnego wykonawcę, Franny'ego Futureę.

Mallory wcale to nie zdziwiło.

Widzowie powitali zaledwie zdawkowymi oklaskami rozreklamowaną sztukę, którą przyszli obejrzeć. To miasto hazardzistów. Czy był ktoś, kto się nie dał wciągnąć w nielegalną grę prowadzoną przez wszystkie dzienniki? Na widowni zasiadali prawdziwi nowojorczyści, prawdopodobnie porobili zakłady: czy Futura się pojawi, czy też nie, nadal żyje czy jest martwy? Niemal widziała, jak w ciemnościach pieniądze zmieniają właścicieli.

Nick Prado stał w kulisach, kiedy zaszła go cicho od tyłu.

Mężczyzna w kombinezonie, kucający nieopodal, znieruchomiał nad skrzynką z narzędziami. Nie w ciemię bity robotnik wolno się wyprostował i wycofał, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Porzucił nawet swoje narzędzia, woląc nie być świadkiem wydarzenia, które mogłoby pociągnąć za sobą konieczność stawienia się w sądzie.

Mallory klepnęła Prado w ramię i cofnęła się. Na jej widok okazał tylko lekkie zaskoczenie.

- Mallory, jak się pani czuje dziś wieczorem?

Można by to wziąć za zwykłe spotkanie, gdyby nie kusza. Celowała z niej prosto między jego oczy.

Znów znajdował się pod wpływem środków uspokajających. Czas jego reakcji był wydłużony. Ile musiał połknąć pigułek, żeby wykonać numer z szubienicą w teatrze na drugim końcu miasta?

Prado wskazał na kuszę.

- Podoba mi się. Jeszcze lepiej do pani pasuje niż spluwa.

Spojrzała na ludzi krzątających się za kurtyną. Dwóch pracowników sceny montowało długi czarny stół. Jeden mężczyzna przesuwiał wielki pionowy prostopadłościan z mechanizmem zegarowym na miejsce w głębi sceny.

- A więc Franny wciąż żyje - powiedział Prado. - Czy jest pani rozczarowana, Mallory? Mam nadzieję, że nie postawiła pani żadnych pieniędzy na swoją teorię.

Spojrzała w górę, gdzie kończył się lambrekin. Biegł tam pomost, kładka z deszczulek z metalowymi barierkami. Jej wzrok powędrował ku pionowemu stalowemu prętowi wiszącemu nad sceną. Zakończony był srebrnym półokrągłym ostrzem, wyglądającym groźnie - i znajomo.

- To nie replika. Wzięło się tu prosto z piwnicy Charlesa.

- Zgadza się - przyznał Prado. - Zostało wypożyczone od Charlesa. Franny nie chciał ryzykować z kolejną kopią rekwizytu, źle wykonaną przez Olivera.

- Nie będzie się pan czuł bezpiecznie, dopóki Franny nie zginie, prawda, Prado?

- Myśli pani, że mogłem coś majstrować przy sztuczce Franny'ego? To niemożliwe. Nie wykonuje jej tak, jak to robił Max.

- Ponieważ nie wie, jak on to robił. Oliver nie wysłał mu instrukcji numeru z wahadłem. Futura dostał od niego rekwizyty do Zapomnianej Iluzji: podium i kusze.

- Moje gratulacje, Mallory. Tak, to było szczególnie miłe ze strony Olivera. Franny wykonywał takie ograne numery. Dzięki Zapomnianej Iluzji mógłby stać się sławny. Oczywiście, Franny'emu zabrakło odwagi, by ją zaprezentować. Zrezygnował z niej. Biedny Oliver zupełnie się nie znał na ludziach. Wszystkich przecenił.

Mallory skinęła głową.

- Oliver był odważnym człowiekiem, prawda? Łatwo było go nakłonić do tego, żeby sam wykonał tę sztuczkę. Wiem, że zorganizował pan występ w Central Parku, podobnie jak zaaranżował pan morderstwo staruszka. Nawet zredagował pan zaproszenia. Tekst nie był w stylu Olivera, wszyscy to zauważyli.

- Olivera zamordował Franny - rzekł lekceważącym tonem. - Przypuszczam, że wpadła pani na to.

- A Louise?

- Ją też zamordował Franny. Emile potwierdzi moje słowa. Ja tylko zaniósłem ją za kulisy, na mojej koszuli było jedynie kilka kropel jej krwi. Franny był cały zbryzgany.

Ciekawe, czemu tak otwarcie mówił o winie Futury, bo Mallory wiedziała, że jej nie okłamuje.

- Zastraszenie Futury, zmuszenie go do zabicia Louisy, to było jedyne pańskie sprytne posunięcie.

Prado się to nie spodobało. Pragnął pełnej chwały. Opuściła kuszę i wycelowała ją w jego pierś.

- Wiedział pan, że Malakhai pojawi się dziś wieczorem. Ma drugą okazję, ostatnią. Musi dopełnić egzekucji, póki wciąż pamięta, dlaczego to robi. Ukrył pan Futurę, żeby móc wszystko przygotować.

- Może mnie pani przecenia. - Ale jego uśmiech świadczył, że jest wprost przeciwnie, że czuje się niedoceniony.

Kurtyna się rozsunęła i Franny Futura pojawił się radośnie uśmiechnięty w świetle jupitera. Za nim stało sześciu mężczyzn w szkarłatnych pelerynach, ich twarze przesłaniały kaptury. Mallory na podstawie ich ruchów starała się określić wygląd zewnętrzny statystów. Kaptury sprawiały, że trudno było ocenić ich wzrost, ale wszyscy byli mniej więcej postury iluzjonisty w smokingu, żaden nie był wystarczająco wysoki, by go wziąć za Malakhai.

- Śmiertelnie przerażony człowieczek - powiedziała. - Trudno sobie wyobrazić, jak zabija Louise. Ale przekonał go pan, że Niemcy nie dadzą się nabrać na sfigowaną śmierć. I miał pan rację. Więc wzbudził pan w nim niepokój, doprowadził go do panicznego strachu, do hysterii. Czy mówił mu pan, że Louisa wie o jego powiązaniach z ruchem oporu?

Prado wyraźnie się to podobało.

- Wtedy nawet nie wiedziałem, że Franny działa w ruchu oporu.

- Ale wiedział pan o nielegalnej działalności St Johna. Wiem, że to pan wydał go Futurze. Naraził pan swojego najlepszego przyjaciela, by podnieść stawkę. Kiedy się okazało, że nie wystarcza zastraszanie, uczynił pan z zabójstwa kobiety czyn patriotyczny.

Zamrugnął powiekami, otworzył usta ze zdumienia - kompletnie go zaskoczyła. To było coś więcej niż ogłupiający skutek działania leków. Słusznie się domyśliła.

Mallory się odwróciła, by spojrzeć na widownię. Wypatrywała twarzy Malakhaia. Młodzi ludzie w kombinezonach roboczych i starsi panowie w smokingach tłoczyli się w kulisach po drugiej stronie sceny. Dała Prado znak, by ruszył przed nią za kurtynę.

- Prado, wiem, że zaaranżował pan ten występ. Chce pan, żeby Futura zginął na oczach zgromadzonych tu ludzi. To część gry, prawda? Czy manipulował pan przy jego numerze? Czy też zrobił to Malakhai?

- Nie jestem tutaj, żeby...

- Pójdziemy tam. - Wskazała kuszą drabinkę prowadzącą na wąską kładkę. - Żadnych świadków. Ludzie na ogół nie patrzą w górę.

Prado gapił się na drabinę. Środki uspokajające mogły osłabić jego refleks, ale nie zlikwidowały całkowicie lęku wysokości. Odrzucił głowę do tyłu, jakby ułamek sekundy temu strzeliła do niego i strzała właśnie go ugodziła.

- Mallory, jeśli naprawdę uważa pani, że ktoś majstrował przy numerze Franny'ego, czemu nie przerwie pani występu i nie sprawdzi rekwizytów?

- To nie takie proste, jak się panu wydaje. No, ruszaj! - Prado swoimi słowami potwierdził, że nie znalazłaby żadnych dowodów manipulacji. Gdyby przerwała przedstawienie, stałaby się jedynie pośmiewiskiem po raz drugi tego samego wieczoru.

Ale niebezpieczeństwo nie nadejdzie od strony widowni. Wiedziała, że Malakhaia tam nie ma, nie zaryzykuje kolejnego strzału z broni palnej z dużej odległości. Ukradł jej rewolwer, by posłużyć się nim z bliska, ze śmiertelnym skutkiem.

Prado położył rękę na szczeblu drabiny. Mallory szturchnęła go kuszą. Zaczął się wolno wspinać, by dotrzeć na wiszący pomost ciągnący się wzdłuż sceny. Oczy miał zamknięte, tak mocno ścisnął drabinę, że trudno mu było odrywać ręce od kolejnych szczebli.

Mallory szła za nim, jedną ręką trzymając się drabiny, drugą celując z kuszy w tył jego głowy. Zstąpił z drabiny na małą metalową platformę. Mallory stała tuż za nim.

- Nie zatrzymuj się.

Z niedowierzaniem otworzył oczy, pokręcił przecząco głową.

Czyżby leki uspokajające przestawały działać?

Dotknęła kuszą jego karku. Ostrożnie postawił jedną nogę na deszczulce i rusztowanie zakołysało się pod nim. Chwycił się barierki. Mallory znów go szturchnęła i ruszył przed siebie. Deszczulki kołysały się przy każdym kroku. Przystanął, żeby pomost przestał się chwiać, ale Mallory przestąpiła z nogi na nogę, żeby znów rozbijać kładkę.

- Dobrze już! - Powoli ruszył naprzód.

Kiedy znaleźli się w połowie rusztowania, Mallory poleciła:

- Zatrzymaj się.

Spojrzała w dół, na scenę. Szklana trumna spoczywała na długim czarnym stole. Futura stał przed mikrofonem, a sześciu jego pomocników, stepując, niosło manekin niczym nieboszczyka. Muzyka z taśmy dudniła przez głośniki w kulisach. Był to standardowy akompaniament popisów iluzjonistycznych, nie znała tytułu melodii.

- Muzyka z taśmy i tancerze - mruknął Prado. - Franny zatrudnił tancerzy.

Chwyił barierkę i opuścił głowę, żeby spojrzeć w dół. Nie spodziewała się tego po nim. To, co budziło w nim przerażenie, zarazem go fascynowało.

- Ten manekin to jedyne, co pozostało z pięknej iluzji. Franny chciał posłużyć się dynią. Czy potrafi to sobie pani wyobrazić?

- A więc jednak asystował mu pan podczas prób. - Usłyszała fałszywą nutę w jego głosie, słowa uwięzły mu w gardle. Popis odwagi się nie udał. Przyjrzała się mężczyźnie uważnie i stwierdziła, że na jego twarzy nie widać oznak przerażenia. Ile pigułek połknął, żeby przebrnąć przez numer z szubienicą?

- Powinien pan przyznać się Emile'owi, że cierpi pan na lęk wysokości. Nie poprosiłby pana o wykonanie jego sztuczki.

- Nie cierpię na...

Przestąpiła z nogi na nogę, żeby rozbijać pomost. Prado kurczowo uchwycił się barierki. Oczy zrobiły mu się większe, patrzył w dół z miną człowieka, który jest świadkiem katastrofy kolejowej. Oczy mi duszy widział, jak spada.

Na scenie poniżej manekin leżał w trumnie i Franny Futura rozdzielał połówki szklanego pudła, by odsłonić brzuch kukły. Wahadło zaczęło się poruszać, jednocześnie się obniżając. Ledwo słyszała dobrze naoliwione tryby, tworzące wraz z dźwigniami i sprężynami mechanizm napędzający i opuszczający sierpowate ostrze.

Prado syknął przez zaciśnięte zęby:

- Ani śladu Malakhaia.

- Jest tu. - Przeszukała wzrokiem grupkę robotników i pracowników sceny. Malakhai nie zaryzykuje strzału z kulis.

Prado uśmiechał się niewyraźnie, z przymusem. Starał się nadrobić miną, nie okazywać panicznego lęku przed upadkiem. Środki uspokajające pokrzyżowały jej szyki. To nie była klasyczna fobia,

niekontrolowany strach, którego pragnęła. Mallory zakołysała pomostem, ale tym razem lekko. Kiedy Prado na nią spojrział, przestała bujać kładką. Uczyła go odpowiedniego zachowania, tak jak tresuje się szczury w laboratorium. Jeśli będzie robił to, co mu każe, nie zamierza zbyt długo dręczyć.

Poniżej wahadło rozpędzało się, wychylając się coraz bardziej.

- Myślałam, że to Emile powiedział Malakhaiowi, jak naprawdę zginęła jego żona. Ale się myliłam, prawda? Pan pierwszy do niego dotarł. - Poruszyła pomostem i tym razem Prado zareagował trochę szybciej.

Skinął głową z nadmierną gorliwością, jakby mówił: „Tak, zgadzam się na wszystko, co pani powie”.

- Po wojnie pragnął pan, żeby Malakhai zabił Futurę. To wyeliminowałyby jedyne słabe ogniwo w sprawie morderstwa Louisy.

Wahadło znalazło się na poziomie trumny. Czterej mężczyźni tańczyli wokół iluzjonisty w smokingu, wymachując szkarłatnymi pelerynami. Dwaj pozostali zasłonili obydwie połówki szklanej trumny, ukrywając za materiałem wszystko, oprócz brzucha manekina.

Mallory nachyliła się bliżej do Prado, wiedząc, że mężczyzna ani na chwilę nie puści barierki, by odebrać jej broń.

- Futura był urodzonym tchórzem, prawda? Przeczytał zaproszenie Olivera i prawie stracił głowę z przerażenia. Mam wykaz jego telefonów - skłamała. - Wiem, że omawiał to z panem.

Czy tym razem źle się domyśliła? Z twarzy Prado, będącego pod wpływem leków uspokajających i bojącego się spaść, nic nie można było wyczytać. Mallory zaczekała, aż kilka razy głęboko zaczerpnie powietrza.

- Wiem, że zaplanował pan morderstwo Olivera. - Nie mogła się

mylić, jeśli o to chodzi. - I wiem, że zrobił to pan, żeby mieć motyw dla tego zabójstwa. To w pana stylu. Wszystko pan niepotrzebnie komplikuje, nadmiernie gmatwa, niczym spiskujący nastolatek niespełna rozumu.

Prado wyglądał na szczerze oburzonego.

- Nie zabiłem...

Znów przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Pomost zakołysał się gwałtownie. Na twarzy Prado pojawił się rumieniec, mężczyzna oddychał szybko i płytko. Wymierzywszy mu karę za kłamstwo, przestała huśtać kładką.

- A więc potrzeba dwóch morderstw, by ukryć to, co zrobił pan Louisie? Nie mógł pan dopuścić, by tamtego wieczoru uciekła, nie z dokumentami podrobionymi przez pana. Musiał pan znaleźć jakiś sposób, by zabić ją w Paryżu.

- Louise zabił Franny!

Znów zabujała pomostem. Prado padł na kolana, rękami trzymał się kurczowo barierki, zacisnął powieki.

- Wszystkim groziło niebezpieczeństwo. Emile był...

Teraz tak mocno zakołysała kładką, że rozbujała ją całą. Prado otworzył oczy i wyrócił nimi, aż ukazały się białka.

- Nie, Prado. St John cieszył się opinią gliniarza obdarzonego zdrowym instynktem. Zawsze wiedział, że Louisa, kobieta poszukiwana, stanowi ryzyko. Nigdy nie zdradził żadnych tajemnic. Pan to zrobił. Najpierw chciał pan Futurę nastraszyć. Futura myślał o ucieczce, prawda? To wtedy powiedział mu pan, że Louisa wyda St Johna, jeśli wpadnie żywa w łapy Niemców.

Prado jęknął, a Mallory znów zabujała kładką. Przestała nią kiwać, kiedy Prado był bliski zwymiotowania obiadu.

- Potem wysłał pan Futurę do pomieszczenia za kulisami, by zabił

zapłakaną, ranną, bezbronną kobietę. Zapewnił go pan, że to będzie łatwe, że pójdzie raz-dwa, wystarczy przytrzymać jej poduszkę na twarzy. - Co Futura wiedział o zabijaniu? Co oni wszyscy o tym wiedzieli? Byli zaledwie podrostkami. - Kiedy Louisa zaczęła się bronić, musiało go to przerazić. Dwoje śmiertelnie wystraszonych ludzi, jeden mordujący drugiego. - Dla obojga było to coś okropnego. A pod drzwiami: niemieccy żołnierze.

Wahadło poruszało się między szklanymi pudłami. Trociny leciały we wszystkie strony. Mallory znów za-bujała pomostem, ale nagle przestała, gapiąc się na powiększającą się mokrą plamę na spodniach Prado. Poczwała zapach moczu.

- Wstawaj!

Prado powoli się podniósł. Spuścił głowę, żeby ukryć zmieszanie.

- Futura nie zabił jej, by ratować własną skórę - powiedziała Mallory. - Uciekłby, gdyby czuł się zagrożony. Znam ludzi tego typu. - To była wiedza wyniesiona z ulicznych wojen: tchórze zawsze uciekają. - Więc kiedy nie udało się go panu nakłonić strachem, posłużył się pan St Johnem. Wkoło byli Niemcy, nie było czasu, żeby się zastanawiać. Może mu pan przypominał, że żona Malakhaia już raz posunęła się do zdrady. I wtedy ten przerażony człowieczek udał się do pomieszczenia na zapleczu i zabił Louise. Prawdopodobnie płakał, kiedy to robił. Biedaczysko. Myślał, że postępuje słusznie, że zdobył się na bohaterski czyn.

Kiedy Prado w końcu uniósł głowę, by spojrzeć jej prosto w oczy, udawał, że odzyskał zimną krew.

- Ale to Franny zabił Louise. Nie zastanawia pani, dlaczego Malakhai tak długo zwlekał z zemstą? - Zadał to pytanie, jakby to była moneta przetargowa, dzięki której może coś zyskać.

- Nic z tego, Prado. Już to wiem.

Wahadło znów zaczęło się podnosić w górę i stopniowo wychylało się coraz mniej, aż zniknęło za lambrekinem kurtyny.

- Kiedy już powiedział pan Malakhaiowi, co naprawdę stało się z jego żoną, musiał pan szaleć z niepokoju, że ten nie zabił Futury, że wybaczył mu zabójstwo Louisy. - Obserwowała jego oczy, wypatrując jakichś oznak, że popełniła błąd, ale był szczerze zaskoczony. - Potem zamordowano Olivera i ta śmierć wszystko zmieniła. Malakhai czuł się odpowiedzialny, już pan o to zadbał. I dlatego próbował zastrzelić Futurę podczas parady.

Egzekucje dokonywane przez Malakhaia wyróżniały się jednym - stanowiły niemal przebaczenie, przypominały akt litości. Franny Futura nie zobaczyłby wycelowanej w siebie broni. Nawet nie zdążyłby się przestraszyć.

- Mallory, gdybym miał kapelusz, uchyliłbym go przed panią. Być może jest pani najlepszym gliniarzem na świecie.

Musiał to powiedzieć. Ktoś gorszy nie rozgryzłby wielkiego Nicka Prado - przynajmniej w jego przeświadczeniu. Znów górę brało zadufanie, zapomniał o strachu.

- Naprawdę napracował się pan nad Malakhaiem, prawda? - Zakłósała pomostem, by go przynaglić do odpowiedzi. - Powiedział mu pan, że gdyby zaraz po wojnie zajął się Futurą, Oliver wciąż by żył.

- Tak, ale nie udało mi się, w przeciwieństwie do pani. - Tym razem nie padł na kolana. Z napięciem wpatrywał się w jej twarz. Zadręczała go, ale zarazem stanowiła kotwicę, której mógł się uchwycić. - Bez pani nigdy by mi się to nie udało, Mallory. To pani mu powiedziała, jak zginęła Louisa, ile bólu zadał jej Franny, plastycznie przedstawiła pani cały strach i cierpienie. Tak, powiedziałem Malakhaiowi, że została zamordowana. Potem odszukał Emile'a, by uzyskać od niego więcej szczegółów. Emile zapewnił go, że to była

szybka śmierć, że Louisa nie cierpiała. Gdyby Franny nie zabił Olivera...

- Nie zrobił tego. Tamtego dnia w parku to pan podmienił klucze.
- Wpatrywała się w niego, czekając na jakiś znak, że źle się domyśliła. Lekki spowolniły wszystkie jego reakcje, również zdolność ukrywania zaskoczenia. Miała rację: on to zrobił. - Futura nie poczuł się wcale zagrożony przez zaproszenie Olivera, prawda? Wojna się skończyła dla wszystkich z wyjątkiem pana. Tym razem zastraszanie nie poskutkowało. Znowu pan spartaczył robotę, Prado?

Na jego twarz zaczął wypełzać uśmiech.

- Niezupełnie tak? - Nie, coś źle odgadła. - Idę o zakład, że posłużył się pan zaproszeniem jedynie w tym celu, by sprzedać to morderstwo Malakhaiowi. Nigdy nie wspomniał pan o tym Futurze.

Trafiła w dziesiątkę. Gdzieś zniknęło jego zadowolenie z siebie, ręce osunęły się wzdłuż barierki, zostawiając na metalu smugę potu.

- Czy powiedział mu pan, że Futura boi się Olivera? Założę się, że zasiał pan w Malakhaiu tę myśl przed pokazem iluzji w parku. Lepiej było pozwolić mu samemu to rozpracować. - Znowu rozbijała pomost, zakołysał się gwałtownie, wszystkie deszczułki się poruszyły.

- Dlaczego Malakhai nie zastrzelił Futury? Gdyby spudłował, wycelowałby ponownie. Lecz oddał tylko jeden strzał.

Prado chwycił za barierkę, ale dłonie miał śliskie od potu. Straciwszy oparcie dla rąk i nóg, ciężko opadł na kolana, podczas gdy Mallory zachowywała równowagę, zwinna jak kotka.

Zamknął oczy i krzyknął:

- Wystarczy!

Przestała bujać rusztowaniem i czekała, aż mężczyzna odzyska panowanie nad sobą. Poniżej tancerze wykonywali swoje ewolucje.

Prado wytarł dłonie w garnitur. Oddychał szybko, jedną ręką rozluźnił krawat.

- Obserwowałem Malakhaia, kiedy odłożył broń. Stracił serce do zabijania. Nie wiem dlaczego. Znów zamierzał zrezygnować z zabicia Futury.

Wracał do siebie, odzyskiwał oddech. Zniknęły mu wypieki z twarzy, pojawił się na niej uśmiech.

- A potem pani się do niego wzięła, Mallory, i zaczęła go przesładować. W końcu przyszedł do mnie. Ten cudowny chłopak, którego kiedyś znałem, wczoraj wieczorem płakał i był wściekły, gotów zabić cały świat. W połowie to pani zasługa.

Wahadło wisiało nieruchomo, widziała wyraźnie manekin, przełożony na dwie części. Pomocnicy wyjmowali go z trumny. Mallory znów uważnie zlustrowała kulisy.

- Jest tam na dole z bronią. To nie stanowiło części pańskiego planu, prawda? W pańskiej wersji Futura ginie podczas wykonywania sztuczki, mam rację? Przecięty na pół przez ostrze.

Tak, broń stanowiła dla niego niespodziankę.

Skierowała kuszę w dół, w kierunku sceny. Z tego miejsca nie odróżniłaby wysokiego mężczyzny od niskiego. Wdrapanie się tutaj było błędem.

Prado też patrzył w dół, może jedynie po to, by udowodnić, że jest do tego zdolny.

- A co, jeśli wypatrzy pani Malakhaia? Nie może go pani tak po prostu zastrzelić bez...

- Ale właśnie tego pan pragnie, prawda? Nie chce pan, żebym przeszkodziła Malakhaiovi. Jeśli usunę Malakhaia, Franny zacznie mówić. Wyśpiewa wszystko.

Wahadło znowu zaczęło się poruszać i wolno opuszczać w kierunku sceny.

- Nie zaryzykuję strzału, żeby go jedynie ranić - powiedziała. - To kwestia szacunku.

Prado zrzędał mina. Zrozumiał, że żyje tylko dlatego, iż został zaliczony do kategorii mniej poważanych osób.

Mallory opuściła kuszę. Z opóźnieniem zarejestrował, że złapała go za rękę i wykręciła mu ją do tyłu. Popchnęła go w kierunku stalowej barierki, w brzuch wpił mu się metal, w płucach zabrakło tchu. Pomost zakołysał się niebezpiecznie, grożąc, że oboje spadną. Kusza zawisała na skraju deszczułek, Mallory kopnęła ją z powrotem na środek kładki.

- Straciłeś formę, staruszku. Skąd ci przyszedł do głowy ten idiotyczny pomysł, że możesz mnie pokonać w uczciwej walce? Nie uda ci się to. Ale Malakhaiowi owszem. Dlatego muszę go zabić, jak tylko go zobaczę. - Mocniej wykręciła mu ramię. - Czy wyraziłam się jasno? Jeśli pomożesz mi go powstrzymać, może uda ci się od wszystkiego wyłgać albo zniknąć.

Mallory puściła go i podniosła kuszę. Prado oddychał głęboko i patrzył w dół - igrał z losem. Może leki znów zaczęły działać. Na scenie tancerze pomagali iluzjoniście wejść do szklanej trumny.

- Co teraz będzie, Prado?

Spojrzał na kuszę, którą wskazała scenę. Jego głos był prawie zupełnie opanowany.

- Jestem pewien, że nie chce pani zabić kogoś z tancerzy. Każdy potrafiłby to zrobić.

Statyści rozłączyli części szklanej trumny, by odsłonić szeroki czarny pas pod smokingiem Futury. Następnie wsunęli ręce i nogi iluzjonisty w otwory w szklanych ściankach i założyli mu kajdanki.

- Kajdanki nie są prawdziwe - wyjaśnił Prado. - tym razem nie będzie kłopotu z kluczykiem. Franny nie zdobyłby się nawet na takie ryzyko.

Mężczyźni udrapowali czerwony materiał na obu połówkach trumny.

- Za minutę, dwie wydostanie się ze środka - powiedział Prado. - Gdyby był sprawnym fizycznie młodym człowiekiem, ściągnąłby kajdanki z nóg i skulił się w przedniej części trumny. To jeszcze jedna stara, ograna sztuczka.

Jeden z pomocników zasłonił publiczności widok na przestrzeń między rozdzielonymi częściami szyby. Mężczyzna wyjął spod peleryny grubą belę czarnego materiału i umieścił ją w trumnie.

- To trik, żeby publiczność myślała, że iluzjonista jest nadal w trumnie, kiedy ostrze się opuści. Tkanina ma taki sam kolor jak smoking Franny'ego.

Do przedniej części trumny wepchnięto zwój czerwonego materiału.

- A to peleryna dla Franny'ego. Włoży ją, zanim wydostanie się z trumny od tyłu, gdzie ścianki są na zawiasach. Potem wmiesza się między tancerzy.

Mężczyzna w długiej czerwonej pelerynie wyprostował się i stanął obok trumny.

- To Franny - powiedział Prado. - Proszę policzyć tancerzy. Jest ich teraz na scenie siedmiu. Na początku było tylko sześciu.

Wahadło znów zaczęło się poruszać w przód i w tył nad szczeliną między skrzyniami.

- W przedniej części trumny jest głośnik - wyjaśniał dalej Prado. - Za minutę specjalne urządzenie wytworzy mgłę na scenie. Mgła zasłoni przewód, który jeden z pomocników podłączy do głośnika. Bardzo tani sprzęt, niemal tak stary jak Franny. Kiedy usłyszysz pani jego głos na scenie, w rzeczywistości Franny będzie siedział na zapleczu, krzycząc do mikrofonu.

Wahadło opuszczało się coraz niżej.

- Kiedy Max wykonywał tę sztuczkę, nie zasłaniał trumny. Można było go obserwować, jak wali w szybę, krzycząc. Ludzie widzieli,

jak ostrze tnie na strzępy jego pas. Żadnej sztucznej krwi, nic z tych rzeczy. Ale wszyscy przysięgali, że widzieli, jak na scenę lała się strumieniem krew Maksa. Wersja Franny'ego jest słabsza od początku do końca. Nudna jak pogrzeb bez otwierania trumny.

Nagle Prado stał się zbyt rozmowny, zbyt skory do pomocy - jakby chciał zyskać na czasie. Mallory złapała go wolną ręką za kołnierz i przydusiła do deszczulek.

- Jeśli Futura zginie, nie ujdzie ci to na sucho.

Wykręcił głowę, by się do niej uśmiechnąć. Pot płynął mu po twarzy, oczy wyszły z orbit - ale nie przestawał się uśmiechać.

- Myślałem, że okaże pani większe zrozumienie, Mallory. Przecież pracuje pani w wymiarze sprawiedliwości.

- Nie, tym zajmują się inni. Ja tylko pilnuję, by przestrzegano prawa. Gdyby było inaczej, w tej chwili zepchnęłabym pana z tego mostku. Wymierzanie sprawiedliwości jest proste. To, czym ja się zajmuję, jest znacznie trudniejsze.

Chociaż się bał, uśmiechał się coraz szerzej. Czy to rezultat działania leków? Czy też manipulował nią niczym bezwolną marionetką? Tak, próbował jedynie zyskać na czasie. Ważne było, żeby Futura zginął pierwszy.

Siódmy mężczyzna opuścił scenę. Sześciu asystentów pozostało, żeby tańczyć, kiedy wahadło opuszczało się coraz niżej. Drzwi za kulisy się zamknęły. Czy Futura już był na zapleczu? Czy czekał tam na niego Malakhai? Coś przeoczyła. Dlatego Prado się uśmiechał.

Mallory się odwróciła, pobiegła na koniec pomostu i zaczęła schodzić po drabinie. Co, jeśli rewolwer miał tylko naprowadzić ją na zły trop? Czy Malakhai zamierzał zabić Future w taki sam sposób, jak zginęła Louisa - w pomieszczeniu, które stanowiło replikę tamtego?

Z trumny dobiegał głos Futury.

- Zaczekajcie, coś jest nie tak!

Jednocześnie usłyszała ten sam głos gdzieś zza ściany, wyraźnie przytłumiony. Kiedy była na czwartym szczeblu drabiny od dołu, zeskoczyła na podłogę i wzięła na muszkę postać w pelerynie, zmierzającą za kulisy.

- Malakhai! Zatrzymaj się! Albo zginiesz.

Ukrył się za okrągłą gipsową kolumną. Złudzenie przeistoczenia było całkowite. Kiedy wyłonił się z drugiej strony kolumny, czerwona peleryna gdzieś zniknęła, był w ciemnym garniturze i krawacie. W prawym ręku trzymał rewolwer, który jej wcześniej zabrał.

Głos z trumny wzywał pomocy. Kłęby sztucznej mgły snuły się nad sceną, maskując przewody. Słyszała, jak Futura w pomieszczeniu na zapleczu, czując się zupełnie bezpiecznie, wrzeszczał do mikrofonu przerażonym głosem.

- Nic z tego, Malakhai. Mam w magazynku trzy strzały. Oddaj mi broń. I to natychmiast! Bo będę strzelać.

- Wiem. Byłaby pani niesamowita podczas wojny. Och, przepraszam, nie ta epoka. Proszę mi wybaczyć. Któregoś wieczoru Riker mi powiedział, że wychowała się pani na westernach.

Wyciągnął dłoń, na której leżał płasko jej rewolwer. Wskazała kuszą podłogę.

- Połóż go tam.

Położył broń na podłodze przed sobą.

- A więc jak podobała się pani sztuczka Charlesa?

- Kopnij go w moją stronę. - Z głośników wciąż płynęły wrzaski. Wahadło chyba nadal się obniżało. Ani na moment nie zwróciła wzroku w kierunku sceny.

- Kopnij go w moją stronę. I to już!

Trącił rewolwer butem w jej kierunku. Broń zatrzymała się tuż przed nią. Wciąż celując w niego z kuszy, pochyliła się, by podnieść rewolwer. W ułamku sekundy sprawdziła widoczne komory, w każdej tkwiła kula.

- Zawsze lepiej sprawdzić cały magazynek. - Oparł się o kolumnę i założył ręce. - Mogłem wyjąć pierwszy nabój. Rozczarowała się pani Zapomnianą Iluzją? Nie powiedziała pani.

- Charles też nie wykonał jej jak należy, prawda?

- Nie, ale Max byłby z niego dumny. Obserwowałem Charlesa podczas prób. Sporo ryzykował, a wszystko dla pani. Zawsze, kiedy o was myślę, ogarniają mnie wspomnienia.

- Wiedział pan, że nigdy nie uda mi się go odwieść od zamiaru wykonania tego numeru.

- Chyba że przytknęłaby mu pani pistolet do głowy.

- Coś mogło się nie udać.

- To prawda. I Charles o tym wiedział. Kiedy Max wykonywał tę sztuczkę, była ona mniej niebezpieczna, ale wywoływała większe wrażenie. Jak się pani domyśliła, że Charles wykonał ją nie tak jak należy?

- Czegoś mi w niej brakowało. Nie było w tym żadnej magii, a powinna być.

- Czyli moje nauki nie poszły na marne. No cóż, Charles zrobił, co mógł, decydując się na efekt komiczny. Ale Max uczynił rzecz niemożliwą, w którą wszyscy wierzyli. Mógłbym pani to pokazać, ale potrzebna mi kusza.

- No pewnie.

- Jest pani taka podejrzliwa, Mallory. - Wyciągnął rękę, jakby naprawdę wierzył, że da mu kuszę. - Skąd to wahanie? Przecież ma pani broń. Z pewnością kula jest szybsza od strzały? Powinna się pani tego nauczyć, oglądając westerny. Jeśli nadal ciekawi panią, na czym polegała Zapomniana Iluzja, pokażę pani. Może pani zaczekać do jutra, ale gdybym miał kolejny udar, wtedy już nigdy...

Pokręciła głową. Nic z tego.

- Ależ, Mallory, tak bardzo lubi pani hazard. W najgorszym razie cóż może się stać? Pojedynek? Wyłożenie kart na stół? Proszę mi

dać kuszę. Jeśli chce się pani dowiedzieć, na czym polegała sztuczka, musi to panią trochę kosztować: ceną jest ryzyko.

- Nie ma mowy.

- Nigdy nie zrobiłbym pani krzywdy, Mallory. Nigdy pani nie okłamałem.

Propozycja brzmiała niezwykle kusząco. Mallory była szybsza, miała lepszy refleks. Nie podejrzewała Malakhaia o to, by pragnął jej śmierci, ale z drugiej strony, nigdy nie obdarzała nikogo absolutnym zaufaniem. Mierząc z rewolweru w jego serce, odwróciła kuszę i trzy strzały wypadły z magazynka. Dopiero wtedy mu ją dała.

Malakhai wziął kuszę.

- Potrzebne mi strzały. - Przyklęknął na podłodze i sięgnął po nie. Spojrzał na nią i unióśł brwi, jakby pytał: „Mogę?”.

- Jasne - powiedziała. - Ale jeśli spróbuje pan odciągnąć kurek, zabiję pana.

- Rozumiem. - Przekręcił kuszę i załadował strzały, wolno wrzucając je do otworu w drewnianym magazynku. - Max zawsze umieszczał trzy strzały. Była pani ciekawa dlaczego.

Wyprostował się, a ona uniosła lufę rewolweru na wysokość jego twarzy. Chociaż uczono ją, by strzelać w piersi, bo łatwiej w nie trafić, skierowanie broni w głowę było wyraźniejszym znakiem, że jest gotowa go zabić.

Muzyka ucichła, ale tancerze nadal stepowali przy wtórze skowytu Franny'ego Futury. Usłyszała świst. To musiał być odgłos wahadła przecinającego powietrze. Położyła lekko palec na cynglu i poczuła chłód metalu.

Podniósł kuszę za rękojeść i podał ją jej.

- Proszę. Wszystko gotowe. Wystarczy teraz napiąć cięciwę i strzelić mi prosto w serce.

- Naturalnie - przytaknęła, ale ton jej głosu mówił: „Za nic w świecie”. Potrzebowała obu rąk, by naciągnąć cięciwę, a nie schowa

rewolweru do kabury. Ujęła kuszę w lewą dłoń. W prawej ręce trzymała rewolwer wycelowany w jego głowę.

- Potrafi pani to zrobić - powiedział, jakby zachęcał dziecko stawiające pierwsze kroki. - Jeśli chce pani poznać tajemnicę sztuczki, musi pani do mnie strzelić.

Wrzaski Futury zagłuszył pisk mikrofonu. Malakhai spojrział w stronę zamkniętego pomieszczenia.

- Oto jakich kłopotów przysparza technika. Cały efekt na nic. - Znów odwrócił się do niej. - Gotowa jest pani na prawdziwą magię? - Rozpostarł ramiona, by mogła wycelować mu prosto w piersi. - Czekam na swoją strzałę, Mallory. - Uśmiechał się łagodnie. - Nie jest pani w stanie tego zrobić? No cóż, w takim razie wybaczy pani, ale mam coś do załatwienia. Niepotrzebna mi do tego pani broń.

Kiedy się odwracał, wyprostowała rękę, w której trzymała rewolwer.

- Jeszcze jeden ruch, a zastrzelę pana. Nie blefuję. - Ale nie zamierzała go zabić, nie chcąc zostać bezwolnym narzędziem w rękach Nicka Prado.

Malakhai podniósł dłoń, by pokazać jej ciemny metalowy pilnik. Rzucił go w kierunku otwartej skrzynki na narzędzia, pozostawionej przez robotnika.

- Powiedziałem pani, że niepotrzebna mi była pani broń. Powinna pani bardziej uważać, kiedy pokazywałem pani grę w trzy kubki. Przepraszam, że uszkodziłem pani rewolwer, naturalnie za wszystko zapłacę.

Mallory wiedziała, co zobaczy, zanim jeszcze spojrzała na odciągnięty kurek. Spiłował iglicę.

Uniosła kuszę, chowając broń do kabury.

- Tak lepiej - pochwalił. - Ale nie sądzę, by pani do mnie strzeliła. Cóż, muszę już iść. Żeby zabić człowieka, wystarczy kilka sekund, jeśli się wie, jak to zrobić. A ja wiem.

- Malakhai! - Odciągnęła dźwignię, by napiąć cięciwę. - Wie pan, że strzelę.

- Na pewno, Mallory? W plecy? Jak to pani wytłumaczy? Jestem nieuzbrojony. - Był niemal przy drzwiach do pomieszczenia na zapleczu. - Może za bardzo pani uwierzyła w to, że jest pani potworem. Osobiście nie sądzę, żeby miała pani tego rodzaju zadatki.

- Stać!

- Franny prawie skończył swoją sztuczkę. Muszę się pośpieszyć.

Mallory nie celowała tak, żeby go ranić; obrała taki punkt na jego plecach, by strzała trafiła go w serce. Nacisnęła na spust. Cięciwa zwolniła z furkotem i w tej samej chwili Malakhai się odwrócił. Wyciągnął rękę i w locie złapał strzałę.

To niemożliwe.

Wiedziała, z jaką prędkością szybuje strzała. Nie mógł tego zrobić, a jednak trzymał ją w dłoni.

- Najwyraźniej źle panią oceniłem. - Wolno, nie śpiesząc się, zaczął iść w jej stronę. - Przepraszam. Chyba się pani na mnie nie gniewa?

- Ukrył pan tę strzałę w dłoni. - Zajrzała do magazynka. Niewypała? Znow odciągnęła spust i wymierzyła w pierś Malakhaia.

Nadal się do niej zbliżał.

- Tym razem też się pani nie uda. - Odległość między nimi była coraz mniejsza. Futura wciąż wzywał pomocy z pokoiku na zapleczu.

Wypaliła z broni prosto w serce Malakhaia. Spust zepchnął cięciwę z chwytu, ale strzała nie pomknęła.

- Zablokował pan magazynek? Tak nie można...

- Zrobiłem dokładnie tak, jak to robił Max. Poczuela pani lekkie szarpnięcie, prawda? Och, widzę zmieszanie na pani twarzy. Jak strzały mogą trafiać manekin, a blokować się, kiedy mają przed

sobą człowieka? No cóż, naprawdę się to pani nie spodoba.

Podniósł strzałę w górę i przekręcił metalową końcówkę. Przesuwała się w obie strony wzdłuż drzewca.

- To wydłuża strzałę. Tylko pierwsza opada prosto na dno magazynka, ta zostanie wykorzystana podczas próbnego strzelania do manekina. Kiedy się ładuje drugą strzałę, dłuższą, jej zakończenie zagłębia się w drewnianej obudowie magazynka, kiedy popycha ją pani z drugiej strony. A trzecia strzała? Sprawia, że publiczność nie zauważa, że druga w ogóle nie wystrzeliła.

- Ale przecież policjanci ładowali magazynki w obu...

- Nie wtedy, kiedy Max wykonywał sztuczkę. Policjanci tylko wręczali mu strzały, wszystkie identyczne, wszystkie tej samej długości. On je wkładał do magazynka. Oliver i Charles robili na odwrót. A więc kiedy Max ładował drugą kuszę, odkręcał końcówkę.

Położył strzałę na jej wyciągniętej dłoni.

- A więc na tym to wszystko polegało? Max majstrował przy kuszach?

- O nie - zaprzeczył Malakhai. - Manipulował przy dwóch strzałach. Rozwiązanie Charlesa było dobre, ale kiedy Max wykonywał sztuczkę, efekt był wprost niesamowity. Uchyłał się przed dwiema pierwszymi strzałami i napięcie stawało się niemal nie do zniesienia, kiedy zmagął się z kajdankami. Gdy udało mu się wyszarpnąć obręcz ze słupka, publiczność krzyczała i wyla. Kolejna kusza strzelała, i nagle strzała znajdowała się w jego dłoni, złapana w locie przy ogromnym aplauzie widzów. A czwarta kusza? Wydawało się, że Max źle wyliczył czas, że nie udało mu się złapać ostatniej strzały,

zanim ugodziła go w serce. Max ginął, rozciągnięty na tarczy. Kiedy zmartwychwstał, by wyciągnąć strzałę z własnego serca, mężczyzna w pierwszym rzędzie zemdłał.

- To znaczy, że ukrywał pod ubraniem dwie strzały.

- Tak jest. Efekt był piorunujący.

- Ale zablokowana strzała mogła ulec przesunięciu podczas szarpnięcia towarzyszącego wypuszczaniu pierwszej strzały.

- Tak się rzeczywiście stało podczas próby z manekinem. Zawsze istniało pewne ryzyko. Kiedy widziałem, jak tamtego wieczoru strzała trafia Maksa w serce, sam nie miałem stuprocentowej pewności. Tylko ktoś tak wysoki jak Charles może uniknąć ostatniego, śmiertelnego strzału. Nawet uwolniwszy jedną rękę, Max nie miał takiego pola manewru. Jednak Charles ryzykował życie. Nie co dzień człowiek styka się z taką odwagą. Dlatego nikt nigdy nie kradł Maksowi jego sztuczek.

Malakhai z uśmiechem obserwował Mallory, jak posługując się jedną strzałą, próbowała wepchnąć drugą, zaklinowaną, do magazynka, wciąż zdecydowana strzelić do mężczyzny.

Znów rozległy się dźwięki muzyki.

- Na koniec zostawiłem najlepsze. - Podciągnął mankiety koszuli, żeby jej pokazać, że nic nie schował w rękawach.

Potem uniósł zaciśnięte dłonie.

Wolno zaczął prostować palce i Mallory usłyszała okrzyk prawdziwego bólu, dobiegający jednocześnie z dwóch stron, ze sceny i z pomieszczenia na zapleczu. Nasłuchiwała reakcji widowni, szeptów setek osób szukających w ciemnościach otuchy. Skowyt stawał się głośniejszy, w miarę jak Malakhai prostował palce, jakby był bruchomówcą naśladującym pełne udręki okrzyki drugiej mężczyzny.

Odwróciła się w stronę sceny, nad którą wahadło zataczało szerokie łuki między połówkami szklanej trumny. Na sierpowatym ostrzu widać było czerwone ślady.

- Podczas występu Maksa Candle'a nie było krwi.

- Ma pani rację, Mallory. Franny też nie posłużył się fałszywą krwią.

- W skrzyni nie ma mikrofonu.

- Owszem, tak, - Złapał ją za rękę, kiedy chciała pobiec na scenę. Gdy przyciągnął ją do siebie, kusza głośno upadła na podłogę. - W pokoju na zapleczu jest aparatura nagłaśniająca. Tym razem nie oszukam pani ani nie rozczaruję. Wszystko dzieje się naprawdę.

Próbowała mu się wyrwać. Uniosła nogę, ale potrzebowała miejsca, żeby się zamachnąć i móc go kopnąć w krocze. Wykręcił jej rękę i objął ramionami.

- Wahadło się nie zatrzyma na pani życzenie, Mallory. - Mówił tak cicho, tak rozsądnie. Właśnie ten rozsądek w jego tonie ją zmroził. Zupełnie jakby był przekonany, że to, co czyni, jest czymś najnormalniejszym pod słońcem. - Tego urządzenia nie można wyłączyć - powiedział. - Mechanizmowi jest obojętne, że ma do czynienia z policjantką.

Starą się wyswobodzić z uścisku Malakhaia, wstała, aż znalazła się przodem do sceny. Przyciągnął ją bliżej - jak kochanek, jak strażnik więzienny, trzymał ją za rękę, skrępował ramionami mocniej niż sznurem.

Krzyk Futury przemienił się w przeciągły skowyt bólu. Malakhai szepnął jej prosto do ucha:

- Chciała pani wiedzieć, co robiłem podczas wojny? W takim razie proszę patrzeć.

- Nie! Przerwijcie to! - Krzyknęła do tańczących mężczyzn: - Odsuńcie trumnę! - Polecenia Mallory mieszały się z wrzaskiem

Futury. Statyści tańczyli na skraju sceny, stojąc przodem do publiczności, nie zwracając uwagi na błagania o pomoc, a muzyka grała. Mallory serce biło jak szalone, w rytm skowytu Futury, jego śmiertelnego przerażenia, jego wykrwawiania się. A Malakhai szeptał jej do ucha:

- Oto rzadki przykład sprawiedliwości dziejowej, Mallory. Za Louise, za Olivera.

Wahadło rozpryskiwało krew na deski sceny, jej krople padały na kostiumy tancerzy. Stali plecami do trumny rytmicznie wyrzucając przed siebie nogi.

Malakhai objął ją mocniej.

- Widzi pani tych ludzi w głębi? - W przyćmionym świetle zamajaczyły na widowni dwie niewyraźne sylwetki. - Chcą uratować Franny'ego. Naturalnie przybędą za późno, ale przynajmniej próbują coś zrobić. Tylko dwie osoby. Proszę spojrzeć na pozostałych.

Odosobniony krzyk jakiejś kobiety przebił się przez jęki bólu dobiegające z trumny.

- Mallory, proszę pomyśleć o Oliverze Tree, o wszystkich tych strzałach. Był również pani Oliverem, prawda? Zawsze używała pani jego imienia, kiedy pani o nim mówiła.

Krew zbryzgała skraj sceny. Wahadło zatoczyło większy łuk i czerwone krople spadły na suknie dwóch kobiet siedzących w pierwszym rzędzie. Tylko jedna z nich krzyczała równie głośno jak Futura, równie jak on przerażona. Reszta widzów siedziała w milczeniu, z wyjątkiem dwóch mężczyzn, którzy starali się dotrzeć do przejścia między fotelami. Kiedy się tam znaleźli, pobiegli w kierunku sceny.

- Tylko dwie osoby pośpieszyły na ratunek - powtórzył Malakhai.

Plamy pojawiły się na sukni kobiety siedzącej w drugim rzędzie. Wahadło znów się wychyliło, czerwone i mokre od krwi. Jej krople spadły na twarz mężczyzny w pierwszym rzędzie i jego sąsiada.

Dwóch śpieszących na ratunek wspinało się na scenę.

- Mallory, proszę spojrzeć na ludzi w pierwszych rzędach. Wiedzą, że coś jest nie tak, od początku nie mieli najmniejszych wątpliwości. Wiedzą, że Franny umiera, ale nie mogą oderwać oczu od sceny. To jest teatr: malutkie okienko na drugą wojnę światową, na to, jak naprawdę wyglądała. Jedna minuta potworności.

Dwaj ratownicy nie mogli dostać się do trumny. Otoczyli ich stepujący tancerze, powiewający czerwonymi pelerynami. Krew utworzyła kałużę pod stołem.

Krzyk jednej zdesperowanej kobiety rozbrzmiewał razem ze skowytem dobiegającym ze szklanej trumny, pogłosem z pomieszczenia na zapleczu i ostrym piskiem mikrofonów.

A potem krzyk ustał - i Mallory, i Franny'ego.

Wahadło nadal się wychylało w absolutnej ciszy, tnąc ciało i łamiąc kości, nieświadome i obojętne, że mężczyzna nie żyje. Ilość krwi się zmniejszyła, teraz krew tylko kapała, nie przybywało nowej.

Zmarli nie krwawią.

Malakhai puścił Mallory.

- Była pani na wojnie, Mallory. Czy to nie wzniosłe?

Muzyka ucichła, tancerze znieruchomieli - statyci w pelerynach i dwaj mężczyźni w garniturach wolno, w absolutnym milczeniu podeszli do trumny.

Mallory osunęła się na ziemię. Była wyczerpana, ale nadal czuła gniew. Waliła zaciśniętą pięścią w deski sceny, aż rozboleła ją ręka i do oczu napłynęły łzy.

Malakhai uklęknął obok niej i Mallory odwróciła głowę, by ukryć twarz.

- Jest pani oszustką. - Delikatnie pogłaskał ją po włosach. - Ma pani więcej współczucia od tamtych ludzi z krwią na twarzy, którzy tylko się przyglądali.

Zamierzyła się pięścią.

Był szybszy, złapał jej zaciśniętą rękę i zamknął ją w swojej dłoni.

- Naturalnie próbowała mnie pani zabić. Nikt nigdy tego pani nie odbierze. I naprawdę uważam, że jest pani bezwzględna, jeśli może to stanowić jakieś pocieszenie. - Wolno wstał i puścił jej bezwładną rękę. - Ale, Mallory, nie wszyscy możemy być potworami. Jak powiedziałem, brak pani zadatków na potwora.

Spuściła głowę, podkuliła nogi i słuchała jego oddalających się kroków, a potem odgłosu zamykanych drzwi. Poprzez gwar na widowni dobiegło ją zawodzenie syren na Broadwayu, z każdą chwilą głośniejsze. Nadszedły radiowozy, były prawie na miejscu. Mallory zamknęła oczy i objęła się za kolana. Kiwała się jak w szoku. Przeżyła minutę wojny, podczas której została ranna.

ROZDZIAŁ 22

Nawet w tej odległości od sceny powietrze było ciężkie i lepkie - wszystko przez tę krew. Śmierdziało też kałem i obiadem, którego nieboszczyk nie zdążył strawić, zanim został przecięty na pół.

Riker po przyjeździe zastał Mallory pochyloną nad szklaną trumną. Pozwoliła, żeby zmył jej krew z rąk, ale odepchnęła go, kiedy wilgotnymi papierowymi ręcznikami zaczął rozmazywać czerwone plamy na jej kaszmirowym blezerze.

Teraz siedziała przy biurku w pobliżu drzwi na scenę. Na pobliskiej ścianie z przegródkami na wiadomości widoczny był jej cień, rzucany przez lampę. Mallory zdawała się nieświadoma panującej duchoty, obecności tłumu uwijających się policjantów i oficerów śledczych, lekarzy sądowych i przedstawiciela prokuratora okręgowego. Nie miała pojęcia, co się dzieje wokół niej.

Riker wiedział, że Mallory odtwarza w myślach śmierć Franny'ego Futury, w kółko wracając do tych samych sytuacji, szukając błędów w swoim postępowaniu.

Musi położyć temu kres.

Wziął papierowy kubek od pracownika sceny i dał mu pięć dolarów za fatywę. Mallory podejrzliwie przyjrzała się pojemnikowi, co Riker wziął za niechybny znak, że zaczyna znów być sobą.

Wsunął jej kubek w dłoń.

- To woda.

Wypiła łyk.

- Nieprawda.

- Czujesz smak gorzałki. Ale zawiera też wodę. Wypij wszystko do dna, mała. Potrzebujesz witamin. - Riker pomyślał, że przydałaby jej się również transfuzja krwi. Rzucił okiem w kierunku sceny, gdzie dwóch mężczyzn wyjmowało zwłoki z trumny. Kiedy znów spojrzał na Mallory, papierowy kubek był pusty, Mallory zgmiotła go w dłoń. Kolejny dobry znak.

- Oszukali mnie, Riker.

Była to prawda. Co więcej, najpewniej ujdzie im to na sucho, ale nigdy jej tego nie wytknie. Wyciągnął swój notes.

- Pierwszy policjant, który się pojawił na scenie, spisał zeznania pomocników staruszka. Wszyscy myśleli, że głos dochodzący z trumny pochodził z głośnika.

Skinęła głowę.

- Sprzężenie zwrotne. Sprzęt akustyczny jest w pomieszczeniu na zapleczu. Działał jak interkom z wciśniętym guzikiem.

- Iluzjoniści przysięgają, że widzieli, jak Futura opuścił trumnę, zanim wahadło zaczęło się obniżać. Jak to...

- To nie iluzjoniści - przerwała mu Mallory. - Jedyne grupa tancerzy. Zobaczyli mężczyznę w czerwonej pelerynie. To był Malakhai. Ukrył się pod materiałem, którym udrapowana była trumna, i wyłonił się w odpowiednim momencie. Chłopcy byli tak pochłonięci swoim tańcem, że żaden z nich nie zauważył, że Malakhai jest wyższy. - Uniosła głowę i spojrzała na rusztowanie w górze. - Nie prze-gapiłabym tego, gdybym nie stała tam, na pomoście.

- Nie obwiniaj siebie. - Podniósł w górę kopię wytrycha Faustine z pojedynczym kluczem przykręconym do przedłużki. - Coś ci to

przypomina? Znaleźliśmy go obok trumny. Wygląda na to, że Futura upuścił klucz, zanim udało mu się otworzyć kajdanki.

Rzuciła okiem na narzędzie.

- Prawdopodobnie należy do Malakhaia. Franny nie zamierzał posłużyć się prawdziwymi kajdankami. Malakhai zamienił ich atrapę na autentyczne. W ten sposób uśmiercił starszego pana.

- A więc to Malakhai podrzucił klucz? Dość sprytnie. Nigdy mu nie udowodnimy morderstwa.

- Nie widziałam, jak Malakhai zakradł się na scenę, nie widziałam, jak ukrył się pod stołem. Zadaniem Prado było odwrócenie mojej uwagi, Jeśli nie uda mi się udowodnić mu morderstwa Olivera, oskarżę go o współudział w tym zabójstwie.

- Mam poważne wątpliwości. Malakhai wszystko dobrze obmyślił. Nie mamy nic, żeby móc oskarżyć Prado o uczestnictwo w zamachu na życie Futury. - Riker odsunął drewniane krzesło, usiadł na nim okrakiem i położył złożone ręce na oparciu. - Nie możemy wytoczyć nawet sprawy poszlakowej.

- Powinnam od razu strzelić do Malakhaia - powiedziała Mallory.
- Wiedziałam o tym. Kolejny błąd.

Riker obejrzał się za siebie i zobaczył Jacka Coffeya idącego w ich stronę, przez ramię miał przerzucony mokry płaszcz przeciwdeszczowy. Czy porucznik słyszał jej ostatnie słowa?

Coffey zatrzymał się przed biurkiem. Patrzył na Mallory z miną nie wróżącą nic dobrego.

- Właśnie skończyłem przesłuchiwać Prado. Utrzymuje, że przyczyniłaś się do śmierci Futury. Mówi, że uniemożliwiłaś mu asystowanie...

- Prado obmyślił to morderstwo - przerwała Mallory. - Podczas wykonywania tego numeru niepotrzebny był zaden pomocnik.

Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Franny Futura poniósł śmierć.

Riker położył Mallory dłoń na ramieniu, nie pozwalając jej wstać z krzesła.

- Spokojnie. Nikt nie wierzy, że to wypadek. Ale Prado uniemożliwił wytoczenie procesu. W gazetach napiszą, że to była twoja wina. A potem ukrzyżują cały Wydział Zabójstw.

Coffey przysiadł na skraju biurka.

- Prado mówi, że nie ujawni tego w swoim oficjalnym zeznaniu. Kiedy mnie o tym informował, pachniało to szantażem. Jestem po twojej stronie, Mallory, ale żadnego z nich nie możemy aresztować. Obaj się wykręcą od odpowiedzialności.

Głos Mallory był zbyt spokojny.

- Czy dobrze się pan zastanowił, co zrobili? Czy nie robi się panu niedobrze na myśl o tym?

Riker wpatrywał się w jej ręce, mocno splecione, żeby nie widać było ich lekkiego drżenia. Nie był to objaw rozdygotanych nerwów, tylko znak ostrzegawczy, świadczący, że za chwilę Mallory może stracić panowanie nad sobą, zdolność oceny sytuacji i pracę. Hamowała gniew, ale jak długo jeszcze jej się to uda?

Porucznik Coffey skinął do mężczyzny stojącego obok drabiny prowadzącej na pomost. Zbliżał się do trzydziestki, miał ciemny płaszcz przeciwdeszczowy i białą jak kreda twarz.

- To Crane. Jest zastępcą prokuratora okręgowego i prawdziwym głupkiem. Ale przydzielono mu tę sprawę i mówi, że prokuratura okręgowa nie widzi w niej nic dla siebie.

Crane dołączył do trzyosobowej grupki, trzymał się jednak z dala od Coffeya. Patrzył na Mallory z góry, jakby był nie wiadomo kim. Riker przypuszczał, że w ten sposób prokurator chciał Mallory

dać do zrozumienia, gdzie jej miejsce.

Ale Mallory dokonała własnej oceny mężczyzny, bezceremonialnie gapiąc się na tani prochowiec prawnika, adekwatny do pensji początkującego zastępcy prokuratora okręgowego. Nawet Riker zauważył, że rękawy płaszcza są o wiele za długie. Krawiec Mallory splunąłby na to okrycie.

Mężczyzna mówił przez nos, co sprawiało nieprzyjemne wrażenie:

- Rozumiem, że wszystkie sztuczki Maksa Candle'a były niebezpieczne. A ci ludzie, których pani oskarża? Obaj są odznaczonymi bohaterami wojennymi. Ich sylwetki przedstawił Emile St John, były szef biura Interpolu. - Zastępca prokuratora okręgowego położył obie ręce na biurku i zbyt blisko nachylił się do Mallory. - Spieprzyła pani sprawę, Mallory. Jeśli ktokolwiek zaskarży miasto o przyczynienie się przez panią do tej śmierci, zamierzam...

Zastępca prokuratora okręgowego stracił wątek, wygłaszając swoje przemówienie, do którego niewątpliwie się przygotowywał. Chociaż Mallory prawie się nie poruszyła, nawet taki skończony głupiec jak Crane musiał się zorientować, że naprawdę ma zamiar mu coś zrobić, i to niebawem.

Prawnik się cofnął i stanął bliżej Coffeya, udając, że poprawia krawat. Potem lekko unióśł jeden kącik ust i Riker był ciekaw, czy ten drobny objaw pogardy Crane ćwiczył przed lustrem.

- Nie ulega wątpliwości, że to był wypadek - powiedział zastępca prokuratora. - Mężczyzna upuścił kluczyk od kajdanek. Każdy głupi by to zauważył. Więc czemu muszę tłumaczyć takie proste rzeczy gliniarzowi? Kiedy następnym razem ściągnie mnie pani na miejsce zbrodni, proszę o jakieś niezbite dowody. Trzeba trochę myśleć. Mieć oczy szeroko otwarte. Czy zrozumiała mnie pani?

Jutro rano w biurze prokuratora okręgowego wszyscy będą sobie żartować z Mallory. Tym razem pozwoli się upokorzyć - a może nie? Podnosiła się z krzesła, ale Riker z całej siły pociągnął ją za trenecz.

Jack Coffey miał niemal równie groźną minę jak uśmiech Mallory.

- Riker, co ty wyprawiasz? Jeśli chce go sprać, ma prawo, ona go wezwwała.

Riker zabrał rękę i uniósł wzrok ku górze, by gorliwie studiować świecący nad drzwiami napis, jakby słowo WYJŚCIE było trudne do odczytania.

Teraz z kolei Mallory się uśmiechnęła.

- Chwileczkę, zmieniłem zdanie. - Coffey dwoma palcami szturchnął zastępcę prokuratora w pierś, aż tamten cofnął się o krok. - Jesteś prawdziwym łachudrą, Crane. Widziałem dowody, wszystkie co do jednego. - Znów dla podkreślenia swych słów dźgnął go w klatkę piersiową. - Mówię, że mamy sprawę. Jesteś zbyt głupi albo za bardzo się boisz, by się jej podjąć.

Prawnik zrobił niepewną minę. Niewątpliwie doznał szoku i miał ku temu powód. Uwzględniwszy pozycję gliniarzy i prokuratorów, nie powinno go to spotkać.

- Najwyraźniej to twój pierwszy dzień w pracy - powiedział Coffey. - Dlatego w swoim sprawozdaniu nie wymienię twoich błędów. Gdybym to zrobił, twój szef by mnie spytał, dlaczego cię nie kopnąłem w dupę.

Jakich błędów?

Riker wiedział, że prokurator okręgowy nigdy by nie stanął po stronie Jacka Coffeya. Jutro rano naskoczy na porucznika za to jawne naruszenie niepisanego prawa. Było zwyczajem i powszechną praktyką, by traktować gliniarzy jak chłopców do bicia, kiedy młode księżątka z prokuratury okręgowej doznawały niepowodzeń albo miały zły dzień. Doświadczony prawnik wiedziałby o tym. Więc

prawdopodobnie rzeczywiście to był pierwszy dzień pracy Crane'a.

Teraz Riker się zorientował, jaki jest cel tego bezczelnego przeczucania winy i czemu ma służyć ten stek kłamstw. Porucznik Coffey uczył się od Mallory.

Wszyscy byli skończeni.

Coffey spojrział na zegarek.

- Coś ci powiem, Crane. Dam ci dziesięć sekund forów.

Porucznik natarł na prawnika i Crane się cofnął. Przestał wypinać pierś i nadrabiać miną, by dać wszystkim do zrozumienia, kto tu jest najważniejszy. Był wyraźnie speszony, prawdopodobnie się zastanawiał, co przeoczył, jaki popełnił błąd - co świadczyło, że jest nieopierzonym pracownikiem prokuratury. Porucznik Coffey słusznie ocenił prawnika; był tchórzem i teraz czmychał, cicho zamykając za sobą drzwi na scenę. W oczach Rikera to był dobry znak. Gdyby Crane zamierzał wyrównać rachunki, gdyby myślał o zemście, trzasnąłby drzwiami.

Niewątpliwe zwycięstwo.

Coffey stał przodem do sceny, kiedy przemówił do Mallory:

- Nie masz do kogo pójść z tą sprawą. Nie było to zabójstwo doskonałe, ale mało brakowało. - Obserwował, jak ludzie z laboratorium sądowego wkładają zwłoki do długiej czarnej torby, zapinanej na suwak. - Masz zero szans, że Prado przyzna się do udziału w spisku. I żadnych dowodów rzeczowych, że popełniono morderstwo. Malakhai jest niespełna rozumu, co poświadczy każdy lekarz. Przypuśćmy, że uda ci się wydobyć z niego przyznanie się do winy. Oświadczenie wariata i tak nie ma żadnej wartości, ani przeciwko niemu samemu, ani przeciw komukolwiek.

Mallory rozprostowała ręce i położyła je na podłokietnikach drewnianego krzesła. Jej głos był obojętny:

- Jeśli uda nam się przedstawić tę sprawę wielkiej ławie przysięgłych, jestem w stanie zaprezentować, jak to wyglądało.

Coffey potrząsnął głową. Po raz pierwszy wyglądało na to, że nie ma ochoty wygrać z nią kłótni.

- Wszystko opiera się na twoim zeznaniu, Mallory. Nick Prado podważy jego wiarygodność, jeśli obwini o tę śmierć ciebie. - Włożył płaszcz przeciwdeszczowy, kiedy biurko miało wózek z noszami, pchany przez ludzi lekarza sądowego. - Przykro mi, że nie udało ci się uratować staruszka. Cieszę się, że próbowałaś. - Porucznik obserwowował wózek z torbą zawierającą zwłoki, aż zniknął za drzwiami na scenę. - Mallory, gdybym ci przydzielił ludzi, o których prosiłaś...

- Nie zrobiłoby to żadnej różnicy. - Położyła głowę na oparciu krzesła. - Niczego by nie zmieniło.

Coffey odwrócił się i opuścił scenę. Riker przysunął swoje krzesło do Mallory.

- Naprawdę spieprzyłaś to, mała. Gdybyś powiedziała, że to wina Coffeya, mogłabyś to później wykorzystać przeciwko niemu. Nie ma, jak trzymać coś w zanadrzu. - Położył jej rękę na czole. - Dobrze się czujesz?

Odepchnęła jego dłoń.

- Nie masz gorączki - stwierdził Riker. - Cóż, twój staruszek zawsze powtarzał, że wyrośniesz na kogoś wyjątkowego. Chyba tylko tym można to wytłumaczyć.

A więc w taki sposób postanowiła podziękować porucznikowi za rozprawienie się z tchórzem. A Jack Coffey zrobił to z klasą, nawet nie mrugnawszy powieką - żeby tylko uratować Mallory twarz. Było to niemal romantyczne.

Oczywiście ze zmartwienia przez noc Coffeyowi wypadnie reszta włosów, ale rano w oczach Rikera nadal będzie piękny.

Mallory wyciągnęła broń z kabury i położyła ją na biurku.

- Co jeszcze mamy? Czy dysponujemy czymkolwiek? Założę się, że nikt nie pamięta, by widział Malakhaia w teatrze, zgadza się?

- Nikt nie widział go na scenie. - Riker ani na moment nie odrywał wzroku od rewolweru. Było w zwyczaju czuwanie przy gliniarzu zamieszanym w krwawe morderstwo, żeby przypadkiem nie targnął się na życie, ale Mallory nie należał się ten przywilej, bo była świadkiem przypadkowej śmierci. - A co z motywem, jeśli chodzi o pierwsze morderstwo? Myślisz, że Oliver Tree naprawdę wiedział, jak zginęła Louisa?

- Nie, był tylko miłym staruszkiem. - Wzięła broń i obróciła ją w dłoniach. - Ale nie można mu odmówić odwagi, prawda? Wszystkie te strzały...

- Owszem. - Riker rozumiał, ile znaczył dla niej Oliver Tree. Jednak była już po imieniu z nowym nieboszczykiem, Frannym Futurą, i to go martwiło. Wymawiała je, jakby należał do niej.

Jeszcze z tym nie skończyła.

- Dobrze się sprawiłaś. Nie twoja wina, że... - Obserwował, jak kobieta odciąga kurek rewolweru. - Mallory, wiesz, że Coffey ma rację. Nic więcej nie możesz zrobić.

Na pewno nic zgodnie z prawem.

Wciąż patrzył na broń, którą trzymała w dłoniach. Nawet bez okularów widział, że uszkodzona jest iglica. Chociaż długo się będzie zastanawiał, jak to się stało, nigdy Mallory o to nie zapyta. Położył jej dłoń na ramieniu i lekko je ścisnął.

- Jesteś tylko człowiekiem, mała.

Mallory się uśmiechnęła.

- Ale nie jesteś do końca tego pewny, prawda, Riker? - Wsunęła uszkodzoną broń do kabury. - Podrzucisz mnie do domu?

- Jasne. Chcesz się przebrać?
- Coś w tym rodzaju.

Długa sala wyłożona była ciemną boazerią. Eleganckie kanapy obite czerwoną skórą i fotele ustawiono tak, że tworzyły przytulne kąciki do rozmowy, półki ściany w głębi zastawiono butelkami, a nad mahoniowym barem wisiało długie lustro. Ponieważ brakowało klientów, kelnerka cicho rozmawiała z barmanem. Znajdowali się za daleko, by można było podsłuchać, o czym mówią.

Mallory stała w pobliżu łukowatego przejścia do baru, twarzą do szerokiego wejścia do restauracji po drugiej stronie wąskiego holu. Obserwowała kelnerkę obsługującą liczne stoliki przykryte obrusami, zastawione kryształami, winem i potrawami. Mężczyzna nie znalazł jeszcze Malakhaia pośród uczestników tego prywatnego przyjęcia.

Zupełnie jakby oglądała obrazek z przeszłości. Futrzane etole rzucone były niedbale na oparcia krzesel, kobiety nie okazywały najmniejszego lęku, że zostaną zaatakowane przez obrońców zwierząt. Dym papierosowy unosił się do góry z długich cygarniczek, bransoletki i pierścionki skrzyły się drogimi klejnotami. Strzelały korki od szampanów, muzyka z innej epoki przepełniała salę i wylewała się na korytarz. Jakaś para wolno tańczyła między stolikami, inni gwałciciele prawa wstawali, by przyłączyć do nich w tej zabronionej, nieopodatkowanej przyjemności.

W szyby bębnił grudniowy deszcz.

Malakhai wyłonił się z restauracji i skierował do baru. Ucieszył się na jej widok. Może źle zrozumiał tę wizytę, biorąc ją za taktowny gest pokonanego.

Mallory poczuła się dziwnie lekko, kiedy podszedł bliżej. A w piersiach coś jej szybciej zabiło w miejscu, gdzie powinno się znajdować serce, ale przecież nikt inny jak doktor Slope powiedział, że

Mallory jest pozbawiona tego ważnego organu. Ścisnęło jej się gardło. Wiedziała, co to znaczy; był to objaw żalu, ale nie rozumiała, skąd się nagle wziął. Złożyła to więc na karb nadwerężonych nerwów w związku z nadejściem ostatecznej rozgrywki. Pojawiła się tutaj, by wyzwąć Malakhaia na decydujący pojedynek i wygrać.

- Mallory, mam nadzieję, że pozwoli mi pani zapłacić za uszkodzenie pani rewolweru.

- Proszę się tym nie przejmować. - Rozpięła swój trenz. - Mam mnóstwo najrozmaitszej broni. - Rozchyliła blezer, by pokazać trzydziestkę ósemkę w kaburze. - Ta jest równie dobra.

Stał bardzo blisko niej. Puls miała przyśpieszony. A to wewnętrzne podniecenie? To tylko nerwy. Taka długa noc. Ale prawie dobiegała końca.

- Przyszła pani na przyjęcie? - Malakhai przez chwilę spoglądał na salę jadalną. - Czy też zamierza pani aresztować ludzi za to, że tańczą w niedozwolonym miejscu?

Mallory zajrzała do drugiego pomieszczenia.

- Myślałam, że wszystko odwołają z uwagi na wypadek.

- Większość tu obecnych była dziś wieczorem w Carnegie Hall - wyjaśnił Malakhai. - Jeszcze nikt się nie pojawił z teatru Faustine. Może zapomniałem wspomnieć o wypadku.

- Ale pamięta pan, że zabił pan człowieka. Wie pan, że zamknę pana za to.

- Och, aresztowanie, to najważniejsze, prawda? Nick mówi, że nikt nie zostanie aresztowany. Ale bardziej wierzę pani. Naturalnie, zanim do tego dojdzie, prawdopodobnie nie będę pamiętał, dlaczego mnie pani aresztuje. Mam nadzieję, że to niczemu nie przeszkodzi. Nie chciałbym pani rozczarować. - Jego słowa brzmiały szczerze. W głosie nie było sarkazmu. Malakhai przysunął się bliżej.

Mallory się nie cofnęła, ale ostrzegła go, wolno kręcąc głową.

- Myślę, że uzyskam nakaz aresztowania, zanim pana mózg kompletnie się zlasuje.

Uśmiechnął się, jakby usłyszał świetny dowcip.

- Udary następują teraz coraz częściej. Umykają mi poszczególne lata. Całe dziesięciolecia zasnuwa mgła.

- A więc miałam rację, prawda? Louisa się rozplynęła w niebycie?

- Już dawno temu.

- Ale była obok pana, kiedy strzelał pan do Futury. Louisa nie pozwoliłaby panu tego zrobić, prawda?

Potrząsnął głową, lekko zakłopotany.

A więc to jeszcze jedno pytanie, na które Mallory nigdy nie pozna odpowiedzi - podobnie jak się nie dowie, w jaki sposób uzyskał efekt cienia zmarłej kobiety. Dziwne, ale bardziej wierzyła w żonę Malakhaia niż on sam. Gdyby Louisa nie umarła po raz drugi, Franzy mógłby nadal żyć.

Wyciągnął jedną rękę, by dotknąć jej włosów.

- Teraz, w tej chwili, jesteśmy tylko my. - Pochylił głowę, przysuwając do Mallory twarz. - Mam nadzieję, że umrę, zanim panią zapomnę, Kathy Mallory.

Słuchała, jak za nią deszcz bębni w parapet. Jedno prowadziło do drugiego. Otoczył ją ramieniem i chciał zaprowadzić na salę.

- A więc chodźmy na przyjęcie. - Jego głos był teraz silniejszy. - Złamiemy prawo, póki jeszcze pamiętam, jak się tańczy.

Mallory się cofnęła, strzepnęła jego dłoń z ramienia, ale nadal nie widział w niej przeciwniczki - dobry moment, by wbić mu nóż. Co trzeba zrobić, by go przekonać, że zamordował niewłaściwą osobę? Nick Prado stał po drugiej stronie wąskiego holu. Wiedziała, że ta sama myśl przyszła mu do głowy, kiedy z wielkim zainteresowaniem

obserwował ich rozmowę.

Używając odpowiednich słów w odpowiednim czasie, może napuścić Malakhaia na Prado i popełnić zbrodnię doskonałą, wyręczając się kimś innym.

Prado był seryjnym zabójcą - odpowiadał za śmierć trzech osób. Okazał się w tym taki dobry. Nie doceniała go - kolejny błąd. Ale teraz mogła zrobić to samo lepiej, szybciej - i skończyć z tym raz na zawsze. Prado zginie, a Malakhaia zniszczy świadomość, że zabił niewłaściwego człowieka. Każdego dosięgnie sprawiedliwość.

Rozchyliła trencz. Ukazała się kabura, kiedy Mallory niedbale odsunęła poję blezera na bok. Dzisiejszego wieczoru Malakhai już raz zabrał jej broń. Wystarczyło, by wskazała mu cel znajdujący się po drugiej stronie korytarza.

To będzie takie łatwe.

Ale po chwili wolno i z wielkim żalem owinęła się płaszczem, ukrywając broń, i mocno ściągnęła także paskiem. Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z jej pracą. Ona tylko stoi na straży prawa.

Prado wrócił do gości. Bezwrotnie straciła okazję.

Spojrzała na Malakhaia, gotowa przystąpić do jego powolnego niszczenia. Zrobi to jak należy, nie śpiesząc się - odpowiadając kłamstwami na kłamstwa.

Musiał odebrać ściągnięcie paska jako znak, że pora się rozstać. W jego oczach malowało się głębokie rozczarowanie, kiedy spoglądał na nią, stojąc w odległości zaledwie trzech kroków. Zdawała sobie sprawę z najdrobniejszych szczegółów, migotania morza cekinów w sali za nim, chybotliwych płomieni świec. Słyszała brzęk kieliszków. Butelka rozbiła się na podłodze i perlisty śmiech zmieszal się z dźwiękami muzyki.

Przechylił głowę na bok, próbując ją zrozumieć, jakby to było możliwe.

- Już nigdy pani nie zobaczę, prawda?
- Zobaczy mnie pan, kiedy rano przyjdę pana aresztować. Dokumenty pojawią się na moim biurku o dziewiątej - skłamała.
- Nie ma podstaw do...
- Bo Prado tak twierdzi? Rozumuje jak amator i jak amator knuje intrygi.
- Nie ma pani dowodów.
- Mam, mam niezbite dowody w sprawie o zamordowanie Louisy. - Bardzo słabe dowody. - To motyw, którym się pan kierował, kiedy dziś wieczorem dopuścił się pan zabójstwa.
- Nie może pani udowodnić, że jej śmierć nie była spowodowana nieszczęśliwym wypadkiem.
- Mogę. Mam pana zeznanie, złożone podczas gry w pokera, i wyniki sekcji zwłok, przeprowadzonej przez lekarza sądowego, doktora Slope'a. Opinia eksperta może być uznana za dowód. - Niewielkie szanse, ale brzmiało to prawdopodobnie. - Mam też dowód rzeczowy: pański komplet kluczy z teatru Faustine. Założę się, że to Nick wpadł na pomysł, by zostawić je w pobliżu zwłok. Głupie posunięcie. Zamówiłam badania laboratoryjne DNA znalezionej w warstewce tłuszczu pokrywającej pańskie palce. - Heller, słysząc to, pękłby ze śmiechu.

Odwróciła się od niego.

- Może pan powoływać się na niepoczytalność. Może pan wezwać na pomoc Louise, kazać jej zrobić kilka tanich sztuczek na sali sądowej. Ale wtedy będę im musiała powiedzieć, jak zginął Franny.

Malakhai wyciągnął rękę i delikatnie obrócił jej twarz w swoją stronę.

- Nazwała go pani po imieniu. Już nie obchodzą panią zbrodnie Franny'ego, prawda? - W jego głosie słychać było niedowierzenie. - Wszystko się teraz zmieniło.

Odepchnęła jego dłoń.

Ręka Malakhaia wolno opadła wzdłuż ciała.

- Franny był tym cholernym kotem w płonącym domu, czyż nie?
O czym on mówi?

Odczytał to pytanie na jej twarzy.

- Chodzi o tę opinię psychologa - powiedział. - Jedyne pytanie testowe, na które prawidłowo pani odpowiedziała, ten malutki fragment pani, z którego naprawdę jest pani dumna. Chciała pani wynieść swojego cholernego kota z płomieni, tylko dlatego, że Franny był żywą, oddychającą...

Nie dokończył. Wpatrywał się w nią, jakby w jakiś sposób go zdradziła tym jednym drobiazgiem, który zrobiła dobrze.

- Przepraszam, Mallory.

- Przepraszam to za mało. To nie ma nic wspólnego ze mną. Dziś wieczorem zginął człowiek. - Nie ten, który powinien. - I odpowie pan za to. - Za tę wszystką krew.

- Wie pani, że minie rok, nim dojdzie do procesu. Lekarze mówią, że do tego czasu będę już martwy.

- Wiem. - Ale całe to cierpienie. Krzyki. Franny nie przestanie wzywać pomocy.

- W takim razie jakie to ma znaczenie, Mallory?

- Wciąż mi pozostali Nick Prado i Emile St John.

Złapał oparcie skórzanego krzesła, jakby musiał się czegoś przytrzymać.

Przysunęła się bliżej, by wymierzyć ostatni cios. Prawie z nim skończyła.

- Zamierzam wytoczyć proces trzem osobom, oskarżając je o współudział w zbrodni. Wasza trójka sprawi, że moja pozycja będzie znacznie korzystniejsza. Nie możecie wszyscy powołać się na niepo czytalność. Zresztą Prado nigdy nie był taki dalekowzroczny, głupi amator.

- Emile nie ma z tym nic wspólnego.

- Wiem. Myśli pan, że się tym przejmuję? Gdyby zgodził się mi pomóc... - Gdyby zdradził wszystkich przyjaciół...

- Ukrył to, co wiedział. - Zrozumiał, dlaczego Franny zabił Louise. Mallory ujawniła mu motyw, kiedy powiedziała o zdradzie, jakiej dopuścił się Prado. St John postanowił nie niszczyć tych, którzy przeżyli, wyznaniem prawdy. Mallory nie miała takich skrupułów, a jednak w ostatniej chwili powstrzymała się przed powiedzeniem Malakhaiewi, że zabił niewłaściwą osobę.

Malakhai już był ciężko zraniony - obydwoje odnieśli poważne obrażenia. Mallory nie mogła zapomnieć widoku ostrza na końcu wahadła.

- St John był pierwszorzędnym gliniarzem - przyznała. - Był zawsze najsilniejszy, ale zarazem stanowił słabe ogniwo: zbyt przyzwyczajony, by zabić z zimną krwią. - Wciąż słyszała krzyki Franny'ego. - St John odegrał bierną rolę, mógłby uniknąć kary, gdyby zeznał przeciwko innym osobom, które dopuściły się przestępstwa. Ale obydwoje wiemy, że nigdy tego nie zrobi. Dostanę was wszystkich. - Zmusiła się do uśmiechu i z równym naciskiem wypowiedziała każde słowo kolejnego kłamstwa: - Nie mogę przegrać.

Miał poczucie winy. To wszystko, czego mi potrzeba, żeby oskarżyć go o współudział.

- Krew ściekała po twarzach widzów. - A na koniec niespodzianka: - Malakhai, słyszysz świst wahadła przecinającego powietrze? - Nawet nie będę musiała niczego udowadniać. - St John wszystko dokładnie opisze i oszczędzi władzom kosztów procesu. A ponieważ tak czy inaczej czeka go kara, weźmie na siebie winę pana i Nicka. Pójdzie za was do więzienia, może nawet za was umrze. - Pokuta za to, że był w plutonie egzekucyjnym maquis.

- Jest niewinny.

Franny znów krzyknął. Cały ten ból.

- Wszystko mi jedno, kto zostanie ukarany - oświadczyła Mallory. - Byleby ktoś za to zapłacił. - Widziała krew ściekającą z wahadła i pryskającą na twarze widzów. - Nie mam już czasu na rozmowę z panem. Muszę dobić targu z St Johnem. - Odwróciła się do niego plecami i ruszyła w kierunku drzwi, a cień Franny'ego poszedł razem z nią, błagając o pomoc, ociekając krwią.

- Mallory?

Malakhai podszedł do niej od tyłu i położył jej dłonie na ramieniu, by ją zatrzymać. Poczowała, że wtulił twarz w jej włosy.

Krew, cała ta krew. Powtarzała to jak zaklęcie.

- Przypuśćmy, że ja oszczędziłbym władzom kosztów procesu? - szepnął. - Jeśli do wszystkiego się przyznam, niepotrzebny będzie pani Nick ani Emile, prawda? Nie muszą nawet wiedzieć o tej rozmowie.

Mallory ujrzała cień przesuwający się po ścianie, ale nie było nikogo, kto mógłby go rzucać. Zamknęła oczy. Była taka zmęczona, że widziała coś, czego nie było. Franny krzyczał.

- Wszystko mi jedno. - Cała ta krew. - Ważne, żeby ktoś zapłacił. - Lepszy jeden skazany niż żaden. - Ale są pewne warunki.

Mallory ubiegała tok myślenia adwokata obrony, który zniszczyłby sprawę, zanim by jeszcze trafiła do sądu. Czy poczuła zapach gardenii? Czy kiedykolwiek była tak zmęczona? Znów usłyszała, jak Riker jej mówi, że jest tylko człowiekiem. Jego głos zagłuszył Franny'ego, który nie przestawał płakać i krzyczeć.

To się musi skończyć, i to szybko.

Obrońca - racja. Przy udowodnionej niepoczytalności każdy student pierwszego roku prawa potrafiłby unieważnić oficjalne przyznanie się do winy.

- Warunki. - Otworzyła oczy. Cień na ścianie zniknął, a krzyki,

które słyszała w mózgu, umilkły. - Kiedy podpisze pan swoje zeznanie, zrezygnuje pan z przysługującego panu prawa do adwokata. Nie będzie żadnych okoliczności łagodzących, żadnych ekspertyz medycznych, żadnych badań psychologicznych.

Czuła jego ciepło, był tak blisko. Czuła jego oddech w swoich włosach.

- Drugi raz przyzna się pan do winy przed sądem. Po wyroku zostanie pan zabrany do aresztu. - Kątem oka dostrzegła coś ciemnego, cień rosnący na ścianie, gotowy do zadania ciosu.

Nie, niczego tam nie ma.

- Potem pójdzie pan prosto do więzienia. Żadnych odroczeń, żadnych gierk prawnych, by zyskać na czasie. - Kobieta, która mogłaby rzucać ten cień, nie istniała. Louisa zginęła ponad pół wieku temu.

- Zgoda - powiedział Malakhai. - Jutro rano wszystko napiszę. A dziś wieczorem przypieczętuujemy umowę ostatnią lampką wina.

Zabrał dłoń z jej ramion, kiedy odwróciła się w jego stronę i powiedziała:

- Nie napiję się z panem.

Malakhai się cofnął.

- No tak, naturalnie że nie. - W końcu udało jej się go zniszczyć. Widać to było na jego twarzy. Nigdy nie widziała większego żalu. Pochylił głowę w ukłonie, geście pożegnania, a potem odwrócił się od niej i ruszył korytarzem, by dołączyć do gości. Obserwowała go, póki nie zniknął w tłumie.

- Ze mną się pani też nie napije, prawda? - Drzwi frontowe się zamykały, Emile St John szedł w jej kierunku. Nie miał parasola, deszcz kapał mu z ronda kapelusza, kiedy dotknął go na powitanie. Powiedział: - Chodzi o opowiedzenie się po którejś stronie.

Skinęła głową.

- Jest pani dobrą policjantką, Mallory. - Odwrócił się i wszedł do sali. Charles Butler wstał z krzesła, by klepnąć mężczyznę w ramię na powitanie. Młoda brunetka ruszyła ku Nickowi Prado z kieliszkiem wina w ręku. Ujął ją pod jedno ramię i przemknął z nią przez salę w takt muzyki - był w dobrym nastroju, ożywiony. Wino się lało, dym wirował. Mallory słyszała piskliwy śmiech, dobiegający ją przez wąski korytarz.

Życie zawsze toczyło się w innym pomieszczeniu.

EPILOG

Nie zaprosiła Charlesa Butlera na pogrzeb. Długo jej tego nie wybaczy, ale nie nadawał się do udziału w cichych uroczystościach. Mallory dużo wcześniej przygotowała się do tej ceremonii, zdecydowana nie dopuścić do tego, by pogrzeb Malakhaia stał się sensacją prasową.

Pojechała do więzienia w towarzystwie pracowników przedsiębiorstwa pogrzebowego po odbiór zwłok o szarym świcie. Trumna znajdowała się na pokładzie samolotu, zanim pierwsi dziennikarze pojawili się przed bramą więzienia.

Mallory nie życzyła sobie fruujących gołębi, sztuczek magicznych ani armii iluzjonistów ubranych na białe. Pośpiesznie wyprawiła Malakhaia przez ocean, by go pochować w obcej ziemi. Teraz stała przed pomnikiem zamówionym u francuskiego kamieniarza już wiele miesięcy temu. Z chwilą kiedy trumna zostanie zasypana, marmurowa płyta przykryje zwłoki spoczywających we wspólnym grobie małżonków.

Nie udałooby jej się tego dokonać bez pomocy Emile'a St Johna. Już od dawna na tym zabytkowym cmentarzu nie chowano zmarłych. St John załatwił wszystko z władzami i przebił się przez stopy papierków, żeby powiększono grób Louisy tak, by pomieścił również

trumnę Malakhaia. Nie przypisywał sobie żadnych zasług za to dzieło, skromnie tłumacząc, że Francuzi zawsze dają miłości pierwszeństwo przed biurokracją.

Spojrzał na błękitne paryskie niebo, a potem wolno pochylił głowę, by przeczytać ustęp ze Starego Testamentu. To samo uczynił dla Franny'ego. Od dziś St John i Mallory będą się mogli przestać spotykać w podobnych okolicznościach.

Okładki Biblii otworzyły się i rozległ się trzepot skrzydeł, kiedy dwa gołąbki wyfrunęły spomiędzy stronic książki. St John spojrzał znad kart z wielce przepraszającą miną, bo nie takie były ustalenia.

- Siła przyzwyczajenia - wyjaśnił. - Zwyczajnie się wymknęły. - Skierował wzrok na tekst Pieśni nad Pieśniami Salomona i odczytał na głos jej fragment.

Mallory śledziła lot gołębi, nie słysząc słów Pieśni; nic dla niej nie znaczyły. Była również głucha na argumenty więziennego kapelana, kiedy utrzymywał, że Malakhai powinien być pozostawiony w stanie nieświadomości - nazywał to łaską - by móc stanąć przed Bogiem z czystym sumieniem.

Mallory nie miała serca, takie przynajmniej głosy ją dochodziły, i widziała to czarno na białym na porwanych na strzepy kartkach oceny psychologicznej dziecka. Nie wierzyła również w Boga, chociaż osobiście poznała, co to piekło na ziemi, piekielny ogień i męki.

Kiedy Malakhai się ocknął po rozległym udarze i rozejrzał po więziennej celi, był dezorientowany i niewinny jak tamten chłopak w 1942 roku, nie rozumiejąc, za jakie przestępstwo ponosi karę. Chociaż wymierzanie sprawiedliwości należało do kogo innego, a Mallory była jedynie funkcjonariuszką niedoskonałej maszyny strzegącej przestrzegania prawa, pojawiała się tu w każdy dzień wizyt, by to Malakhaiowi tłumaczyć. Przyniosła mu portret Louisy, namalowany przez pana Halperna, i opowiedziała dzieje jego własnej

miłości z wszelkimi szczegółami, jakich się kiedyś od niego dowiedziała. Mallory przeprowadziła zalęknionego chłopca przez wszystkie lata jego życia, by znów stał się mężczyzną - by nie zwariował.

Wyniosła go z pożaru.

Jeszcze długo po tym, jak St John opuścił cmentarz, grabarze stali w pewnej odległości, wsparci na łopatach, czekając, aż młoda Amerykanka w końcu odejdzie od grobu.

Dziennikarz pojawił się obok kutej bramy - pierwsza mucha na świeżej padlinie. A potem następny, i następny, natrętni jak uprzykrzone owady. Słysząc było trzask aparatów fotograficznych.

Na drugiej półkuli, tam gdzie jeszcze trwała noc, Nick Prado stał przy oknie, spoglądając na światła Chicago. W telewizorze znajdującym się za nim informowano o śmierci człowieka, który zaszlachtował Franny'ego Future.

Głupcy.

Dziennikarze nigdy niczego nie rozumieją. Malakhai był jednym z największych ludzi i zasługiwał na lepszą prasę. Środki masowego przekazu posunęły się do tego, by uczynić z Franny'ego - zmęczonego kuglarza - legendę pośród iluzjonistów, co zakrawało na prawdziwą herezję.

Sława - cóż za wredna z niej wiedźma.

Spojrzał na aparat telefoniczny. Pragnął porozmawiać ze swoim najstarszym przyjacielem, ale Emile St John nie odbierał jego telefonów. Ostatnie sześć miesięcy po śmierci Franny'ego było jednym długim pasmem zgrzytot.

Uczta Mallory.

Czy dziś wieczorem znów zadzwoni? Nie, chyba nie.

Tyle razy widział ją na ulicy. Początkowo myślał, że jej twarz w tłumie to tylko złudzenie, bo chodniki Chicago nie były odpowiednim miejscem na spotkanie Mallory. Ale za każdym razem, kiedy

się pojawiała, jego prywatne konto bankowe obciążano kosztami biletów lotniczych na podróż pierwszą klasą i wynajmu limuzyn.

Zabawne dziecko.

Bez szemrania płacił rachunki.

Ale naturalnie była zupełnie szalona.

Okazał się również dobrym kompanem, kiedy wielka suma pieniędzy została nielegalnie przekazana z rachunków firmy, by pokryć koszty pogrzebu Franny'ego. Mallory szczególnie sobie upodobała drogie cmentarze z mauzoleami z widokiem na jezioro. Franny'emu bardzo by przypadł do gustu jego wspaniały, marmurowy dom nad wodą.

Cicho i dyskretnie z własnych funduszy pokrył braki na koncie firmy.

Przy innej okazji opróżniła rachunki kilku klientów. Dzięki umiejętnym zakupom przez komputer wzbogaciła jego portfel o pierwszorzędne akcje. Armia prawników i księgowych spowodowała, że nielegalnie wyprowadzone pieniądze powróciły do swych prawowitych właścicieli, udaremniając oskarżenie Prado o malwersacje. Ale jego własne łapówki, wręczone w dobrych intencjach zainteresowanym stronom, ściągnęły na jego głowę kolejne zarzuty - o matactwa i wpływanie na świadków. Przez cały dzień ukrywał się przed ludźmi próbującymi mu doręczyć nakaz aresztowania.

Bardziej zdumiała go mniejsza kwota, przekazana francuskiemu kamieniarzowi za pomnik obstalowany na długo przed śmiercią Malakhaia - drobne przypomnienie z piekła, żeby mu uprzytomnić, że jego stary przyjaciel marnieje, gnije w więzieniu, podczas gdy Nick oddycha oczyszczonym powietrzem w swoim apartamencie na ostatnim piętrze drapacza chmur.

Żeby nigdy o tym nie zapomniał, Mallory budziła go co noc głośnym telefonem. Wiedział, że to ona, chociaż nigdy nie powiedziała

słowa i nigdy nie udało się ustalić numeru, z którego dzwoniło. A gdy wyjeżdżał z miasta, rozmowy przychodziły bezpośrednio do jego pokoju, nie było ich śladu w hotelowej centrali telefonicznej.

Telefony zjawy.

Czy wiedziała, jak bardzo przeszkadzały mu spać, wpływały na jego sny? Podejrzał, że Mallory dzwoni jedynie po to, by usłyszeć dźwięk jego głosu, odpowiedzi na jej milczące zapytanie o stan jego zdrowia - co? Jeszcze żyje? Brzdęk.

Prawdę mówiąc, zawsze rzucała słuchawkę - wciąż wściekła, chociaż minęło tyle czasu.

Teraz łykał pigułki, by móc spać, ale i tak zawsze budził się zmęczony. Więc łykał inne pigułki, by jakoś wytrwać do końca dnia.

Tego ranka znalazł kopertę na stoliku przy łóżku. Zawierała rachunki za jego własny pogrzeb. Mallory wybrała miejsce dla ubogich, nadzwyczaj trafnie w wypadku człowieka, który nie miał już przyjaciół. Poznał zapach jej perfum. Na szczęście nie otworzył oczu, by ją zobaczyć.

Niezupełnie przyszedł do siebie po ostatniej potajemnej wizycie Mallory w jego sypialni. Tamtej nocy obudził się i zastał ją siedzącą blisko niego, jej zielone oczy błyszczały. Wszystkie drapieżniki wpadają się w taki sam sposób w swoje jeszcze żywe, wijące się ofiary. W chwilę później zgasło światło i Mallory zniknęła. Tym razem nie obciążyla jego karty kredytowej kosztami biletu lotniczego.

Czy naprawdę tu była? Czy dziś rano tylko sobie wyobraził zapach jej perfum?

Może jego służący wziął kopertę od zwykłego posłańca, a potem zostawił ją na stoliku obok łóżka, kiedy jego chlebodawca spał.

Nick nigdy o to nie pyta.

Spojrzał na zegarek. O tej porze Malakhai musi już spoczywać głęboko we francuskiej ziemi, spać wiecznym snem w Mieście Światła. Dobranoc, stary przyjacielu. Pozdrowienia dla Louisy.

Dziennikarze pojawią się nie wcześniej niż tuż przed świtem. Wpatrywał się w swoje własne odbicie w ciemnej szybie i spojrzał nad ramieniem na pokój za plecami.

Podczas jednej ze swoich wizyt w Chicago Mallory niespodziewanie pojawiła się za nim w lustrze na wystawie sklepowej, przed którą przystanął na chwilę, by podziwiać siebie samego. Tamtego dnia nie rozmawiała z nim. Oszołomiony w milczeniu gapił się na jej odbicie, obserwując jedynie, jak ręce Mallory zamieniają się w szpony i wolno się unoszą, jakby zamierzała rozorać mu plecy - albo wepchnąć go przez szybę do środka. Zamknął oczy, na chwilę ogarnięty przerażeniem - a kiedy je otworzył, już jej nie było. Nie odwrócił głowy, by patrzeć, jak znika na zatłoczonej ulicy Chicago. Utkwił wzrok w lustrze na wystawie, patrząc na swoje odbicie w okrutnym świetle dnia - ujrzał wyraźnie zmarszczki, których nigdy wcześniej nie zauważył, żyłki na białkówcze oczu i popękane naczynka krwionośne pod cienką jak pergamin skórą. Zniknął gdzieś chłopak z teatryku Faustine. Od tamtej pory przestał widzieć swoją przystojną, młodą twarz w licznych lustrach wiszących w jego mieszkaniu pod chmurami.

Nadal wypatrywał Mallory w tłumie. Taka śliczna buzia, ale taka zimna i szalona kobieta.

Teraz znów spojrzał na swoją pierwszą miłość, na własne odbicie w oknie swego apartamentu na ostatnim piętrze.

Kiedy umiera uroda - co wtedy?

Mijały godziny, a on obserwował, jak niebo szarzeje. Potem zadzwonił telefon na stole obok - to na pewno Mallory. Widocznie nie

traciła czasu na zwiedzanie Paryża. Podniósł słuchawkę i nasłuchiwał ciszy, której się spodziewał.

Nadal sprawdzasz puls, moja droga?

Słyszał jedynie odgłosy ruchliwej ulicy. Dzwoniła z aparatu komórkowego czy z automatu telefonicznego? W końcu przemówił w próżnię:

- Nie, Mallory, jeszcze nie umarłem.

Usłyszał trzask słuchawki rzuconej na widełki i poznał po tym Mallory.

Podbiegł do drzwi wejściowych i sprawdził wszystkie pięć zamków - na wszelki wypadek, gdyby zamierzała mu złożyć kolejną wizytę. Trzy zamki były nowiutkie i miały gwarancję, że nikt ich nie otworzy wytrychem, ale podejrzewał, że podczas poprzednich okazji uporała się już z dwoma z nich. Doszedł też do wniosku, że Mallory podsłuchuje jego rozmowy telefoniczne, chociaż żaden z wezwanych specjalistów nie znalazł śladu elektronicznych pluskiew. Ale nie udało im się również wyśledzić jej telefonów.

Nick wolno wrócił do frontowego pokoju, otworzył drzwi na taras i wyszedł przez nie. Była wyjątkowo spokojna noc jak na miasto nazywane „wietrznym”. Podeszedł do murku wsporczego i się wychylił. Mimo leków i alkoholu nadal dostawał zawrotów głowy, miał wrażenie, że spada; chociaż stał nieruchomo, czuł nieodparte przyciąganie ziemi znajdującej się tak daleko.

W ciągu zaledwie miesiąca na tyle przewyciężył własną słabość, by móc stanąć na gzymsie. A teraz, kiedy ustalił odpowiednią dawkę środków uspokajających i bourbona, był w stanie spojrzeć na to, co się dzieje w dole, na małych ludzików, śpieszących chodnikiem przed świtem, po nocnej zmianie, albo wytaczających się z barów otwartych do rana. Z tej odległości nie odróżniał dziwek od gażeciarzy.

Odwrócił się, by spojrzeć przez ramię.

Nie było jej tu.

Mallory miała rację - jej praca była najtrudniejsza i potrafił to docenić. Wspomnienia wielkiego Nicka Prado leżały na stoliku okolicznościowym. Na ich stronach Mallory była wymieniona w przypisach do trzech zbrodni doskonałych. Szczegółowo opisywał swoją wielkość - żeby świat mógł w pełni docenić, jak trudne było zadanie młodej policjantki - i dlaczego doznała niepowodzenia.

Rękopis został starannie zapakowany w kopertę zaadresowaną do znanego wydawcy. W liście przewodnim autor wyszczególnił powody swego chwytu reklamowego - rozpoczęcia aukcji stulecia, której głównym bohaterem będzie książka. Dołączył materiały prasowe. Błyszczące czarno-białe zdjęcia zostały zrobione, kiedy był młody i piękny. Spędził godziny, wybierając najlepsze i paląc gorsze podobizny w kominku. Wszystkie jego niedoskonałości zniknęły. Na swoim ulubionym portrecie miał zaledwie dziewiętnaście lat, to zdjęcie leżało na wierzchu koperty, żeby dziennikarze mieli fotografię, którą mogliby opublikować razem z jego nekrologiem.

Znów spojrzął na ulicę w dole. Był prawie świt. Wybrał tę porę przez wzgląd na fotoreporterów. Niebo będzie wystarczająco jasne, by stanowić tło, ale nie za jaskrawe.

Najważniejsze jest wycucie czasu.

Wszystkie codzienne gazety i lokalne stacje telewizyjne zostały uprzedzone odpowiednio wcześniej, by wiadomość mogła się ukazać w porannych serwisach informacyjnych. Pierwszy dziennikarz i kamerzysta pojawili się na ulicy w dole. Nick włożył okulary, by móc lepiej widzieć jedną z malutkich mrówek, wyłaniającą się z furgonetki-zabawki, ze swoim sprzętem do nagrywania. Kolejna furgonetka parkowała przy krawężniku. Coraz więcej dziennikarzy nadjeżdżało prywatnymi samochodami. Kiedy zliczył po jednej ekipie

z każdego kanału informacyjnego i dziesiątki mrówek, reprezentujących radio i prasę, zdjęć okulary.

Nigdy nie zrobił sobie zdjęć w okularach.

A więc stawili się wszyscy i na czas. Nick nie zawiódł ich ani razu podczas tych wszystkich lat, kiedy był królem happeningów. Obiecał im coś, co może dorównywać sztuczkom wielkiego Maksa Candle'a.

Murek wokół tarasu był na tyle szeroki, że nawet wyższy, postawniejszy mężczyzna mógł z łatwością obejść cały budynek, ale z poziomu ulicy będzie to wyglądało groźniej. Mallory, wróciwszy do Nowego Jorku, obejrzy go w telewizji, bo jego wyczyn z pewnością pokażą w całym kraju, a może nawet na świecie dzięki satelitom transmitującym wydarzenia na żywo. Kierownikom stacji telewizyjnych aż ślinka napłynie do ust. Jego popis wywinduje zyski ze sprzedaży reklam na poziom, o jakim im się nawet nie śniło w najśmielszych snach. Podczas godzin jego próby ogniowej dziennikarze będą snuli domysły o powodach długiej przechadzki w chmurach i zastanawiali się nad tym, kiedy skoczy, a nie, czy skoczy. Prawdopodobnie powiążą to z niedoręczonymi zawiadomieniami o aresztowaniu i perspektywą śmierci w więzieniu.

Wielkie dzięki, Mallory.

Odwrócił się, żeby znów spojrzeć przez ramię. Usatysfakcjonowany, że jest sam i żaden z jego zamków nie jest naruszony, Nick wszedł na gzyms, nadal mocno wierząc, że to jego własny pomysł.

Zawsze utrzymywał, że z tym skończy, kiedy zostanie pozbawiony ostatnich sześciu minut radości w życiu, co zawdzięczał Mallory. Ale przynajmniej nie wybrała dnia ani godziny. Była dość bezwzględna, lecz nie aż na tyle utalentowana. Sam obrał porę.

Nagle zabrakło mu odwagi i po raz ostatni obejrzał się za siebie. Jego dziedzictwo nadal leżało na stoliku okolicznościowym, Mallory

nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Cóż za głupiec z niego. Naturalnie, że jej tu nie ma.

Ale myśląc o niej, zrobił jeden fałszywy krok i się potknął.

Spadał.

Za wcześnie!

Za późno. Wymachiwał rękami, starając się sprawić, by jego ciało poruszało się z gracją, przypominając łabędzia w locie. Leciał głową w dół; rozpostarł ramiona, czuł pęd powietrza, który zapierał mu dech w piersiach. Światła poszczególnych okien zlały się, tworząc jasne, żółte smugi. Chodnik się zbliżał, by złożyć pocałunek śmierci na jego ustach, Prado był coraz bliżej mrówek czekających na wielki finał.

Zostały tylko sekundy, by sobie pogratulować, bo Max Candle nigdy nie przebiłby takiego finału.

Nick uśmiechnął się do obiektywów.

Taki przynajmniej miał zamiar.

Na filmie telewizyjnym uchwyciono wyraz najwyższego przerażenia, ale tylko nagranie jego krzyku odtworzono w porannych dziennikach.

Później tego samego dnia policja Chicago naliczyła pięć zamków w drzwiach wejściowych do apartamentu martwego mężczyzny, ale mimo tego oczywistego przejawu dbałości o bezpieczeństwo drzwi były szeroko otwarte. Podczas przeszukiwania pomieszczeń nie znaleziono listu samobójcy, żadnych osobistych dokumentów jakiegokolwiek rodzaju. Opierając się na podartym zdjęciu, znalezionym na stoliku okolicznościowym, wysunięto teorię, że romans z młodszym mężczyzną przybrał tragiczny obrót, i zmarłego uznano za jeszcze jednego samobójcę w mieście drapaczy chmur i zawiedzionych kochanków.

Był tylko jeden zastanawiający szczegół w tej poza tym zwyczajnej śmierci specja od reklamy. Kiedy pojawiła się pierwsza ekipa telewizyjna, na ulicy czekała samotna kobieta. Chociaż nie było ani jednej wyraźnej fotografii jej twarzy, stwierdzono, że patrzyła w niebo kilka minut przedtem, nim przyszedł samobójca pojawił się na gzymsie. Ale to nie umiejętności przewidywania zwróciły na nią uwagę dziennikarzy, tylko jej zachowanie, kiedy mężczyzna pikował na spotkanie swej śmierci, kiedy oczy wszystkich utkwione były w tej krzyczącej, wymachującej rękami, spadającej istocie ludzkiej.

Jej zniknięcie przeszło niezauważenie, póki nie przejrzano ponownie filmów i zdjęć. Na zdjęciach zrobionych szerokokątnymi obiektywami, widocznymi pośród rozgorączkowanych dziennikarzy, można było dostrzec, jak wysoka blondynka odwraca się tyłem do podniebnego spektaklu. Wychodziła z cyrku, w chwili kiedy ciało dotykało bruku.

PODZIĘKOWANIA

Dianne Burke z Search and Rescue Research Ltd,
Tempe, Arizona
Peterowi Gillowi, Peerless Handcuff Company,
Springfield, Massachusetts
Law Enforcement Equipment Co., Kansas City, Missouri.

Specjalne podziękowania za natchnienie
nieznanemu polskiemu artyście, twórcy plakatu politycznego
z hasłem „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani”.
Zobaczyłam ten plakat wiele lat temu i do dziś nie mogę
go zapomnieć. Jeśli kiedykolwiek uda mi się ustalić
tożsamość tego artysty, jego nazwisko pojawi się
w kolejnych wydaniach książki.